

KSIĄŻKA, NA PODSTAWIE KTÓREJ POWSTAŁ
NAJPOPULARNIEJSZY SERIAL XXI WIEKU

MICHAEL DOBBS



HOUSE *of* CARDS



OSTATNIE ROZDANIE

Michael Dobbs

HOUSE OF CARDS

Ostatnie rozdanie

tłumaczenie

Agnieszka Sobolewska

Kraków 2016

znak *litera
nova*

Dla Davida, Petera i Lindy.
Rodziny Dobbsów

Że kiedyś umrze – wie każdy; jedynie
Pytania „kiedy?” i „jak odwlec śmierć?”
Są tym, czym człowiek może się
przejmować.

William Shakespeare, Juliusz Cezar,
tłum. Stanisław Barańczak

Od aut ora

Ostatnie rozdział napisałem w 1994 roku. Dwadzieścia lat później Brytyjczycy wciąż spierają się o Europę, Cypryjczycy odkryli nieprzebrany ocean węglowodorowego bogactwa pod Morzem Śródziemnym, a Grecy i Turcy nadal kłócą się o przyszłość podzielonej, niestety, wyspy. Mam nadzieję, że ponadczasowa okaże się dla czytelników także niezmienna perfidia i nikczemność F.U.

Prolog

Góry Troodos, Cypr – 1956

Było późne popołudnie w maju, najprzyjemniejsza pora w Troodos, kiedy góry nie są już opatulone pierzyną śniegu, ale nie stały się jeszcze kowadłem, w które bije lewantyńskie słońce. Wiosenne powietrze wypełniał ciężki zapach żywicy i szum wiatru w gałęziach wielkich pinii, przypominający plusk morskich fal na kamienistym wybrzeżu. Do Morza Śródziemnego było stąd jednak wiele mil – trudno się od niego bardziej oddalić na niewielkiej wyspie Cypr.

Trwała pora obfitości, nawet w górach. Przez kilka wiosennych tygodni pył z kruszących się skalnych odłamków, który uchodzi tu za glebę, pokrywa się bogactwem polnych kwiatów – wytryskują z niego kępy fioletowych mieczyków, krwawe maki oraz smagliczki, z których liści i złotych główek w dawnych czasach sporządzano miksturę mającą leczyć obłąd.

Nic jednak nie zaradziło szaleństwu, które miało się za chwilę rozpętać na zboczu góry.

Jorgos, lat piętnaście i prawie trzy czwarte, popędził osła dalej górską ścieżką, nie zwracając uwagi na piękno przyrody. Jego myśli znów krążyły wokół piersi. Temat ten zajmował mu ostatnio większość czasu, pozbawiał snu, sprawiał, że nie słyszał ani słowa z tego, co

mówiła matka, i że rumienił się za każdym razem, kiedy spojrzał na kobietę, zawsze kierując wzrok wprost między jej piersi. Miały własne źródło energii, które przyciągało jego oczy jak magnes, nieważne, jak bardzo starał się być uprzejmy. Nigdy nie pamiętał, jak wyglądały twarze tych kobiet, jego wzrok rzadko zapuszczał się tak daleko – jeszcze się któregoś dnia ożeni z jakąś bezzębną starą wiedźmą. O ile tylko będzie miała piersi.

Jeśli miał uniknąć obłądu albo, co gorsza, klasztoru, będzie musiał jakoś to zrobić, stwierdził. Zrobić TO. Zanim stuknie mu piętnaście lat i trzy czwarte. Za dwa tygodnie.

Był też głodny... Po drodze w górę Jorgos i jego młodszy brat Eurypides, lat trzynaście i właściwie pół, zatrzymali się, żeby podebrać trochę miodu z uli tej staruchy Chlorides, która miała złośliwe ptasie oczka i okropnie sękaty palce – zawsze oskarżała ich o złodziejstwo, czy się go dopuścili, czy nie, więc poprzez tę małą kradzież tylko wykorzystali część swojego okazałego kredytu. Lokalna sprawiedliwość. Jorgos uspokoił pszczoły za pomocą dymu z papierosa, którego wziął z sobą specjalnie w tym celu. Omal się nie zakrztusił – jeszcze nie przekonał się do palenia, ale się przekona, obiecał sobie. Wkrótce. Kiedy tylko TO zrobi. Wtedy może będzie mógł spać w nocy.

Już niedaleko. Zostawili za sobą tarasowe półki skalne z kilkoma przywiedłymi drzewkami oliwnymi wczepionymi w skalną ścianę. Byli już dwa kilometry ponad wioską, a do przejścia mieli jeszcze niecałe dwa. Światło zaczęło łagodnieć, za dwie godziny zrobi się ciemno, a Jorgos chciał zdążyć do domu przed zmrokiem.

Popędził osła kolejnym ostrym szturchnięciem. Zwierzę, uginające się pod ciężarem grubo ciosanego drewnianego siodła i wypchanych

juków, miało trudności z posuwaniem się zawałoną kamieniami ścieżką, a taka zachęta bynajmniej mu się nie spodobała. Wyraziło swój sprzeciw w tradycyjny sposób.

– Nie na mój szkolny mundurek, ty świnio! – Eurypides odskoczył w popłochu, za późno, i zaklął. Czekają go lanie, jeśli nie przyszedł do szkoły w mundurku. Nawet w biednej górskiej wiosce mieli swoje zasady.

Mieli też broń.

Na przykład dwa steny na dnie jednego z juków, owinięte w jutową tkaninę, które właśnie wieźli, razem z resztą zaopatrzenia, swojemu starszemu bratu. Jorgos mu zazdrościł, że siedzi z pięcioma innymi partyzantami EOKA w górskiej kryjówce.

EOKA. Ethniki Organosis Kiprijon Agoniston – Narodowa Organizacja Cypryjskich Bojowników – od roku próbowała szturmem otworzyć zamknięte kolonialne umysły swoich brytyjskich władców i zmusić ich do przyznania wyspie niepodległości. Dla jednych byli terrorystami, dla innych – bojownikami o wolność. Dla Jorgosa – wielkimi patriotami. Całym sobą, a przynajmniej tą częścią, która nie koncentrowała się na seksie, chciał się do nich przyłączyć, żeby walczyć z wrogami swojego kraju. Naczelne dowództwo było jednak stanowcze: nikt poniżej osiemnastego roku życia nie mógł chwycić za broń. Był gotów skłamać, ale nie miało to sensu w wiosce, gdzie wszyscy znali nawet datę jego poczęcia, tuż przed Bożym Narodzeniem 1939 roku. Wojna z Niemcami trwała dopiero od kilku miesięcy, a brat jego ojca, też Jorgos, zaciągnął się na ochotnika do Cypryjskiego Regimentu Armii Brytyjskiej. Jak wielu młodych Cypryjczyków chciał się włączyć do walki o wolność w Europie, bo przecież zwycięstwo w tej batalii także im przyniesie niepodległość.

Tak przynajmniej myśleli. Pożegnalne przyjęcie jego stryja stało się nocą uczowania i miłości, i właśnie wtedy został poczęty.

Stryj Jorgos nigdy nie wrócił.

Młodszy Jorgos miał wysoko zawieszoną poprzeczkę. Wielbił stryja, którego nigdy nie znał, ale miał dopiero piętnaście lat i prawie trzy czwarte, więc zamiast iść w jego bohaterskie ślady, dostarczał wiadomości i zaopatrzenie.

– Naprawdę to zrobiliście z Wasą? Ale tak na serio, Jorgos.

– No jasne, głupku. Kilka razy! – skłamał starszy brat.

– Jak było?

– Jak peponia, ciało jak miękkie melony! – wykrzyknął Jorgos, wykonując kolisty ruch dłońmi w celu demonstracji. Chciał rozwinąć temat, ale nie potrafił. Wasa nie pozwoliła mu posunąć się dalej niż do rozpięcia guzików jej bluzki, gdzie znalazł nie miękkie owoce, jakich się spodziewał, lecz małe, twarde piersi z sutkami jak pestki śliwki.

Eurypides zachichotał, ale nie uwierzył bratu.

– Wcale tego nie zrobiliście, no nie? – rzucił oskarżycielskim tonem.

Jorgos poczuł, że misternie skonstruowany gmach kłamstwa się chwieje.

– Właśnie, że tak.

– Właśnie, że nie.

– Psefti.

– Malaka!

Eurypides rzucił kamieniem, a Jorgos odskoczył, potknął się na obluzowanym występie skalnym i upadł, lądując na tyłku, z porozrzucanymi wokół fragmentami swojego marzenia. Śmiech Eurypidesa, na zmianę to dziecinnie wysoki, to nastoletnio chropawy,

wypełnił dolinę i podział na dumę jego brata jak żrący kwas. Jorgos poczuł się upokorzony, musiał jakoś odzyskać słabnący szacunek. Nagle już wiedział jak.

Poluzował sznurek ściągający jeden z juków i sięgnął głęboko do środka, pod pomarańcze, obok wędzonej wieprzowiny, aż jego palce natrafiły na cylindryczny pakunek owinięty w jutowy worek. Wyjął go ostrożnie, a za nim drugi, nieco mniejszy tobołek. W cieniu dużego kamienia położył oba zawiniątka na dywanie miękkich piniowych igieł i delikatnie odpakował. Eurypidesa aż zatkało z wrażenia. To był jego pierwszy kurs z zaopatrzeniem, nie powiedziano mu, co wiozą. Z jutowej tkaniny wyzierał matowoszary metal lekkiego pistoletu maszynowego Sten, nieco zmodyfikowanego, bo ze składaną kolbą, dzięki czemu można go było łatwiej szmuglować. Obok leżały trzy magazynki z amunicją.

Jorgos był zachwycony wywołanym efektem. W ciągu kilku sekund przygotował stena, tak jak przed tygodniem nauczył go starszy brat: rozłożył i zamocował metalową kolbę szkieletową, włożył jeden z magazynków. Wsunął pierwszy pocisk do komory. Broń była gotowa.

– Nie wiedziałeś, że umiem takiego używać, co?

Poczuł się znacznie lepiej, odzyskał autorytet. Oparł stena w zgięciu łokcia i przyjął bojową postawę, na niby omiatając dolinę ogniem z pistoletu i załatwiając tysiąc różnych wrogów. Następnie wziął na muszkę osła, którego zlikwidował salwą przy akompaniamencie świszczących efektów dźwiękowych. Nieświadome swojego losu zwierzę dalej skubało kępę twardej trawy.

– Daj mi potrzymać, Jorgos. Teraz ja – błagał jego brat.

Jorgos dowódca pokręcił głową.

– Bo powiem wszystkim o Wasie – targował się Eurypides.

Jorgos splunął. Lubił swojego młodszego brata, który, chociaż miał dopiero trzynaście i prawie pół roku, już umiał biegać szybciej i bekać głośniej od większości mieszkańców wioski. Eurypides był też sprytniejszy od swoich rówieśników i zdecydowanie zdolny do małego szantażu. Jorgos nie miał pojęcia, co dokładnie Eurypides zamierzał wszystkim powiedzieć o nim i Wasie, ale uznał, że w jego kiepskim stanie emocjonalnym nawet strzęp informacji to i tak byłoby za dużo. Podał bratu broń.

Kiedy dłoń Eurypidesa zacisnęła się wokół gumowanego uchwytu, a palec wyciągnął się, żeby dotknąć spustu, pistolet zaterkotał pięć razy, zanim przerażony chłopiec upuścił go na ziemię.

– Bezpiecznik! – jęknął Jorgos, za późno. Zapomniał.

Osiół prychnął głośno z niesmakiem i pocwałował dwadzieścia jardów ścieżką w poszukiwaniu spokojniejszego pastwiska.

Głównymi zaletami pistoletu maszynowego Sten kalibru 9 mm są jego lekkość oraz zdolność do strzelania dość szybkimi seriami. Nie ma ani szczególnie wielkiej mocy, ani celności, ma za to hałaśliwy odrzut. W krystalicznym powietrzu Troodos, gdzie górskie grzbiety ciągną się od góry Chionistra aż po zamglony horyzont, dźwięk niesie się jak szybujący petrel. Nic więc dziwnego, że brytyjski patrol wojskowy usłyszał szczeknięcie stena. Bardziej zaskakujące było to, że patrol zdołał podejść tak blisko, nie zwracając uwagi Jorgosa i Eurypidesa.

Z dwóch stron rozległy się krzyki. Jorgos rzucił się po osła, ale było już za późno. Sto jardów pod sobą dostrzegli żołnierza w mundurze khaki i szkockim berecie. Cały czas się do nich zbliżał i machał w ich kierunku karabinem .303.

Eurypides już uciekał. Jorgos został w tyle tylko po to, żeby zgarnąć stena i dwa pozostałe magazynki. Pobiegli w górę, w stronę gęstszych drzew, krzaki jeżyn smagały ich po nogach, a tłukące się w piersi serca i świszczące oddechy tłumiły odgłosy pogoni. W końcu nie mogli już dalej biec. Padli na jakiś kamień, popatrzyli na siebie dzikim wzrokiem, w którym czał się strach, poczuli klucie w płucach.

Eurypides pierwszy odzyskał oddech.

– Mama nas zabije za zgubienie osła – wydyszał.

Pobiegli jeszcze kawałek, aż natrafili na płytkie zagłębienie w ziemi dobrze osłonięte głazami i postanowili się w nim ukryć. Położyli się na brzuchu na środku skalnej misy, objęli się i zaczęli nasłuchiwać.

– Co nam zrobią, jak nas złapią, Jorgos? Wychłoszczą?

Eurypides słyszał mroźące krew w żyłach opowieści o tym, jak Brytyjczycy leją chłopców, których podejrzewają o pomaganie EOKA: każdą kończynę delikwenta przytrzymuje jeden żołnierz, a piąty wymierza chłostę cienkim, tnącym skórę bambusowym prętem. Zupełnie co innego niż baty, które dostawali w szkole, kiedy po wszystkim można było wstać i wyjść. Po laniu od Brytoli miałeś szczęście, jeśli mogłeś się czołgać.

– Będą nas torturować, żeby się dowiedzieć, dokąd niesiemy broń, gdzie się ukrywają nasi – wyszeptał Jorgos suchymi wargami.

Obaj wiedzieli, co to oznaczało. Tuż przed nadejściem zimowych śniegów odkryto kryjówkę EOKA w pobliżu sąsiedniej wioski. Ośmiu ludzi poległo w ataku. Dziewiątego, jedynego, który przeżył, niespełna dwudziestoletniego, w zeszłym tygodniu powieszono w więzieniu w Nikozji.

Obaj pomyśleli o swoim starszym bracie.

– Nie możemy dać się złapać, Jorgos. Nie możemy ich wsypać.

Eurypides brzmiał spokojnie i rzeczowo. Zawsze był mniej narwany niż Jorgos, nazywano go najtęższą głową w rodzinie, to on miał perspektywy. Mówiło się nawet, że po wakacjach zostanie jeszcze w szkole, pójdzie do Gimnazjum Pancypryjskiego w stolicy, a później zostanie nauczycielem, może wręcz urzędnikiem w administracji kolonialnej. Jeśli jeszcze będzie jakaś administracja kolonialna.

Leżeli jak najciszej mogli, ignorując mrówki i muchy, usiłując wtopić się w nagrzone kamienie. Minęło dwanaście minut, zanim usłyszeli głosy.

– Zniknęli za tymi skałami, panie kapralu. Potem straciłem ich z oczu.

Jorgos ze wszystkich sił próbował opanować strach, który zacisnął szczęki wokół jego pęcherza. Czuł wstręt, bał się, że się zmoczy. Eurypides patrzył na niego pytającym wzrokiem.

Po dochodzących zza skał odgłosach zorientowali się, że do pierwszego żołnierza i kaprała, stojących w odległości jakichś trzydziestu jardów, dołączyło jeszcze dwóch, może trzech.

– Dzieciaki, mówisz, MacPherson?

– Dwójka. Jeden jeszcze w szkolnym mundurku, panie kapralu, w krótkich portkach i w ogóle. Krzywdy nam nie zrobią.

– Sądząc z towaru, który znaleźliśmy na mule, zamierzali komuś zrobić całkiem sporą krzywdę. Broń, detonatory. Mieli nawet granaty zrobione z kawałków rur. Potrzebujemy tych dzieciaków, MacPherson. I to bardzo.

– Szczeniaki już pewnie zwiały, panie kapralu. – Szuranie butów. – Rzucę okiem.

Kroki zbliżały się do nich, słychać było ich chrzęst na grubym dywanie sosnowych igieł. Eurypides wbił zęby głęboko w miękką

dolną wargę. Chwyił Jorgosa za rękę, chcąc zaczerpnąć od niego siły, a kiedy splotły się ich lodowate palce, Jorgos zaczął znajdować w sobie odwagę za nich obu. Był starszy, na nim spoczywała odpowiedzialność. To był jego obowiązek. I, miał tego świadomość, jego wina. Musiał coś zrobić. Uszczypnął brata w policzek.

– Kiedy wrócimy, pokażę ci, jak używać mojej brzytwy – powiedział z uśmiechem. – A potem pójdziemy do Wasy, razem. Co?

Przeczołgał się na górę skalnej misy, trzymając głowę nisko przy ziemi, wycelował stena nad krawędzią i zamknął oczy. Później nacisnął spust i strzelał, aż opróżnił magazynek.

Jorgos nigdy jeszcze nie był świadomy takiej ciszy. To była cisza, która zalega w środku, kiedy serce na chwilę się zatrzymuje i krew przestaje pulsować w żyłach. Nagle nie było śpiewu ptaków, podmuchu bryzy, szeptu pinii, odgłosu zbliżających się kroków. Niczego, aż odezwał się kapral, o ton głębszym głosem.

– O Boże. Teraz będzie nam potrzebny cholerny oficer.

Oficerem, o którym mowa, był Francis Ewan Urquhart. Podporucznik. Lat dwadzieścia dwa. Odbывał właśnie obowiązkową służbę wojskową po odroczeniu ze względu na studia uniwersyteckie, uosabiając triumf wykształcenia nad doświadczeniem, i jak się mówiło w żargonie kasyna oficerskiego, dużo się nie nawalczył. Właściwie w ciągu tych kilku miesięcy stacjonowania na Cyprze nie walczył prawie wcale. Rwał się do akcji, w pełni świadomy, jakim jest żółtodziobem, rozpaczliwie pragnął okazji, żeby się sprawdzić, ale jak dotąd spotkała go tylko frustracja. Jego dowódca, major, okazał się człowiekiem cierpiącym na chroniczne zaparcie, którego ostrożność odbierała kompanii szanse na rozwinięcie skrzydeł. Terrorysty z EOKA wysadzali w powietrze, zarzynali, a nawet palili żywcem tak zwanych

zdrajców, puszczając takie żywe pochodnie ulicami ich wiosek jako przestrogę dla innych, ale kompania Urquharta więcej się napociła, kopiąc latryny, niż wyciągając terrorystów z ich nor. Tak było jeszcze w zeszłym tygodniu. A w tym major był na urlopie, Urquhart dowodził i zmienił taktykę. Tego popołudnia jego ludzie wspinali się przez cztery godziny w górę, żeby uniknąć wykrycia przez nieprzyjaciela, i to działanie przez zaskoczenie najwyraźniej okazało się skuteczne.

Kiedy tylko usłyszał pierwsze strzały, krew zaczęła mu żywiej krążyć w żyłach. Poczuł, że to jego szansa. Czekał w swoim austinie champie o dwie mile dalej w dolinie i przyjechał na miejsce po niecałych piętnastu minutach, ostatnie kilkaset jardów pokonując szybkim, sprężystym krokiem.

– Meldować, kapralu Ross.

Nad zakrwawionym ciałem MacPhersona już zaczynały się zbierać muchy.

– Dwóch chłopców i osioł? Chyba nie mówicie poważnie – stwierdził z niedowierzaniem Urquhart.

– Kula widać nie rozumiała, że wystrzelił ją taki pędrak. Sir.

Tym dwóm, Rossowi i Urquhartowi, konflikt był pisany: pierwszy przyszedł na świat w czynszówce w robotniczym okręgu Clydeside, drugi w rodzinie patriarchów w północnej Szkocji. Ross grzebał towarzyszy z plaż Normandii, kiedy Urquhartowi niania nadal poprawiała krawat.

Rok wcześniej Urquhart był tym nadgorliwym młodszym oficerkiem, który zdegradował Rossa z sierżanta do szeregowego po tym, jak z kasyna oficerskiego w Tel-el-Kebir zniknęły pieniądze na miesięczny dodatek na alkohol, a Urquhartowi kazano znaleźć

podejrzanych. Ross dopiero co odzyskał drugą belkę i nadal odrabiał utraconą pozycję. Oraz utracony żołd.

Urquhart wiedział, że musi uważać, ale na razie zignorował bezczelność kaprala. Miał do stoczenia ważniejszą bitwę.

Dzieciaki przypadkowo wybrały sobie wyjątkowo dobrą naturalną redutę. Zagłębienie w górskim zboczu miało jakieś dwadzieścia stóp szerokości i było wzmocnione od tyłu kordonem głazów, co skutecznie blokowało zarówno linię wzroku, jak i ognia, natomiast przed nim od strony doliny teren lekko się obniżał, przez co trudno było zaatakować inaczej niż frontalnie i pod górę, a ta taktyka, jak już się przekonano, była obarczona ryzykiem śmiertelnego błędu. Na obrzeżach rosły kępy krzaków dające chłopcom dodatkową osłonę.

– Jakież sugestie, kapralu Ross? – Urquhart klepnął oficerskiego browninga przy pasie.

Kapral possał mały palec, jakby chciał usunąć z niego drzazgę.

– Moglibyśmy od razu się poddać, tak by było najszybciej. Albo wysadzić gówniarzy w powietrze, jeśli tego właśnie pan chce, panie podporuczniku. Jeden granat powinien wystarczyć.

– Musimy ich mieć żywych. Dowiedzieć się, dokąd szli z tą bronią.

– To smarkacze. Do śniadania tak zgłodnieją, że wyjdą, machając białą flagą i widelcem.

– Teraz, musimy ich mieć teraz, kapralu. Rano będzie już za późno.

Obaj rozumieli, z czego wynikał pośpiech. Zaopatrzenie dostarczano oddziałom EOKA w określonych porach: ponad sześć godzin spóźnienia i kryjówkę ewakuowano. Musieli iść na skróty. Dlatego wczesne pochwylenie kurierów było kluczową kwestią, a w technikach przesłuchań czasem brakowało cierpliwości.

– W życiu, Ross, liczy się wycucie czasu.

– W śmierci i w ogóle – odparł Ross, wskazując MacPhersona.

– O co wam, do cholery, chodzi, kapralu?

– Szczerze mówiąc, panie Urquhart, nie bardzo mam ochotę zabijać takie kajtki. – MacPherson miał syna niewiele młodszego od ukrywających się wśród skał chłopców. – Zrobię to, jeśli będę musiał. Jeśli mi pan rozkaże. Ale nijak mnie to nie cieszy. Medal może pan zatrzymać dla siebie.

– Będę pamiętał, żeby zawrzeć tę waszą małą homilię w liście do rodziców MacPhersona. Jestem pewien, że będą wzruszeni.

Słońce o barwie mandarynki gnało po niebie, zalewając scenę zwodniczo ciepłym blaskiem. Zwłoka oznaczała zapadnięcie ciemności i porażkę Urquharta, a on był młody i nie tolerował niepowodzeń ani u siebie, ani u innych. Zdjął stena z ramienia jednego ze swoich ludzi i mocno zapierając się nogami w leśnym poszyciu, zasypał gradem kul amfiteatr głazów zamykający skalną misę od tyłu. Po pierwszym magazynku wystrzelał drugi. Z pomarańczowożółtych skał sypał się pył i iskry. Hałas był potworny.

– Wy tam, chłopcy – krzyknął. – Nie uda wam się uciec. Wychodźcie, obiecuję, że nikomu nie stanie się krzywda.

Odpowiedziała mu cisza. Rozkazał dwóm innym członkom sekcji opróżnić magazynki, strzelając do skał, i nagle rozległ się młodzieńczy krzyk bólu. Któraś z kul odbiła się rykoszetem i drasnęła jednego z chłopców. Żadnych szkód, tylko zaskoczenie i ból.

– Mówicie po angielsku? Wychodźcie, i to już, zanim ktoś oberwie. Cisza.

– Niech ich diabli! Chcą zginąć czy co?

Urquhart z frustracją uderzył dłońmi o siebie. Ale Ross go nie słuchał, klęczał na ziemi i majstrował przy granacie Millsa.

- Co na litość...? - zapytał Urquhart, lecz nie potrafił się powstrzymać przed odruchowym cofnięciem się o krok.

Kapral zgiął zawleczkę tak, że nie mogła wypaść, a następnie w pełnym skupieniu zaczął odkręcać wierzch granatu, jako klucza używając kolby stena. Wyjął z matowej metalowej obudowy środek razem z detonatorem. Sproszkowany materiał wybuchowy wysypał się z łatwością na kupkę na skale koło jego buta. Ross złożył z powrotem nieszkodliwą bombę i podał ją Urquhartowi.

- Jeśli to nie wykurzy tych królików z nory, to nic nie poskutkuje.

Urquhart kiwnął ze zrozumieniem głową.

- To wasza ostatnia szansa - krzyknął w kierunku skał. - Wychodźcie albo użyjemy granatów.

- Eleftheria i thanatos! - padła odpowiedź.

- Okrzyk bojowy EOKA. „Wolność albo śmierć!” - wyjaśnił Ross.

- Przecież to tylko dzieci! - jęknął z rozpaczą Urquhart.

- Odważne gnojki.

Urquhart ze złością wyszarpnął zawleczkę, pozwalając, by odgłos wyskakującej na sprężynie iglicy odbił się echem wśród skał. Po czym wrzucił granat do misy.

Niecałe dwie sekundy później granat wyleciał z powrotem. Urquhart zareagował odruchowo, instynkt samozachowawczy pokonał wszystko inne. Rzucił się na ziemię, chowając głowę między sosnowe igły i szyszki, usiłując liczyć sekundy. Rozległ się stłumiony trzask detonatora, ale nic więcej. Żadnego wybuchu, żadnego porozdzieranego metalu ani porozrywanego ciała. W końcu podniósł wzrok i zobaczył górującą nad nim sylwetkę Rossa, rysującą się groźnie na tle wieczornego nieba.

- Pomogę panu wstać. Sir. - Każda sylaba ociekała drwiną.

Urquhart odtrzącił podaną mu dłoń i podniósł się, pieczołowicie otrzepując swój mundur khaki, aby ukryć poczucie upokorzenia. Wiedział, że każdy Szkot w sekcji już z niego kpi, a do rana będzie o tym mówić całe kasyno oficerskie. Ross wziął swój odwet.

W Urquharcie wezbrała wściekłość. Nie ślepa furia, która zaciemnia obraz sytuacji, tylko płonący gniew, którego światło dawało przerażającą jasność.

– Przynieść z samochodu dwa kanistry benzyny – polecił.

Jeden z żołnierzy pognął do auta.

– Co pan zamierza zrobić, panie Urquhart? – zapytał Ross, a triumf zniknął z jego głosu.

– Potrzebne nam są informacje albo przykład. Ci terroryści mogą dać nam jedno lub drugie.

Zmiana w statusie chłopców nie uszła uwadze Rossa.

– Przykład? Czego?

Urquhart podchwycił spojrzenie kaprała: zobaczył w nim strach. Odzyskał przewagę. A potem przyniesiono kanistry.

– Kapralu, niech ich pan zajdzie od tyłu. Pod osłoną tamtych skał. Następnie niech pan wyleje benzynę do ich kryjówki.

– I co dalej?

– To już będzie zależało od nich.

– To tylko dzieciaki...

– Niech pan to powie MacPhersonowi. To wojna, nie herbatka u cioci. Mogą wyjść w jednym kawałku albo z przypalonymi piórami w ogonie. Ich wybór.

– Nie chce pan ich chyba wypłoszyć ogniem.

– Dam im znacznie większe szanse, niż dałaby EOKA. – Byli świadomi krwawej prawdy zawartej w tym zdaniu, obaj widzieli

zwęglone zwłoki, z rękami wyciągniętymi w agonii jak szpony, ojców i synów wywlekanych z kościoła albo ze zrozpaczonych objęć rodziny, spalonych, zmasakrowanych. Żeby dać przykład. – Wieści się rozejdą, posłużą za ostrzeżenie. Ułatwią nam sprawę następnym razem.

– Ale, sir...

Urquhart przerwał mu, wręczając kanister.

– Będziemy was osłaniać ogniem.

Ross cofnął się o krok, kręcąc głową.

– Nie podpalę ich. Nie będę tak walczyć. Z dziećmi.

Wśród pozostałych członków sekcji dało się słyszeć pomruki poparcia. Ross był kompetentny, doświadczony, niektórzy z nich zawdzięczali mu życie.

– Kapralu, wydaję wam rozkaz. Nieposłuchanie go grozi sądem wojskowym.

– Sam mam synów.

– I jeśli nie wykonacie moich rozkazów, dopilnuję, żebyście poszli siedzieć na tak długo, że zanim następnym razem ich zobaczycie, będą już dorośli.

Na twarzy Rossa odbił się ból, ale kapral nadal nie chciał wziąć kanistra.

– Wolę to, niż nigdy już nie móc spojrzeć moim chłopcom w oczy.

– To nie ja wydaję wam ten rozkaz, Ross, tylko wasz kraj.

– W takim razie niech pan sam to zrobi. Jeśli da pan radę.

Rękawica została rzucona. Urquhart popatrzył po twarzach pozostałych, w sumie pięciu ludzi, zobaczył, że trzymają stronę Rossa. Wiedział, że nie może oddać pod sąd wojskowy całej sekcji, zrobiłby z siebie pośmiewisko. Ross miał rację. Jeśli ktoś miał to zrobić, to on sam.

– Dajcie mi osłonę ogniową, kiedy będę za nimi. – Popatrzył na kaprała. – Nie, nie wy, Ross. Wy jesteście aresztowani.

I ruszył. Nisko schylony przedarł się prędko za drzewami, niosąc kanister w każdej ręce, aż znalazł się dobry kawałek za kryjówką chłopców. Dał znak, a wtedy jeden, potem zaś drugi z żołnierzy otworzył ogień i wśród skał rozległa się kanonada. Szybko i jak najciszej Urquhart przysunął się do jednego z wyższych gładów, prawie wysokości człowieka, bezpośrednio za miejscem, w którym ukrywali się chłopcy. Odkręcił jeden kanister, wyciągnął rękę i wylał całe cztery i pół galonu śmierdzącego paliwa na skalną ścianę, tak że spłynęło do misy. Od razu poprawił następnymi czterema i pół galonami. Po czym się wycofał.

– Macie trzydzieści sekund na wyjście, zanim podpalimy benzynę!

Na twarzach przycupniętych w kryjówce Jorgosa i Eurypidesa odmalowało się przerażenie. Kiedy tylko usiłowali odczołgać się od zalewającego ich paliwa, od razu byli zmuszeni kryć się z powrotem przed gradem odbijających się rykoszetem kul. Co gorsza, oblane benzyną ścianki skalnej misy zrobiły się śliskie, a ich podbite gwoździami buty nie znajdowały oparcia na gładkim kamieniu. W rezultacie, jak można się było spodziewać w tak ograniczonej przestrzeni, ubrania przesiąkły im cuchnącym paliwem. Zaczęło im się zbierać na wymioty.

– Piętnaście sekund!

– Nie zrobią tego, braciszku – Jorgos usiłował przekonać samego siebie. – Ale jeśli zrobią, wyskakuj pierwszy.

– Nie możemy nic powiedzieć. Cokolwiek się stanie, nie możemy sypać. – Eurypides zaczął się krztusić.

– Pięć!

Minęło więcej niż pięć sekund. Zdecydowanie więcej. Blef Urquharta nie wypalił. Nie było odwrotu. Miał szmatę zamoczoną w benzynie. Obwiązał ją teraz wokół kamienia, tak że nasączone paliwem końce zwisały luźno. Wyjął zapalniczkę, pstryknął i przyłożył do tkaniny.

Od tego momentu wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. Szmata strzeliła płomieniem, który omal nie ogarnął ręki Urquharta, przypalając mu włoski na przedramieniu. Musiał od razu ją rzucić. Wykonała wysoki łuk ponad skałami, znacząc niebo smugą dymu, zanim spadła na ziemię. Ross krzyknął. Coś trzasnęło. Gorące opary zatańczyły nad kryjówką, tworząc jakby piekielny komin. Po chwili dobiegł ich wrzask, przerażony, rozdzierający, chłopięcy krzyk protestu. Nad misą pokazały się dwie głowy, a potem górne części dwóch młodych ciał, wdrapujących się po zboczu. Jednak na oczach żołnierzy mniejsza z postaci jakby straciła równowagę, poślizgnęła się, potknęła i znikła. Starszy z chłopców zamarł, obejrzał się na szalejące w dole płomienie, wykrzyczał imię brata i skoczył za nim.

Nie wiadomo, co dokładnie działo się w skalnej misie, ale słychać było dwa wrzeszczące głosy, złączone w chórze przedłużającego się cierpienia i śmierci.

– Ty żałosny skurwielu – zaszlochał Ross. – Nie będę patrzył, jak palą się żywcem. – I już rzucony przez niego granat poszybował w kierunku morza ognia.

Eksplozja zdusiła płomienie. Oraz krzyki.

W ciszy, która zapadła, Urquhart uświadomił sobie, że trzęsą mu się ręce. Po raz pierwszy kogoś zabił – w interesie narodowym, z całym majestatem dobra publicznego, lecz wiedział, że w oczach wielu nie będzie to żadnym usprawiedliwieniem. Nie było tu nic do zyskania.

Ross stał przed nim, z trudem panując nad sobą, z dłońmi zaciśniętymi w pięści, które mogły w każdej chwili uderzyć. Pozostali tłoczyli się wokół, posępni, pełni odrazy.

– Kapralu Ross, nie chciałem tego, co się stało – zaczął powoli Urquhart – ale sami do tego doprowadzili. Wojna wymaga ofiar, lepiej, że padło na terrorystów niż na więcej naszych, takich jak MacPherson. Nie chcę też waszej zguby ani żebyście poszli siedzieć po wyroku sądu wojskowego. Macie za sobą długą służbę, z której możecie być dumni. – Słowa płynęły już swobodniej, ręce przestały mu się trząść, a jego ludzie słuchali. – Myślę, że w interesie wszystkich będzie zapomnieć o tym incydencie. Nie chcemy więcej męczenników EOKA. A ja nie chcę, żeby wasze niezdyscyplinowanie przysporzyło roboty żandarmerii polowej. – Odchrząknął, skrępowany. – Mój raport sytuacyjny odzwierciedli fakt, że spotkaliśmy dwóch niezidentyfikowanych i silnie uzbrojonych terrorystów. Zostali zabici w potyczce, która wywiązała się po śmierci szeregowego MacPhersona. Zakopimy ciała w lesie, w tajemnicy, nie zostawimy śladów. Pozbawimy miejscowych pretekstu do odwetu. Chyba że chcecie, abym złożył pełniejszy raport, kapralu Ross?

Ross, duży, ociążały żołnierz i troskliwy ojciec, zdawał sobie sprawę, że pełny raport może zaszkodzić Urquhartowi, ale jego samego z całą pewnością zniszczy. Tak to już było w armii: im niżej w hierarchii, tym większy ból. Dla Urquharta wojsko oznaczało tylko dwa lata obowiązkowej służby, dla Rossa było całym życiem. Chciał krzyczeć, protestować, że to, co się stało, było barbarzyństwem, lecz zamiast tego opuścił barki i zwiesił głowę w geście kapitulacji.

Kiedy żołnierze zaczęli szukać miejsca na pochówek w cienkiej leśnej glebie, Urquhart poszedł zbadać skalną misę. Poczul

wdzięczność, widząc, że ciemna skóra twarzy chłopców została zaskakująco mało uszkodzona, ale słodko-kwaśny odór spalenizny i oparów benzyny sprawił, że rozpaczliwie chciało mu się rzygać. Nie mieli w kieszeniach niczego wartościowego z wojskowego punktu widzenia, lecz na szyi każdego z nich na cienkim łańcuszku wisiał krzyżyk z wygrawerowanym imieniem. Zerwał je; nikt nigdy nie powinien odkryć tożsamości tej dwójki.

Zapał już zmierzch, kiedy zaczęli zjeżdżać z góry z ciałem MacPhersona przypiętym z tyłu pasami. Urquhart odwrócił się, żeby ostatni raz spojrzeć na pole bitwy. Nagle w gęstniejących ciemnościach dostrzegł światło. Uchował się jakiś rozżarzony węgielek, który rozdmuchała wieczorna bryza, i ogień z powrotem ożył. Młoda sosenka rosnąca pośrodku skalnej misy stanęła w płomieniach, oświetlając to miejsce jak latarnia morska, widoczna z odległości wielu mil.

Nigdy więcej nie mówił o tym incydencie, ale później, w chwilach, kiedy przeżywał kryzys lub musiał podjąć poważne decyzje, zawsze gdy zamykał oczy, a czasami we śnie, wracał do niego ten obraz i wspomnienie tego dnia, po części koszmar, po części inspiracja. To wtedy narodził się Francis Urquhart.

Rozdział 1

Wolę psy od ludzi. Psy łatwiej wytresować.

Harry Grime uchylił drzwi budki inspicjenta i wyjrzał na widownię.
– No i nie przyszedł – burknął.

Harry, ceniony garderobiany w Royal Shakespeare Company, nie lubił Francisa Urquharta. Właściwie to gościa nie znosił. Harry pochodził z Yorkshire, był szczerym do bólu, nieco zaniedbanym, zniewieściałym gejem, który dzielił wszechświat na swoich i nie swoich. A Urquhart, nieskomplikowanym i nieskromnym zdaniem Harry'ego, należał do tych drugich.

– Niech mi dupa odpadnie, jeśli ten bydlak wróci na stanowisko – ogłosił przed całym zespołem w ostatni wieczór wyborczy. Jednak Urquhart wygrał i Harry był niepokieszony.

Trzy lata temu Harry zmienił kolor włosów z żywego odcienia kasztanu na przedwcześnie poblakłą pomarańczę i porzucił obcisłą skórzaną garderobę na rzecz ubrań, w których mógł oddychać i w których brzuch bardziej naturalnie mu opadał, ale w swoich opiniach politycznych pozostał niewzruszony. Cekał teraz na przybycie premiera niczym rosyjski żołnierz okopujący się przed bitwą pod

Stalingradem. Już sam fakt, że Urquhart miał się pojawić, sprawiał, iż czuł się zbrukany.

– Spadaj, Harry, nie płacz mi się pod nogami – warknął inspicjent ze swojego miejsca przy pajęczynie kabli łączących monitory i mikrofony, za pomocą których miał kontrolować spektakl. – Idź sprawdzić, czy wszyscy mają dobry rozmiar szczerki albo coś.

Harry się zjeżył i już miał się odgryźć, ale w końcu machnął ręką. Do wejścia pierwszych aktorów na scenę zostało mniej niż pół godziny, personel techniczny zajął już stanowiska za kulisami i zaraz miała wybuchnąć wojna o zaginione rekwizyty i urwane guziki. Nikogo nie trzeba było dodatkowo denerwować, nie dzisiaj. Harry wycofał się po cichu, żeby ponownie sprawdzić peruki przygotowane na zapleczu sceny.

Wystawiali Juliusza Cezara, a widownia Swan Theatre już zaczynała się zapełniać, chociaż wolniej niż zwykle. Wykończony sosnowym drewnem Swan, który stoi obok głównego teatru Royal Shakespeare Company w Stratford-upon-Avon i został zbudowany na planie półkola, z galeriami dla publiczności, w hołdzie dla stylu elżbietańskiego, ma kameralną, swobodną atmosferę, a widownia może pomieścić maksymalnie czterysta trzydzieści dwie osoby. Wrażenia artystyczne zapewnia wspaniałe, ale z punktu widzenia ochrony premiera stanowi prawdziwy koszmar. A co jeśli jakiś widz, który szczerze uwielbiał Szekspira, ale jeszcze bardziej potępił Francisa Urquharta, bardziej nawet niż Harry Grimes, wykorzystałby okazję, żeby... Żeby co? Nikt nie był pewny. Publiczność barda ze Stratfordu nie jest znana z tego, że podróżuje z ukrytą w kieszeni czy torebce bronią – fani Ibsena może i owszem, ewentualnie Czechowa, ale przecież nie Szekspira? Nikt jednak nie chciał wziąć na siebie

odpowiedzialności, gdy obecność zapowiedziała większość gabinetu, kilku podsekretarzy stanu, różni redaktorzy naczelni z żonami oraz przedstawiciele rozmaitych innych władz w królestwie, którzy zebrali się, by uczestniczyć w obchodach trzydziestej drugiej rocznicy ślubu Francisa i Mortimy Urquhartów.

Organizatorem tego spędu był Geoffrey Booza-Pitt: minister transportu, najmłodszy członek gabinetu Urquharta i człowiek mający wyjątkowego nosa do wyszukiwania okazji. A także rozrywek w najróżniejszych formach. A cóż lepiej mogłoby rozerwać znudzonego ministerialną rutyną niż zarezerwowanie stu biletów, by uhonorować rocznicę pana i władcy, oraz zaproszenie najbardziej wpływowych ludzi w kraju, aby publicznie złożyli mu hołd? Dwa tysiące funtów wydane na bilety zwracało się ze stukrotnym przebicciem w formie szumu wokół własnej osoby i przysług do odebrania w całym Westminsterze, z Downing Street włącznie. Właśnie tak to Geoffrey przedstawił Matasuyo, gigantowi samochodowemu i sponsorowi Royal Shakespeare Company, który po cichu zgodził się za wszystko zapłacić. Geoffreya nie kosztowało to ani grosza. Zresztą nie miał zamiaru się tym chwalić.

Przyszli spóźnieni, a wejście mieli niemal królewskie. Co jak co, ale to na pewno potrafili po jedenastu latach spędzonych na Downing Street. Mortima, zawsze dbająca o prezencję, przeszła samą siebie, pojawiając się w wieczorowej sukni z czarnego aksamitu z wysokim kołnierzem oraz naszyjnikiem z diamentów i szmaragdów, w których odbijały się teatralne światła, olśniewając wszystkie kobiety wokół. Zajęczały drewniane podłogi i galerie, kiedy widzowie pochylili się i wyciągnęli szyje, by ich dostrzec, a w grupce amerykańskich turystów zerwała się fala oklasków, która przetoczyła się miarowo, choć

z pewnym oporem, przez widownię, ku ewidentnemu zażenowaniu wielu zgromadzonych.

– Le roi est arrivé.

– To nie fair, Bryan – zbeształ wypowiadającego te słowa jeden z dwójki jego towarzyszy, przyglądających się całej scenie z punktu obserwacyjnego na pierwszej galerii, powyżej i na prawo od miejsc, które właśnie zajmowali Urquhartowie.

– Fair? Czy mówimy o tym samym Francisie Urquharcie, Tom? Człowieku, który wyniósł faul taktyczny do rangi sztuki, czegoś w rodzaju muzyki symfonicznej?

Thomas Makepeace uśmiechnął się tylko z wyrzutem. Wiedział, że Brynford-Jones, naczelny „Timesa”, ma rację. Nie miał też wątpliwości, iż Brynford-Jones wie, że on wie. Nieoficjalne, anonimowe kontakty dziennikarza z politykiem. Były jednak pewne granice tego, co minister spraw zagranicznych może powiedzieć w miejscu publicznym o swoim premierze. Poza tym Urquhart był jego przyjacielem, który za tę przyjaźń zapłacił kolejnymi, coraz wyższymi awansami.

– Mimo wszystko trzeba podziwiać jego pracę nóg, to prawdziwy zawodowiec – ciągnął Brynford-Jones, po czym pomachał i posłał uśmiech w kierunku Urquhartów, którzy odwracali się, żeby skinieniem głowy przywitać się z siedzącymi wokół nich. – Nie ma na tej sali człowieka nienoszącego gdzieś na ciele śladów piłkarskich korków twojego premiera. Stary dobry F.U.

– W życiu chyba chodzi o coś więcej niż dostarczanie ci materiału na artykuły, Bryan. – Trzeci mężczyzna, siedzący z drugiej strony Makepeace’a, włączył się do rozmowy. Quentin Digby był lobbystą, i to dobrym. Zajmował się nie tylko zawodową polityką, ale także bez rozgłosu działał jako ktoś w rodzaju aktywisty, reprezentując wiele

organizacji dobroczynnych i podnosząc kwestie ochrony środowiska. Makepeace nie znał go za dobrze, ale raczej lubił.

– Tak się zastanawiałem, który z nas trzech będzie dziś odgrywał rolę moralizatorskiej ropuchy – zakpił minister.

Światła na widowni przygasły, a na deski wszedł dyrektor generalny firmy Matasuyo, aby zaprezentować się publiczności i wygłosić powitalne przemówienie. W odblasku oświetlającego scenę reflektora twarze Makepeace'a i jego towarzyszy wyglądały mrocznie, konspiracyjnie, upodabniając ich do wiedźm pochylających się nad kotłem.

– Serio, Tom – ciągnął Brynford-Jones, koniecznie chcąc wykorzystać obecność ministra – powinien był odejść przy swojej dziesiątej rocznicy. Dziesięć cholernych lat na świeczniku każdemu wystarczy, nie?

Makepeace nie skomentował, udając, że koncentruje się na przemówieniu japońskiego dyrektora, który usiłował dowieść istnienia jakiegoś duchowego związku między kulturą a częściami samochodowymi.

– Chce ustanowić rekord. Przebić Thatcher – podsunął Digby. – Nie miałbym nic przeciwko, ale właściwie po co mu to? Co próbuje osiągnąć? Połowa śmietników w kraju jest wypchana papierem pakunkowym od Harrodsa, na którego wywożenie nie stać lokalnych samorządów, a druga połowa żebrze o jedzenie.

– Wy lobbyści zawsze przesadzacie, to wam psuje argumentację – wytknął Makepeace.

– Zabawne, myślałem, że to przywilej polityków – odparował naczelnny.

Makepeace zaczynał się czuć osaczony. To uczucie często mu towarzyszyło w ostatnich miesiącach, kiedy siedział koło redaktorów naczelnych albo stał przed swoimi wyborcami, udając entuzjazm, podczas gdy w głębi duszy pozostało mu tylko znużenie i rozczarowanie. Coś się wypaliło. Ktoś się wypalił. Francis Urquhart. A Makepeace miałby wiele do powiedzenia, ale niewiele było mu wolno.

– Dobrze mu szło, Tom, kraj jest mu wdzięczny i tak dalej, ale naprawdę pora na trochę świeżej krwi.

– Jego krwi.

– Nowy start dla rządu.

– Dla ciebie, Tom.

– Wszyscy wiemy, co jest ci drogie, jakich spraw bronisz.

– Chcielibyśmy pomóc.

– Wiesz, że ten kraj nie jest już tym, czym był kiedyś. Albo czym mógłby być. Ma zbyt wielkie serce, żeby być tak długo zobowiązanym wobec jednego człowieka.

– Do diabła, nawet nielegalni imigranci wyjeżdżają.

– Ster powinien być twój, Tom. Makepeace nie gorszy od Urquharta.

Chwila wytchnienia. Przedstawiciel Matasuyo już usiadł i lada moment miał się zacząć spektakl. Makepeace przyjął to z wdzięcznością. Kręciło mu się w głowie. Chciał zakwestionować ich stwierdzenia, zagrać lojalnego psa, ale nie potrafił znaleźć słów. Może mieli rację co do Urquharta. Bez wątpienia nie mylili się co do niego, Makepeace'a. Wiedzieli, że chce władzy na tyle, iż czasami zasychało mu w ustach jak zabląkanemu na pustyni człowiekowi, który dostrzega oazę, po czym odkrywa, że to miraż. Władza. Ale nie dla

niej samej, nie po to, by trafić do podręczników historii, jak tego chciał Urquhart, lecz po to, by działać teraz. Dziś. By wprowadzić tak rozpaczliwie potrzebne zmiany.

Zarówno Brynford-Jones, jak i Digby byli żywo zainteresowani zmianami, jako redaktor i lobbysta, profesjonalni rewolucjoniści. Świat stojący w miejscu nie odpowiadał im tak samo jak jemu, pomyślał Makepeace. Może mogliby zostać sojusznikami, kiedyś, pewnego dnia, gdyby doszło do wojny. Kiedy jego przyjaciel Francis już zejdzie z pola bitwy. A może wszystkich razem piekło pochłonie, gdzie znajdują miejsce wśród łajdaków i drani.

Na widowni rozległ się śmiech. Na scenie po raz pierwszy pojawił się Cezar z mocną charakteryzacją, niesamowicie upodabniającą go do Francisa Urquharta. Ten sam wydłużony profil. Przenikliwe spojrzenie. Rzednące srebrne włosy. Twarz przecięta prostą kreską ust. Maską, która nie wyrażała ani rozbawienia, ani litości. Za kulisami wybuchły długie, zażarte kłótnie, kiedy zespół dowiedział się o planowanej obecności Urquharta. Harry głośno nawoływał do bojkotu i odgrażał się, że własnym ciałem zasili najróżniejsze formy pikiet i protestów, ale rekwizytor wyperswadował mu to celnym argumentem:

– Daj spokój, kochanieńki. Już od lat twoja dolna połowa nie spełnia obietnic górnej. Założę się, że od lat nawet tej dolnej połowy nie widziałeś. Wszystko musisz robić z pamięci.

Poszli więc na kompromis. W zgodzie z teatralną tradycją przedstawienie będzie trwać, z niewielkim dodatkiem ideologicznego bagażu. Harry'ego, który raz jeszcze wyjrzał zza lewej kulis, żeby sprawdzić siłę rażenia swojego protestu, czekało jednak rozczarowanie. Maskę się zsunęła. Ze swojego honorowego miejsca obok Boozy-Pitta, tuż przed sceną, Urquhart, doświadczony stary

wyga na każdej arenie publicznej, dostrzegł niebezpieczeństwo i zareagował. Nie tylko zaczął się śmiać pierwszy, ale także zadbał o to, by wszyscy o tym wiedzieli: wyjął białą jedwabną chustkę i pomachał nią energicznie do swojego protegowanego.

Spektakl toczył się dalej, a Makepeace bił się z myślami. Lojalność wiele dla niego znaczyła, sama w sobie była polityczną cnotą. Od pewnego czasu jednak źle sypiał, niepokój w umyśle i sercu pozbawiał go odpoczynku, w sny zaczęły wkradać się wątpliwości. Wiedział, że jeśli nic nie zrobi, jeśli po prostu prześliznie się ponad tymi wątpliwościami, straci też sny.

„Potędze blisko do zbrodni, gdy nie zna litości...”^[1]

Lojalność. Ale wobec czego? Nie tylko wobec jednego człowieka. Wielcy ludzie mają swoją szansę, a potem przekonują się, że ich reputacja musi spaść z podniebnych wyżyn jak liście z drzew przed jesienną burzą.

„Trzeba w nim widzieć jajo żmii: gdyby wylął się z niego gad, groziłby jadem wszystkim...”

Każdy premier, którego znał, żądał zbyt wiele i został załatwiony. Złożony w ofierze. Zrujnowany. Przez swoich kolegów.

Aż wreszcie czyn się dokonał. „I ty, Brutusie?” Wyjątkowo bezlitosne przedstawienie zamachu, a chustka Urquharta przez cały czas powiewała.

– Skubany! – warknął Grime, krzątając się na zapleczu sceny i pomagając nieżyjącemu Cezarowi przebrać się w strój ducha.

– Twoja intryga się nie udała, słonko – kpił Juliusz. – Nie widziałeś, jak się śmieje? Boki z nas zrywał.

– Nie ruszaj się, Julciu, bo ci wbiję tę szpilkę w tyłek – burknął Harry. – Co ty w ogóle wiesz o intrygach? Ostatni żaloszny scenariusz,

który wyciłeś, nie dotarł nawet do maszynistki.

– Był nieco niedorobiony – przyznał Juliusz.

– Trzymał się kupy jak koń dupczący jeża.

– Przynajmniej jestem aktorem. Ty nie potrafiłbyś zagrać nawet czaszki w Hamlecie, i to mając dobry dzień.

– Suka – nadął się Harry i zamilkł.

Na widowni zapaliły się światła, obwieszczając przerwę. Gromkie brawa odzwierciedlały uznanie publiczności dla spektaklu imponującego niezwykle świeżym ujęciem tematu: nikt już od dawna tak się nie śmiał na tragedii. Jednak na pierwszej galerii Digby wydawał się zaprzątnięty czymś innym. Makepeace zaczął drążyć.

– Przepraszam. Trochę się niepokoję o swój nowy samochód – wyjaśnił lobbysta.

– Chodzi o przebieg? O to, czy jest przyjazny dla środowiska? Ekologiczny?

– Bynajmniej. To cztery litry testosteronu ukryte pod najsmuklejszą i najbardziej bezczelnie włoską sylwetką, jaką można dostać w tym kraju bez narażenia się na aresztowanie. Ferrari. Klasyczna czerwień. Moja jedyna słabość. W dodatku zaparkowałem na zewnątrz.

– I martwi się pan, że jeszcze przed końcem tygodnia wygrzebią panu ze śmietnika cały papier pakunkowy – zadrwił Makepeace.

– Bardziej się martwię, że w tym naszym nowym wspaniałym świecie jeszcze przed końcem przedstawienia rąbną mi radio z auta. Jak pan myśli, panie ministrze?

– Opanuj się, stary – wtrącił Brynford-Jones. – Nic nie trwa wiecznie.

Naczelnny i lobbysta z przyjemnością ciągnęli te przekomarzanki, ale Makepeace odplynał myślami gdzie indziej. Patrzył w dół, na parter widowni, gdzie Urquhart, otoczony rozentuzjasmowanymi akolitami, w bliskiej asyście Geoffreya Boozy-Pitta, chował swoją chustkę.

– Wszystko gra, Tom? – zapytał Brynford-Jones.

– Tak, oczywiście. Właśnie myślałem o tym, że miałeś rację. No wiesz. Co do tego, że nic nie trwa wiecznie.



Czerwona skórzana teczka leżała otwarta na tylnym siedzeniu, papiery były nietknięte. Minister zasnął, kiedy tylko wjechali na autostradę – staruszek miał za sobą ciężką służbową kolację, a wytrzymałość już nie tę, co kiedyś. Pochrapywał z lekko uchylonymi ustami, przechylony niezgrabnie na jeden bok. Powinien był zapiąć pasy. Kierowca przez pewien czas przyglądał mu się uważnie we wstecznym lusterku, zanim uznał, że może zaryzykować. Ostrożnie, dbając o to, żeby silnik jaguara utrzymał miarowy, kojący rytm przy stałej prędkości osiemdziesięciu trzech mil na godzinę, sięgnął do pokrętła głośności w radiu. Na stadionie Upton Park właśnie miał zabrzmieć pierwszy gwizdek, a następne dziewięćdziesiąt minut zdecydować o wartości całego sezonu West Hamu. Nie chciał tego przegapić.

Zawahał się, kiedy w mżawce przed maską zamajaczyły tylne światła starego forda escorta, usiłującego udowodnić, że jest w pełni sprawny, a nie doszczętnie zarżnięty. Młody kierowca tego grata zaklął. Sparciała guma jego wycieraczek zmieniła autostradę w rozmazaną smugę, pełną niejasnych sygnałów. Wytężał wzrok, żeby rozpoznać, co dzieje się przed nim. Na to, co znajdowało się z tyłu, nie starczało mu już uwagi. Szofer ministra postanowił nie ryzykować, że pasażer

obudzi się wskutek nagłego hamowania, nie teraz, kiedy za chwilę miał się zacząć mecz. Zjechał na środkowy pas, by wyprzedzić escorta z lewej.

Niektóre wydarzenia w życiu – i śmierci – wymykają się racjonalnym wyjaśnieniom. Później mogą się zebrać uczeni ludzie o dużym doświadczeniu, biegli w kryminalistyce, i przedstawić swoje opinie, jednak aż nazbyt często służą one nie tyle za wyjaśnienie, ile za wymówkę. Czasami równie łatwo przyjąć, że są chwile, gdy los budzi się z popołudniowej drzemki i, z powiekami wciąż ciężkimi od snu, wskazuje coś kapryśnie palcem, z zamiarem wywołania chaosu. Bowiem właśnie w momencie, kiedy szofer ministra pochylał się ponownie do pokrętła w radiu, znajdując się niecałe sześć stóp za wyprzedzającym gruchotem, na lewo od niego, pękła lewa tylna opona escorta. Los. Samochód gwałtownie skręcił tuż przed ministerialną limuzyną, której szofer jedną ręką ścisnął mocno kierownicę. Jaguar uderzył w pas rozdzielczy i wykonał pełny, elegancki obrót na mokrej jezdni, po czym przeciął utwardzone pobocze i stoczył się z nasypu.

Zatrzymał się na pniu wiązu. Kiedy kierowca otrząsnął się z szoku, zobaczył, że ministerialna teczka leży w strzępach na przednim siedzeniu koło niego. Podobnie jak sam minister.

[1] Ten i pozostałe cytaty z Juliusza Cezara za: William Shakespeare, Tragedie i kroniki, tłum. Stanisław Barańczak, Kraków 2013 (przyp. tłum.).

Rozdział 2

Nie znoszę niepotrzebnych wybuchów przemocy.
Odzierają one z przyjemności tę przemoc, która
jest konieczna.

– Francis Urquhart mediatorem?

Brynford-Jones nawet nie próbował ukryć niedowierzania i wpatrywał się uważnie w Makepeace'a, żeby ocenić jego reakcję.

– Żyjemy w ekscytującym nowym świecie, Bryan. Wszystko jest możliwe.

– Zgoda. Ale Francis Urquhart?

Stali w kolejce razem z innymi gośćmi na schodach Downing Street, czekając, aż zostaną oficjalnie powitani przez Urquhartów, a następnie przedstawieni prezydentom podzielonych cypryjskich społeczności. Poprzedniego dnia na neutralnym terytorium sali balowej Lancaster House, pod okiem brytyjskiego premiera, Turek i Grek uzgodnili warunki pokoju i zobowiązali się ustalić wszystkie pozostałe szczegóły w ciągu trzech miesięcy. Konflikt został zażegnany, za chwilę miały się narodzić Skonfederowane Republiki Cypru, a w roli akuszerza wystąpił wielce szanowny pan poseł i premier Francis Urquhart, mediator.

Teraz nadeszła pora na świętowanie sukcesu. Członkowie krajowej elity zebrali się w sali recepcyjnej na pierwszym piętrze Downing Street, aby wyrazić wdzięczność za pokój i wobec Francisa Urquharta. Doświadczenie to sprowadziło ich na ziemię, a dla niektórych było niemal poniżające. Wszystkich, nieważne jak zamożnych czy sławnych, potraktowano tak samo. Żadnych samochodów, żadnych wyróżnień, żadnych wyjątków. Zostali zatrzymani przy bramie z kutego żelaza, zagrządzającej wjazd na Downing Street od strony Whitehall. Skontrolowani przez policję, zanim pozwolono im przejść wraz z żonami całą długość ulicy do strzeżonych drzwi frontowych. Zmuszeni do czekania, by oddać płaszcze do szatni w zamian za pognieciony papierowy numerik. Pięć minut w kolejce, posuwając się w górę schodów w nabożnym skupieniu, noga za nogą, krok za krokiem, mijając portrety byłych przywódców, Walpole'ów, Pittów, Palmerstonów, Disraelich, Churchillów oraz jedynej i niepowtarzalnej Margaret Thatcher.

- Za tych, których ukrzyżowaliśmy - mruknął Brynford-Jones.

Następnie oficjalna prezentacja, dokonana przez jakiegoś przyodżnianego w czerwony uniform kosmitę z innej galaktyki, który najwyraźniej nikogo nie poznawał i miał poważne problemy z wymową. „Pan Bimford-Jones” nie był zachwycony, ale w zasadzie rzadko mu się to zdarzało.

- Tak to musiało wyglądać na dworze w Wersalu - zauważył. - Tuż przed tym, jak dwukółki odjechały w kierunku gilotyn.

- Bryan, cynizm cię ponosi. Wielkie zmiany wymagają odrobiny bezwzględności. Sami przyznajmy - zaprotestował Makepeace.

- A czy ty jesteś bezwzględny, Tom? Na tyle bezwzględny, by wyszarpać staremu Francisowi koronę? Bo on ci jej nie odda

w prezencie na Gwiazdkę. Będziesz musiał ją wyrwać dla siebie, tak jak on to zrobił. Jak oni wszyscy musieli. Czy naprawdę masz w sobie to, czego trzeba?

– W polityce potrzebne jest też szczęście – odparł Makepeace, próbując uchylić się od odpowiedzi, ale nie zdradzając wyraźnej chęci zakończenia tematu ani rozmowy z naczelnym.

– Ludzie powinni być panami swojego losu.

– Wiesz, że bardzo bym chciał tę fuchę, lecz ta kwestia nie wypłynęła. Na razie.

– Nigdy nie wypływa wtedy, kiedy się spodziewasz. Chcesz osiągnąć coś wielkiego, to łapiesz los za jaja i przygotowujesz się na ostrą jazdę.

– Bryan, czasami wydaje mi się, że próbujesz mnie kusić.

– Nie, to nie ja. Ja po prostu pokazuję człowiekowi ambicję i patrzę, czy ona go kusi. Jestem tylko podglądaczem, taki to już przywilej prasy. Brudną robotę zostawiam wam, chłopaki... i dziewczyny! – wykrzyknął, łapiąc za łokieć jedną z zaproszonych kobiet, przeciskając się właśnie przez tłum.

Claire Carlsen odwróciła się i uśmiechnęła na widok znajomych twarzy. Była posłanką, trzydziestoosmioletnią, a więc o kilkanaście lat młodszą od Makepeace'a i naczelnego.

– Co takiego zrobiłaś, żeby zasłużyć sobie na miejsce w tym pełnym splendoru gronie? Myślałem, że do tego koryta nie dopuszczają nikogo poniżej rangi hrabiego albo arcybiskupa. A już na pewno nie szeregową posłankę.

– To się nazywa polityka drobnych gestów, Bryan. Najwyraźniej zawodowi moralizatorzy w średnim wieku, tacy jak ty, lubią, gdy w pobliżu kręci się trochę spódniczek, żeby im przypominały

o utraconej młodości. No wiesz, odrobinę się poślinią i pójdą do domu szczęśliwi. Taki jest plan. – Uśmiech miała ciepły, ale ciemnoniebieskie oczy patrzyły badawczo. Była wysoka, prawie dorównywała wzrostem korpulentnemu naczelnemu, który z upodobaniem złowił odbłask wieczornej poświaty w jej blond włosach.

Brynford-Jones roześmiał się głośno.

– Spóźniłaś się na moją spowiedź. Już się przyznałem do bycia podglądaczem, a w twoim przypadku biorę na siebie tę winę z przyjemnością. Jeśli kiedyś ten twój mąż wyrzuci cię z domu, nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś wpadła i przyrządziła mi wieczorne kakao.

– Jeśli kiedyś wyrzuciłabym tego mojego męża z domu – poprawiła – to miałabym wieczorami nadzieję na coś więcej niż przyrządzanie kakao. No, co tu we dwóch knujecie? Zamówienie striptizerek dla synodu, czy coś frywolnego?

– Właśnie pytałem, czy ten oto nasz przyjaciel ma to, czego trzeba, aby odnieść sukces w polityce: takie cechy jak energia i ambicja, niezbędne, by zostać następnym premierem. Postawiłabyś na niego pieniądze, Claire?

Uniosła brew – miała bardzo żywą mimikę, a kiedy była odprężona, jej twarz przybierała odświeżająco szelmowski wyraz. Zachęcona przez Brynforda-Jonesa, przyjrzała się Makepeace'owi, jakby widziała go po raz pierwszy, marszcząc sceptycznie nos. Już się wydawało, że doszła do jakichś wniosków, gdy z rozmysłem skierowała ich uwagę w zupełnie inną stronę.

– Gdyby wystarczyły energia i ambicja, to nasz następny przywódca stoi tam, przy oknie.

– Chyba nie nasz Geoff? Wolałbym emigrować – zaśmiał się naczelny z lekceważeniem, chociaż bez niedowierzania.

Podążyli wzrokiem za jej spojrzeniem. Przy wielkim georgiańskim oknie wykuszowym, wychodzącym na ogród, minister transportu przyparł prezesa Banku Anglii do eleganckiej kotary.

– Mechanika precyzyjna – ciągnęła Claire. – Załatwia to tak sprawnie, że prezes nawet się nie zorientuje, kiedy zostanie odsunięty na bok, aby zrobić miejsce dla następnego nazwiska na liście.

– Nasz Geoff ma listę? – zapytał naczelny.

– No pewnie. Wydrukowaną na kartce, którą trzyma w górnej kieszeni marynarki. Wie, że spędzi tu godzinę, więc prosi wcześniej o listę zaproszonych, decyduje, na ilu osobach chce zrobić wrażenie, a ilu palnąć kazanie, a potem dzieli swój czas. Po sześć minut na każdego. Z zegarmistrzowską precyzją.

Przyglądali się w milczeniu, jak Booza-Pitt, nie przerywając potoku słów dla zaczerpnięcia tchu ani nie spoglądając na zegarek, podaje prezesowi rękę i się żegna. Następnie ruszył przez salę, rozdając uściski dłoni i pozdrawiając mijanych gości, ale przy nikim się nie zatrzymał.

– Wygląda na to, że na zakończenie programu zostawił sobie czyjaś znudzoną żonę – podjęła Claire. – Robi tak regularnie, zwłaszcza odkąd z własną żoną jest w separacji.

– Drugą żonę – uściślił Makepeace.

– Fascynujące. Facet rośnie w moich oczach – przyznał Brynford-Jones. – Co jednak, jestem zmuszony przyznać, wciąż nie plasuje go wysoko. Ale skąd masz te wszystkie smakowite i groźne informacje?

Przygryzła wargi.

– Wiesz, jak my dziewczyny lubimy plotkować. I chyba nie sądzisz, że sam sobie pisze tę listę na komputerze?

Naczelnny wiedział, że Claire kpi nie tylko z Boozy-Pitta. Zauważył, jak trzeźwe pozostały jej niebieskie oczy przez całą rozmowę, jak badawczo patrzyły, oceniały. Niewiele umykało jej uwadze. Podejrzewał, że znacznie częściej to ona wykorzystywała mężczyzn, niż była przez nich wykorzystywana. Nosila kosztownie dyskretne ubrania od najmodniejszych projektantów z Knightsbridge, emanowała nienachalnym, lecz widocznym erotyzmem, a jego pożądanie rosło z minuty na minutę. Przypuszczał jednak, że nie jest to kobieta, której można by stanąć na drodze ani która dałaby się złapać na jedno z jego zwyczajowych zagrań spod znaku „może chciałabyś porozmawiać przy kolacji o artykule na swój temat”. Błędem byłoby pomijać jej wnętrze, skupiając się tylko na opakowaniu.

– Chyba powinienem częściej z tobą rozmawiać, Claire – stwierdził.

– Chyba powinienes.

– Nie jesteś przypadkiem parlamentarną bliźniaczką Boozy? – ciągnął. – Gdzieś o tym czytałem. Oboje weszliście razem do Izby Gmin, jakieś... siedem lat temu? Jesteście w tym samym wieku. Oboje zamożni, ulubieńcy kongresu partii. Obojgu przepowiadano, że zajdą wysoko.

– Gdybym tylko miała jego talent.

– Minister spraw zagranicznych w rządzie Makepeace'a, jak myślisz? – Odwrócił się do swojego pierwszego rozmówcy.

Makepeace nie odpowiedział od razu, jakby chciał podkreślić wagę swoich słów długim namysłem.

– Nigdy w życiu – odparł cicho. – Facet nie rozpoznałby politycznych zasad ani oryginalnego pomysłu, nawet gdyby podano

mu je z ostrygami en croûte.

– No, nareszcie! Wyłom w twojej słynnej ministerialnej lojalności, Tom. Jest jeszcze dla ciebie nadzieja – ucieszył się naczelny, zachwycony, że odkrył obiekt tak oczywistej antypatii Makepeace'a. Odwrócił się do Claire. – Czuję, że szykuje się wstępniak. Choć prawdę mówiąc, moja droga, trochę się niepokoję tym jego gadaniem o zasadach i oryginalnych pomysłach. Ambitnemu człowiekowi to nie służy. Będziemy musieli nad nim popracować.

Roześmiała się, szczerze, ciepło, błyskając białymi zębami.

– Wiesz, Bryan, chyba masz rację.

Rozdział 3

Wielcy ludzie zazwyczaj są złymi ludźmi.
Ja zamierzam być bardzo wielkim człowiekiem.

Teren cywilny, baza wojskowa Dhekelia, suwerenne terytorium brytyjskie na Cyprze

– Witaj, mój grecki przyjacielu, w skromnym warsztacie stolarza. Jakimiż to darami Allaha może podzielić się z tobą jego sługa?

– Owcami. Siedem sztuk. W piątek za tydzień. I niech się nie składają z samego tłuszczu i ścięgien, tak jak twoja żona.

– Siedem? – zastanowił się Turek. – Po jednej na każdy dzień tygodnia, masz apetyt, Glafkos. Dla ciebie postaram się znaleźć najpiękniejsze owce na całym tureckim Cyprze.

– Wielkanoc idzie, ty skurczysynu Saladyna – splunął Glafkos Hydraulik. – I córkę za mąż wydaję. Wielka feta.

– Tysiąckrotne błogosławieństwa dla córki Glafkosa.

Na Greku, niewysokim, przygarbionym mężczyźnie z miną, jakby przeżuwał duszone liście winorośli, nie zrobiło to wrażenia.

– Udław się swoimi błogosławieństwami, Uluç. Dlaczego w zesłotygodniowej dostawie brakowało pięciu koszulek?

Turek, stolarz, odłożył hebel, którym naprawiał zepsute drzwi, i wytarł ręce o fartuch, opinający się na jego wystającym brzuchu. Sportowe koszulki ze zręcznie podrobionymi logo Lacoste i Adidasa produkował w tureckim sektorze kuzyn jego matki, który ewidentnie kantował ich obu. Ale Grek zgarniał ogromną marżę od przemyconych podróbek, które sprzedawał za pośrednictwem jednego z licznych sklepów z odzieżą sportową w miasteczku Pila, należącego do jego siostrzeńca. Stać go było na niewielkie obcięcie zysków. Poza tym Uluç nie chciał się przyznać przed cholernym Grekiem, że ktoś z własnej rodziny go oszukuje.

– Kurczenie się materiału – wykrzyknął wreszcie po dość długim namyśle.

– Chcesz powiedzieć, że znów przeciągasz kołdrę w swoją stronę.

– Ależ mój drogi grecki przyjacielu, według naszych przywódców wkrótce mamy być braćmi. Jedną rodziną. – Zacisnął wielkie łapsko na heblu i z nonszalancją wrócił do obrabiania drzwi. – Kto wie, może twoja córka jeszcze będzie dzielić łóżę z Turkiem.

– Prędzej naprawię cieknące rury w piekle. Gołymi rękami.

Turek zaśmiał się, demonstrując czarne zęby i zamiłowanie do szorstkiego humoru. Toczyli z Grekiem nieustanne boje w brytyjskiej bazie, gdzie obaj pracowali, a także na różnych nielegalnych przejściach przez zmilitaryzowaną strefę buforową, oddzielającą grecką i turecką część wyspy. Mogli razem zajmować się przemytem, razem przetrwać, a nawet prosperować, ale to nie znaczyło, że muszą się lubić, bez względu na to, co zarządzili ci durnie politycy.

– Masz, Greku. Prezent dla żony. – Sięgnął do szuflady i wyjął z niej buteleczkę z napisem „Chanel”. – Niech napelni twoje noce szczęściem.

Glałkos zdjął zakrętkę i powąchał zawartość flakonu, wylewając odrobinę na otwartą dłoń.

– Śmierdzi jak szczyny wielbłąda.

– To bardzo autentyczny wielbłąd Chanel. I bardzo, bardzo tanio – odparł Uluç, wznosząc oczy ku niebu.

Greł wytarł dłoń o koszulę, usiłując pozbyć się zapachu, po czym przyjrzał się uważnie buteleczce.

– Wezmę sześć tuzinów. Na próbę. I bez „kurczenia się materiału”.

Turek kiwnął głową.

– Ani wyparowywania.

Uluç ponownie zaniósł się donośnym rechotem, jednak wesołość przeszła mu równie szybko, jak go ogarnęła, a czoło mu się zachmurzyło. Zaczął metodycznie gładzić wąsy koniuszkiem pokrytego odciskami palca, po trzy razy z każdej strony, jakby chciał zlikwidować w ten sposób pewien nieład, który wkradł się w jego życie.

– Zaleciało ci zapachami z kuchni twojej żony? – rzucił Glałkos Hydraulik.

Uluç Stolarz zignorował obelgę.

– Nie, przyjacielu, ale jedna rzecz mnie martwi. Jeśli wszyscy mamy się kochać, Turcy i Grecy, chwytac jeden drugiego w objęcia, a nie za gardło, to co, na Allaha, ty i ja będziemy robić?

Rozdział 4

Jeśli niewiedza jest błogosławieństwem, to parlament musi być pełen ludzi, którzy dostąpili łaski.

Jako jednostki byli w większości skromnymi przedstawicielami klasy średniej, często nieciekawymi. Co zresztą stanowiło powód do dumy. Kiedy jednak zebrali się razem, ogarniała ich zwierzęca żądza krwi, która znajdowała wyraz w falach manifestowanego krzykiem entuzjazmu, przetaczających się z hukiem przez kort.

– Trochę się tu zmieniło, prawda? – zamyślił się sir Henry Ponsonby.

Szczupłą twarz skrywał cień dużego ronda panamy. Nie musiał dodawać, że jego zdaniem bynajmniej nie była to zmiana na lepsze. Jako szefa służby cywilnej trzeba go było długo przekonywać, że zmiana nie równa się destrukcji.

– Chcesz powiedzieć, że pamiętasz, jak my, Anglicy, wygrywaliśmy?

– Niestety, to tak głęboka prehistoria, że już jej nawet nie obejmuje szkolne minimum programowe. – Pociągnął nosem. – Nie. Miałem na myśli, że każdy aspekt życia najwyraźniej stał się krwawym sportem. Polityka. Dziennikarstwo. Nauka. Handel. Nawet Wimbledon.

Na korcie pierwszymu od ponad dwudziestu lat Anglikowi zakwalifikowanemu do mistrzostw Anglii w tenisie właśnie udało się zdobyć kolejny punkt w tie-breaku. Jeszcze dwa i będzie mógł powalczyć w decydującym secie. Kibice, którzy przez pierwsze półtorej godziny z posępnymi minami obserwowali beznamienne upokarzanie swojego bohatera narodowego, ocknęli się i zorientowali, że ten ma jeszcze szansę. Na wydeptanym trawniku przed nimi rodziła się legenda. Być może. W dodatku potencjalna ofiara była Francuzem.

- Może jestem naukowcem, Henry. A nawet specjalistą prawa międzynarodowego. Ale gdzieś w głębi duszy czuję, że oddałbym wszystko, by się tam teraz znaleźć.

Sir Henry drgnął, zaskoczony tą demonstracją emocji. Pochodzący z przeciętnej rodziny z Yorkshire Clive Watling został wybitnym znawcą prawa, z tytułem adwokata królewskiego, licznymi stopniami naukowymi i honorowymi wyróżnieniami, solidnym jak dziewiętnastowieczny uniwersytet, człowiekiem o autorytecie dorównującym swojemu okazałemu obwodowi w pasie. Fizyczne wybuchy entuzjazmu nie pasowały do formularza. No ale w końcu każdemu wolno pozwolić sobie na odrobinę namiętności, a lepiej, żeby jej obiektem były piłki tenisowe niż mali chłopcy.

- Cóż, niezupełnie o to nam chodziło, kiedy myśleliśmy o tobie, stary - podjął na nowo sir Henry. - Chciałem cię wy badać. Wiesz, wyrobiłeś sobie potężną pozycję swoją pracą w Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości, stałeś się powszechnie szanowany i tak dalej.

Tenisista zdobył kolejny punkt na poczet honoru narodowego, a Watling nie mógł się powstrzymać od mimowolnego zaciśnięcia pięści. Wąskie czerwone kreski warg sir Henry'ego zacisnęły się w

zwartym szyku. Połączenie napięcia i upału na korcie numer 1 zdusiło wszelkie dalsze próby podtrzymania rozmowy, bo oto znów doszło do remis.

Uderzenie. Wśród widzów gwałtowne machanie rękami i gorączkowe okrzyki. Ruch piłki tak szybki, że niewiele par oczu zdołało ją śledzić, za to pofrunęły za nią wszystkie serca. Chmura angielskiego kredowego pyłu, francuski krzyk rozpacz i wybuch radości na trybunach. Set był wygrany. Z przeciwległego końca kortu dobiegł chór ochrypanych głosów śpiewających Rule, Britannia. Sir Henry z niesmakiem przewrócił oczami, nie dostrzegając szerokiego uśmiechu swojego towarzysza. Sir Henry był tradycjonalistą, samemu nieprzywykłym do wyrażania emocji i patrzącym z dezaprobatą na okazywanie ich przez innych. Jak miał kilka dni później oznajmić na forum w swoim klubie, bynajmniej nie czuł się tu na miejscu. Musieli poczekać, aż przetoczy się przez nich obowiązkowa meksykańska fala (dobry Boże, czy Watling naprawdę przeżył mięśnie ud, jakby zamierzał wstać?), zanim mogli znów zebrać myśli.

– Tak, miałem to szczęście, Henry, zdobyłem spore uznanie. Głównie za granicą, oczywiście. Tu, u nas, nieszczególnie. Prorok we własnym kraju i tak dalej. – I zdolny uczeń państwowego liceum, który własną pracą dostał się na studia, w systemie prawnym wciąż zdominowanym przez elitarystycznych absolwentów Oksfordu i Cambridge. Takich jak Ponsonby.

– Bynajmniej, mój drogi. Jesteś darzony najwyższym szacunkiem. My Anglicy jesteśmy po prostu nieco bardziej powściągliwi w wyrażaniu uznania.

Słowom sir Henry'ego niemal natychmiast zaprzeczył wybuch kobiecej hysterii gdzieś za ich plecami, kiedy zawodnicy wrócili na

kort, by stanąć do ostatniego seta. Dało się zauważyć, że wiele wyrazów patriotycznego ferworu na trybunach zaczyna mieszać się z ewidentną frankofobią. Ponsonby czuł się nieswojo wśród takich obnażonych namiętności.

– Pozwól, że przejdę od razu do rzeczy, Clive. Cypryjczycy chcą rozstrzygnąć swoje wewnętrzne spory. Porozumienie powinno być w zasięgu ręki, zarówno u Greków, jak i u Turków nagle nastąpił niespotykany wybuch dobrej woli i zdrowego rozsądku. Może skończyły im się gardła do podrzynania albo, co bardziej prawdopodobne, skusiły ich oferowane pakiety pomocy zagranicznej. W każdym razie rozwiązują właśnie większość problemów, nawet kwestie granic. I jedni, i drudzy wiedzą, że muszą wykonać jakiś gest, z czegoś zrezygnować.

– Różnice poglądów są duże?

– Nieprzesadnie. Obie strony chcą usunięcia drutów kolczastych, a większość proponowanej granicy biegnie przez góry, które są niewiele warte dla wszystkich oprócz pustelników i pasterzy kóz.

– Granica morska prowadzi przez szelf kontynentalny.

– Brawa za przenikliwość! To właśnie potencjalna przeszkoda. Szczerze mówiąc, żadna ze stron nie ma doświadczenia w zakresie granic morskich, więc chcą, żeby sprawę załatwił za nich międzynarodowy trybunał. No wiesz, żeby usankcjonować porozumienie i pozwolić obu stronom uniknąć utraty twarzy. Już przeprowadzają pomiary wód i uzgodnili, że zbierze się międzynarodowa komisja arbitrażowa złożona z pięciu sędziów, pod przewodnictwem Wielkiej Brytanii.

– Dlaczego Wielkiej Brytanii, na litość boską?

Ponsonby się uśmiechnął.

- A kto zna wyspę lepiej niż dawny kolonialny władca, kraj, któremu na równi nie ufają i Grecy, i Turcy? Wybiorą po dwóch sędziów każdy, a piątym, niezależnym arbitrem będzie przedstawiciel Wielkiej Brytanii. I chcemy, żebyś to był ty.

Watling wziął głęboki wdech, delektując się tym wyrazem uznania.

- Ale zależy nam, aby wszystko podpisać i przypieczętować jak najszybciej - kontynuował Ponsonby - w ciągu następnych dwóch miesięcy, gdyby się udało. Zanim ta cała zgraja zmieni zdanie.

- A, i tu pojawia się problem.

- Tak, wiem. Masz spędzić lato, wykładając w Kalifornii, w nielicznych luksusach. Ale my chcemy cię mieć tutaj. W służbie pokoju i interesu publicznego. I powiem ci, stary, że rząd Jego Królewskiej Mości byłby ci niezmiernie wdzięczny.

- To mi brzmi jak przekupstwo.

Podwójny błąd serwisowy, tłum jęknął. Ponsonby przysunął się bliżej.

- Już dawno należały ci się dowody uznania, Clive. Jest tylko jedno miejsce dla człowieka z twoim doświadczeniem... - Zawiesił kusząco głos. - Wniósłbyś nieoceniony wkład w działania Izby Lordów.

Ponsonby uśmiechnął się szelmowsko. Lubił rozdawać przywileje. Watling natomiast usilnie starał się ukryć drganie, które pojawiło mu się w kąciku ust. W dzieciństwie marzył, żeby być pierwszym odbijającym w reprezentacji Yorkshire w krykieta. Lordowski tytuł był zaraz na drugim miejscu.

- Kto jeszcze będzie zasiadał w komisji?

- Turcy nominowali Malezyjczyka i jakiegoś egipskiego profesora z Kairu...

- Pewnie Osmana. Porządny człowiek.

– Tak. Muzułmańska mafia.
– To porządny człowiek – powtórzył z naciskiem Watling.
– Oczywiście, oni wszyscy są porządni. Grecy tak samo. Wybrali Rospovicia z Serbii, co w ogóle nie ma nic wspólnego z tym, że jest prawosławny, śpieszę dodać. Przecież taka myśl nie powstałaby w głowie żadnego Greka.

– A ten czwarty?

– Zapewniony przez najsilniejszego sojusznika Grecji w Europie, Francuzów. Twój stary kumpel z Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości, Rodin.

– Ten...! – Watling nie potrafił ukryć rozczarowania. – Miałem z nim więcej scysji, niż chciałbym pamiętać. Zmienia zdanie równie często, co dziwka z Avenue Foch partnerów. Nie znoszę dziada. – Pokręcił głową. – Perspektywa bliskich kontaktów z nim wcale mnie nie cieszy.

– Ale pomyśl, Clive. Komisja jest podzielona na pół, dwa na dwa, z założenia. Będziesz mieć decydujący głos. Rodin ani żaden z pozostałych ni cholery się nie liczą, możesz zabrać się do dzieła i zrobić to, co uważasz za słuszne.

– Nie jestem pewien, Harry. To już zaczyna brzmieć jak polityczny poker. Czy to by była normalna praca? Bez nacisków? Nie będę brał udziału w żadnych brudnych zakulisowych układach – ostrzegł prawnik, demonstrując właściwy mieszkańcom Północy upór i dumnie unosząc podbródki. – Jeśli miałbym zająć się tą sprawą, musiałaby zostać rozpatrzona merytorycznie.

– I dlatego to musisz być ty, właśnie z powodu tej swojej irytującej bezstronności. Będę z tobą szczery. Zależy nam na tobie ze względu na twoją reputację. Przy twoim udziale nie będzie wątpliwości, że

wszystko jest fair. Zasyp ich konwencjami haskimi i pokojowymi precedensami. Z politycznego punktu widzenia figę się liczy, co zdecydujecie, w praktyce będzie to tylko linia narysowana na skałach. Pół mili więcej czy mniej ziemi, na której nie wyhodujesz nawet worka fasoli. Ale cypryjskim politykom umożliwi to zawarcie umowy, której bardzo potrzebują. Możesz więc przejechać się po jednych albo po drugich, jak ci się podoba, z naszej strony nie będzie nacisków. Chcemy tylko, żeby doszło do porozumienia.

Umilkli. W tłumie ponownie zawrzało, bo sytuacja w decydującym secie zaczynała się klarować. Watling nadal się wahał, przyszła pora na ostateczne popchnięcie w pożądanym kierunku.

– Podejrzewam, że nie od rzeczy byłoby przyspieszyć sprawy też po naszej stronie. Nie ma potrzeby, żebyś czekał w długiej kolejce, myślę, że moglibyśmy zagwarantować, by twoje nazwisko pojawiło się już na następnej liście wyróżnionych honorowymi tytułami, na Nowy Rok. Nie chciałbym, żeby jakieś wątpliwości mąciły ci obraz sprawy. – Ponsonby się zaśmiał. – Przepraszam za ten pośpiech. I że przepadnie ci Kalifornia. Ale rzecz jest pilna. Cypryjczycy walczą z sobą od ćwierć wieku. Pora zakończyć tę ich małą tragedię.

– Zakładasz, że się zgodzę? Ze względu na parostwo?

– Mój drogi, ze względu na brytyjską zasadę fair play.

Dalsza rozmowa stała się niemożliwa, utonęła we wzbierającym zgiełku. Francuski zawodnik rzucił się w stronę piłki, potknął i zaplątał w siatkę, usiłując w desperacji uratować kluczową wymianę. Break point. Tłum, zerwawszy się z miejsc, w zachwycie zawył jednym głosem.



Kapitan statku sejsmicznego „Happy Valley” pstryknął niedopałkiem papierosa wysoko nad głową i obserwował uważnie, jak pet zawisa na chwilę w ciężkim powietrzu, a potem spada i znika mu z oczu za kadłubem trawlera. W płucach go paliło. Usiłował zdusić kaszel, co mu się nie udało, zadrżał gwałtownie, splunął. Obiecał żonie, że rzuci to świństwo, i nawet próbował, ale tutaj, gdy dzień po dniu spędzał pod bezdusznym niebem, przecinając wzduż i wszierz monotonne wody wschodniego Morza Śródziemnego, modlił się o sztormy, o bunt na pokładzie, o jakiegokolwiek urozmaicenie. Ale żadnego nie było. Prawdopodobnie umarłby z nudów na długo przed tym, jak wykończyłby go tytoń.

Tęsknił za starymi czasami, kiedy przemycał części zamienne do czołgów do Chile albo kradzione części samochodowe do Nigerii. W manifestach ładunkowych miał taki mętlik, że prześlizgiwał się z kontrabandą władzom między nogami, tak jak dziecko wymyka się niedołącznemu dziadkowi. Teraz jednak wykonywał całkowicie legalną pracę. Bał się, że z nudów pękną mu jaja.

Te bizantyjskie sukinsyny na Cyprze zgodziły się uwolnić od demonów przeszłości i osiągnęły kompromis. Pokój wszystkim ludziom, czy są Grekami, czy Turkami, i nieważne, kto komu gwałcił córki i kradł kozy. Czy może na odwrót? Do diabła, był francuskojęzycznym Kanadyjczykiem i nie trawił tej całej zgrai, ale chcieli, żeby im zrobić hydrografię wód przybrzeżnych, tak by mogli polubownie uzgodnić przebieg granic. A biznes przemytniczy nie kręcił się już tak jak kiedyś, bo wszędzie wybuchał pokój i znoszono embargo. Pomiar sejsmiczny to przynajmniej jakaś robota. Do następnej wojny.

Z morza za jego plecami dobiegł przytłumiony odgłos wystrzału z działka pneumatycznego. Kiedyś, przypomniał sobie, słyszał świst kul i wybuchy min. Nigdy by nie pomyślał, że umrze z nudów. Mrużąc oczy, spojrzął pod zachodzące słońce na rzędy pław i hydrofonów, które ciągnęły się trzy tysiące metrów za „Happy Valley”, przemierzającym morze po precyzyjnie wyznaczonej siatce kontrolowanej przez satelitę, aby odbijać fale uderzeniowe od błota i łupków ilastych pod dnem, po czym wpychać dane do gardeł komputerom. Cholerne komputery jako jedyne na statku miały klimatyzację, podczas gdy ludzie smażyli jajecznicę w samych gaciach. Ale, jak bezustannie przypominali mu szefowie z Seismic International, to przedsięwzięcie pochłaniało trzydzieści tysięcy dolarów na dobę, a kapitan z załogą stanowili jego najtańszą część, zdecydowanie najłatwiejszą do zastąpienia.

Splunął w kierunku mewy, która przysiadła obok niego na relingu. Ptak wzbił się leniwie w powietrze za rufą statku, popatrzył w kremowy kilwater, sprawdzając, czy nie ma tam ryb, a kiedy żadnej nie znalazł, krzyknął z pogardą i odleciał w poszukiwaniu trawlera z prawdziwego zdarzenia. Jezu, nawet pieprzone ptaki nie mogą znieść tego statku. I po co to w ogóle? Wszyscy wiedzieli, że pod wodą nie ma nic poza kupą złomu i starymi skorupami. Nawet o rybach nie ma co mówić, odkąd rozwalili bogaty kiedyś podmorski świat starymi granatami i innymi formami masowych połowów.

Nie trawił tego wybuchu pokoju na świecie. Chciał kolejnej wojny. I kolejnego papierosa. Zakasłał i zaczął przeszukiwać kieszenie.

Rozdział 5

Dobrzy ludzie nigdy skutecznie nie obronili dumy narodowej.

Dobrzy ludzie nie są w stanie osiągnąć koniecznych głębin.

Kiedy weszła, stał w koszuli frakowej, z muszką zdjętą i rzuconą na bok, gapiąc się przez przysłonięte firankami okno sypialni na St. James's Park. Pokój był pogrążony w ciemności, a w odblasku światła latarni bijących spod parkowych drzew jego twarz wyglądała jak woskowa maska. Francis Urquhart, ze zwieszonymi barkami i rękami wbitymi głęboko w kieszenie frakowych spodni, wyglądał jak nieszczęście.

– Odłączyli starego Freddiego – szepnęła.

– Kochanie?

– Stary Freddie Warburton. Ten wypadek samochodowy, pamiętasz? Był w szpitalu pod respiratorem. Stwierdzili, że to nie ma sensu, Mortimo. Więc go odłączyli.

– Ale przecież chyba mówiłeś, że jest beznadziejny.

Urquhart odwrócił się twarzą do żony.

– Oczywiście, że był beznadziejny. Całkowicie i w zupełności do niczego. Dziwię się, że w ogóle byli w stanie stwierdzić, kiedy mózg

przestał mu funkcjonować. Ale to nie w tym rzecz, prawda?

– W takim razie w czym, Francis?

– Rzecz w tym, Mortimo, że był jedynym żyjącym członkiem mojego pierwszego rządu sprzed lat. Będą mówić, że to koniec pewnej epoki. Mojej epoki. Nie rozumiesz?

Mortima zaczęła zdejmować biżuterię, metodycznie szykując się w półmroku do spania, myśląc jednocześnie o marnym nastroju męża.

– Nie sądzisz, że trochę przesadzasz? – rzuciła.

– Oczywiście, że przesadzam – odparł. – Ale przekłete media też będą przesadzać, jak zawsze. Wiesz, że jad już zaczął się sączyć. Powinien był odejść przy dziesiątej rocznicy. Starzejąca się administracja, której potrzeba nowych idei i świeżej krwi. Epoka, która mija. A teraz, kiedy cholerny Freddie wykitował, powiedzą, że już minęła. – Usiadł na skraju łóżka. – Czuję się przez to taki... samotny. Gdyby nie ty...

Uklękła na jego łóżku i zaczęła rozmasowywać mu napięte barki.

– Francis, jesteś najskuteczniejszym premierem, jakiego miał ten kraj. Nikt nie wygrał wyborów więcej razy niż ty, a za trzy miesiące pobijesz rekord Margaret Thatcher w długości sprawowania władzy. Masz już zapewnione miejsce w podręcznikach historii.

Odwrócił się. Widziała, jak zaciska szczęki i jak pulsują mu żyły na skroniach.

– Właśnie, Mortimo. Czuję się tak, jakbym już był historią. Należał do tego, co wczoraj, już nie tego, co dzisiaj. I nie jutro.

Znów ogarnął go ten ponury nastrój, kiedy wściekał się na bezsensowność swojego życia oraz niewdzięczność i niekompetencję otaczającego go świata. Ta czarna rozpacz nigdy nie trwała długo, ale niewątpliwie ostatnio się wydłużała. Wyzwanie straciło świeżość,

potrzebował smoków, które mógłby zabijać, lecz one odpełzły i schowały się między klauzulami niekończących się dokumentów strategicznych oraz euroregulacji. Urzędnicza toga ciążyła mu na ramionach, ceremonialne szaty zastąpiły zbroję. Górował jak olbrzym nad sceną parlamentarną, właściwie poza zasięgiem swoich wrogów, ale coś się zmieniło, może w nim samym, a na pewno w innych. Otwarcie spekulowali na temat tego, ile jeszcze wytrwa, zanim ustąpi ze stanowiska, i kto byłby najbardziej prawdopodobnym następcą. Onieśmiał reputacją człowieka podcinającego pęciny młodym pretendentom, teraz jednak okrążali jego ognisko, czając się w mroku, tuż poza jego zasięgiem, i czując się bezpieczni, bo było ich coraz więcej, gdy tak czekali na swój moment, by wejść w krąg światła. Kilka tygodni temu zjawił się w Izbie Gmin na sesji pytań do premiera, jak zawsze gotowy bronić się przed ich strzałami, niosąc z dumą tarczę poznaczoną rysami i bliznami tak wielu wygranych parlamentarnych batalii. Jakiś młody szeregowy poseł opozycji, którego Urquhart ledwie rozpoznał, zerwał się z miejsca.

– Czy pan premier zna najnowsze statystyki bezrobocia w tym kraju?

I usiadł.

Bezczelność! Nie: „Czy pan premier skomentuje...?” albo „Jak pan wytłumaczy...?”, tylko „Czy pan zna...?”. Oczywiście Urquhart wiedział, że to mniej więcej dwa miliony, ale zdawał sobie sprawę, że potrzebuje nie przybliżenia, lecz dokładnej liczby, więc zaczął szukać w notatkach z briefingu. Nie powinien być zmuszony szukać. Powinien wiedzieć. Ale ta cholerna liczba co miesiąc się zmieniała! A kiedy tak szukał, okulary zsunęły mu się z nosa, zaczął je poprawiać, a wtedy ławy

opozycji wybuchły. „Nie wie, nic go to nie obchodzi!” – krzyčeli. Znalazł odpowiedź, lecz było już za późno.

Celny strzał.

Było to niepodobne do Francisa Urquharta. Krwawił, pokazał, że jest śmiertelny. Częstotliwość ponurych nastrojów wzrosła.

– Czasem zastanawiam się, po co to wszystko było, Mortimo. Na co jeszcze ty i ja możemy czekać. Pewnego dnia wyjdziemy przez te drzwi po raz ostatni i... co potem? Picie horlicks do poduszki i wyjazdy do cholernego Bognor? – Zadrżał, kiedy jej palce dotknęły spiętych mięśni na jego karku.

– Głupstwa pleciesz – zbeształa go. – Do czegoś takiego jeszcze daleko, a poza tym już wiele razy o tym rozmawialiśmy. Mamy do założenia Bibliotekę Urquharta. I Katedrę Stosunków Międzynarodowych imienia Urquharta w Oksfordzie. Będziemy jeszcze mieć mnóstwo do roboty. A dziś wieczorem na przyjęciu poznałam pewnego wydawcę. Z entuzjazmem mówił o publikacji twoich wspomnień. Stwierdził, że pamiętniki Thatcher poszły za jakieś trzy miliony funtów, a twoje będą warte znacznie więcej. To niezły sposób, żeby zacząć zbierać fundusze, których potrzebujemy na bibliotekę.

Podbródek znów opadł mu na piersi. Zorientowała się, że z pamiętnikami nie trafiła.

– Nie jestem pewien. Nie, wspomnienia nie, chyba nie potrafię, Mortimo.

– Będą nam potrzebne pieniądze, Francis. Tak jak będziemy potrzebować siebie nawzajem.

Odwrócił się gwałtownie i zaczął z uwagą się w nią wpatrywać. W mroku nie mogła rozpoznać, czy jego spojrzenie zdradza wesołość,

czy jeszcze głębszą melancholię.

– Żadnych pamiątek – powtórzył. – Oznaczałoby to zapisywanie starych kłamstw i wymyślanie nowych. Nie mógłbym pisać w taki sposób o moich kolegach, tak źle mówić o zmarłych. Bóg mi świadkiem, że wypowiedziałem już wystarczająco dużo kłamstw, by ich pochować, nie mógłbym ich prześladować, gdy spoczywają na cmentarzu. Nigdy. Nawet za bająnskie sumy. – Urwał. – Bo czyż mógłbym, Mortimo?



Hakim był zły. Kawa mu wystygła, wąsy siwiały, talentów nikt nie doceniał, bank nie okazywał mu zrozumienia, a wszyscy znali go po prostu jako Hakima. Nie Air Hakima, nie Yamana Hakima, nie starego przyjaciela i kolegę Hakima. Mógłby mieć taką tabliczkę na drzwiach swojego biurowego pokoju, taki napis wyryją mu na trumnie: „HAKIM ZAPOMNIANY”. A potem o nim zapomną, żona, dzieci, szefowie, kierownik jego oddziału banku. Wszyscy. Zwłaszcza kierownik banku. Upił łyk letniej brei w filiżance do kawy i zacisnął z niesmakiem usta. Całe życie sumiennie pracował, ale kiedy przyjdzie na niego czas, będzie mógł zabrać z sobą tylko swoje niespełnione marzenia.

Zastanowił się przez chwilę. Co najbardziej chciałby zabrać w zaświaty? Młode dziewczyny? Złoto? Mercedesa z klimatyzacją? Winnicę, którą zawsze pragnął mieć? Pewnie młode dziewczyny, zdecydował. Chociaż nie, stwierdził po namyśle, wzięłby z sobą kierownika banku. Wtedy razem smażyliby się w piekle.

Uśmiechnął się do siebie, a potem zaniósł się bolesnym kaszlem. Cholerny smog znów dawał mu się we znaki. To był jeden z wielu problemów związanych ze zbudowaniem stolicy w tej dziurze w Anatolii, gdzie palili ohydny węgiel brunatny, a ulice dusiły się

od spalin. Te świństwa powoli, bezlitośnie zapychały mu płuca. Lata służby tylko po to, żeby się zadławił na śmierć. I został zapomniany.

Gdyby zamknął drzwi od środka na klucz i zgnił tu, czy ktoś by zauważył? Biuro miał nędzne, nawet jak na marne standardy TNOC – Turkish National Oil Corporation, Tureckiej Narodowej Korporacji Naftowej: półki uginały się od starych instrukcji i raportów, ściany były obklejone mapami pokrytymi dziwnymi wzorami, biurko znaczyły plamy po kawie i popiół z papierosów, towarzyszących mu w pracy geofizyka. Właściwie poprzedni użytkownik tego pokoju mógł nadal ukrywać się w zakamarkach szafki na dokumenty stojącej w rogu – mimo że Hakim urzędował tu od czternastu lat.

Odwrócił się z powrotem do komputerowego monitora i ponownie przyjrzał się przekrojom sejsmicznym, które zaczęły napływać z pomiarów. Nic ciekawego, wszyscy wiedzieli, że w morzu wokół Cypru nic nie ma – TNOC nie zawracała sobie głowy kupowaniem badań sejsmicznych, gdyby cypryjskie wody nie graniczyły z tureckimi. Wszystkie inne części wschodniego basenu Morza Śródziemnego miały ropę. Nie tylko Turcy, ale także Libijczycy, Syryjczycy, Egipcjanie, nawet cholerni Grecy – wszyscy oprócz małego Cypru, który może potrzebował jej najbardziej. A tu posucha. Tajemnica boska. Pustynia pośród morza czarnego złota. Taki to już jest naftowy biznes.

Spojrzał jeszcze raz. Wszyscy się z niego śmiali, starego Hakima Zapomnianego, ale on miał cierpliwość do żmudnej analizy, nie to co ci młodzi, których interesuje tylko piłka nożna i ru... Zamarł. Poczul dziwne mrowienie w palcach zawieszonych nad klawiaturą, miał wrażenie, że już coś takiego widział albo coś bardzo podobnego. Dawno temu. Gdzie to mogło być? Przetarł okulary, dając sobie czas na przypomnienie. To były skały osadowe, to na pewno, ale roponośne

osadowce są jak Grecy niosący podarki: rzadko można im wierzyć. Co to może być za typ?

A potem zrozumiał. Nie tylko widział coś takiego w dokumentacji geologicznej, lecz nawet włożył rękę w to cholerne błoto. Trzydzieści lat temu, jako student Instytutu Naftowego, kiedy oglądali szyb eksploracyjny wiercony w pobliżu granicy morskiej z Cyprem. W pobranych próbkach stwierdzono wszystkie formacje geologiczne, co trzeba, przekładaniec gąbczastych piaskowców, który teoretycznie mógł zawierać miliardy baryłek ropy, ale nie dał ani jednej kropli. Teraz Hakim chyba wiedział dlaczego. Jedna z linii sejsmicznych z ostatnich pomiarów została pociągnięta do miejsca, gdzie znajdował się ów suchy szyb, a później najwyraźniej przeszła prosto przez płaszczyznę uskoku, przesunięcia skorupy ziemskiej, które zdrowo mieszało w geologii.

Znów zaczął kasłać, tym razem z nerwów. Gdzieś chyba nadal miał egzemplarz swojego raportu dla Instytutu Naftowego ze szczegółowymi wynikami badań próbek z tego starego szybu. Szafka na dokumenty. Metalowe drzwiczki zapiszczały na znak protestu, gdy drżącymi palcami zaczął przetrząsać jej zawartość – nie natknął się na żaden szkielet strzegący pirackich dublonów, ale i tak znalazł pradawny skarb. Trzymał go w rękach, cienki dokument wpięty w segregator, drżący jak liście na jesiennym wietrze, kiedy przewracał strony.

Wszystko tu było. Odpowiednie struktury. Ślady ropy w zwiercinach. Ale żadnej akumulacji, zasoby surowca osuszone przez jakąś nieznaną siłę.

A monitor krzyczał do niego: „Uskok!”

Bez danych sejsmicznych pokazujących płaszczyznę uskoku nie dało się trzydzieści lat temu zrozumieć, dlaczego tak odpowiednie piaskowce były suche jak pieprz. A bez szczegółowej wiedzy o piaskowcach, zdobytej dzięki wierceniom, z samych badań sejsmicznych nie dało się wywnioskować, co mogą wróżyć te struktury.

Ale Hakim Geofizyk wiedział i był jedyną osobą na świecie, która mogła wiedzieć.

Płaszczyzna uskoku wszystko pogmatwała. Skopała całą logikę. Przesunęła struktury geologiczne. Wysuszyła piaskowce.

A Hakim sądził, że wie, gdzie podział się miliard baryłek ropy.

Rozdział 6

Nazwanie mnie hipokrytą uważam za swoisty komplement.

To znaczy, że potrafię dostrzec obie strony medalu.

– Nie znoszę nabożeństw żałobnych. Ta obłuda. Ten fałsz. Te puste słowa i pochwały. Nienawidzę nabożeństw żałobnych.

Urquhart znów był nie w humorze. Przytupywał niecierpliwie, czekając przy wschodnim wejściu do kościoła Świętej Małgorzaty na proboszcza, który miał zaprowadzić go do wyznaczonej ławki. Urquhart z kamiennym obliczem mijał potakujące potulnie głowy, twarze przyobleczone w uśmiechy spaniela i sztuczne współczucie ponad czarnymi krawatami i szalami. Myśleli, że jego mina wyraża smutek, ból z powodu straty tak dobrego przyjaciela i współpracownika jak Freddie, baron Warburton. Emocje rzeczywiście w nim buzowały, ale nie z powodu uzalania się nad losem innych.

Ponury nastrój zaczął się poprzedniego wieczoru, kiedy Urquhart otworzył swoją czerwoną rządową teczkę i stwierdził, że jego rzecznik prasowy, myśląc, iż tak będzie stosownie, załączył do dokumentów kilka nekrologów starego Freddiego. Cholerny idiota. Czytanie o tym, że odejście Warburtona stanowi „koniec pewnej epoki” i że był on

„ostatnim z parszywej dwunastki F.U.” bynajmniej nie wzmogło entuzjazmu premiera ani do prasy, ani do samego rzecznika.

– Nie mogę tego znieść, Mortimo. Zaszczuwają człowieka, wpędzając go do grobu, a potem, kiedy tylko umrze, ocierają wilgotne oczy chusteczką i usiłują udowodnić, jakim to był wielkim mężem stanu, jak to jego odejście zagraża kulturze, krajowi, cywilizacji w ogóle. Trzymałem Freddiego tylko dlatego, że robił to, co kazałem, potulnie jak baranek. Wszyscy o tym wiedzieli. Teraz jednak, kiedy baranek jest martwy, mówią o nim, jakby był lwem. Nigdzie nawet wzmianki o tym, że żyły miał dość dokładnie wypłukane z krwi przez alkohol. Ani o tej małej przygodzie na Shepherd Market, gdy dwie panie lekkiej konduity zostawiły go bez spodni, portfela i przepustki na Downing Street.

– Był lojalny, Francis.

– Ściskałem mu jaja w imadle, Mortimo, oczywiście, że był lojalny!

– Urquhart nagle urwał, zamykając oczy. Posunął się za daleko. Powinien być przyzwyczajony do oddawania honorów zmarłym w Westminsterze, tyle było pogrzebów przez te wszystkie lata, ale takie wspomnienia tylko wydobywały z niego najgorsze cechy. – Wybacz mi. To było nie na miejscu.

– Wybaczam.

– Tylko że... co powiedzą o mnie, Mortimo? Kiedy odejdę?

– Że byłeś największym premierem stulecia. Że napisałeś na nowo zarówno księgi rekordów, jak i kodeksy praw. I żyłeś długo i szczęśliwie na emeryturze.

– W to akurat wątpię. Ilu wielkich przywódców naprawdę znalazło szczęście na emeryturze?

Szukała w pamięci jakiegoś nazwiska, ale żadne nie przyszło jej do głowy.

– Nie chcę się zmienić w zgorzkniałego starca, kiedy to wszystko się skończy. Po prostu nie widzę siebie odchodzącego w stan spoczynku, zastąpionego kimś innym. Nigdy. – Zamachał ręką. – Tak, wiem, że jestem żałosny, ale... dla mnie emerytura to nie długie letnie wieczory, tylko niekończące się noce tańczenia z duchami. Duchami tego, co mogło być. I co kiedyś było.

– Rozumiem.

– Tak, wiem, że rozumiesz. Ty jedna jedyna. Tak wiele ci zawdzięczam.

Siedziała teraz obok niego w kościele Świętej Małgorzaty w Westminsterze, stojącym w cieniu wielkiego opactwa, i oboje słuchali chórzystów śpiewających tęskny hymn. Mortima utkwiła wzrok w soliście sopranie, chłopcu może dwunastoletnim, o jasnych, opadających na czoło włosach i delikatnym głosie anioła, wypełniającym kościół niczym promienie wschodzącego słońca. Jak wiele by to zmieniło, myślał Urquhart, gdyby mogli mieć dzieci. Mogłyby nadać ich życiu poczucie nieśmiertelności i stać się muzyką dla ich duszy. Jednak nie było im to dane. Mortima opatrywała ranę tak długo, aż ta się zablizniła, a skóra stwardniała. Nigdy się nie skarżyła, chociaż wiedział, że ból czasem ją rozdzierał. Całą swoją energię emocjonalną zainwestowała w niego i jego karierę. Ich karierę, prawdę mówiąc, bo bez niej nie odniósłby sukcesu ani nie wytrwał. Dla Mortimy była to jałowa korona, poświęcenie pod wieloma względami znacznie głębsze niż śmierć, i zrobiła to dla niego. Zawdzięczał jej wszystko.

Chór skończył, odwróciła się i spojrzała w jego stronę, w jej oczach, pełnych żalu, mignęła tkliwość. O ileż łatwiej byłoby rozważyć emeryturę, gdyby mieli dzieci. A tak zostawią po sobie tylko jakąś bibliotekę i kapryśny osąd historii. Après moi, rien. Kiedyś myślał, że to wystarczy, ale w miarę jak mijały lata i śmiertelność pukała do drzwi, nie był już pewien.

– Radujcie się zawsze w Panu; jeszcze raz powtarzam: radujcie się! Niech będzie znana wszystkim ludziom wasza wyrozumiała łagodność...

Klerykalna hiperbola i półprawda, chwilowe zawieszenie życia politycznego w ławkach za jego plecami, zajmowanych przez ludzi, którzy nabożnie oddawali honory śmierci i niczym drapieżne ptaki knuli kolejne zgony.

– W końcu, bracia, wszystko, co jest prawdziwe, co godne, co sprawiedliwe, co czyste...

Ludzie śpiewali takie pieśni w sennym rytuale, a potem budzili się i jakże bez troski je ignorowali. Co jednak będzie z nim samym w dniu Sądu Ostatecznego? Poczł ukłucie zwątpienia, w zakamarkach jego umysłu zaczęły zbierać się duchy, ale po chwili widział już wyraźnie, miał jasność, jak zawsze. Że to, co zrobił, uczynił nie dla siebie, lecz dla innych, dla kraju. Że ludzkie sprawy wymagają poświęceń, a te, których on dokonał, zawsze były umotywowane interesem publicznym i narodowym. Poświęcał też innych, oczywiście, czasem krwawo, ale czyż on i Mortima sami nie poświęcili wiele, dwa życia oddane jednej sprawie w służbie innych?

– ... by poprzez ich starania wszystkie sprawy zostały tak uporządkowane i rozstrzygnięte, oparte na najlepszych i najpewniejszych podstawach, by pokój i szczęście, prawda

i sprawiedliwość, wiara i pobożność zapanowały wśród nas przez wszystkie pokolenia.

Brednie. Życie było jak wyływanie durszlakiem na spienione, burzliwe morze. Większość ludzi dopadała choroba morska, a wielu tonęło.

– Chwilą ciszy uczcijmy pamięć Fredericka Archibalda St. Johna Warburtona.

Tak najlepiej go wspominać. W zupełnej cholernej ciszy. Ale Urquhart nie tak zamierzał odejść.

– Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi...

Na ziemi. Tu by postawił granicę. Nie, to nie wystarcza, nigdy nie wystarczało Urquhartowi. Niektórzy wykorzystywali śmiertelność jako podporę, wymówkę – zawsze byli to ci, którzy ponieśli klęskę i nic nie osiągnęli. Śmiertelność nie była drogą prowadzącą przez bagno, ale samym bagnem, czekającym, żeby cię usidlić, związać ręce i nogi, pociągnąć na dno. Wielkich imperiów nie zbudowano na tak niepewnych podstawach, i to nie modlitwa uchroniła Brytyjczyków przed knowaniami zazdrosnych cudzoziemców. W końcu ci, którzy szanowali słabość, sami byli słabi. Wielkiego człowieka ocenia się po tym, jak wysoko się wspiął, nie po tym, jak długo potrafił wytrwać na kolanach.

Kiedy przyjdzie na niego pora, nie odejdzie w milczeniu, ale z takim przytupem, że echo tego zgiełku będzie rozbrzmiewać przez wieki. Francis Urquhart będzie panem własnego losu.

– Amen.



Geoffrey Booza-Pitt prezentował wyjątkowe skrępowanie, kiedy usiadł naprzeciwko premiera przy biurku w gabinecie na Downing

Street, ze splecionymi dłońmi, zbielełymi knykciami i przyklejonym uśmiechem. Proszenie o taką prywatną audiencję nie było dla niego niczym niezwykłym, a Urquhart, w pewnych granicach, wręcz do tego zachęcał. Geoffrey był notorycznym plotkarzem i mistrzem w podkradaniu innym pomysłów, które albo przedstawiał jako swoje, albo porzucał, obśmiewając, w zależności od przyjęcia zgotowanego im przez jego pana. Bez wątpienia i bez wahania należało go uznać za członka rządu potrafiącego najcelniej kopać po kostkach. Publicznie demonstrował niemal fanatyczną lojalność wobec drużyny, a jednocześnie zręcznie podcinał kolegów, tak że przewracali się jak dłudzy tuż przed bramką. Zachodził ich od strony, z której go nie widzieli, i kosił z miną zbolalą i niewinną. Dla Urquharta, lubującego się w tym sporcie, stanowił pożyteczne źródło informacji i rozrywki.

Premier zakładał, że Booza-Pitt będzie przygotowywał grunt pod zmianę stanowiska przy następnym przetasowaniu rządu. Geoffrey był młodym mężczyzną w ciągłym ruchu. Odkąd otworzył sobie drzwi kopniakiem, a właściwie serią błyskotliwych pokazów fajerwerków na kongresie partii, okazał się jednostką, której nie dało się przypisać do jednej konkretnej funkcji ani, jeśli ktoś jeszcze pamiętał o takich rzeczach, do żadnej przewodniej zasady politycznej. Nie był w tym jednak odosobniony, a jego niespożyta energia, będąca charakterystyczną cechą niektórych niewysokich mężczyzn, w oczach większości obserwatorów z nawiązką wynagradzała ów brak głębi. Geoffrey robił karierę – nie dawał w to wątpić żadnemu ze swoich słuchaczy, a dla wielu taki entuzjazm jest zaraźliwy. Nie było też w Westminsterze tajemnicą, że Geoffrey z chęcią przyjąłby nową posadę. Jako minister transportu, pełniący tę funkcję przez ostatnie dwa lata, już dawno poczuł się sfrustrowany daremnością prób

upchnięcia dwudziestowiecznych samochodów w dziewiętnastowiecznym systemie drogowym Londynu i rozpaczliwie pragnął uciec z tego zatoru, by podjąć się jakiegoś nowego wyzwania – jakiegokolwiek, o ile miałoby formę zauważalnego awansu. „Rusz się, zanim zapuścisz korzenie, a inni się tobą znudzą” – brzmiała dewiza Boozy-Pitta, którą stosował zarówno w polityce, jak i w miłości. Już zaliczył dwa nieudane małżeństwa, a zbereźni i zazdrośni koledzy nazywali jego dom w Westminsterze „Klubem Wejdz i Wyjdz”. W odpowiedzi Geoffrey postanowił zmienić konieczność w wątpliwą cnotę i wystrzegać się dalszych uwikłań w małżeńskie więzy, a zamiast tego zaczął wybierać sobie towarzyszek à la carte z obfitego menu kobiet Westminsteru. Status singla sprawiał, że robił jeszcze bardziej dynamiczne wrażenie.

Jednak w stłumionym świetle gabinetu Urquharta minister transportu nie pasował do swojego własnego image'u. Starannie przycięte złotawe włosy opadały mu w nieładzie na czoło, oczy miał spuszczone, a szeroki, nieco asymetryczny podbródek, normalnie nadający mu pewną atletyczną, surową aurę, teraz wyglądał po prostu krzywo. Uczniak przyszedł wyznać swoje winy.

– Geoffrey, drogi chłopcze. Jakie przynosisz wieści z frontu walki? Wygrywamy? – Urquhart odłożył złożone pióro, którym podpisywał listy, każąc Boozy-Pittowi czekać i cierpieć.

– Sondáže... chyba nie są takie złe.

– Mogłyby być lepsze.

– Będą.

Urquhart przyglądał się badawczo rozmówcy. Zaczerwienione oczy, a w oddechu, zdaje się, czuć było whisky. Kłopoty.

– Przejdź do rzeczy, Geoffrey.

Nie stawiał oporu. Jego spokój prysł, barki mu opadły.

– Mam... pewne trudności lokalne, F.U.

– Kobiety.

– Czy to aż tak oczywiste?

Minister był znany jako człowiek o skromnym potencjale intelektualnym, za to nieumiarkowanym potencjale kopulacyjnym. Urquhart zakładał, że jest tylko kwestią czasu, aż powinie mu się noga i stłucze sobie publicznie duży palec.

– W tym fachu zawsze chodzi albo o kobiety, albo o pieniądze, przynajmniej w naszej partii. – Pochylił się do przodu w geście ojcowskiej poufałości, zachęcającej do zwierzeń. – Nie była martwa, prawda? Prawie wszystko można zatuszować, poza żywymi zwierzętami i martwymi kobietami.

– Nie, no oczywiście, że nie! Ale to... trochę bardziej skomplikowane.

Coś poważniejszego niż stłuczony palec – czyżby złamana noga? Wskazana może być amputacja.

– No dobrze, na razie mamy jedną... jedną?... żywą kobietę. Powiedz mi coś więcej.

– Przewodniczący partii w moim okręgu chce się rozwieść z żoną, podając jako powód jej zdradę, ze mną.

– Co jest prawdą, jak zakładam.

Booza-Pitt skinął głową, nadal trzymając splecione dłonie między kolanami, jakby bronił swojej męskości przed rozjuszonym mężem.

– Kłopotliwa sytuacja. Może ci być trudno znaleźć się na liście w następnych wyborach, skoro to on jest przewodniczącym.

Booza-Pitt westchnął kilka razy głęboko i szybko, wypuszczając powietrze z taką mocą, jakby chciał odpędzić nim wewnętrzne

demony.

– Mówi, że nie będzie już pełnić tej funkcji. Jest bardzo rozgoryczony. Planuje wystąpić z partii i pójść z tą historią do gazet.

– Rzeczywiście, istny melanż.

– I jeszcze rzuca różne absurdalne oskarżenia. – To zdanie Geoffrey niemal z siebie wydusił. Zupełnie stracił kontrolę nad oddechem.

– Że ją uwiodłeś...

– I że ją skłoniłem do zainwestowania w moim imieniu pieniędzy w pewną nieruchomość.

– I co z tego?

– Nieruchomość, która podupadła z powodu proponowanych planów budowy dróg.

– Niech zgadnę. Planów, które miano niebawem odwołać. Przekreślić. W ten sposób znacząco podnosząc wartość tejże nieruchomości. Poufne informacje znane tylko garstce ludzi. Między innymi ministrowi transportu. Tobie.

Brak odpowiedzi potwierdził podejrzenia Urquharta.

– Chryste Panie, Geoffrey, zdajesz sobie sprawę, że to nie tylko byłyby podstawy do dymisji, ale także sprawa dla prokuratora.

Booza-Pitt wił się jak robak na haczyku. Przynęta na piranie. Urquhart zostawił go w takim zawieszeniu, rozważając sytuację. Skazać czy pomóc, ukarać czy chronić? Właśnie pochował jednego członka rządu, pogrzebanie zaraz potem drugiego byłoby więcej niż niefortunne. Zakręcił piórem na podkładce leżącej przed nim na biurku, jakby było kompasem mającym mu wskazać kierunek.

– Możesz mnie zapewnić, że te oskarżenia są fałszywe?

– Kłamstwa, same kłamstwa! Masz moje słowo.

– Ale zakładam, że w księgach wieczystych znajdą się zapisy i tytuły z datami, które cynicznemu obserwatorowi wydadzą się czymś więcej niż zbiegiem okoliczności. Skąd wiedziała?

– Gadka w łóżku, być może, nic więcej. Mogłem... mogłem raz zostawić moją ministerialną teczkę z dokumentami otwartą w jej sypialni.

Urquhart podziwiał inwencję tego młodego człowieka.

– Wiesz równie dobrze jak ja, Geoffrey, że jeśli to wyjdzie na jaw, nie uwierzą ci. Zaszczują cię i zapędzą prosto do Old Bailey^[2].

Wieczne pióro celowało teraz w Boożę-Pitta, jak oficerski miecz na sądzie wojskowym, z potępieniem. Urquhart wyjął arkusz papieru listowego, który położył obok.

– Chcę, żebyś napisał do mnie list, Geoffrey, który ci podyktuję.

Niezdarnie, poruszając się jak człowiek zamierzający na arktycznym pustkowiu, Booza-Pitt zabrał się do pisania:

– „Szanowny Panie Premierze – zaczął Urquhart. – Z przykrością muszę Pana poinformować, że miałem romans z zamężną kobietą, żoną przewodniczącego mojej lokalnej organizacji partyjnej...”

Geoffrey podniósł na niego błagalny wzrok, ale Urquhart skinieniem głowy kazał mu pisać dalej.

– „Co więcej, kobieta ta oskarża mnie o wykorzystywanie poufnych informacji, dostępnych mi z racji pełnienia funkcji ministra, w celu handlu nieruchomościami i wzbogacenia się, co stanowi nie tylko naruszenie ministerialnej etyki, ale także prawa karnego”. Od nowego akapitu, Geoffrey. „Chociaż dałem Panu słowo honoru, że te oskarżenia są całkowicie bezpodstawne, w świetle tych zarzutów...”

Booza-Pitt przerwał pisanie i uniósł pytająco brwi.

– „Nie mam innego wyboru, niż podać się do dymisji”.

Wyrok śmierci. Przez biurko przetoczył się żaloszny szloch.

– Podpisz to, Geoffrey. – Pióro stało się narzędziem wymierzającym karę. – Ale nie datuj.

Iskierka nadziei, odroczenie egzekucji. Booza-Pitt wykonał polecenie, zdobył się na uśmiech. Urquhart wziął od niego kartkę, przeczytał dokładnie i wsunął ją do szuflady biurka. Po czym zniżył głos do szeptu, przywodzącego na myśl kryptę, z której uleciały resztki powietrza.

– Ty skończony idioto! Jak śmiesz narażać mój rząd swoimi brudnymi machlojkami? Nie nadajesz się do uczestniczenia w gabinecie Francisa Urquharta.

– Strasznie mi przykro. I jestem pełen wdzięczności...

– Stworzyłem cię. Zrobiłem ci miejsce przy korycie.

– Zawsze będę wdzięczny...

– Nigdy o tym nie zapominaj.

– Nie zapomnę. Ale... ale, Francis. Co zrobimy z moim przewodniczącym?

– Może będę mógł uratować ci życie. Jak on się nazywa?

– Richard Tennent.

– Poznałem go kiedyś?

– W zeszłym roku, kiedy przyjechałeś do mojego okręgu. Zadręczał cię gadaniem o grantach na turystykę.

Powoli, nie odrywając wzroku od Boozy-Pitta, Urquhart sięgnął po telefon.

– Proszę mnie połączyć z niejakim panem Richardem Tennentem. Okręg New Spalden.

Czekali w milczeniu. Potrwało to niecałe dwie minuty.

– Pan Tennent? Mówi Francis Urquhart z Downing Street. Pamięta pan, spotkaliśmy się w zeszłym roku, odbyliśmy tę fascynującą rozmowę o turystyce? Tak, bardzo dobrze przedstawił pan sprawę. Proszę posłuchać, chciałem zamienić z panem słówko w całkowitym zaufaniu, jeśli się pan zgadza. Trochę to nietypowe, ale mam pewien problem. Czy wiedział pan, że został pan zgłoszony do wyróżnienia, za służbę polityczną i publiczną?

Najwyraźniej nie.

– Nie, nie powinien pan o tym wiedzieć, takie rzeczy mają być poufne. Dlatego chciałem porozmawiać w zaufaniu. Widzi pan, właśnie przeglądałem listę zgłoszeń i, szczerze mówiąc, wzięwszy pod uwagę, ile pan zrobił dla partii, uważam, że zasługuje pan na coś trochę lepszego. Szlachectwo, w istocie. Problem w tym, że obowiązują ściśle limity, więc jest lista oczekujących. Bardzo chcę dać panu tytuł, panie Tennent, lecz to by oznaczało, że musiałby pan poczekać może kolejne osiemnaście miesięcy. Ale to pomniejsze odznaczenie może pan dostać od razu, jeśli pan sobie życzy.

Głos Urquharta ociekał dobrą wolą, natomiast jego zimny wzrok chłostał Boożę-Pitta, który wyglądał na bliskiego uduszenia się.

– Wolałby pan poczekać. Rozumiem w zupełności. Ale zdaje pan sobie sprawę, że aż do tamtej pory sprawa musi pozostać całkowitą tajemnicą. Co jednak tymczasem nie przeszkodzi panu i lady Tennent wziąć udziału w którymś z przyjęć na Downing Street, mam nadzieję? Dobrze.

Skąpy triumfalny uśmieszek.

– Jeszcze jedno. Kandydatury muszą przejść przez komisję kwalifikacyjną, która sprawdza każdego, żeby się upewnić, czy nie ma żadnych trupów w szafie, niczego, co mogłoby się okazać kłopotliwe,

wstydlive, spowodować odebranie tytułu czy inne takie nonsensy. Proszę wybaczyć, że pytam, ale skoro przy pana nazwisku znajdzie się moja osobista rekomendacja, nie ma chyba na horyzoncie niczego, co mogłoby...?

Pauza.

– Miło mi to słyszeć. Muszę jeszcze powtórzyć, że gdyby miały pojawić się jakiegokolwiek przecieki o czekającej pana nagrodzie... No ale partia zawsze wiedziała, że może na panu polegać. Sir Richardzie, jestem niezmiernie wdzięczny.

Zaśmiał się, odkładając słuchawkę.

– No i proszę! Stary szlachecki gambit zawsze się sprawdza: daj im szlachectwo i poczucie celu, a zawsze wejdą do gry. Przy odrobinie szczęścia zamknie mu to usta na następne osiemnaście miesięcy, a może na dobre.

Geoffrey właśnie zaczynał wzorem premiera wpadać w dobry humor, kiedy Urquhart odwrócił się do niego z niedającą się z niczym pomylić wrogością.

– A teraz wynoś się. I nie oczekuj, że jeszcze kiedyś coś takiego zrobię.

Geoffrey wstał, z wciąż wyraźnie drżącymi kolanami.

– Dlaczego tym razem zrobiłeś, Francis?

Światło biurkowej lampy rzucało ostre cienie na twarz Urquharta, odzierając ją z wszelkich śladów życia. Wyglądało to prawie tak, jakby jedno oko było wydłubane i został po nim pusty oczodół, prowadzący prosto w wewnętrzną ciemność.

– Bo to Francis Urquhart i tylko Francis Urquhart będzie decydował, kiedy ministrowie przychodzą do jego rządu i kiedy z niego odchodzą, a nie jakiś podstarzały rogacz z New Spalden.

– Rozumiem. – Geoffrey miał nadzieję na jakieś zapewnienia o jego własnej niezastąpionej wartości.

– I dlatego, że teraz należysz do mnie. Dziś, jutro i tak długo, jak zechcę. Skoczysz, kiedy tylko pstryknę palcami, czy to do gardeł naszych wrogów, czy do własnego grobu. Nie pytając o nic. Totalna lojalność.

– Oczywiście, Francis. I tak ją miałeś. – Odwrócił się i ruszył do wyjścia.

– Jeszcze jedno, Geoffrey.

– Tak?

– Oddaj mi moje pióro.

[2] Potoczna nazwa Centralnego Sądu Karnego dla Anglii i Walii w Londynie (przyp. tłum.).

Rozdział 7

Niektórzy radzą lać oliwę na wzburzone wody.
Ja wolę rzucić zapałkę.

Za oknem wściekle paliło słońce, a kawa w małych filiżankach na stole była ciemna i gęsta. Gdyby nie to, gabinet ze stylowo prostymi meblami, udekorowany sztuką nowoczesną, mógłby się mieścić przy Skeppsbron, z widokiem na port w Sztokholmie. Jednak większość książek na regałach z jasnego dębu była po turecku, a dwaj znajdujący się w pokoju mężczyźni mieli ciemną karnację, podobnie jak ludzie na rodzinnych fotografiach stojących na biurku.

– Co pana sprowadziło do Nikozji w takim pośpiechu?

– Tylko głupiec zwleka z przekazaniem dobrych wieści.

Atmosfera spotkania prezesa Yakara z Tureckiej Narodowej Korporacji Naftowej oraz prezydenta Tureckiej Republiki Cypru Nuresa była dość oficjalna. Nie tylko dlatego, że nafciarz był homoseksualistą o wystudiowanych manierach, a polityk – zwalistym chłopem, operującym rubasznym językiem i humorem. Między mieszkańcem metropolii a wyspiarzem często tworzył się dystans, odzwierciedlający coś więcej niż tylko dzielącą ich odległość pięćdziesięciu mil morskich. Minęło sto lat, odkąd Osmanowie

rzządzili Cyprzem, a różnice kultur i perspektyw wzrosły. Mieszkańcy kontynentu traktowali wyspiarzy protekcjonalnie, udzielali światłych rad – czyż nie wybawili kuzynów ze szponów greckich ekstremistów, dokonując w 1974 roku inwazji, a następnie aneksji jednej trzeciej wyspy? W tym chaosie tureccy Cypryjczycy jednego dnia znaleźli się pod greckimi bagnetami, a następnego już kierowali własnym państwem. Tyle że rząd w Ankarze ciągle traktował je, jakby należało do niego.

Czas się ich pozbyć, po raz kolejny powiedział sobie Mehmet Nures. Od tysiąca lat Turcy kontynentalni, Grecy i brytyjscy imperialiści wtrącali się i podcinali skrzydła, wykorzystując wyspę jako studnię, przy której mogą ugasić palące ich ambicje. Zmienili wyspę staroświeckiej życzliwości i miliona motyli w polityczną pustynię. Może teraz nie dało się już przejść na drugą stronę lustra, wrócić do dawnych zwyczajów, czasów, gdy kopulaste cerkwie stały obok strzelistych meczetów, ale przyszła pora na zmiany. Pora, by Cypryjczycy wzięli swoje przeznaczenie we własne ręce, pora na pokój. Pytanie brzmiało – czyj?

– Mam zaszczyt przedstawić panu wstępną wersję oficjalnego raportu z ostatnich pomiarów wód przybrzeżnych, który Seismic International opublikuje za kilka dni.

Nafciarz wyjął ze skórzanej aktówki teczkę i położył ją przed Nuresem, który zaczął przeglądać jej zawartość. Składało się na nią wiele kolorowych map i esów-floresów przekrojów sejsmicznych, okraszonych technicznym żargonem, który go zdecydowanie przerastał.

– Nie traktuj mnie jak zółwia. Co to wszystko znaczy, do cholery?
Yakar obciągnął jedwabne mankiety.

– Niewiele. Jak się spodziewano, badania sejsmiczne wykazały, że pod wodami Cypru znajduje się dużo skał, a pod skałami... jeszcze więcej skał. Obawiam się, że nie jest to materiał na pełne emocji nagłówki.

– Porywające. Jestem oszołomiony.

Yakar się z nim bawił, na wilgotnych wargach błąkał mu się powściągliwy uśmiezek.

– Ale, panie prezydencie, mam jeszcze drugi raport, którego nie ma ani Seismic International, ani nikt inny, z wyjątkiem mnie. A teraz także pana.

Podał rozmówcy znacznie cieńszą teczkę, czerwoną, oznaczoną logo TNOOC.

– To znaczy, że Grecy go nie mają?

– Prędzej dałbym sobie wypruć flaki i przeciągnąć je przez Bosfor.

– A raport ten mówi...?

– Że u wybrzeży Cypru znajduje się uskok, który przechylił całą strukturę geologiczną dna morskiego na północ i zachód od wyspy. Że struktura ta w tym regionie jednak zawiera skały roponośne. A uskok sprawił, że cała ropa spłynęła do jednego wielkiego basenu, mniej więcej tutaj. – Wyciągnął rękę i dźgnął upierścienionym palcem w mapę, którą studiował Nures.

– Cholera.

– Właśnie.

Czubek wypielęgnowanego paznokcia Yakara wskazywał dokładnie tak zwane Wody Watlinga – sporny obszar morza, o który rywalizowali negocjatorzy z ramienia greckich i tureckich Cypryjczyków, a obecnie przedmiot arbitrażu prowadzonego przez komisję pod przewodnictwem brytyjskiego profesora.

Nures poczuł rozlewający się powoli po trzewiach niepokój. Całymi latami pracował na to, żeby utrzymać szale wagi pokoju w równowadze, to dokładając, to zdejmując po piórku, nie wiedział, czy chce, by teraz rzucono na nie tonę skał, roponośnych czy nie. Umowa pokojowa była dla niego ważna. Oddając tak niewiele stronie greckiej, mógł tyle zyskać dla swojego narodu – pokój, międzynarodową akceptację, prawdziwą niepodległość, dobrobyt – i może nawet Pokojową Nagrodę Nobla dla siebie. Wszystko w zamian za kawałek ziemi i skrawek wody, zupełnie bezwartościowy. Przynajmniej pozornie.

Podrapał się potężnym łapskiem po ciemnym podbródku.

– Ile jest tej ropy? – spytał, jakby każde słowo kosztowało go jeden ząb.

– Może miliard baryłek.

– Rozumiem – powiedział, ale wyraźnie jednak nie rozumiał. – Co to znaczy?

– No cóż, międzynarodowa rynkowa cena ropy to w tej chwili około dwudziestu dolarów za baryłkę. Koszt wydobycia: mniej więcej pięć. Zaokrąglając, mamy tu około piętnastu miliardów dolarów.

Nafciarz jęczał dalej o tureckim braterstwie i o tym, że TNOC powinna dostać preferencyjny dostęp, usiłując zawrzeć z prezydentem układ i ubić interes. Nures przymknął ciężkie powieki, jakby chcąc się odciąć od takiego plugastwa, ale w rzeczywistości rozważając pokusę. Miał okazję – stworzył okazję – aby odwrócić bieg historii, która wtłoczyła truciznę między wargi Cypryjczyków i skazała jego własnego syna na wychowanie w kraju strachu. Życie jego wnuka mogłoby już wyglądać inaczej.

Czy świat by mu wybaczył, gdyby naraził proces pokojowy na szwank? Czy jego naród by mu wybaczył, jeśli by nie wyciągnął ręki po ropę wartą piętnaście miliardów dolarów? Ale czy on sam mógłby sobie wybaczyć, gdyby nie spróbował sięgnąć i po jedno, i po drugie?

Sprawa była jasna.

– Panie prezesie, chyba chcemy mieć te skały.

– Panie prezydencie, też tak myślę.



Yaman Hakim miał wrażenie, że wszyscy się na niego gapią. Włożył swój najlepszy garnitur, ale ten miał skromny krój, więc wyglądał w nim niezgrabnie i dziwacznie na tle szyku i asertywności rue St. Honoré. W końcu jednak, przypomniał sam sobie, nie przyjechał tu na pokaz mody.

W pierwszej chwili myślał o dokonaniu wymiany w Stambule, gdzie w zalewie ludzkiej masy jedna samotna dusza może łatwo zniknąć, ale nawet w labiryncie suków i zadymionych bazarów władze miały swoich ludzi, informatorów, poza tym zawsze istniało ryzyko, że wpadnie na kogoś znajomego. Nie ufał swojemu szczęściu w takich sprawach. Kiedyś pojechał do Antalyi pod pretekstem uczestnictwa w sympozjum na temat energetyki, aby spędzić dwie noce z Sherif, ponętą dziewczyną z działu kadr, którą kręcili starsi mężczyźni, po czym okazało się, że pokój obok zajął jego sąsiad. Chwalić Boga, jego też sprowadziła tam podobna oszukańcza misja, co wytworzyło między nimi pewną solidarność grzeszników. Jednak Hakim wszędzie w ojczyźnie czuł na sobie wścibskie spojrzenia, a teraz gra toczyła się o coś wartego znacznie więcej niż pobaraszkowanie w pościeli.

Wybrał Paryż, ponieważ odwiedził go kiedyś, przed wielu laty, w czasie studiów, ponieważ nie było ryzyka, że zostanie rozpoznany,

i ponieważ Francuzi rozumieli, co jest w takich sytuacjach potrzebne. Anglicy byli zbyt sztywni, mieli za mocno zaciśnięte zwieracze, natomiast wszyscy Amerykanie odznaczali się kowbojską brawurą. Jeśli Hakim miał wyjść z tego żywy, potrzebował dyskrecji, partnera, któremu można zaufać, że będzie trzymał język za zębami, a dwa drinki i zachęcający uśmiech w barze w Hiltonie nie sprawią, że zacznie się chwalić informacjami. W kwestiach szpiegostwa przemysłowego, uchylania się od podatków oraz oszustw Francuzi mieli całą konieczną finesse, a także konta bankowe, których nie mogły namierzyć tureckie władze. Szkoda, że kawa u nich taka słaba.

Gnany niepokojem przyszedł za wcześnie, więc siedział w kawiarnianym ogródku, kręcąc fusami w filiżance, i czekał. W głowie tańczyły mu różne myśli – o sennych wyspach na mistycznych morzach, które skrzyły się, jakby wysadzone diamentami; o obrośniętych bugenwillą willach z widokiem na święty Bosfor, rozbrzmiewających kobiecym śmiechem; o szybach naftowych, kołyszących się w śródziemnomorskiej bryzie pod pióropuszcami czarnego złota – i o cuchnących, rojących się od szczurów murach osławionego stambulskiego więzienia Yedi Giile, gdzie niesło się echo krzyków tych, którzy zbyt późno odczuli skruchę. Dla niego jeszcze nie było za późno, nadal mógł stąd wyjść, wrócić do domu, jutro być z powrotem w biurze. Znow stać się Hakimem Zapomnianym. Człowiekiem, który dzięki swojej kompetencji i doświadczeniu samodzielnie odkrył jeden z największych skarbców surowców naturalnych w swoim życiu – bez którego ta wielka eksploracyjna przygoda nie byłaby w ogóle możliwa! Jednak kiedy już wręczał im swój raport i analizę, a pierś falowała mu z dumy, powiedzieli mu, że zrobił to wszystko w ramach normalnej pracy, za którą TNOC mu

płaciła, więc nie powinien oczekiwać żadnych podziękowań ani wyrazów uznania. I żadnych nie dostał.

Do krawężnika koło niego podjechał luksusowy citroën o nieskazitelnym czarnym lakierze. Jedna z przyciemnianych szyb się opuściła.

– Panie Hakim, tutaj. Szybko, proszę!

Jadący z tyłu volkswagen już niecierpliwie trąbił. Powiedzieli Hakimowi o kawiarni, o samochodzie nic nie mówili. Zaniepokojony, nieufny, ale wyraźnie niemający wielkiego wyboru Turek szybkim truchtem przemierzył chodnik. Otworzyły się tylne drzwi, a on opadł na głębokie skórzane siedzenie. Wyciągnęła się do niego dłoń obramowana zegarkiem ze szwajcarskiego złota.

– Bardzo mi miło wreszcie pana poznać, panie Hakim.

Uparł się, że chce się spotkać z najważniejszą szychą, osobiście, a nie dać się zbyć prawym rękom i płótkom. Potrzebował decyzji, chciał rozmawiać z człowiekiem, który je podejmował.

– Proszę wybaczyć ostrożność. Nie mogłem być pewny, czy nie miał pan... jakby to ująć?... na karku kogoś, kto by nas obserwował w tej kawiarni. Fotoreportera. Może jakiegoś konkurenta? Pomyślałem, że nieco prywatności może pomóc nam w dyskusji.

Hakim chrząknął. Mężczyzna ociekał zapachem władzy i pieniędzy, grał w zupełnie innej lidze.

– Bardzo nas zainteresował materiał, który nam pan przesłał, panie Hakim... – Były to starannie wybrane strony z raportu, okruszki mające zaostrić apetyt, za mało jednak, żeby móc się wgryźć w temat. – Zainteresował nas na tyle, że pana sprawdziliśmy. Jest pan tym, za kogo się podaje. Ale czy pański raport jest równie autentyczny?

W odpowiedzi Hakim wyjął z kieszeni marynarki pojedynczą złożoną kartkę i, zawahawszy się tylko na ułamek sekundy, pokonując ostatnie wątpliwości, podał ją rozmówcy. Była to strona z podsumowaniem raportu, podająca szacunkowy potencjał złóż pod dnem morskim.

- Fascynujące. Jak zakładam, ten materiał ma swoją cenę.
- Wysoką cenę – warknął Hakim, wyrywając kartkę z rąk Francuza.
- Ale bardzo uczciwą.

- Ile?

- Za cały raport? – Przygryzł paznokcieć kciuka. – Milion dolarów.

Drugi mężczyzna nawet nie drgnął. Patrzył Hakimowi prosto w oczy, przyglądając mu się, jakby w tej szorstkiej twarzy chciał znaleźć jakąś wskazówkę co do powodzenia interesu. Turek wyzywająco odwzajemnił spojrzenie.

- To bardzo prosta sprawa, panie Hakim. Pańskie informacje nie mają dla nikogo żadnej wartości, jeśli nie są ściśle, a dla mojej firmy są nic niewarte, jeśli nie dostaniemy licencji wydobywczej.

- Kiedy przyjdzie czas, kupicie licencję. Mając ten raport, będziecie wiedzieć, ile zapłacić i komu.

- Ten czas przyjdzie w bliżej nieokreślonej przyszłości.

- Tak się nieszczęśliwie dla pana składa, że nie jestem cierpliwym człowiekiem.

- W takim razie przejdę do konkretów. Moja propozycja, jedyna i ostateczna, wygląda tak. – W jego dłoniach pojawiła się koperta. – Ma pan tu pięćdziesiąt tysięcy dolarów za pokazanie nam raportu. Jeśli po przestudiowaniu go uznamy jego treść za autentyczną, dostanie pan kolejne dwieście tysięcy dolarów. – Uniósł rękę, żeby uciszyć wzbierający w Turku sprzeciw. – A jeśli mojej firmie uda się uzyskać

licencję i znaleźć ropę, wypłacimy panu nie jeden, lecz dwa miliony dolarów. Warto, jeśli to, co pan mówi, jest prawdą.

Teraz Turek zaczął się zastanawiać, w zdenerwowaniu skubiąc szpakowate wąsy, jakby chciał je sobie wyrwać z nad warg.

– Ale jak mogę panu zaufać?

– Panie Hakim, jak ja mogę zaufać panu? Skąd mam wiedzieć, że nie wciska pan tego samego dokumentu wszystkim moim konkurentom? Musi być między nami pewna doza wzajemnego zaufania. Proszę spojrzeć na to w ten sposób: po co miałbym próbować oszukać pana na miliony, kiedy potencjalna stawka idzie w miliardy?

Turek oddychał ciężko, próbując wspomóc procesy myślowe zwiększoną dawką tlenu.

– Jeśli pański dokument jest autentyczny, damę panu ćwierć miliona dolarów, mając tylko pańskie słowo, że to jedyny egzemplarz w obiegu. Dla mnie to kosztowny błąd, jeśli pan kłamie. – Francuz zawiesił głos.
– Ale dla pana byłby to błąd jeszcze kosztowniejszy.

– Co? – rzucił drwiąco Hakim. – Grozi pan, że mi połamię nogi?

– Bynajmniej, przyjacielu. Po prostu zawiadomiłbym tureckie władze o pańskich poczynaniach. Wyobrażam sobie, że nogi byłyby wtedy najmniejszym z pańskich problemów.

Francuz uśmiechnął się, podniósł kopertę z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów i łagodnym gestem wyciągnął ją w stronę rozmówcy.

Hakim wpatrywał się w nią, bił się z myślami, wił i szarpał, ale rozterki nie miały sensu. Było już za późno, ani sumienie, ani ostrożność nie mogły dyskutować z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów i perspektywami na znacznie, znacznie więcej. Wyjął raport z teczki z imitacji krokodylej skóry i podał go Francuzowi.

Rozdział 8

Po co zdobywać góry? Cholernie tam zimno, jedzenie wstrętne, i kto by chciał robić wszystko przywiązany liną do jakiegoś potykającego się idioty? Nie, góry nie. Lepiej zdobywać ludzi.

Cudowny wiosenny świt, pełen różowego entuzjazmu, wstał nad Londynem, ku zachwytowi większości rannych ptaszków. Mortima Urquhart nie mogła wiedzieć, że jej mąż w najmniejszym stopniu nie podziela tego zbiorowego nastroju.

– Dzień dobry, Francis. Bogowie pogody najwyraźniej się uśmiechają, żeby uczcić twoje urodziny. Wszystkiego najlepszego.

Nie ruszył się ze swojego posterunku w oknie sypialni i w pierwszej chwili rzucił w odpowiedzi tylko ciche „O rany” oraz lekko rozszerzył nozdrza. Dalej wyglądał przez okno, coś na zewnątrz przykuło jego uwagę. Wreszcie potrząsnął głową, jakby chcąc pozbyć się zarazy, która psuła mu humor.

– Co mi kupiłaś w tym roku? Kolejną wiktoriańską butelkę do gablotki? Ile to już będzie? Osiemnaście lat cholernych butelek? Wiesz, że ich nie znoszę. – W jego tonie brzmiała jednak samokrytyka, więcej ironii niż gniewu.

– Francis, sam dobrze wiesz, że nie masz zainteresowań poza polityką, a ja na pewno nie dam ci na urodziny oprawionego egzemplarza Hansardu. Dzięki tej kolekcji dziennikarzyny mają przynajmniej o czym pisać, kiedy opracowują twoją sylwetkę, a ten akurat eksponat jest dosyć uroczy. Delikatna szmaragdowozielona fiolka, która podobno należała do samej królowej. – Ściągnęła wargi, chcąc go zachęcić do jakiejś reakcji. – Mnie się w każdym razie podoba.

– Jeśli tobie się podoba, Mortimo, to i mnie.

– Już nie bądź takim zrzędą. Mam dla ciebie coś jeszcze.

Wreszcie odwrócił się od okna i usiadł naprzeciwko niej, a ona wręczyła mu małą paczuszkę z obowiązkową wstążką i kokardką. Rozpakowanie prezentu wydobyło z niego pierwsze westchnienie przyjemności.

– Rozważania o rewolucji we Francji Burke’a. I to jedno z pierwszych wydań. – Z rewerencją przesunął palcami po niewielkiej, oprawionej w skórę książce.

– Pierwsze – poprawiła. – Pomyślałam, że będzie to pionierski tom Biblioteki Urquharta.

Ujął jej dłonie.

– Jak zwykle troskliwa. I jakże stosownie, że naszą bibliotekę miałyby zapoczątkować jedna z najświetniejszych antyfrancuskich tyrad, jakie napisano. Wiesz, może mnie to zainspiruje. Ale... Muszę przyznać, Mortimo, że to gadanie o urodzinach i bibliotekach za bardzo trąci emeryturą. Nie jestem jeszcze gotowy.

– Młodzi pretendenci mogą się wydawać bardziej rączy, Francis, ale jaką mają przewagę, jeśli tylko ty znasz drogę?

– Moje życie byłoby bez ciebie takie puste i pozbawione wdzięku. – Uśmiechnął się, ale nie żartował. – No dobrze, czas wygarnąć popiół i zobaczyć, czy węgle jeszcze się żarzą. – Pocałował ją i wstał, znów przyciągnięty widokiem z okna.

– Co tam takiego jest? – zapytała.

– Nic. Na razie. Ale niedługo może być. Wiesz, że Stowarzyszenie Margaret Thatcher chce postawić pomnik baronessy na tym trawniku, o, tutaj. – Dźgnął palcem powietrze, wskazując starannie wypielegnowaną trawę za murem ogrodu Downing Street, naprzeciwko St. James's Park. – Ten widok niewiele się zmienił od dwustu pięćdziesięciu lat. W sali posiedzeń rządu wisi taka rycina i widać na niej to samo, te same cegły, te same drzwi, nawet kamienie na patio są oryginalne. A teraz chcą postawić tam cholerny pomnik.

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– I fundusz budowy zebrał już prawie pełną sumę. – Odwrócił się gwałtownie, z twarzą wykrzywioną frustracją. – Mortimo, jeśli pierwszą rzeczą, którą będę widział codziennie rano, kiedy rozsunę zasłony w sypialni, będzie ta cholerna baba, chyba padnę trupem.

– To nie dopuść do tego, Francis.

– Ale jak?

– Ona nie zasługuje na pomnik. Wyrzucona ze stanowiska, zdradzona przez własny rząd. Czy na pomniku będą te wszystkie noże, które jej wbito w plecy?

– Jednak prawie wszyscy premierzy zostają wykopani z urzędu, moja miła. Przez kolegów albo przez elektorat. Jak Cezar, zaatakowani od tyłu przez wydarzenia, których nie przewidzieli. Ambicja zaślepia przywódców, a na ludzi mniejszego formatu zsyła żądzę krwi. Żaden z nich nie wiedział, kiedy nadszedł czas, żeby odejść.

- Jest tylko jeden premier, który powinien mieć tam pomnik: ty!
Zaśmiał się, widząc jej zaangażowanie.

- Może masz rację. Ale ciało, krew i kości aż nazbyt szybko zmieniają się w kamień. Nie śpieszmy się z tym.

Sam skamieniał dwie godziny później, tak gruntownie, jakby spędził noc w objęciach Meduzy. Jego sekretarz prasowy miał w zwyczaju organizować regularne spotkania z przedstawicielami organizacji dobroczynnych – zwykłymi członkami, nie doświadczonymi liderami – i zapraszać ich na próg domu pod dziesiątką, ale nie dalej. Taka wizyta była zbyt krótka na istotny lobbying, lecz wystarczająco długa, aby pokazać przed kamerami, że premier troszczy się i przejmuje – „podbijanie krążka”, jak to określił sekretarz prasowy, entuzjasta i gracz w hokeja nazwiskiem Drabble. Od szóstej rano siedział przy biurku, robiąc przegląd porannej prasy, wybierając artykuły, które uznał za warte uwagi, i przygotowując streszczenia. Z premierem spotkał się w holu wejściowym tuż przed dziewiątą trzydzieści.

- Co mamy dzisiaj, Drabble? – zapytał Urquhart, krocząc żwawo wyłożonym czerwonym dywanem korytarzem, prowadzącym z sali posiedzeń rządu.

- Urodzinową niespodziankę, panie premierze. W tym tygodniu gościmy emerytów, przedstawiają prezentację.

Urquhart poczuł, że gdzieś w środku część jego śniadania przechodzi w stan ciekły.

- Byłem o tym powiadomiony?

- Miał pan notatkę na ten temat w swojej ministerialnej teczce, panie premierze.

- Niestety, pilniejsze dokumenty państwowe nie pozwoliły mi jej przeczytać – wykonał unik Urquhart. Niech to szlag, notatki Drabble'a były rozwlekłym nudziarstwem, a jeśli premier nie może polegać na profesjonalistach, żeby dopięli szczegóły...

Potężne drzwi się otworzyły i Urquhart wyszedł na zalany słońcem próg, zamrugał, uśmiechnął się i uniósł dłoń, by pozdrowić gapiów, jakby ulicę wypełniał wiwatujący tłum, a nie grupka zmęczonych życiem dziennikarzy, kulących się po drugiej stronie jezdni. Wokół niego skupiło się piętnastu emerytów z różnych części kraju, zorganizowanych przez Drabble'a, który teraz zaganiał ich do gromadki, do złudzenia przypominając kwokę. Mechanizm był zawsze ten sam: Urquhart pytał po kolei, jak się nazywają, słuchał z uśmiechem, choć jednocześnie z powagą, kiwał współczująco głową, po czym przechodził do następnej osoby. Zaraz gości miał porwać któryś z podwładnych Drabble'a oraz podsekretarz stanu z właściwego ministerstwa, aby uraczyć ich kawą rozpuszczalną i zrozumieniem w odpowiednio imponującym otoczeniu Whitehall. Tydzień później otrzymają fotografię, na której premier ściska im dłoń, oraz napisany na maszynie list – z jego, jak się wydawało, podpisem – z podziękowaniami za zadanie sobie trudu i odwiedzenie Downing Street. Kopie zostaną wysłane do ich lokalnych gazet. Czasami zdarzało się, że na tych spotkaniach poruszono kwestie czy indywidualne przypadki, którymi system się zainteresował. Prawie zawsze jednak większość uczestników wracała do swoich pubów i klubów, by opowiadać budujące historie o dobrej woli i życzliwości. Drobną potyczka w wielkiej wojnie o serca i głosy obywateli, ale opłacalna. Zazwyczaj.

Tego dnia Urquhart prawie już zakończył rytuał powitań, przechodząc do ostatniego członka grupy. O ogrodzenie za jego plecami opierała się duża paczka, wysoka na prawie pięć stóp, a kiedy Urquhart odwrócił się w stronę emeryta, ten przesunął pakunek do przodu. Okazało się, że jest to ogromna koperta, zaadresowana po prostu: „PAN PREMIER”.

– Wszystkiego najlepszego, panie Urquhart – zaszczębiotał emeryt.

Urquhart obejrzał się w poszukiwaniu Drabble’a, ale sekretarz prasowy stał po drugiej stronie ulicy, instruując kamerzystów. Urquhart był pozostawiony sam sobie.

– Nie otworzy pan? – zapytał inny z emerytów.

Urquhartowi wydawało się, że skrzydełko koperty ustępuje zbyt łatwo, kartka urodzinowa wysunęła się ze środka i już miał ją przed oczami.

„JESTEŚMY ZA F.U.” – wypisano dużymi czerwonymi literami na górze. Na dole zaś: „65 LAT!”.

Grupa emerytów zaczęła bić brawo, a jeden z nich, nie wyższy od samej kartki, otworzył ją, aby pokazać środek.

„WITAMY W KLUBIE EMERYTÓW” – głosił napis pretensjonalną czcionką z zawijasami. – „W EMERYTACH SIŁA!”. Całość ozdobiono krzyżującymi się laskami.

Oczy Urquharta stały się szkliste jak marmur. Fotografom rzadko zdarzało się widzieć tak szeroki, a jednocześnie tak nieruchomy uśmiech premiera, jakby ktoś wykłuł mu go dłutem. Nie zmienił wyrazu twarzy, kiedy przeszedł przez ulicę, kierowany bardziej pragnieniem dorwania w swoje ręce tego parszywego Drabble’a niż chęcią poddania się rytuałowi przekomarzania z prasą.

Chór życzeń urodzinowych mieszał się z okrzykami: „Ogłosisz już przejście w stan spoczynku, Francis?” oraz „Będzie pan pobierał emeryturę?”. Na zmianę kiwał i kręcił głową. Nastrój był wesoły, a Drabble kipiał entuzjazmem. Dureń nie miał pojęcia, co narobił.

– Czy w wieku sześćdziesięciu pięciu lat nie jest pan za stary na tak wymagającą pracę? – spytała kobieta o ściągniętej twarzy, podsuwając mu pod nos dyktafon.

– Churchill wyraźnie tak nie uważał. Miał sześćdziesiąt pięć lat, kiedy zaczynał.

– Amerykański prezydent ma tylko czterdzieści trzy – dobiegł inny głos z tłumu.

– A chiński ponad dziewięćdziesiąt.

– A więc na razie nie będzie dyskusji o emeryturze?

– Nie w tym tygodniu, mam po prostu zbyt napięty grafik.

Urquhart odpierał grad ich zajadłych strzał z pozornie dobrym humorem. Udało mu się nawet zaśmiać, by pokazać, że nie poczuł się dotknięty. Polityka to być może najokrutniejsza, najmniej miłosierna forma zrytualizowanego znęcania się dozwolona przez prawo. Trik polega na tym, by udawać, że nie boli.

– A co pan myśli o dzisiejszym sondażu? – To Dicky Withers z „Daily Telegraph”, stary wyjadacz, znany z ukrywania przenikliwego instynktu za zwodniczo przyjacielskim kuflem guinnessa.

– Sondażu?

– Tak, tym, który dziś zamieściliśmy.

Drabble rozpoczął dziwny, nieprzewidziany programem taniec, przeskakując z nogi na nogę, jakby testował rozżarzone węgle. Nie włączył sondażu do swojej prasówki, podobnie jak pominął niepowściągliwy wstępniak w „The Minor”, zatytułowany „PORA

ODEJŚĆ”. Jezu, facet miał urodziny, jeden dzień w roku, kiedy się świętuje, kiedy można się trochę zrelaksować. I wcale nie chodziło o to, że Drabble był niereformowalnym potakiwaczem, tylko po prostu bardziej do niego przemawiały argumenty za ostrożnością – zbyt często posłańców, którzy śpieszyli się, by przynieść złe wieści z pola bitwy, oskarżano o dezercję i rozstrzeliwano.

– Czterdzieści trzy procent zwolenników waszej własnej partii uważa, że powinien pan odejść na emeryturę przed następnymi wyborami – rozwinął temat Withers.

– Co oznacza, że istotna większość nalega, bym został.

– A najpopularniejszą osobą typowaną na pana następcę jest Tom Makepeace. Czy chciałby pan, żeby to on przejął pałeczkę, kiedy już przyjdzie czas?

– Mój drogi Dicky, kiedy przyjdzie czas, jestem pewien, że Tom rozstrzygnie tę kwestię z wieloma innymi dobrze rokującymi osobami, z kierowcą autobusu włącznie.

„MAKEPEACE = KIEROWCA AUTOBUSU” – zanotował Withers, wyłapując niepochlebne porównanie.

– Czyli zamierza pan trwać i trwać, i trwać?

– Można by tak powiedzieć – zaczął Urquhart – ale wołałbym nie ujmować tego w ten sposób. Cieszę się kolejną udaną kadencją i chociaż nie jestem pazerny na władzę, dopóki mam sprawny umysł i zęby, i mogę jeszcze służyć krajowi...

– Co pan zamierza robić, kiedy w końcu przejdzie pan na emeryturę, panie Urquhart? – Ściągnięta Twarz znów wycelowwała w niego dyktafon.

– Robić? – Wyraz wymuszonej pogody na jego twarzy zmienił się w niepewność. – Robić? Cóż, pewnie być udręczonym i ponurym jak

cała reszta. A teraz proszę mi wybaczyć, panie i panowie. Mam posiedzenie rządu.

Odwrócił się i wycofał, jak miał nadzieję – z godnością, na drugą stronę ulicy. Jak lew, który wraca do swojej jaskini, machając złowrogo ogonem, stwierdził w duchu Drabble. Nie zdecydował się pójść za nim.

Urquhart wpadł na żonę, gdy wychodziła z windy prowadzącej do ich prywatnego apartamentu.

– Wszystko poszło dobrze? – zapytała, zanim zauważyła jego spojrzenie.

– Mówią, że pora na zmiany, Mortimo – fuknął, zgrzytając zębami.
– To dam im zmiany. Począwszy od tego cholernego idioty, sekretarza prasowego.



„Zdumiewające – pomyślał Urquhart, kiedy członkowie rządu zajmowali miejsca przy wielkim stole – jak politycy zaczynają upodabniać się do swoich okręgów wyborczych”.

Annita Burke, na przykład, rozwijające się bez planu żydowskie przedmieście, pełne pogmatwanych jednokierunkowych ulic. Richard Grieve – zapuszczony nadmorski deptak (który kiedyś obkleił plakatami wyborczymi obwieszczającymi „GRIEVE FOR RUSHPOOL”, co znaczy także „Opłakujcie Rushpool”, i jakoś udało mu się zatrzeć skutki tego błędu). Arthur Bollingbroke – prosty pub dla klasy robotniczej, z ostrym zapachem piwa bitter Federation. Colin Catchpole, poseł z londyńskiej gminy City of Westminster – rumiana twarz przywodząca na myśl architektoniczny styl katedry westminsterskiej z czerwonej cegły, natomiast inne części jego anatomii podobno często przebywały w zaułkach Soho. Geoffrey Booza-Pitt – tak, Geoffrey, lipny showman w sam raz dla lipnego

miasta na pokaz, jakim jest New Spalden. Oboje z klasy średniej i całkowicie sfabrykowani, bez korzeni i historii – przynajmniej takiej, do jakiej Geoffrey chciałby się przyznać. Urodził się jako zwykły panicz Pitt, syn księgowego z problemem alkoholowym. W szkole Geoff wymyślił sobie dwuczłonowe nazwisko i jakieś mityczne południowoafrykańskie korzenie, żeby wyjaśnić pogmatwane plotki o ojcu, zasłyszane przez znajomych w miejscowej kawiarni. I się przyjęło, jak tyle innych pełnych inwencji bajek o jego pochodzeniu oraz osiągnięciach. Nie da się nabierać wszystkich przez cały czas, ale niektórych i owszem, a Geoffrey uznał, że to wystarczy.

Był jeszcze Tom Makepeace. Z topornym humorem mokradel Anglii Wschodniej, uporem jej gliniastych gleb i tendencjami do moralizatorstwa odziedziczonymi po purytańskich przodkach. Był absolwentem Eton obdarzonym wrażliwością społeczną, którą Urquhart przypisywał nadmiernie rozwiniętemu poczuciu winy: niezasłużenie uprzywilejowany w poszukiwaniu niewiadomego celu. Makepeace miał niewątpliwy talent, ale nie był ulepiony z tej samej gliny co Urquhart, dlatego właśnie został umieszczony w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie jego upór i toporny humor mogły przysłużyć się Wielkiej Brytanii i pomóc bronić sprawy w męczących instytucjach Brukseli, a jego moralizatorstwo niewiele mogło zaszkodzić.

Gabinet Urquharta.

– I mało które z was skupia się na tym, co najważniejsze, jeśli mam być szczery.

Atmosfera była podminowana. Drabble gdzieś przepadł, duch jego szaleństwa nie został jeszcze wypędzony.

– Musimy kończyć za dziesięć minut, muszę być w pałacu na przyjazd sultana Omanu. – Potoczył powoli wzrokiem wzdłuż długiego stołu. – Mam nadzieję, że będzie to większy sukces niż początek poprzedniej wizyty państwowej.

Utkwił spojrzenie w Annicie Burke, minister ochrony środowiska. Była Żydówką i kobietą, co oznaczało, że drzwi do władzy były dla niej zamknięte na podwójny zamek. Przeszła się przez ten most zwodzony czystą żywołowością, ale teraz siedziała sztywno, z opuszczoną głową. Najwyraźniej coś leżącego przed nią na stole stało się nagle bardzo ważne, monopolizując jej uwagę.

– Tak, to była wielka szkoda, pani minister. Prawda?

Burke, jedyna kobieta w rządzie, podniosła wyzywająco głowę, ale zabrakło jej słów. Czy to była jej wina? Od miesiąca planowała wielką kampanię mającą promować zalety i obalić kiczowate mity narosłe wokół stolicy kraju. Piarowcy w swoich zakątkach i przy cichych stolikach w najlepszych restauracjach Londynu przestudiowali runy i wydali decyzję – zorganizowano konferencję prasową oraz występ orkiestry dętej, zebrano flotę mobilnych billboardów i wydrukowano siedem milionów ulotek, które miały być rozdane w całym mieście w dniu startu kampanii.

„JESZCZE WSPANIALSZE MIASTO”.

Nie przewidzieli – nie mogli przewidzieć, nieważne, ile kawałków karmionych kukurydzą kurczaków i dzikich szkockich łososi złożyliby w ofierze – że ten dzień zbiegnie się z najbardziej katastrofalną awarią londyńskiej kanalizacji. Zawalił się cały odcinek wiktoriańskiej murarki, wskutek czego zalane zostało metro i padła elektryczna sieć sterowania. Zawiodły zwrotnice, a także poczucie humoru. Milion wściekłych mrówek-pasażerów wysypało się na ulice, tworząc zator,

który rozlał się poza miasto, na wszystkie główne drogi dojazdowe. Na jednej z nich, autostradzie M4 z lotniska Heathrow, stał przybyły właśnie z wizytą prezydent Meksyku, który spodziewał się czterdziestu minut jazdy na spotkanie z królewskimi i politycznymi dygnitarzami, już czekającymi na niego w pałacu Buckingham. Ale na autostradzie nic się nie ruszało. Ciągnięte przez ciężarówki billboardy utknęły i zostały pomazane. Większość ulotek porzucono, niedostarczone, w zaułkach. Konferencję prasową odwołano, orkiestra dęta się nie pojawiła. Meksykański prezydent dotarł po ponad trzech godzinach.

Był to dzień, w którym godność stolicy umarła, utopiona w strugach gniewu i ścieków. Klęska wymagała kozła ofiarnego, a nazwisko „Burke” tak dobrze mieściło się w nagłówkach tabloidów.

– Wielka szkoda – zgodziła się teraz pani minister z Urquhartem, na nowo czując wstyd. – Idy były przeciwko nam.

– Ma pani nowy pomysł, jak odbudować naszą reputację troskliwych ekologów. Dyrektywa o świeżym powietrzu. Artykuł 188. – W jego ustach brzmiało to tak, jakby odczytywał listę zarzutów.

– Bezpieczeństwo i higiena pracy. Zanieczyszczenia sensoryczne.

– Zapachy.

– Tak, jeśli pan woli.

– A my jesteśmy im przeciwni, czy tak?

– Komisja Europejska zaproponowała, żeby wszystkie miejsca pracy w miastach były monitorowane pod kątem nadmiernych zanieczyszczeń sensorycznych, a firmy, które nie spełniają ustalonych norm, podlegały surowym karom.

– Wie pani, na końcu mojej ulicy jest taka indyjska knajpa... – zaczął Bollingbroke w swoim zwykłym prząsnym stylu, ale Urquhart zaraz go zgasił.

- Wyczyścić albo zamknąć. I pani to poparła.

- Całym sercem. Czystsze powietrze, lepsze środowisko. Spełniamy w ten sposób nasze zobowiązania z programu wyborczego i mamy gotową odpowiedź dla tych, którzy twierdzą, że wleczeni jesteśmy w ogonie Europy. - Dla podkreślenia swoich słów postukała długopisem w podkładkę leżącą przed nią na stole, zdradzając swoje podenerwowanie. Urquhart był w wyjątkowo kwaśnym humorze.

- Czy była pani kiedyś w Burton-on-Trent, pani minister?

- Przez dwa dni, kiedy miałam szesnaście lat, na symposium dla licealistów. - Błysnęła ciemnymi oczami. Nie pozwoli mu traktować się z góry.

- Od tamtej pory niewiele się zmieniło. Wciąż ma pięć browarów i fabrykę marmite'u. W upalny letni dzień na głównej ulicy może być nie do wytrzymania.

- Właśnie o to chodzi, panie premierze. Jeśli nie zmusimy ich do posprzątania i przestrzegania przepisów, sami nie kiwną palcem.

- Ale całe miasto żyje z piwa i marmite'u. Wszystko się na tym opiera, ich miejsca pracy, gospodarka, śniadanie i podwieczorek, jak sądzę. I nie muszę chyba pani przypominać, że piwowarzy należą do najwierniejszych korporacyjnych stronników partii.

Minister środowiska uświadomiła sobie, że dwóm jej kolegom, siedzącym po obu jej bokach, chociaż nadal pozostali w tych samych fotelach obitych bordową skórą, w jakiś sposób udało się od niej odsunąć, jakby się bali, że oberwą rykoszetem.

- A pani by im zamknęła browary. Wymazała całe miasto z mapy. Mój Boże, nawet Göringowi się to nie udało.

- To europejska dyrektywa, którą jesteśmy zobowiązani...

– A ile miast zamkną ci zatraceni Francuzi? W sierpniu cały Paryż cuchnie, kiedy poziom wody opada. Nic dziwnego, że wszyscy uciekają nad morze i zostawiają miasto na pastwę turystów.

– To wspólna decyzja, wypracowana po dokładnych analizach w Brukseli. Nasza przyszłość wiąże się z Europą i jej...

Proszę, znów wjechała w tę swoją jednokierunkową ulicę, i to pod prąd.

– Pieprzyć Brukselę. – Nie mógł dłużej powstrzymać pogardy, ale nie podniósł głosu, aby nikomu się nie wydawało, że stracił panowanie nad sobą. – Stała się jednym wielkim biurokratycznym burdelem, gdzie cała kontynentalna Europa przyjeżdża dymać się nawzajem za tyle forsy, ile tylko się da.

Bollingbroke stukał knykciami w stół na znak aprobaty, demonstrując, czym jest lennikiem. Indyjska knajpa uratowana.

– Gdyby spędził pan tam tyle czasu co ja, panie premierze, zdawałby pan sobie sprawę, jak... – poszukała odpowiedniego słowa, zastanowiła się, rozważyła konsekwencje i poszła na kompromis – ... przesadzony jest ten opis. – Pewnego dnia, i to już niebawem, obiecała sobie, przestanie ukrywać, jak bardzo

zdecydowane ma poglądy. Nie pozwoli się wykastrować jak większość mężczyzn siedzących przy tym stole. Była jedyną kobietą, Urquhart nie ośmielił się jej wylać. Prawda? – Ta dyrektywa dotyczy fabryk chemicznych, rafinerii i...

– I targów rybnych, i kwaciarni! Pani minister, będę wyrażał się jasno. Nie pozwolę przepchnąć takich eurononsensów za moimi plecami.

– Panie premierze, wszystkie szczegóły znalazły się w obszernym dokumencie wyrażającym stanowisko negocjacyjne, który

przedstawiłam panu dwa tygodnie przed tym, jak Rada Ministrów w Brukseli zatwierdziła dyrektywę. Nie bardzo wiem, co jeszcze mogło być potrzebne.

– Instynkt. Polityczny instynkt – odparł Urquhart, ale uznał, że pora się wycofać i przejść dalej. – Nie można ode mnie oczekiwać, że wyłapię każdy najdrobniejszy szczegół zagrzebany gdzieś w jakimś dokumencie strategicznym – zaripostował, lecz zepsuł efekt, szukając po omacku okularów do czytania, aby móc odcyfrować następny punkt obrad.

Co popchnęło Makepeace'a do włączenia się do potyczki, nawet jemu samemu trudno było stwierdzić. Interweniowanie leżało w jego naturze. Był przyjacielem Annity, a także zagorzałym zwolennikiem Unii, więc nie podobały mu się argumenty i zachowanie Urquharta. Może czuł, że skoro zajmuje jedno z czterech najwyższych rangą stanowisk w rządzie, ma na tyle silną pozycję, by załagodzić konflikt, rozładować atmosferę, lać oliwę na wzburzone morze.

– Proszę się nie martwić, panie premierze – rzucił żartobliwym tonem, kiedy Urquhart poprawiał okulary. – Od dzisiaj wszystkie rządowe dokumenty każemy drukować z podwójnym odstępem.

Oliwa wybuchła. Zabrzmiało to tak, jakby Makepeace oskarżał Urquharta o – co właściwie? Że jest za stary? Zbyt zniedołężniały, by podołać? Że jego czas mija? Urquhart, którego poczucie humoru zawiodło na całej linii, zbyt wyraźnie słyszał w tym echo żądań zmian. Wstał z tak gwałtowną złością, że jego fotel odjechał do tyłu po dywanie.

– Nie łudź się, że jeden sondaż daje ci specjalne przywileje – wycedził.

Powiało chłodem, powietrze nagle wyjątkowo się rozrzedziło. Makepeace miał trudności z oddychaniem. Scena w sali posiedzeń zastygła w żywy obraz głębokiej urazy, który zdawał się trwać tyle, co kilka długich politycznych karier i przez cały ten czas nabierał wyrazistości. Powoli Makepeace także wstał.

– Panie premierze, proszę mi wierzyć, że nie miałem zamiaru...

Pozostali wykorzystali okazję. Skoro premier i jeden z najważniejszych ministrów wstali, musiało to oznaczać koniec posiedzenia, szansę na zakończenie tej niezwykle kłopotliwej sytuacji. Zaszleściły papiery i tak szybko, jak tylko wydawało się to eleganckie, członkowie rządu wyszli, nie zamieniając z sobą ani słowa.

Urquhart był zły. Na życie, na Drabble'a, Burke i Makepeace'a, na całą tę zgraję, ale przede wszystkim na siebie. Wśród „kolegów z rządu” obowiązywały pewne zasady, dotyczące nawet tych, którym na ramieniu, jak wygłodniały jastrząb, siedziała ambicja.

„Czcij kolegów swoich, gdy znajdują się w zasięgu twojego głosu”.

„Nie daj się przyłapać na mówieniu fałszywego świadectwa przeciw koledze swemu”.

„Nie pożądam sekretarki kolegi swego ani stanowiska jego (żona, w niektórych przypadkach, jest dopuszczalnym obiektem)”.

„Publicznie zawsze życz swym kolegom, by żyli długo i szczęśliwie”.

Urquhart złamał te zasady. Stracił panowanie nad sobą i tym samym kontrolę nad sytuacją. Posunął się znacznie dalej, niż zamierzał, wykazał karygodną arogancję, ranił dla samego bólu, a nie w jakimś celu. Wyrządzając szkodę innym, zaszkodził także sobie. Trzeba było to naprawić.

Najpierw jednak musiał się wysikać.

Idąc pośpiesznie do łazienki przy sali posiedzeń, koło rzeźby Henry'ego Moore'a, tak podziwianej przez Mortimę, zobaczył ponurego Makepeace'a, którego pocieszał jeden z kolegów. Zwierzyna Urquhartowi nie uciekła i oto nadarzała się okazja, aby opatrzyć rany i wyjaśnić żale na osobności.

– Tom! – zawołał, machając do ministra, który z wyraźną niechęcią porzucił towarzystwo kolegi i ruszył z uporem w stronę sali posiedzeń. – Proszę cię na słówko, Tom – powiedział Urquhart ze zdawkowym, symbolicznym uśmiechem. – Ale najpierw muszę się udać na stronę.

Premier odczuwał znaczny dyskomfort, całe to napięcie i wypita rano herbata dały mu się we znaki. Zniknął w toalecie, lecz Makepeace nie poszedł za nim, został i kręcił się przed drzwiami. Urquhart miał raczej nadzieję, że minister wejdzie, przed pisuarem nie ma mowy o ceremoniale i zaznaczaniu autorytetu, więc jest to idealne miejsce do rozmów na bazie równości, do pogadania jak mężczyzna z mężczyzną. Ale Makepeace nigdy nie był naprawdę członkiem klubu, zawsze z dystansem, trzymał się z boku. Tak jak teraz, czaił się przed wejściem niczym uczeń czekający na wezwanie do gabinetu dyrektora, niech go szlag.

I niech szlag trafi to draństwo. Urquhart czuł, że rozsadza mu pęcherz, ale im bardziej się starał, z tym większym uporem reagował jego organizm. Zamiast odpowiedzieć na krytyczną, nagłą sytuację, jakby się zaciął, ograniczając się do skąpego pokapywania. Czy wszyscy mężczyźni w jego wieku cierpią takie poniżenie? – zastanawiał się. To jakiś absurd – szybciej, na litość boską! – ale szybciej się nie dało. Urquhart z uwagą obejrzał porcelanę, następnie sufit, skoncentrował się, zaklął, zapisał sobie w pamięci, żeby skonsultować się z lekarzem, lecz nic nie skłoniło jego organizmu do

pośpiechu. Cieszył się, że jednak Makepeace do niego nie dołączył, byłby świadkiem jego upokorzenia.

Prostata. Dolegliwość staruszka. Fizjologiczny mechanizm, który stracił kontakt z wolą.

– Tom, złapię cię później – zawołał przez drzwi, wiedząc, że później będzie za późno. Usłyszał szuranie kroków na zewnątrz. Makepeace wycofał się bez słowa, zabierając z sobą urazę. Dogodny moment przepadł, okazja wymknęła się z rąk. Kolega zmienił się może w przeciwnika, może w śmiertelnego wroga.

– Niech cię cholera, no dawaj! – zaklął, ale na próżno.

A kiedy wreszcie skończył, odpiął spinki do mankietów i zawiązał rękawy, żeby umyć ręce, przyjrzał się sobie uważnie w lustrze. Wewnętrznie wciąż czuł się trzydziestokilkuletnim mężczyzną, lecz twarz się zmieniła, obwisła, pokryła przebarwieniami, wypłowiła jak zimowe niebo, gdy znika z niego słońce. Oczy były bardziej podkrążone niż niebieskie, kości czaszki miejscami zdawały się przebijać przez coraz cieńszą skórę. Rysy jego ojca. Tej bitwy nigdy nie mógł wygrać.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Francis.



Booza-Pitt nie wahał się ani chwili. W wielu kwestiach był drobiazgowym, wręcz pedantycznym planistą, który dzielił współpracowników i znajomych na tabele ligowe o różnej randze, zasługujące na różne sposoby traktowania. Pierwsza liga składała się z tych, którym udało się wspiąć na sam szczyt swojej zawodowej lub społecznej góry, albo którzy byli tego szczytu wyraźnie bliscy. Ci co roku otrzymywali kartkę na Boże Narodzenie, spersonalizowany symboliczny drobiazg dla żony lub partnerki (absolutnie żadnych

gejów), zaproszenie na przynajmniej jedną ze starannie przez niego wybranych imprez towarzyskich, i byli otaczani specjalną atencją, co zostało zapisane w komputerze jego osobistej sekretarki. Śmietanka. Dla tych z drugiej ligi, którzy nadal byli w trakcie pokonywania niebezpiecznych górskich zboczy, nie miał ani symbolicznych drobiazgów, ani atencji. Trzecia liga składała się z młodych ludzi z perspektywami, którzy na razie trenowali na pagórkach i dostawali tylko świąteczną kartkę na zachętę. Czwarta liga, obejmująca większość ludzkości, która nigdy nie znalazła się w rubrykach plotkarskich i zadowalała się w życiu po prostu wygodnym siedzeniem i podziwianiem widoku, dla Geoffrey'a nie istniała.

Annita Burke należała oczywiście do pierwszej ligi, ale właśnie napotkała kamienną lawinę, która prawdopodobnie zrzuci ją do czwartej. Dopóki jednak nie wylądowała na dnie wąwozu, wciąż miała pewną wartość. Stała teraz z boku w wyłożonym czarno-białymi płytkami holu wejściowym Downing Street numer 10, usiłując się uspokoić i przygotować duchowo na konfrontację ze światem zewnętrznym, kiedy Geoffrey chwycił ją za ramię.

– To było okropne, Annito. Musisz być strasznie zła.

Nie odezwała się, ale jej oczy mówiły same za siebie.

– Trzeba ci jakoś poprawić nastrój. Może kolacja dziś wieczorem?

Rozpogodziła się na to niespodziewane wsparcie. Skinęła głową.

– Odezwę się. – Z tym zapewnieniem zniknął.

Jakieś kameralne miejsce, sprzyjające plotkom, myślał – warto będzie szarpnąć się na boks w Wiltons – gdzie można dolać oliwy do ognia zranionych uczuć i odwetowych oskarżeń, a w jego białym żarze wykuć narzędzia politycznej walki, zdradzone tajemnice, prywatny

wywiad i złośliwości, które wzmocnią jego i osłabiają innych. Bo ci, którzy mieli zaraz zginąć, na ogół woleli być wieszani w towarzystwie.

Kolacja i plotki, nic więcej, mimo że Annita może okazać się bezbronna i uległa. Minęło ponad piętnaście lat, odkąd spędzili popołudnie na łózkowych igraszkach w hotelu w Felixstowe, zamiast w ratuszu na drugim dniu kongresu młodzieżówki partii i debacie o głodzie w Trzecim Świecie. Dla obojga było to bardzo żywe wspomnienie, podobnie jak dla zaskoczonej pokojówki, ale jedynie wspomnieniem powinno pozostać. Teraz chodziło o interesy.

Poza tym, pomyślał Geoffrey, nekrofilia komplikuje nagłówki.

Rozdział 9

Zaufam mu, kiedy będę trzymał w ręku jego prochy.

Mieściła się w jednej z bocznych uliczek Islington, w miejscu, gdzie śródmieście zaczyna ustępować rozległym połaciom północnego Londynu, niedaleko przeseł mostu kolejowego, uginających się i jęczących pod ciężarem zatłoczonych pociągów podmiejskich, które zaczynały tu swoją podróż wzdłuż wschodniego wybrzeża. W dzień ulica roiła się od samochodów, kipiała od zgiełku sprzeczek i przekomarzań dobiegających z targowiska, ale nocą, słabo oświetlona, mogła uchodzić za wyjętą żywcem ze stron powieści Dickensa, szczególnie podczas mżawki. Głębokie cienie i ciemne zaułki sprawiały, że ludzie niechętnie zapuszczali się w te strony, chyba że mieli jakiś interes. A na tej ulicy, jeśli robiło się interesy po zmierzchu, to najprawdopodobniej z Evanghelosem Passolidesem.

Jego maleńka restauracja kryła się za grubymi, zaciągniętymi kotarami oraz wiszącą w brudnym oknie tabliczką, obwieszczającą głośno i niezyczliwie, że lokal jest zamknięty. Nie było żadnego menu ani ciepłego oświetlenia. Knajpa wyglądała tak, jakby od wielu miesięcy nikt tu nie zaglądał, tylko próg był porządnie wyszorowany,

ale niewielu z pośpiesznie przemykających tędy przechodniów by to zauważyło. „Vangelis”, jak go nazywano, był lokalem nierzucającym się w oczy, o co zresztą chodziło. Wstęp mieli tu tylko znajomi lub osoby przez nich rekomendowane, a już na pewno nikt, kto w tym czy innym życiu mógł być przedstawicielem lokalnych władz albo Urzędu Celnego. Dla takich ludzi „Vangelis” pozostawał na zawsze zamknięty, podobnie jak jego księgi. Dzięki temu wokół pięciu stolików przykrytych spłowiałymi obrusami, z papierowymi serwetkami we wzór gałązek ostrokrzewu, pozostałych z jakiejś dawnej Gwiazdki, panowała kameralna, niemal konspiracyjna atmosfera.

Maria Passolides, nauczycielka z podstawówki, patrzyła, jak jej ojciec, grecki Cypryjczyk po sześćdziesiątce, pokuśtykał z powrotem do mikroskopijnej otwartej kuchni, gdzie sękatymi palcami, nie żałując świeżego soku z cytryny, zmieniał nabyte rano na targu produkty w dania ze świeżego kraba, jagnięciny, prosiąt, serc karczochów i przepiórczych jaj. Maleńka tawerna była dla Passolidesa nie tyle firmą, ile po części hobby, po części kryjówką, a Maria wiedziała, że ojciec chce teraz pozostać w ukryciu bardziej niż kiedykolwiek. Niewielkie pomieszczenie było wypełnione aż do granic chaosu starociami, pamiątkami po dawnych czasach. Na ścianie wisiała rybacka sieć, a na niej fotografie z autografami greckich celebrytów, z których większości nie było już w szeregach sław, ani nawet wśród żywych. Na zagraconych półkach talarze ozdobione scenami przedstawiającymi trojańskich myśliwych walczyły o panowanie z gipsowymi Afrodytami oraz batalionem najróżniejszych kieliszków i szklanek. Na drzwiach przybito poobijany hełm armii brytyjskiej.

Wojskowych pamiątek było tu w bród – telefon polowy, lornetka odrapana prawie do gołego metalu, wystrzępiony i mocno spleśniały błękitny materiał greckiej flagi. Nawet trójkolorowy sztandar Republiki Irlandii.

W honorowym miejscu na głównej ścianie wisiał prymitywnie namalowany portret Winstona Churchilla, ze sterczącym wyzywająco z ust cygarem i palcami uniesionymi w geście zwycięstwa. Pod spodem na białej kartce nagryzmołono słowa, które w sercach Greków uczyniły go poetą równym Byronowi: „Uważam to za naturalne, że naród Cypryjczyków, będących z pochodzenia Grekami, postrzega przyłączenie się do swojej, jak można ją nazwać, ojczyzny jako ideał, który należy szczerze, gorąco i żarliwie podzielać...”.

Nie był to jedyny portret na tej ścianie. Obok stała fotografia młodego mężczyzny w koszuli z rozpiętym kołnierzykiem, patrzącego prosto w obiektyw, ze skrzywionymi wargami, na tle chropowatego muru. Nie była podpisana, bo Michalis Karaolis nie potrzebował podpisu. Zdolny chłopak ze wsi, wykształcony w English School. Młody urzędnik skarbowki w kolonialnej administracji, który został bojownikiem EOKA. Ostatnie zdjęcie, zrobione w więzieniu w Nikozji dzień przed tym, jak Brytyjczycy go powiesili.

„Vangelis”.

Odkąd kilka lat temu pochował żonę, Evangelos Passolides coraz bardziej pogrążał się w przeszłości. Po ponurych dniach następowały długie noce snucia wspomnień przy świecach ze starymi towarzyszami, którzy znali jego historię, i młodymi, którzy mieli ochotę słuchać, chociaż liczba i jednych, i drugich kurczyła się wraz z upływem kolejnych miesięcy. Zatrzasnął się w kapsule czasu, gorzkie wspomnienia skręcały zarówno jego duszę, jak i ciało. Był teraz

zgarbiony, a ból w paskudnie złamanej kiedyś nodze, przez którą kulał całe dorosłe życie, zaczął mu wyraźnie bardziej dokuczać. Marii wydawało się, że ojciec gaśnie w oczach, jakby kwas zżerał go od środka.

Wieści o pokoju, który miał zapanować na jego wyspie, tylko pogorszyły sprawę.

– To nie mój pokój – mruknął ze swoim silnym akcentem. Walczył o zjednoczenie, Enosis, o połączenie wszystkich Greków z ojczyzną – jeden język, jedna religia, jeden rząd, nieważne jak niekompetentny i skorumpowany, byleby to był nasz rząd. Ryzykował życiem, by do tego doprowadzić, aż do dnia, kiedy po upadku z górskiego zbocza z trzydziestofuntowym móżdżkiem przywiązany do pleców złamane kości przebiły goleń, a staw kolanowy został unieruchomiony na zawsze. Jego nazwisko figurowało na liście poszukiwanych przez Brytyjczyków, więc na leczenie w szpitalu nie było szans. Miał szczęście, że w ogóle uratował nogę, w takim czy innym stanie. Upadek złamał mu także ducha, zostawił życie utopione w żalu, w samooskarżeniach, że on razem z tą pokiereszowaną kończyną zawiódł swoich ludzi, że nie dość się starał. A teraz mieli na zawsze podzielić jego ukochaną wyspę, oddać połowę Turkom, i jakoś czuł, że to wszystko jego wina.

Musiła mu znaleźć jakąś odskocznnię od tych wyrzutów sumienia, jakiś sposób ukierunkowania tej pasji, albo siedzieć i patrzeć, jak jej ojciec gaśnie w oczach.

– Kiedy wyjdiesz za mąż? – zaczął znowu zrzędzić, przechodząc koło niej z talerzem marynowanej ryby chwiejnym, przesadnie rozkołysanym krokiem marynarza. – Rodzina nic dla ciebie nie znaczy?

Rodzina, jego stały refren, dumnego cypryjskiego ojca skupionego na swoim jedynym dziecku. Z mlekiem matki wyssała opowieści o górach i wiosce, o mistycznych początkach i szepczących lasach, o namiętnościach, szaleństwach i dzielnych przodkach – nic dziwnego, że nigdy nie znalazła mężczyzny, który mógłby się z tym równać. Pisane jej było życie rozświetlone blaskiem legendy, a po ulicach północnego Londynu legend chodziło niewiele, nawet dla takiej ciemnookiej i ciemnowłosej piękności jak ona.

Rodzina. Kiedy ugryzła kawałek chłodnej surowej rzepy i poczuła smak soli, którą warzywo było posypane, w głowie zaczął jej się wykluwać pewien pomysł.

– Baba... – Wyciągnęła rękę i dotknęła jego szorstkiej dłoni. – Usiądź na chwilę. Porozmawiajmy.

Burknął coś pod nosem, ale wytarł ręce w fartuch i zrobił to, o co prosiła.

– Wiesz, że uwielbiam twoje historie o dawnych czasach, o tym, jak się żyło w wiosce, opowieści, które twoja matka snuła zimą przy kominku, gdy sypał gęsty śnieg i zamarzała studnia. Może byśmy je spisali, te twoje wspomnienia. O twojej rodzinie. Dla mojej rodziny, kiedy już będę ją miała. – Uśmiechnęła się.

– Ja niby mam pisać? – burknął z niesmakiem.

– Nie, mówić. I wspominać. Ja zajmę się resztą. Wyobraź sobie, jakby to było, gdybyś mógł przeczytać historię Papou, twojego dziadka, a nawet jego dziadka. Dawnego stylu życia w górach prawie już nie ma, może moje własne dzieci nie będą mogły go doświadczyć, ale chcę, żeby mogły je poznać. Wiedzieć, jak to było. Jak ty żyłeś.

Zmarszczył brwi, lecz na razie nie wyraził sprzeciwu.

- Będzie fajnie, Baba. Ty i ja. W lecie, kiedy w szkole będą wakacje. Mielibyśmy pretekst, żeby jeszcze raz tam pojechać. Od lat nie byliśmy. Ciekawe, czy ta stara szopa, którą zbudował twój ojciec, jeszcze stoi za domem i czy rośnie winorośl posadzona przez twoją matkę. I czy naprawili to okno w kościele, które zbiliście z braćmi. - Śmiała się, tak jak śmiali się kiedyś razem, przed śmiercią jej matki. Ojciec zapatrzył się w dal nieobecny wzrokiem, a Marii wydało się, że dostrzega w jego oczach błysk żaru ozywającego w popiele.

- Moglibyśmy odwiedzić stare rodzinne groby - szepnął. - Sprawdzić, czy wciąż są odpowiednio zadbane.

I odprawić egzorcyzmy, wypędzić kilka duchów, pomyślała. Spisując to wszystko, oczyszczając się z winy, wpuszczając światło i uwalniając demony, które ukrywał w środku.

Pociągnął nosem, jakby już poczuł zapach pinii.

- Chyba nic by to nie zaszkodziło. - Była to jego pierwsza od miesięcy wypowiedź choć trochę przypominająca entuzjazm.

Rozdział 10

Nie widzę sensu w kompromisie.
To jakby proponować skok w przepaść jako
lekarstwo na lęk wysokości.

Mortima straciła nadzieję, że uda jej się sprawdzić makijaż w migotliwym świetle mijanych latarni, kiedy samochód sunął Birdcage Walk.

– To jakiego typu kobietą jest Claire Carlsen? – zapytała, zatrzaszczując puderniczkę.

– Jest inna. – Urquhart zastanowił się przez chwilę. – Poślowie dyscyplinatoryzy za nią nie przepadają – stwierdził, jakby sam nie miał określonej opinii.

– Bruździ?

– Nie. Chyba raczej panowie absolwenci elitarnych szkół mają problem z zaszufładowaniem kobiety, która jest niezależna, jeździ sportowym mercedesem za pięćdziesiąt tysięcy funtów i nie chce grać według ich zasad. Podobno ma też ostry język.

– Co tobie jako byłemu rzecznikowi dyscypliny by się nie spodobało. Dlaczego w takim razie jedziemy do niej na kolację?

– Bo jest wytrwała, jej zaproszenie ciągle wskakiwało na początek listy. Bo jest inna.

– Wygląda na to, że jednak ci się podoba, Francis – drążyła przekornie, coraz bardziej zaciekawiona.

– Być może. Jako rzecznik dyscypliny nie miałem nic przeciwko cymbałom i nierobom, ale premier potrzebuje nieco większego zróżnicowania, innej perspektywy. Och, a czy wspominałem, że nie ma jeszcze czterdziestki i jest niezwykle atrakcyjna? – Odwzajemnił przekorę.

– Chcesz jej zaproponować jakieś stanowisko?

– Nie wiem. Właśnie dlatego tam dzisiaj jedziemy, żeby czegoś więcej się o niej dowiedzieć. Przydaliby mi się jacyś nowi członkowie załogi.

– Ale żeby zrobić miejsce na tratwie ratunkowej, parę starych wyg musisz wyrzucić za burtę. Są jacyś ochotnicy?

– Z chęcią wychłostałbym tego cholernego idiotę Drabble'a na oczach całej floty. A Annita Burke wręcz urodziła się po to, żeby ją rzucić rybom na pożarcie.

– Myślałam, że jest lojalna.

– Jak nasz labrador.

– Posuń się dalej, Francis. Znacznie dalej. Niech znów zapanuje.

– Co?

– Strach. Rozleniwili się i roztyli przez te ostatnie miesiące, twój sukces zbytnio im wszystko ułatwił. Znaleźli czas, żeby marzyć o buncie. – Mijali pałac Buckingham z podświetlonym królewskim sztandarem, łopoczącym dumnie na wietrze. – Nawet król nie może być bezpieczny na tronie.

Przez chwilę zatopili się we wspomnieniach.

– Przypomnij im smak strachu, bat dyscypliny. Spraw, żeby nie mogli spać w nocy, myśląc o twoich pragnieniach, nie o własnych. –

W jej ręku znów pojawiła się puderniczka, zbliżali się do celu. – Już dawno nie mieliśmy dobrego przeciągania pod kilem. A wiesz, jak te rekiny z brukowców je uwielbiają.

– Przy tobie, moja miła, życie wydaje się pełne nieograniczonych możliwości.

Odwróciła się w półmroku twarzą do niego.

– Nie pozwolę, żebyś stał się jak Margaret Thatcher, pociągnięty na dno przez własną załogę. Francis, jesteś na to zbyt wielki.

– I będą mi stawiać pomniki...

Znów spojrzała w lusterko.

– Ukarz więc parę osób dla przykładu, weź kilku nowych załogantów na pokład. Albo zacznij terapię hormonalną, tak jak ja.



Drzwi kremowego, pokrytego stiukiem domu stojącego w środku dzielnicy Belgravia zostały otwarte wspólnym wysiłkiem dwóch wyszorowanych i wyszczotkowanych dziewczynek w ciasno zawiązanych szlafrokach.

– Dobry wieczór, pani Urquhart, panie Urquhart – powiedziała starsza, podając im rękę. – Jestem Abby, a to jest Diana.

– Ja mam prawie siedem lat, a Abby dziewięć – dorzuciła Diana, sepleniąc przez szparę, w której wkrótce miały pojawić się dwa nowe zęby. – A to jest Tangle – oznajmiła, wyciągając zza pleców puchatego i bardzo łaciatego pluszowego psa. – Ma już prawie trzy lata i zupełnie...

– Wystarczy, dziewczynki. – Claire stała za córkami i promieniała dumą. – Przywitałyście się, a teraz pora się żegnać. Do łóżek.

Podniósł się stereofoniczny ryk protestu.

– Migiem. Albo przez tydzień nie będzie ryżowych chrupek.

Widząc, że ich sprzeciw został stłumiony metodą rodzicielskiego zastraszania, dziewczynki, szelmowsko chichocząc, zaczęły wspinać się po schodach na górę.

– Położyłam wam świeże ubrania do szkoły na rano. Koniecznie je jutro załóżcie – zawołała za nimi matka, po czym zwróciła się do gości.

– Przepraszam, najpierw obowiązki, a potem przyjemność. Witaj, Francis. I pani, pani Urquhart.

– Mortima.

– Dziękuję. Głupio się czuję, znając twojego męża znacznie lepiej niż ciebie.

– Nie przejmuj się, nie jestem zazdrosna. Muszę się nim dzielić z resztą świata. To nieuniknione, że wśród tej reszty znajdzie się kilka atrakcyjnych młodych kobiet.

– Och, dziękuję – wymamrotała Claire, doceniając komplement.

W świetle żyrandola w holu wydawała się lśnić blaskiem, którego Mortima jej zazdrościła i który, jak sądziła, można znaleźć tylko w połączeniu macierzyństwa ze stronami „Vogue’a”. Czy Claire należała do kobiet, które fotografowały się nago w zaawansowanej ciąży, żeby pokazać skulonym, zgarbionym masom z bólem pleców i siatkami z supermarketu Sainsbury’s, jak to się powinno robić?

Claire przedstawiła swojego męża, Johannisa, który dotąd stał o krok z tyłu. To była impreza jego żony, a poza tym sprawiał wrażenie silnego fizycznie mężczyzny, przyzwyczajonego do przyjmowania rozsądnego, wyważonego poglądu na życie. Miał już zresztą swoje lata, wiekiem był znacznie bardziej zbliżony do Urquharta niż swojej żony i mówił z wyraźnie powolnym, choć całkiem przyjemnym akcentem, noszącym ślady jego skandynawskiego pochodzenia. Postura pana Carlsena, od której biła pewność siebie, wskazywała na człowieka,

który wie, czego chce i już to zdobył, natomiast Claire przejawiała młodzieńcze ożywienie kobiety z ambicjami dopiero czekającymi na spełnienie. Kontrasty. Jednak Mortimie wystarczyło kilka chwil, by się zorientować, że Carlsenowie jakoś do siebie pasują, rozumieją się, łączy ich bardzo bliska relacja. Może nie wyszła za niego tylko dla pieniędzy.

Claire zaprowadziła ich do salonu o wysokim suficie i pastelowych ścianach – idealnych do zaprezentowania prac współczesnych europejskich artystów – w którym już zebrało się pozostałych ośmiorgo gości. Urquhart znał tylko jedną z tych osób, ale słyszał o wszystkich. Claire dostarczyła mu wcześniej krótkie i lekko prześmiewcze życiorysy każdego z biesiadników, z Johannisem włącznie. Wszystko to brzmiało w jej wykonaniu swobodnie i niewymuszenie, dobrze dobrała towarzystwo. Wśród zaproszonych znalazł się bezceremonialny przemysłowiec z Lancashire, który dokonał cudów ze zlikwidowanymi zakładami włókienniczymi, dzięki czemu jego żona połowę roku mogła spędzać na Florydzie, a drugą połowę na wyścigach konnych. Poza tym – redaktor naczelna „Newsnight” wraz z mężem, importerem wina, który zadbał o płynną część kolacji, z dodatkowym pieprzykiem w postaci pełnych werwy opowieści o niedawnej wyprawie do winnic w górach Gruzji, gdzie przez trzy noce rezydował w miejscowym areszcie pod zarzutem publicznego pijaństwa, aż zgodził się kupić partię wina od brata komendanta policji. Wino okazało się znakomite. Był jeszcze pewien Irlandczyk i jego amerykańska kochanka, tworzący pozbawioną zahamowań spółkę, która wymyśliła najnowszy kierunek w tak zwanej logistyce prawnej. „Profilowanie alternatywnych strategii procesowych” –

wyjaśnił on. „Prawniczy kit; to ustawianie świadków i manipulowanie ławą przysięgłych” – stwierdziła ona.

No i Nures. Urquhart wiedział, że będzie na przyjęciu, został dopisany do listy gości stosunkowo późno, bo akurat przebywał w Londynie prywatnie, na leczeniu dentystycznym. Rodzinna firma owocowa Nuresa od ponad dekady korzystała z usług przewozowych Carlsena. Ministerstwo Spraw Zagranicznych normalnie wyraziłoby obiekcje co do takiego spotkania premiera z prezydentem tureckiego Cypru bez obecności odpowiednich urzędników, ale Nures nie był już międzynarodowym pariasem. Poza tym ministerstwo nie mogło protestować, bo Urquhart go nie zawiadomił; czuliby się zobowiązani pertraktować z Nikozją, Ankarą, Atenami, Brukselą i pół tuzinem innych, prowadząc niekończące się konsultacje i zawierając kompromisy, aby na pewno nikt się nie obraził. Gdyby zostali na łasce MSZ, wszyscy pomarliby z głodu.

Claire wcisnęła Urquhartowi do ręki słodową whisky – Bruichladdich, dobrze się przygotowała – i popchnęła go w kierunku naczelniej „Newsnight” i dewelopera. Żadne z nich nie miało siedzieć obok niego przy stole.

– Grupy nacisku to dopust boży – protestował właśnie Thresher, deweloper. – Mam rację, panie Urquhart? – Wymówił jego nazwisko jako „Ukut”, w jego oryginalnej szkockiej formie, zamiast miękkiego południowego „Urkheart”, tak hołubionego w BBC, które czasem wydawało się niezdolne do zrozumienia ani prawidłowej wymowy, ani polityki. – Kiedyś żyła tu cicha, rozsądna większość, ludzie, którzy kosili swoje trawniki i wygrywali wojny. Ale teraz najwyraźniej każdy należy do tej czy innej mniejszości, głośno krzyczy i kładzie się na drodze, usiłując przeszkodzić innym w normalnym życiu. Ekolodzy –

Thresher dobitnie wymówił każdą sylabę, jakby chciał jej ukręcić łeb – rzuca ten kraj na kolana.

– Mamy pewne dziedzictwo, przecież chyba musimy go bronić? – odparła Wendy, naczelna „Newsnight”, ochoczo akceptując fakt, że została chwilowo obsadzona w roli jedynej sprawiedliwej.

– Ekobełkot – rzucił Urquhart, skwapliwie włączając się do gry. – Wszędzie go pełno. Taka odruchowa nostalgia za czasami wideł, dwukółki i kucyka. Dziesięć lat temu ulice wielu północnych miast były wyludnione, a teraz tworzą się na nich korki, kiedy ludzie jeżdżą do sklepów. Jestem z tych korków dumny.

– Mogę pana zacytować, panie premierze? – uśmiechnęła się Wendy.

– Wątpię.

– Tu masz coś, co mogłabyś zacytować, lalka, ale nie chcesz. – Thresher wyraźnie się rozkręcał. – Mam zaplanowaną inwestycję w Wandsworth, a w samym środku terenu stoi stare, rozsypujące się kino. Ani z niego pożytek, ani ozdoba, właściwie się rozpada, ale czy pozwolą mi je rozebrać? Protestujący twierdzą, że wolą rozwalające się kino od centrum handlowego wartego wiele milionów funtów, które zapewni nowe miejsca pracy i różne wygody. Głupie gnojki nie chcą siedzieć w kinie i oglądać filmów, nie, skąd, oni tylko siedzą na ulicy przed kinem, piszą petycje i zmuszają mnie do postępowania w sprawie ustalenia warunków zabudowy, co będzie się ciągnąć latami. To rozbój dokonany rękami klasy średniej.

– Nie w moim domu, mam nadzieję. – Claire wróciła, żeby zaprosić ich do jadalni. Kiedy ruszyli za nią, Urquhart znalazł się sam na sam z Thresherem.

– Co więc zamierza pan zrobić, panie Thresher?

– Pewnie zabiorę pieniądze, wpłacę je do jakiegoś karaibskiego banku i kupię sobie okulary słoneczne.

– Wielka szkoda. I strata dla kraju.

– Co w takim razie zamierza z tym zrobić rząd, panie premierze?

– Panie Thresher, dziwię się, że człowiek tak obyty w świecie jak pan uważa, iż rząd jest zdolny w jakikolwiek sposób panu pomóc. – Urquhart miał w zwyczaju mówić o swoich współpracownikach tonem zmęczonego życiem dyrektora szkoły skonfrontowanego z nieodpowiedzialnymi uczniami zasługującymi na lanie.

– No to zmywam się na Karaiby.

– Może jednak rozwiązanie leży nieco bliżej.

– Jak blisko?

– Może w Brixton?

– Zainteresował mnie pan.

– Zastanawiałem się po prostu, dlaczego, skoro protestujący chcą kina, pan im go nie da.

– Ale to nie o to toczy się gra. Poza tym i tak nikt do niego nie chodzi.

– Ewidentnie pokazuje pan nie te filmy, co trzeba. Co by się pana zdaniem działo, gdyby na przykład zaczął pan wyświetlać kultowe filmy z mocnym etnicznym posmakiem? No wie pan, rastafarianie i dredy?

– Musiałbym rozdawać bilety.

– Całe mnóstwo. Wśród czarnej społeczności, jak sugeruję.

– Boże, zaczęliby walić drzwiami i oknami. Ale co by to miało na celu?

Urquhart pociągnął rozmówcę za rękaw, żeby zatrzymać go na chwilę przy wejściu do jadalni, zniżył głos.

– To, panie Thresher, że po czterech tygodniach Boba Marleya i ju-ju nie zdziwiłbym się, gdyby dobrzy mieszczanie z Wandsworth zmienili zdanie co do pańskiego kina. W rzeczy samej, żywię poważne podejrzania, że przyczołgaliby się do pana na czworakach, błagając o sprowadzenie buldożerów. – Sugestywnie uniósł brew. – Żałosna prawda o klasie średniej jest taka, że liberalizm jakoś przygasa wraz z nadejściem zmroku.

Thresherowi opadła szczęka. Znow pojawiła się przy nich Claire, by przywołać ich do stołu.

– To porządny dom, więc cokolwiek tu we dwóch knujecie, lepiej przestańcie – poleciła im żartobliwym tonem. – Bo nie dostaniecie deseru.

– Chyba właśnie dostałem porcyjkę, kochana. Wiesz, twój szef to niesamowity człowiek. – W głosie Threshera zawibrował rzadki ton podziwu.

– Cieszę się, że się z sobą zgadzacie. Czyżby moja kobieca intuicja wyczuwała pokazny czek, który zostanie wypisany dla centrali partii?

– Po raz pierwszy w życiu myślę, że mogę dać się skusić.

Claire zajęła miejsce u szczytu stołu, mając po jednej stronie Urquharta, a po drugiej Nuresa.

– Jestem pod wrażeniem, Francis. Od pięciu lat próbuję go przekonać do otwarcia portfela, a tobie udało się to w ciągu pięciu minut. Sprzedałeś całą partię, czy tylko kilka zasad?

– Przypomniałem mu jedynie, że wśród obywatelskich korzeni polityki można znaleźć wiele chwastów. I trawy.

– A na bazarze dobić wielu targów – dodał Nures.

– Trochę to cyniczne jak na kogoś, kto nie jest tu służbowo, Mehmet – zauważyła Claire.

– Bynajmniej. Bo po co iść na bazar, jeśli nie ma się zamiaru dobijać targu? – uśmiechnął się.

– Żeby pooglądać wystawy?

Z uznaniem omiółt ją wzrokiem, przyglądając się subtelnym fałdom jedwabiu – nie potrzebowała zbyt wielu ozdób – nie wpatrując się jednak na tyle długo, by ją urazić, po czym potoczył spojrzeniem po jadalni, gdzie sztuka współczesna i miękkie pastele ustąpiły miejsca wiktoriańskiej klasyce wyeksponowanej na białej dębowej boazerii.

– Nie sprawiasz wrażenia osoby, która spędza życie z nosem przyklejonym do wystawowej szyby, Claire.

– To prawda. Ale przynajmniej pozwala mi to z ręką na sercu zapewnić, że nie mam najmniejszych ambicji sięgnięcia po twoje stanowisko, Francis.

– Jak to? – zapytał tonem sugerującym, że nie uwierzy w ani jedno słowo.

Z niesmakiem zmarszczyła nos.

– Za nic nie mogłabym mieszkać na Downing Street. Za daleko stamtąd do Harrodsa.

Wieczór był niezwykle udany.

Dopiero kiedy Urquhart i jego żona szykowali się do wyjścia, Nures odciągnął go na bok.

– Chciałem panu podziękować, panie premierze, za wszystko, co pan zrobił, aby pomóc w zaprowadzeniu pokoju na mojej wyspie. Chcę, by pan wiedział, że zawsze będziemy pańskimi dłużnikami.

– Tak zupełnie prywatnie, panie prezydencie, mogę powiedzieć, że bardzo podziwiałem pańską nieustępliwość. Jak obaj się przekonaliśmy na własnej skórze, z Grekami nigdy nie było najłatwiej

się dogadać. Wie pan, że Akropol im się sypie, a ci nadal domagają się zwrotu Marmurów Elgina? Nieopanowany wandalizm.

– Greccy Cypryjczycy są inni, oczywiście.

– Zgoda. Ale bałkańska krew nie woda. A czasami przesłania logikę.

– Jest jeszcze ropa.

– Słucham?

– Wie pan, że opublikowano raport sejsmiczny z badań wód przybrzeżnych?

– Tak, ale nie wykryto żadnej ropy, prawda?

– Właśnie. – Nures urwał, zawisła między nimi cisza. – Ale chciałem, by pan wiedział, że gdyby jakaś ropa była i znalazła się pod moją kontrolą, bardzo bym pragnął, aby moi brytyjscy przyjaciele pomogli nam ją wydobywać.

– Tyle pan mówi o ropie, że brzmi to tak, jakby spodziewał się pan jej odkrycia. Ale w raporcie nic nie było.

– Instynkt?

– Mam nadzieję, że instynkt pana nie myli, dla pana dobra. Jednak w takim razie dużo by zależało od arbitrażu w sprawie granic.

– Właśnie.

– A, chyba zaczynam rozumieć.

– Mój instynkt w tej sprawie jest bardzo silny, panie Urquhart. W sprawie ropy.

Urquhart wyraźnie widział, że właśnie stoi na samym środku bazaru.

– Nie mogę ingerować, nawet gdybym chciał – odparł cicho. – Arbitraż to proces sądowy. Poza moją gestią.

– W zupełności to rozumiem. Byłaby to jednak wielka szkoda, gdyby mój instynkt okazał się słuszny, ale arbitraż poszedł nie po naszej myśli i Grecy oddali wszystkie prawa do wydobycia swoim dobrym przyjaciółom Francuzom.

– Prawdziwa tragedia.

– Wielkie bogactwo zarówno dla pańskiego, jak i mojego kraju... – Dlaczego Urquhart czuł, że Nures tak naprawdę miał na myśli „i dla pana, i dla mnie”? Instynkt, nic innego. – Wielkie bogactwo by przepadło. A ja straciłbym najwięcej. Niech pan sobie wyobrazi, co by się ze mną stało, gdyby moi obywatele odkryli, że lekką ręką oddałem fortunę w ropie? Przeciągnęliby mnie po ulicach Nikozji.

– W takim razie musimy mieć nadzieję, że los się do pana uśmiechnie, a na sędziów spłynie mądrość.

– Miałbym wiele powodów, by być niezmiernie wdzięcznym, panie Urquhart.

Balansowali ostrożnie na wąskiej półce nad przepaścią. Jeden zbyt szybki lub agresywny ruch i obaj spadną – czy Urquhart spróbuje uciekać, czy popchnie? Rozmawiali szeptem, dbając o to, by zachować zimną krew, kiedy nagle dołączył do nich nowy, pewny siebie głos.

– Wdzięczność to rzadki towar w polityce, nie sądzisz? – To była Mortima, która, gdy uczyniła zadość pożegnaniom, od pewnego czasu kręciła się w pobliżu. – Prędzej dałbyś się żywcem obedrzeć ze skóry, niż pozwolił Francuzom położyć na czymś łapę. Koniecznie musisz znaleźć sposób, żeby pomóc panu Nuresowi.

– Będę trzymał za niego kciuki. – I skinąwszy Turkowi głową na pożegnanie, Urquhart wycofał się znad krawędzi.

Claire czekała na niego przy drzwiach wejściowych.

- Prawdziwie wyjątkowy wieczór – podziękował, ujmując jej dłoń.
- Gdybym tylko mógł zorganizować swój rząd tak, jak ty organizujesz przyjęcia.

- Ależ możesz, Francis. To dokładnie to samo. Zapraszasz gości, ustalasz menu, decydujesz, kto gdzie usiądzie. Sekret tkwi w tym, żeby mieć ze dwóch dobrych pomocników w kuchni.

- Tak się składa, że myślałem o przetasowaniach przy stole, o pobawieniu się trochę w krzeselka do wynajęcia. Ale masz rację co do pracowników zaplecza. Co o nich sądzisz?

- Mam być niedyskretna?

- Oczywiście. Drabble, na przykład?

- Katastrofa.

- Zgadzam się. A Barry Crumb?

- Jakże trafne nazwisko^[3].

- Żadnych okruszków w politycznej kuchni, twoim zdaniem? –
Roześmiał się, gra mu się podobała.

Barry Crumb był osobistym sekretarzem parlamentarnym premiera. Takiego sekretarza ma każdy minister, a pełniącą tę funkcję osoba jest posłem, ale w opinii wielu – najniższą formą życia w parlamencie. Służy ministrowi za nieoficjalnego niewolnika, wykonując wszelkie czynności, o jakie minister poprosi, od podawania napojów po szpiegowanie kolegów. Robi to nieodpłatnie, lecz ponosi wysokie koszty, gdyż zostaje pozbawiona jakiegokolwiek niezależności, wymaga się od niej bowiem popierania stanowiska rządu we wszystkich strategicznych kwestiach. Mianowanie osobistym sekretarzem parlamentarnym jest więc znakomitym sposobem usadzenia szeregowego posła, który zaczyna podskakiwać.

Ta funkcja to jednak coś więcej. Cieszy się dużym wzięciem, bo daje uprzywilejowany wgląd w ministerialny świat i jest uważana za pierwszy szczebel drabiny, poligon, z którego wyławiani są nowi ministrowie. Ci, którzy się na to decydują, porównują się do tylnego strzelca, który przy odrobinie szczęścia może przeżyć i przesunąć się na przód okrętu, zostać nawigatorem, a pewnego dnia może nawet kapitanem. Ci z natury bardziej cyniczni sugerują, że to tylko początek procesu, w którym pozbawia się szeregowego posła zdolności do samodzielnego myślenia i działania, w ten sposób czyniąc z niego odpowiedniego kandydata na wyższy urząd.

Osobisty sekretarz parlamentarny żyje w cieniu swojego ministra – nie ma mowy o niezależnym istnieniu. Ten cień jednak może być długi, sekretarz zaś ma wejścia zarówno w pałacu westminsterskim, jak i w Departamencie Stanu, a czasami nawet wgląd w prywatne życie ministra.

A szeroki dostęp do ważnego ministra, nie mówiąc już o premierze, prawo krążenia przy jego prawej ręce i siadania na tylnym siedzeniu, jest jedną z najbardziej fascynujących możliwości dla każdego młodego parlamentarzysty. Dlatego właśnie tak niefrasobliwie oddają oni swoją niezależność za zakulisową wiedzę i szansę kariery oraz skromnych wpływów.

Szkoda, że z Barrym Crumbem nie wyszło. Uwijał się, kiedy powinien zwlekać, kręcił się na podorędziu, kiedy powinien zniknąć, był pełen entuzjazmu, ale tak się bał popełnienia błędu, że nieśmiałość pozbawiała go inicjatywy, a także choćby najmniejszej zdolności odczytywania zamysłów i nastrojów Urquharta. Żadnej subtelności, żadnej finezji. Żadnej przyszłości.

– Nie nadaje się, co? – stwierdził Urquhart.

– Nie. Ale ja owszem.

Wziął płaszcz i zaśmiał się z jej zuchwałości. W całym chrześcijańskim świecie nigdy funkcji osobistego sekretarza parlamentarnego premiera nie pełniła kobieta. Chłopakom to się nie spodoba, będzie dużo kiepskich dowcipów o „hydraulicie” i bieliźnie. Ale, pomyślał Urquhart, przecież miał zamiar nimi potrząsnąć, no to co, jeśli kilka osób się zdenerwuje, tym lepiej. Przypomni im, kto tu rządzi. Potrzebował nowej pary rąk do pracy i nowej twarzy, a tak przynajmniej będzie to twarz młoda i niezwykle atrakcyjna, zdecydowanie łatwiej będzie ją znieść niż gębę Crumba. Poza tym miał przeczucie, że Claire może okazać się kimś znacznie więcej niż tylko paprotką.

– Pozbędziesz się mercedesa i zaczniesz kupować garsonki w Marks & Spencer?

– Nie. Ani też jako twój sekretarz parlamentarny nie ogolę głowy, nie zapuszczę włosów na nogach i nie pozwolę sobie na trzydniowe niedyspozycje co miesiąc.

Pomachał reszcie gości na pożegnanie, zajął się zbieraniem do wyjścia, żeby nie musieć odpowiadać.

– Pora na nas. – Zawołał Mortimę, która zegnała się z Nuresem, ale Claire nadal trzymała się blisko jego ramienia, domagając się uwagi.

– Podołam, Francis.

Odwrócił się w drzwiach.

– Wiesz, ja też tak uważam.

[3] Crumb oznacza „okruszek”, ale także „palant” (przyp. tłum.).

Rozdział 11

Wszyscy politycy przyprawiają rogi.
Zdradzam, więc jestem.

Przestała odczuwać przyjemność, zostały tylko mroczne wspomnienia z dzieciństwa, wyciągnięte gdzieś z głębi przez rytmiczne skargi obluzowanej sprężyny w ramie łóżka. Nie potrafiła tego ukryć, musiał zauważyć mimo szaleńczego orgazmu, który rozbrzmiał głośno w sypialni.

Mniej więcej tak zapamiętała noce swojego dzieciństwa w małym bliźniaku w północnym Londynie, z wiktoriańskim ogrzewaniem i ścianami cienkimi jak opłatek, wypełnione odgłosami udręczonych ciał i jęczących sprężyn. Kiedy jako ośmiolatka pytała o te hałasy, matka z zakłopotaniem mamrotała coś o dziecięcych snach i muzyce. Może właśnie tym inspirował się Harrison Birtwistle, chociaż ona sama wolałaby już raczej słuchać poddawanych torturom sprężyn.

Czy ktoś jeszcze sypiał w tych łóżkach na klasycznych żeliwnych ramach, pełnych groźnych stalowych drutów i jęków? – zastanawiała się. Ona nie spała już w nich od lat i bynajmniej nie żałowała. Nie tęskniła też za dywanem w dużym pokoju, mozaiką wypalonych papierosami dziur, tłustych plam i innych zabrudzeń nigdy

niewyjaśnionego pochodzenia. „Pójdę do Hardwick's i kupię ci nowy” – jej ojciec zawsze obiecywał matce. Ale nigdy nie kupił.

Claire Carlsen tak wiele zostawiła za sobą, ale odległe echa wciąż ją dopadały. Lepiej pamiętała strach niż fizyczny ból i molestowanie, obrzydzenie tam, gdzie, jak później się przekonała, mogła pojawić się miłość, łzy, które niewiele łatwiej było znieść dzięki temu, że dzieliło je troje dzieci. Uciekła, podobnie jak jej siostra, ale młodszemu bratu już się nie udało – nadal prowadził niewielką hurtownię rybną zaopatrującą uliczne targi południowego Londynu, w przerwach między chmielowym stuporem a biciem żony. Jak ojciec. Pewnie też tak samo odejdzie z tego świata, chyba że przeszkodzi mu w tym jazda po pijanemu. Któregoś dnia ojciec jak zwykle spóźnił się na niedzielny obiad, skłął wszystkich, wyrzucił swoje rozgotowane jedzenie, zaległ na podłodze przed telewizorem, gdzie leciał piłkarski magazyn The Big Match, beknął i zamknął oczy.

Lekarz stwierdził później, że to był rozległy zawał.

– Nie czuł żadnego bólu, pani Davies – zapewnił.

Bydlak miał lepszą śmierć, niż sobie zasłużył. Spalili dywan z dużego pokoju tego samego dnia, kiedy spalili jego.

Wspomnienia kielkowały jak chwasty i wiedziała, że choćby pielęła i grabiła, gdzieś głęboko zawsze zostaną korzenie.

– Dokąd odpłynęłaś? – Tom Makepeace, wciąż zdyszany i zaczerwieniony, podniósł głowę z poduszki.

– Och, milion mil i jakieś trzydzieści lat stąd. Przepraszam. – Delikatnie zsunęła z siebie jego ciężar.

– Znam cię tyle lat, a chyba nigdy nie słyszałem, żebyś mówiła o swoim dzieciństwie. Drzwi zamknięte na klucz. – Zaczął odgarniać palcem blond kosmyki rozrzucone na jej czole. – Nie lubię, gdy masz

przede mną sekrety. Kiedy jestem z tobą, tak jak teraz, chcę cię mieć całą. Wiesz, że jesteś najważniejszą rzeczą w moim życiu, jaka mi się od bardzo dawna zdarzyła.

Spojrzała na niego, w te dobre, głębokie, czułe oczy, w których zostało jeszcze coś z upartego małego chłopca, co nadawało emocjonalny ton zarówno uprawianej przez niego polityce, jak i osobowości, i sprawiało, że tak łatwo ulegało się ich urokowi. Zrozumiała, że właśnie teraz nadszedł ten moment, to musiał być ten moment, zanim szkody będą zbyt wielkie.

– Musimy przestać, Tom.

– Musisz wracać do Izby Gmin?

– Nie. Przestać w ogóle. Na dobre. Ty i ja. To, co robimy.

Widziała malujące się na jego twarzy zaskoczenie, a potem ból.

– Ale dlaczego...?

– Bo od początku ci mówiłam, że pójdzie z tobą do łóżka nie znaczy, że się w tobie zakocham. Nie mogę zapełniać luk w twoim życiu, musimy przestać, zanim cię skrzywdzę. – Widziała, że już to zrobiła.

Odwrócił się na plecy i zaczął się wpatrywać w sufit, nie chcąc, by zobaczyła konsternację w jego oczach. Po raz pierwszy od wielu lat żałował, że już nie pali.

– Wiesz, że cię potrzebuję bardziej niż kiedykolwiek.

– Nie mogę być dla ciebie ostoją.

A właśnie tego tak rozpaczliwie potrzebował. Kiedy coraz silniej wirowały wokół niego prądy polityki, niektóre popychały go do przodu, inne zazdrośnie próbowały ściągnąć w tył, brak solidnego oparcia w życiu prywatnym sprawiał, że był jeszcze bardziej narażony na ataki. Jego najmłodszy syn miał dwadzieścia lat i studiował, żona

naukowcy cieszyła się odzyskaną wolnością, przyjmując stypendium na Harvardzie, przez co jej obecność w jego życiu zredukowała się do przelotnych telefonów, w których miała mu coraz mniej do powiedzenia. Był sam. Pięćdziesiątka okazała się dla Makepeace'a okrutnym wiekiem.

– Nie teraz, Claire. Dajmy sobie jeszcze jakiś miesiąc i wtedy o tym porozmawiamy. – Bardzo się starał, żeby nie brzmiało to błagalnie.

– Nie, Tom. Musimy skończyć teraz, już. Ty nie ryzykujesz małżeństwa, ale ja tak. Poza tym są jeszcze inne komplikacje.

– Jakiś facet? – Ból sprawił, że zrobił się drażliwy.

– W pewnym sensie. Spędziłam dziś rano godzinę z premierem. Chce, żebym została jego osobistym sekretarzem parlamentarnym.

– A ty się zgodziłaś?

– Nie mów tego takim oskarżycielskim tonem, Tom. Na litość boską, sam jesteś ministrem spraw zagranicznych w jego rządzie.

– Ale sekretarz parlamentarny, to takie... osobiste.

– Jesteś zazdrosny.

– Najwyraźniej masz słabość do starszych mężczyzn – warknął, sprowokowany jej uwagą.

– Niech cię szlag, Joha do tego nie mieszaj! – Reprimenda zapiekła go jak wymierzony policzek.

– Wybacz, nie chciałem... Po prostu martwię się o ciebie. Nie zbliżaj się za bardzo do Francisa, Claire. Nie przywiązuj się do tonącego okrętu.

– Obiektywna troska o moje dobro?

– Nigdy jeszcze ci źle nie poradziłem.

Nie dało się zaprzeczyć. Makepeace był przewodnikiem Claire w jej pierwszych politycznych krokach, wspierał ją, kiedy kolejne komisje

kwalifikacyjne uznawały, że jej uroda zbyt rozprasza albo że jej miejsce jest w domu z dziećmi. Gdy wytrwała, a ta wytrwałość przyniosła owoce, pomógł jej się odnaleźć w parlamencie i przygotował na wszechobecne seksualne aluzje erotomanów gawędziarzy, a nawet próbował załatwić jej wstęp do jednego z ekskluzywnych klubów biesiadnych, które generują tyle przydatnych kontaktów i wzajemnego wsparcia w Izbie Gmin – „to jak przemycenie Indianina do Fortu Apache” – ostrzegał. Stale ją dopingował – chociaż, uświadomiła sobie, nigdy nie zaproponował, żeby została jego sekretarzem parlamentarnym.

– Sekretarz Francisa Urquharta – ciągnął – to bardzo śliska pozycja. W sensie politycznym. Zgniły kompromis.

– Wszyscy musimy pójść na jakieś kompromisy, Tom. Nie ma sensu być niewinną dziewczyną na bankiecie.

– Moralne cele uświęcają kompromitujące środki? – Znowu przybrał oskarżycielski ton.

– Pozwolisz, że wstanę z jeszcze wilgotnej pościeli twojego łóżka, zanim zaczniemy dyskusję o moralności? Poza tym wiesz równie dobrze jak ja, że polityka to gra zespołowa, musisz iść na kompromis, by mieć szansę na wygraną. Nie ma sensu udawać, że wszystkie bramki możesz zdobyć sam. Chcę wykorzystać swoją szansę w tej drużynie, Tom.

– Do niektórych gier Urquharta nie mam ochoty się przyłączać, nie mówiąc już o tym, żeby pomóc mu wygrać.

– I to kolejny powód, że musimy przestać się spotykać na takich zasadach. Tyle się mówi o tym, że wy dwaj znaleźliście się na kursie kolizyjnym, musiałeś słyszeć te szeptki.

– Raczej uderzenia bębna, którym towarzyszy tubylczy taniec wojenny. Tony Franks z „Guardiana” założył się ze mną, że w ciągu roku albo ja wylecę z rządu, albo Urquhart. Pewnie ma rację. – Uniósł się na łokciu, jego twarz zawisła nad jej twarzą, zmarszczył czoło. Utrata miejsca w polityce byłaby dla niego bolesna. Pochodził z rodziny o długiej tradycji służby publicznej. Jego pradziadek był generałem, który uparł się, że będzie dowodził z frontu, i zginął za ten przywilej w błocie Flandrii. Ale polityka była o wiele bardziej niebezpieczna od wojny. W bitwie mogli cię zabić tylko raz. – Czy to dlatego tak naprawdę chcesz przestać? Konflikt interesów? Popierasz Urquharta przeciwko mnie?

Objęła jego głowę dłońmi, próbując kciukami wygładzić bruzdy niepokoju na jego czole.

– Zostaję jego sekretarzem parlamentarnym, Tom, nie jego własnością. Nie sprzedałam swoich zasad, nie przestałam nagle popierać wszystkiego, o co oboje walczyliśmy. I nie przestało mi na tobie zależeć.

– Mówisz poważnie?

– Jak najpoważniej. W innym życiu mogłoby nas łączyć coś o wiele bliższego. W tym chcę, żebyśmy dalej byli przyjaciółmi.

Pocałowała go, a on namiętnie oddał pocałunek.

– Ostatni raz? – szepnął, przesuwając dłonią po jej ciele, od szyi do pępka.

– O to w tym wszystkim chodziło? Tylko o seks?

– Nie! – zaprotestował.

– Szkoda – odparła i znów go pocałowała.



Passolides odstawił filiżankę z nerwowym drgnięciem, zaskoczony wysokim podwójnym piknięciem elektronicznego pagera, który ich wzywał. Maria pochyliła się nad stołem, żeby wytrzeć serwetką rozlaną kawę.

– To my, Baba. Już czas.

Czekali nieco ponad pół godziny w małej kawiarni Archiwum Państwowego w Kew. Evangelos ani na chwilę nie chciał oderwać wzroku od łypiącego na nich czerwonym okiem pagera, jednego z tych, jakie wydawano wszystkim poszukiwaczom prawdy – a przynajmniej tego, co uchodziło za prawdę w oficjalnych brytyjskich archiwach. Na wszystko, co trąciło brytyjską biurokracją, reagował nerwowo i agresywnie – nawyk, którego nie stracił od dawnych czasów partyzantki w górach. Nawet w Islington zawsze chcieli węszyć i go kontrolować. Wysyłali mu płożółte koperty z żądaniem pieniędzy, popartymi groźbami. Dlaczego akurat on miałby płacić Brytyjczykom, którzy tyle mu byli winni? Kiedyś pewien inspektor sanitarny spędził cały tydzień, obserwując jego drzwi frontowe, przekonany, że Passolides prowadzi knajpę, i porzucił swój posterunek dopiero wtedy, gdy odciągnęła go od niego grypa i inne pilniejsze zagrożenia dla zdrowia obywateli Islington. Nie wiedział o tylnym wejściu.

Kiedy inspektor cierpiał na zimnej, mokrej ulicy, za ciasno zaciągniętymi zasłonami przyjaciele Evangelosa Passolidesa całymi wieczorami wznosili toasty za jego zwycięstwo nad starym wrogiem. „Niech żyje Vangeli!”

Starzejący się Cypryjczyk nie bardzo wierzył, że ten wróg mu teraz pomoże. To był pomysł Marii, który miał rozwinąć jego zainteresowanie dawnymi czasami, odświeżyć wspomnienia, dać pretekst do wyrwania go zza zaciągniętych zasłon – propozycja, by

sprawdzili, jakie informacje, wyjaśnienia lub usprawiedliwienia mogą zawierać brytyjskie dokumenty. Pojechali więc na drugi koniec Londynu do archiwum w Kew, betonowego mauzoleum akt imperium, które kiedyś powstało, rozrosło się, aż wreszcie zostało utracone.

Życzliwy urzędnik w informatorium nie zapatrywał się na sprawę optymistycznie.

– Okres EOKA na Cyprze? To kategoria wojskowa albo utajniona ze względów bezpieczeństwa. Kiedyś standardowo obowiązywało na nią pięćdziesięcioletnie embargo. Wiedzą państwo, wszystko oznaczone jako „tajne” i mające kluczowe znaczenie dla zapewnienia trwałego bezpieczeństwa kraju. Na przykład stare prognozy pogody, albo wiadomość, czy grecki prezydent dłubał w nosie. – Wzruszył ramionami. – Ale teraz robią przegląd archiwów co dziesięć lat, a od czasu cięć w Ministerstwie Obrony pewnie kończą im się schrony przeciwbombowe, w których można przechowywać te wszystkie pudła, więc jak tylko mogą, to je wyrzucają albo zwalają nam. Może się państwu poszczęści.

I rzeczywiście. Indeks WO-106. Katalog Wywiadu i Operacji Wojskowych. „7438. Raport o sytuacji bezpieczeństwa i przechwyceniach EOKA w górach Troodos, kwiecień–październik 1956”.

Passolides dźgnął palcem w tę pozycję.

– Przez dwa dni gonili nas po górach, chłopcy nieśli mnie na noszach, a w gębę wepchnęli mi szmaty, żebym nie krzyczał – szepnął. – To o mnie.

Wypełnili komputerowy wniosek o wydanie akt na terminalu w informatorium i czekali.

Po czym przyszło rozczarowanie.

Archiwum Państwowe w Kew nie jest tylko tym, czym się wydaje na pierwszy rzut oka. Za informatorium, za kulisami, w repozytorium komputeryzacja ustępuje miejsca zakurzonym palcom i kartonowym pudłom. Prawie stu milom kartonowych pudeł. W środowisku o kontrolowanej temperaturze i wilgotności, przy dźwiękach przebojów Roya Orbisona i Lulu dudniących z głośników (o to właśnie chodzi w archiwum państwowym, że nic tu nie jest aktualne), jakiś młody człowiek przekopywał się przez hałdy półek w poszukiwaniu jednej teczki pośród milionów. Kiedy ją znalazł, została powoli przetransportowana systemem elektrycznych wózków i przenośników taśmowych do czytelni głównej, a wtedy wezwano Marię i jej ojca.

Ale niczego tam nie było. W łagodnym szumie klimatyzacji, w blasku białego światła szukali w WO-106/7438 jakiegokolwiek wzmianki o pościgu za Evangelosem i jego towarzyszami z EOKA w tych dniach w pełni lata. O tym, jak schowali się w podziemnej kryjówce, a brytyjscy żołnierze stali niecałe sześć stóp od nich i jeden granat mógł ich wszystkich zabić. Jak błagał swoich towarzyszy, żeby już lepiej go zastrzelili, zamiast zostawiać na pastwę wroga. A oni i tak by to zrobili, aby uniknąć ryzyka, że zdradzi to, co wie.

Nic nie znaleźli. Sfatygowana szara teczka była wypchana pojedynczymi arkuszami papieru, opatrzonymi plakietką na sznurku, w większości niewyraźnymi kopiami zrobionymi przez kalkę, które najwidoczniej zgromadzono raczej przypadkowo, niż kierując się jakąś logiką czy chęcią zachowania wyczerpującego zapisu zdarzeń. To szczególnie trudny okres, wyjaśnił urzędnik. W październiku wybuchł kryzys sueski i zapanował chaos, kiedy armia brytyjska przeszła z obrony Cypru do ataku na Egipt. Transportowano całe pułki i wyspa stała się rojnym punktem przerzutowym dla wojsk dokonujących

inwazji. Robotę papierkową, nigdy niebędącą najmocniejszą stroną żołnierzy w czasie wojny, w wielu przypadkach po prostu zarzucono. Wyglądało na to, że dla Brytyjczyków Passolides nigdy nie istniał.

Znalazł jednak coś innego. Wspomnienie. Raz jeszcze wskazywał palcem numer arkusza w spisie na okładce teczki:

„Lp. 16. 5 maja. Powyżej wioski Spilia”.

Data. Miejsce. Z trudem przerzucał zawartość teczki, szukając właściwej kartki. Kiedy ją znalazł, ręce zaczęły mu drżeć jeszcze bardziej. Pojedynczy arkusz, fotokopia raportu wywiadu z akcji w górach w pobliżu miejsca, w którym, jak sądzono, znajdowała się duża kryjówka EOKA. Przechwycono dwóch niezidentyfikowanych terrorystów z transportem broni i innego zaopatrzenia. Wymiana ognia, strata brytyjskiego szeregowego. Zabicie dwóch Cypryjczyków. Spalenie i pochowanie ich zwłok w celu zredukowania ryzyka odwetu. Brak innych wskazówek co do położenia kryjówki. Rekomendacja przeprowadzenia dalszych poszukiwań w tym rejonie. Podpisano: oficer dowodzący operacją.

Nazwisko oficera zostało wymazane.

– Dlatego to fotokopia. Żeby chronić tożsamość brytyjskiego personelu wojskowego – wyjaśnił urzędnik. – Żadne tuszowanie faktów, tylko standardowa procedura. Nie ma mowy, żeby ujawniono jego nazwisko, w każdym razie dopóki żyje. No bo niech pan sobie wyobrazi, gdyby to był pan.

Ale to byłem ja, ja i moi bracia!

Passolides usiłował tłumaczyć, nalegać, dowiedzieć się czegoś więcej, lecz głos łamał mu się z emocji, mówił nieskładnie, a urzędnika zdeprymowało gadanie starego o morderstwie na górskim stoku. Tak czy inaczej, niczego więcej nie dało się znaleźć. Nie było innego

archiwum, innych akt. Wszystko, co brytyjski system miał do zaoferowania, znajdowało się tutaj. Niczego więcej nie można było się dowiedzieć, z wyjątkiem nazwiska. A tego nie mógł poznać.

– To byli tylko mali chłopcy, pochowani w tych grobach – jęknął Passolides.

– Panu nie są potrzebne archiwa – zauważył urzędnik, przekonany, że stojący przed nim starzec ze łzami w oczach jest nieco ograniczony umysłowo. – Pan się powinien zwrócić do Komisji do spraw Zbrodni Wojennych.

– Ale najpierw potrzebne mi nazwisko.

Rozdział 12

Nigdy nie sypiaj z politykiem.
Kiedy odwróci się od ciebie, zabierze z sobą
kołdrę.

– Cholera! Myślisz, że mają nowego redaktora czy co, Mortimo?

Podniosła wzrok znad chrupkiego pieczywa i listów.

– Krzyżówka w „Timesie” zrobiła się taka... – szukał odpowiedniego słowa – zwodnicza. Hermetyczna. Musieli zmienić redaktora.

Nie, pomyślała, to nie krzyżówka się zmieniła, Francis. To ty. Kiedyś rozprawiałbyś się z aluzjami i anagramami jeszcze przed owsianką.

Z irytacją odrzucił gazetę na bok. Nie dość, że pierwsza strona była koszmarna, to ostatnia też nie lepsza. Rozejrzał się po zastawionym stole, przy którym jedli śniadanie, i znalazł jakiś arkusz papieru.

– Z tym będzie mniej problemów – mruknął ze znacznie większym entuzjazmem i zaczął odznaczać punkty na kartce, jakby były to odgadnięte hasła. Przerwał na chwilę, szukając inspiracji. – Cztery czy pięć do skreślenia, jak myślisz?

– Daj mi może jakąś podpowiedź, o czym mówisz, Francis.

– O małej powtórcie z Bynga^[4]. Pomyślałem, że pora rozstrzelać kilku admirałów na oczach całej floty, żeby zdopingować innych. Tak

jak radziłaś, aby przywrócić nieco strachu.

– Rozumiem. Przetasowanie.

– Myślałem o czterech albo pięciu osobach do odstrzału. To wystarczy, żeby wywołać spore poruszenie, ale nie będzie ich aż tak wiele, aby wyglądało na to, że panikujemy.

– Kogo proponujesz?

– Eurotrutnie i zakute pały. Cartera. Yorke'a. Penthorpe'a... jest tak zgryźliwy i mówi tak ostrym tonem, że za każdym razem, kiedy otwiera usta, właściwie ostrzy nóż, który poderżnie mu gardło. I jeszcze Wilkinson. Wiesz, że spędza prawie tyle samo czasu we Francji, co w swoim okręgu? Tanie wino i fraternizacja przyćmiewają mu jasność oceny sytuacji. – Zdecydowanym ruchem wykreślił piórem kolejne nazwisko.

– A co z Terryem Whittingtonem? Nigdy nie wiem, czy jest zawiany, czy tylko tak brzmi.

– Tak, to problem, kiedy minister zawiadujący reformą usług publicznych nie potrafi nawet wymawiać słów tak, żeby nie opluć dziennikarza. Tępy tłuk, ale, och, cóż za olśniewająca żona z koneksjami. Nie mówiłem ci? – Spojrzał na nią ze skruchą znad okularów. – Najwyraźniej oddawała się tak zwanym rozmowom kontynentalnym z komisarzem do spraw przemysłu w Brukseli, kiedy drogi stary Terry był uwięzany na całonocnym posiedzeniu, mając za rozrywkę jedynie swoich kolegów ministrów.

– Quelle finesse. Szkoda by było tracić tak interesujący punkt nacisku w Komisji.

– Zwłaszcza że szykuje się ostra krytyka z ich strony w sprawie kwot samochodowych.

Wbiła zęby w chrupkie pieczywo, które pokruszyło się i spadło w kawałkach na stół, więc przez kilka sekund zajęła się ich zbieraniem.

– A zatem kto jeszcze?

– Annita, oczywiście. Wiem, że to jedyna kobieta w rządzie, ale siedzi przy końcu stołu w sali posiedzeń, coś tam trajkocze, a ja prawie słowa z tego nie słyszę. – Pokręcił z irytacją głową. – To nie ze mną jest coś nie tak, prawda, Mortimo?

– Francis, wybiórcze słuchanie jest nie tylko przywilejem premiera, lecz także jedną z jego najbardziej przydatnych broni. Miałeś wiele lat, żeby doprowadzić tę sztukę do perfekcji.

Nie tylko o to chodziło, pomyślała, ale chyba go uspokoiła. Wzięła do ręki nóż i wprawnym ruchem nadgarstka, który zdawał się nie pasować do damy, odkroiła czubek jajka na miękko. – A co z Tomem Makepeace'em? – Z jajka wypłynęło żółtko.

– Niebezpiecznie się go pozbywać, Mortimo. Wolałbym mieć go na pokładzie, z armatą skierowaną na zewnątrz, niż na innym okręcie, skąd celowałby do mnie. Ale może zrobimy pewne... – wykonał dłonią gest dyrygenta zapraszającego do gry drugie skrzypce – przemeblowanie na pokładzie. Znajdziemy mu nowy cel. Może ochronę środowiska.

– Wykopać go z Ministerstwa Spraw Zagranicznych? To mi się podoba.

– Niech zмага się z wiatrem i wodami naszego pięknego zielonego kraju. Oczyści naród i tak dalej. Jakiegoż większego wyzwania mógłby chcieć człowiek sumienia? – Już ćwiczył sformułowania do komunikatu prasowego. – A przy okazji przypomnimy łajzom w Brukseli, że nie żartujemy, dając MSZ temu jeżowi Bollingbroke'owi. Cierpi na wzdęcia i męczą go gazy. Późnowieczorne posiedzenia

w uścisku naszej europejskiej braci wydają się dla niego oczywistym miejscem.

– Znakomicie! – Wbiła cienki kawałek chrupkiego pieczywa w samo serce jajka.

– A Boożę-Pitta damy do MSW.

– To małe, ociekające wazeliną uosobienie podłości? – Na jej twarzy odbiło się zaniepokojenie.

– Lepiej bym tego nie ujął. Ale jest na tyle prostacki i wulgarny, żeby wiedzieć, czego chcą wierni zwolennicy partii, i im to dać. Znaleźć ich czułe miejsca.

– Podobnie jak to robi z żonami połowy ministrów.

– Ale ja z kolei mogę go dotknąć w czuły punkt. Trzymam jego lojalność w ręku i wystarczy, że ścisnę. Geoffrey nie sprawi nam kłopotu. – Nagle wyprostował się na krześle jak struna, powęszył w powietrzu niczym kapitan statku, który wyczuwa zmianę pogody, przejaśnienia na niespokojnym niebie.

– Francis...?

– To jest to! Nie widzisz? Osiem pionowo: „Europejski kryzys”. Dwanaście liter.

– Co, „Bollingbroke”? – Zaczęła liczyć litery na palcach, zdumiona jego nagłą zmianą priorytetów.

– Nie. „Nein. Nein. Nein!” – Zarechotał triumfalnie i rzucił się z powrotem na swoją gazetę, wypełniając puste pola krzyżówki w przypiływie olśnienia. – Widzisz, Mortimo. U starego Francisa jeszcze główka pracuje.

– No oczywiście.

Uznała jednak, że na wszelki wypadek nie zaszkodziłoby się ubezpieczyć.



Korytarze władzy przypominają gordyjski węzeł splątanych powiązań – relacji małżeńskich, rodzinnych, często cielesnych, więzów krwi, koneksji szkolnych i klubowych (strzeżcie się człowieka, którego nie przyjęto do klubu Garrick), więzi zbudowanych na uprzywilejowaniu i uprzedzeniach, znacznie głębszych niż okresowe strumienie znajomości i sukcesów zawodowych. Nektar tradycji sączony od urodzenia albo urazy chowane od czasów popołudni spędzonych na boisku lub wieczorów we wspólnej sali sypialnej mogą nadać życiu kształt, a czasem nawet cel. Brytyjski establishment nie jest dziełem przypadku.

Nie ma przydatniejszego narzędzia do rozwikływania tych tajemnic i wyszukiwania źródeł wpływów niż egzemplarz Who's Who. Na jego stronach można znaleźć większość cieniutkich jedwabnych nitek tworzących sieć tego, co akceptowane, a czasem także hałaśliwe brzęczenie bezczelnego intruza, który jednak, jak owad atakujący pajęczynę, rzadko przetrwa dłużej.

Egzemplarz Mortimy miał już kilka lat, ale i tak znalazła w nim większość tego, co było jej potrzebne. Dowiedziała się, że Clive Watling będzie problemem. Nie pochodził z żadnej liczącej się rodziny, nie skończył żadnej elitarnej szkoły, nie miał kindersztuby, tylko ambicję, wytrwałość i uczciwe osiągnięcia. Co Mortimie nie wystarczało. Był dumny ze swojego skromnego pochodzenia – wychował się w małej wiosce Cold Kirby, leżącej na skraju wrzosowisk Yorkshire. Na honorowym miejscu wymieniono jego szkołę podstawową, a także fakt, że był prezesem Stowarzyszenia na rzecz Ochrony Środowiska w Cold Kirby oraz członkiem innych lokalnych organizacji. Oto człowiek stojący bardzo twardo obiema porządnie

obutymi nogami na wrzosowiskach, gdzie jedwabne niteczki były równie rzadkie jak orchidee. A jednak...

Ślepym trafem – nie, raczej dzięki fortunnym koneksjom rodzinnym – kuzyn matki Mortimy Urquhart (de domo Colquhoun) wciąż posiadał okazałe arealy na północy, w pobliżu Cold Kirby, a także odpowiednie dziedziczne tytuły, więc Mortima zwróciła się do swojego arystokratycznego kuzyna, by ten wystosował zaproszenie na drinka na tarasie.

Taras pałacu westminsterskiego wychodzi na północny brzeg wielkiej rzeki, gdzie niegdyś przechadzał się Henryk VIII, wśród kwitnących drzew i żywopłotów swego ówczesnego pałacowego ogrodu. Z miejscem tym zawsze wiązały się problemy, jako że przylegało bezpośrednio do średniowiecznego City of London, z jego ludzkim rojowiskiem i przepelnionymi nocnikami. Może to właśnie podczas spaceru pewnego letniego dnia, wdychając nieznośnie cuchnące powietrze, król pozazdrościł swojemu lordowi kanclerzowi, kardynałowi Wolseyowi, słodko woniejącego pałacu, który stał dalej w górę rzeki, w Hampton Court. Los miał się od Wolseya odwrócić, a rezydencja zacząć wymykać się z rąk, w miarę jak pływowy prąd Tamizy toczył jej smrodliwe wody, które to wzbierały, to opadały przed drzwiami króla. W każdym razie to miejsce nigdy nie cieszyło się wielką popularnością, aż do czasu, kiedy najpotężniejsi z miejskich modernizatorów, ci z epoki wiktoriańskiej, zbudowali zarówno kanały ściekowe, jak i solidne nabrzeża, odmieniając jego oblicze. Nad rzeką architekci Barry i Pugin wzniesli wielki pomarańczowo-złoty pałac jako siedzibę parlamentu, przypominający zamek z piasku na plaży, z flagami i wieżyczkami włącznie. Otoczyli go tarasem, na którym w ciepłe letnie dni deputowani z obu izb mogli siadać i sączyć drinki,

uprzyjemniając sobie spędzanie czasu i uchwalanie ustaw pluskaniem rzeki, zamiast, jak za dawnych czasów, katować zmysły jej odorem.

Major lord „Bungy” Colquhoun nieczęsto przyjeżdżał do Londynu, ale kiedy już się tu zjawił, przekonywał się, że Izba Lordów znakomicie odgrywa rolę klubu. Przychylił się zatem do sugestii kuzynki, że powinien wyprawić mały koktajl na tarasie i zaprosić kilku starannie wybranych gości. Nie znał swojego niemalże sąsiada z Cold Kirby, mającego wkrótce stać się jego bratem w lordostwie, lecz stwierdził, że z chęcią go pozna. Podobnie jak Mortima.

Watling był sympatycznym człowiekiem, uprzejmym, ale ostrożnym. Badał niepewny grunt, na którym się znalazł. Jak mistrz krykieta Geoffrey Boycott na stadionie Headingley w serii rzutów przed lunchem, był osobą, której nie należało poganiać. Przez dłuższą chwilę stał na tarasie w milczeniu, wpatrując się ponad mulistą brązową rzeką w miejsce, gdzie armia mrówek robotnic przekształcała dawny Szpital Świętego Tomasza w przyszły kompleks biurowo-handlowy z multikinem.

– Postęp? – zapytała, stając obok niego.

– Ma pani na myśli to, że gdyby w tej chwili stanęło mi serce, dowiezenie mnie do lekarza potrwałoby o piętnaście minut dłużej? – Pokręcił głową. – Skoro pani pyta, to raczej żaden postęp.

– Ale wie pan, nie potrwałoby, nie w Izbie Lordów. We wszystkich tych gotyckich zakamarkach jest pełno najróżniejszego specjalistycznego sprzętu reanimacyjnego. Oddział kardiologiczny w każdej szafie. Nie wolno panu umrzeć. Nie w królewskim pałacu. To wbrew regułom.

Zaśmiał się.

– Uspokoila mnie pani, pani Urquhart. Chyba lepiej, zebym jako sędzia trzymal sie regul.

– Nie twierdze, ze rozumiem system prawny...

– Ma go pani nie rozumiec. W przeciwnym razie po co bysmy my wszyscy, prawnicy, pracowali jak mrówki na koszt podatników, ogromny zreszta?

Byl nieśmiały, ale troche sie rozkręcal. Przyszla jej kolej, aby sie roześmiać.

– A teraz jest pan na królewskim zoldzie?

– Cypryjskim, ściśle rzecz biorąc.

– A, to pan sie tym zajmuje? – Pozwolila, by bryza potargala jej włosy, pilnowala, zeby nie wyjść na przejeta. – Czy to trudna sprawa?

– Nieprzesadnie. Obszary kontrowersji sa jasne i niezbyt rozlegle. Potrzebna jest wyważona decyzja. Komisja obraduje wiec przez jakies dwanaście godzin tygodniowo, a przez reszte czasu... porządkujemy swoje mysli. – Autoironicznym gestem uniosl kieliszek szampana.

– A wiec jest jakaś komisja? Nie wiem, dlaczego wydawalo mi sie, ze to sprawa calkowicie w gestii brytyjskiej.

– I tak by bylo lepiej. Czasem mam wrazenie, ze to entente cordiale nie jest ani entente, ani szczególnie cordiale. – Poprzedniego dnia Rodin, Francuz, wyjątkowo uparcie prezentowal brak logiki i zacierzewienie. No, ale to u niego normalne.

– To Francuzi tez sa w to zaangazowani?

– Oraz Malezyjczyk, Egipcjanin i Serb. Teoretycznie w ogniu naszej dyskusji miecze maja sie przekuc na lemiesze, by przysluzyc sie budowie lepszego swiata, chociaz w praktyce owe lemiesze czesto maja krawedzie ostre jak brzytwa.

– Podejrzewam, że skrycie jest pan bardzo dumny z tego, co robi. Ale, proszę wybaczyć moją niewiedzę, czy taka mieszanka różnych narodowości, a zwłaszcza udział Francuzów, nie sprawia, że w tym przypadku pańskie zadanie jest nieco... niezręczne?

– W każdym przypadku – przytaknął żarliwie. – Ale dlaczego zwłaszcza w tym?

– No, z tą ropą...

– Ropą? Jaką ropą?

– Nie wie pan? Na pewno musi pan wiedzieć. Przecież by panu powiedzieli.

– O czym? Badania sejsmiczne nie wykazały żadnej ropy.

– Ale okazuje się, że jest jeszcze inny raport, bardzo poufny, a przynajmniej tak słyszałam... Może nie powinnam tego słyszeć? W każdym razie ten raport mówi, że tam pod wodą są ogromne zasoby ropy. A jeśli ten obszar przypadnie stronie greckiej, Francuzom obiecano prawa do wydobycia. – Wyglądała na zdezorientowaną. – Czy to nie utrudnia zadania francuskiemu sędziemu?

A zatem to właśnie kombinował ten bretoński bydlak... Watling zachmurzył się zaniepokojony, podczas gdy wielka rzeka Tamiza pędziła naprzód, podobnie jak Mortima.

– Proszę mi wybaczyć. Niech pan zapomni o wszystkim, co powiedziałam. Pewnie usłyszałam coś niechcący i nie powinnam... no wie pan, właściwie nigdy nie zwracam na te sprawy większej uwagi, czy powinnam o czymś wiedzieć, czy nie. – W jej głosie było słychać zdenerwowanie. – Jestem głupią babą wcinającą się w kwestie, których nie rozumie. Powinnam trzymać się ścierania kurzów i słuchania Woman's Hour.

– Zapewne nie powinniśmy o tym rozmawiać – przyznał, krzywiąc się, jakby mu czegoś dosypano do drinka. – Mam rozpatrywać fakty, które zostają mi przedstawione. I muszę być w tym bezstronny. Całkowicie odciąć się od materiałów z zewnątrz i, proszę mi wybaczyć, plotek.

– Mam nadzieję, że nie postawiłam pana w trudnej sytuacji. Proszę powiedzieć, że mi pan wybaczy.

– Oczywiście. Skąd miała pani wiedzieć. – Mówił łagodnym tonem, ale przybrał wystudiowaną oficjalną pozę, znów wszedł w rolę sędziego i wpatrywał się w rzekę niewidzącym wzrokiem. Analizował problem.

Mortima przez chwilę milczała, starając się odzyskać spokój i kręcąc nerwowo długą nóżką kieliszka. Pora zająć nowe terytorium, wszystko jedno jakie, byle nie leżało na złożach ropy. Zaprezentowała swój najlepszy uśmiech matrony.

– Bardzo się cieszę, że mógł pan przyjść z matką. Jak rozumiem, Bungy poczęstował państwa podwieczorkiem.

Skinął lekko głową.

– Mojej matce szczególnie smakowały opiekane bułeczki drożdżowe. Earl grey jej za to nie podszedł. Powiedziała, że następnym razem przyniesie własną herbatę w torebkach.

Watling poczuł ukłucie niepokoju – „następnym razem”. Czy baron in spe wygadał sekret, sprawiając wrażenie, iż wyciągnął zbyt daleko idące wnioski? Czy żona premiera mogła wiedzieć o liście noworocznej? Ale przecież zaproszenie na podwieczorek i przyjęcie na tarasie było po prostu formą subtelnego wprowadzania go do Systemu?

– A pański ojciec?

– Nie ma go już wśród żywych, niestety. Właściwie, czego nie przestaję żałować, nigdy go nie znałem, ani on mnie.

– Jakie to smutne. – Znow była zakłopotana, zaczerwieniona. Wydawało się, że nie potrafi znaleźć odpowiedniego tematu i jest zdenerwowana własną niezręcznością. Wzięła głęboki wdech. – Niech pan posłucha, te wszystkie bzdury, które gadałam o ropie... proszę nie myśleć, że sugerowałam, iż mogłoby to wpłynąć na opinię francuskiego sędziego. Szanuję Francuzów. To naród dzielnych, niezależnie myślących ludzi. Zgodzi się pan ze mną?

Watling omal nie udławił się szampanem. Dotknęła jego ramienia, zaniepokojona i lekko spanikowana. Zaczerwienione oczy wyszły mu z orbit, twarz pokraśniała. Mortima zaczęła się poważnie zastanawiać nad tym sprzętem reanimacyjnym.

– Przepraszam. – Odkaslnął. – Obawiam się, że nie w pełni podzielałam pani zdanie o Francuzach. Małe osobiste uprzedzenie.

– A więc jest pan stuprocentowym Anglikiem, takim z cyklu „Yorkshire pudding i nie żałować mi kapusty”?

– Niezupełnie, pani Urquhart. Widzi pani, mój ojciec zginął we Francji. W czterdziestym trzecim.

– Podczas wojny...?

– Tak. Był agentem SOE, zrzucono go na spadochronie na tyły wroga. Miejscowy francuski mer wydał go gestapo, okazał się cichym kolaborantem. Jak zresztą większość z nich. Aż do lądowania w Normandii. Francuzi odzyskali kraj, a moja matka dostała w zamian skromną rentę. Niewiele jak na wychowywanie czworga dzieci w odciętej od świata wiosce w Yorkshire. Mam więc nadzieję, że zrozumie pani i wybaczy moje małe osobiste uprzedzenie. – Zawołowana aluzja była wyraźnie czytelna.

Jednak to nie wszystko. Jeszcze ropa. Francuzi. Bretoński bydlak. Teraz Watling rozumiał, dlaczego Rodin był taki uparty. Nagle wszystko się poplątało. Jak mógłby zakwestionować uczciwość drugiego sędziego? Nie miał dowodów, niczego poza podejrzeniami, które niejeden nazwałby uprzedzeniem. W każdym razie najdrobniejsza wzmianka o ropie sprawi, że całe postępowanie pograży się w chaosie. Nie, będzie musiał podać się do dymisji, umyć od tego ręce, bo plotki i prywatne wątpliwości podważają jego własny obiektywizm. To jednak także wywołałoby chaos. Nadmierne opóźnienie. Może nawet zagroziłoby pokojowi. A on mógłby się pożegnać z baronią Cold Kirby Na Skraju Wrzosowiska.

– Ale przecież znam pańską renomę, słynie pan z bezstronności, profesorze Watling – usłyszał zapewnienia tej idiotki. – Jestem pewna, że żadna z tych rzeczy nie wpłynie na pańskie poglądy...

Było jeszcze jedno wyjście. Mógł milczeć. Udawać, że nic nie słyszał. Załatwić sprawę, tak jak wszyscy go o to błagali. Wymierzyć sprawiedliwość, na przekór Francuzom.

– A co do pańskiego ojca, tak mi przykro – ciągnęła Mortima. – Nie miałam o tym bladego pojęcia.

A w każdym razie nie większe, niż dało jej Who's Who i kilka minut spędzonych na przeglądaniu wycinków prasowych dotyczących Watlinga.



Przeżegnał się z pietyzmem prawosławnych i ukląkł w świeżo przyciętej trawie przy grobie żony, sztywno, niezgrabnie, jakby był starszy, niż wskazywała metryka. „Eonia mnimi – niech pamięć o niej żyje wiecznie” – wymamrotał, wodząc dłonią po rysach w marmurze, ignorując skargi niewygodnie ułożonej nogi. Obok Maria wymieniła

więdnące kwiaty na świeże, po czym oboje pogrążyli się w myślach i wspomnieniach.

– To ważne – odezwał się – żeby oddawać cześć zmarłym.

Greckie legendy są zbudowane wokół krainy cieni, a dla takiego człowieka jak Passolides, który wiedział, że wkrótce sam stanie przed koniecznością przeprawy na drugą stronę, powaga i godność śmierci były sprawami najwyższej wagi. W całej historii Hellenów tak łatwo szafowano życiem i tak często płacono mrocznemu przewoźnikowi przez rzekę Styks, że konieczne były wyszukane rytuały przejścia, aby ukazać pewną dozę cywilizacji w nieludzkim i barbarzyńskim świecie. Jednak Jorgos i Eurypides odeszli bez rytuału, bez honorów, bez godności.

Odkąd natknęli się – metaforycznie – na grób braci, Passolides jakby nabrał apetytu na życie. Zyskał nowy cel, do którego mógł z uporem dążyć, i chociaż zdaniem Marii ten upór był czasem nadmierny, przynajmniej ojciec miał misję, odzyskał poczucie sensu, co ożywiło go w stopniu, jakiego nie widziała od szczęśliwych czasów przed śmiercią matki. Nawet z nogą było jakby lepiej. Zaczął wychodzić w dzień z mroków swojego grobowca, spacerować, kuśtykając, po Regent's Park, często mamrocząc do siebie, znów cieszyć się otwartą przestrzenią zieleni, kłótniami wróbli w rosnących wzdłuż ścieżek krzakach głogu, szelestem liści lip nad jeziorem. W centrum Londynu nie mógł się już bardziej zbliżyć do wspomnień o stokach gór.

Polerując chłodny marmurowy nagrobek, Maria uważnie przyglądała się ojcu, wyczuwając, jak bardzo się zmienił. Niewielka, okrągła twarz przypominała owoc zbyt późno zerwany z drzewa, pomarszczony, wygarbowany wiekiem i pochodzeniem. Policzki

zapadnięte pod wpływem bólu, jaki zadawało mu niezdarne, uciążliwe ciało. Jednak oczy znowu lśniły odzyskanym poczuciem celu, jak u starego lwa, który obudził się głodny.

– O co w tym chodziło, Baba? Co ukrywali Brytyjczycy?

– Winę.

Sam dobrze to znał. Wina przenikała jego życie, miał poczucie, że zawiódł wszystkich, towarzyszy i rodzinę. Zawiódł jako najstarszy syn, bo nie ochronił młodszych braci, zawiódł ponownie jako kaleka, któremu nie udało się podnieść upuszczonego przez nich sztandaru oporu. Nigdy tego przed nikim nie przyznał, a przed sobą samym tylko bardzo rzadko, ale skrycie żywił do swoich braci męczenników urazę, chociaż ich kochał, bo Jorgos i Eurypides byli zmarłymi, którym oddaje się cześć, a Evangelos – tym żalonym, żywym bratem, który się nie sprawdził. Szamotał się w ich cieniu, niezdolny do zmierzenia się z pamięcią o nich, niepewny, czy potrafiłby znaleźć w sobie taką jak oni odwagę, i pozbawiony szansy, by spróbować. Nigdy nie będzie bohaterem. Całe życie usiłował udowodnić światu, że był oddany sprawie tak samo jak jego bracia, nawet jeśli przy kielichu ich obwinał. Winił ich, a potem z kolei obwinał siebie o tego robaka bezsensownej zazdrości, który go toczył od środka. Teraz jednak, nareszcie, pojawiła się nadzieja na ulgę, na to, że będzie można obwinić kogoś innego.

– Winę – powtórzył, rozmasowując sobie nogę, aby pobudzić krążenie. – Co innego może ukrywać żołnierz? Nie śmierć, bo tym się zajmuje. Tylko winę trzeba zakopać. Spalić.

Cały czas słuchając, wyrwała kilka trawek, które powyrastały wokół grobu. Ojciec myślał, że Maria nie wie nic o jego skrywanym wstydzie,

ale ona borykała się z nim całe życie i rozumiała, chociaż nie mogła nic na to poradzić.

– Mów dalej, Baba.

– Mieli prawo zabić moich braci, według brytyjskich przepisów. Jorgos i Eurypides mieli przy sobie broń, bomby. Kto by się skarżył, że zginęli, oprócz paru bezzębnych Greków? Brytyjczycy powiesili kiedyś osiemnastoletniego chłopca, Pallikaridesa, bo znaleziono go z pistoletem w ręku. Takie było ich prawo. Obligatoryjnie. – Miał problem z wymówieniem tego słowa, ale nie z jego zrozumieniem. – Nie, to nie ich śmierć usiłowali ukryć. Musiało chodzić o sposób, w jaki zginęli.

– Czyli to dlatego spalili ciała, żeby ukryć, co im zrobili. Tortury?

– Zdarzało się. – Urwał, zapatrzony w dal, wracając do odległych krainy i czasów. – Może to nie były jeszcze ciała, kiedy je palili. Może chłopcy jeszcze żyli. To też się zdarzało.

Po obu stronach, chociaż nie chciał o tym pamiętać i do tego także nigdy by się nie przyznał swojej córce. Ale nawet po tych wszystkich latach wymazanie wspomnień o nasiąkniętych benzyną i zemstą postaciach okazywało się niemożliwe. „Piodoti!” Zdrajcy, Grek skazany za donos na Greka, potykający się na głównej ulicy wioski, wciąż krzyczący o swojej niewinności zwęglonymi wargami, oczy już niewidzące, wypalone, ciała zmienione w ogniska, które wpajały straszliwy przekaz o lojalności wszystkim, którzy widzieli. Ale Jorgos i Eurypides nikogo nie zdradzili, nie byli piodotes, nie zasługiwali na taką śmierć.

– Wiesz, co to znaczy, Baba? Ukrytych grobów może być więcej.

W długie zimowe wieczory, kiedy kobiety podsycaly ogień pamięci i opowiadały historie o życiu w dawnych czasach, żadne wspomnienia

nie poruszały Greków z Cypru tak głęboko jak te o „zaginionych”. W 1974 roku greccy ekstremiści w Atenach, sfrustrowani brakiem postępu w kierunku Enosis, unii między wyspą a resztą Grecji, zawiązali spisek w celu obalenia rządu arcybiskupa Makariosa w Nikozji. Był to atak szaleństwa, po którym Cypr miał nigdy się nie podnieść. Pięć dni później Turcy w odwecie zajęli wyspę, podzielili ją i zburzyli etniczną układankę tak, by na pewno nie dało się jej ułożyć na nowo. W tym okresie zniknęło ponad tysiąc greckich Cypryjczyków, których zgarnęła posuwająca się naprzód armia turecka, po czym słuch po nich zaginął. Podejrzenia co do ich losu zawsze były źródłem niekłamanego oburzenia dla Greków i wstydu dla Turków – takie rzeczy się na wojnie zdarzają, nieszczęścia, odosobnione przykłady barbarzyństwa, nawet błędy na masową skalę, ale kto, do diabła, lubi się później do tego przyznawać? A jednak, dążąc do pokoju, Turcy się przyznali, przekazali wszystko, co wiedzieli na temat „zaginionych”. Po niemal ćwierćwieczu było to żałości nie małe – kilka rozrzuconych po całej wyspie grobów, stare kości, fragmentaryczne zapiski, wyblakłe wspomnienia – lecz nawet małe światełko rzucone na najmroczniejszą kartę w dziejach wyspy przyniosło zrozumienie i pomogło złagodzić cierpienia, pozwoliło rodzinom opłakać i uczcić zmarłych. Myrologhia. Teraz jednak wyglądało na to, że grobów było więcej. Wykopanych jeszcze wcześniej, przez Brytyjczyków.

Dla Marii, która nigdy nie poznała swoich stryjów, nie mogła więc w pełni przeżywać ich straty, była to kwestia polityki i zasad. Dla jej ojca jednak gra toczyła się o coś znacznie więcej. Honor i zemstę. Honor Cypryjczyka. Zemstę Vangelisa.

– Musimy dowiedzieć się wszystkiego, czego możemy, o tych ukrytych grobach, Baba.

– I o zbrodniach, które próbowali w nich zakopać. – Wyprostował przygarbioną sylwetkę jak żołnierz na defiladzie. – I który drań zakopywał.

[4] Admirał John Byng został w 1757 roku oddany pod sąd wojskowy, a następnie rozstrzelany po przegranej bitwie morskiej z Francuzami pod Minorką za to, że „nie zrobił wszystkiego, co w jego mocy”, jak uzasadniono wyrok (przyp. tłum.).

Rozdział 13

Ordalia to system feudalnych tortur, z którym skończono wszędzie na świecie, poza Westminsterem.

Południowe wejście do sali obrad Izby Gmin jest obramowane bogato zdobionym i wyglądającym na wiekowy łukiem Churchilla. W istocie jego przydymiona bladość wynika nie z upływu czasu, ale z bliskiego kontaktu z jedną z bomb Reichsmarschalla Göringa, które 10 maja 1941 roku zrównały salę obrad z ziemią. Po obu stronach łuku stoją brązowe posągi dwóch wielkich przywódców wojennych współczesności, Davida Lloyd George'a i Winstona Churchilla. Lloyd George przybrał pozę wymowną, jakby perorował, Churchill – bardziej agresywną, jakby właśnie śpieszył, by wymierzyć wrogowi solidnego kopa w tyłek. Nieco dalej znajduje się pusty cokół bez posągu, być może zostawiony na zachętę wszystkim tym, którzy tędy przechodzą i mają nadzieję, że dzięki rzutkości i wielkim osiągnięciom wstąpią w szeregi otoczonych czcią mężów stanu.

Roger Garlick nie mógł się do nich zaliczać, nawet gdyby miał jeszcze kilka żyć. Oczywiście miał o sobie wysokie mniemanie, pasujące do roli młodszego dyscyplinatora, jednego z deputowanych, których zadaniem było zbieranie posłów partii rządzącej i zapędzanie

ich do odpowiednich korytarzy podczas głosowania^[5]. Garlick był człowiekiem o znacznym obwodzie w pasie, ale ograniczonych zdolnościach oratorskich. Miał świadomość, że redukuje to jego szanse zdobycia szerokiego publicznego uznania, więc delectował się możliwością wywierania wpływu bardziej prywatnie, poprzez mroczną sztukę dyscypliny partyjnej. Gnębienie posłów było dla niego prawdziwą ucztą, a szczególnie upodobał sobie dietę złożoną z nowych parlamentarzystów i dowolnych posłanek.

– Roger!

To wołał go Booza-Pitt, który właśnie przechodził przez hol przed salą obrad, zwany Members' Lobby, gdzie posłowie zbierają się, by odebrać pozostawione dla nich wiadomości, a także wymienić się plotkami i innymi niezbędnymi im w pracy materiałami. Booza-Pitt wyciągnął rękę do posła dyscyplinatora i uścisnął mu dłoń, ale się nie zatrzymał. Garlick był przydatnym kontaktem, człowiekiem skłonny, na osobności i pod wpływem drugiej butelki bordo, do podzielenia się wieloma osobistymi sekretami swoich kolegów, które udało mu się wygrzebać, lecz środek Members' Lobby nie był odpowiednim miejscem do tego celu. Minister transportu odmaszerował w poszukiwaniu innych niedyskrecji.

Hol był zatłoczony, jak zawsze na pół godziny przed sesją pytań do premiera, kiedy posłowie zbierali się na rytuał rozlewu krwi – czasami Urquharta, częściej odpytującego, szczególnie jeśli był nim Dick Clarence, młody i nieudolny lider opozycji, który miał tendencję do sprawiania wrażenia uczniaka próbującego niepotrzebnie stawiać się cierpiącemu w milczeniu dyrektorowi szkoły. W klasie musiał panować porządek, a do zadań Garlicka jako jednego z dyżurnych odpowiedzialnych za dyscyplinę należało jego zaprowadzenie. Dlatego

gdy spostrzegł wchodzącą do holu Claire, oczy zaświeciły mu się jak paciorki na mordce pluszowego misia.

– Brakowało nam cię wczoraj wieczorem podczas głosowania, moja droga. Bronilem cię, oczywiście, ale rzecznik dyscypliny strasznie się pienił. Musiałem w niego wlać pół butelki whisky, żeby go uspokoić. – Przyparł ją do cokołu Lloyda George'a.

– Przepraszam, Roger. Miałam ważne spotkanie, nie mogłam się z niego wymigać.

– To nie wystarczy, dziewczyno. Narażam dla ciebie tyłek, więc jesteś teraz moją dłużniczką. Może mnie przeprosisz jutro wieczorem przy kolacji?

Oparł się grubym ramieniem o posąg za jej plecami, w ten sposób przysuwając się do niej bliżej, jako poseł dyscyplinatorski roszcząc sobie prawo do takiej intymności. Śmierdział old spice'em i innymi, mniej słodkimi rzeczami. Claire rozglądała się po holu w poszukiwaniu kogoś innego – kogokolwiek innego – kto mógłby oderwać ją od natręta, ale Garlick tego nie zauważył, gdyż wzrok miał wbity w jej bluzkę.

– Przykro mi, Roger, jutro nie dam rady. Idę do fryzjera. A potem wieczór mam zajęty, bo mam nadzieję pójść na kurs asertywności. Jeśli mąż mi pozwoli. – Uśmiechnęła się, licząc, że Garlick zrozumie aluzję.

– No to w przyszłym tygodniu – nie dawał za wygraną. – Będzie miło. Przebąkuje się o nadchodzącym przetasowaniu, będą nowe stanowiska, moglibyśmy porozmawiać o twojej przyszłości. Może nawet mógłbym cię dopisać do mojej listy nowych gwiazd.

Kiedy to mówił, precisnął się koło nich jeden z postów, a Garlick wykorzystał tę okazję, żeby przysunąć się jeszcze bliżej, usiłując się o nią otrzeć. Claire nie zaprotestowała. W tej gorącej atmosferze, przy

tych napiętych emocjach, podczas niekończących się wieczorów nierzadko zdarzały się jej niedwuznaczne propozycje, zwłaszcza gdy posłowie uraczyli się dobrą kolacją, a zrażanie do siebie każdego kolegi, który położył jej rękę na kolanie albo uwodzicielsko objął ją w tali, drastycznie ograniczyłoby liczebność przychylniej jej frakcji. Reguły klubu dla chłopców, a ona sama prosiła, żeby ją przyjęli. Ale nie musiała znosić grubiaństwa Garlicka.

– W przyszłym tygodniu nie, Roger. Mam remont kuchni. – Dalej się uśmiechała, lecz z dużą stanowczością położyła mu palce na piersi i go odepchnęła.

Słyszając odmowę, zmienił zarówno ton, jak i wyraz twarzy.

– Cholerne baby! Wszystkie jesteście tu takie same. Do niczego. Jak, do diabła, mamy rządzić tym krajem, skoro wymigujecie się za każdym razem, kiedy macie migrenę albo jedno z dzieciaków choruje na świnkę. – Inni stojący w pobliżu posłowie zaczęli nadstawiać uszu. Garlick zorientował się, że ma publiczność, więc podniósł głos. – Najwyższa pora, żeby ci coś wyjaśnić. To nie jest kurs robienia na drutach ani żłobek, to jest Izba Gmin, a ty jesteś tu po to, by robić, co ci każą. Podaj łapę. Waruj. Przewrót. Masz się uwijać jak w ukropie, jak misjonarz w kotle. Zostałaś wybrana, żeby popierać rząd, a nie żeby snuć się tu po korytarzach, jakbyś wybierała majtki w Marks & Spencer. Przychodzisz głosować, kiedy ci mówimy, i robisz to, co ci każemy!

Rozlew krwi zaczął się dziś wcześniej. Zebrany tłumek posłów zaszumiał mieszaniną zakłopotania i wyczekiwania, co zabrzmiało jak szelest podawanego rzeźnikowi fartucha.

– Bardzo mi przykro, że opuściłam wczorajsze głosowanie, Roger. Nie miałam wyboru. – Starannie pilnowała, by w jej głosie nie było

słyszeć choćby najlżejszego drżenia czy śladu emocji.

– Co w takim razie było takie ważne, że musiałaś nas zawieść? Tylko mi, na litość boską, nie mów, że miałaś pilną wizytę u swojego cholernego ginekologa.

– Nie, nie leżałam z rozłożonymi nogami, Roger. Byłam u Francisa. No wiesz, naszego premiera? Poprosił mnie, żebym została jego osobistym sekretarzem parlamentarnym.

Przez zebrany wokół nich tłumek przebiegł dreszcz, a obwisłe policzki Garlicka zaczęły przybierać głębszy odcień szkarłatu. Wyraźnie miał problem z kontrolowaniem dolnej szczęki.

– Premier poprosił cię, żebyś została jego... – Nie był w stanie dokończyć.

– Jego osobistym sekretarzem parlamentarnym. A wiesz, jaka ze mnie dziewczyna, Roger. Po prostu nie potrafiłam odmówić.

– Ale rzecznik nic o tym nie wiedział – wyjąkał. Modlił się, by się okazało, że Claire się z nim droczy.

Oczywiście, że rzecznik dyscypliny nie wiedział, nie mógł wziąć udziału w tej dyskusji. Był jednym z tych przeznaczonych do wylądowania w kotle obok misjonarza. Razem z kilkoma młodszymi posłami dyscyplinatorami.

– F.U. planował wspomnieć mu o tym dziś przy lunchu. Najwyraźniej wieść jeszcze nie dotarła do wszystkich szczebli. A przynajmniej nie aż tak daleko w dół, żebyś zdołał ją usłyszeć.

Jeden ze starszych posłów wśród zgromadzonej publiczności pociągnął Garlicka za rękaw.

– Gem, set i jądra, tak bym to ujął, stary. – I odszedł, głośno rechocząc.

Garlick przypominał przekłuty zeppelin: zatrzepotał bez celu rękami, wydał z siebie przeciągłe westchnienie i oklapł. Wyglądał jak cień człowieka, którym był zaledwie przed chwilą, a jednak, o czym wiedziała Claire, to jeszcze nic w porównaniu z tym, jak mały zrobi się niebawem. Miała teraz przywilej dostępu do zakulisowych informacji i uświadomiła sobie, jak bardzo jej się to podoba. Niezdolny do wyduszenia z siebie słowa, jakby odstrzelono mu moduł łączności, Garlick odwrócił się i powlókł w kierunku pokoju dyscyplinatorów i schowanej tam butelki whisky.

– Jestem naprawdę zachwycony, Claire, zawsze uważałem, że już dawno należało ci się uznanie. Jakiś czas temu szepnąłem o tobie słówko szefowi. Cieszę się, że pomogło. – Jak spod ziemi wyrósł koło niej Booza-Pitt. Miał niebywale czułe anteny.

– Aż nie chce mi się wierzyć, że tyle osób się za mną ostatnio wstawiło – odparła zagadkowo.

– Mam nadzieję, że mogę być jednym z pierwszych, którzy ci pogratulują. Zjedźmy razem kolację. Wkrótce.

Zaproszenie. Po którym nastąpią pełne troski pytania o jej męża oraz mały prezencik dla dzieci. Za jednym zamachem przeskoczyła z trzeciej ligi prosto do pierwszej, ponad głowami paru – dwustu – kolegów, w większości płci męskiej. Napawało to Geoffreya niepokojem. Obeszła jego system, który wymyślił, żeby się chronić i promować swoją sprawę. Nie pasowała mu do obrazka, nie rozumiał jej, nie mógł kontrolować. Może miał autorytet ministerialnego urzędu, ale ona dysponowała wpływem wynikającym z dostępu – praktycznie będzie mieszkać na Downing Street numer 10. Stanowiła dla niego konkurencję, takie są nagie fakty – a skoro o nagości mowa, nie było sensu usiłować zaciągnąć ją do łóżka, już próbował.

Powtarzana szeptem wiadomość obiegnęła już Members' Lobby i Geoffrey zorientował się, że wiele osób im się przygląda. Wziął ją pod rękę gestem znamionującym właściciela.

– Będziemy się razem znakomicie bawić – powiedział i wprowadził ją do sali obrad.



Urquhart z trudem dobrnął na swoje miejsce w przednich ławach partii rządzącej, ściskając w dłoni czerwoną teczkę. Wolałby wmaszerować do sali obrad, krocząc dumnie od wejścia za fotelem przewodniczącego Izby, ale gdy się tu zjawiał, zawsze przychodziły tłumy i musiał przeciskać się obok ciał, łokci, nóg i innych wystających elementów wyposażenia posłów, którzy nie zauważyli, że się zbliża. Już prawie dotarł na miejsce, podnosząc wysoko nogi jak koń w konkurencji ujeżdżania i przytrzymując się ramienia Toma Makepeace'a, kiedy podsekretarza stanu w Ministerstwie Skarbu złapał skurcz i kopnął swojego premiera w goleń. Kolejny ochotnik do przyglądania się obradom z tylnych ław.

Mimo wszystko Urquhart miał dobry nastrój, bardzo pozytywny. Przy lunchu poinformował rzecznika dyscypliny, że jego usługi bosmana nie będą już dłużej potrzebne podczas tego rejsu. Rzecznik rozumiał, co to oznacza. Wielki okręt, jakim jest państwo, rzadko się zatrzymywał, żeby podjąć tych, którzy wypadli za burtę, nie mówiąc już o tych wyrzuconych celowo. Mógłby pozazdrościć losu pąklom. Jednak w owej chwili największego nieszczęścia rzucono mu koło ratunkowe, obietnicę parostwa po następnych wyborach, jeśli do tej pory będzie trzymał gębę na kłódkę i nie będzie podskakiwać. Dzięki temu między zupą a rybą pomógł premierowi skompletować ostateczną listę tych, którzy dołączą do niego za burtą. Większość

postów dyscyplinatorów ma na tyle głęboko wpojone poczucie obowiązku i dyscypliny, że widok krwi, nawet ich własnej, nie odbiera im apetytu.

Kiedy Urquhart usiadł na swoim miejscu przy mównicy, patrząc na armię opozycji, która zebrała się przed nim w zwartych szeregach, uderzyła go myśl, jak bardzo to wszystko przypomina strzelnicę w wesołym miasteczku. Całe rzędy kaczek, które trzepocząc skrzydłami, poderwą się na nogi i zaprezentują do... no cóż, do odstrzału, podczas gdy arbitrzy z prasy będą przyglądać się im z góry z bezstronnym, choć łakomym zainteresowaniem, czekając, by policzyć przypalone piórka. Zamierzał sprawić, że będą dziś mieli co robić. Może wzrok już nie ten, ale wciąż potrafił instynktownie dobrze wycelować.

Pierwszą kaczką, która zakwakała i wyszła z ukrycia, był Walińczyk o głosie zdradzającym lekki zaśpiew z wybrzeża Clwyd oraz polot bryły węgla. Z wigorem i bardzo długo – zdawałoby się, bez końca – wyrażał swoje obawy, że premiera zbyt mało obchodzą kwestie integracji europejskiej. Urquhart, znudzony, wciągnął głęboko powietrze i wzniosł oczy, by pogapić się w sufit, a myślami znalazł się ponad nim, na tarasie na dachu... Szybko się otrząsnął i wrócił do obrad Izby.

– I wreszcie pan premier twierdzi, że wierzy w jednolity rynek europejski, podobnie jak ja. Jeśli jednak naprawdę w niego wierzy, dlaczego odwraca się od wspólnej waluty? Wszystkie te funty, szylingi i pesety to ogromne m-m-marnotrawstwo.

Pięknie mówi, pomyślał Urquhart, niemalże poziom Eisteddfod, festiwalu kultury walijskiej. Wstał i oparł się łokciem o mównicę, żeby móc lepiej wycelować.

- Jeśli wolno mi przerwać monolog szanownego pana posła... - Uśmiechnął się, by pokazać, że nie ma mowy o żadnej urazie. Następnie zdecydowanym ruchem zamknął leżącą przed nim czerwoną teczkę, zawierającą materiały przygotowane przez służbę cywilną. Najwyraźniej odpowiedź miała nie mieć z nim nic wspólnego. - Chciałbym zapewnić, że całkowicie się z panem posłem zgadzam.

Przez ławy przeszedł szmer konsternacji. Odkąd to Urquhart zgadza się z opozycją?

- No, niemal całkowicie, co do głównej myśli pana posła. Którą, jak rozumiem, jest... - Urquhart zręcznie, czego Walijczyk nie był w pełni świadomy, przestawiał słupki bramki, chcąc grać w coś zupełnie innego - ... którą, jak rozumiem, jest to, co musimy zrobić, aby wprowadzić efektywny jednolity rynek w Europie? Chociaż nie pojmuję, dlaczego tak bardzo panu posłowi zależy na likwidacji brytyjskiego funta i pozbyciu się popiersia króla z monet naszego królestwa.

Walijczyk bił w panice skrzydłami. Wcale nie o to mu chodziło. I kim, do diabła, był Francis Urquhart, żeby stroić się w piórka orędownika rodziny królewskiej?

- Pozwolą państwo, że odpowiem panu posłowi. - Urquhart wycelował w niego palec. - Jeśli chcemy zbudować jednolity rynek, skończyć z marnotrawstwem i nieefektywnością, to jest coś znacznie ważniejszego od wspólnej waluty. A mianowicie jednolity język.

W sali zapanowała pełna oszołomienia cisza, w której posłowie trawili ten zupełnie nowy kąsek. W ławach przeznaczonych dla urzędników służby cywilnej, obok fotela przewodniczącego, jeden z asystentów zaczął nerwowo przerzucać strony swojego raportu, jak sufler rozpaczliwie usiłujący przywrócić spektakl do ram scenariusza.

- O, tak - ciągnął Urquhart, podnosząc głos i przygotowując sobie arsenał przysłówków i przymiotników. - W biznesie nie ma większego marnotrawstwa ani niczego droższego od konieczności prowadzenia interesów w mnóstwie najróżniejszych języków. Koszty idą w miliardy rocznie, liczone w dowolnej walucie. Ekonomiczna logika jest niepodważalna, naszym priorytetem musi być mówienie jednym głosem. - Wzruszył ramionami, jakby stanął przed problemem, na który nie może nic poradzić. - Podejrzewam, że to po prostu historyczny przypadek, iż jedynym językiem zdolnym do spełnienia tych kryteriów jest angielski.

Ze swojego miejsca w przedniej ławie Bollingbroke wydał z siebie ryk zachwytu - ten na specjalne okazje, jak nazywał go Urquhart, gdyż był głośniejszy o kilka oktaw od okrzyku zarezerwowanego dla duszonej wołowiny z cynaderkami i odpowiedniejszy raczej na wypadek świętowania zwycięstwa Manchesteru United. Urquhart i tak był wdzięczny, więc odwrócił się, żeby skinieniem głowy podziękować za wiwaty podchwyczone przez tylne ławy. Zauważył, że Tom Makepeace nie okazywał większej chęci przyłączenia się do tego wybuchu radości.

- A zatem kiedy Europejczycy zaczną rozmawiać ze mną o jednolitej walucie po angielsku, wtedy zaczną słuchać - stwierdził twardo. Bawił się znakomicie. Walić etykietę dyplomatyczną. Czy to jego wina, że Bruksela nie ma poczucia humoru? - I będę oczekiwał od szanownego pana posła, że poprze mnie pan całym swoim walijskim sercem. - Ładny akcent na koniec. Wyborcy w jego okręgu przyjmą to z otwartymi ramionami, jak puszczalska przyjmuje fatyganta.

Urquhart rozpromienił się, słysząc wrzawę, która podniosła się ze wszystkich stron, i wrócił na miejsce. Jeszcze zanim zdążył usiąść, lider opozycji, z twarzą pałającą oburzeniem, zerwał się na równe nogi, tak gwałtownie, że garnitur od Armaniego omal nie puścił mu w szwach. Urquhart usadowił się na skórzanym siedzeniu. Widząc, jak jednego z kolegów właśnie odstrzelono, tak że posypały się pióra, tylko ptasi mózdzek by się śpieszył, żeby zająć jego miejsce. Ale Clarence miał intelekt indyka, właściwie gotowego do upieczenia.

– Rzadko zdarzało mi się słyszeć w tej Izbie poglądy tak niegodne i antyeuropejskie. Dzisiejszy występ pana premiera to hańba narodowa. Za kilka dni ma pan premier lecieć na spotkanie z francuskim prezydentem. Czy nie zdaje pan sobie sprawy, jakie powitanie będzie pan musiał tam znieść? Jak na tym wyjdzie reputacja tego kraju, jeśli jego premier będzie wygwizdany na ulicach Paryża? – Od strony jego popleczników w tylnych ławach dobiegły paradoksalnie wiwaty, które szybko ucichły w aurze konsternacji, bo Urquhart przyjął je z uśmiechem. Clarence walczył dalej. – Kiedy pan premier uświadomi sobie, jaką szkodę wyrządza interesom tego kraju swoim uporem, ciągłym wetowaniem nowych pomysłów, skrajną niechęcią do bycia dobrym Europejczykiem?

Rejwach. Urquhart miał szansę dojść do głosu dopiero po dłuższym czasie i kilkukrotnych interwencjach przewodniczącego Izby. Nie widział powodów, żeby się śpieszyć.

– Być może to młody wiek szanownego pana pośła czyni go tak impulsywnym. Być może tłumaczy on także jego gotowość, by zjawiać się w tej Izbie co tydzień i pobierać nauki starą dobrą wiktoriańską metodą tęgiego lania. Sama jednak młodość nie wystarczy, by usprawiedliwić ignorancję. – Urquhart podciągnął rękawy marynarki

jak nauczyciel przygotowujący się do pisania kredą na tablicy. – Pan poseł wyraźnie wspiął się tak wysoko na swoją europejską wieżę Babel, że zakręciło mu się w głowie i stracił orientację. Raz jeszcze będę musiał sprowadzić go na ziemię. Przypomnieć mu o innych momentach, kiedy świat miał powody, aby być wdzięcznym, że my w Wielkiej Brytanii sprzeciwialiśmy się panującej akurat w Europie modzie. Kiedy korzystaliśmy z prawa weta. Mówiliśmy „nie”, „nie” i jeszcze raz „nie”. Okazaliśmy się uparci i całkowicie nieugięci. Tak jak w 1940 roku. Staliśmy sami, wspierani tylko przez Boga i morze, gdy cała reszta... – zbył ich szerokim machnięciem ręki – skapitulowała.

Bollingbroke niemalże wpadł w szal, koniecznie chcąc, żeby jego poparcie przebiło się przez wybuchający ze wszystkich stron chaos. Stojąc przez chwilę w milczeniu wśród tego zgiełku, Urquhart przypomniał sobie pozę, jaką przybrał Churchill na posągu za drzwiami tej sali, i postanowił spróbować: lewa stopa wysunięta, poły marynarki odgarnięte do tyłu, ręce na biodrach, sylwetka pochylona w przód, by stawić czoło kanonadzie...

– Nasz upór, takiego chyba słowa użył pan poseł, nasz upór ocalił wtedy Europę. A brytyjski premier nie został wygwizdany na ulicach, kiedy wyzwoliliśmy Paryż, ludzie padli na kolana i dziękowali!

Boże, we Francji to wywoła chaos, ale jakoś to przeżyje. Francuzi nie mieli ani jednego głosu, który się liczył w dniu wyborów. Widział podekscytowane twarze wychylające się z galerii dla prasy nad głowami posłów, by mieć lepszy widok. Co ważniejsze, ławy za jego plecami zmieniły się we wzburzone morze białych list zapytań poselskich, którymi machali deputowani, jakby cała partia rządząca bez wyjątku szykowała się do odparcia kolejnej groźby inwazji. No, prawie bez wyjątku. Makepeace siedział ze sztywno wyprostowanymi

nogami i posępnym wyrazem twarzy, jakby odlanym w cemencie. Będzie problemem, kiedy już odtaje. Ale Urquhart miał już chyba rozwiązanie.



Urquhart szedł szybkim krokiem korytarzem prowadzącym do jego gabinetu w Izbie Gmin, układając nagłówki.

– Co o tym sądzisz? „F.U. rozprawia się z bełkotem Brukseli”? „Francis 6, Francja o”? A może: „Być albo nie być – oto jest język”? Tak, to mi się podoba.

Claire z trudem dotrzymywała mu kroku. Wyszedł z sali obrad z wigorem sopranistki upojonej owacją, pokazując jej gestem, żeby poszła za nim. Normalnie otoczyłby go tłum urzędników, ale ci postanowili zbić się w ciasną gromadkę i zostać w tyle, licząc poległych. Wparował do gabinetu, przytrzymał Claire ciężkie dębowe drzwi, a potem trzasnął nimi z hukiem godnym ostrzału artyleryjskiego. Stał na baczność, twarzą do niej, jak żołnierz prezentujący się do przeglądu.

– Jak wypadłem?

– Byłeś zupełnie... – Szukała właściwego słowa. Co mogła powiedzieć? To, jak panował nad Izbą, zachwyciło ją i zainspirowało w równym stopniu, co zdeprymowało, bo dźwięczący w jego słowach wściekły szowinizm obrażał wszystko, co było jej drogie. Jednak w tej chwili jej poglądy się nie liczyły; była tu po to, żeby się uczyć. – Francis, byłeś, cholera, zupełnie niemożliwy.

– Owszem, byłem, prawda? Pierze latało w powietrzu. Najlepsza walka na poduszki od wieków. – Niemal podskakiwał, unosząc się na palcach, odmłodziła o czterdzieści lat, nie mogąc powstrzymać swojego entuzjazmu.

- Francis, mówiłeś poważnie? O wspólnym języku?

- Oczywiście, że nie. Nigdy do tego nie dojdzie. Ale temat na jakiś czas rozpieprzy to całe bzdurne gadanie o jednolitej walucie, a nasi wyborcy będą zachwyceni. W sondażach na koniec miesiąca zarobimy ze trzy procent, sama zobaczysz.

Był niezwykle pobudzony, adrenalina wciąż zalewała mu żyły. Pytania do premiera to ordalia, kiedy najpotężniejszego człowieka w kraju zaciąga się na skraj przepaści i każe mu się patrzeć w dół, na los, który musi go pewnego dnia czekać na skałach na dnie. Słyszała, że aby przetrwać ordalia, niektórzy premierzy pili, inni przed sesją byli fizycznie chorzy, ale w sali obrad Urquhart zawsze wydawał się mieć wszystko pod kontrolą, był idealnie opanowany, jakby nie miał nerwów. Jednak tutaj, za zamkniętymi drzwiami, czuła uwalniające się porami jego skóry napięcie. Krew miała gorącą, był roznamiętniony, jak kochanek w chwili orgazmu. Pozwalał jej dzielić z sobą niezwykle intymny moment.

- Jesteś moim talizmanem, Claire. Przyniesiesz mi szczęście, czuję to.

Wyciągnął ręce, przytrzymał ją za ramiona, jakby obejmując ją w posiadanie, a jednocześnie szukając u niej wsparcia, gdy płonący w nim ogień powoli zaczynał przygasać. Próbowwała udawać, że nie było w tym niczego seksualnego, ale na próżno - oto władza, najśłodszy z zakazanych owoców, oraz autorytet, pasja, bezbronność, wszystko wymieszane, każda związana z polityką przyjemność, o jakiej kiedykolwiek marzyła i której teraz była częścią. Popatrzyła mu w oczy, czując respekt i podziw, zaszczycona tą chwilą, wiedząc, że jej życie polityczne już nigdy nie będzie tak proste.

Przerwały im dobiegające zza drzwi głośne protesty oraz pośpieszne i niezapowiedziane wejście osoby w stanie znacznego wzburzenia. Był to Tom Makepeace. Jego wzburzenie tylko się wzmogło, kiedy dostrzegł ślad chwili intymności pomiędzy swoim szefem a była kochanką. Miał wcześniej zamiar przeprosić zdawkowo za najście, lecz postanowił obyć się bez wyświechtanych formalności i najpierw spiorunował wzrokiem Claire, a następnie przypuścił atak na premiera.

– Francis, temu wystąpieniu niewiele brakowało do kompromitacji. To obraza dla naszych europejskich partnerów. W ciągu jednego popołudnia udało ci się zniszczyć wszystko, co osiągnąłem od początku kadencji jako minister spraw zagranicznych. I to tylko po to, żeby wdać się w niepotrzebne parlamentarne przepychanki.

– Musisz się nauczyć, Tom, że w Europie nie zawsze obowiązują pięściarskie zasady markiza Queensberry. Czasami trzeba posypać rękawice pieprzem.

– Nie możesz rozpieprzać polityki zagranicznej, nie racząc najpierw skonsultować się ze mną, nie pozwolę na to. Jak możesz oczekiwać, że po czymś takim będę mógł w dobrej wierze rozmawiać z moimi odpowiednikami z innych krajów? – Odgarnął lok, który opadł mu na czoło, i próbował opanować złość.

– A, to słuszna uwaga. Nie oczekuję.

Claire cofnęła się o krok. Wiedziała, co się szykuje, i czuła się jak intruz. Doświadczyła też mocnego ukłucia wstydu. Czy to ze względu na to, że zaledwie kilka dni temu Makepeace wciąż był jej kochankiem, czy raczej dlatego, że nie zdążyła się jeszcze przyzwyczaić do rytuałów upokorzenia? Makepeace wodził za nią podejrzliwym wzrokiem.

- Tom, jesteś jednym z moich najzdolniejszych i oddanych ministrów, potężnym źródłem siły. Potencjalnie. Jesteś także najbardziej żarliwym euroentuzjastą w rządzie, co z kolei stanowi źródło znacznego zamętu. Potencjalnie. A zatem przesuwam cię do ochrony środowiska, gdzie twoje oddanie może przynieść owoce, a twój entuzjazm poczynić mniej szkód.

Cios został zadany, ale efekt nie był natychmiastowy. Lok stopniowo znów opadł Makepeace'owi na czoło, a na jego twarzy odmalowała się konsternacja. Zaczął sztywno potrząsać głową, jakby chciał w ten sposób uwolnić się od nagłej dezorientacji i niedowierzania.

- Zastanów się, Tom. Jesteś człowiekiem o wielkim talencie administracyjnym i sporej wrażliwości społecznej w rządzie, który większość uważa za całkowicie bezduszny. Musi cię to stresować w równym stopniu, co mnie. Gdzie lepiej wykorzystać twoje kwalifikacje i pokazać najlepsze intencje rządu niż na polu ochrony środowiska? To dobre dla ciebie i dla nas wszystkich.

Makepeace nadal potrząsał głową.

- Nie zgodzę się.

- To nie jest kwestia do dyskusji.

- Ochrona środowiska albo fora ze dwora?

- Jeśli tak chcesz to ująć.

Makepeace wziął głęboki wdech, usiłując odzyskać panowanie nad sobą, co po dłuższej chwili mu się udało.

- W takim razie składam rezygnację.

Claire podniosła na niego wzrok - Boże, mówił poważnie. Nie chciał iść na kompromis. Mylił się, ale poczuła, że bardziej niż dotychczas docenia w nim ten upór, jednocześnie szlachetny i naiwny,

będący najbardziej ujmującą i irytującą cechą Toma Makepeace'a. Urquhart jednak nie był zachwycony. Euforia mu minęła i zastąpiła ją nieskrywana, podszyta frustracją złość.

– Tom, nie możesz podać się do dymisji! Na litość boską, przestań być taki drażliwy i popatrz, co to znaczy. Nie zostało mi dużo czasu do emerytury, niedługo się na nią zdecyduję, a partia zacznie szukać nowego przywódcy. Podejrzewam, że postawią też na zmianę stylu. Wybiorą kogoś, kto mniej wymachuje kijem, za to ma w sobie więcej słodyczy niż ja. Kogoś, kto inaczej rozkłada akcenty w polityce, po prostu dla samej radości, jaką niesie zmiana. Tom Makepeace całkiem nieźle pasuje do tego opisu. Ochrona środowiska to dla ciebie znakomita okazja, łap ją obiema rękami! – Odczekał chwilę, pozwalając, by ta myśl zakorzeniła się w głowie ministra. – Z pewnością natomiast partia nie powierzy swojego losu komuś, kto spędzi ostatnie kilka lat, strojąc fochy w tylnych ławach.

Makepeace był napięty jak struna fortepianu, stał na rozstawionych nogach, ze splecionymi ramionami, żeby drżenie dłoni nie zdradziło kłębiących się w nim emocji, twarz miał stężałą, walczył o odzyskanie panowania nad sobą. Powoli, w samych kącikach ust, Claire dostrzegła u niego zaczątek smutnego uśmiechu, wpisującego się w obraz człowieka, który żegna się z czymś dla siebie niezmiernie ważnym. Ale z czym? Stanowiskiem? Czy zasadami?

– Francis, twoja logika jest prawie bez zarzutu. Ma tylko jedną drobną wadę.

– A mianowicie?

– Nie doceniasz tego, jak dużą awersję zacząłem do ciebie czuć. – I wyszedł.

Cisza, którą za sobą zostawił, stawała się coraz bardziej przytłaczająca.

– To chyba znaczyło „nie” – mruknął w końcu Urquhart. – Mam po niego pójść? Nie. Nie będę błagał. – Ani nie wybaczy. – A już mi groziło, że będę miał taki miły dzień.



Być może sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby Makepeace'owi dano nieco czasu do namysłu i refleksji, możliwość zestawienia zranionej dumy z wymiarem praktycznym, aby stwierdzić, co zagrałoby mocniej. Wiatr losu jest jednak w Westminsterze kapryśny i tak się nie stało. Korytarz ciągnący się od gabinetu premiera w Izbie Gmin wychodzi prosto na klatkę schodową prowadzącą z galerii prasowej. Zaślepiiony gniewem Makepeace omal nie przewrócił Dicky'ego Withersa, kiedy dziennikarz schodził z góry.

– Aresztować tego opryszka, sierżancie! – zażądał Withers od policjanta pilnującego tego istotnego odcinka pałacowych korytarzy.

– Mało prawdopodobne, Dicky. Właśnie postawiłem piątką, że zostanie następnym szefem.

– To szkoda – odezwał się Makepeace, przepraszającym gestem otrzepując dziennikarza. – Jeszcze rano miałbyś znacznie większe szanse na wygraną.

Withers przyjrzał się uważnie swojemu napastnikowi i dostrzegł niezwykłą dla niego skonsternowaną minę.

– Śpieszysz się jak sam szatan, Tom. Powiedz mi, lecisz czy uciekasz?

– A jest jakaś różnica?

– No jasne. Kiedy minister spraw zagranicznych pędzi jak rozjuszony bawół, to musi chodzić albo o kobietę, albo o wojnę. To

jedno czy drugie? Wiesz, że możesz mi się zwierzyć. Powiem tylko mniej więcej milionowi ludzi.

Makepeace dokończył prostować przekrzywiony goździk w klapie dziennikarza. Wszystko w swoim czasie.

– Zbierz dla mnie chłopaków, Dicky. W lobby za piętnaście minut. Wtedy możemy powiedzieć całemu cholernemu światu. Nie mogę ci dać wyłączności, ale dostaniesz pierwszy wywiad.

– To mi wygląda na wojnę.

– Bo nią jest.



MAKEPEACE WYPOWIADA WOJNĘ URQUHARTOWI SZEFA MSZ „ODCHODZI ZNIESMACZONY”

Richard Withers, redaktor działu politycznego

Minister spraw zagranicznych Thomas Makepeace odszedł wczoraj z rządu wśród wzajemnych gorzkich oskarżeń między nim a Downing Street o kierunek rządowej polityki. Kontrowersje wzbudziło także to, czy podał się do dymisji, czy został wyrzucony.

– Odszedłem zniesmaczony – powiedział Makepeace na zwołanej w pośpiechu konferencji prasowej w Westminsterze.

Źródła na Downing Street zadały sobie później wiele trudu, aby to zdementować, twierdząc, że były już minister „stale rozmijał się” z rządową polityką dotyczącą Europy, premier nie miał więc innego wyjścia, niż go zdymisjonować. Jeden z rządowych lojalistów nazwał wczoraj Makepeace’a „eurokratą”.

W Westminsterze był to dzień pełen emocji. Sensacyjna dymisja czy też rezygnacja szefa MSZ ze stanowiska nastąpiła bezpośrednio po wybuchu zamieszania, do jakiego doszło w Izbie Gmin po tym, jak premier Francis Urquhart potępił (...)

Wczoraj wieczorem Makepeace ogłosił utworzenie nowego, proeuropejskiego stronnictwa w ramach partii rządzącej, pod nazwą „Klub Concorde”.

– Będzie nowoczesne, postępowe i całkowicie na bieżąco. Będzie się przeciwstawiać politycznemu neandertalizmowi – oświadczył. Obserwatorzy nie mieli wątpliwości, że politycznym neandertalczykiem, którego Makepeace przede wszystkim miał na myśli, jest Francis Urquhart.

Nie wiadomo, jak duże poparcie zdobędzie Klub Concorde, ale jeśli powszechnie szanowanemu Makepeace’owi uda się pozyskać istotną liczbę zwolenników, stronnictwo będzie stanowić niezwykle poważne zagrożenie dla premiera i jego szans na dłuższe pozostanie na stanowisku.

Jak skomentował jeden ze starszych rangą członków partii: „Było to ni mniej, ni więcej jak wypowiedzenie wojny”.

[5] System głosowania w brytyjskim parlamencie wygląda następująco: kiedy przewodniczący Izby ogłosi division (dosł. „podział”, czyli właśnie głosowanie), posłowie przechodzą z sali obrad do odpowiedniego korytarza, według wskazania przewodniczącego (np. „za” na lewo, „przeciw” na prawo), gdzie są liczeni przez wyznaczonych deputowanych (przyp. tłum.).

Rozdział 14

Strzeż się polityka, który mówi o swoich politycznych zasadach.
Zazwyczaj jednocześnie przetrząsa ci kieszenie.

Zastukała do drzwi.

– Już go pokazują, Francis.

Z łazienki dobiegł odgłos spływającej wody i zaaferowany Urquhart wrócił do terażniejszości.

– Zostaw drzwi otwarte, dobrze? I pogłośnij.

Zrobiła to, o co prosił, a także mu dołała. Tworzyli taką zgraną drużynę, pomyślała, ich instynkty splotły się z sobą, razem stawiali czoło światu i jego wybrykom. Nie pamiętała, kiedy ostatnio wystąpiła między nimi poważniejsza różnica zdań. Czy chodziło o przemeblowanie mieszkania na Downing Street, czy o odwołanie kanclerza z pierwszego składu gabinetu? I jedno, i drugie Francis rozgrywał w tradycyjny sposób, podczas gdy ona zachęcała go do większej śmiałości zarówno w kwestiach wystroju wnętrz, jak i dymisji. Poszli na kompromis: ona zmieniła meble, a on zatrzymał tego ministra w rządzie (ale tylko przez kolejne pół roku, jak pamiętała. Zwolnił go w jej urodziny – pod całą tą twardą skorupą potrafił być takim romantykiem).

Nieczęsto się mylił – miał rację tego ranka, kiedy przewidywał przy śniadaniu:

– Tom będzie miał pracowity weekend. Standardowe reguły gry dla przegranych frajerów. W piątek rzucają się w ramiona wyborców w swoim okręgu, by pokazać, że mają ich wsparcie moralne. W sobotę pora na spacer po ogrodzie z żoną i sierotkami, aby zademonstrować wartości rodzinne, a w niedzielę uścisk dłoni z pastorem, żeby poobnosić się ze swoim sumieniem. Osobista i mocno duchowa odyseja, w której dziwnym trafem zawsze towarzyszy im makijażysta i ci debile kamerzyści. Boże, fotoedytorom musi się od tego zbierać na wymioty, ale jakoś zawsze sobie radzą.

– Jego żona chyba siedzi w Ameryce, prawda?

– Rzeczywiście. Może Makepeace ma gdzieś schowaną jakąś dziewczynę. Wiesz, myślę, że powinniśmy mieć młodego Toma na oku. Może kryje w sobie głębię.

Teraz, kiedy w wieczornych wiadomościach podano, że były, a może także przyszły minister został entuzjastycznie powitany na uroczystym spotkaniu swojego Komitetu Wyborczego Kobiet, z łazienki dobiegł drwiący okrzyk oraz odgłos rozstępujących się wód. W drzwiach stanął Urquhart owinięty w ręcznik.

Ku wyraźnie nadmiernemu zainteresowaniu ekipy wiadomości Makepeace kupował siatkę pomarańczy na lokalnym targu, co telewizja właśnie pokazała.

– Nieźle pomyślane. Z ministerialnych wyżyn do nizin bazaru: nasz trybun ludowy – stwierdził Urquhart w zamyśleniu.

– Założę się, że zapłaci dwudziestofuntowym banknotem. Nie ma najmniejszego pojęcia, ile kosztują – mruknęła mniej miłosiernie Mortima.

- Panie Makepeace, jakie ma pan teraz plany? - zapytała z naciskiem rozemocjonowana reporterka, gdy Makepeace wyciągnął portfel.

- Wrócić do domu i się zrelaksować. To będzie pierwszy weekend od prawie dziesięciu lat, kiedy nie otacza mnie stos papierów w czerwonych teczkach. Właściwie czekam na tę chwilę z utęsknieniem.

- Ale z pewnością będzie panu brakowało sprawowania urzędu? Czy chce pan jeszcze kiedyś wrócić do rządu?

- Mam dopiero pięćdziesiąt lat. Żywię nadzieję, że znajdzie się jeszcze okazja, aby służyć krajowi.

- Ale nie w gabinecie Francisa Urquharta. Wczoraj nazwał pan jego rząd pozbawionym zasad. Uważa pan, że nadszedł czas, by premier ustąpił ze stanowiska? Albo został zmuszony do dymisji?

Makepeace nie odpowiedział od razu. Stał z wyciągniętą ręką, czekając na resztę. Dostał wielką garść monet, których przeliczaniem nie zwracał sobie głowy.

- Panie Makepeace, czy premier powinien zostać zmuszony do odejścia? - naciskała dziennikarka.

Odwrócił się twarzą do przepytującej go reporterki oraz do narodu, z nachmurzonym czołem, jakby rozważał dylemat o potężnych konsekwencjach. Nagle uśmiechnął się szelmowsko.

- Można by tak powiedzieć - rzucił. - Ale na tym etapie nie chciałbym tego komentować...

Urquhart sięgnął po pilota i uciszył swojego prześladowcę.

- Źle to rozegrałem - stwierdził z namysłem. - Powinienem być lepiej się z nim obejść. Wcale nie chciałem, żeby wyleciał. Ale... politycy z zasadami. Są jak dziura na środku autostrady.

– W porannej prasie wypadłeś dobrze – wtrąciła Mortima, chcąc podtrzymać go na duchu.

– To był co najwyżej remis, Mortimo. Premiera powinno być stać na więcej niż tylko remis.

Był z sobą bezwzględnie szczery. Czy jednak mógłby także szczerze ocenić samego siebie? – zastanawiała się. W samym ręczniku kąpielowym wyglądał tak bezradnie... Zaczęła znowu rozmyślać nad tym, że przybywa mu lat, że wspaniałe letnie dni zmieniły się w blaknącą jesień, porę, kiedy nawet wielki dąb musi zrzucić liście i stanąć nagi przed bezlitosnym wiatrem. Tak wiele dał, oboje tak wiele dali, jednak gdy zbliżała się zima ich życia, będą mogli oczekiwać tak niewiele. W patrzeniu, jak się starzeje, nie było żadnej radości.

Nadchodząca zima. Mozaika zmarszczek i szczelin. Cienkie gałązki jak wychudzone palce, pergaminowa skóra kory, kiedy wysychają soki, a noce stają się dłuższe w krajobrazie pełnym drwali z toporami.

– Dlaczego chcesz to ciągnąć, Francis?

Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego.

– Bo to jedyne, co umiem. A co, chcesz, żebym przestał?

– Nie, ale robienie tego dalej może kosztować cię więcej niż dotąd i sądzę, że powinieneś wiedzieć, dlaczego się na to piszesz.

– Bo szczerze wierzę, że jestem najlepszym człowiekiem do tej roboty. Być może jedynym. Dla kraju, i dla siebie samego, muszę iść dalej. Nie jestem gotowy, żeby spędzić resztę swoich dni na oglądaniu się za siebie. Zbyt wiele mamy wspomnień, tych rzeczy, których nie powinniśmy byli robić.

– Nie będziesz mógł ciągnąć tego w nieskończoność, Francis.

– Wiem. Ale wkrótce zostanę najdłużej urzędującym premierem we współczesnych czasach. Miejsce Francisa Urquharta w historii będzie zapewnione. Całkiem niezłe osiągnięcie dla nas, Mortimo. Coś, czym będziemy mogli się dzielić, jak sądzę, kiedy to wszystko już będzie za nami.

– Aby uzasadnić minione poświęcenia.

– Tak jak mówisz, aby uzasadnić minione poświęcenia. I te, które dopiero nas czekają.



– Mamusiu, dlaczego pan Urquhart nie zamknął Ropucha?

Claire odłożyła książkę i przytuliła swoją młodszą córkę Abby.

– Pana Urquharta chyba jeszcze wtedy nie było, kochanie.

– Przecież on zawsze był.

Claire uświadomiła sobie, że Francis Urquhart jest premierem od czasów sprzed urodzenia się Abby i Diany. Długo. Całe życie.

– A ja myślę, że pan Urquhart jest Ropuchem – odezwało się starsze dziecko z drugiego końca kanapy.

– Nie lubisz pana Urquharta? – zapytała matka.

– Nie. Nie jest zbyt miły i nigdy nie słucha. Zupełnie jak Ropuch. No i jest taki stary.

– Wcale nie aż tak bardzo – zaprotestowała Claire. – Tylko trochę starszy od tatusia.

– Odrobineczkę starszy od tatusia – skomentował cierpko Johannis. Studiował dział finansowy wieczornej gazety, a jednocześnie udawało mu się oglądać wiadomości i podsłuchiwać.

– A twoja mama czytała ci O czym szumią wierzby, jak byłaś mała?
– zapytała Diana.

– Nie, kochanie. Nie czytała.

– Miałaś nieszczęśliwe dzieciństwo, mamusiu?

Diana zaczynała wychwytywać wiele niewypowiedzianych myśli swojej matki, zupełnie jak Claire, kiedy była dzieckiem. Jej matka bardzo mało jej mówiła, nie chcąc dzielić się bólem, próbując uchronić ją przed prawdą. Jednak ból i tak nadchodził, nawet kiedy nie było bicia, bo gdy nie dochodziło do przemocy, zapadała cisza. Tak wyglądało dzieciństwo Claire i tak nigdy nie będzie wyglądać życie jej własnych dzieci. Awantury, histeryczne kłótnie, coraz bardziej podniesione głosy i pięści, aż myślała, że pęknie jej serce. A potem długie okresy ciszy. Kompletnej. Posiłki jedzone w ciszy, długie dni spędzane w ciszy, nawet płacząca w ciszy matka. Cisza komórki pod schodami, przedsionka piekła, gdzie czasami ją zamykano, a częściej sama się chowała. Dzieciństwo przemocy i ciszy. Odgłos zadawanego bólu i jeszcze bardziej bolesny dźwięk ciszy – może w końcu wszystko to się wyrównywało. Przetrwiała. Była twardzielką.

– Kupić w nim udziały, jak myślisz? – zapytał Joh, który skupił się teraz na telewizyjnych wiadomościach. – Czy już idzie do piachu?

Tom Makepeace właśnie płacił za pomarańcze.

Zastanawiała się, ile Joh wie albo czego się domyśla. Przed ślubem otwarcie rozmawiali o jego obawach, że mąż o dwadzieścia trzy lata starszy od żony nieuchronnie okaże się „wybrakowany” pod pewnymi istotnymi względami, że pewnego dnia on będzie emerytem, a ona nadal w kwiecie wieku i że w prawie wszystkich takich związkach musi wytworzyć się przepaść, którą można zasypać tylko dzięki zaufaniu i ogromie zrozumienia. „Nie da się utrzymać wysokiej temperatury w małżeństwie, jeśli obie strony łóżka wystygną” – powiedział wtedy. Jak dobrze wszystko przewidział. Ale to było dawno temu. Czy w ciągu tych lat, które minęły od tamtej pory, przeszedł

w myślach od abstrakcyjnej teorii do faktów? Jeśli tak, co podejrzewała, nie dał tego po sobie poznać. Lojalny rycerz, mąż, przewodnik, ojciec spowiednik, nigdy nie inkwizytor. Jeszcze bardziej wzmocniło to jej szacunek i miłość do niego.

– Nie – odpowiedziała na pytanie męża. – Przynajmniej na razie.

– Ale Tom Makepeace może być zagrożeniem.

– Naprawdę tak uważasz?

– Jestem biznesmenem, moja miła, nie politykiem. Ale przeprowadź własną analizę rynku. Jak długo większość premierów utrzymuje się na stanowisku: trzy lata, cztery, pięć? A ten już wytrwał ponad dziesięć. Nikt nie może w nieskończoność przeciwstawiać się losowi, szanse, że twój Francis za dwa lata nadal będzie urzędował, są niewielkie. Wiek, przypadek, marne zdrowie, spadek popularności. Czas ma wielu nieprzyjemnych sprzymierzeńców.

– Ale wydaje się, że jest u szczytu władzy.

– Podobnie jak Aleksander Macedoński, kiedy spadł z konia.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Joh?

– Chyba tyle, żebyś uważała. Bo istnieje duże prawdopodobieństwo, że Francis Urquhart wpadnie pod koła rydwanu, kiedy ty będziesz jego osobistym sekretarzem parlamentarnym... Poprawka: nie wpadnie, tylko raczej zostanie wepchnięty przez wyjący tłum. I wszystkie jego służebnice razem z nim. Nie związuj się z nim zbyt mocno.

– I twoim zdaniem właśnie Tom Makepeace będzie wpychał? – Dobór terminologii sprawił, że czuła się wyjątkowo nieswojo.

– Makepeace albo ktoś taki jak on. Powinnaś na niego uważać.

Jego logika była jak zawsze bez zarzutu. Dreszcz niepokoju przebiegł jej po plecach.

– Jak ty byś to zrobił, Joh? Jak byś na niego uważał?

Sprawiał wrażenie, jakby nie usłyszał. Odłożył gazetę, żeby przytulić córki przed wygonieniem ich do łóżek, czemu towarzyszył jak zwykle chóralny protest. Dopiero kiedy Abby i Diana wyszły, żegnane czułymi słówkami, ciągnąc za sobą pluszaki, odwrócił się z powrotem do żony.

– Jak? To zależy, jak bardzo byłoby to ważne.

– Według ciebie bardzo.

Rozmasował sobie dłonie, jak wezyr ogrzewający ręce nad ogniskiem w jakąś wilgotną, gwiaździstą noc. Poruszał wargami, jakby pociągał z fajki, którą uwielbiał, zanim poznał Claire i ją pokochał bardziej.

– Gadatliwy znajomy. Może bliski współpracownik. Nic elektronicznego ani nielegalnego. O coś takiego ci chodzi?

Patrzyła na niego, bojąc się przyznać, o co jej chodzi, nawet przed samą sobą.

– Kierowca. Kierowcy znają wszystkie sekrety. Można by zlikwidować CIA w zamian za jednego szofera we flocie samochodowej Kremla. Namówiłbym zaprzyjaźnionego biznesmena, żeby zaproponował mu kierowcę o czułym słuchu w aucie i długim języku poza nim.

– To nie byłoby nielegalne?

– Raczej zwykły przypadek.

Przygryzła dolną wargę, krzywiąc się, jakby smakowała cytrynę.

– Przypuścimy, Joh, tylko przypuścimy, czysto teoretycznie, że jakiś biznesmen byłby pod wrażeniem Klubu Concorde i chciał zaoferować Tomowi gest wsparcia: mały datek na cele administracyjne,

wypożyczenie samochodu z szoferem, w zastępstwie ministerialnego auta, które właśnie stracił...

– A kierowca miałby niepowściągliwy język i służył dwóm panom.

– Co byś na to powiedział, Joh?

– Powiedziałbym, że to by zdecydowanie przechyliło szalę na korzyść pana Urquharta. Przez chwilę.

– Jak można by to zrobić? – zapytała cicho.

Przyjrzał jej się uważnie, wnikliwie. Hipotezy układały się w rozwiązanie. Musiał mieć pewność.

– Raczej łatwo, śmiem przypuszczać. Ale jestem pewien, że tak zajęta dziewczyna jak ty nie chciałaby sobie zawracać głowy takim detalem.

– Podejrzewam, że masz rację.

Zamilkł na chwilę, rozmyślając nad tym nowym otwarciem w ich życiu.

– Wygląda na to, że nie tylko pracę zmieniłaś.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wydawało mi się, że raczej lubisz Toma Makepeace'a.

Wiedział, była pewna. Czasami sprawiał wrażenie, jakby miał lustro, w którym mógł oglądać jej myśli, a ona nie miała się gdzie przed nim schować, nawet we własnej głowie.

– Lubiałam. Chyba nadal lubię.

– Ale?

– Ale... – Wzruszyła ramionami, nagle znużona. – Ale polityka. – To niby wszystko tłumaczyło. Jednak niczego nie usprawiedliwiało.

Rozdział 15

Morze Śródziemne jest głębokie, wzburzone i roi się w nim od wraków i starych ruin.

Evangelhos Passolides śpiewał pieśń o starożytnym honorze, opiewając cud tłuczka, który rozbija krótkie paski wieprzowiny na coś, co później tego wieczoru stanie się sztuką kulinarną. Łup – plask – brzdęk i kolejny tysiąc dawnych wojowników został wrzucony do krainy cieni.

Maria szykowała stoliki na wieczór. Znów przysłała po długim dniu w szkole, po to tylko, żeby nad nim czuwać i uspokoić swoje rosnące obawy. Ojciec popadał w coraz bardziej kapryśny nastrój, czasami mściwy, a po pozorach determinacji następowały wybuchy goryczy, kiedy wydawało się, że władze wciąż strzegą grobu jego braci, zbywając go swoimi regułami milczenia. Próbowali dowiedzieć się czegoś więcej o nieznanym oficerze i dokładnym położeniu miejsca pochówku, ale nikt z odpowiednich służb nie okazał ani krzty zainteresowania. To było tak dawno temu, proszę pani, że teraz nie odkopie się niczego oprócz problemów. Niech pani przedstawi szczegóły na piśmie, a my zobaczymy, co da się zrobić. Maria więc

napisała, lecz odpowiedź nie nadeszła. Jej list krążył po korytarzach władzy, aż padł z wyczerpania.

Tymczasem Passolides gotował, śpiewał pieśni żałobne i pielęgnował w sobie coraz większą urazę.

To była jej wina. Naruszyła jego cichą żałobę, rozbudziła w nim nadzieje, a wraz z nimi mroczne wspomnienia. Nie mogła się teraz wycofać, tak jak on nie mógł.

Rodzina. Więzy lojalności. Pęta. Łańcuchy, które przykuły ją na tyle lat, najlepszych lat jej kobiecości, najpierw do umierającej matki, potem do rozpaczającego ojca. A dla niego te więzy zacisnęły się tak mocno, że niemal go zadusiły. Przez wzgląd zarówno na niego, jak i na siebie musiała znaleźć gdzieś pomoc. U kogoś, kto potrafił przebić się przez sztuczki i wymówki, kto mógł dowiedzieć się, gdzie znajdują się groby braci ojca i czy są jeszcze jakieś inne mogiły. Ale u kogo?

Na małym monochromatycznym ekranie telewizora ustawionego nad wieszakiem migotały wiadomości. Zobaczyła człowieka obdarzonego autorytetem i odpowiedzialnością, człowieka, który mówił o zasadach i swojej determinacji, by bronić praw zwykłych ludzi przed niewrażliwym i aroganckim rządem, nawet w chwili, gdy kupował pomarańcze...



Clive Watling rozejrzał się wokół stołu i zadał sobie pytanie, dlaczego był aż tak naiwny. Uwierzył Ponsonby'emu, że zadanie będzie łatwe, kwestie proste, dowody jasne, a wnioski właściwie ewidentne. Jednak członkowie komisji nie mogli dogadać się nawet w sprawie tego, co zjeść. Dwóch muzułmanów, w tym jeden z wrzodem żołądka, wegetarianin oraz Anglik z Yorkshire, który w jedzeniu lubił to, co w prawie – obfitość i jednoznaczną uczciwość. No i oczywiście był

jeszcze Rodin, upierający się przy koszernych potrawach i krzywiący się z jakobińską protekcjonalnością na wszystko, co prezentowano mu na talerzu. Najwyraźniej o większości rzeczy na świecie wyrobił już sobie nieprzejednaną opinię.

W prawie międzynarodowym było tak niewiele pewności; tyle zależało od interpretacji tekstu, zagmatwanych precedensów, zdrowego rozsądku – jak należało mieć nadzieję – oraz fundamentalnych wyznawanych zasad. Nie potrafił pojąć, jak można zostawiać je w rękach takich niereformowalnych trybalistów jak Rodin.

Przez wiele tygodni naukowcy, geolodzy, politycy, historycy, eksperci morscy i profesjonalni lobbyści w przebraniu prawników gromadzili się przed ich posiedzeniami i rozprawiali o sprawie, która była w zasadzie prosta. Za owiewanymi bryzą plażami Cypru leżały dwa sporne obszary szelfu kontynentalnego, wschodni i zachodni. Należało przekazać je Grekom albo Turkom, bądź znaleźć jakiś sposób podziału, który można przystroić w szaty słuszności i naturalnej sprawiedliwości. Mile słonej wody, ukwiałów i piasku.

Oraz ropy.

Watling był już tego pewny. Jak również tego, że Francuz wiedział. Cóż innego mogło tłumaczyć jego całkowity brak rozsądku? Każda propozycja, by Turcy dostali znaczną część szelfu kontynentalnego, spotykała się z jego gwałtownym sprzeciwem, nawet sugestia, by narysować biegnącą przez środek prostą i podzielić go na dwie połowy, została zlekceważona i skrytykowana. „Część lwów”, jak to ujął Francuz, musi przypaść Grekom. Kiedy czekali w prywatnej sali jadalnej na pierwsze danie, zaczęto domagać się od Rodina obrony tego stanowiska – jakąż to nową zasadę międzynarodowej

sprawiedliwości może przywołać, aby uzasadnić takie zaburzenie obiektywizmu?

– To proste i niepodważalne – obwieścił, kręcąc wodą w szklance, jakby badał strużkę angielskiego wina. – Turcy dokonali najazdu, zabrali im terytorium siłą. Kosztem wielu ofiar śmiertelnych i wbrew ONZ-owi. Zaoferowanie im nagrody za te krwawe działania byłoby polityką ustępstw najgorszego rodzaju.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby deliberować nad wojną – zgañił go Egipcjanin Osman.

– Ależ to właśnie robimy! – prychnął Rodin. – Jeśli okazemy przychyłność Turkom, usankcjonujemy przyszłe akty międzynarodowego terroryzmu. Co byśmy w ten sposób mówili światu: zagarniajcie cudze terytorium, gwałćcie i ograbiajcie mieszkańców, wypędźcie ich z domów, a za dwadzieścia lat międzynarodowe trybunały wam pogratulują i potwierdzą wasze łupy?

– Tak od wieków ustala się przebieg granic, na litość boską – mruknął Malezyjczyk.

– Miałem nadzieję, że uda nam się znaleźć mniej średniowieczny sposób dojścia do porozumienia – odparł Rodin lodowatym tonem. – Och, nie przytaczajcie mi tu przykładów Morza Beringa i kanału Beagle. Dlaczego mielibyśmy się chować za przedpotopowymi precedensami?

– Bo takie jest prawo – odpowiedział cicho Osman.

– Ale to nie jest sprawiedliwość.

Sprawiedliwość, zamyślił się Watling, on mówi o sprawiedliwości. Człowiek, który z pełną żarliwością dowodził racji praw francuskich rybaków do łowisk wokół Guernsey, publicznie mówiąc o traktacie napoleońskim i honorze narodowym, a za zamkniętymi drzwiami

negocjując brudny kompromis. Teraz jakikolwiek kompromis, który dawał Turkom sto mil łupków roponośnych, potępiął ze świętoszkowatością trykociarki słyszającej turkot dwukółek podjeżdżających po bruku pod gilotynę.

Watling przyjrzał się Francuzowi. Oczywiście, że Rodin wiedział! Watling zastanawiał się tylko, czy Rodin brał pieniądze za głoszenie takich poglądów, czy też wystarczyło mu samo zwęszanie francuskiego interesu narodowego? Tak czy inaczej, miało to znikome znaczenie, rezultat będzie ten sam. Jeśli Watling na to pozwoli.

Francuska sprawiedliwość. Taka, jaką wymierzono jego ojcu. Przez dłuższą chwilę, jaką zajęło mu przełknięcie kilku kęsów, Watling walczył z wewnętrznym impulsem, który usiłował zalać jego poglądy lawiną uprzedzeń – ale nie było tu konfliktu, uznał, nie było sprzeczności; wrogość, którą odczuwał, była całkowicie zgodna z jego zasadami. Francuskiego dogmatyzmu i egoizmu nie należało mylić z fair play, nie w opinii Watlinga. Rodin gładko mówił o sprawiedliwości, więc w imię sprawiedliwości Francuz zostanie wbity na pal. Już Watling tego dopilnuje. To kwestia zasad. I przyjemności.

Rozdział 16

Polityka jest zawsze poszukiwaniem przewagi.

Rząd często przypominał stado świń lecących w zwartym szyku, pomyślał. W orwellowskim świecie Westminsteru Naczelnej Świni przyznawano przede wszystkim jeden przywilej, mianowicie prawo wyboru towarzyszy lotu, więc trochę szkoda, że rezygnacja Makepeace'a popsuła przetasowanie, wprowadzając element wymuszonej konieczności, przez co rzecz nie była czystym dziełem Urquharta. Makepeace był otyłym knurem, stwierdził z naciskiem, zatuczonym na brukselskiej diecie i właściwie niezdolnym do oderwania się od ziemi, nie mówiąc już o podniebnej gimnastyce, wymaganej po brytyjskiej stronie kanału La Manche, by móc cieszyć się publicznym uznaniem. Czas do rzeźni.

– Powinno to przypomnieć innym o ciągłej potrzebie pozostania szczupłym i głodnym – powiedział swojemu nowemu rzecznikowi prasowemu, Gristowi. – I o błogosławieństwach kralnicy do bekonu.

Grist dobrze zaczął ten jakże ważny dzień, proponując, by premier udał się na szybki spacer wokół jeziora w St. James's Park, aby dostarczyć fotografom odpowiedniego materiału do zdjęć, mieszanki zdecydowania i wigoru. Jeden z kamerzystów zasugerował, by dłonie

premiera schwyciły szyję oswojonej gęsi, „tylko żeby mniej więcej pokazać widzom, jak to się robi, panie Urquhart”. Odmówił.

Kiedy wrócił na Downing Street, niecierpliwe stadko reporterów i sprawozdawców parlamentarnych obsiadło barierki, czekając na pierwszą ofiarę. Krew miała im za chwilę zachlapać buty i już sprzeczali się między sobą, walcząc o pierwszy kąsek, przypuszczając ataki na premiera z drugiej strony ulicy. Odpowiedział im tylko machaniem i wyćwiczonym do perfekcji szczerym spojrzeniem, po czym wycofał się w kierunku lśniących czarnych drzwi.

– Grzmij: „Bóg, Anglia i święty Jerzy”? – To Dicky Withers. Mądry stary wyga oszczędzał energię i myśli, czekając na jakiś szczególny moment.

Urquhart odwrócił się w drzwiach, aby jeszcze raz rzucić okiem na całą scenę, i kiwnął głową w stronę Dicky’ego. Dicky wiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

– Oraz ciepłe piwo, białe klify i latające śwynie – mruknął Urquhart. Nie powiedział już nic więcej i zniknął w środku. Miał robotę do wykonania.

To będzie długi dzień. Dzień długich noży.



Dla Geoffreya Boozy-Pitta dzień ten zaczął się w sposób godny podziwu. Geoffrey udał się na połów do Ritza, zarzucił przynętę złożoną z szampana i jajeczniczy na dobrze znane sobie wody, a niewinna ofiara połknęła haczyk. Śniadanie z Seliną w każdym wypadku byłoby przyjemnością, ale powab jej ciała niewiele dla ministra transportu znaczył w porównaniu z urokiem jej umysłu – czy też, dokładniej rzecz biorąc, pamięci. Była sekretarką w biurze przewodniczącego partii i jedną z kilku zajmujących podobne

stanowisko osób, które Geoffrey regularnie karmił i obsypywał pochlebstwami. We wszystkich tych przypadkach wolał śniadanie od łóżka, podchodził bowiem ostrożnie do sypania z kobietami w naiwnym wieku, w którym można uznać seks za preludium albo do emocjonalnego uwikłania, albo do insynuacji w rubrykach plotkarskich, a na żadną z tych rzeczy Geoffrey nie mógł sobie pozwolić. Wspólne śniadanie dawało znacznie bardziej treściwą nagrodę, intymne zwierzenia bez popiołu z papierosa i rozmazanego tuszu do rzęs na poduszce, informacje sans ejakulacji.

Filozofia polityczna Boozy-Pitta była nieszablonowa. Nie wierzył na przykład, że informacje są czyjąś własnością, a przynajmniej że należą do kogokolwiek na tyle niedbałego, aby pozwolił, by coś mu się wymknęło. Geoffrey podebrał więc ziarnko tu, ziarnko tam, żadna kradzież na skalę hurtową, ale koniec końców zbierała się miarka – tak jak w jego czasach studenckich. Napisał wtedy do wszystkich żydowskich organizacji dobroczynnych, jakie mógł znaleźć, twierdząc, że jest pilnym studentem z trudem wiążącym koniec z końcem i że brakuje mu dwustu funtów do chesnego. Oczywiście pracował wieczorami, by mieć na życie, lecz chciał zyskać pewność, że zapłaci chesne, więc czy mogliby mu pomóc? I tak ziarnko do ziarnka, kapiąca strużką pomoc stała się istną powodzią. Gdyby miał sumienie, na pewno nie byłoby ono pochodzenia żydowskiego, gdyż oboje jego rodzice byli niepraktykującymi metodystami. W każdym razie spał dobrze w dość wygodnym łóżku.

Informacje były wartościową walutą w labiryntach Westminsteru, cenniejszą niż pieniądze, więc Selina hojnie zapłaciła za śniadanie. Przepisywała na komputerze każdą wersję dokumentów nowej kampanii przygotowywanych w centrali partii, każdy dodatek

i poprawkę, każdą myśl i refleksję, akapity analizy i argumentacji oraz wszystkie wnioski. A pamięć miała zdumiewającą, nawet kiedy bąbelki łaskotały ją w nos i skłaniały do chichotu. Nowa kampania, jak się wydawało, nie miała odznaczać się radykalnym podejściem – trochę reklamy bezpośredniej, jakieś lekkie hasła – ale opierała się na nowych badaniach opinii publicznej i, podobnie jak Selina, była atrakcyjnie opakowana. Dziewczyna tryskała energią, niczego nie podejrzewała i była na tyle nieopierzona, że wierzyła, iż Geoffrey naprawdę chce pomóc. A on uśmiechał się, dolewał szampana i wszystko dokładnie zapamiętywał.

Samochód wiozący ich z powrotem do dwóch oddzielnych biur utknął w porannym korku. Idiota szofer postanowił pojechać szybką trasą donikąd wokół Trafalgar Square, gdzie stały na warcie szeregi jednookich gołębi, posępnych i chorych. Minister transportu zamknął okno i opadł na fotel, choć raz w życiu chcąc pozostać w cieniu i uniknąć zainteresowania ze strony innych korkowiczów, z ich gryzącymi spalinami i równie paskudnymi humorami. Obok niego na tylnym siedzeniu Selina krzyżowała swoje eleganckie nogi, każąc mu dokonać szybkiego przewartościowania priorytetów – miał fioła na punkcie ud, może następnym razem powinien zaproponować kolację? – kiedy zaczął brzęczeć telefon. W słuchawce rozległ się głos jego sekretarki w Izbie Gmin. Lista gości jego łoża w Royal Albert Hall. Koncert promenadowy pod koniec przyszłego tygodnia. Jedna osoba odwołała udział – minister handlu, próbujący zrywać liście z drzewa japońskiej obfitości, chociaż z pewnością wkrótce się przekona, podobnie jak wszyscy jego poprzednicy, że jeśli chodzi o obietnice bardziej wolnego handlu, w krajach Orientu zawsze panuje jesień.

Ten przerywnik zważył nastrój Boozy-Pitta, oderwał go bowiem od taksowania wzrokiem delikatnych kostek i rozmyślań o przyjemnościach. Nie znosił takiego anulowania w ostatniej chwili, zakłócającego jego plany, często wymagające wielomiesięcznych przygotowań. Nadąsał się jak księżę Wellington po otrzymaniu skrawka papieru z informacją, że Blücher nie zdąży pod Waterloo. Postanowił zastrzelić posłańca.

– Co w takim razie zrobiłaś? – zapytał zrzędliwie.

– No, zakładam, że chcielibyśmy innego polityka z najwyższego szczebla, więc zaczęłam sprawdzać listę. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy zapraszał już pan każdego innego członka rządu oprócz Toma Makepeace'a...

– To loża w Albert Hall, nie cholerna krypta.

– I Arthura Bollingbroke'a. Zadzwoiłam już do jego sekretarki i jej zdaniem minister z żoną mogą być wolni tego wieczoru.

– Bollingbroke! To nudziarz z ciągłym wzdęciem, myślisz, że niby dlaczego, do diabła, jeszcze go na nic nie zaprosiłem? Nie mogę go posadzić obok amerykańskiego ambasadora i prezesa ITN, będzie pierdział przez całą uverturę, żłopiąc hektolitry mojego szampana. Czy masz pojęcie, ile by mnie to kosztowało?

Sekretarka próbowała się usprawiedliwiać, ale Booza-Pitt nie był w nastroju, żeby tego słuchać. Kierowca, który stał obok w korku, właśnie go rozpoznał i pozdrawiał wyprostowanym środkowym palcem. Minister transportu z trudem opanował walczącą z potrzebą zachowania dyskrecji przemożną chęć, by wysiąść z samochodu i przefasonować facetowi przewody nosowe.

– Może lepiej jednak poczekajmy do jutra – usłyszał sugestię sekretarki.

– Po jakiego grzyba?

– Aż skończy się przetasowanie.

– Przetasowanie...? – Zakrztusił się. Selina zaniepokoiła się, czy jakaś ość z łososia nie ugrzęzła mu w gardle.

– Nie wiedział pan? Właśnie mówią w telewizji.

Przetasowania zawsze źle wpływały na Boożę-Pitta, przyprawiały go o nerwowe drgawki. Za pierwszym razem był w parlamencie dopiero niecałe półtora roku i nie chciał oddalać się od telefonu na więcej niż dwadzieścia jardów, chociaż jego druga żona powiedziała mu, że nie ma szans na awans na tak wczesnym etapie kariery. Jednak telefon zadzwonił, kiedy wyszedł do ogrodu. „Downing Street” – oznajmiła żona z respektem przez kuchenne okno. Rzucił się biegiem – gnał, potknął się, upadł, złamał sobie palec i rozerwał spodnie na kolanie, ale nic go nie powstrzymało przed odebraniem tego telefonu. Kancelaria premiera. Zastanawialiśmy się, czy mógłby pan pomóc. Oczywiście, oczywiście, że mogę! Wystąpienie w sąsiednim okręgu, które planował premier, lecz będzie musiał je niestety odwołać. Przetasowanie w rządzie, rozumie pan. Czy mógłby go pan zastąpić jutro wieczorem? Z oczami przesłoniętymi z bólu czerwoną mgłą, Geoffrey wyraził swój bezbrzeżny zachwyt, że właśnie jego o to poproszono, natomiast jego żona, wkrótce już była, skręcała się w paroksyzmach śmiechu.

Nic jednak nie zdołało go powstrzymać. Miał swój udział w każdym następnym przetasowaniu, a teraz znowu ogary ślepego losu zerwały się ze smyczy. W całym Westminsterze rozlegną się dzwonki alarmowe, sprawiając, że dorośli mężczyźni będą kulić się ze strachu. Przyjrzał się z niedowierzaniem ściskanemu w dłoni telefonowi. Nie wiedział, że to dzisiaj, właśnie w tym momencie,

z Downing Street dzwonią, by wezwać tych dobrych i tych do odstrzału, a ta mu tutaj blokowała linię głędzeniem o tym, jaka to szkoda, bo naprawdę podziwiała Toma Makepeace'a i...

– Rozłącz się, psiakrew! – wrzasnął.

Rozdział 17

Lojalność ma w sobie coś z kawy rozpuszczalnej, co sprawia, że jest tania i zasadniczo niesatysfakcjonująca.

Był jeszcze w samej koszuli, kiedy otworzył frontowe drzwi. Sądząc po braku subtelności w zagnieceniach materiału, podejrzewała, że uprasował ją sobie sam.

– Pewnie mnie pan znienawidzi za to, że nachodzę pana w domu.

Tom Makepeace przyglądał się jej z wysokości dwóch stopni, wciąż przeżuwając tosta. Odgarnęła nerwowo ciemne włosy, które załśniły w porannym słońcu jak wypolerowany węgiel. Zaciskała z troską pełne wargi, obejmując się kurczowo ramionami, tak że jej piersi jakby uniosły się ku niemu. Jej rezerwa była w Westminsterze rzadkością, podobnie jak jej dzinsy.

– Mam nadzieję, że to coś ważnego, panno...? – Dostrzegł brak obrączki.

– Maria Passolides. To sprawa życia i śmierci, w pewnym sensie.

Ale, niech to szlag, był w samym środku śniadania.

– Jeśli ma pani problem, może najlepiej by było, gdyby napisała pani do mnie, przedstawiając szczegóły.

- Napisałam. Dostałam w odpowiedzi list od pana asystenta, że dzięki, ale jest pan w tej chwili zbyt zajęty, by zajmować się indywidualnymi przypadkami. „Przypadki” napisał z błędem ortograficznym.

- W ciągu ostatnich kilku dni dostaliśmy mnóstwo listów. W większości z wyrazami poparcia, co mnie cieszy, ale było ich zdecydowanie za dużo, żebym mógł zająć się nimi osobiście. Przepraszam. Może zechciałaby pani zatelefonować do mojego biura i umówić się na spotkanie. - Otrzeptał ręce z okruszków lekceważącym gestem.

- To też już zrobiłam. Pięć razy. Zawsze jest pan zajęty.

Przegrywał tego gema do zera, i to serwując.

- Wygląda na to, że spędzę cały poranek na przepraszaniu pani, panno Passolides. Proszę mi krótko powiedzieć, jak mógłbym pomóc.

Nie opuścił swojego dogodnego punktu obserwacyjnego ani nie zaprosił jej do środka. Tyłu było ludzi z problemami, politycy mogli działać tak niewiele, i już za dużo spraw odrywało go od ogromnego stosu nieotwartych kopert piętrzącego się na stole w jadalni. Kiedy jednak mówiła, czegoś w nim dotknęła, poruszyła jakąś strunę zainteresowania. Dopiero po kilku minutach zorientował się, że to żądza.

- Musi pani rozumieć, panno Passolides, że dla polityków to trudny moment, aby zająć się kwestią zaginionych grobów, akurat kiedy jesteśmy bliscy pokoju na Cyprze.

- Tu właśnie nie mógłby się pan bardziej mylić. - Gdy mówiła, jej nieśmiałość zupełnie znikła. - To nie otwartość zagrozi pokojowi, ale dalsza niepewność i jakiegokolwiek podejrzenie, że próbowano zatuszować fakty. Nawet Turcy to zrozumieli.

Zastanowił się nad siłą jej argumentów, wciąż przytłoczony myślą o nieotwartych listach i niezalutowanych telefonach, które będą go prześladować przez kilka następnych tygodni. Życie bez ministerialnej maszyny okazywało się niezwykle męczące, pozostawiało niewiele miejsca na nowe krucjaty.

– To strasznie daleko od mojego okręgu – rzucił słabym głosem.

– Niech pan nie będzie taki pewny. W tym kraju jest prawie trzysta tysięcy greckich Cypryjczyków, a na głównej ulicy w każdym mieście jakaś budka z kebabem albo tawerna. Z dnia na dzień polityk mógłby mieć całą armię stojącą u jego boku.

– Albo rzucającą mu się do gardła.

– Strzeżcie się Greków żywiących urazę. – Stała, śmiejąc się, na chodniku. Była w tej kobiecie nieokiełznana energia, niecierpliwość, pasja, zaangażowanie, pulsujące życie. Podobało mu się to i ona mu się podobała.

– Wygląda na to, że jedynym sposobem na pozbycie się pani i jej armii z mojego progu jest zaproszenie pani na herbatę. Wtedy może moglibyśmy omówić kwestię tego, u czyjego boku. – Odsunął się, żeby pozwolić jej przejść. – I do czyjego gardła.



Kiedy Urquhart przestąpił próg domu pod numerem 10, portier skłonił głowę. Zauważył, że z biegiem lat to, co początkowo było krótkim skinieniem w wyrazie szacunku, przeobraziło się w coś bliższego ostrożnemu ukłonowi. Jako dobry związkowiec walczył z tą tendencją, ale przekonał się, że nie sposób się jej oprzeć, gdyż została zbudowana na pokoleniach wrodzonych postaw klasowych i instynktownym rozpoznawaniu autorytetu władzy. Niech ich wszystkich cholera weźmie. Atmosfera na Downing Street się

zmieniła, zwłaszcza w obecności Mortimy Urquhart, z upływem czasu i kolejnych kadencji parlamentu stała się bardziej sformalizowana, przypominała królewski dwór przystrojony w demokratyczne szatki. Pewnego dnia, zapewniał portier żonę, ciemny lud się obudzi i zatrząsie jak milion ziarenek piasku pod stopami Urquharta, który padnie na kolana i zginie, pogrzebany pod lawiną, gdy los się odwróci. Pewnego dnia, kiedyś, może wkrótce. Na razie jednak portier będzie dalej się uśmiechał i kłaniał trochę niżej, aby lepiej się przyjrzeć ruchomym piaskom.

Drzwi się zamknęły, nie wpuszczając do środka krzyków głodnych informacji dziennikarzy. Później rzuci im się kilka kości. Wcześniej trzeba pokroić mięsa. Urquhart spojrział na zegarek. Dobrze, idealne wyczucie czasu. Mackintosh czekał od dokładnie dwudziestu minut.

Jasper Mackintosh stał w rogu holu, przytupując ręcznie szytym butem na czarno-białych płytkach posadzki i usiłując ukryć irytację, bez większego powodzenia. Jako wydawca i właściciel drugiego co do wielkości oraz tempa rozwoju imperium prasowego w kraju był raczej przyzwyczajony, że to na niego czekano. Przez całe życie to on stwarzał polityków i łamał ich kariery, a teraz otoczenie, w którym się znalazł, budziło w nim całkiem należny podziw i respekt. Kilka miesięcy wcześniej doszedł do wniosku, że nadszedł czas, by zacząć odcinać się od Francisa Urquharta – nie chodziło o to, że premier zrobił coś politycznie szkodliwego czy obraźliwego, ale po prostu był u władzy tak długo, iż pisanie o nim przestało nakręcać sprzedaż. Gazety sprzedawały się w czasach zmian i niepewności, a biznes dyktował, że nadszedł czas na małe zamieszanie. Mackintosh był w euforii, a także się śpieszył. W zeszłym tygodniu wreszcie uzgodnił warunki zakupu grupy prasowej „Tribune” – ociężałego, przynoszącego

straty giganta, zatrudniającego zdziesiątych dziennikarzy pracujących w zdziesiątej redakcji dla zdziesiątych czytelników, który jednak dysponował znanymi tytułami i wielkim potencjałem. Można było dać odprawę dziennikarzom, utworzyć nową redakcję i kupić nowych czytelników poprzez ostrą reklamę i promocyjne ceny, lecz koszty miały być wysokie, kilkadziesiąt milionów, a w świecie Mackintosha nie było czasu na stanie w miejscu. Musiał coś zrobić, żeby finansiści dali mu spokój. A to oznaczało sensacyjne nagłówki, wir zdarzeń, widowisko i nowych bohaterów. Sentymentalność była grzechem.

Mackintosh już zdecydował, że Urquhart przegrał poranną rozgrywkę, nie tylko dlatego, iż zaczął ją z dwudziestominutowym opóźnieniem. Wydawca zakładał, że premier chce ożywić ich relację, może zaproponować mu na wyłączność jakieś szczególne informacje o przetasowaniu w zamian za współczucie. Bez szans. Mackintosh myślał już o jutrzejszym świecie, w którym Francis Urquhart nie występował. A w ogóle to gdzie ta grzeczność, gdzie szacunek, którego oczekiwał od petenta? Urquhart po prostu złapał go za łokieć i pociągnął korytarzem.

– Cieszę się, że przyszedłeś, Jasper. Nie mam zbyt wiele czasu, muszę odstrzelić paru chodzących rannych, więc przejdę od razu do rzeczy. Dlaczego skierowałeś swoje rozrzutniki gnoju na Downing Street?

- Rozrzutniki gnoju?
- Prowadzone przez twoich redaktorów naczelnych.
- Panie premierze, to ludzie o niezależnych umysłach. Niezliczoną ilość razy obiecywałem, że nie będę się wtrącał...

– To banda zbójów i bez względu na stan ich umysłów trzymasz ich mocno za jaja. To, co myślą, zazwyczaj wynika z tego uścisku. – Nagle Urquhart zatrzymał prowadzoną w zawrotnym tempie szarżę korytarzem. Wepchnął Mackintosha do wnęki koło Henry’ego Moore’a i spojrzał mu prosto w oczy. – Dlaczego? Dlaczego piszesz, że pora, bym odszedł? Co zrobiłem nie tak?

Mackintosh rozważył możliwość zastosowania uniku, lecz ją odrzucił. Urquhart chciał usłyszeć prawdę prosto z mostu.

– Nic. Nie chodzi o to, co pan zrobił, ale kim pan jest. A jest pan olbrzymem, pański cień pada na świat polityki i przysłania innych. Niech pan im da szansę rozwoju. – Uśmiechnął się łagodnie. Nieźle to ujął, pomyślał. – To tylko biznes, rozumie pan. Biznes polityczny i prasowy. Nic osobistego.

Urquhart zdawał się nieporuszony tym nekrologiem.

– Jestem ci wdzięczny, Jasper, za taką bezpośredniość. Zawsze myślałem, że łączy nas solidna, szczerą relacją, która może wytrzymać ciosy zmieniających się czasów.

– To niezwykle wielkoduszne z pana strony... – zaczął Mackintosh, ale Urquhart wszedł mu w słowo.

– A skoro już o ciosach i zmianach mowa, pomyślałem, że powinienem podzielić się z tobą, w ramach wzajemnej szcerości i zaufania, pewnymi planami, które proponuje wdrożyć Ministerstwo Finansów. Wiesz, że sam nie jestem człowiekiem wielkiej finansjery, zostawiam to ekspertom takim jak ty. To niesamowite, że społeczeństwo powierza los całej swojej narodowej fortuny politykom takim jak ja, którzy ledwie umieją dodawać. – Wzruszył ramionami, jakby usiłował strząsnąć z nich jakiś niepożądany ciężar. – Ale, jak rozumiem, podjąłeś się zakupu „Tribune” i zamierzasz za to zapłacić,

emitując dużą liczbę obligacji, które mają nabyć twoi przyjaciele w City.

Magnat prasowy kiwnął głową. Wszystko to było powszechnie dostępną wiedzą, stanowiło prosty plan zebrania funduszy poprzez zaciągnięcie ogromnych pożyczek, a spłaty odsetek miały być zrównoważone obecnymi zyskami jego koncernu. W sumie jego zyski spadną, ale jednocześnie zmaleją płacone przez niego podatki i w rezultacie to skarbowka zapłaci za rozszerzenie imperium Mackintosha, które za kilka lat zmieni się w jedną z największych maszynek do robienia pieniędzy w tym kraju. Dzisiejszy dług, za który płacił fiskus, w zamian za olbrzymie jutrzejsze zyski płynące prosto do kieszeni Mackintosha. Kreatywna księgowość i to całkowicie legalna. Finansiści byli zachwyceni.

– Chodzi o to – ciągnął premier – i niech to pozostanie między nami, starymi przyjaciółmi...

Na wzmiankę o przyjaźni Mackintosh poczuł, że gdzieś w trzewiach przewraca mu się zjedzone na śniadanie musli.

– ... że Ministerstwo Finansów planuje wprowadzenie kilku zmian. Od przyszłego tygodnia. Coś w tym rodzaju, że straty jednej firmy nie będą już mogły być równoważone zyskami drugiej. Nie twierdzę, że to rozumiem, a ty?

Oczywiście, że Mackintosh rozumiał. Tak dobrze, że przytrzymał się ściany. Ta propozycja oznaczała porwanie kanwy jego kreatywnej księgowości na strzępy. Po wprowadzeniu takich zasad wysokość jego podatku gwałtownie wzrośnie i nawet najbardziej tępy gwarant emisji zda sobie sprawę, że Mackintosh nie będzie w stanie spłacić długu. Już się zobowiązał do zakupu „Tribune”, nie miał jak się z tego wycofać, jeśli jednak tylko będzie się zanosić na zmianę przepisów, finansiści

umyją ręce od całej sprawy, odejdą do swoich porsche i barów z szampanem, zostawiając go z...

– Zrujnowany. Byłbym zrujnowany. Straciłbym wszystko.

– Naprawdę? A to szkoda. Ale te liczykrupy z Ministerstwa Finansów strasznie się zapaliły do tego pomysłu, a kimże jestem, żeby się z nimi spierać?

– Jest pan cholernym premierem!

– Owszem, jestem. Ale najwyraźniej takim, który już niedługo zagrzeje tu miejsce. Który jest na wylocie.

– O Boże.

Mackintoshowi obwisły barki, szyty na miarę garnitur zdawał się wisieć na nim jak worek. Jakby jego właściciel się skurczył. Podniósł wzrok w poszukiwaniu ratunku, lecz zobaczył tylko długie, strzegące wysokich okien w holu kotary, w kolorze bordo lub krwi. Jego krwi. Czas schować dumę do kieszeni, a wraz z nią słowa i szacunek do samego siebie. Odchrząknął z trudem.

– Wygląda na to, że moi redaktorzy popełnili grubo błąd w pana ocenie, panie premierze. Najwyraźniej nie stracił pan ani przenikliwości, ani entuzjazmu do swojego stanowiska. Natychmiast poinformuję ich o tej pomyłce. I chyba mogę pana zapewnić, że żaden naczelny, który nie darzy najwyższym szacunkiem pana licznych i różnorodnych talentów, nigdy nie będzie pracować w żadnej z moich gazet.

Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę Urquhart się nie odzywał. Wargi zacisnęły się w wąską kreskę, jak chropawy dziób żółwia jaszczurowatego, a oczy zapłonęły gadzią wrogością i pragnieniem wyrządzenia Mackintoshowi fizycznej krzywdy. Był to

widok jak z dziecięcych koszmarów. Mackintosh poczuł smak własnego strachu.

– To dobrze. – Wargi wreszcie się poruszyły. – Sam trafisz do wyjścia.

Urquhart już odwrócił się plecami i oddalił o krok od zgnębnego Mackintosha, kiedy zakręcił się na pięcie, by dodać ostatnie słowo, a po jego twarzy rozlał się wyćwiczony uśmiech.

– Nawiasem mówiąc, Jasper. Sam chyba rozumiesz, prawda? To wszystko. To tylko biznes. Nic osobistego.

I odszedł.

Rozdział 18

Historię Greków znaczą heroiczne klęski. Nikt jeszcze nie wie, jak może wyglądać ich przyszłość.

To był wieczór dla chłopaków. Głośny, rozkrzyczany, rubaszny, niezbyt dyplomatyczny i zdecydowanie nie kościelny. Nikt by się raczej nie spodziewał zastać w takim miejscu Jego Ekscelencji biskupa Marionu oraz wysokiego komisarza Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej. Ale cypryjski biskup należał do nowego gatunku duchownych, którzy szukali ortodoksji jedynie w religii.

– Witaj, najwyższy z wysokich komisarzy.

Biskup, odziany w czerń księżowskiej sutanny, rozłożył ramiona w geście powitania i zaśmiał się. Kiedy Hugh Martin, brytyjski dyplomata, wszedł do środka, trzech spośród czterech mężczyzn siedzących obok biskupa wstało i wtopiło się w tło. Czwartego, który był tak szeroki, jak biskup wysoki, ten ostatni przedstawił jako swojego brata Dimitriego.

– Rad jestem, że mógł pan przyjść, aby cieszyć się tym wieczorem, który, z łaską boską, będzie uświetniony doniosłym zwycięstwem mojej drużyny – ciągnął biskup, podczas gdy dwie dziewczyny, które

nic nie mówiły, za to uśmiechały się szeroko, podsunęły im tace w winem i przekąskami.

- Waszej drużyny, Wasza Ekscelencjo? - zapytał lekkim tonem Martin.

- Zgadza się - odparł biskup tonem jak najbardziej poważnym. - Jestem jej właścicielem. W imieniu diecezji, oczywiście. Znakomity sposób obdzielania mas darami bożymi, nie sądzi pan?

Jak na zawołanie z gardeł tysięcy zagorzałych kibiców piłki nożnej, zapelniających stadion Makariosa w Nikozji, wyrwał się wojenny okrzyk zachwytu, bo dwudziestu dwóch graczy właśnie wbiegło na boisko. Za chwilę miał się zacząć finał Pucharu Cypru.

W rogu prywatnej łoży, wysoko na trybunach zaświergotał dzwonek telefonu komórkowego i jeden z ubranych w garnitur asystentów zaczął mamrotać coś do aparatu. Martin przyjrzał się otoczeniu świeżym okiem. Był nowy na placówce w cypryjskiej stolicy, ale już zdążył usłyszeć o ekstrawertycznym biskupie Theophilosie, dopiero czterdziestokilkuletnim, a kontrolującym imperium, które obejmowało nie tylko serca i dusze, ale także kieszenie - gazetę, dwa hotele, kilku redaktorów naczelnych, jeszcze więcej polityków oraz winiarnię, możliwe, że najlepszą na wyspie. Jednak o drużynie piłkarskiej Martin nie miał wcześniej pojęcia. Wyraźnie dużo jeszcze musiał się dowiedzieć o tym eleganckim, zadbanym, wykształconym w Harvard Business School duchownym.

Anglik był wdzięczny za terkoczące wentylatory, które wprawiały w ruch powietrze w łoży. Nikozja była jedną z tych stolic położonych jakby w niewłaściwym miejscu, przycupniętą za górami Kireonii na szerokich równinach Mesaorii, tak że nie docierały do niej ani lekka morska bryza, ani świeże górskie powietrze, i już w maju natężenie

upału i spalin osiągało uciążliwy poziom. Stadion Makariosa zmienił się w betonowy kocioł bliski wrzenia, a upchniętemu w nim tłumowi na czoło występował pot i fanatyczna namiętność, lecz pod swoją sięgającą kostek szatą Theophilos zachowywał chłód. Elegancko przekazywał instrukcje za pośrednictwem siedzących za nim asystentów, z których wszystkich przedstawiono Martinowi jako nauczycieli teologii, a którzy jednak, sądząc z ich częstych rozmów telefonicznych, czuli się równie swobodnie w świecie mamony. Tylko brat Theophilos Dimitri, nerwowy mężczyzna przebierający niecierpliwie palcami i bezustannie badający językiem wnętrze policzków, siedział obok biskupa i wysokiego komisarza. Pozostali zajmowali fotele w tylnym rzędzie, poza jednym, który ani się nie odzywał, ani nie uśmiechał, tylko stał na warcie przy drzwiach. Martinowi wydało się, że dostrzega charakterystyczne wybrzuszenie pod jego pachą, ale przecież duchowny nie byłby chyba uzbrojony? Komisarz uznał, że ciężkie słodkie wino, które pili, musi działać mu na wyobraźnię.

Na boisku toczyła się zacięta walka, zawodników przytłaczał upał i napięcie wywołane doniosłością chwili. Martin wydawał dyplomatyczne dopingujące okrzyki, lecz język ciała Dimitriego zdradzał rosnące zniecierpliwienie, a wyłamywanie knykcii i uderzanie pięścią w otwartą dłoń mówiło za wszystkich Cypryjczyków w loży, kiedy na boisku po niecelnym podaniu i stracie piłki następowało nerwowe potknięcie. Tylko biskup nie reagował, pozornie koncentrując się na łuskaniu pistacji i bezbłędnym celowaniu łupinami do stojącej w pobliżu miski. Świetne podanie, nagła okazja, rozbudzone nadzieje, machnięcie flagą, spalony, kolejny przestój w grze. Potem tupanie. Gwizdy. Drwiące okrzyki. Spomiędzy obfitych

fałd biskupiej sutanny wyłonił się palec, jak różowy królik uciekający z ogromnej ciemnej nory.

– Przyrowadź menedżera. – Były to jedyne słowa, jakie padły. Z zadziwiającym pośpiechem, jak na człowieka, którego duchowy zegar bije w rytmie wieczności, jeden ze studentów teologii zniknął za drzwiami.

Do przerwy brakowało ponad piętnastu minut, ale nie minęło nawet pięć, kiedy rozległo się pukanie i pozwolono wejść zarumienionemu człowiekowi w dresie. Natychmiast skłonił się nisko przed biskupem. Martinowi, nieprzywykłemu do tradycji prawosławia, wydawało się, że biskup wyraźnie celowo odczekał chwilę, zanim wyciągnął prawą dłoń i wargi menedżera dotknęły jego pierścienia.

– Costa – zwrócił się do niego biskup, wstając – to jest drużyna Boga. Ty jednak pozwalasz, żeby grali jak stare baby.

– Przepraszam, Theofilestate, przyjacielu Boga – wymamrotał menedżer.

Biskup podniósł głos, jakby ostrzegał nieprzebrane tłumy o niebezpieczeństwach ognia piekielnego.

– Dzieło Boże nie dopełni się bez bramek, ziemia się nie rozstąpi, by pochłonąć naszych przeciwników. Ich lewy obrońca rusza się z szybkością masowca, daj tam Evriviadesa, niech go minie, zacznijcie strzelać gole.

Pognębiony menedżer przedstawiał sobą rozpaczliwy obrazek.

– Będziesz miał za to nowego mercedesa, jeśli wygramy.

– Dziękuję. Dziękuję, Aghie, świętobliwy! – Skłonił się, żeby jeszcze raz pocałować pierścień.

– A jeśli nie, będziesz maszerował na przystanek autobusowy.

Menedżer został odprawiony jak kelner, który rozlał zupę.

Martin postarał się ukryć rozbawienie. Odegrano właśnie spektakl teatralny, chociaż nie był zupełnie pewny, czy z myślą o nim, czy o menedżerze. Futbol go szczególnie nie interesował, ale czuł rosnące zaciekawienie tym niezwykłym, ubranym na czarno widziadłem, które najwyraźniej kontrolowało przeznaczenie dusz i finałów piłkarskich pucharów, tak jak odźwierny bram piekła kontroluje nadzieje zdesperowanych grzeszników.

– Ksiądz biskup poważnie traktuje piłkę – skomentował Martin.

Duchowny wyciągnął spomiędzy fałd sutanny paczkę papierosów – prawie równocześnie jeden z asystentów zapalił niewielki miotacz płomieni i biskup zniknął w kłębach siniego dymu. Martin zastanawiał się, czy to druga część spektaklu i czy zaraz będzie świadkiem Wniebowstąpienia. Kiedy twarz duchownego wyłoniła się z oparów, przecinał ją szelmowski uśmiech.

– Drogi panie Martin. Bóg jest natchnieniem. Czasami jednak nieco dodatkowej motywacji pomaga Jego dziełu.

– Mam szczerą nadzieję, Wasza Ekscelencjo, że nigdy nie będę miał powodu, by panu nie sprzyjać.

– Pan i ja będziemy największymi przyjaciółmi. – Zaśmiał się. Jedna z dziewcząt dołała im wina. Była naprawdę bardzo ładna. Theophilos wzniosł kieliszek. – Na pohybel wrogom Boga i Cypru.

Obaj pociągnęli głęboki łyk.

– À propos, panie Martin. Jest pewna drobna kwestia, którą chciałem z panem poruszyć...



– I jest jeszcze jedna drobna kwestia, którą chciałem z tobą poruszyć, Max.

Maxwell Stanbrook pomyślał, że naprawdę kocha tego człowieka. Francis Urquhart stał przy oknie sali posiedzeń rządu, wyglądając przez nie jak admirał wielkiej armady, mającej właśnie wyruszyć w morze. Niecałe dwadzieścia minut wcześniej Stanbrook zjawił się w swoim gabinecie w Ministerstwie Rolnictwa, Rybołówstwa i Żywności, zwanym w skrócie MAFF, gdzie zdenerwowana sekretarka poinformowała, że wzywają go natychmiast na Downing Street.

– O co chodzi, Sonia?

– Nie wiem, panie ministrze. Nie, naprawdę nie wiem.

Stanbrook był żarliwym wyznawcą teorii, że rząd jest cichym spiskiem urzędników służby cywilnej: to oni pociągają za sznurki i mydlą politykom oczy. Czuł żywą, pełną niedowierzania niechęć do tych, którzy twierdzili, że czegoś nie wiedzą, albo sugerowali, że nie ma innej możliwości. Słyszał w całym Whitehall z tego, że rzucał – dosłownie ciskał – w urzędników przygotowanymi przez nich dokumentami, okraszonymi wiązką słów powszechnie uznanych za obelżywe. Gangster z MAFFii, jak go nazywano. Nie było tajemnicą, że wielu w korytarzach władzy rozpaczliwie pragnęło zobaczyć, jak dostaje za swoje. Czy ten czas właśnie nadszedł?

Rok wcześniej Stanbrook myślał, że może mieć raka. Pamiętał, jak wszedł do gabinetu lekarza, usiłując ukryć strach, zapanować nad drżeniem kolan, dzielnie stawić czoło perspektywie śmierci. Mimo wszystko przyszło mu to wtedy łatwiej niż teraz. Lęk przed śmiertelną chorobą był niczym w porównaniu z tym, jak paskudnie się czuł, wchodząc do sali posiedzeń rządu. Zastał tam jedynie Urquharta. Obyło się bez uprzejmości.

– Musiałem zdymisjonować Annitę – zaczął premier.

Boże, on też był na liście...

- Chcę, żebyś zajął jej miejsce. Został ministrem ochrony środowiska. I sięgnął czasem po kij. Wiesz, Max, te darmozjady w ministerstwie wyobrażają sobie, że są nową policją myśli. Tu ekologiczna organizacja strażnicza, tam inspektorat do spraw zanieczyszczeń. No i po co? Kiedy tylko zafundowali każdemu dziecku w wieku szkolnym koszmary o globalnym ociepleniu, już musieliśmy wysłać wojsko, żeby wykopywało ze śniegu emerytów w stanie hipotermii. A za chwilę wysmażyli dokument domagający się miliardów funtów na walkę z suszą, czternaście dni – czternaście dni! – przed tym, jak powodzie zmyły północną Walię i cały sezon krykieta. Mrzonki, same mrzonki, wydumane przez nich podczas długich lunchów w Brukseli, żeby utrzymać się na stanowiskach. Zrób z tym dla mnie porządek, dobrze, Max?

- Z przyjemnością, F.U.

- Chodzi mi zwłaszcza o jedną rzecz. Tę dyrektywę w sprawie świeżego powietrza, pamiętasz? Bruksela chce, żeby brytyjskie fabryki pachniały jak francuski zamtuz. Cholerna bzdura, nie pozwolę na to.

- Ale myślałem, że dyrektywa już została zatwierdzona.

- Tak, będzie wryta na nagrobku Annity. Której się to zresztą nie podobało, bynajmniej nie przyjęła dymisji z godnością. Podejrzewam, że będę musiał uważać, czy nie wbija mi szydełka w plecy. No ale chociaż to dyrektywa europejska, za jej wdrożenie odpowiadają rządy poszczególnych państw.

- Zrobili z nas policjantów odoru. Tropicieli smrodu.

- Właśnie. A ostatnio dużo było nieprzemyślanej krytyki pod naszym adresem, jakimi to jesteśmy kiepskimi Europejczykami. Możesz sobie wyobrazić, jakie to dla mnie przykre. Chcę więc, żebyś dopilnował, by drobiazgowo stosowano się do ustaleń w zakresie

monitorowania. Proponuję, żeby przeprowadzać je raz w roku, zazwyczaj w styczniu. Najlepiej podczas wichury.

- Po nawietrznej stronie miasta.
- Max, mógłbyś daleko zajść.
- Na pewno zrobię, co w mojej mocy.

Urquhart zaśmiał się dobrotliwie, zastanawiając się jednocześnie, czy właśnie nie trafił na potencjalnego nowego rywala. Będzie go obserwować, tak jak obserwował ich wszystkich. Podniósł się z krzesła i podszedł do okna, z którego miał widok na drzewa w St. James's Park.

- Jest jeszcze jedna drobna kwestia, Max. Delikatna. Jedną z pierwszych rzeczy, o jaką zostaniesz poproszony, będzie podpisanie rozporządzenia pozwalającego na postawienie pomnika Najświętszej Margaret... o, tam. - Pomachał w kierunku parku. - Pieniądze są zebrane, rzeźbiarz zamówiony, wszystko gotowe. - Odwrócił się. - A ty masz znaleźć sposób, żeby do tego nie dopuścić.

- Masz jakieś sugestie, F.U.?

- Miałem nadzieję, że może ty coś wymyślisz. Byłoby niezręcznie, gdyby widziano, że się temu sprzeciwiam, zaczęliby mówić, że to przez zazdrość, co oczywiście nie jest prawdą. Chodzi o zasadę. W tym rządzie nie będzie bałwochwalstwa. Chcę cię zapewnić, że moje stanowisko w tej sprawie nie wiąże się z żadną myślą o osobistych korzyściach...



- I musi pan wiedzieć, drogi panie Martin, że wszystko to nie wiąże się z żadną myślą o moich osobistych zyskach. Powstanie wiele nowych miejsc pracy dla biednych rolników w rozpaczliwie niezagospodarowanej części naszej wyspy.

- Ale przylądek Katikas to rezerwat przyrody. Ma być niezagospodarowany. Żeby chronić orchidee i inne rzadkie rośliny.

Biskup wykonał zamaszty gest, aż zsunęły mu się luźne rękawy sutanny, odsłaniając zaskakująco umięśnione przedramiona.

- Stoków, na których mogą rosnąć orchidee, jest sto tysięcy, ale przylądek Katikas tylko jeden. Pan pozwoli, że opowiem mu o mojej wizji...

Najwyraźniej przylądek Katikas był idealnym miejscem nie tylko dla autochtonicznej i niezwykle rzadkiej orchidei *Ophrys cypria*, lecz także dla kompleksu hotelowego z lądowiskiem dla helikopterów, polem golfowym, centrum konferencyjnym i mariną. Mieszkańcy tego wysuniętego na zachód przylądka, od pokoleń trwający w izolacji i biedzie, teraz, karmieni opowieściami o niewyobrażalnych bogactwach, z entuzjazmem grożącym niemal wybuchem powstania przyjmowali pomysł przekształcenia swoich małych, jałowych działek w drogi dojazdowe, przeszkody wodne i z piaskiem, kwatery dla obsługi oraz cały kram związany z Costa del Kypros. A jeśli Kościół w osobie Theophilosa, do którego należała większość gruntów, również miał osiągnąć ogromne profity, to jedynie świadczy o tym, że na ich przedsięwzięcie spłynęło boskie błogosławieństwo.

Poza orchideami była tylko jeszcze jedna przeszkoda. A mianowicie fakt, że przylądek stanowił strzelnicę polową dla brytyjskiego wojska, co gwarantował Traktat o Ustanowieniu, który dał Cyprowi niepodległość. Przez dwadzieścia jeden dni w roku nadbrzeżne skały i ich morskie okolice zasypywano gradem pocisków przeciwczołgowych Milan i Swingfire. Które hotel i marinę rozwaliby w drobny mak.

- Naprawdę potrzebujecie strzelnicy polowej? - zapytał Theophilos.

- W tym samym stopniu co armii.

- W takim razie znajdziemy wam inny teren do operacji wojskowych. Musi być wiele innych części wyspy, które się nadają.

- Na przykład?

- Brytyjczycy z pewnością nie będą stawać nam, Cypryjczykom, na drodze do rozwoju gospodarczego - odparł biskup, uchylając się od odpowiedzi na tak bezpośrednie pytanie. - Obudziłoby to tyle nieprzyjemnych wspomnień.

- Myślałem, że zastrzeżenia zgłaszają sami Cypryjczycy, ekolodzy. Ci, którzy cenią ten obszar jako park narodowy.

- Garstka wścibskich, łzawych sentymentalistów o małym rozumku i zerowej wyobraźni. Szarańcza, która zlatuje się w porze lunchu i zna przyrodę tylko z tego, co je. A co z naszymi biednymi wieśniakami?

- A co z orchideami?

- Nasi wieśniacy domagają się równości z orchideami!

Na to nie było odpowiedzi. Martin uśmiechnął się pojednawczo i ucichł.



Booza-Pitt paplał. Zdarzało mu się to w chwilach zdenerwowania, żeby wypełnić przerwy. Nie lubił przerw w rozmowie. W dzieciństwie były dla niego udręką, króciutkie pauzy, w których jego matka nabierała powietrza, aby kontynuować niekończącą się tyradę narzekań na swój los. W ramach obrony

nauczył się włączać do dowolnej rozmowy, zagadywać i przegadywać ludzi, mówić o wszystkim. Mówcą był znakomitym, nie

zdarzyło się, by zabrakło mu słów. Problem w tym, że nigdy właściwie nie nauczył się słuchać.

Urquhart był sam przy wielkim stole w sali posiedzeń, kiedy Geoffrey wszedł do środka. Premier nic nie powiedział, ale gdy Geoffrey podchodził do swojego krzesła po przeciwnej stronie stołu, Urquhart uważnie śledził go wzrokiem, niemal tak, jakby wciąż próbował go osądzić, był jeszcze niepewny, zaniepokojony. I niepokojący. Geoffrey zaczął więc mówić.

– Mam taki pomysł, Francis. Nowy pakiet inicjatyw kampanijnych dla partii. Dużo o tym myślałem. Byłby zbudowany wokół przetasowania i przejechałobyśmy na nim do końca roku. Omówiłem to z przewodniczącym partii, chyba ma zamiar ci to wszystko przedstawić na piśmie. Główne założenie jest takie...

– Zamknij się, Geoffrey.

– Ja... – Geoffrey się zamknął, niepewny, co odpowiedzieć.

– Przewodniczący już mi opowiedział o swoich pomysłach na kampanię, tuż przed tym, jak go zwolniłem. Muszę przyznać, że znakomicie ci idzie sprzedawanie cudzych idei.

– Francis, proszę, rozumiesz chyba...

– Rozumiem aż za dobrze. Rozumiem ciebie. Może dlatego, że jesteśmy do siebie trochę podobni.

– Jednak mnie wyrzucisz? – Mówił przygaszonym tonem, z całych sił starając się nie skamleć.

– Myślałem o tym.

Twarz Boozy-Pitta zapadła się w wyrazie bóleści.

– Ale zamiast tego postanowiłem mianować cię ministrem spraw wewnętrznych.

Z głębi gardła Boozy-Pitta wydobył się osobliwy bulgot. Na wieść o przeniesieniu na jedno z czterech najbardziej wpływowych stanowisk w rządzie w wieku trzydziestu ośmiu lat najwyraźniej puściły mu mechanizmy kontrolne.

– Mówią, że szykuję cię na nowego lidera, który przejmie stery, kiedy odejdę. Ale nie szykuję. Daję cię do MSW po to, żeby nikt inny nie wykorzystał tego stanowiska do wyszykowania siebie na przywódcę. I po to, żebyś wykonał pewne zadanie. Użył swoich talentów do sprzedawania cudzych pomysłów. Moich pomysłów.

– Wszystko, co tylko powiesz, Francis – udało się wychrypieć Boozie-Pittowi, którego gardło było suche i spękane jak dno arabskiego wadi.

– Wkrótce będą nas czekały wybory, a ja postanowiłem przesunąć nieco słupki bramki. Nowa ustawa o praktykach wyborczych. Tak wspaniałomyślna i demokratyczna, że opozycja zaniemówi.

Booza-Pitt przytaknął entuzjastycznie, chociaż nie miał pojęcia, o czym jego przywódca mówi.

– Chcę ułatwić start w wyborach kandydatom mniejszościowym. Aby pozwolić na... – Urquhart zniżył głos o pół tonu, jakby wygłaszał przemówienie – ... pełniejszą i bardziej zrównoważoną reprezentację poglądów społeczeństwa. Aby zapewnić, że rząd będzie mocniej zakorzeniony w pragnieniach zwykłych ludzi. – Kiwnął głową z samozadowoleniem. – Tak, to mi się podoba.

– Ale co to znaczy?

– To znaczy, że każdemu kandydatowi, który zdobędzie ponad dwa tysiące głosów, państwo pokryje wszystkie wydatki na kampanię.

Na twarzy nowego ministra spraw wewnętrznych nagle odbiło się niedowierzanie.

– Wkręcasz mnie, Francis. Mając taką perspektywę, wystartuje każdy świr i krytykant w kraju.

– W rzeczy samej.

– Ale...

– Ale na kogo głosowaliby ci mniejszościowcy i malkontenci, gdyby nie mogli zagłosować na siebie?

– Nie na nas, nawet gdyby wszystkich co do jednego poddać lobotomii.

– Brawo, Geoffrey. Głosowaliby na opozycję. Zatem zachęcając ich do kandydowania, odbierzemy kilka tysięcy głosów opozycji praktycznie w każdym okręgu. W sumie da nam to z pięćdziesiąt mandatów, lekko licząc.

– Ty, ty...

– Możesz nazywać mnie przebiegłym intryganckim sukinsynem, jeśli chcesz. Uznam to za komplement. – Po raz pierwszy podczas ich rozmowy twarz Urquharta rozjaśnił uśmiech.

– Jesteś przebiegłym, intryganckim, genialnym sukinsynem, Francisie Urquharcie.

– I wielkim orędownikiem demokracji. Będą musieli to przyznać, wszystkie gazety, nawet opozycja.

– Zaktualizowana wersja „dziel i rządź”.

– Właśnie. Kierowaliśmy kiedyś imperium, opierając się na tej zasadzie. Powinna wystarczyć dla jednego małego kraju. Nie sądzi pan, panie ministrze spraw wewnętrznych?



Na lożę padło światło reflektora i Theophilos podniósł wysoko rękę, dziękując za zainteresowanie, jakim obdarzyli go kibice

w przerwie meczu. Szaty spływały mu z ramion jak ciemne skrzydła. Wielki kruk, pomyślał Martin, obdarzony podobnym apetytem.

– A zatem czy mogę oczekiwać od pana wsparcia i współpracy, panie Martin? – ciągnął duchowny, rzucając to pytanie przez ramię, jednocześnie błogosławiąc tłum znakiem krzyża. – To rzadka okazja.

– Orchidee też są rzadkie.

Przez chwilę ramiona biskupa zastygły w geście zniecierpliwienia. Na twarzy Dimitriego zaczął się malować wyraźny krzywy grymas. Konwersacja zatoczyła koło. Brat biskupa przyglądał się swoim masywnym, zgrubiałym knykciom, jakby w znaczących je pęknięciach można było znaleźć rozwiązanie wszystkich problemów.

– Nie chciałbym wydać się nieprzychylny waszej sprawie – podjął Anglik, ciesząc się w duchu, że jako funkcjonariusz czwartego stopnia służby dyplomatycznej potrafił dobrze panować nad tym, jak się prezentuje dla zewnętrznych obserwatorów, a zwłaszcza nad odruchami, które mogłyby zdradzać jakąkolwiek rozbieżność zdań czy niezadowolenie. Publiczne mówienie „nie” nie należało do zadań Ministerstwa Spraw Zagranicznych. – Problemem księdza biskupa nie są Brytyjczycy, tylko wasz własny rząd. I ekolodzy.

– Ależ to absurd. – Głos biskupa z frustracji przeszedł w syk. – Kiedy zwracam się do naszego upartego jak osioł prezydenta, ten twierdzi, że problem leży po stronie was, Brytyjczyków. I ekologów. Brytyjskie wojsko wchodzi do łóżka cholernym zielonym, podczas gdy nasi biedni wieśniacy głodują. – Odwrócił się nagle, jak niechciany nocny gość zjawiający się w oknie sypialni. Błękitna emalia zdobiąca jego ciężki krucyfiks zaśniła ciemnym blaskiem, podobnie jak jego oczy. – Niech pan nie lekceważy tego, jakie to dla mnie ważne, panie Martin.

– Żałuję. Brytyjski rząd nie może się mieszać w wewnętrzny spór na Cyprze.

– Ale już jesteście wmieszani! – Theophilos opadł ze złością na fotel. Właśnie zaczynała się druga połowa. – Macie na tej wyspie dwie bazy wojskowe, prawa dostępu do różnych innych terenów, a do tego strzelacie w nią swoimi pociskami. Postanawiacie się nie mieszać tylko wtedy, kiedy najbardziej was potrzebujemy. Na przykład kiedy najechali nas Turcy.

Rozmowa się urwała. Biskup usiłował odzyskać humor, a dziewczęta podały jeszcze więcej wina. Martin odmówił. Zapisał sobie w pamięci, żeby nigdy więcej nie pić w obecności Theophilos, człowieka, którego zabiegi wymagały w odpowiedzi mobilizacji pełni sił umysłowych. Gdy biskup odezwał się ponownie, głos miał opanowany, ale wciąż pełen pasji.

– Wielu Cypryjczyków uważa za niedopuszczalne, żeby wasze, brytyjskie, wojska nadal stacjonowały na naszej ziemi.

– Te dwie bazy stoją na niezawisłym terytorium brytyjskim, nie cypryjskim. Zostało to jasno uzgodnione w Traktacie o Ustanowieniu.

– Ziemia jest cypryjska, przelewana na niej od wieków krew jest cypryjska, a traktat jest niesprawiedliwy i krzywdzący, narzucony nam przez brytyjskich panów kolonialnych w zamian za naszą niepodległość. Radzę panu, panie Martin, nie opierać argumentów na tym traktacie, bo zwykli Cypryjczycy ani ich nie rozumieją, ani nie zaakceptują. Jak się ich zachęci do zastanowienia się nad takimi kwestiami, zaczną domagać się, żeby oddać im wszystko. Może się okazać, że nie macie żadnej strzelnicy, żadnych baz ani w ogóle niczego.

Ostrzeżenie zostało ogłoszone tonem zmęczonego profesora robiącego wykład cymbałowi, niepozostawiającym miejsca na dyskusję. Wyglądało na to, że nie ma już o czym mówić. Niezręczna cisza wisiała między nimi aż do chwili, gdy wzajemne skrepowanie zmiotł na bok dobiegający ze wszystkich stron krzyk radości. Evriviades strzelił gola.

– Właśnie stracił ksiądz biskup mercedesa.

– A pan, panie Martin, być może właśnie stracił przyjaźń cypryjskiego ludu.



– Kto tam?

– Przyjaciel.

– W takie dni jak ten człowiek ma niewielu przyjaciół.

– Mnie możesz do nich zaliczyć.

Uchyliły się drzwi do salki na zapleczu w restauracji L'Amico's, mieszczącej się na tyłach Smith Square, i ukazała się w nich zwalista sylwetka Harry'ego Mendipa. Usłyszał, że Annita Burke i Saul Wilkinson jedzą lunch w prywatnej sali, dzieląc smutek i gniew z powodu wylania z rządu, nie chcąc stawiać czoła szeptom i spojrzeniom bardziej publicznego miejsca. Mendip wiedział, jak się czują. Sam był jedną z ofiar poprzednim razem.

– Zjesz z nami, Harry?

– Nie mam apetytu na jedzenie.

– A na co masz?

– Na działanie.

– Zemsta?

– Niektórzy mogliby to tak nazwać.

Nalano trzeci kieliszek wina, zamówiono kolejną butelkę.

- Wszystko zawsze ten Urquhart. Niech go szlag.
- Mały Cezar.
- Zachowuje się jak książkę, nie jak premier.
- A my kłaniamy się i uginamy kolana jak jego poddani.
- Albo raczej podnóżki.
- Ale co, oprócz bezwzględności, wyniosło go tak wysoko?
- I co, oprócz bezwzględności, ściągnie go w dół?

Urwali, kiedy wszedł kelner, żeby zebrać kilka rozrzuconych po stole talerzy.

- Zrobił się taki wyniosły, że stopami ledwie dotyka ziemi.
- Ale gdy już dotknie, ta ziemia jest przesiąknięta krwią. Śliski teren. To jego słabość.
- Zbyt wielu zaszlachtował przez te wszystkie lata.

Annita Burke uzupełniła kieliszki.

- Jesteśmy tego samego zdania?
- Pozostała dwójka skinęła głowami.

- To kto poprowadzi to przedsięwzięcie?
- Może Yorke? Nadaje się do forteli i zdrad.
- Szczęśliwa mieszanka.
- Ale w jego duszy nie ma harmonii. Niczego, co by poruszyło serca

i umysły.

- No to Penthorpe.
- Z tymi oczami przerażonej fretki, przez które wygląda, jakby na ochotnika szedł na szubienicę? Nie sądzę.

- Ty, Annita.

Pokręciła głową.

- Nie, to akurat nie dla mnie. Ostrą krytykę u kobiety zawsze się zbywa jako efekt szalejących hormonów. A w moim przypadku nikt by

nie zapomniał, że to żydowskie hormony. Poza tym brakuje mi elegancji kroku i lotności dowcipu koniecznych, żeby prowadzić w tym tańcu.

– No to zostaje tylko jeden.

Wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi.

– Makepeace.

– Trudno go będzie przekonać.

– Tym lepiej, jak już się uda.

– Żeby stanął do wyścigu o przywództwo partii?

– Jaki to ma sens? Urquhart obsadził partyjną maszynę martwymi sługusami, którzy zaprzędali swoje dusze.

– W takim razie jeśli nie możemy oderwać Urquharta od partii, musimy zabrać partię jemu.

– To znaczy?

– Nowy lider i nowa partia.

Mendip wciągnął powietrze.

– To niebezpieczne przedsięwzięcie – powiedział powoli.

– A także zaszczytne. Przynajmniej takie by się wydawało w wykonaniu Makepeace'a.

– A ja wolę zostać rozszarpany na strzępy jako pies wojny niż zarżnięty jak owca.

Burke wzniosła kieliszek.

– Toast. Bądźmy panami własnego losu.

– Aż do bram piekieł.



Kiedy zamroczony euforią Booza-Pitt wytoczył się z sali posiedzeń rządu, niemal odbił się od zażywnej postaci Bollingbroke'a, który

właśnie podziwiał białe marmurowe popiersie Williama Pitta, przycupnięte w ściennej wnęce.

– Miał rację, nie sądzisz? – zapytał Bollingbroke, wznosząc oczy z podziwem. Mówił z prząsnym akcentem, przeciągając sylaby, jakby miał usta pełne toffi z melasy.

Booza-Pitt spróbował ustawić się profilem tak, żeby przyrównać go do profilu osiemnastowiecznego premiera na popiersiu, zastanawiając się, o czym na litość boską Bollingbroke bajdurzy.

– Wiesz, był premierem w czasach bitwy pod Trafalgarem. Kiedy roznieśliśmy w pył flotę Napoleona. Słyszałem jakieś bzdety, że niby był twoim krewnym. Absurd i nonsens. To chyba nieprawda, co?

Booza-Pitt nie miał ochoty odpowiadać na tak bezpośrednie wyzwanie. Wzruszył wieloznacznie ramionami. Niech go szlag trafi, tego Bollingbroke'a, bredził coś, kiedy Geoffrey chciał tylko zaszpanować swoim nowym dostojenstwem i spłynąć, zostawiając tego drugiego w kilwaterze, gdzie mógł do woli chlapać i nabierać wody.

– Jak się wyraził, Geoff, pamiętasz może?

Pokręcił głową, zagubiony w labiryncie umysłu Bollingbroke'a. Podejrzewał, że chodzi o jakiś test mający potwierdzić jego koneksje rodzinne.

– „Anglia uratowała się własnym wysiłkiem, a Europę swoim przykładem”. Tak powiedział, ten premier Pitt. Do diabła, całkiem niezłe motto także na dziś. Bo wiesz, zabójady nigdy się nie zmieniają. Będę musiał o tym pamiętać. W końcu jestem teraz ministrem spraw zagranicznych.

Zręcznie zwałił tę wiadomość Boozie-Pittowi na głowę, zupełnie jakby wylał nań wiadro wody wzbogaconej żyjątkami ze stawu.

– Zostałeś... ministrem spraw zagranicznych? – pisnął Booza-Pitt. – Arthur, tak się cieszę. Musisz wpaść i wypić ze mną butelkę bollingera.

– Straszne świństwo. Jak dla mnie nie ma to jak bitter.

Booza-Pitt zaczął odnosić wrażenie, że ktoś tu sobie z niego kpi.

– Ja dostałem MSW – odparł słabym głosem, sprowadzony na ziemię perspektywą dzielenia nagłówków dnia z Bollingbrokiem.

– Tak, wiem – odpowiedział minister spraw zagranicznych, ćwicząc jedno z tych spojrzeń, za pomocą których zamierzał przekazywać Francuzom całą głębię swojej pogardy, nie wypowiadając ani jednego niedyplomatycznego słowa. – Idę. Muszę zrobić porządek z tymi wszystkimi cholernymi bonapartystami. – Odwrócił się na pięcie. – Dzień dobry, skarbie – pozdrowił wesoło zbliżającą się do nich postać i wyszedł.

Pojawiła się Claire, a może była tam cały czas, Geoffrey nie był pewien.

– Gratulacje, panie ministrze spraw wewnętrznych.

Boże, czy wszyscy słyszeli o jego awansie przed nim?

– Ale mała rada – ciągnęła. – Krawat.

– Podoba ci się? – zapytał, przesuwając palcem po jaskrawym motywie na jedwabiu. – Australijski. Podobno to aborygeński symbol płodności.

– Jest nieco zbyt... – szukała właściwego słowa – odważny.

– Niby co z nim nie tak? – zapytał ostrożnie.

– Pamiętaj, Geoffrey, zadanie ministra spraw wewnętrznych polega na dzieleniu z ludźmi nieszczęść i wyjaśnianiu rozczarowań. Dlaczego policja odholowuje samochody parkujące pod sklepami, zamiast obcinać jaja kibolom, tego typu rzeczy. Nie masz wyglądać, jakbyś się

przy tym dobrze bawił. – Uśmiechnęła się szelmowsko i ruszyła do drzwi sali posiedzeń.

Cholera, czy nikt mu nie da cieszyć się tą chwilą?

– To nie wszystko, co może robić szef MSW – odparował. – Francis i ja mamy pewne plany. – Jego ton sugerował spisek przyjaciół i wielkie tajemnice, sojusz, którego nikt nie

ośmieli się wyszydzić. To ją przystopowało, odnotował z zadowoleniem.

Odwróciła się twarzą do niego.

– Jeśli masz zamiar dymać elektorat, to, na litość boską, nie noś krawata, na którym jest to wypisane jak na plakacie. – Po czym znikła za drzwiami premiera, wchodząc bez pukania.



SĄD ARBITRAŻOWY

w sprawie wytyczenia granic morskich między Republiką Cypryjską a Tymczasową Republiką Północnego Cypru.

POSTANOWIENIA

PRZEWODNICZĄCY: Clive Watling

CZŁONKOWIE KOMISJI ARBITRAŻOWEJ: Andreas Rospović, Michel Rodin, Shukri Osman, Farrokh Abdul-Ghanem

(...)

Sąd w powyższym składzie postanawia niniejszym (...) że chociaż wody te są tradycyjnymi łowiskami rybaków grecko-cypryjskich, a obie strony ustaliły kwoty umożliwiające greckim Cypryjczykom aktualnie zajmującym się połowami na tych wodach kontynuowanie tychże połowów w celu zabezpieczenia swojego bytu, to takie tradycje ani inne „specjalne okoliczności”, na które powołuje się strona grecko-cypryjska, nie mogą mieć większej wagi niż warunki geograficzne, leżące u podstaw procesu wytyczania granic (...).

Ponadto, mimo że niezależne badania sejsmiczne wykazały, iż złoża surowców mineralnych nadających się do eksploatacji na szelfie kontynentalnym są potencjalnie niewielkie, tak czy inaczej nie ma powodu uważać takich złóż mineralnych za mające jakikolwiek wpływ na wytyczanie granic (...).

Zdaniem sądu nie ma podstaw, by twierdzić, że o zakresie praw każdej ze stron do terytoriów morskich powinny decydować kwestie sprawiedliwości dziejowej związanej z historią wyspy. Legalność tureckiej inwazji w 1974 roku nie jest przedmiotem rozważań tego trybunału, który uznaje wieloletnią rzeczywistą jurysdykcję władz turecko-cypryjskich w północnej części wyspy (...).

Obie strony, odpierając twierdzenia oponenta, tym samym zaprzeczają zasadom, które przywoływały na potwierdzenie swojego stanowiska. Sąd musi mieć pewność, że wypracowane rozwiązanie jest zarówno racjonalne, jak i sprawiedliwe, i w tym celu, mając na uwadze wiążące prawnie gwarancje udzielone przez władze turecko-cypryjskie greckim Cypryjczykom w celu zabezpieczenia ich interesów w zakresie rybołówstwa (...).

Z powyższych powodów:

sąd arbitrażowy, przewagą głosów trzy do dwóch, przy czym przewodniczący Watling oraz sędziowie Osman i Abdul-Ghanem głosowali za, zaś sędziowie Rospović i Rodin przeciw, ustala następujący przebieg granicy (...)



Watling ostatni raz sprawdził tekst i podpisał ostateczną wersję dokumentu. Sprawilo mu to nieopisaną przyjemność. Historyczne porozumienie, które pomoze zarówno scementowac pokój w targanym konfliktami zakatku swiata, jak i potwierdzic jego miejsce w podręcznikach i pośród precedensów przekazywanych przyszłym pokoleniom międzynarodowych jurystów. A do tego parostwo. Jego matka będzie teraz mogła zajadać się opiekanyimi bułeczkami

drożdżowymi na tarasie, kiedy tylko przyjdzie jej ochota, natomiast on nigdy nie będzie narzekać na brak zaproszeń do Kalifornii, właściwie będzie mógł jeździć wszędzie, także na mecze reprezentacji. Będą z niego dumni w Cold Kirby na skraju wrzosowisk. Werdykt Wód Watlinga. Słuszny werdykt i sprawiedliwy, co nie zawsze da się powiedzieć o takich sprawach. Teraz już było po wszystkim i to, czy odkryją ropę, antyki czy kości Minotaura, nie liczyło się ni cholery – i nigdy nie powinno było się liczyć. To był wyrok z mocy prawa, nie pokerowa rozgrywka licencjami wydobywczymi.

Sprawiedliwość. Brytyjska sprawiedliwość. A jeśli pociągała za sobą wykolegowanie Francuzów, to jeszcze lepiej. Rodin może zgnić w piekle.

Rozdział 19

W dyplomacji chodzi przede wszystkim o wzajemne ustępstwa. Trzeba umieć dawać i brać. I brać. I brać. I brać...

Zrobił się z tego milczący pojedynek na gesty. Kamerzysta BBC raz po raz poprawiał ustawienie kąta obrazu, żeby mieć w kadrze samego premiera i jego oświadczenie wygłaszane przed drzwiami z numerem 10 – w końcu był to moment należący do Urquharta – ale nowy minister spraw zagranicznych koniecznie chciał pławić się w słonecznym blasku telewizyjnych reflektorów i chwały swojego szefa. Z uporczywością epidemii odry krągła sylwetka Bollingbroke'a wciąż wciskała się w kadr, aż w końcu znalazł się tuż za prawym ramieniem premiera, stojąc na baczność, wyprężony tak, że niemal poodpadały mu guziki od garnituru. Pretoriańska gwardia Urquharta.

Jeden z sekretarzy zasugerował, że może oświadczenie powinno zostać wygłoszone przed parlamentem, a nie mediami, ale Grist – dobry Grist, obdarzony zdrowym instynktem – podchwycił nastrój Urquharta. Na progu Downing Street nie było lidera opozycji, który mógłby rzucać wyniosłe pytania i komentarze, ani byłych, dopiero co zwolnionych ministrów, którzy chcieliby przypisać sobie część zasług, ani niczego, co przeszkodziłoby Urquhartowi znaleźć się całkowicie

samotnie na pierwszym miejscu w wiadomościach w porze lunchu. Tylko ten Bollingbroke. Może następnym razem przywiążą go do krzesła.

I tak wdzięczny naród mógł być świadkiem, jak F.U. wyraża radość, iż udało mu się zmienić zamknięte umysły w otwarte ramiona przyjaźni, i przyjmuje wyrazy uznania od mężów stanu. Oficjalnie zaprasza przywódców obu cypryjskich republik za osiem tygodni do Londynu, by podpisać ostateczne porozumienie pokojowe – co zagwarantuje mu kolejną medialną orgię oraz pewne zwycięstwo na arenie, na którą żaden inny brytyjski polityk nie mógł nawet wkroczyć.

Francis Urquhart. Człowiek Pokoju.



W małym, wyłożonym kwiecistą tapetą pokoju na ostatnim piętrze budynku przy Downing Street 10, we wschodnim skrzydle części mieszkalnej, tak małej, tak nieodpowiedniej dla szefa rządu poważnego zachodniego kraju i tak angielskiej w swojej powściągliwości, Mortima Urquhart siedziała przy biurku w stylu regencji, należącym kiedyś do jej babki. Odsunęła na bok listy, na które odpisywała, małym kluczykiem otworzyła szufladę i wyjęła z niej swój prywatny notes z adresami. Palce jej lekko drżały, czuła to niecierpliwe wyczekiwanie, które znała z czasów swoich polowań z psami, kiedy właśnie mieli dopaść wielkiego jelenia. Wewnętrzna walka między podnieceniem, strachem i – sumieniem? Wyciągnęła rękę, już nie po szpicrutę i wodze, lecz po telefon, ten, który kazała założyć wiele lat temu, gdy się tu wprowadzili. Telefon, który nie łączył się przez centralę. Jej telefon, do jej celów. Zwierzyna została otoczona, a ona chciała się podzielić dobrymi wieściami. Ale nie ze zbyt szerokim gronem.



– Żałuję, panie prezydencie, że klimatyzacja znów się zepsuła.

Węzeł zgryzot zaciskał się wokół asystenta, zlanego potem po niedawnej karczemnej awanturze z kierownikiem nadzoru technicznego. Nic nie dała, temperatura wciąż szybko rosła i zbliżała się do trzydziestu stopni. Dwa wentylatory, które umieścił w rogach pokoju, miały znikomy wpływ na ciężkie nikozyjskie powietrze o takim zapachu i smaku, jakby już wielokrotnie je wypuszczono z płuc.

Po Nuresie, człowieku pełnym pasji i o zmiennych nastrojach, nie było jednak widać śladu urazy. Zdjął marynarkę i krawat, popijał słodką miętową herbatę i ocierał łysiejące czoło dużą czerwoną chustką. A także pochylał się nad mapą i triumfował.

– Niedługo będziemy mieć nową klimatyzację, i to wszyscy. I nowe drogi. Szkoły. Mieszkania. Nawet nowe lotnisko. – Jego ciemne oczy błyszczały nadzieją. – Świeży start.

– Mamy za co być wdzięczni – podchwycił asystent, próbując popłynąć na niespodziewanej fali świetnego humoru szefa.

– I mamy dobrych przyjaciół – odparł Nures – którym jesteśmy winni więcej niż wdzięczność.



Theophilos zerwał sobie ręcznik z szyi i niecierpliwym machnięciem ręki odprawił fryzjera.

– Co cię ugryzło? – zaczął dociekać Dimitri, kiedy zamknęły się drzwi. Siedział przy monitorze stojącym na bogato zdobionym mahoniowym biurku biskupa i grubymi palcami wystukał polecenie na klawiaturze. Ekran ożył. – Giełda poszła w górę, rynkom podoba się

całe to gadanie o pokoju. Szwajcarskie stopy procentowe też wzrosły. To był dla nas dobry tydzień.

– Kapitał polityczny, tego musimy pilnować, braciszku – odparł Theophilos, drapiąc się po świeżo przystrzyżonej brodzie. – Jeśli mamy się pozbyć tego głupca prezydenta, potrzebujemy przedsmaku chaosu. Zaprowadzony jego ręką pokój urzęda nas jak epidemia cholery.

Zerknął na zegarek. Wywiad dla telewizji za dziesięć minut. Zmienił roleksa na skromny zegarek na skórzanym pasku, założył ciemną biskupią sutannę i zawiesił na szyi ciężki krucyfiks, przeobrażając się z powrotem w prostego duchownego.

– To co mamy robić?

– Modlić się. Do Boga w niebie i wszystkich innych bogów, jakich możesz znaleźć na dnie szafy. Padnij na kolana. Ukorz się. I błagaj, by przyłapano Turków na tym, że znów próbują nas wydymać.



Zaświergotał telefon. Biznesmen wyciągnął rękę z tylnego siedzenia citroëna limuzyny, przebijającego się przez zakorkowane ulice Paryża, odebrał i słuchał uważnie. Nic nie mówił, skupiając całą uwagę na wiadomości i jej konsekwencjach, zupełnie jasnych. Ćwierć miliona dolarów, które przekazał temu – jak się nazywał ten turecki kolaborant? Już zdążył zapomnieć – zostało wyrzucone w błoto. Zaryzykował i przegrał. Co bolało. Nawet w biznesie naftowym ćwierć miliona niepokwitowanych dolarów poważnie nadweręża fundusze na drobne wydatki. Jednak to był jeszcze najmniejszy ból, bo wydawało się pewne, że ma stracić więcej, znacznie więcej. Wartą miliardy dolarów okazję. Morze ropy. Wyglądało na to, że nigdy nie wywierci swoich szybów.

Bez słowa odłożył słuchawkę, słysząc cichy trzask, z jakim opadła na miejsce. Przyciemnione szyby i potężna izolacja akustyczna limuzyny chroniły go jak kokon przed chaosem ulicy. Żył w świecie pod kloszem, świecie przywilejów i bezpieczeństwa, broniony przed tym, co na zewnątrz. Z wyjątkiem telefonu. I wiadomości, które przynosił.

Był opanowanym człowiekiem, emocjonalnie wyjałowionym, ograniczającym swoje apetyty do jednej tylko rzeczy. Ropy. Mleka ziemi. Cenniejszego dla niego niż własna krew. Z furią cichą jak silnik citroëna na luzie zaczął tłuc zaciśniętą pięścią w skórzany podłokietnik, nie zwracając uwagi na ból, aż go rozwalił.



Przewróciła się na bok, a kiedy prześcieradło zsunęło się, odsłaniając kontury jej ciała, znów poczuł drżenie gdzieś w środku. Dopóki nie poznał Marii, nie był pewien, gdzie są jego lędźwie, a teraz wydawało mu się, że są wszędzie i wibrują nadzwyczajną energią za każdym razem, gdy odpina guzik czy haftkę. W Marii znalazł idealną partnerkę, kobietę obdarzoną naturalną ciekawością i dowcipem, która nie bała się przyznać do braków w doświadczeniu i bardzo chciała je nadrobić. Byli eksploratorami przemierzającymi razem nowe terytoria i delektującymi się radością odkrywania.

Dziwiło go, że nie czuje winy, bo teraz już wiedział, że jego małżeństwo się skończyło. Było formą bez treści – nieobecna żona rozporządzała jego wiernością, budynek, w którym mieszkał, przestał być domem, a jemu to nie wystarczało. Próbował wypełnić pustkę w swoim życiu wieloma rzeczami – ambicją, estymą, inicjatywą, osiągnięciami – ale nic nie działało, a on był sam. Uświadomiła mu to obecność Marii Passolides w jego świecie – i w jego łóżku.

Kiedy oparła się na poduszce, patrzył zahipnotyzowany, jak kropla potu spływa z jej szyi, jakby żłobiąc koleinę w oliwkowej skórze między jej piersiami.

– O czym myślisz, białasie? – zapytała rozbawiona.

Czubkiem małego palca prześledził drogę kropli, która nagle nabrała rozpędu i potoczyła się w stronę pępka.

– O tym, co mogę dla ciebie zrobić.

Zamknęła oczy, kiedy przesunął powoli palcem po jej skórze poniżej pępka, jej oddech przyspieszył.

– Jezu, co jadłeś na śniadanie? – wydyszała. Krew znów zaczynała szybciej krążyć, ciało z całych sił pragnęło nadrobić tyle straconego czasu.

Jego palec niechętnie zboczył z drogi, prześlizgnął się po zewnętrznej stronie jej uda, a potem przestała go czuć.

– Nie o to mi chodziło – mruknął. – Przyszłaś do mnie po pomoc. W sprawie tych grobów.

– Jasne – odparła – ale skąd ten nagły pośpiech? – Poszukała jego dłoni, lecz on odsunął się, żeby dać im obojgu chwilę wytchnienia.

– Zostało nam niewiele czasu – podjął. – Jeśli nie dostaniemy odpowiedzi w ciągu następnych ośmiu tygodni, przed podpisaniem porozumienia pokojowego, to już nigdy nic z tego nie będzie. Po przypieczętowaniu pokoju nikt nie będzie zainteresowany tematem, nie w tym kraju. W wiadomościach będzie już coś innego. Powiedzą, że wykonali swoje zadanie, umyją ręce. Cypr z powrotem stanie się daleką wyspą, na którą może miło byłoby się wybrać któregoś dnia na wakacje w poszukiwaniu młodego wina i starych ruin. Nic więcej. Musimy działać teraz, bo inaczej nigdy nie poznamy odpowiedzi.

– To co robimy?

- Aferę. Wywieramy nacisk. Próbujemy obudzić parę starych wspomnień.

Myśląc o tym, co powiedział, instynktownie podciągnęła prześcieradło aż po szyję. W ciągu ostatnich kilku dni coraz częściej zapominała o sprawie, z powodu której pierwotnie zwróciła się do niego o pomoc, rozproszona odkryciem, jak wszechstronna okazywała się ta pomoc. Za pierwszym razem kochali się na jego kuchennym krześle, a ona w ferworze oderwała poręczę. Kiedy skończyli się śmiać, zaproponowała, że odniesie krzesło do sklepu Habitatu, ale potem zmieniła zdanie, uznawszy, że nie będzie w stanie zachować powagi, gdy zapytają, jak to się stało. Była pewna, że wszyscy się domyślą, po prostu patrząc na jej uśmiech. Zgarnęli więc szczątki mebla do kąta i wypróbowali drugie kuchenne krzesło, a później kanapę w jego gabinecie, gdzie jej wilgotna skóra przylepiła się do skórzanej tapicerki i oderwała z głośnym dźwiękiem. Zaprosił ją do łóżka – łóżka swojej żony – dopiero wtedy, kiedy za jego chęcią spotkania z nią zaczęło kryć się coś więcej niż spocone ciało. Nie zaoferował jej pomocy w zamian za seks, tak jak ona nie zaproponowała mu seksu za pomoc, lecz motywy każdego z nich stawały się coraz bardziej zagmatwane i splecione z sobą, do tego stopnia, że trzeba było jej przypominać o pierwotnym celu, w jakim zapukała do jego drzwi. Poczowała wyrzuty sumienia, ale orgazmy potrafiły być takie rozpraszające. I takie fajne.

- Gdybym tak cię poznał, kiedy jeszcze byłem ministrem spraw zagranicznych, mogłoby być o wiele łatwiej – powiedział z westchnieniem. – Mógłbym wtedy otworzyć różne drzwi od wewnątrz, zamiast wyważać je kopniakiem z ulicy.

- Ale wtedy oszukiwałbyś mnie oficjalnie, a nie tylko prywatnie.

- Jak to oszukuję cię prywatnie? - Zabrzmiało to, jakby poczuł się dotknięty.

- Ta herbata, którą mi zaproponowałeś pierwszego dnia, gdy się poznaliśmy i zaprosiłeś mnie do kuchni? Ciągle jej nie dostałam.

Pochyliła się i pocałowała go, po czym podniosła się z łóżka.

- A teraz wstawaj, Makepeace. Roboty czeka.



Evangelos Passolides siedział sam w swojej zaciemnionej restauracji. Ostatni gość już dawno sobie poszedł, a Passolides podjął symboliczną próbę sprzątnięcia, ale szybko ogarnęła go melancholia. Czuł się opuszczony przez wszystko, co kochał. Od wielu dni nie widział Marii. A jego własny rząd w Nikozji miał za chwilę oddać Turkom duży kawałek jego ukochanej ojczyzny. Czy właśnie o to walczył, za to zginęli Jorgos i Eurypides?

Siedział wśród wszystkich swoich pamiątek, pijany, obok stała pusta butelka po winie Commanderia. Przewrócony na bok kieliszek leżał na obrusie upstrzonym czerwonymi plamami po kroplach, które wiele lat temu mogły być krwią. Passolides szlochał. W jednej ręce trzymał pogniecioną fotografię swoich braci, dwóch rozczochranych, uśmiechniętych chłopców. W drugiej – błyszczącego webleya, pistolet, który zabrano kiedyś zwłokom brytyjskiego porucznika i za pomocą którego miał dokonać zemsty, jak zawsze obiecywał. Zanim został kaleką.

Teraz było już za późno. Zawiódł we wszystkim, czego się dotknął. Inni byli bohaterami, a jego życie odarło z honoru i szacunku do samego siebie. Siedział sam, zapomniany, stary człowiek, któremu po policzkach spływały łzy, który pamiętał. Machał pistoletem. I nienawidził.

Rozdział 20

W przywództwie chodzi o dokonywanie zmian.
Przełamywanie barier. Łamanie ludzi. Ich serc,
kręgosłupów i, kiedy trzeba, ich życia.

Miejsce człowieka w historii jest właśnie tym, niczym więcej – jednym miejscem, pojedynczym punktem w nieskończonym wszechświecie, klejnotem, który, choćby wypolerowany na najwyższy połysk, w końcu zginie w pełnym bogactw skarbcu. Jak ziarnko piasku w klepsydrze.

Dla Urquharta była to święta sceneria: ława obita lśniąca skórą, porysowana śladami wbijanych w zdenerwowaniu paznokci, mównica z brązu i starego drewna puriri, wypolerowana od dotyku tysiąca wilgotnych dłoni, ozdobne krokwie i słupki, wśród których, jeśli bacznie nadstawi się ucha, wciąż rozbrzmiewało echo krzyków wielkich przywódców, kopanych i zadręczanych aż do upadku. Każda kariera polityczna, jak się wydawało, kończyła się klęską – werdykt sądu odbywającego się w tej wielkiej gotyckiej sali zawsze był taki sam. Winny. Skazany. To tu nawoływano do kaźni, zatwierdzano wyrok i wreszcie przeprowadzano egzekucję. Zmieniały się tylko nazwiska.

Ostatnio, kiedy tylko odwrócił się od światła, w cieniach rozlegały się głosy szepczące, że pewnego dnia nadejdzie jego kolej, by upaść, to

tylko kwestia czasu. Gdy usiadł w ławie, znów je usłyszał – szepty stawały się bardziej stanowcze, impertynenckie, niemal go wyszydzały. A przez nie wszystkie przebijał się głos Thomasa Makepeace'a.

– Czy mój szanowny kolega ma świadomość – w ustach Makepeace'a konstytucyjna fikcja koleżeństwa miała słodycz octu – że społeczność greckich Cypryjczyków w tym kraju jest głęboko zaniepokojona istnieniem grobów z czasów wojny o niepodległość w latach pięćdziesiątych, które wciąż pozostają ukryte...?

Stare wspomnienia zaczęły ożywać jak żar, migotać i rozpalać się, aż skwierczenie płomieni niemal zagłuszyło słowa, którymi Makepeace domagał się, by brytyjski rząd otworzył archiwa, ujawnił wszystkie nieodnotowane zgony i miejsca pochówku, aby tragedie sprzed lat mogły wreszcie znaleźć zakończenie.

Przez chwilę posłowie mieli przed sobą niezwykle widok premiera siedzącego sztywno na swoim miejscu, nieporuszonego i nieruchomego, pogrążonego we własnym świecie, aż okrzyki zniecierpliwienia wyrwały go ze stuporu. Wstał zesztywniały, jakby wiek skleił mu stawy.

– Nic mi nie wiadomo – zaczął z nietypowym dla siebie brakiem asertywności – o żadnych sugestiach, żeby Brytyjczycy ukrywali groby...

Makepeace protestował, wymachując jakąś kartką, krzycząc, że pochodzi ona z Archiwum Państwowego.

Odezwały się inne głosy. Urquhart słyszał w głowie sprzeciw i zamęt, słowa o grobach, o tajemnicach, które zostaną odkopane razem z kośćmi, o rzeczach, które muszą pozostać pogrzebane na zawsze.

A potem nowy głos, bardziej znajomy. „Walcz! – rozkazał. – Nie daj im zobaczyć twojej słabości. Kłam, krzycz, kręć, wyzywaj, zadaj cios w plecy, zrób cokolwiek, tylko walcz!” I módl się, mógłby dodać głos. Francis Urquhart nie umiał się modlić, ale walczyć potrafił jak sam diabeł.

– Uważam, że bardzo niebezpiecznie jest otwierać zbyt wiele starych szaf i wachać stęchłe, niezdrowe powietrze – zaczął. – Powinniśmy przecież patrzeć w przyszłość, z którą wiążą się wielkie nadzieje, a nie rozpamiętywać zamierzchłą przeszłość. Cokolwiek zaszło podczas tej dawnej, tragicznej wojny, niech pozostanie pogrzebane, razem z wszelkim złem, którego się dopuszczono, być może po obu stronach. Pozostańmy przy nieskalanej przyjaźni, którą udało się od tamtej pory zbudować.

Makepeace usiłował wstać, znów protestował, ściskając w rękę tę samą kartkę. Urquhart uciszył go najbardziej bezlitosnym z uśmiechów.

– Oczywiście, jeśli szanowny pan poseł ma na myśli coś konkretnego, zamiast sugerować oszalałe rozgrzebywanie archiwów, dla niego przyjrę się tej sprawie. Wystarczy, że przedstawi szczegóły na piśmie.

Makepeace ucichł, a Urquhart z dużą wdzięcznością przyjął słowa przewodniczącego Izby, który przeszedł do następnego punktu obrad. W głowie dzwoniło mu od chaosu głosów, krzyków, wybuchów, rykoszetu kul. Nic nie widział, oślepiiony wspomnieniem śródziemnomorskiego słońca odbijającego się od wiekowych skał, kiedy jemu rozszerzały się nozdrza, napęlniając się słodkawym odorem palonego ciała.



- No, dawaj, Franco - zachęcił producent. Wyprostował się na krześle i utopił papierosa w zwietrzalej kawie. To mogło być niezłe.

Za nieczynnym kościołem, który zyskał nowe życie jako magazyn dywanów, na monotonnych przedmieściach północnego Londynu znajdowała się siedziba LRC, Londyńskiego Radia Cypru - „głosu Cypryjczyków w City”, jak lubiło siebie nazywać, ignorując fakt, że cztery mile dzielące je od londyńskiego City ciągnęły się jak pustynia przed oazą. Określenie piwnicy budynku przy Bush Way 18 mianem siedziby też było nieco na wyrost - LRC dzieliło obłądzący z tynku edwardiański segment z legalnym biurem podróży i podejrzanym biurem rachunkowym. Dzieliło też inicjały z firmą produkującą prezerwatywy, a częstotliwość z rastafariańską stacją radiową, wywołującą ból uszu i głowy do późnych godzin nocnych. Takie są realia prowadzenia niezależnego radia lokalnego, które zazwyczaj nie jest kolebką przyszłych magnatów radiowych i medialnych inkwizytorów. Producenci i dziennikarze LRC z całych sił starali się przekazywać swojej niewielkiej, ale lojalnej grupce słuchaczy entuzjazm, chociaż codziennie zmagali się ze sprzętem z drugiej i trzeciej ręki, pili starą kawę i usiłowali pamiętać o tym, żeby włączyć automatyczną sekretarkę, kiedy wychodzili.

Jednak ten materiał się bronił. Dziewczyna była dobra, za pełnią warg i bielą zębów krył się rozum, a stary to już czysta radiofoniczna magia: w jego głosie słyhać było wznoszącą się gamę emocji, jak u śpiewaka operowego ćwiczącego arie. Pasja dawała mu elokwencję, która z nawiązką wynagradzała silny akcent. A w dodatku był to w pewnym sensie temat na wyłączność.

- Pamiętajcie, słyszycie o tym po raz pierwszy w radiu LRC. Są dowody na to, że po wojnie EOKA zostały groby, ukryte głęboko

w trzewiach brytyjskiej biurokracji...

Producent się skrzywił. Franco był dupkiem, bryzgającym w każdy poniedziałek i środę po południu niekontrolowanym strumieniem werbalnego łajna, ale był tani, a jego wujek, importer wina, należał do najważniejszych sponsorów stacji.

– Czego więc się domagacie? – zapytał Franco swoich gości.

– Chcemy, żeby jak najwięcej ludzi napisało z poparciem dla Thomasa Makepeace'a i jego kampanii na rzecz upublicznienia wszystkich faktów. Możemy udowodnić istnienie dwóch grobów: moich stryjów. Chcemy się dowiedzieć, czy nie ma ich więcej.

– A pan, panie Passolides?

Nastąpiła chwila ciszy, nie pustej i bezmyślnej, lecz pełnej smutku, na tyle długa, by chwycić za serce słuchaczy, którzy mogli wyobrazić sobie starego człowieka oniemiałego pod ciężarem wielkiej osobistej tragedii. Nawet Maria wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Tak dziwnie się ostatnio zachowywał, był ponury, nieogolony, zapadał się w sobie, co widziała jeszcze wyraźniej, odkąd spędzała z nim mniej czasu. Kiedy wreszcie wydobył z siebie głos, słowa zatrzeszczały jak pękający lód.

– Chcę moich braci.

– Świetnie, znakomicie – odparł Franco, przekładając papiery w poszukiwaniu następnego pytania.

– I chcę czegoś jeszcze. Tych bastardos, którzy ich zamordowali. – Głos wznosił się przez wszystkie oktawy emocji. – To nie była wojna, tylko morderstwo dwóch niewinnych chłopców. Nie rozumiecie? To dlatego musieli spalić ciała moich braci. Dlatego nigdy nie mogli się do tego przyznać. I dlatego ten nędzny brytyjski rząd nadal usiłuje to

zatuszować. To niegodziwość! Rządzący są tak samo winni jak ci, którzy pociągnęli za spust i oblali ciała benzyną.

- Tak, jasne - bąknął Franco, drapiąc się po zaroście, nieprzyzwyczajony do niczego bardziej płomiennego od prognozy pogody. - W takim razie chyba lepiej wszyscy napiszmy do naszych posłów, żeby pomóc panu Makepeace'owi.

- I ukrzyżować drani takich jak Francis Urquhart, którzy zdradzają naszą wyspę, sprzedając nas tym tureckim poustides..

Producent należał do drugiego pokolenia imigrantów, nie był zaznajomiony z całą kolokwialną greką obejmującą różne wybryki ludzkiej anatomii, ale intonacja wystarczyła, by go zaalarmować, zwłaszcza że niedługo mieli się starać o przedłużenie koncesji. Modląc się w duchu, żeby nikt z Rady Radiofonii akurat nie słuchał, rzucił się do pokręta regulacji dźwięku. I chybił. Zwietrzała kawa z potrąconego kubka rozlała się wszędzie, na notatki, papierosy, jego nowe džinsy. Chaos. Evangelos Passolides, po trwającym prawie pięćdziesiąt lat zawieszeniu broni, znów ruszył na wojnę.

Rozdział 21

Opór zawsze wymaga odwetu.
Ja wolę najpierw wziąć odwet.

Francuski ambasador zaczął odczuwać silną więź z generałem Custerem. Od czasu awansowania Arthura Bollingbroke'a na stanowisko ministra spraw zagranicznych interesy przerodziły się w cholerną wojnę, prowadzoną przez Francuza przeciwko mającemu potężną przewagę wrogowi, który zrezygnował z dyplomatycznych połajanek na rzecz masowego skalpowania. Monsieur Jean-Luc de Carmoy nie miał złudzeń co do tego, że królewski dwór stał się zdecydowanie wrogim terytorium. Ambasador wolał prowadzić kampanię przy truskawkach i szampanie niż z kawaleryjskim winchesterem kaliber .44 w dłoni, ale tak jak jasnowłosy amerykański generał podjął głęboko osobistą decyzję, że jeśli ma zginąć, to chce polec otoczony przyjaciółmi. Kłębili się wokół niego, kiedy stał, kierując manewrami z trawnika swojej oficjalnej rezydencji z widokiem na Kensington Gardens.

– Cieszysz się spokojnym życiem, Tom?

Makepeace rzucił okiem na pełen gości ogród.

– Tak samo jak ty.

– Ach, ale między twoim życiem a moim są poważne różnice – westchnął de Carmoy, podnosząc wzrok w poszukiwaniu słońca, które świeciło nad jego ukochaną Loarą. – Czasem czuję się, jakbym został sprzedany w niewolę, gdzie na każdą reprimendę trzeba odpowiedzieć uśmiechem, a na każdą obelgę pokorą.

Urwał, bo właśnie kamerdyner o dłoniach przypominających pająki czarne wdowy zaopatrzył ich w pełne kieliszki. Wziął Makepeace'a pod ramię i poprowadził w stronę pobliskiej zacisznej lipowej altany. Najwyraźniej mieli sprawy do omówienia.

– Zazdrozczę ci, Tom.

– Wolność pustkowia i dziczy. Tego zazdrościsz?

– Czego bym czasem nie dał, by dzielić z tobą swobodę mówienia tego, co myślę.

– O czym konkretnie?

– O waszym panu Urquharcie. – Wyraz jego twarzy przywodził na myśl ciekący karton mleka.

– Na pewno nie moim.

– W takim razie czym?

Wokół nich konspiracyjnie skręcały się i wiły splecione gałęzie lip. Obaj mieli świadomość, że ambasador wykroczył poza granice etykiety dyplomatycznej, ale dostawszy się w krzyżowy ogień między Bollingbrokiem a Quai d'Orsay, de Carmoy nie miał ochoty stać w miejscu.

– Tom, jesteśmy przyjaciółmi od bardzo dawna, od tego dnia, kiedy wezwałeś mnie do ministerstwa, aby poddać oficjalnym torturom z okaleczeniem ciała – Francuz strzepnął jakiś niewidoczny pyłek z rękawa marynarki – po tym jak z British Aerospace zniknęła ta taśma komputerowa z poufnymi danymi.

– Razem z dwoma francuskimi technikami, którzy byli tu na wymianie.

– Ach, pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć? Mój pierwszy tydzień w MSZ.

– Byłeś potwornie surowy.

– Nadal podejrzewam, że jakaś oficjalna francuska agencja potajemnie maczała palce w całej tej sprawie, Jean-Luc.

Pod dobrze skrojonym garniturem ramiona ambasadora poruszyły się w typowo francuskim geście udawanej konsternacji.

– Ale kiedy skończyłeś, posadziłeś mnie i uraczyłeś alkoholem. Czymś, co nazywałeś sherry.

– Standardowy przydział MSZ. Wyłącznie do odkażania otwartych ran i pojenia Afrykanów.

– Chyba próbowałem przekonać Brukselę, żeby przeklasyfikowała to coś na płyn do czyszczenia pędzli.

– Nie powstrzymało cię to przed wykończeniem całej cholernej karafki.

– Ależ przyjacielu, myślałem, że to ma być moja kara. Pamiętam, że wróciłem do domu krokiem rozkołysanym jak pole pszenicy na wschodnim wietrze. Żona zaczęła mnie pocieszać, myśląc, że byłeś tak nieprzyjemny, że aż musiałem się upić.

Uśmiechnęli się jak starzy wiarusi i podnieśli kieliszki, by wypić za dawne czasy i zaorać stare pola bitew. Francuz wyjął papierośnicę wypełnioną po jednej stronie gauloise'ami, a po drugiej czymś mniej żrącym. Klnąc pod nosem, Makepeace wziął gauloise'a. Znow zaczął palić, obok wszystkich innych zmian w swoich nawykach. Boże, wyszła od niego zaledwie godzinę temu i wiedział, że spod płynu po goleniu wciąż przebija jej zapach. Przyjemność i ból. Tyle spraw na

niego spadło, tyle myśli cisnęło mu się do głowy, że czasami czuł, iż nie ma czym odetchnąć. Iskra humoru w jego oczach powoli przyblakła i zgasła.

– Jak tam Miquelon? – zapytał.

– Kwitnąco. A twoja?

– Wykłada. W Ameryce. – Sparodiował francuski gest wzruszenia ramion, ale bez entuzjazmu koniecznego, by wypadł przekonująco.

– Chyba coś cię trapi. Pozwól, że zapytam...

– Jako ambasador? Czy jako stary przyjaciel?

– O politykę. Nie mam prawa wtrącać się w sprawy osobiste. – A w każdym razie ambasador wtrącać się nie musiał. Na samą wzmiankę o żonie twarz Makepeace'a powiedziała wszystko. Nie mógłby zostać dyplomatą, enigmatyczności nie było w nim za grosz, tylko pasja i zasady. – Słyszę z wielu stron, że era Francisa Urquharta dobiega końca, że to jedynie kwestia czasu. Dużo się też mówi o tym, kto i jak. Wiele osób twierdzi, że to powinienesz być ty.

– Jakich osób?

– Lojalnych Anglików i Angielek. Twoich przyjaciół. Wielu spośród dzisiejszych gości.

Makepeace rozejrzał się. W tłumie kręciło się sporo sprawozdawców politycznych i redaktorów, polityków oraz innych opiniotwórczych osób, które raczej nie dały się poznać jako lojaliści Urquharta. W pewnej odległości Annita Burke gapiała się wprost na nich znad wysokiego kieliszka, nie próbując ukryć swojego zainteresowania.

– Wywierają na ciebie presję – stwierdził de Carmoy, wiedząc, że tak jest w istocie.

- Poszturchują dopingująco. Pewnie takie zainteresowanie ma mi pochlebiać. Teraz albo nigdy, mówią, zrób ten krok, wystąp. Ale jeśli mam być szczery, nie wiem, czy stoję na progu nowej ery, czy na krawędzi cholernego urwiska.

- To twoi przyjaciele, szanują cię. Cnota może być rzadkim towarem w polityce, może czasem mówić cichym głosem, co nie znaczy, że mniej przekonująco. Odróżnia cię od pozostałych.

- Takich jak Francis Urquhart.

- Jako dyplomata nie mogę skomentować.

Makepeace był w zbyt poważnym nastroju, by wyczuć ironię.

- Myślałem o tym, Jean-Luc. Wciąż myślę, dokładnie rzecz biorąc. Ale czy któryś z tych moich przyjaciół zasugerował ci, w jaki sposób można zrealizować ich... ambicje co do mnie? Czy to tylko taki bełkocik przy posiorbywaniu szampana Moët?

- W mojej ocenie to nie jest tylko czcze gadanie. Można mówić o rozpaczliwym pragnieniu zmiany na górze. Słyszałem to nie tylko od ludzi z twojej partii, ale też z całego spektrum politycznego.

- A także z Paryża, bez wątpienia.

- Touché. Ale nie możesz zaprzeczyć, że w brytyjskiej polityce ziele wielka moralna próżnia. Mógłbyś ją wypełnić. Wielu ludzi poszłoby za tobą.

Makepeace zaczął ostrożnie wodzić palcem po brzegu kryształowego kieliszka, jakby kreślił cykle życia.

- Do czegoś takiego potrzebuję jakiejś platformy, partii. Może zdołałbym chwycić za kierownicę i zepchnąć Urquharta do rowu, lecz prawdopodobnie nasz pojazd tak by się przy tym poobijał, że doprowadzenie go do stanu używalności potrwałoby wiele lat. Partia raczej nie da kluczyków człowiekowi, który spowodował wypadek.

- To stwórz własny pojazd. Szybszy i lepiej zbudowany niż ten Urquharta.

- Nie, to niemożliwe - zaczął Makepeace, ale przerwał im inny gość, minister zdrowia, który chciał się pożegnać z gospodarzem. Wymienili powinszowania i oficjalne podziękowania, po czym minister zwrócił się do Makepeace'a.

- Mam ci do powiedzenia tylko jedno, Tom. - Zawahał się, ważąc słowa i oceniając towarzystwo. - Na miłość boską, tak trzymaj. - Co powiedziawszy, odszedł.

- Widzisz, masz więcej przyjaciół, niż ci się wydaje - rzekł ambasador zachęcająco.

- W tym przypadku to nie przyjaciel, lecz po prostu szczur, który się asekuruje.

- Być może. Ale są nerwowi, tylko czekają, żeby skakać. Szczury też myślą, że okręt tonie.

Makepeace znów przesuwiał palcem po brzegu kieliszka, który mocno wibrował.

- Tak często wydaje się, że kręcimy się bezproduktywnie w kółko, Jean-Luc. Czego trzeba, żeby wyszło z tego coś więcej niż hałas, żeby cały wszechświat roztrzaskał się na kawałki?

- Działania.

Ambasador sięgnął po misternie rżnięty kryształ, wyjął go gościowi z dłoni, podniósł do góry, trzymając za nóżkę, i obracał, aż odbiły się w nim promienie popołudniowego słońca i roztopiły w tysiąc kręgów ognia. Nagle jakby się zagapił, jego palce się rozwarły i zanim Makepeace zdążył krzyknąć albo się poruszyć, kieliszek upadł na ziemię. Odbił się z wdziękiem i leżał nieuszkodzony na trawie.

Makepeace przykląkł, żeby go podnieść, wyciągając z wdzięcznością rękę.

– Na szczęście...

Przestraszony cofnął błyskawicznie palce, bo obcasem eleganckiego, ręcznie szytego buta Francuz rozgniół kieliszek w drobny mak.



Helikopter sunął nisko wzdłuż pokrytego czarnym piaskiem brzegu zatoki Chrisochu na północnym zachodzie wyspy, mijając maleńkie rybackie wioski, które znali jako mali chłopcy. Czasy dzieciństwa to były długie letnie dni, kiedy w morzu roiło się od ośmiornic, dziewczyny miały chętne oczy i chciały się uczyć, a żaglówki kołysały się na łagodnej fali przy drewnianych pomostach. Jeszcze nie tak dawno przez góry prowadziła pożłobiona koleinami gruntowa droga. Teraz w jej miejscu wiała się smołowana autostrada, którą ciągnęły tysiące turystów obładowanych kłopotami. Rybackie wioski pulsowały rytmem nocnych dyskotek, ceny ryb zrobiły się astronomiczne, podobnie jak cena uśmiechu. Postęp. Żaglówki wciąż jednak cumowały w byle jak skleconych przystaniach, gromadzących więcej szczątków i rupieci niż wodolotów. Niewykorzystane możliwości, ale marina Theophilosa na pobliskim przylądku miała wszystko zmienić. Gdy tylko biskup pozbędzie się Brytyjczyków.

Helikopter się przechylił.

– Pałac biskupi za pięć minut – poinformował ich rozbrzmiewający w słuchawkach metaliczny głos pilota.

Dimitri przytrzymał się uchwytu. Nie cierpiał latać, uważał, że to obraza praw boskich, i godził się na takie szaleństwo, tylko jeśli osobisty wysłannik Boga siedział przy jego boku. Problem w tym, że

jego brat wszędzie latał helikopterem, a często sam pilotował, co tylko wzmagало wrodzoną nerwowość Dimitriego. Oddałby za brata życie, ale modlił się, by w tej dokładnie chwili nie było to konieczne. Siedział sztywno wyprostowany w fotelu, myśląc z ulgą o tym, że hałas silnika wyklucza rozmowę.

Theophilos natomiast zdradzał wyjątkowe ożywienie. Studiował gazetę, dźgając w nią raz po raz palcem i podsuwając Dimitriemu pod nos. Dimitri był pewien, że robił to celowo, wiedząc, iż każda aktywność inna niż ścisła koncentracja na linii horyzontu wywoła u niego natychmiastowy upokarzający atak mdłości. Pod wieloma względami byli wciąż jak chłopcy na skałach przy plaży, którzy się bawią, planują nowe, wspanialsze przygody, testują swoją odwagę, naginają zasady. Dimitri przypomniał sobie ten pierwszy dzień, kiedy jego brat wrócił do rodzinnego domu jako ksiądz, ubrany w sutannę, ściskając w ręku krucyfiks i Biblię, stając w drzwiach jak ciemna zjawa otoczona całym przepychem świętego urzędu. Dimitri, niepewny i onieśmielony, natychmiast padł na kolana i skłonił głowę w oczekiwaniu błogosławieństwa. Zamiast tego Theophilos podniósł nogę, oparł but na ramieniu brata i pchnął tak, że tamten poleciał do tyłu, lądując na podłodze. Wieczorem upili się aż do bólu pęcherza domowym winem, jak za dawnych czasów. Nic się nie zmieniło. Theophilos zawsze był tym byстрыm i ambitnym bratem, podszlifowanym przez rok spędzony w Harvard Business School, który miał pokierować rodzinną Firmą. Dimitri był człowiekiem myślącym linearnie, pogodzony z tym, że podąża za bratem. Choćby helikopterem.

Wylądowali na lądowisku dla śmigłowców za pałacem i Dimitri, raz jeszcze oszukawszy śmierć, wrócił do świata żywych. Jego brat wciąż

był pochłonięty lekturą gazety „The People’s Voice”, czołowego cypryjskiego dziennika w Londynie. Samo w sobie nie było to niczym niezwykłym, bo Firma utrzymywała starannie pielęgnowane kontakty biznesowe w środowisku emigracyjnym, a Theophilos dbał o to, by w prasie pisano o nim zarówno dużo, jak i dobrze, lecz ten artykuł nie traktował o nim. Był to obszerny raport dotyczący zaginionych grobów, długi na wiele wierszy, po których biskup pieśczośliwie wodził koniuszkami palców, ale jego słów nie było słychać, ginęły w szumie wirującego śmigła. Kiedy wygramolili się z kabiny, schylili się instynktownie, Dimitri – bo miał ochotę z ulgą ucałować ziemię, natomiast biskup z trudem przytrzymał na głowie kamławkę. W dalszym ciągu ścisnął w ręku gazetę.

– Co? Co mówiłeś? – ryknął Dimitri bratu do ucha, gdy huk za nimi zaczął cichnąć.

Theophilos wyprostował się, a strój duchowny dodawał mu jeszcze cali i autorytetu. Uśmiechał się szeroko, wyraźnie eksponując złotą koronkę na zębie.

– Mówiłem, braciszku, że powinieneś zbierać siły. Lada chwila złapiemy paskudną gorączkę okopową.

Rozdział 22

W porównaniu z Westminsterem Czarnobyl może się czasem wydawać atrakcyjną miejscowością wypoczynkową.

Dopingujące poszturchiwanie, na które Makepeace skarżył się de Carmoyowi, przerodziło się w otwarte ciosy w tułów. Telefony, strzępy rozmów, dziennikarze zadający Bardzo Poważne Pytanie, wszystko jakby sprzysięgło się, żeby pchnąć go w kierunku, w którym niekoniecznie chciał się udać.

Lecz skąd ta niechęć? Nie z braku ambicji ani nie ze strachu przed prawdopodobnymi samobójczymi konsekwencjami stanięcia do walki z machiną Urquharta. Jednak, choć otoczony licznym jak nigdy przedtem gronem samozwańczych przyjaciół, nie pamiętał, żeby kiedykolwiek czuł się tak samotny jak teraz, niemal zagubiony. Po raz pierwszy od dekady został pozbawiony ministerialnych struktur wsparcia – sekretarzy, doradców, herbaciarek, dziesięciu tysięcy par rąk, a także większości codziennych decyzji, które sprawiały, że czuł się częścią drużyny. Mimo swojego długiego stażu w polityce był zażenowany, gdy odkrył, że przy wszystkich zyskanych nowych zwolennikach inni, których zaliczał do przyjaciół, odwracali się teraz plecami, wynajdowali sobie na gwałt jakieś zajęcie za każdym razem,

kiedy się pojawiał. Koleżeństwo w podzielonej partii może być przymusem parlamentarnej etykiety, ale daleko mu do solidności.

Była jeszcze kwestia jego małżeństwa. Stało się pustą wydmuszką, lecz miało pewną formę, regularność, która podnosiła na duchu, nawet jeśli przez wiele miesięcy w roku sprowadzało się do jednego telefonu tygodniowo. Teraz nie zadzwonił już od ponad dwóch, a ona nie zapytała dlaczego.

Chociaż taka wolność była emocjonująca, jednocześnie przyprawiała go o dezorientację, a kiedy zostawał sam ze swoimi myślami, także przerażała, jak wspinaczka przechodzącego przez szczelinę lodową, by osiągnąć swojego pierwszego szczytu. A inni wciąż go popychali, naciskali, przynaglali, zwłaszcza Annita Burke. Siedziała właśnie obok niego z tyłu samochodu, a lobbysta Quentin Digby – z przodu, rozwodząc się nad tym, jak to media uwielbiają nowe twarze i świeże tematy, a to byłby największy i najświeższy temat od lat. Annita, z oczami błyszczącymi jak u czarownicy w poświęceniu deski rozdzielczej, wierciła się na siedzeniu.

– To się układa w logiczną całość – mówiła. – Jest poparcie. Dla ciebie. Rozmawiałam w ostatnich dniach z masą ludzi. Staną za tobą murem, jeśli dasz im choćby najmniejszą szansę.

– Szansę anonimowości, chciałaś powiedzieć – odparł cierpko Makepeace. – Każde wsparcie poza realną pomocą, ze strachu, że F.U. dowie się, co kombinują.

– Nie, nie mówimy o potajemnym zamachu, o próbie przejęcia ukradkiem sklepu ze słodyczami. To by się prawdopodobnie nie udało i nie jest w twoim stylu.

– O czym w takim razie mówimy?

– O konkurencyjnym sklepie. O nowej partii.

Boże, to brzmiało zupełnie jak jego rozmowa z Jean-Lukiem. Przypomnił sobie zainteresowanie Annity na garden party u ambasadora i zaczął się zastanawiać, czy to nie ona namówiła do tego de Carmoya. Była cyniczna, miała naturę spiskowca, może aż do przesady. Ilu z tych poszturchiwaczy, którzy wymieniali z nim porozumiewawcze spojrzenia i popychali do działania, zorganizowała, nakłoniła pochlebstwami, może przekonała, żeby okazywali mu wsparcie, tylko po to, by dała im spokój?

– Zdominowałbyś pierwsze strony na całe tygodnie. Nabralbyś rozpędu. – zachęcał Digby. – Po tych wszystkich latach z Urquhartem ludzie chcą zmiany. Więc im ją dajmy.

– Mam dwunastu byłych ministrów, którzy mówią mi, że cię poprą, a nawet jednego obecnego członka gabinetu – ciągnęła Annita.

A zatem rzeczywiście organizowała.

– Który to?

– Cresswell.

– A, miękkie białe podbrzusze. Człowiek, który jest stały jedynie w kwestii deserów i porto.

– Ale warty tygodnia na pierwszych stronach.

– Publicznie? – zapytał Makepeace. – Ujawni się i powie tak publicznie?

– Liczy się wyczucie czasu – znów zaczął Digby, pozostawiając pytanie bez odpowiedzi. – Kiedy kilku pierwszych ruszy z boksów startowych, inni polecą za nimi. O wszystkim decyduje odpowiedni moment i impet. To zaraźliwe jak świnka.

– Razem raźniej – mruknął Makepeace, niemal do siebie. – Dlatego taki ważny jest ten pierwszy krok.

- Naprawdę liczy się odpowiedni moment – podjęła Burke, zachwycona, że uwagi Makepeace'a koncentrują się na działaniu i kwestiach praktycznych. Zaczynał zmieniać zdanie, już w trzech czwartych dał się przekonać, trzeba go tylko jeszcze lekko popchnąć...
- Możesz iść na całość, Tom, jeśli utrzymamy inicjatywę. Musimy zacząć się organizować już teraz, ale na litość boską nie odkrywaj za wcześnie kart, dopóki wszystko nie będzie gotowe. Problem z tobą polega na tym, że kiedy już się na coś zdecydujesz, jesteś zbyt niecierpliwy, zbyt emocjonalny. Zbyt szczery, innymi słowy. To twoja największa wada.

Prawda. Dokładnie to samo mówiła mu Claire. Mógł się pilnować, ale były jeszcze inne problemy.

- Żeby walczyć w wyborach i wygrać, potrzebujemy struktur, oddolnych inicjatyw w okręgu, a nie tylko klubu dyskusyjnego w Westminsterze – zauważył Makepeace.

- Dlatego potrzebny jest nam czas.

- I wyczucie odpowiedniego momentu.

Samochód zatrzymał się przed „Vangelisem”, gdzie zaprosił ich na kolację. I, jak się okazało, na knucie. Błysnęło mu wspomnienie czegoś, co powiedziała Maria podczas ich pierwszego spotkania na progu, przy butelkach na mleko. O gotowych kwaterach sztabu na każdej głównej ulicy i armii, która mogła z dnia na dzień pojawić się u jego boku.

Cień uśmiechu błąkał mu się na wargach. Różne wątki jego życia zbiegały się z sobą, a przynajmniej splątywały. Urquhart. Ambicja. Maria. Namiętność. Wszystko popychało go w tym samym kierunku. Nagle wydało mu się, że nie ma sensu dłużej się ociągać ani opierać, lepiej usiąść wygodnie i po prostu się tym cieszyć. A jak powiedziała

Maria ledwie poprzedniej nocy, wycucie czasu miał zazwyczaj bezbłędne.

Wysiedli z samochodu.

– Gdzieś koło jedenastej, Mickey – powiedział kierowcy. – Nie wcześniej, obawiam się. Mam przeczucie, że ta kolacja się przeciągnie.

Mickey uchylił czapki. Ta nowa robota okazywała się arcyciekawa. Zarabiał więcej niż w korporacyjnej flocie, Makepeace był miłym i uprzejmym pasażerem. A plotki dostarczały zdecydowanie więcej rozrywki niż słuchanie głośzenia biznesmenów o niewdzięcznych klientach i przypadkowych trenerach uczących ich żony tenisa.



Innych popychano i roztrącano. Hugh Martin miał czterdzieści kilka lat, kiedyś był szybki, zwinny i grał w rugby na pozycji rwacza, więc był przyzwyczajony, że przy wybijaniu piłki często można oberwać czymś łokciem i grubym słowem. Nie spodziewał się, że taką samą taktykę napotka przed Muzeum Sztuki Ludowej w Nikozji. Muzeum, położone w labiryncie uliczek za starożytnymi murami obronnymi miasta, promowało swoją najnowszą wystawę i wystosowało zaproszenia do miejscowych erudytów i elity, w którym to gronie znalazł się brytyjski wysoki komisarz. Liczył na przyjemną przechadzkę wśród eksponatów z panią Martin, spotkanie starych znajomych i nawiązanie nowych kontaktów, może nawet znalezienie czegoś, co zainspirowałoby żonę, która zaczęła gromadzić niewielką kolekcję ceramiki. Zamiast tego natknął się przed budynkiem na grupę prawie dwudziestu osób rozdających ulotki. Nie miał okazji przekonać się, co na nich napisano, bo kiedy tylko zebrani zobaczyli jego służbowego rovera podjeżdżającego do wejścia, zwrócili w jego kierunku całą swoją uwagę, popartą znacznym natężeniem dźwięku.

Jego ochroniarz, Drage, siedzący z przodu, wysiadł pierwszy.

– Sprawdzę, co się dzieje, sir.

Ale Martin sam był ciekawy, a jednocześnie rozbawiony. Jeśli demonstracje w stolicy przypominały tutejszą kanalizację, hałas znacznie przekraczał efektywność. Poza tym to była Nikozja, cywilizowane, uprzejme, archetypicznie cypryjskie miasto, nie jakiś Teheran czy cholerny Damaszek. Też więc wysiadł. Czego miał wkrótce pożałować.

– Brytyjscy mordercy – wysyczała przez purpurowe dziąsła jakaś starucha, wypchnięta naprzód przez młodsze ręce tych stojących za nią. Pojawił się transparent, coś o grobach i zbrodniach wojennych, protestujący stłoczyli się wokół niego, a zza ramienia staruchy ktoś splunął. Spudłował, ale czyjaś pięść – już nie. Cios zadano ze zbyt daleka, by wyrządził mu realną krzywdę, lecz zaskoczenie odebrało mu dech. Drage znalazł się przy nim, pchał się i krzyczał, żeby Martin uciekał do samochodu, ale znacznie większy tłum zaczął odpychać ich w drugą stronę i wysoki komisarz, wciąż zdezorientowany, trzymając się za żołądek, potknął się i zachwiał. Drage go złapał, ustawił do pionu i próbował ciągnąć w kierunku auta. Martin pomyślał, że cios musiał zaszkodzić mu bardziej, niż myślał, bo widział światła. Z niepokojem uświadomił sobie jednak, że to nie symptomy łagodnego wstrząśnienia mózgu, tylko reflektory ekipy telewizyjnej. Cała demonstracja – to znaczy wszystko, co się zdarzyło po tym, jak dostał pięścią – była nagrywana na wideo. Gniew starych matek. Powiewające transparenty domagające się, by skończyć z kolonialnym tuszowaniem faktów przez Brytyjczyków. **PRECZ Z BAZAMI.** Wycofujący się w popłochu wysoki komisarz, niesiony jak dziecko w ramionach swojego ochroniarza, uciekający przed gniewem starych kobiet.

Pierwsza iskra cypryjskiego nieposłuszeństwa. Co za pech, że ekipa wiadomości znalazła się we właściwym miejscu o zupełnie niewłaściwym czasie. Gorączka okopowa wybuchła.

Rozdział 23

Proponowanie kompromisu jest jak sugerowanie rekinowi, żeby najpierw cię polizał.

– W bufecie plenią się...

– Znowu myszy? Podobno w zeszłym tygodniu Deirdre omal nie wyskoczyła przez okno do Tamizy, kiedy zobaczyła takie dwie bestyjki gapiące się prosto na nią. Buszują za boazerią. Myślisz, że czas znów sprowadzić kota?

– Nie myszy. Plotki. – Booza-Pitt był zirytowany nonszalancją szefa. – Tom coś knuje, ale nikt nie wie dokładnie co.

W tle słyhać było serenadę dziecięcych pisków dochodzących znad basenu, gdzie kilkanaścioro pociech ministrów korzystało z rzadkich rozkoszy letniej niedzieli w Chequers, wiejskiej rezydencji premiera. Na szerokim trawniku minister środowiska ćwiczył uderzenia w golfa, podczas gdy obok przechadzał się na patrolu policjant w niebieskiej koszuli i pękatej kamizelce kuloodpornej, z półautomatycznym karabinem Heckler & Koch w dłoni. Na patio, w cieniu uroczego elżbietańskiego dworu o omszałych ścianach z czerwonej cegły, steward z Sił Powietrznych serwował drinki. Atmosfera była luźna, za chwilę miano podać lunch, a Urquhart

wyraźnie bardzo nie chciał, żeby go naciskano. To było jego oficjalne wiejskie ustronie, będzie załatwiał sprawy po swojemu.

– Wyścig o przywództwo w partii na jesieni – nie poddawał się przekłety Booza-Pitt, tak usilnie starając się wyrzeć na nim wrażenie, że ściągnął brwi w wyrazie zatroskania, jak jakaś postać z Dostojewskiego.

– Nie. Nie to. Przegrałby i dobrze o tym wie. – Claire pociągnęła łyk mint julep, słodkiego koktajlu z burbona z miętą (obsługujący bar steward wrócił niedawno z urlopu w Nowym Orleanie) i ucichła. Podpuszczała ministra spraw zagranicznych. Urquhart o tym wiedział i bawiło go to, tylko Geoffrey był zbyt ślepy, żeby się zorientować. Dla niego ta rozmowa już zmieniała się w konkurs o uwagę Urquharta.

– Mimo wszystko może spróbować. Z zemsty. Wyrządzić trochę szkód, zanim wtopi się w cień.

– Nie. Ma inne pomysły. – Znów ucichła.

Urquhart sam zaczynał być zaintrygowany. Od Claire biła pewność siebie, jej głos był jak pociągnięcie świeżą farbą po płótnie, ale on jeszcze nie dostrzegał obrazu.

– Niby jakie? – rzucił wyzwanie Geoffrey.

Claire spojrzała na Urquharta. Zamierzała zachować tę informację na bardziej prywatny moment, jednak on był zdania, że powinna kontynuować. Po płytach pod ich stopami potoczyła się ze stukotem piłeczka golfowa, a za nią z trawnika nadleciał spóźniony ostrzegawczy okrzyk. Najwyraźniej minister środowiska musiał jeszcze sporo poćwiczyć. Urquhart wstał z drewnianego krzesła i zaczął prowadzić ich ścieżkami w głąb ogrodu, poza zasięg słuchu postronnych i z dala od ich terenów treningowych.

- Nowa partia – podjęła Claire. – Wielka inauguracja w mediach, z poparciem paru prominentnych nazwisk. Kolejne osoby mają się przyłączyć w następnych tygodniach. Kilka z naszej własnej partii. Może jedna lub dwie z samego rządu.

- Obłąd! – prychnął Booza-Pitt.

Jednak Urquhart szedł skoncentrowany, lekko pochylony, ze wzrokiem utkwionym w ziemi, jakby zaglądał przez uchyloną klapę do osobistego piekła.

- Będzie miał nadzieję na jakieś wybory uzupełniające, kiedy wyborcy kupią każdą nowość, która pojawi się na półce. Kawałek po kawałku będzie podgryzał moją większość. I jeszcze bardziej utrudniał mi rządzenie.

- Krok po kroku.

- Chce mnie wykrwawić. Śmierć od tysiąca skaleczeń.

- Mógłby coś takiego zrobić? Naprawdę? – Booza-Pitt w końcu wyczuł zmieniający się wiatr. – To mi wygląda na partię, której nikt poza kobiecą prasą nie traktowałby poważnie.

- Nawet kobiety odrywają się od malowania paznokci, żeby pójść zagłosować, Geoffrey. Nie zajmujemy się wyłącznie naszymi uderzeniami gorąca i układaniem kwiatów.

W ruchach premiera dało się wyczuć lekkie zniecierpliwienie. Booza-Pitt zorientował się, że zostaje w tyle.

- Ale skąd by wziął na to wszystko pieniądze? – zapytał bez tchu.

Dla Geoffreya praktyczna strona życia sprowadzała się do kasy. Kiedyś podczas biegu przełajowego w szkole znalazł skrót i, ku swojej irytacji, dostał się do drużyny. Znalazł pociechę w sprzedaniu skrótów swoim kolegom.

- Jego problemem nie są pieniądze, tylko czas – odparła Claire. – Czas na zyskanie impetu. Na zbudowanie struktur przed następnymi wyborami i pokazanie, że nie jest tylko wytworem rozpalonej wyobraźni mediów. Na przekonanie naszej spoconej bandy galerników do ucieczki ze statku.

- To tylko pobożne życzenia na proszonym obiadku – prychnął Booza-Pitt z pogardą. I nagle zmienił mu się wyraz twarzy, jakby ktoś ją przefasonował młotkiem. – Dobry Boże. Co to znaczy w kontekście mojej ustawy? To ja bym mu dawał pieniądze!

Urquhart zatrzymał się raptownie pod rozłożystymi gałęziami cedru.

- Niezupełnie o to mi chodziło – przyznał cicho.

- Ja... Będę musiał ją wycofać. Jakoś. – Głos Booze-Pittowi zamarł, gdy uświadomił sobie, że jego szaty obrońcy demokracji są w strzępach, jeszcze zanim zostały utkane.

- Jest inny sposób – odezwała się Claire.

- Taki, który uratuje moją reputację?

- Uratuje reputację rządu, Geoffrey – poprawiła. – Twoja ustawa zapewni finansowanie jak największej liczbie różnych ugrupowań. W porządku. Nie możemy zostawiać Tomowi wolnego pola do popisu.

- Zagryziony na śmierć przez tysiąc płotek, tak zawsze myślałem – wykrzyknął Geoffrey, zastanawiając się, czy już przyszła pora na przypisanie sobie autorstwa planu.

- A jednocześnie rzućmy naszym zwolennikom jakiś cholernie smaczny kąsek. Złóżmy im patriotyczne deklaracje, zagrajmy na narodowym honorze. Dajmy im coś, co im przypomni, co sobą reprezentujemy i ile stracą, jeśli przegramy.

- Czyli co? – dopytał błagalnie Geoffrey.

– Myślałem, że to ty masz te wszystkie genialne pomysły na kampanię – włączył się Urquhart ostrym tonem. – Geoffrey, może przed lunchem przejdiesz się po bibliotece, Long Library? Fascynująca kolekcja pierwszych wydań: Sartre, Hemingway, Archer. W twoim stylu.

– Może trochę później, F.U.? – zasugerował, zdeterminowany, by nie dać się usunąć ze scenariusza.

– Geoffrey. Bądź tak miły i spieprzaj.

– Tak, dobrze, Long Library. To do zobaczenia na lunchu.

Claire zadziwiała jego odporność na zniewagi. Podejrzewała, że już myślał o tym, jak to wyjawi innym zaszczyt, który go spotkał – premier osobiście zaprosił go, by obejrzał jego białe kruki.

– Nie będzie cię za to kochał – skomentowała.

– Geoffrey jest niezdolny do kochania nikogo oprócz siebie. Jego uwielbienie dla własnych niedoskonałości jest tyleż totalne, co zdumiewające i nie pozostawia miejsca na nikogo innego. Chyba jakoś to przeżyję, podobnie jak on.

W oddali, wśród na nowo zniecierpliwionych pisków dzieci, zabrzmiało uderzenie gongu wzywającego na lunch, ale Urquhart to zignorował. Chwyił ją za ramię i poprowadził przez drzwi balkonowe z tarasu do środka. Znaleźli się w jego gabinecie. Zamknął porządnie za nimi drzwi. Poczwała nagły przyptyw klaustrofobii, reguły się zmieniły. Nie był to już letni spacer po ogrodzie i podkpiwanie z Boozy-Pitta, ale jeden na jeden, ona i Urquhart, w atmosferze pełnej napięcia, jakiego nigdy dotąd, będąc z nim, nie czuła.

– Przepraszam, Francis, czy cię uraziłam, mówiąc o możliwości porażki?

– Nie. Udało ci się wyrazić z dużą swadą coś, co... – chciał powiedzieć: „głosy w mojej głowie” – moje własne myśli od pewnego czasu mówią mi aż nazbyt dobitnie.

– Więc myślisz, że może do tego dojść?

– Nie jestem głupcem. Oczywiście, że może. Jesteśmy tylko pasażerami płynącymi na fali. Nawet kiedy nas niesie, wystarczy jedno małe potknięcie, żeby zmiotło nas pod wodę.

– A gdybyśmy mieli się potknąć, a on by wygrał, tylko raz, nie byłoby dla nas powrotu. Tom zawsze był orędownikiem ordynacji proporcjonalnej: zmieniłby prawo wyborcze na korzyść małych partii, płotek.

– Z których wyrosłyby wielkie szczupaki i rozszarpały każdy rząd. Ten kraj pograżyłby się w chaosie. Przez ustawy Boozy-Pitta i Makepeace’a, niszczycieli cywilizacji. Ha! – Ku jej zaniepokojeniu brzmiał, jakby w tej perspektywie apokalipsy znajdował ironiczną przyjemność.

– Byłbyś już historią – ostrzegła.

– I tym bardziej byłbym przez nią doceniony!

Uświadomiła sobie, dlaczego doznawała uczucia klaustrofobii. Stała nie obok zwykłego człowieka, ale politycznego kolosa, którego czyny zapiszą się w dziejach wielkimi literami. Lecz przecież wiedziała o tym od samego początku. Czy to nie dlatego zgodziła się do niego przyłączyć, z egoistycznego pragnienia własnego miejsca w jego cieniu, doznania tego dreszczu obcowania z historią? Z tak bliska, w tak prywatnej sytuacji czuła niemały podziw i respekt.

– W jego zbroi jest jedna istotna dziura – ciągnął Urquhart ze znacznym ożywieniem – najpoważniejszy słaby punkt. Musi utrzymać rozpęd, wydać się propozycją nie do odrzucenia, jeszcze zanim

wystarczająco dużo ludzi zdobędzie się na odwagę i ruszy razem z nim. Ale do zbudowania armii potrzebuje czasu. Czasu, który to my możemy mu dać albo mu go odmówić. Musimy mieć młodego Toma na oku.

- Ja już mam - odparła z pewnym zakłopotaniem. Zamierzała trzymać to w tajemnicy, w razie gdyby okazał dezaprobatę, lecz atmosfera intymności przewyciężyła jej ostrożność. - Nowy kierowca Toma jest... jakby to ująć? Niezwykle chętny do dzielenia się swoimi doświadczeniami, zwłaszcza kiedy odbiera cotygodniową wypłatę. Od bardzo bliskiego przyjaciela mojego męża.

- Naprawdę? Wyśmienicie. Powinienem być o tym pomyśleć. Chyba się starzeję.

- A może to ja się uczę.

Zaczął patrzeć na nią zaintrygowany, w nowym świetle.

- Okazujesz się prawdziwie niezwykłym skarbem, Claire, jeśli mogę tak powiedzieć. - Odwrócił się do niej, wziął ją za rękę, zniżył głos do łagodniejszego tonu. Już wcześniej skłonił ją do wyjawienia wielu spraw, ale teraz zwrócił się do niej z nową, nagłą poufałością. - O jedno muszę zapytać. Byłaś dość twarda, jeśli chodzi o Toma Makepeace'a. W sensie politycznym. Sądząc jednak po tym, jak dobrze go rozumiesz, odnoszę wrażenie, a może to raczej przeczucie, że kiedyś ty i on byliście... blisko. Prywatnie.

- Czy to miałyby jakieś znaczenie?

- Nie. Nie, jeśli tylko mógłbym być pewny twojej lojalności.

Lojalności spojonej więzami przynajmniej tak mocnymi jak te, które dzieliła z Makepeace'em.

- Możesz, Francis. Być pewien mojej lojalności.

Czuła, że przyciąga ją potężna siła grawitacji, która go otacza. Spanikowała, uświadamiając sobie, że traci kontrolę, jej wargi same wyciągnęły się ku niemu. Nagle zaczęła się bać, zarówno jego, jak i swoich własnych ambicji. Spadała, lecz nie mogła znaleźć w sobie woli, by się oprzeć, chociaż wiedziała, że podchodząc do niego tak blisko, może spalić się na popiół. Tak jak to się stało z innymi. Płonęła.

Ten ogień natrafił na lód. Urquhart cofnął się, pozwolił, by jej ręce opadły, i świadomie sprawił, że prysł czar, który ją do niego przykuwał. Dlaczego, tego miała się nigdy nie dowiedzieć, a Urquhart nigdy tego nie przyznał, nawet przed samym sobą.

Bo jak człowiek może przyznać się do czegoś takiego? Do poczucia winy z powodu innych, których wziął w ten sposób, wykorzystał i wyrzucił, całkowicie zniszczonych. W miarę upływu czasu czuł, że zbliża się jego własny dzień sądu i takie sprawy coraz bardziej go zaprzętały. Niektórzy mogliby to nawet pomylić z sumieniem. A może była to tylko świadomość, że w przeszłości uwikłanie w takie relacje wywoływało jedynie smutek i zamęt, a bez nich mógł się obejść w świecie, który dzięki Thomasowi Makepeace'owi nagle znacznie się skomplikował.

Było jednak coś jeszcze, co zmroziło mu krew. Dręczący strach, że polityk Francis Urquhart powstał na ruinach...

Francisa Urquharta człowieka. Niezdolnego do splodzenia dzieci, pozbawionego nieśmiertelności. Pustyni, jałowości ciała, która zaraziła duszę i którą narzucił Mortimie, jedynej kobiecie, którą naprawdę kochał. Inne były tylko grą pozorów, próbą udowodnienia swojej jurności, ale koniec końców – sztuką dla sztuki, krzykiem w dźwiękoszczelnej komorze.

I kiedy stała przed nim, ponętna i chętna, nie był już pewien, czy potrafi choćby podnieść głos. Koniec Francisa Urquharta człowieka.

Francis Urquhart starzejący się polityk cofnął się przed pokusą i udręką.

- Najlepiej zachowajmy cię jako mój talizman, co?



W cypryjskiej stolicy tłumy waliły na wieczór z Alekosem, młodym utalentowanym piosenkarzem z kontynentu, który zdobył niezwykłą popularność wśród Greków w różnym wieku. Młode dziewczyny kołysały się w rytm jego bioder, starsze kobiety zakochiwały się w głosie, który był jak miód na przygłuche uszy, mężczyźni przekonywał sposób, w jaki łączył obrazy i emocje hellenizmu z muzyką greckiej duszy, robiąc potężniejsze wrażenie niż hat-trick Omonii w pierwszej połowie. Przyleciał z Aten na specjalny koncert mający wesprzeć Fundusz Obrony Cypru. Niewielu spośród kilku tysięcy fanów w amfiteatrze zastanowiło się nad tym, jak koncert może zapewnić środki funduszowi, skoro wszystkie bilety rozdano za darmo, podobnie jak dużą liczbę transparentów, które powiewały nad głowami rozemocjonowanego tłumu. NIE ZAPOMNIMY, refren upamiętniający ofiary tureckiej inwazji, widać było wysoko w górze, obok innych sloganów, takich jak POZWÓLCIE NAM GRZEBAĆ NASZYCH ZMARŁYCH Z HONOREM, BRYTYJCZYCY – ODDAJCIE NASZE BAZY, a nawet, tak, RÓWNOŚĆ Z ORCHIDEAMI.

Biskup również był doskonale widoczny, siedział w ciemnej szacie na honorowym miejscu, otoczony ekipą swoich pilnych studentów teologii. Theophilos był zadowolony. Nawet okazjonalne wybuchy alkoholowych ekscesów, wywołanych upałem i łatwo dostępnym piwem, znosił z ojcowską cierpliwością. Przez trzy godziny Alekos

i towarzyszący mu muzycy rozbudzali namiętności, łechcąc, drapiąc i smagając dusze słuchaczy. Kiedy zapadła noc, piosenkarz sięgnął po refren Akritas Dighenis, opowieści o heroicznym oporze wobec obcego wroga, o hołubionych wspomnieniach z owianej mgłą przeszłości i przede wszystkim o zwycięstwie. Śpiewali i kołysali się razem z nim, zapalali zapalki i świece, twarze w ciemnościach rozświetlała nadzieja, a łzy płynęły po policzkach i kobiet, i mężczyzn, bez różnicy. Jedli Alekosowi z ręki.

– Czy zapomnieliście? – wyszeptał do mikrofonu, a jego głos dotarł do każdego z nich, chwycił za serce.

– Nie – zaszlochali.

– Czy chcecie zapomnieć tych, którzy zginęli?

– Nie...

– Którzy oddali życie za wolny Cypr? I tych, którzy leżą pogrzebani w nieznanym grobach? – Jego głos był teraz mocniejszy, prowokujący.

(Kiedy później Hugh Martin wysłuchał relacji, skrzywił się na wieść o tym, jak Alekos jednym pociągnięciem, odwołując się do emocji, powiązał temat brytyjskich grobów z turecką inwazją).

– Nie, nie – odpowiedzieli z równą mocą.

– Chcecie oddać waszą ojczyznę pod brytyjskie bazy wojskowe?

Wzburzył mętne wody zadawnionych animozji jak ogon rekina. W ciemności słuchacze zaczęli tracić indywidualną tożsamość i stali się jednością. Grekami. Pełnymi urazy.

– Czy oddacie swoją ojczyznę tym kanaliom Turkom?

– Nie! Nigdy!

– Czy chcecie, żeby skurwysyńscy Turcy różnili wasze siostry i córki, tak jak robili to waszym matkom, kiedy najechali nasz kraj? –

Zaciśnięta pięść wystrzeliła w nocne powietrze, gorycz Alekosa udzielała się innym.

– NIE.

– Chcecie, żeby wasz prezydent podpisał traktat, który mówi, że wszystko jest w porządku? Zapomniane? Skończone? Że mogą zatrzymać to, co ukradli?

– NIE – zaczęli krzyczeć. – NIE. NIE. NIE.

– To co chcecie powiedzieć prezydentowi?

– NIEEEEE! – Krzyki niosły się w nikozyjskiej nocy i rozlały po całym mieście.

– No to idźcie mu to powiedzieć!

Tysiące ludzi wylało się z amfiteatru. Na zewnątrz czekały autokary, żeby zabrać ich dwa kilometry dalej, do pałacu prezydenckiego, którego straż wyszydźili, bramę szarpali, a ogrodzenie z kutego żelaza przyozdobili swoimi transparentami. Przy świetle wiszącego nad Nikozją olbrzymiego różowego księżyca doszło do największej demonstracji w mieście od czasu wyborów, a za sprawą dwudziestu trzech nieroztropnych aresztowań gniewne porykiwania nie schodziły z pierwszych stron gazet jeszcze przez wiele dni.

Tak jak wszystkie inne szczegóły koncertu, nawet bisy przebiegły zgodnie z planem.

Rozdział 24

Polityczna gra toczy się zwykle poprzez serię spóźnionych refleksji.

– Dzisiaj znów getry i gongi – westchnął Urquhart.

Stracił już rachubę, ile razy w letnie wieczory wkładał formalny strój, aby wymieniać błahe uprzejmości z jakimś autokratą z Trzeciego Świata, który przy kolejnej pozycji z listy win zaczynał przechwalać się swoimi licznymi żonami, licznymi tytułami, a nawet licznymi kontami w szwajcarskich bankach. Urquhart pomyślał, że zdecydowanie wolałby spędzać czas na czymś innym, czymś dającym większą satysfakcję. Ale na czym? Z rodzącym się poczuciem niepokoju uświadomił sobie, że nie wie. Dla niego nie istniało nic innego.

– Widzę, że wyznaczają na trawniku miejsce na ten koszmarny pomnik. – Mortima wyglądała przez okno sypialni. – Myślałam, że powiedzialesz Maxowi Stanbrookowi, by to powstrzymał.

– Pracuje nad tym.

– To niedorzeczne – ciągnęła. – Jeszcze nieco ponad miesiąc i pobijesz jej rekord. To ty powinienesz stać na tym cokole.

– Ona też nie miała przegrać – zauważył cicho.

Mortima odwróciła się zaniepokojona.

- Czy ten cały nonsens z Makepeace'em cię gnębi, Francis?

- Może trochę.

- To do ciebie niepodobne. Przyznawać się do słabości.

- Przez niego jestem pod presją, Mortimo. Jeśli dam mu czas, żeby się zorganizował, rozwinął, to umożliwię mu sukces. Czas nie jest moim sprzymierzeńcem, tak to bywa, kiedy osiągnie się mój wiek. - Klnąc pod nosem, pociągnął za koniec muszki i rozpoczął od nowa proces jej zawiązywania. - Claire twierdzi, że powinienem znaleźć jakiś sposób, aby go zmusić do pokazania kart. Wywiesić sztandar.

- Ta Claire okazuje się interesującą towarzyszką zabaw.

Dokładnie zrozumiał, co sugerowała.

- Nie, Mortimo, żadnych rozrywek tego typu. Rozprasza ją i przysporzyły nam w przeszłości tak wiele bólu. A zewsząd słyszę głosy mówiące mi, że w ciągu następnych kilku miesięcy będę potrzebował całej mojej zdolności koncentracji.

- Ludzie wciąż uważają cię za wielkiego przywódcę, Francis.

- A jednak może się okazać, że będą mnie uważać za jeszcze większego łotra.

- Co cię gryzie? - zapytała z troską. - Normalnie nie masz skłonności do ponuractwa.

Przyjrzał się sobie w lustrze. Czas niewątpliwie odcisnął na nim swoje piętno. Twarz pomarszczyła się i zapadła, włosy przerzedziły, oczy wyblakły i były obramowane zmęczeniem. Urquhart człowiek - a przynajmniej młody człowiek - był już tylko wspomnieniem. Jednak pewne wspomnienia, pomyślał, żyją dłużej niż inne, nie chcą umrzeć. Zwłaszcza wspomnienie tego dnia sprzed wielu lat, kiedy w imię obowiązku i swojego kraju zbłądził. Gdy przedwieczne słońce zajrzało przez okno i skąpało pokój w intensywnym ochrowym

światle, wszystko do niego wróciło. Ręce opadły mu bezwładnie, muszka znów się rozwiązała.

– Kiedy byłem młodym porucznikiem na Cyprze – jego głos brzmiał sucho, jakby znów zaczął palić – doszło do pewnego incydentu. Nieszczęśliwej kolizji losów. Poświęcenia, jeśli wolisz, w imię pokoju Jej Królewskiej Mości. Tom Makepeace dzisiaj do mnie napisał. Wie o tym incydencie, ale nie o mojej w nim roli. Jeśli jednak mój udział w tym zajściu zostanie kiedykolwiek podany do publicznej wiadomości, zniszczą mnie, zignorują wszystko, co osiągnąłem, i obedrą ze skóry jak wilki.

Odwrócił się twarzą do niej.

– Jeśli dam Makepeace’owi cokolwiek z tego, czego się domaga, zajmie się sprawą dogłębniej. Jeśli nie dam, zajmie się mną. Tak czy inaczej, jest duża szansa, że zostanę zniszczony. A czas mu sprzyja.

– To walcz z nim, Francis.

– Nie wiem jak.

– Masz mnóstwo cięciw w swoim łuku.

Podszedł do niej przy oknie, wziął jej dłonie w swoje, rozmasował kciukami, jakby chciał rozwiać jej obawy, pocałował delikatnie w czoło.

– Cięciwy w moim łuku. Ale nie jestem pewny, czy mam jeszcze siłę, żeby to draństwo naciągnąć. – Roześmiał się; głuchy dźwięk, któremu nie chciała zawtórować. – Musimy mieć jeszcze jedno zwycięstwo, jeszcze jedne wygrane wybory za sobą. Nazwisko Urquhartów, twoje i moje, przejdzie do historii. Najdłużej pozostający na stanowisku premier w tym stuleciu.

– I największy.

– Jestem to winien tobie jeszcze bardziej niż sobie. Muszę znaleźć jakiś sposób, żeby go pokonać, zniszczyć... Byle jaki! I to czym prędzej.

Wszystko, co udało mi się osiągnąć, zależy od tego.

– A co potem, Francis?

– Potem możemy pomyśleć o ustąpieniu, a ja mogę zostać niezdolnym, zrzędlwym starcem na emeryturze, jeśli tego właśnie chcesz.

– A ty tego chcesz?

– Nie. Ale co innego mi pozostaje? Poza tym nie mam niczego. Dlatego będę walczył z Tomem Makepeace'em. I całą resztą. Dopóki oddycham.

W uszach Mortimy zabrzmiało to zanadto jak epitafium. Objęła go mocno, tak jak już dawno się nie obejmowali, wtuliła twarzą w zwiotczałą skórę, bojąc się, że wpada w otchłań jego pustej starości.

Nagle zeszywniał, wyraźnie rozpogodzony. Coś ponad jej ramieniem przykuło jego wzrok. Robotnicy skończyli wbijać paliki – miniaturowe flagi brytyjskie, dalibyście wiarę? – i w ich stronę zmierzała teraz ospale duża kosiarka. Zbliżyła się z wahaniem, paliki tarasowały jej drogę, zmuszając ją, by zwolniła, zatrzymała się i wykonała gwałtowny skręt, aby je ominąć. Zrobiła to z wyraźnym trudem, rozorała przy tym schludnie przystrzyżoną darń i przewróciła kilka flag, kiedy ogrodnik szarpnięciem skręcił kierownicę. Ewidentnie nie była to maszyna przeznaczona do koszenia w takich warunkach. Urquhart obserwował to wszystko z rosnącym zainteresowaniem.

– W każdym razie, moja droga, wielki generał nie musi sam naciągać łuku, ma innych, którzy zrobią to za niego. Potrzebuje tylko pomysłów. A właśnie jeden czy dwa pukają do moich drzwi.



– Max! – zawołał.

Ministrowie wchodzili gromadnie do sali posiedzeń rządu, gdzie zastali go stojącego na jej przeciwległym końcu. Uderzał dłonią w pięść jak łapacz w krykiecie czekający na następną piłkę, zamiast jak zwykle siedzieć w swoim fotelu pod portretem Walpole'a.

Stanbrook podszedł do Urquharta, podczas gdy inni kręcili się niepewni, czy mają zajmować miejsca, skoro premier jeszcze stoi.

– Max, drogi chłopcze – pozdrowił go Urquhart. – Nasza mała rozmowa o pomniku. Pamiętasz? Nie podpisałeś jeszcze rozporządzenia, prawda?

– Wstrzymuję się z tym tak długo, jak tylko się da, F.U. – Stanbrook stał się, aby zabrzmiało to jak istotne, wręcz epokowe zwycięstwo. Po czym dodał z pewnym zakłopotaniem: – Ale nie mogę znaleźć ani jednego cholernego powodu, żeby odrzucić cały projekt.

Urquhart rzucił ministrowi pełne nagany spojrzenie, a potem położył mu rękę na ramieniu i odwrócił go do okna.

– Jest tylko jeden powód, żeby odrzucić tak cenną inicjatywę, Max, a mianowicie niezebranie wystarczających funduszy.

– Ale oni zebrali. Osiemdziesiąt tysięcy funtów.

– To na sam pomnik. A co z jego konserwacją?

– Co jest do konserwowania w pomniku, F.U.? Na wyszorowanie go raz na jakiś czas z gołębich odchodów raczej nie wyda się jakichś astronomicznych kwot.

– Ale przecież nie chodzi tylko o ptaki, czyż nie? Co z terrorystami? Stanbrook był kompletnie zaskoczony.

– Proszę ministra spraw wewnętrznych – zawołał Urquhart do Geoffreya, który podbiegł truchcikiem.

Pozostali też zaczęli przysuwać się bliżej, zafascynowani rozgrywającym się właśnie spektaklem, będącym ewidentnie jakąś

formą moralitetu, a może kaźnią nowego ministra ochrony środowiska – w każdym razie nikt nie chciał tego przegapić.

– Geoffrey, czy nie powiedziałbyś, że pomnik naszej ukochanej byłej przywódczyni stojący tuż za ogrodami Downing Street mógłby się stać oczywistym celem ataku terrorystycznego? Symbolicznego odwetu za dawne klęski? Ich, nie jej. Nie mówiąc już o tym, że byłby przedmiotem jeszcze bardziej oczywistego zainteresowania ze strony drobnych wandalów i graffitiarzy.

– Z całą pewnością, panie premierze.

– A zatem zasługuje na to, aby zatroszczyć się o jego i nasze bezpieczeństwo. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Może specjalny system wideomonitoringu. Ile by to kosztowało?

– Ile by pan chciał, żeby kosztowało, panie premierze?

– Wyśmienicie, Geoffrey. Instalacja i konserwacja, co najmniej dziesięć tysięcy funtów rocznie, nie uważasz?

– Wydaje mi się to bardzo sensownym szacunkiem.

– Dochodzi jeszcze, oczywiście, monitorowanie tego systemu. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. A w nocy obchód co godzinę przez patrol ochrony.

– Na co pójdzie kolejne dwadzieścia tysięcy funtów i ani pensa mniej – rzucił Geoffrey.

– Widzisz, Max. Muszą jeszcze wysupłać kolejne trzydzieści tysięcy rocznie.

Stanbrook zbladł, jakby się wykrwawiał.

– Chyba fundusz mniej więcej akurat na to wystarczy, F.U.

– Ale o trawie to już nie pomyślałeś, co? Zdumiewające zaniedbanie jak na ministra ochrony środowiska.

– O trawie? A co cholerna trawa ma z tym wspólnego? – Skołowany Stanbrook stracił zarówno dystans, jak i panowanie nad językiem.

– Wszystko, jak za chwilę wyjaśnię. Proszę ze mną.

Urquhart z rozmachem otworzył drzwi na patio i niczym kwoka poprowadził całe dwudziestopięciosobowe stadko gęsiego po schodach w dół, do ogrodu, przez furtkę w starym ceglany murze; po niecałej minucie znaleźli się przy miejscu wydzielonym palikami. Zaskoczeni detektywi z wydziału specjalnego zaczęli się miotać jak kowboje usiłujący zaganiać woły, które wyrwały się na wolność.

– Już mi stąd! Uciekać z mojej trawy! – krzyknął na nich Urquhart.
– To sprawa najwyższej wagi.

Ochrona wycofała się nerwowo na bezpieczną odległość, zastanawiając się, czy stary miał jakiś atak i powinni posłać po pistolety Smith & Wesson, czy po geriatol.

– Proszę się przyjrzeć – polecił Urquhart, rozkładając szeroko ręce – trawie. Pięknie wypielegnowana, rządkiem po rządkiem. Aż do... – wykonał teatralny gest, jakby ścinał głowę klęczącej u jego stóp ofierze – tego miejsca.

Stłoczyli się wokół niego, żeby przyjrzeć się zmaltretowanej, rozoranej darni, na której stał.

– Widzisz, Max, kosiarka nie może sobie poradzić. Jest za duża. Będziesz więc musiał załatwić inną. Transportować ją tutaj dwa razy w tygodniu przez całe lato, tylko po to, żeby kosić trawę wokół pomnika.

– Podkaszarka też by się przydała, nie mam co do tego wątpliwości.
– Bollingbroke uznał, że ewidentnie jest świadkiem narodzin cudownego nowego letniego sportu, i postanowił włączyć się do gry.

- Dziękuję, Arthurze. Jeszcze podkaszarka, Max. Cała diabelna linia produkcyjna, którą stworzyliśmy, aby zieleń w naszym pięknym mieście była zadbana i przystrzyżona, zostaje zakłócona! Sparaliżowana. Uziemiona. Z powodu twojego pomnika.

- Przecież nie mojego – mamrotał Stanbrook, ale na boisku już pojawił się nowy zawodnik.

- Może minister finansów nam powie, jaki byłby koszt zakupu małej kosiarki i podkaszarki, ich magazynowania i transportu z rzeczonoego magazynu około pięćdziesięciu razy w roku, z poprawką na cały ten chaos, jaki to z dużym prawdopodobieństwem wywoła? – Zabrzmiało to tak, jakby centrum Londynu miało zostać sparaliżowane.

- Powiedziałbym, że kolejne dziesięć tysięcy – oznajmił dość młody człowiek z ustami, które otwierały się jak u złotej rybki. – Minimum.

- Czyli mamy dziesięć i dziesięć, i jeszcze dwadzieścia. Kolejne czterdzieści tysięcy funtów, Max.

- Przekażę Stowarzyszeniu Budowy Pomnika.

- Nie tylko czterdzieści tysięcy funtów, Max. Czterdzieści tysięcy funtów rocznie. Musimy mieć pewność, że fundusz jest w stanie wygenerować taką sumę przez co najmniej dziesięć lat, bo w przeciwnym razie za wszystko zapłacą podatnicy. Nie moglibyśmy na to pozwolić.

- Nie w momencie, kiedy mam ogłosić zamrożenie pensji pielęgniarek – dorzucił jowialnie minister zdrowia.

- A gdzie jest kanclerz skarbu? Premier go potrzebuje. Jim, no, nie wstydz się.

Kanclerz został wypchnięty z zacisza tylnego rzędu przez wiele chętnych rąk wśród chóralnego śmiechu.

– Panie kanclerzu. Fundusz wystarczający do wygenerowania czterdziestu tysięcy rocznie przez okres minimum dziesięciu lat. O jakiej sumie mówimy?

Jim Barfield, pulchny jegomość w typie pickwickowskim ze sterczącą czupryną, która sprawiała, że wyglądał, jakby wybuchł mu mózg, podrapał się po kamizelce i przygryzł dolną wargę.

– Nie jestem przyzwyczajony do liczenia w tysiącach. Dorzucicie parę zer na końcu i nie będę miał problemu, ale... – Znów się podrapał.
– Powiedzmy ćwierć miliona. Tak między przyjaciółmi.

– Panie Stanbrook, czy Stowarzyszenie ma ćwierć miliona dolarów? Poza osiemdziesięcioma tysiącami na odlanie pomnika?

Stanbrook, nie wiedząc, czy śmiać się z całą resztą, paść na kolana i ucałować trawę, czy odczołgać się z uczuciem upokorzenia, tylko zwiesił głowę.

– Precz z bałwochwalstwem! – rzucił głos z zachodniej flanki Whitehall. Pozostali nagrodzili go oklaskami.

– Zatem z przykrością zawiadamiamy...

Nie musiał kończyć. Wszyscy ministrowie co do jednego, ze Stanbrookiem włącznie, bili brawo, jakby na zielonej, przystrzyżonej murawie Westminsteru obejrzeni właśnie jedną z najlepszych prestidigitatorskich sztuczek dekady. Bo może rzeczywiście obejrzeni.

Czuł zadowolenie. Pokazał, że nadal jest największym aktorem epoki. Przypomnienie o tym samemu sobie było równie istotne, jak przypomnienie innym. Ocalił swój widok z okna i uwolnił się od przeszłości. Pora zająć się przyszłością.

Rozdział 25

Ambicja powinna być na tyle silna, żeby wytrzymać porządne szlifowanie. I konkretne skopanie tyłka.

Claire wpadła na niego, kiedy wychodziła śpiesznym krokiem z biblioteki Izby Gmin, ściskając plik papierów. Musiał wyciągnąć rękę i przytrzymać ją, żeby się nie przewróciła.

– Cześć, nieznajomy.

– Witaj – odparł miękko Makepeace. Dawna chemia wciąż działała. Niechętnie cofnął rękę i ją puścił. – Biegasz na posyłki dla szefa? – zapytał, wskazując papiery, i natychmiast tego pytania pożałował. Urquhart już i tak aż za bardzo ich poróżnił.

– Czy to zabrzmiałoby głupio, gdybym powiedziała, że za tobą tęskniłam? Dużo o tobie myślałam.

– Z pewnością – zaripostował, a urażona męska duma sprawiła, że zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzał. – Pewnie słysząc coś takiego z ust akolity Urquharta, powinienem uznać to za komplement.

Usiłowała popatrzeć mu w oczy, ale on unikał jej wzroku, uciekł spojrzeniem w głąb korytarza, potem wbił je w ziemię, nie chcąc, żeby przyglądała się ranom, które mu zadała. Zachowywał się bardziej jak

potajemny, wstydlivy kochanek teraz, niż kiedy było między nimi coś, co trzeba trzymać w tajemnicy.

- Chciałabym myśleć, że wciąż moglibyśmy być przyjaciółmi – odezwała się i natychmiast zdumiała własną hipokryzją.

Mówiła szczerze. Nadal żywiła do niego ogromną sympatię i szacunek, był człowiekiem, z którym kiedyś wiele ją łączyło. Ale przecież usiłowała również rzucić go na kolana. Po raz pierwszy zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, jak daleko odeszła od własnego obrazu siebie samej. Stała się dwiema różnymi osobami, w dwóch światach, jednym czarnym, drugim białym, i ten czarny, mroczny, w którym stała w cieniu Francis Urquharta, odciągał ją od jej korzeni i od tych, których kochała.

- Claire, w tej chwili są tutaj tylko dwie strony. Ci, którzy trzymają z nim, i ci, którzy nie trzymają. Nie ma już miejsca pośrodku.

Przeszedł obok nich jeden z kolegów i oboje stali w pełnej zakłopotania ciszy, jakby ich dawne sekrety zostały zdradzone wieczornej prasie.

- Nie sprzedałam się – zaczęła jeszcze raz, w równej mierze chcąc przekonać siebie samą, co jego.

Popatrzył na nią bardziej surowo, w oczach błysnęła mu pogarda.

- Daruj sobie słodkie słówka o środkach i celach, Claire. Jak zsiadłe mleko jestem w stanie przełknąć to tylko raz. Przy nim cel jest tylko jeden. Francis Urquhart. A w środkach nie przebiera. Spójrz prawdzie w oczy. Dałaś się kupić.

- Ja nie miałam tego wszystkiego od urodzenia jak ty, Tom. Musiałam walczyć pazurami o każdą najdrobniejszą rzecz, jaką tu osiągnęłam. Znosiłam wszystkie drwiny, protekcyjnalny ton, obmacywanie, męzczyzn, którzy wycierają sobie gębę

równouprawnieniem, ale praktykują je tylko wtedy, kiedy pozwalają, żeby podczas kolacji kobieta płaciła za siebie. Może ty jesteś w stanie sobie na to pozwolić, lecz ja nie zamierzam się spakować i odejść przy pierwszych oznakach nadciągających kłopotów.

– Nie oszedłem. Nie od swoich zasad.

– Świetnie. Ty prawisz kazania, a tymczasem papierki po Big Macach zaleją Ziemię. Oboje mamy swoje ideały, Tom. Różnica polega na tym, że ja jestem gotowa coś w ich kierunku robić, zbierać cięgi, próbując je realizować, a nie tylko stać z boku i szydzić.

– Nie stoję z boku.

– Uciekłeś z boiska, do cholery!

– Są takie gry, w których po prostu nie chcę uczestniczyć. – Jego ton sugerował, że przynajmniej w polityce Claire jest zwykłą zdzirą.

– Wiesz, Makepeace, już lepszy byłeś w łóżku. Tam przynajmniej wiedziałeś, co w ogóle robić. – Wcale tak nie myślała, maskowała tylko własny ból, ale zawsze miała skłonność do posuwania się o jedno zdanie za daleko, a to rozszarpało ich wzajemny szacunek jak nóż jedwab.

Wiedziała, że go zraniła. Patrzyła żałośnie, jak goniec wręcza Makepeace'owi kopertę ze znajomym herbem. Kiedy ją rozdarł i czytał list, zaczęła układać w myślach przeprosiny, lecz gdy podniósł oczy, rozjarzone już nie zranioną dumą, ale najczystsza pogardą, coś jej powiedziało, że jest już za późno.

– Ci, którzy trzymają z nim, Claire. I ci, którzy nie trzymają.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając ją na gruzach ich przyjaźni.



Downing Street 10

Drogi Thomasie!

Odpowiadam na Twój ostatni list. Nie mam nic do dodania do odpowiedzi, której udzieliłem w zeszłym tygodniu w Izbie Gmin, i do przyjmowanej przez kolejne rządy polityki uznającej, że względy bezpieczeństwa nie pozwalają na szczegółowe omawianie tego rodzaju kwestii.

Z poważaniem

Francis

List został sformułowany w sposób obliczony na to, żeby go obrazić. Jego imię napisano na maszynie, nie odręcznie, a oddalenie prośby było na tyle obcesowe, na ile tylko mógł sobie pozwolić doświadczony parlamentarzysta. Może powinien być wdzięczny przynajmniej za to, że Urquhart darował sobie hipokryzję tradycyjnie obowiązującej między kolegami z partii poufałości, sugerującej, że autor może być „na zawsze Twój”.

Kiedy Makepeace wszedł do sali obrad, z listem wystającym mu z zaciśniętej dłoni niczym gazeta sprzed tygodnia, zatrząsł się w poczuciu niższości. Kiedyś, zdawałoby się zaledwie parę dni temu, jedno jego słowo wprowadziłoby w ruch maszynę Systemu, która zaczęłaby wytwarzać tony dokumentów i raportów, by zapełnić ministerialne czerwone teczki. Teraz mógł liczyć co najwyżej na rzuconą mimochodem zniewagę.

Claire też zrobiła z niego durnia – nie tylko dlatego, że w niezręczny sposób powiedział rzeczy, których wcale nie zamierzał mówić, ale ponieważ nie zdawał sobie wcześniej sprawy, jak wiele jeszcze miał dla niej uczuć, mimo Marii. Powinien wiedzieć lepiej, bardziej nad sobą panować, jednak czuł się przez nią jak uczeń.

Jeśli siadając, by posłuchać debaty nad unijną dyrektywą o harmonizacji uposażeń personelu, odczuwał lekką frustrację, już po chwili jego rozgoryczenie sięgnęło zenitu, jak słońce na saudyjskim niebie. Sala pękała w szwach, premier siedział na swoim miejscu,

a przy mównicy stał Bollingbroke, perorując na temat kwestii dyplomatycznych z powściągliwością i wyrozumiałością murarza tuż przed wypłatą.

– Uposażenia! – wycedził, smakując to słowo. – Sam chciałbym mieć trochę takich uposażeń. W tej niedzielnej gazecie piszą – pomachał swoim egzemplarzem wysoko nad głową – że jeden z komisarzy zabrał z sobą na dziesięciodniową wizytę w Japonii osobistą tłumaczkę. Przez jakieś niedopatrzenie okazało się jednak, że ta młoda dama zna tylko islandzki i rosyjski. – Wzruszył ramionami, jakby stanął przed niesłychanie zawiłym problemem. – No, ja nie wiem, pewnie wszystkie te języki brzmią tak samo, a z tłumaczki na pewno był jakiś pożytek. Ale to trochę przesada, gdy wracają i proszą o więcej.

Ze wszystkich stron podniosły się krzyki to zachęty, to protestu, kiedy scenicznym szeptem, który wszyscy na sali obrad (z wyjątkiem sprawozdawcy Hansardu) doskonale słyszeli, Bollingbroke dodał: „Ciekawe, czy mógłbym taki pożytek wrzucić w koszty?”

Debata szybko zmieniała się w kabaret, ku irytacji kilku członków opozycji, którzy próbowali interweniować, ale Bollingbroke, jakby stał wyzywająco na warcie na klifach Dover, nie miał zamiaru ustąpić.

– A w jakim to celu prosi się nas, żebyśmy więcej płacili dobrym mieszkańom z Brukseli, panie przewodniczący? – zapytał, machnięciem ręki zbywając kilku posłów, którzy chcieli podrzucić odpowiedź. – Powiem państwu. Jeden z ich najnowszych planów zakłada wydanie standardowego podręcznika historii Europy, którego będzie można używać we wszystkich naszych szkołach. Aby pokazać naszym dzieciom wspólną perspektywę. Zbliżyć je do siebie.

Kilku posłów z przywództwa opozycji kiwało z aprobatą głowami. Powinni byli wiedzieć lepiej.

– Wizjonerskie dzieło. Wynika z niego, że Niemcy nigdy nie napadli na Polskę, Włosi nigdy się nie wycofali, Francuzi nigdy nie poddali, a my nigdy nie wygraliśmy wojny.

W całej sali wybuchło pandemonium. Hałas był tak potworny, że nie dało się stwierdzić, kto krzyczy, wyrażając poparcie, a kto potępienie wobec ministra spraw zagranicznych. Jednak Makepeace zerwał się na równe nogi, a wypieki na twarzy świadczyły ponad wszelką wątpliwość o głębi jego oburzenia. Bollingbroke, zawsze gotowy zbadać, co się kryje w takiej głębi, pozwolił mu zabrać głos.

– Przez wszystkie lata, odkąd zasiadam w tej Izbie, nigdy nie słyszałem tak buńczucznego i agresywnego wystąpienia ministra spraw zagranicznych – zaczął Makepeace. – Kiedy cała reszta Europy szuka wspólnej drogi naprzód, pan minister postawił sobie za punkt honoru, żeby zachowywać się jak uparte dziecko. A premier tego rządu, który lubi udawać, że jest mężem stanu, siedzi obok i zagrzewa go do walki...

Makepeace'owi zaczęły się mylić cele. Na siedzeniu obok Bollingbroke'a Urquhart rozmawiał z Claire, która wychylała się ze swojego posterunku w następnym rządzie, by szepnąć mu coś do ucha. Z miejsca, w którym stał Makepeace, wyglądało to niemal jak czułe pieszczoty. Poczucie, że został zdradzony wzrosło.

– Kiedy reszta Europy się jednoczy, to, na litość boską, czy nie powinniśmy się do nich przyłączyć, zamiast rozpamiętywać stare wojny?

– Za czasów mojego ojca to się nazywało polityka ustępstw – krzyknął Bollingbroke, lecz nie próbował ponownie zabrać głosu.

Bawił go widok Makepeace'a napiętego jak struna.

– Ten rząd szuka zwady na arenie międzynarodowej wyłącznie po to, żeby zatuszować swoje wpadki w kraju. Stracił cały moralny autorytet, aby dalej sprawować władzę...

Siedząca w pobliżu Annita Burke przytakiwała z aprobatą, zachęcając, by mówił dalej, a kilku innych posłów wokół niej też starało się słuchać, skłaniając głowy w wyrazie poparcia, zamiast przyłączać się do ogólnego zgiełku. Przez rwetes przebił się drwiący głos Bollingbroke'a:

– A więc pan poseł odzyskał moralność, odkąd został wyrzucony ze stanowiska, co? Tak się niby przypadkiem składa.

– Jak ostatnio powiedzieli sami biskupi na synodzie generalnym, ten kraj potrzebuje zmiany kierunku i nowego poczucia moralnego przywództwa, przywództwa, którego ten rząd i ten premier nawet nie próbują zapewnić.

Tego już Bollingbroke nie zdzierzył, zerwał się z miejsca i zaczął walić pięścią w mównicę.

– A co ty osiągnąłeś w porównaniu z Francisem Urquhartem? – krzyczał. – W porównaniu z nim jesteś jak skwarka w chlewni. Francis Urquhart przyniósł temu krajowi dobrobyt, Cyprawi pokój...

Makepeace odczuł wzmiankę o Cyprze jak wymierzony mu policzek. Musiała chyba też zelektryzować Urquharta, który zaczął ciągnąć ministra spraw zagranicznych za rękaw. Bollingbroke, zaskoczony tą niezwykłą interwencją ze strony premiera, opadł na siedzenie, a jego miejsce przy mównicy zajął Urquhart. Sala ucichła, posłowie z fascynacją obserwowali następny obrót karuzeli.

Urquhart odchrząknął.

- Przepraszam, że przerywam mojemu szanownemu koledze, choć jego wkładu w dyskusję słuchałem z przyjemnością, ale całe to gadanie o moralności i biskupach jest takie mętne i mylące. Wie pan, panie przewodniczący, nie przestaje mnie zadziwiać, że ci, którzy poświęcają tyle czasu na ostrzeganie nas przed tragicznymi konsekwencjami naganego postępowania w życiu wiecznym, często tak niewiele mówią na temat jego skutków w życiu doczesnym. Proponują, żeby nadstawiać drugi policzek. - Westchnął. - Ale o ile taką rolę wyznaczają sobie biskupi, o tyle nie może to być rola rządu, przynajmniej mojego rządu. Naszym zadaniem nie jest wybaczenie tym, którzy zrobili coś złego. Naszym zadaniem jest chronienie tych, którzy niczego takiego nie zrobili.

Jeśli Makepeace rzucił rękawicę moralności, Urquhart wyraźnie chciał ją podnieść i wykorzystać jako broń zaczepną.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć, wysoko cenię wkład szanownego pana posła w sukces mojego rządu, kiedy pan poseł był jego członkiem. - Na jego twarzy powoli wykwitł ociekający drwiną uśmiech. - Chociaż nie przypominam sobie, żebym kiedyś przy stole w sali posiedzeń słyszał, jak rozprawia o tym, że tak wszystko paprzemy. Zaczął poruszać ten temat dopiero, gdy go zdymisjonowałem. Ale utrata stanowiska może poważnie zniekształcać pamięć i perspektywę.

Rękawica znów uderzyła. Plask!

- Nie wątpię w szczerść osobistych wartości pana posła, lecz przyznaję, że wydają mi się dziwne. Dziwi mnie, kiedy pan poseł twierdzi, że musimy robić to czy tamto, tylko dlatego, że tak mówią biskupi. Jeszcze bardziej mnie zadziwia, że jego zdaniem powinniśmy podejmować te czy inne działania, bo tak mówi reszta Europy. Gdzie

w tym moralność? W opiniach z drugiej ręki, w uleganiu owczemu pędowi, gonieniu za stadem, tak jak psy gonią śmieciarkę?

Plask.

– W moralności chodzi o decydowanie samemu, co słuszne. A następnie o działanie na podstawie tych decyzji. Pozwolą państwo, że będę się otaczał ludźmi czynu, a nie moralizatorami z ustami pełnymi pustych frazesów. Nie mam nic poza pogardą dla tych – Urquhart utkwiał wzrok w swoim byłym koledze – którzy siedzą z założonymi rękami i narzekają na starania innych. Którzy schodzą ze swoich wysokich pozycji moralnych już po bitwie i mówią rannym oraz umierającym, że ci się mylili...

Makepeace starał się zachować kamienną twarz, ale te słowa mu dopiekły. W uszach jeszcze dzwoniło mu szyderstwo Claire – oskarżyła go o stanie z boku – a teraz to. Oboje, razem, chcieli go upokorzyć. Rozejrzał się wokół siebie, gdy spadały na niego ciosy. Ci, których uważał za swoich stronników, wiercili się z zażenowaniem na miejscach, natomiast mina Annity ponaglała go – zrób coś! Wstał, prosząc o głos.

– Nie, nie – usadził go Urquhart. – Słyszałem już od pana posła tyle teologii, że wystarczy mi na długo.

Makepeace nie dawał za wygraną, domagał się, by go wysłuchano, podnosząc zwiniętą w pięść dłoń – nadal ścisnął w niej list Urquharta – a lojaliści premiera drwili z niego i krzyczeli, żeby siadał. Plask, plask, plask! Makepeace stał sam, przeciwstawiając się ciosom, ale czy miał po prostu dalej tak stać – nic nie robiąc, jak szydził z niego Urquhart – pozwalając, żeby go opluwano i nim poniewierano? Oczy Annity napęłniły się smutkiem, a jego – poczuciem niesprawiedliwości tego wszystkiego.

- Odkąd pan poseł stracił stanowisko w rządzie - mówił Urquhart - przyjął tak krytyczną, tak negatywną, tak pełną rozgoryczenia i tak destrukcyjną postawę, że czasem zastanawiam się, co robi w tej samej wielkiej partii co ja.

PLASK!

No i doczekał się. Publiczne wyzwanie. Nie miał innego wyjścia, tylko zareagować. Wokół niego ci, z którymi spiskował, przyglądali mu się badawczo, zastanawiając się, czy potrafi stanąć w szranki. Makepeace kontra Urquhart. Wiedział, że jeśli teraz uchyli się przed wyzwaniem, przekonanie niektórych ze spiskowców, by przyłączyli się do niego później, będzie prawie niemożliwe. A jednak to jeszcze za wcześnie, nie był w pełni przygotowany. Nie bądź zbyt niecierpliwy, zbyt emocjonalny, ostrzegała go Annita... Ale nawet orły muszą latać z wiatrem. A chociaż grał polityka, to urodził się człowiekiem, i ten człowiek czuł się zraniony, policzki go paliły, myśli spowiła ciemna, pogłębiająca się furia, która domagała się satysfakcji.

Satysfakcji. Za publiczne upokorzenie na sali obrad Izby. Za zniewagi wymierzone mu bardziej prywatnie w liście, który trzymał w dłoni. Za odmówienie Marii i jej ojcu. I za zabranie mu Claire.

Satysfakcji za to wszystko. Teraz!

Ze swojego miejsca w ławach w trzecim rządzie Makepeace ruszył bokiem w stronę przejścia. Czy uciekał? Ta perspektywa wprawiła Izbę w natychmiastowe, pełne skupienia milczenie. Zszedł na środek wspaniałej sali obrad, zbliżył się do czerwonych linii na dywanie, oddzielających stronę rządową od oponentów na odległość dwóch mieczy, granicy między przyjacielem a nieprzejednanym wrogiem. A potem ją przekroczył. Serca przestały bić, nikt nie wydał ani jednego dźwięku, sala kipiała od emocji, a jednocześnie jakby skuł ją lód.

Posłowie patrzyli, jak Makepeace wchodzi po schodach między ławami opozycji, jeden rząd, drugi, trzeci, i zajmuje wolne miejsce.

Izba jak jeden mąż wypuściła powietrze, wróciła do życia i znów zapanował rejwach. Byli świadkami czegoś tak rzadkiego w parlamentarnym świecie, że zapiszą to w kronikach i będą opowiadać wnukom przy kominku. Makepeace przeszedł na drugą stronę sali, opuścił swoją partię, podeptał zasady i wypowiedział wojnę Urquhartowi, do ostatniego tchu.

Kiedy jednak Makepeace spojrział na ławy, z których przez tyle lat walczył, wydało mu się, że na wargach Francisa Urquharta widzi cień leciutkiego, ukradkowego uśmiešku.

Rozdział 26

Grecy wynaleźli demokrację. Nic dziwnego, że od tamtej pory wywołują wyłącznie chaos.

Oko niegościnnego lewantyńskiego słońca, utkwione w cypryjskiej stolicy, zmieniało wąskie uliczki śródmieścia w piec do wypalania cegieł. Hugh Martin z ulgą dotarł do klimatyzowanego azylu w postaci Power House, byłej elektrowni przekształconej ze sporym polotem w jedną z najbardziej ekskluzywnych restauracji w staromiejskiej dzielnicy. Dzieła sztuki współczesnej rywalizowały z menu i listami win o uwagę nadzianej klienteli, do której należał Dino Nicolaides, naczelny „Cyprus Weekly”, zdecydowany przeprowadzić obszerny wywiad ze swoim gościem. W tym celu zarezerwował odosobniony stolik przy drzwiach prowadzących na podwórze na tyłach.

Martin przeprosił naczelnego za obecność Drage’a – atmosfera w Nikozji w ostatnich dniach popsuła się jak niewywiezione śmieci, na porządku dziennym były różnego rodzaju demonstracje, których uczestnicy sami już nie bardzo wiedzieli, czy ich protesty są wymierzone w Turków, Brytyjczyków czy cypryjski rząd.

– Letnie szaleństwo – przytaknął naczelny, a Drage został posadzony na stołku przy barze.

O ile meble i wystrój restauracji hołdowały najnowszej modzie, o tyle gościnność odpowiadała najlepszym cypryjskim tradycjom, więc Martin szybko się odprężył. Natomiast Drage nie mógł sobie pozwolić na taki luksus, gdyż po fiasku przed muzeum został wprowadzony przez swoich zwierzchników do Zakonu Przypalanych Jąder. „Nigdy więcej – upomnieli go zwierzchnicy. – Lepiej żeby twoja żona dostawała rentę dla wdów, niż gdybyś ty miał się kompletnie zbląźnić w głównym wydaniu wieczornych wiadomości”. Nigdy więcej, przysięgł Drage. Siedział na stołku i wodził wokół sokolim wzrokiem, na kontuarze obok niego leżała niewinnie wyglądająca torba na ramię, w której miał „niezbędne drobiazgi”, a palce wybijały na kolanach nerwowy rytm. Uśmiechnął się zdawkowo, ale nie zagadał do dwóch Cypryjczyków, którzy stali obok niego przy barze, zamawiając napoje.

Kiedy nastąpił incydent, sprawy potoczyły się z niesłychaną szybkością. Gość siedzący przy pobliskim stoliku wstał w połowie posiłku i podszedł do naczelnego i dyplomaty, żeby się przywitać, co samo w sobie w tak małej społeczności nie budziło większych podejrzeń. Drage jednak natychmiast wzmógł czujność, przeklinając jaskrawe słońce, które wpadało przez okno i przepalało mu na wylot siatkówkę, przez co widział tylko sylwetki osób przy stoliku Martina. Zamrugął raz, drugi, usiłując dojrzeć, czy w profilu nowo przybyłego nie ma oznak czegoś niepokojącego. Nie zauważył – nie mógł zauważyć w tych okolicznościach – że oczy wysokiego komisarza rozszerzają się ze strachu i rzucają mu błagalne spojrzenie. Martin trzymał ręce nieruchomo na stole, tak jak mu kazano. W chwili gdy Drage’owi wydało się, że u boku intruza dostrzegł zarys krótkiej lufy, znajdujące się tuż za stolikiem drzwi na podwórze zaczęły się otwierać. W żyłach wezbrał mu strach. Drage sięgnął po swoją torbę.

Nieemożliwe! Kiedy chciał odpiąć suwak, odkrył, że ktoś posmarował go klejem błyskawicznym. Dziecinne zagranie! A jednak niesłychanie skuteczne. Zamek zaciął się na amen, przez co rewolwer i nadajnik alarmowy stały się równie niedostępne, jakby nadal leżały w sejfie wysokiego komisarza.

Przez tylne drzwi weszło dwóch mężczyzn – towarzyszy Drage’a z baru. Jeden wymachiwał czymś, co pod słońce wyglądało na jakiś pistolet maszynowy, podczas gdy drugi pomógł podnieść wysokiego komisarza z krzesła i wypchnąć go za drzwi. Napastnik przestał wymachiwać pistoletem maszynowym i przez kilka sekund celował z niego w Drage’a. Po czym też zniknął. Wszystko odbyło się bez jednego krzyku, tak szybko, że większość gości w restauracji niczego nie zauważyła i wciąż jadła z apetytem. Zaniepokoił się dopiero, kiedy Drage przewrócił stół barowy i rzucił się do drzwi. Były, jak to przeczuwał każdą komórką ciała, zamknięte na klucz. Zanim zdążył wybiec przez główne wejście, okrążyć budynek i wpaść na obsadzone chryzantemami podwórze, samochód porywaczy już zniknął w wąskich uliczkach dawnej dzielnicy stolarzy. Nie rozpoznał nawet marki, nie mówiąc już o numerze rejestracyjnym.

Nie upilnował brytyjskiego wysokiego komisarza.

Rozdział 27

Życie jest zbyt krótkie, żeby uczyć się reguł.

Siedział za zaciągniętymi zasłonami swojego gabinetu w Izbie Gmin, z zamkniętymi oczami. Za chwilę miała wokół niego rozpętać się burza i nie będzie już odwrotu. Los, przeznaczenie, rozgrywki bogów, czy jak jeszcze to nazwać, postawiły go przed koniecznością podjęcia wiekopomnej decyzji. Jeśli nie zda tego egzaminu, powiedzą, że zabrakło mu nie okazji, lecz odwagi.

Niecałe dwadzieścia minut po tym, jak Makepeace przeszedł na drugą stronę sali i zmienił oblicze polityki parlamentarnej, Urquhart dowiedział się o porwaniu Martina. Wszędzie, gdzie spojrzał – chaos i spustoszenie. A w chaosie – okazja. Wypowiedziano mu bowiem wojnę na dwóch frontach: po pierwsze, na polu parlamentarnym, gdzie nikt nie dorównywał mu umiejętnościami i roztropnością, po drugie, na odległej arenie, jednej z niewielu na świecie, gdzie wciąż stacjonowały brytyjskie wojska. Arenie, którą dobrze znał, na której rozpoczęła się długa droga jego męskości i tam też mogła się zakończyć. Makepeace'owi trudno będzie się na nią zapuścić, nie będzie nawet wiedział, jakie łupy można tam znaleźć.

Rozległo się pukanie do drzwi, sekretarz wetknął głowę do środka.

- Panie premierze, zebrał się cały gabinet.
- Jeszcze chwilę. Poproś ich, żeby dali mi jeszcze chwilę.

Ostatni raz wsłuchał się w wewnętrzne głosy, mówiące o zawieruchach i straszliwych próbach. O skrwawionym niebie, które przepowiadało zagładę i pod które inni nie śmieli wchodzić. Ale Francis Urquhart śmiał. Miał prowadzić wojnę i nie mógł zwlekać. Bo na wojnie liczy się wyczucie czasu.

A czas właśnie nadszedł.



Wprawił w ruch koło fortuny i teraz pozostawało mu tylko delektować się euforią, jaką niesie ryzyko. Od miesięcy nie czuł się tak dobrze. Te kilka jardów ze swojego gabinetu do sali obrad przeszedł lekkim krokiem, ściskając w dłoni kartkę z prostym herbem z bronią oraz napisaną przez siebie odręcznie notatką, która trafi do Biblioteki Urquharta. Albo do Tower. A właśnie, może powinien kazać Boozie-Pittowi dodać małą poprawkę do jego ustawy, przewidującą ulgi podatkowe dla firm, które wesprą finansowo fundusze na cele edukacyjne. Takie jak Biblioteka Urquharta, czyli jego fundusz ubezpieczenia na życie. Ale na to był jeszcze czas.

Posłowie szczerze wypełniali salę, świadomi, że takie nadzwyczajne i zorganizowane naprędce zgromadzenie ministrów zapowiadało sporą dawkę dramatyzmu. Przez tłum przebiegł szmer, jak szelest liści w suchym jesiennym wietrze, kiedy Urquhart położył pojedynczą kartkę na mównicy, wygładził jej kremowe brzegi i zaczął.

- Panie przewodniczący, za pana pozwoleniem chciałbym wygłosić oświadczenie. Dziś w Izbie Gmin jeden z posłów przeszedł na drugą stronę sali w geście, który nie tylko uszczuplił rządową większość, ale też grozi okresem katastrofalnej niepewności. - Inni będą to mówić,

wykrzykiwać, przygotowując poranne wydania gazet, więc przyznając to, nic nie tracił. – Taka niepewność może tylko zaszkodzić rządowi i porządkowi w tym kraju. Ponadto padły tu stwierdzenia, że mój gabinet stracił moralny autorytet do rządu. Jest to wyzwanie, którego żaden rząd nie może zignorować.

Odsunął się od mównicy, żeby móc przyrzeć się publiczności i, co ważniejsze, trzymać ich w napięciu, sprawić, by z niecierpliwością czekali na jego słowa.

– Ten rząd woli opierać swój autorytet nie na samozwańcych moralizatorach, ale na obywatelach. To obywateli słuchamy i w obywatelach pokładamy zaufanie. To do nich należy decyzja, kto powinien zasiadać w tych ławach, a kto w ławach opozycji. To obywatele muszą dokonać wyboru.

Cała sala spoglądała kątem oka na Makepeace'a, który siedział nieruchomo, wiedząc, że Urquhart podważa wszystko, co składało się na jego pozycję, i czując się niezręcznie w zatłoczonych ławach, gdzie ani jedna osoba nie zaliczała się do jego przyjaciół czy stronników. Wydawał się osamotniony. Wykonał skok za wcześniej.

– Aby położyć kres tej niepewności, mam zamiar poprosić Jego Królewską Mość o rozwiązanie parlamentu i zwołanie wyborów powszechnych w pierwszym możliwym terminie, po przegłosowaniu pewnych niezbędnych ustaw. Ten moment powinien wypaść za cztery tygodnie, licząc od następnego czwartku. Dziękuję państwu.

Urquhart wziął swoją kartkę i wyszedł z sali.

Przez dłuższą chwilę reakcja Izby przywodziła na myśl zachowanie zaatakowanej prehistorycznej bestii. Najpierw pełna zdeprymowania cisza, zanim z gardeł zaczęły się wydobywać pierwsze wyrażające dezorientację dźwięki. Potem przeciągły ryk, kiedy zwierzę wreszcie

zorientował się, że oderwano mu ogon. Ze wszystkich stron podniosły się okrzyki wściekłości i determinacji.

– Dobry Boże, nie myślałem, że to kiedyś zobaczę. Dzień, w którym Francis Urquhart wywiesił białą flagę kapitulacji. – Młody dziennikarz na galerii dla prasy gryzmolił zapamiętałe w notesie, zarażony dominującą atmosferą anarchii.

Siedzący obok niego Dicky Withers wydawał się nieporuszony, obserwował scenę poniżej bez wyraźnych emocji, wciągając policzki, jakby ssał swoją ulubioną fajkę.

– Cholerny dureń.

– Kto, Urquhart? – zapytał ów młodszy kolega.

– Nie Urquhart. Ty. Nie ucieka, tylko powiedział Makepeace'owi „sprawdzam”.

– Ale przecież jest do tyłu w sondażach, a teraz w jego partii nastąpił rozłam...

– Tylko poczekaj. Jak poczują, że mogą pójść na dno w wyborach, niewielu będzie chętnych, żeby iść w ślady Makepeace'a i opuścić okręt.

Kiwnięciem głowy wskazał byłego ministra spraw zagranicznych, który wychodził samotnie z sali obrad. Na arenie, gdzie wszyscy krzyczeli, wymyślali sobie, gestykulowali, on jeden wydawał się nie mieć nic do powiedzenia ani nikogo, do kogo mógłby się odezwać.

Rozdział 28

Życie Greków jest zbudowane na ruinach i plotkach.

Nikozja za dnia dusi się w upale. Nocą życie toczy się na ulicach, w knajpach pod gołym niebem, na rogach, w kawiarniach, w parkach pod gwiazdami. Gorące chodniki rozbrzmiewają gwarem, plotki płyną każdym rynsztokiem. Stojąc na światłach, młodzi mężczyźni wychylają się z okien samochodów albo z siedzeń motorowerów, żeby wymienić żarty i poczęstować się papierosem, bo wszystkich wydają się tu łączyć albo interesy, albo krew. Od czasu najazdu Turków jednak głównie krew.

W dusznej atmosferze przez zaułki przetacza się łagodny wiatr plotek, płynie z balkonu do kolejki na przystanku jak mistral półprawdy. Wydmuchaj nos przy Bramie Famagustiańskiej, a mniej więcej godzinę później w alei Makariosa będą mówić o szalejącej epidemii. Kiedyś może uratuje Cypryjczyków telewizja, zastępując gorączkowe podniecenie otępiającą monotonią, ze szczyptą teorii spiskowych w przerwach na reklamę. Może kiedyś, ale na razie Cypryjczycy uwierzą we wszystko.

Poza gadaniem polityków.

Pod daszkiem z plecionych palmowych liści, w cieniu weneckich murów starego miasta, kelner obsługiwał dwie brytyjskie turystki, cierpliwie objaśniając im menu. Przekonywał, by spróbowały gotowanego mózdzku, specjalności jego kuzyna, tutejszego kucharza, i ostrzegał przed kalmarem.

– Z zeszłego tygodnia. Za stary. – Potrząsnął głową, jakby stał nad czymś grobem.

Między stolikami przeszedł chłopiec nie więcej niż dziesięcioletni, rozdając ulotki. Zatrzymał się przed turystkami, wyraźnie rozpoznając w nich Brytyjki.

– Good mornings – powiedział, dorzucając szeroki uśmiech i wciskając obu po ulotce, zanim ruszył dalej.

– Co tu jest napisane? – zapytała jedna z kobiet, zwracając się do kelnera.

– Że chcemy wyrzucić Brytyjczyków z Cypru – odparł wesoło i dopiero po chwili dostrzegł wyraz jej twarzy. – Nie, nie panie, madams. Bazy. Tylko bazy. Chcemy, żeby Brytyjczycy zostali, kochamy was. Ale jako naszych przyjaciół w naszych domach i tawernach. Nie w bazach. – W jego pogodnym wyjaśnieniu nie było ani śladu urazy. – No dobrze, to może proszę, prosto od rzeźnika...?

Nagle jakiś skuter, z silnikiem o zbyt małej mocy, koszmarnie przegazowanym, zatrzymał się z piskiem opon przy krawężniku i kelner wymienił pozdrowienia z kierowcą. Hałas się jednak nasilał, podobnie jak ożywienie zarówno kelnera, jak i kierowcy, którzy zaczęli gestykulować, jakby odpierali atak wygłodniałych nietoperzy wampirów. Po chwili kelner odwrócił się do swojego kuzyna, który wychylał się z okna kuchni. Kolejne krzyki – kelner porzucił długopis, bloczek i korkociąg na obrusie, po czym kontynuował bitwę

z nietoperzami, cofając się w kierunku skutera. Ścigany okrzykami kuzyna, którym wyraźnie daleko było do czułości, wsiadł na skuter za kierowcą i zniknął w ciemnościach.

Przy stoliku gości pojawił się kuzyn z miną wyrażającą znużoną wyrozumiałość, wytarł ręce o fartuch i podniósł z obrusa bloczek.

– Ale... co to było? – dopytywały się kobiety.

Kuzyn wzruszył ramionami.

– Kości. Znaleźli więcej kości. Więc przed pałacem prezydenckim odbywa się kolejna demonstracja. Niech się panie nie martwią, poszedł tylko chwilę pokrzyczeć. Wróci za pół godziny. To co mogę paniom podać? Mówił już o kalmarze...?

Rzeczywiście znaleziono kości, na wzgórzach za Pafos, pod stosem kamieni w gaju oliwnym. Ich wiek nie odpowiadał grobom ani z wojny z Brytyjczykami, ani z Turkami, a wkrótce okazało się, że nawet nie były ludzkie. Ale zanim w wyniku ekspertyz ustalono te fakty, minęło kilka dni, podczas których nie brakowało protestów, plotek, wymysłów i zwykłych kłamstw.

Przez ciągnące się bez końca cypryjskie dni, pod surowym błękitnym niebem, prawda gnije jak kończyzna z gangreną.



Pałac prezydencki w Nikozji to prawdziwe kuriozum. Zbudowany, by odzwierciedlać imperialną władzę brytyjskiego gubernatora, którego dawną siedzibę zrujnowano w powstaniu ludowym, sam z kolei został zrównany z ziemią w zamachu na arcybiskupa Makariosa, który to zamach otworzył drzwi tureckiej inwazji. Mogła to być okazja do starcia raz na zawsze brytyjskiego piętna z prezydenckiej rezydencji i stworzenia pałacu według całkowicie współczesnego, cypryjskiego projektu. „Ale Brytyjczycy to nasza

historia – miał podobno powiedzieć arcybiskup – są naszymi przyjaciółmi”. Pałac przywrócono więc do dawnej świetności, podobnie jak arcybiskupa na stanowisko. Nie zabrakło nawet brytyjskiego królewskiego herbu, wyrzeźbionego w piaskowcu nad głównym wejściem. Dieu et Mon Droit. Kuriozum.

Prezydent Arystoteles Nicolaou był podobnie kuriozalny. Wysoki, przygarbiony, patykowaty, szczupłą sylwetką i intensywnym błękitem oczu odróżniał się od większości Cypryjczyków. Był raczej filozofem niż politykiem, człowiekiem, który w życiu nie zaznał większej przyjemności niż wykładanie ekonomii w London School of Economics i poślubienie Angielki. Jego szczęście prysło wraz z turecką inwazją, która rozdarła wyspę na pół, a on wrócił do ojczyzny głównie dlatego, by ukoić poczucie winy, że omijają go ciężkie próby będące udziałem rodaków. Żona tego poczucia winy nie podzielała. Nicolaou był idealistą, który nigdy w pełni nie pogodził się z taktyką i codziennymi ustępstwami, jakich wymaga polityka, a także tymi, których wymaga małżeństwo. Siedząc przy niewielkim biurku w swoim gabinecie, otoczony rodzinnymi fotografiami i parafernaliami władzy, czuł się zagubiony. Przez wielkie łukowe okna w stylu mauretańskim wpadały krzyki protestu dochodzące zza bram pałacu – dziś wyjątkowo głośne – a ze słuchawki telefonu dobiegały protesty brytyjskiego premiera. Nie wiedział, jak sobie poradzić ani z tymi pierwszymi, ani z tymi drugimi.

– Ari, muszę podkreślić, że traktuję tę sprawę bardzo poważnie. Nie pozwolę, żeby ludzie porywali moich wysokich komisarzy i uchodziło im to na sucho.

– Francis, przeznaczam na to wszystkie siły i środki. Znajdziemy go.

- Ale jeszcze nie znaleźliście. Dowiedzieliście się chociaż, dlaczego go porwano?

- Około dwóch godzin temu zadzwonili do jednej radiostacji. Oczywiście nie dało się ich namierzyć. Nazwali się „Słowo”. Podali umiejscowienie zamienia pana Martina. Stwierdzili, że oddadzą go w zamian za wszystkie teczki dotyczące ukrytych grobów z czasów wojny oraz zobowiązanie ze strony twojego rządu do wycofania się z waszych „bastionów imperializmu”, jak się wyrazili. Kości i bazy.

- Cholerny szantaż.

Przed Nicolaou stała miseczka ze świeżymi liśćmi drzewa cytrynowego z ogrodu. Rozgniół kilka z nich między koniuszkami palców, wdychając ostry aromat, jak miał w zwyczaju w chwilach stresu.

- Możemy ich przynajmniej zachęcać do rozmowy na ten temat?

- Ari, zaraz startuję z kampanią wyborczą. Nie mam zamiaru zaczynać jej od targowania się z terrorystami.

- Jestem pewien, że chodzi o coś więcej. Celują też we mnie. Chcą mnie powstrzymać przed podpisaniem traktatu pokojowego. Nawet w tej chwili wściekły tłum dobija się do moich drzwi.

Pod baldachimem stu tysięcy gwiazd przez teren wokół pałacu przetoczyła się kolejna fala protestu – Boże, czyżby się wdarli do środka? Chociaż raz cieszył się, że jego żona pojechała na jeszcze jedną wycieczkę do Paryża. Stolicy kultury. I zakupów.

- Na ile serio powinniśmy brać tych ludzi?

- Czy wy, Brytyjczycy, jeszcze się nie nauczyliście traktować Cypryjczyków poważnie? – Głos Nicolaou zabrzmiał zjadliwie. – Może jesteśmy narodem właścicieli tawern i taksówkarzy, ale pamiętaj, że wykurzyliśmy stąd brytyjską machinę wojskową, mając do dyspozycji

niewiele ponad garstkę bomb domowej roboty i parę ukradzionych karabinów.

– Pamiętam.

– Przede wszystkim to ja nie mogę sobie pozwolić na to, żeby zapomnieć. Przez całe wieki my, Cypryjczycy, byliśmy zdradzani przez tych, którzy wpuszczali Turków i innych najeźdźców tylnymi drzwiami. Teraz niektórzy uważają, że zapraszam ich głównym wejściem i jeszcze wykładam dywanik na powitanie. Nazywają mnie arcyoszustem. To mojej głowy chcą, a nie pana Martina.

– Nie wiedziałem, że masz tak trudną sytuację. Przykro mi – powiedział Urquhart nieszczerze.

Prezydent rozgniół jeszcze kilka cytrynowych liści i popatrzył na przeciwległą ścianę gabinetu, gdzie na pastelowym tle nad kominkiem wisiał duży olejny portret jego córki jedynaczki, urodzonej pięć miesięcy po ich powrocie na Cypr. Elpida, tak ją nazwał – Nadzieja.

– Dopóki zapewniamy pokój naszym dzieciom, Francis, dopóty niewiele więcej się liczy.

Ckliwy głupiec. Sprawy na Cyprze wyraźnie wymykały się spod kontroli. Urquhart nie mógł być bardziej zadowolony.

– I uważasz, że to ci przeciwnicy pokoju mają mojego wysokiego komisarza?

– Tak.

– W takim razie kto, na Boga, za tym wszystkim stoi?

Nicolaou westchnął ze znużeniem.

– Żebym to ja wiedział.



Miała dwadzieścia trzy lata, długie nogi, pełne usta i śmiałe, nieskomplikowane podejście do życia. Dlatego została stewardesą –

żeby zobaczyć trochę świata i jego uroków, a szczególnie mężczyzn. Nie liczyła, że pozna mężczyznę takiego jak on. Dziesięć minut po ich spotkaniu w pierwszej klasie zaproponował jej pracę – lepsza pensja, bardziej regularne godziny, koniec z anonimowymi pokojami hotelowymi i podłymi, spotniałymi nocami u boku facetów rozpaczliwie próbujących zapomnieć, że są po czterdziestce i żonaci po uszy. Ten przynajmniej nie miał żony. Nie spodziewała się jednak, że będzie zaglądała w lufę rewolweru.

Przestraszona, podniosła dłoń do ust. Z odległości sześciu stóp lufa zakołysała się i opadła, raz, dwa, trzy razy, wskazując guziki jej bluzki. Skinął głową, kiedy namacała je palcami. Była zdenerwowana, trzęsła się, miała kłopot z odpięciem pierwszego. Kolejne poszły już łatwiej.

Lufa przesunęła się w lewo, potem w prawo, jakby omiatała jej ramiona. Zsunęły się z nich ramiączka stanika. Biustonosz, w ślad za bluzką, opadł na podłogę. Zadrżała, gdy przez otwarte okno wślizgnęła się bryza od morza, przesiąknięta zapachem jaśminu, i owiała jej nagą skórę. Sutki jej stwardniały, podobnie jak linie jego ust.

Lufa niepowstrzymanie kontynuowała marsz przez jej ciało. Dziewczyna zdjęła spódnicę i stała teraz w samej bieliźnie, obejmując się ramionami, jakby chciała okazać skruchę.

Znów ruch lufą. Tym razem nie zareagowała na jej wyzwanie, wahając się przy ostatniej barierze, ale lufa ponownie na nią skinęła, bardziej niecierpliwie, gwałtownie. Posłuchała jej rozkazu, piersi opadły hojnie do przodu, kiedy schyliła się, żeby go wypełnić. Stała w lekkim rozkroku, jej nogi i wszystkie jego myśli prowadziły do jednego, starannie wygolonego punktu.

Patrzył na nią przez długą chwilę. Czuła się, jakby topniała w środku. A potem on stęknął potężnie.

- Chcesz tę pracę?

- Tak, Kyrie.

- Dobrze. Mój brat Dimitri mówi, że masz inwencję. Chodź i to udowodnij. A potem pójdziemy i obalimy rząd.

Rozdział 29

Lojalność jest dla psów.

Podróż Claire była męcząca, jej cel – Jeremy Critter – denerwujący. Poseł z South Warbury, drobny, koło czterdziestki, krytyczny z natury, nie potrafił ani na chwilę ukryć swoich ambicji, a już zwłaszcza frustracji, że nie udało mu się ich zrealizować. Media snuły domysły, że może przyłączyć się do rebelii Makepeace'a, a on podsycił te spekulacje, bo nigdy nie mógł się oprzeć pokusie powiedzenia czegoś nowego na swój temat. Na zapytania z Downing Street odpowiadał w typowym dla siebie chełpliwym tonie, że jego organizacja okręgowa wywiera na niego znaczną presję, a on czuje się moralnie zobowiązany, by wysłuchać tych głosów. Ich zdaniem, twierdził, rząd w Westminsterze, rząd Francisa Urquharta, wydaje się bardzo odległy od mglistych rubieży South Warbury i nic go one nie obchodzą. Może gdyby premier zdobył się na jakiś gest uznania za lojalne poparcie, jakie przez lata okazywali mu zarówno wyborcy w tym okręgu, jak i ich poseł, mogliby dojść do innego wniosku, ale w tej sytuacji, kiedy za lojalność się nie odwdzięczono...

To tylko zwykła przemądrzałość Crittera, nic więcej. Jego organizacja okręgowa składała się głównie ze związku wiejskich

szwaczek w wieku przedemerytalnym i kilku starych graczy w krykieta, którzy nie zdobyli punktu od lat. Zrobiliby wszystko, do czego nakłoniliby ich pochlebstwami, najwyraźniej z ucieczką ze statku włącznie. W dezercji Makepeace'a Critter dostrzegł swoją szansę, by prysnąć. Claire zgłosiła się na ochotnika jako szczurołap.

Dała się zaprosić do wygłoszenia przemówienia na dorocznym walnym zebraniu organizacji okręgowej, zgromadzeniu mniej niż trzydziestu osób w salce na zapleczu pubu. Zza ścianki działowej za jej plecami dobiegały sprośne komentarze towarzyszące grze w snookera, kiedy przewodniczący organizacji wstał z miejsca obok niej, aby przemówić do wiernych. Ów tykowaty, przygarbiony były pułkownik wyjął z górnej kieszeni marynarki duży mosiężny zegarek i położył go na stole przed sobą, jakby czekając na rozpoczęcie wieczornego ostrzału artyleryjskiego.

Zaczęły się obrady. Raporty o stanie finansów organizacji.

– ... saldo w wysokości czternastu funtów i trzech pensów. Przepraszam państwa, powinno być czternaście funtów i trzydzieści pensów... stan się pogorszył... dalsze pogorszenie... może będziemy musieli rozważyć zamknięcie biura, bardzo nam wszystkim było smutno z powodu odejścia panny Robertson... I kłótnia o to, czy klub obiadowy pań powinien pozwolić na udział członkom płci męskiej...

– W naszym wieku nie ma to większego znaczenia – wtrąciła w tym miejscu jakaś postępową dusza.

– A ponieważ nie ma nowych nominacji na stanowiska w organizacji – ciągnął przewodniczący, podnosząc głos, by przekrzyczeć nieelegancki język, który zaczynał przenikać do salki znad stołu bilardowego w sąsiednim pomieszczeniu – chciałbym

zapropionować, żeby obecne osoby na stanowiskach po prostu na nich pozostały.

– Nie da rady – zaprotestował jakiś głos z nad robótki na drutach.

– A to dlaczego? – zapytał przewodniczący.

– Panna Tweedie, nasza wiceprzewodnicząca. – Druty nie przestawały migać. – Zmarła w zeszłym tygodniu.

– Och, przykro mi to słyszeć. To chyba rzeczywiście utrudnia sprawę...

Z miejsca po drugiej stronie od Claire Critter uśmiechał się promiennie do zebranych niczym posłuszny syn. Nic dziwnego, że miał ich w kieszeni. Mógł kupić wszystkich za czterdzieści funtów rocznie i wycieczkę autokarową do Minehead. I to miało być to siedlisko rebelii? Ta groźba trafienia na pierwsze strony, kiedy ludzie Crittera przyłączą się do Toma Makepeace'a?

– Nie jest to nieuniknione – wyjaśnił jej Critter, a tymczasem uczestnicy zebrania omal się nie pobili podczas dyskusji o planowanej wyprzedży rzeczy używanych. – Ale oni czują się tacy osamotnieni, niedocenieni. Gdyby tylko rząd potrafił znaleźć jakiś sposób na pokazanie, że troszczy się o ten okręg...

– Na przykład mianując cię ministrem – szepnęła.

– To propozycja?

– Nie.

Zacisnął mocniej szczękę.

– Oczywiście wysoko cenię to, co udało się zrobić Francisowi przez te wszystkie lata rządów. Szkoda, że on nie ceni mnie. Ale to nic osobistego, rozumiesz. Moja organizacja jest autentycznie zniechęcona.

– To przemów im do rozumu – zażądała. – Jedno twoje słowo i od razu wrócą do robienia na szydełku ocieplaczy na czajniczki.

– Będę słuchał, nie wydawał polecenia – mruknął pompatycznie. – Moja organizacja jest bardzo tradycyjna. Lubi sama podejmować decyzje. Z zasady.

Przewodniczący zbliżał się do końca swoich uwag. Za chwilę miał zabrać głos Critter. Odwrócił się niemal tyłem do niej, język ciała wskazywał na sprzeciw, na człowieka, który przygotowuje się do skoku. A wskoczeniu na pierwsze strony gazet nigdy nie potrafił się oprzeć.

– Straszna szkoda – szepnęła.

– Co takiego?

– Twoja organizacja i jej zasady.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Po prostu zastanawiałam się, Jerry, jak te miłe starsze panie zareagują na wiadomość o tym, że ich sumienny poseł zabiera tyle pracy do domu.

– O czym ty mówisz, kobieto?

– O twojej nowej sekretarce. Zabierasz ją do domu, do mieszkania przy Dolphin Square. Codziennie w porze lunchu.

– Chodzi o pracę. Nic więcej. – Patrzył prosto przed siebie, mówił kątem ust, nie chcąc spojrzeć jej w oczy.

– Oczywiście. Po prostu wy, mężczyźni, nie rozumiecie problemu. W ogóle nie uwzględniacie potrzeb kobiet w Westminsterze, zmuszacie nas do korzystania z tak zatłoczonych pomieszczeń, że kiedy stoimy w kolejce do umywalki, co mamy innego do roboty, jak plotkować. Zdziwiłbyś się, słysząc te krążące plotki.

– Na przykład... jakie? – Miał zaciśnięte zęby i był blady jak kurczak na linii produkcyjnej.

– No wiesz, głównie o spóźniających się okresach i spóźnionych posłach. Na przykład: dlaczego spóźniłeś się na posiedzenie komisji w zeszłą środę. I dlaczego para bokserek z twoim monogramem wypadła twojej sekretarce z torebki, kiedy szukała szminki. Wszystkie się śmiałyśmy. Powiedziała, że trochę się śpieszyłeś...

– Na litość boską!

– Nie martw się. Przychodzi mi do głowy bardzo mało sytuacji, w których czułabym pokusę zdradzenia sekretów damskiej szatni. Bardzo mało. Dla nas to jak konfesjonał.

Przełknął głośno ślinę.

– Jestem pewna, Jerry, że tobie przychodzi do głowy równie niewiele sytuacji, w których czułbyś pokusę zdradzenia naszej partii.

Przewodniczący już skończył, postukał palcem w szkiełko zegarka, a trzódka zaczęła klaskać, wywołując posła do zabrania głosu.

Podczas długiej, samotnej jazdy samochodem z powrotem do Londynu Claire myślała o tym, że rzadko miała okazję słyszeć tak wyczerpujące i pełne znakomitych argumentów przemówienie o potrzebie lojalności wobec partii jak to, które wygłosił tego wieczoru jej kolega, szanowny i spóźniony pan poseł z South Warbury.



Dziewięćdziesiąt dziewięć mil kwadratowych brytyjskiego suwerennego terytorium na Cyprze, uznanego za niezbędne dla bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii, składa się z wielu fragmentów, jak niedokończona mozaika, porzucona przez znudzonego rzemieślnika. W obrębie dwóch głównych baz Dhekelia i Akrotiri mieszczą się obiekty o kluczowym znaczeniu dla działań obronnych, od urządzeń

rozpoznania radarowego oraz lotniska zdolnego przyjąć największe wojskowe samoloty transportowe i zwiadowcze po pełnowymiarowe boisko do krykieta, więzienie Królewskiej Żandarmerii Wojskowej, siedem szkół i kilka pubów. Bazy te są od siebie oddzielone, niektóre budynki otoczone drutem kolczastym, inne nie. Pomędzy nimi znajduje się wiele innych obiektów, takich jak tarasy zgrabnych domków, sady, starożytne ruiny i kilka cypryjskich wiosek.

Nie ma żadnych tablic ani innych znaków wskazujących granicę między brytyjskimi i cypryjskimi terytoriami, poza „kocimi oczami” – umieszczonymi na jezdni punktowymi światełkami odbłaskowymi. Brytyjczycy uwielbiają w ten sposób oznaczać środek drogi, a Cypryjczycy nie. Na tym różnice się zaczynają i kończą.

Z baz roztacza się piękny widok, ale służba jest nudna. A kwestie bezpieczeństwa to prawdziwy koszmar. W wypadku niepokojów społecznych Brytyjczycy uciekają się do otoczenia części swoich obiektów jak najszczelniejszym kordonem, zostawiając większość terenu bez straży i ochrony, i ufając tradycyjnemu umiarkowaniu oraz zdrowemu rozsądkowi Cypryjczyków. Takie zaufanie jest zazwyczaj uzasadnione.

Kiedy zatem doszło do konfrontacji przy bramie brytyjskiego lotniska położonego w sąsiedztwie solnisk Akrotiri, nad wydarzeniami musiała się unosić nierzeczywista atmosfera. Ochronę przy bramie lotniska, otoczonego podwójnym ogrodzeniem z siatki stalowej, z drutem kolczastym na górze, zapewniały dwie pomalowane na biało-czerwono belki, pełniące funkcję szlabanu, wystające ze stojącego pośrodku punktu kontrolnego, przy końcu każdej z nich stała zaś mała, betonowa budka wartownicza, zwykle pusta, z tabliczką informującą, że ŻYWA UZBROJONA STRAŻ (sic!) pełni służbę.

Dodatkowe zasięki stanowiło kilka starannie podlewanych krzewów róż. W normalnych okolicznościach takie środki bezpieczeństwa nie spowolniłyby biegnącego królika, nie mówiąc już o jego zatrzymaniu, więc tego dnia system powiększono o rzucony przed bramę kłęb drutu kolczastego, potrojono straż (do sześciu osób) oraz wyprowadzono z garażu wiekowego białego land rovera z płóciennym dachem i błyskającymi w powolnym tempie niebieskimi światłami. Do dyspozycji były znacznie zgrabniejsze i nowsze wozy patrolowe Mitsubishi, ale uznano, że przy tej okazji wszystko powinno być zasadniczo brytyjskie.

Konfrontacja rozpoczęła się tuż po ósmej rano od przybycia do bram bazy wszystkich mieszkańców wioski Akrotiri, co nie było dużym wyzwaniem logistycznym, gdyż wioska leżała zaledwie jakieś dwieście jardów od owych bram. Jej gospodarka opierała się w głównej mierze na sąsiedztwie bazy, z myślą o której powstały różne lokale gastronomiczne i usługowe, w tym bar z chińskim jedzeniem na wynos, sklep spożywczy i fryzjer męsko-damski.

- Elenaki-mou, co ty tu robisz, do cholery?
- Protestuję przeciwko brytyjskiemu wyzyskowi.

Tu nastąpiła pauza w przesłuchaniu, bo pytający, kapral, który stał na warcie za kłębem drutu kolczastego, zaczął zastanawiać się nad konsekwencjami tego, co właśnie usłyszał. Był zdezorientowany. Poprzedni wieczór spędził z Eleni, atrakcyjną dziewiętnastolatką o sarnich oczach, w pubie Akrotiri Arms i nic mu o takich sprawach wtedy nie wspominała. Poza tym byli zaręczeni i mieli się pobrać zaraz po odświeżeniu przez niego tej tury. Nie mógł się doczekać. Już przytył pięć funtów.

– Nie gadać na warcie! – warknął starszy chorąży sztabowy, który najwyraźniej miał oczy w tyłku. – Tubylcy mogą być wrogo nastawieni.

Trzej mali chłopcy, wśród nich młodszy brat Eleni, którzy obsiedli gałęzie drzewa oliwnego przy budce wartowników, zaryczeli w wyrazie sprzeciwu, z twarzami całymi w szerokich uśmiechach i smugach anyżku.

Eleni była mniej zachwycona. Może miała to po matce, która zachwycona nie bywała nigdy. Nie mówiła po angielsku, nie uśmiechała się, tylko się gapiła. Przynajmniej Billy, kapral, po wnikliwym śledztwie przyjął, że się gapiła, ale trudno było o pewność, bo jedno jej oko patrzyło w innym kierunku niż drugie, co go strasznie peszyło. Jednak w którąkolwiek stronę było skierowane jej spojrzenie, ani drgnęło. Czuł się przez nią bezustannie obserwowany, gdziekolwiek by stał. Billy zważył nerwowo w rękach karabin automatyczny SA80, a tymczasem jego ukochana zwróciła się do podoficera.

– Wbiliście nam nóż w plecy, sierżancie – rzuciła oskarżycielsko.

– Starszy chorąży sztabowy, gdyby była pani tak łaskawa.

– No to wbiliście nam nóż w plecy, starszy chorąży sztabowy. – Wymówiła jego stopień z naciskiem, wyjątkowo jak na nią ostrym tonem.

– Co najwyżej książeczkę czekową.

– Sprzedawać nas dla Turek! – zawołał mężczyzna w podeszłym wieku, siedzący na równie niemłodym traktorze, z pasją znacznie przewyższającą jego znajomość angielskiego. Samotny przedni ząb nadawał mu wyraz dzikości. Wielu z mniej więcej czterdziestu protestujących podniosło głos i zamachało rękami na znak poparcia.

Starszy chorąży sztabowy przemaszerował powoli wzdłuż swojej wąskiej linii frontu, dziesięć kroków, w tył zwrot i powtórka. Jego buty wybijały miarowy rytm na asfalcie, uspokajając żołnierzy.

– Jak będą wam dawać popalić, pamiętajcie, chłopaki – warknął. – Bagnet na broń: wsadzić, przekręcić, wyciągnąć.

– Billy tego nie kapuje, nawet jak jestem dla niego miła, sierżancie – zawołała w jego stronę Eleni.

Żołnierz stojący po lewej ręce Billy'ego zachichotał, natomiast sam Billy rozważał rzucenie się na drut kolczasty. Starszy chorąży sztabowy odwrócił się na pięcie, by stanąć twarzą w twarz z protestującymi. Matka Eleni gapiła się prosto na niego, nie spuszczać oka z Billy'ego. Nie założyła sztucznej szczęki, dźwięki poruszały jej się bezustannie, jakby jeszcze kończyła śniadanie.

– Starszy chorąży sztabowy – skorygował ponownie gardłowym głosem. – Trochę szacunku podczas tych pani zamieszek. W przeciwnym razie mogę być zmuszony do odwetu.

– Jakiego?

– Ja i chłopaki możemy przestać przychodzić do pubu pani wujka. Szkoda by było.

Jednak raz jeszcze stracił inicjatywę. Cypryjczycy zaczęli krzyczeć i gestykulować, spoglądając w niebo. Starszy chorąży sztabowy podniósł wzrok i kilkaset stóp nad sobą zobaczył jaskrawożółte skrzydła lotni. Często uprawiano tu ten sport, startując z klifów Kurionu, kilka mil dalej wzdłuż wybrzeża, ale ten lotniarz kusił los. Nie tylko zapuścił się daleko nad zakazany teren, ale także był, poza uprzężą, kompletnie goły. Złotooliwkowe ciało wyraźnie odcinało się na tle rozpostartych skrzydeł.

- No i to jest prawdziwy mężczyzna - powiedziała Eleni scenicznym szeptem. - Ciekawe, czy ma problemy ze sterowaniem.

- To spieprzy Billy'emu życie prywatne - mruknął jeden z wartowników.

- I nasze rozpoznanie radarowe - dodał starszy chorąży sztabowy.
- Co na to powiedzą, do cholery?

Kiedy lotniarz zniżył lot, dziewczyny zachichotały, a starsze kobiety pokręciły głowami, wspominając dawne czasy. Zapanowała atmosfera dobrodusznej farsy, wszyscy patrzyli w niebo, oprócz matki Eleni, która nadal nie spuszczała nieufnego wzroku ze zlanego potem Billy'ego.

- Ale dalej chcesz się spotkać wieczorem? - rzucił z nadzieją Billy do jej córki.

- Nie, jeśli najpierw złapię tamtego - oznajmiła głośno Eleni, myślami wciąż błędząc po bezchmurnym niebie.

Konfrontacja została na razie zażegnana, ale na jak długo - tego starszy chorąży sztabowy nie był pewien.

- Jak pan myśli, sir? Gnojek jest na ilu? Dwustu metrach? Pionowy strzał. Pod słońce. Mam spróbować?

Starszy chorąży sztabowy nagle stracił humor.

- Może będziesz musiał, synu. Wkrótce może się okazać, że będziesz musiał.

Przyszła teściowa Billy'ego dalej poruszała dziąsłami.

Rozdział 30

Tłumy, które pozdrawiają premiera jego pierwszego dnia na Downing Street, właściwie tylko trenują przed dniem, kiedy będą wiwatować, odprowadzając go na szubienicę. Publika kocha dobrą egzekucję.

– Cholera.

Okrzykowi zawtórowała para pawi o szafirowo zakończonych ogonach. Stał na tarasie swojego château, położonego w sercu złotych wzgórz Burgundii. Znów zaklął. Z wielkiego domu, całego w wieżyczkach i echach gilotyn, roztaczał się widok na najznakomitsze winnice na świecie, niekończące się rzędy płynnego złota. Na skarpie w oddali zarzyły się w łagodnym świetle wieczoru wiekowe mury starego ufortyfikowanego opactwa. Poza tym w zasięgu wzroku miał tylko tysiące akrów swojego imperium. Jutro wczesnym rankiem zaczną tu ściągać pierwsi z prawie dwustu znajomych i wspólników, skuszonych tym widokiem i tym winem, aby oddać mu hołd i delektować się przywróconym imperialnym splendorem tego domu. Imperium zbudowane na ropie.

Ale teraz ropy było za dużo, cała beczka, która rozlała się, rozbryzała, rozchlapała wszędzie po przystrzyżonym trawniku

prowadzącym do stawu z karpiami. Wandalizm równie groteskowy jak poranna próba przejęcia spółki na giełdzie.

Nie powinien zwalniać ogrodnika. Powinien odciąć mu jaja i wszystkie inne najważniejsze narządy, a resztę wrzucić do jednej ze studni. Zresztą jeszcze to zrobi, jeśli tylko dorwie tego gnojka w swoje ręce.

– Potworne – narzekła stojąca u jego boku żona – ile szkody może narobić trochę ropy w niewłaściwym miejscu...

Nagle nozdrza mu się rozszerzyły, powęszył w powietrzu niczym lis zbliżający się do znajomego zagajnika. Czuł ropę, lepłą jak syrop, tryskającą jak świeże masło, tak jak miała któregoś dnia trysnąć z szybów u wybrzeży Cypru. Ten interes przeszedł mu koło nosa. Ale klamka jeszcze nie zapadła.

– Mogło być gorzej – pocieszył żonę. – Może się nawet poprawi – dodał w zamyśleniu, zastanawiając się, jak może zdewastować porozumienie pokojowe nieco ropy rozlanej na jego ładnie przystrzyżonych krawędziach.



– Raczej nam to nie pomoże.

Claire pchnęła kopię najnowszej depechy agencyjnej przez biurko w stronę Urquharta. Przeczytał ją szybko.

Źródła branżowe ujawniają złoża ropy w wodach przybrzeżnych Cypru. Tureckich wodach Cypru. Prawa do wydobycia mają najprawdopodobniej przypaść brytyjskim firmom...

– Znakomicie – stwierdził, rzucając depechę z powrotem w jej stronę. – Więcej miejsc pracy dla Brytyjczyków. – Podniósł pióro i wrócił do pisania.

– Ale Grecy będą wściekli.

– Dlaczego? – rzucił jej inkwizytorskie spojrzenie znad swoich okularów połówek.

– Przegrywają.

– Nawet jeśli te doniesienia są prawdziwe, nie będą mieli gorzej jutro, niż mają dziś.

– Mimo wszystko nie będą zachwyceni. Zraniona duma.

– Chyba masz rację. Prawdopodobnie ruszą od razu do ataku. Trudno wytłumaczyć tę pobudliwość Cypryjczyków, prawda?

– I do tego brytyjski sędzia. Wszystko jeszcze bardziej się skomplikuje. Przeskoczyliśmy od kłótni o kilka grobów do awantury o kilka miliardów baryłek ropy. Zamiast setek protestujących będą... tysiące. Porozumienie pokojowe. Wybory. Wszystko. Nagle bardzo się pokomplikowało.

– Jak zwykle, Claire, okazuje się, że za tymi twoimi inspirującymi oczami kryje się niezwykle lotny i przenikliwy umysł. – Wrócił do pisania.

Wyczuwając, że na tym jego zainteresowanie sprawą się kończy – czy w ogóle się zaczęło? – wzięła z biurka depezę i odwróciła się do wyjścia.

– Ciekawe, kto się postarał o przeciek? – powiedziała niemal do siebie, przechodząc przez gabinet.

– Nie mam pojęcia – szepnął, kiedy drzwi się za nią zamknęły. – Ale oszczędziło mi to kłopotu. Inaczej sam musiałbym to zrobić.

„CYPR MA ROPE” – krzyczała pierwsza strona „The Sun”.

Miliardy baryłek ropy odkryto u wybrzeży małej śródziemnomorskiej wyspy Cypr. Odkrycie z pewnością wywoła uśmiech na twarzach mieszkańców tej skąpanej w słońcu mekki turystów, a także brytyjskich firm naftowych, które już ustawiają się w kolejce po prawa do wydobycia...

Do następnego wydania reporter zdążył rozpytać się dokładniej i przerobił artykuł, zmieniając nagłówek na „ROPA PO TURECKU”.

„The Independent” podszedł do sprawy ostrożniej:

Źródła z branży naftowej podają, że u wybrzeży Cypru odkryto duże złoża ropy, być może największe na całym obszarze Morza Śródziemnego (...).

Odkrycie następuje w delikatnym momencie procesu pokojowego między dwiema cypryjskimi społecznościami, które mają wkrótce podpisać w Londynie ostateczne porozumienie. Złoża ropy leżą, jak się uważa, wyłącznie w obszarze szelfu kontynentalnego, przydzielonym przez trybunał arbitrażowy Watlinga do sektora tureckich Cypryjczyków.

Wczoraj przedstawiciele greckich Cypryjczyków w Londynie domagali się odpowiedzi na pytanie, czy Wielka Brytania, której głos zadecydował o przyznaniu spornego terenu stronie tureckiej, wiedziała wcześniej o prawdopodobnym istnieniu złóż ropy.

Reakcja najpoczytniejszego dziennika w Nikozji była znacznie mniej wyważona. Nagłówek na szerokość całej pierwszej strony obwieszczał po prostu: „ZDRADA!”.



Zorganizowali demonstrację przed turecką ambasadą przy Belgrave Square. Wezwanie nadało tego dnia rano Londyńskie Radio Cypru i chociaż czasu było niewiele, zebrała się grupa prawie dwustu osób. Próbowali nawet dostać się do środka, żeby złożyć list protestacyjny, ale wejście do ambasady było pilnie strzeżone, a ochrona widziała, że się zbliżają, zanim zdążyli przejść przez ulicę. Byli spokojni. Jeden uzbrojony policjant z Grupy Ochrony Dyplomatycznej wystarczył, by ich zawrócić. Przez resztę poranka stali z ponurymi minami, wznosząc sporadyczne okrzyki protestu zza barierek. Zanim nadszedł weekend, liczba demonstrantów wzrosła dziesięciokrotnie.

Passolidesa nie było wśród nich tego ranka. Jak już często się w jego życiu zdarzało, szedł pod prąd, zamiast podążać za stadem, udał się bowiem nie do domu znienawidzonego Turka – bo po co? – tylko do bram Downing Street, gdzie znajdowało się źródło ostatniej doświadczonej przez niego zdrady.

Czyż Brytyjczycy nie zradzali jego narodu bardziej systematycznie niż wszyscy pozostali najeźdźcy? Zabrali całą wyspę na prawie sto lat, a bazy na jeszcze dłużej. Zabrali mu braci. Oraz ich groby. A teraz zabierają ropę. Wiadomo było, czego się spodziewać po tych złodziejach Turkach, nie ukrywają swojej natury. Nieskomplikowanej natury nieprzejednanego wroga, który napluje ci w twarz, podrzynając gardło. Można im było ufać, że będą tacy jak zawsze. Ale Brytyjczycy! Zalewali człowieka hipokryzją i pokrętnymi wyjaśnieniami. Uśmiechali się i rozmawiali o zasadach krykieta, robiąc cię na szaro i sprzedając twoją ojczyznę w niewolę.

Stał uczepony barierki przy potężnej żelaznej bramie Downing Street już od prawie pół godziny, kiedy podszedł do niego policjant, którego zastanowiła intensywność koncentracji starego mężczyzny i jego zbiele knykcie.

- Co robisz, dziadku?
- Moja sprawa.
- Jak tam stoisz, to sprawa jest też moja. Co robisz?
- Czekam, żeby zobaczyć waszego premiera.
- Masz szczęście. Właśnie wyjeżdża.

Kiedy daimler przemknął przez bramę i zwolnił przed włączeniem się do ruchu na Whitehall, Urquhart podniósł wzrok znad papierów i zobaczył starca, który gapił się na niego zza barierki. Ich spojrzenia spotkały się na nie dłużej niż chwilę, ale rubinowy płomień nienawiści

w oczach starego mężczyzny zdążył dosięgnąć umysłu Urquharta. Przez kuloodporne szyby premier usłyszał niewyraźnie jedno słowo, rzucone schrypniętym głosem, i przypomniał sobie jego znaczenie.

– Piodoti-i-i-i!

Pamiętał, kiedy pierwszy raz się z nim zetknął – jak mógłby zapomnieć? Było wyrżnięte nożem na piersi osiemnastoletniego chłopca, odciągniętego od rodziny w połowie ślubu swojej siostry i zastrzelonego, kiedy kulił się pod ścianą cerkwi jak szczur w stodole.

Zdrajca.

Rozdział 3 1

Rozmawianie z Grekiem o demokracji jest jak uczenie się dobrych manier od Amerykanina.

W Nikozji oczywistych celów antybrytyjskiego protestu było niewiele. Koncern motoryzacyjny British Leyland już nie istniał, kolej – British Rail – nie docierała tak daleko, nawet sporadycznie. Brytyjska Wysoka Komisja stanowiła cel wyjątkowo trudny, bo w wyniku inwazji znalazła się na pasie ziemi szerokim na niecałe sto metrów, wciśniętym między uzbrojone wieże strażnicze nikozyjskiego więzienia a jeszcze mocniej uzbrojone strażnice tureckich patroli granicznych. Szanse na efekt zaskoczenia były zerowe, na sukces jeszcze mniejsze, a ryzyko zarobienia kulki z jednej albo drugiej strony – poważne, więc większość nikozyjskich dysydentów szukała innych opcji.

Siedziba British Council nieopodal bramy Pafos była niewiele bardziej zachęcająca. Od ostatnich zamieszek na jej progu budynek został potężnie ufortyfikowany, założono stalowe okiennice, od których cegły i butelki odbijały się na próżno, nawet przy współpracy przemykających oczy wartowników z koszarów na końcu ulicy.

Dlatego Dimitri, który był odpowiedzialny za organizację, ale miał niewielkie pojęcie o brytyjskości takich instytucji jak Marks & Spencer czy Barclays Bank, wybrał linie British Airways i ich przeszkloną siedzibę przy alei Arcybiskupa Makariosa III.

Straż przednia przybyła na miejsce zaraz po zmierzchu, przetransportowana spod pałacu prezydenckiego, gdzie demonstranci teraz już stale obozowali, w konwoju skuterów, furgonetek, a nawet taksówek. Wkrótce na piechotę lub własnymi pojazdami dołączyli inni. Wieść się rozeszła.

Wyraźnie było widać wyjątkowe zdyscyplinowanie. Wydano transparenty oraz instrukcje, udzielono rad. Oczywiście pomogło to, że porządkowi byli studentami teologii, a wielu z nich pochodziło z tej samej wioski co Dimitri i jego brat. Dalsza rodzina. Firma została zbudowana na fundamentach wiejskiej solidarności i lojalności plemiennej. Nie mogła zawieść swojego najśłynniejszego syna.

Pomogło także to, że demonstranci mieli zdecydowaną przewagę liczebną nad policjantami, którzy zadowolili się stanem z boku i obserwowaniem wydarzeń. Kilku się uśmiechało.

Demonstrantów przybywało, aleja została zablokowana. Policja zaczęła koncentrować wysiłki na kierowaniu samochodów na objazdy. Jeden z porządkowych powiedział coś do telefonu komórkowego, słuchał uważnie odpowiedzi, po czym skinął głową. Powoli zaczął wykonywać okrężne ruchy dłonią nad swoją głową, jakby mieszał w kotle. Tłum, do tej pory spokojny, począł skandować, machać transparentami, wzbierać jak ludzki wyciek ropy na fali przyływu, okrążając budynek i przywierając do jego oszklonych witryn. Wszędzie było ich słychać.

- Brytyjczycy precz! Kości i bazy! - krzyczeli. Może mało odkrywczе, ale w antyimperialnym proteście nie ma miejsca na oryginalność. Często rozlegało się także: - Czynić wojnę, nie pokój!

Okna, wielkie tafle szkła umocowane między betonowymi filarami, pod naporem pięści zatrzęsły się, wygięły, wypaczyły, ale się nie rozbiły - to nastąpiło dopiero, kiedy w czyimś rękę zmaterializował się dwuręczny młot i wszystkie po kolei zostały systematycznie roztrzaskane. Nawet wtedy kontrola nad tłumem była imponująca. Demonstranci nie splądrowali biur linii lotniczej. Porządkowy zmienił tylko komórkę na puszkę spreju i pokrył ściany oraz regały sloganami.

Gdy wyszedł z powrotem na zewnątrz, po obu stronach rozwalonych drzwi ustawiono już po beczce z ropą. Z nadproża zwisała poznaczona gęsto plwociną kukła Nicolaou. Na szyi miał tabliczkę z prostym napisem: „MIŁOŚNIK TURKÓW”.

Krzyki osiągnęły apogeum, rosła presja coraz liczniejszego tłumu, trudno będzie dłużej utrzymać kontrolę. Już czas. Na każdą z beczek rzucono flarę i z każdej zaczęły buchać kłęby duszącego czarnego dymu. Naftowego dymu, który wzbił się w nocne powietrze, osmalił twarze tych stojących w pobliżu, wdarł się do każdego kąta zdemolowanego budynku oraz na pierwsze strony porannych gazet.

Kiedy tylko najstarszy stopniem policjant na miejscu zdarzenia zobaczył dym, zaczął wydawać pierwsze tego wieczoru konkretne rozkazy. Rozbłyły światła, zawyły syreny, przez tłum zaczął przebijać się wóz strażacki. Ale protestujący już zaczęli roztapiać się w nikozyjskiej nocy, misja wykonana, wiadomość dostarczona.

Nie aresztowano ani jednej osoby.

Cypryjska noc pokrywała się ciemną wysypką nienawiści.

Trzy ulice dalej, na tylnym siedzeniu służbowego mercedesa Theophilos odłożył słuchawkę telefonu. Dobra robota. Znakomita. Dzieło Boże.

Francis Urquhart, kiedy o tym usłyszał, był tego samego zdania.



We wzburzonych odmętach obmyślanych przez człowieka forteli, sponad fal sterczą wyzywająco skały nonsensu. Żadna nie sterczała bardziej bezczelnie niż sprawa Woofy'ego.

Woofy – właściwie jego pełne imię brzmiało Woofera – był trzyletnim king charles spanielem, domowym zwierzątkiem in loco infantis państwa Duckinów, którzy spędzali jesień życia w białej willi z widokiem na Zatokę Koralową, piaszczysty zakątek na południowym zachodzie wyspy. Ich znajomość greckiego była ograniczona, podobnie jak relacje z autochtonami, które sprowadzały się właściwie do wymiany skinień głowy z kilkoma miejscowymi handlarzami, ale znaczna część z około pięciu tysięcy mieszkających na Cyprze Brytyjczyków rezydowała w tej okolicy, więc nie narzekali na brak przyjaciół.

Duckinowie mieli ich wkrótce potrzebować. Kiedy wrócili z brydża zorganizowanego przez jednego ze swoich dalszych sąsiadów, odkryli, że ich ukochana willa, w sposób niewytłumaczalny i bez ostrzeżenia, doszczętnie spłonęła.

Co gorsza, nigdzie nie było śladu jeszcze bardziej ukochanego Woofera. Przez całą noc szukali, wołali go po imieniu, krzyczeli tak, że ich głosy niosły się po zatoce, przeklinali cypryjską straż pożarną, która najwyraźniej potwornie się guzdrała z dotarciem na miejsce, potem znów wołali. Ale Woofera nigdzie nie było.

Świt zastał Duckinów wśród dymiących zgliszczy ich domu, błagających każdego przechodnia o jakieś wieści o ich ukochanym psie. Traf chciał, że jednym z tych przechodniów był dziennikarz pracujący jako wolny strzelec, akurat na kilkudniowym urlopie, ale dokądkolwiek nieustraszeni reporterzy skierują swe kroki, muszą natknąć się na katastrofę. Okazał współczucie, uważnie wysłuchał, zrobił zdjęcia, przejął się ich niewytłumaczalną stratą – chociaż w świetle innych antybrytyjskich ekscesów była ona może – nie, na pewno – mniej niewytłumaczalna, niż się początkowo wydawało. Historia na czasie, brakowało w niej tylko zgwałconych zakonnic.

Ukazała się zgodnie z planem następnego ranka, na pierwszej stronie najpoczytniejszego brytyjskiego tabloidu. Zrozpaczona brytyjska para stoi na gruzach swojego cypryjskiego marzenia. Przypadkowe ofiary narastającej wymiany ognia.

A pod spodem krzyczący nagłówek:

„CYPRYJCZYCY ZJEDLI MOJEGO WOOFY’EGO”.



Halogenowe światła zalewające fasadę ze starej poczerńiałej cegły dawały taki efekt, jakby wieczorna scena rozgrywała się w czerni i bieli. Może nieco pogrzebowy, pomyślał Urquhart, ale stosownie melodramatyczny. Poprawił krawat. Za nim stał na baczność minister obrony narodowej. Na Downing Street rozbłysły flesze, kiedy premier z surowo ściągniętymi ustami podszedł do mikrofonów.

– Szanowni państwo, mam do ogłoszenia ważne oświadczenie. Sytuacja na Cyprze jeszcze bardziej się pogorszyła. Nie tylko wciąż nie wydano naszego wysokiego komisarza, ale także stało się oczywiste, że rząd w Nikozji nie jest w stanie zagwarantować bezpieczeństwa brytyjskich aktywów i personelu. Widać wyraźnie, że wykorzystują to

ludzie mający złe zamiary, a moim obowiązkiem jest chronić brytyjskich obywateli i personel wojskowy. Dlatego też, z ogromną niechęcią i wyłącznie w ramach środków ostrożności, jestem zmuszony postawić brytyjskie bazy w stan pogotowia i ograniczyć Cypryjczykom dostęp do nich. Musimy chronić życie i majątek brytyjskich obywateli, a nasze oddziały będą w pełni upoważnione, by zapewnić taką ochronę. To delikatna sprawa, więc proszę państwa o traktowanie jej z całą powagą, na jaką zasługuje.

Stojący przed nim tłum reporterów zakołysał się, kiedy wszyscy jednocześnie zaczęli przeć naprzód, wyciągając ręce z mikrofonami, dyktafonami i różnymi elektronicznymi wypustkami, niczym gromada tryfidów. Jeden z dziennikarzy, który wyglądał, jakby dosłownie przed chwilą wygramolił się z łóżka, uwiesił się zgięty niemal wpół na barierce, usiłując dostać się jak najbliżej.

– Panie premierze, co to wszystko znaczy?

– To komunikat dla wichrzycieli: nie wchodźcie na naszą grządkę.

– Ale czy to nie jest potrząsanie szabelką, podbijanie stawki?

– Stawkę już podnieśli inni. Ci, którzy porwali naszego wysokiego komisarza. Którzy zaatakowali brytyjską własność i zagrozili życiu brytyjskich obywateli. Moim obowiązkiem jest zareagować.

– Atakując?

– To są środki całkowicie defensywne.

– Czy Cypryjczycy też tak będą to widzieć?

Urquhart sztywniej zacisnął usta, nadając twarzy jeszcze posępniejszy wyraz. Nie mógł się zdradzić z ironicznym uśmiechem, który igrał gdzieś na ścieżkach jego emocji. Znał Cypryjczyków, znał targające nimi namiętności – oraz ich polemistów, w których rękach stan pogotowia zmieni się w coś zbliżonego do inwazji. Sytuacja

znacznie się pogorszy, zanim będzie mogła się poprawić. Uśmiechnąć się nie mógł, więc po prostu wzruszył ramionami.

– Czy ma pan zgodę cypryjskiego prezydenta na to posunięcie?

– Nie jest mi potrzebna. Nasze bazy na Cyprze to suwerenne terytorium Wielkiej Brytanii. Nie potrzebuję zgody prezydenta na postawienie stacjonujących tam oddziałów w stan pogotowia, tak jak nie potrzebowałbym jej na puszczenie czołgów równiną Salisbury. Oczywiście go poinformowałem.

– Jak zareagował?

Wił się w męczarniach. Błagał. Mówił, że to rozpali gorące głowy. Będzie wodą na młyn przeciwników porozumienia pokojowego, zwiększy presję na brytyjskie bazy. Żebrał o jeszcze kilka dni, aby doprowadzić do uwolnienia wysokiego komisarza. Ale kilka dni już miał...

– Żałował konieczności podjęcia takich działań. Podobnie jak ja. Jednak ludzie dobrej woli w obu krajach to zrozumieją i muszą te działania poprzeć. Moim obowiązkiem jest w pierwszej kolejności ochrona brytyjskich interesów.

– To rozłoży branżę turystyczną na wyspie, panie premierze.

– Niestety tak.

Możliwe, że ukrepi jej łeb.

– Co w tej sytuacji z porozumieniem pokojowym?

– Ta decyzja należy do Cypryjczyków. Nie mogę pomagać w zaprowadzaniu pokoju na Cyprze, jeśli oni sami nie chcą, by ten pokój zapanował.

– A co w takim razie z wyborami?

– Bez zmian. To posunięcie w interesie narodowym, nie dla celów partyjnych. Spodziewam się poparcia ze strony wszystkich

odpowiedzialnych polityków, z całego politycznego spektrum. Nie sądzę, aby ta sprawa stała się jakimś problemem w tych wyborach.

Nie, nie jakimś problemem, pomyślał Dicky Withers, tylko problemem zasadniczym. Jestem właśnie świadkiem bandytyzmu, zawłaszczenia kampanii wyborczej przez Urquharta, który obsadza się w roli męża stanu, obrońcy interesu narodowego, brytyjskiego stylu życia, zasad krykieta, ciepłego piwa, słonecznych popołudni, plaży w Blackpool, moralności, dziewictwa i wszelkich innych cnót, do których można doczepić głosy. I do tego ma Makepeace'a w garści, spętanego jak wypatroszony kurczak. Tak mocno, jak przypuszczalnie spętany jest nasz wysoki komisarz. Francis, ty stary draniu.

– A Tom Makepeace? – zapytał Withers. – W jakiej sytuacji to go stawia?

Uśmiech pchał się Urquhartowi na usta, pełen zarówno uznania dla przenikliwości Dicky'ego, jak i samozadowolenia. Makepeace był załatwiony. Dryfował. Nie miał dokąd pójść, chyba że do diabła. Do której to podróży znajdzie niewielu towarzyszy.

– W jakiej sytuacji stawia to pana Makepeace'a? Nie mam pojęcia. Może lepiej niech pan zapyta jego.

Rozdział 3 2

Cypr jest tak napchany historią, że jego mieszkańcy cierpią na niestrawność.

Kiedy pierwsze promienie świtu zalewały powoli solniska Akrotiri, zdezelowany autobus Bedford telepał się niepewnie w kierunku wjazdu do bazy. Krztusił się, jakby był bardzo chory. W lepszych czasach woził dzieci z wioski do szkoły i plony na lokalny targ, ale od prawie roku marniał za pizzerią, nieuleczalnie przerdzewiały. Swoje przybycie przed bramę bazy ogłosił buchnięciem cuchnącego naftowego dymu oraz jękiem, jaki mógłby wydać smok, któremu wypruwają wnętrzności. Następnie zachybotał się i padł, całkowicie blokując wjazd. Gdy dym się rozwiął, a do prehistorycznego potwora podczołgał się strażnik, żeby go obadać, wóz był już pusty.

Usunięcie go z drogi zajęło ponad godzinę. Próby ponownego zapalenia silnika spęzły na niczym, a podczepienie holu czy to z przodu, czy z tyłu okazało się trudne. Usiłowali podnieść go lewarkami, ale zawieszenie nie wytrzymało i bestia w odwecie przewróciła się na bok. W końcu musieli sprowadzić spychacz i zepchnąć ją z drogi.

Najpierw jednak w kopercie przyklepionej do kierownicy i zaadresowanej do Billy'ego znaleźli pierścionek Eleni.



Znów stali na zewnątrz, jeszcze nigdy nie było ich tak wielu. To, co niecałe dwa tygodnie wcześniej zaczęło się jako sporadyczne demonstracje garstki protestujących, teraz trwało bez przerwy i przyciągało tłumy zbyt duże, by dało się je dokładnie policzyć.

Protesty przybrały też zdecydowanie personalny charakter. Nicolaou stał się nazwiskiem – celem – na ustach wszystkich. Manifestanci wykazali tu być może tyle logiki, co motłoch, który skazał Chrystusa, ale jednak go skazał.

Szef ochrony prezydenta zażądał audiencji, wchodząc do salonu na pierwszym piętrze, gdzie Nicolaou słuchał, jak jego córka Elpida gra na pianinie. Beethovena. Coś głośnego i długiego, żeby zagłuszyć uporczywy hałas dobiegający zza bramy.

– Musimy rozpędzić protestujących, panie prezydencie. Stanowią zagrożenie dla ruchu, dla siebie samych. Dla pana.

– A jak proponowałby pan to osiągnąć, komendancie? – Prezydent siedział z zamkniętymi oczami, uciskając palcami nasadę nosa w geście skupienia i niepokoju.

– Musiałbym wezwać wojsko. Manifestantów jest za dużo jak na moją straż.

Nicolaou zupełnie to rozbudziło.

– Nie wierzę własnym uszom. Chce pan, żebym posłał armię przeciwko ludziom?

– Ci ludzie, panie prezydencie, to niebezpieczny motłoch. Już spalili kilka budynków, jest ich coraz więcej, ich demonstracje sięją

zamęt w całej Nikozji. Moim obowiązkiem jest utrzymanie spokoju i porządku wokół pałacu prezydenckiego.

– A moim obowiązkiem, komendancie, jest zapewnienie pokoju w całym naszym kraju. To o to toczy się tu gra, o nic innego. Nie pozwolę panu użyć przeciwko nim wojska i gazu łzawiącego.

– Ale nie mam wystarczająco dużo ludzi, żeby zagwarantować bezpieczeństwo tego terenu i tego budynku. Czyli także pana, panie prezydencie.

– Ja się nie obawiam o swoje bezpieczeństwo.

– A o swoją rodzinę?

Nicolaou odwrócił się w stronę córki, która nadal siedziała przy pianinie. Była dla niego wszystkim. Kiedy czuł się samotny, bo jego żona znów wyjechała, Elpida dotrzymywała mu towarzystwa. Kiedy wściekał się na słabostki żony i jej brak umiaru, córka była przypomnieniem tego, co zawdzięczał małżeństwu. Kiedy zżerała go niepewność, Elpida służyła mu za inspirację, pozwalając mu wznieść się ponad to, co tymczasowe i błahe, ku Cyprowi jutra. Cyprowi Elpidy. Balsamowi na wszystkie jego rany.

– Właśnie z jej powodu muszę powiedzieć „nie”. Nie mogę podpisać traktatu pokojowego z Turkami, jeśli dojdzie do rozlewu krwi na ulicach Nikozji.

– Panie prezydencie! – Ton komendanta stał się błagalny. Zniżył głos, żeby Elpida nie usłyszała. – Mówię to jako stary przyjaciel. Wybór, przed jakim pan stoi, to nie tyle kwestia tego, czy poleje się krew, ile tego, czyja to będzie krew.

Prezydent podszedł do okna, z którego miał widok na podświetlony pomnik Makariosa, cyprysy i rozciągającą się dalej imponującą panoramę.

– Panajoti, niech pan tu podejdzie.

Komendant stanął obok prezydenta. Nicolaou otworzył okno.

– Co pan tam widzi?

– Motłoch. Ujadający na pańskim progu.

– Ale co pan widzi tam, dalej?

– Światła starego miasta.

– A za nimi, w ciemności, leży druga połowa naszego kraju. Czyż nie nadszedł czas, Panajoti, by znów zjednoczyć te dwie części? Po tych wszystkich latach i całej tej przelanej krwi?

– To polityka, panie prezydencie. Pańska domena. Moim zadaniem jest zapewnienie bezpieczeństwa. I mówię panu, że musimy coś zrobić z tymi ludźmi tam, przed bramą.

Przy otwartym oknie krzyki protestujących stawały się nie do zniesienia.

– W takim razie porozmawiam z nimi.

– Nie pora na żarty.

– Wpuśćmy kilku z nich. Porozmawiam z nimi ze schodów.

– Oszalał pan!

– Może. Ale i tak to zrobię.

– Przynajmniej niech pan rozmawia z balkonu.

– Balkonu, na którym wisi brytyjski sztandar królewski? Wyglądając zza imperialnego lwa? Nie sądzę. Nie, niech będzie ze schodów.

– Ale ja nie mogę zagwarantować panu bezpieczeństwa!

– W takim razie niech pan zostawi to zadanie Bogu.

I Panajotis, tak jak go szkolono przez całą karierę, wykonał rozkaz, chociaż wydawał mu się niedorzeczny i nie do przyjęcia. Planowali wpuścić może dwudziestu protestujących, ale nie da się tego

kontrolować, kiedy tysiące napierają na bramę, więc do środka zdołało się precyzyjnie raczej około dwustu osób, zanim zatrzaśnięto ją z powrotem. Zebrali się na podjeździe przed głównym wejściem, strzeżonym przez dwie ozdobne armaty, rozmaite gargulce, dwie donice z kwiatami i kohortę pałacowej straży.

Rozległy się pełne furii okrzyki, kiedy pojawił się Nicolaou, machając rękami nad głową, by uspokoić tłum.

– Cypryjczycy, rodacy. Pozwólcie mi coś powiedzieć. Wysłuchajcie mnie.

– Miłośnik Turków! – ktoś krzyknął.

– Kocham tylko jedną rzecz. Cypr!

– To dlaczego oddajemy go plugawym Turkom?

– I Brytyjczykom!

– Nikt nie cierpiał bardziej ode mnie na myśl o tym, że nasz kraj jest podzielony. Żałuję tych, którzy stracili rodziny. Domy. Wszystko.

– I palcem nie kiwniesz, żeby im pomóc.

Panajotis coraz bardziej się denerwował. Już było widać, że Nicolaou nie udało się zapanować nad tłumem, że zaczynał prowadzić dialog głuchych. Jego logika i szczerść nie miały szans przeciwko nagim emocjom tłuszczy.

– Przyjaciele, pamiętajcie, co podzieliło naszą wyspę. Co sprowadziło turecką armię na nasze wybrzeża. Stało się to, kiedy my, Grecy, zaczęliśmy kłócić się między sobą. Kiedy Makarios stał tutaj, na tych samych schodach, a oni nie chcieli go słuchać. – Wyciągnął rękę w stronę jednej z kolumn z piaskowca, które miał po obu swoich stronach. – Spójrzcie tu, na te dziury. Ślady po kulach. Którymi usiłowali zabić naszego arcybiskupa.

W kolumnach wyżłobiony był równy rząd cylindrycznych otworów – dziury po kulach, relikty zamachu, które Makarios kazał zostawić, podobnie jak królewski sztandar, jako część dziedzictwa. Stygmaty w kamieniu. Teraz Nicolaou wyciągnął dłoń w ich kierunku, wchodząc w rolę Makariosa. Już prawie dotknął ich koniuszkami palców, kiedy na kolumnie pojawiła się kolejna dziura, której towarzyszyła chmura pyłu. Dopiero wtedy usłyszał strzał.

Tłum zareagował natychmiast, jakby wystrzelono z pistoletu startowego. Rzucił się naprzód jak psy na jelenia, napierając na kordon straży przed schodami. Nicolaou, oszołomiony i dopiero w pierwszym stadium strachu, znalazł się nagle w ramionach Panajotisa i został wepchnięty do środka głównymi drzwiami, które zatrzasnęły się za nimi. Kilka sekund później z drugiej strony dobiegło prymitywne wycie i bębnienie pięści o drewno. Jednocześnie brama, która powstrzymywała główną część protestujących, została staranowana, kiedy na odgłos strzałów gniew zmienił się we wściekłość i wielotysięczny tłum zaczął wlewać się na długi podjazd przed pałacem.

– Na litość boską, teraz pan pójdzie? – warknął Panajotis.

– Elpida – rzucił błagalnie Nicolaou.

Ale jego córka już zbiegała po krętych schodach z części mieszkalnej, mijając antyki, kamienne głowy i torsy, niewielki zbiór starożytnego dziedzictwa wyspy, który wkrótce miał zostać roztrzaskany i rozwleczony po całym terenie.

Ojciec i córka chcieli się przytulić, ale Panajotis już ich rozdzielił i pociągnął długim korytarzem z mauretańskimi łukami i gobelinami, który prowadził do serca budynku, mającego kształt podkowy. Gonił

ich brzęk tłuczonego szkła, krzyki, odgłosy demolki. A potem kolejne strzały.

Panajotis zaprowadził ich do części pałacu, w której Nicolaou nigdy nie był, na zapleczu kuchni. Jakieś drzwi. Kamienne schodki. Następne drzwi, do których Panajotis miał klucz. Znaleźli się w tunelu wyciosanym w nagiej skale.

– Aleja Makariosa – wyszeptał ponuro Panajotis. – Tędy uciekał podczas ostatniego zamachu.

Tunel był chłodny, słabo oświetlony, miał co najmniej dwieście metrów długości, może więcej – Nicolaou zupełnie stracił orientację w tej ograniczonej przestrzeni. Był otumaniony, wciąż myślał o słowach komendanta: „podczas ostatniego zamachu”. Czy teraz to też był zamach?

Wyszli z tunelu przez drzwi przy drugim końcu basenu, za amfiteatrem, w którym Nicolaou przyjmował szkolne wycieczki, a w czasach poprzedniego konfliktu Brytyjczycy grali w tenisa. Po chwili znaleźli się w lesie, wśród kęp eukaliptusów, które połyskiwały złowrogo w świetle księżyca. Za plecami słyszeli narastające odgłosy dewastowania rezydencji.

Przeszli przez łupki i kamienie wyschniętego koryta rzeki – Nicolaou potknął się i raz jeszcze uratowały go zawsze gotowe ramiona komendanta – aż doszli do ogrodzenia z siatki, oddzielającego teren pałacowy od tego, co leżało za nim, cokolwiek to było. Nie natknęli się tu na protestujących, ci byli zbyt zajęci w pałacu. Usłyszeli stłumiony odgłos eksplozji. Panajotis pociągnął ich dalej.

Jeszcze jeden zamek w furtce w ogrodzeniu. Jeszcze jeden klucz. Panajotis wydawał się dobrze przygotowany. Wdrapali się na skarpe i stanęli na skraju pustej szosy.

- Dokąd teraz, panie prezydencie? Do brytyjskiej bazy?

Tam właśnie uciekł Makarios, do Akrotiri, w ramiona dawnego wroga, z dala od własnego ludu wygrażającego mu pięściami, ale Nicolaou uznał, że tego wieczoru już i tak zbyt głęboko wszedł w rolę arcybiskupa.

- Nie. Nie do Brytyjczyków. W góry.

W ich stronę zbliżały się światła samochodowych reflektorów. Panajotis wyjął broń.

- Niech pan zostanie w krzakach, panie prezydencie - poinstruował i stanął na środku drogi, machając rękami.

Samochód się zatrzymał. Nie siedzieli w nim uczestnicy zamieszek, tylko starsza para wracająca z kolacji do domu. Para Niemców, którzy nie mówili ani po grecku, ani po angielsku, ale aż za dobrze rozumieli jednoznaczny język pistoletu Panajotisa.

Z okrzykiem trwogi mężczyzna wcisnął gaz do dechy i z piskiem opon odjechał w noc. Panajotis wzruszył ramionami w geście rozpacz. Co miał zrobić, zastrzelić parę starszych, nieuzbrojonych turystów?

- Zostaw to mnie - poleciła Elpida, odpychając go na bok.

Następnym samochodem jechał księgowy, który zatrzymał się, widząc ładną dziewczynę, i słuchał jej z rosnącym niedowierzaniem. Przeprosił, wyjaśnił, że kończy mu się benzyna, a matka czeka na niego w domu, ale z chęcią zabierze ich tak daleko, jak sam jedzie. Prezydent Republiki Cypru, jego córka i komendant straży pałacowej jednogłośnie mu podziękowali i wsiedli do zdezelowanego renaulta. O długość trasy i cel będą się spierać później.

Nicolaou obejrzał się w kierunku swojego domu. Gniewny pomarańczowy księżyc świecił jak pochodnia, muskając czubki drzew i zabarwiając je ogniem. Widok sprawił, że prezydentowi łzy stanęły

w oczach. Dopiero kiedy je otarł i ścisnął dłoń swojej córki, uświadomił sobie, że to wcale nie jest księżyc. Patrzył na poświatę bijącą od raz jeszcze podpalonego pałacu.

Rozdział 33

Uczciwość nie jest żadną polityką.
To tylko usprawiedliwianie moralnego lenistwa.

Poobijany renault i jego coraz bardziej zdezorientowany kierowca dowieźli ich aż na parking wypożyczalni samochodów Hertz. Tutaj Panajotis zdobył inny pojazd. Nie miał kluczyków w stacyjce, ale pełen bak wydawał się istotniejszy, bo okazało się, że kilka drobnych monet, które Panajotis nosił w kieszeni spodni na papierosy z automatu, to jedyne pieniądze, jakie ma przy sobie cała trójka. Nicolaou trochę pocieszyła świadomość, że Panajotis nie pomyślał o wszystkim. Jakoś dzięki temu czuł się w mniejszym stopniu durniem.

Kiedy tylko znaleźli się poza granicami Nikozji na drodze do Troodos, Nicolaou zapadł w głęboki sen. Napięcie i – tak, musiał to przyznać – strach wyssały z niego energię i ogarnęło go przytłaczające wyczerpanie. Nie mieli pojęcia, komu mogą ufać – czy to tylko zamieszki, czy prawdziwy zamach stanu? A jeśli zamach, to czy się udał? Takie kwestie można było ustalić z rezydencji prezydenckiej w górach, skąd przez kilka tygodni w pełni lata i, jeśli okaże się to konieczne, przez kilka najbliższych dni można było rządzić krajem.

Obudził się dopiero, kiedy byli o niecałe dziesięć mil od celu, a droga zaczęła się wíć wokół górskich stoków. Jechali przez gęste lasy piniowe, reflektory wydobywały z mroku ciężkie pnie, stojące cierpliwie jak kolejka czyhających poborców podatkowych. Gdy skręcili z głównej szosy i zbliżali się do willi wąską, prowadzącą stromo w dół drogą, a światła samochodu przesunęły się po znajomym płocie, nastrój zaczął im się poprawiać.

– Dom z dala od domu – szepnęła Elpida, której góry zawsze kojarzyły się z przygodą i schronieniem.

– I można stąd zjechać prosto do Akrotiri. W razie potrzeby – dodał Panajotis, jak zawsze praktyczny.

Nicolaou milczał, odkręcił tylko szybę i wpuścił do środka słodkie żywiczne powietrze, by przywróciło do życia jego zgnębioną duszę. Spod kół dobiegł dźwięk rozgniatanych szyszek. Nad willą nie powiewała żadna flaga, a w budce wartowniczej nikogo nie było, nie zobaczyli powitalnego błysku świateł ani nie usłyszeli ujadania psów, ale nikt przecież nie wiedział o ich przyjeździe. Znajome zielone dachy – z blachy falistej, jak było w modzie w Troodos, ze względu na śnieg – mignęły im jak w starym filmie, a za niskim murem ogródka warzywnego kwitły pomidory, kołysząc się łagodnie na wietrze na powitanie. Samochód objechał powoli podjazd i zbliżył się do frontowych drzwi rezydencji. Księżyc, tak gniewny na niebie nad Nikozją, tu w górach miał kolor dojrzałego melona i był otoczony milionem nieśmiałych gwiazd. Witał ich, posrebrzając fasadę domu i oświetlając im drogę do podwójnych zielonych drzwi. Wszystko było tak, jak powinno.

– Otwarte – mruknęła Elpida z ulgą, naciskając na klamkę.

- Pani pozwoli za mną - powiedział z uporem Panajotis i wszedł pierwszy do ciemnego holu. Szukał po omacku kontaktu, kiedy dostrzegł promyk światła dochodzący spod drzwi do jednego z kolejnych pomieszczeń. Jakiś idiota konserwator zostawił otwarte drzwi i zapalone światła...

Weszli do salonu i zamarli ze zdumienia. Pokój był pełen uzbrojonych ludzi, wszyscy stali i celowali do nich z pistoletów. Siedziały tylko dwie osoby.

W jednym rogu, przywiązany do krzesła, zakneblowany, patrząc szklistym, wyczerpanym wzrokiem, siedział brytyjski wysoki komisarz.

A przy kominku na wprost nich, ssąc od niechcienia niewielkie cygaro, z wargami wykrzywionymi w uśmiechu powitania, siedział Theophilos.

- Kopiaste. Prosimy do nas.



- Nic dziwnego, że nie mogliśmy znaleźć waszej kryjówki.

Theophilos uniósł szklaneczkę koniaku Rémy Martin w podziękowaniu za komplement.

- Nie pomyślałeś, żeby szukać na własnym podwórku, nie mówiąc już o własnej sypialni. I nikt inny nie pomyśli. Mam tu wszystko: łączność, ochronę, jedzenie. A teraz, zrzędzeniem boskim, nawet ciebie.

Nicolaou przetestował wytrzymałość pęt, którymi był przywiązany do krzesła, podobnie jak wysoki komisarz i pozostali zakładnicy. Był to, jak dobrze wiedział, daremny gest.

- Skąd wiedziałeś, że tu przyjadę?

- Niezbadane są Jego wyroki - odparł Theophilos głębokim głosem, ze śpiewną intonacją, jak podczas liturgii. A potem roześmiał się rechetliwie. - I dał ci tylko trzy możliwości. - Policzył je na palcach. - Śmierć w ruinach pałacu. Polityczny pogrzeb wraz z naszymi brytyjskimi wrogami w jednej z ich baz, co osobiście bym preferował: pamięć o tobie zostałaby wykopana jak parchaty pies z każdej kawiarni w tym kraju. Albo opcja trzecia: wybawienie ze mną, tutaj. Na to też się przygotowałem. Ewidentnie nie widzieliście mojej czujki na skraju terenu.

- Wychodzi na to, że nie widziałem wielu rzeczy - zauważył Nicolaou z wyraźną rozpaczą. Popatrzył na drugi koniec pokoju, gdzie przywiązana do krzesła siedziała jego córka. - Masz zamiar nas skrzywdzić?

- Jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Na Boga, co masz nadzieję osiągnąć?

- Cóż, na Boga, wszystko. Najpierw zablokujemy bazy, aż Brytyjczycy będą zmuszeni spakować manatki i wracać do domu. W tym czasie, obawiam się, będziesz zbyt zaabsorbowany, żeby lecieć do Londynu na podpisywanie traktatu z Turkami. Za dużo niecierpiących zwłoki obowiązków tutaj. Takich jak podpisanie dekretu o nacjonalizacji całego brytyjskiego majątku na Cyprze. Potem, jak sugeruję, prawdopodobnie będziesz zbyt wyczerpany, aby kontynuować urzędowanie, związane przecież z tak dużym stresem. Przekażesz prezydenturę.

- Tobie? Nigdy.

- Nie, mój drogi Nicolaou. Ja jestem tylko skromnym duchownym. Możliwe, że kiedyś zostanę arcybiskupem Cypru, ale nie pragnę objąć twojego urzędu. Tyle napięć i niepewności, nie sądzisz? - Usadowił się

wygodniej na prostym rustykalnym krześle, jednym z wielu w tym niewielkim pokoju. Nicolaou zauważył, że pod sutanną ma żółte skarpetki. – Poza tym mam za dużo innych... interesów, tak, interesów, którymi muszę się zająć.

– W takim razie kto?

– Mój brat Dimitri.

Dimitri się uśmiechnął. Był to raczej okropny szczerbaty grymas.

– To niech sobie lepiej zrobi zęby, chyba że chce dzieci straszyc – prychnęła Elpida.

Uśmiech zgasł.

– Nie liczysz chyba, że ci to ujdzie na sucho – rzucił Nicolaou.

– Ależ oczywiście, że ujdzie. Mam wszystkie atuty. Towarzystwo brytyjskiego wysokiego komisarza. Dostęp do cypryjskiego prezydenta...

– Nie kiwnę palcem, żeby ci pomóc.

– Będzie słuchał tego, co mu powiem – ciągnął Theophilos nieporuszony – bo mam w ręku jego dupę. Jak również, co może ważniejsze, dupę jego córki.

Dimitri podszedł do Elpidy jakby z zamiarem wybicia z niej bezczelności pięścią, ale zmienił taktykę i zaczął ją głaskać po włosach, przesuając powoli palcem po jej szyi, aż do barku. Znow się uśmiechał.

Z gardła Nicolaou wyrwał się zduszony krzyk protestu.

– Chyba trzymam w ręku wszystkie asy – powiedział Theophilos bez śladu współczucia.

Rozdział 34

Program wyborczy jest jak dobrze skrojony garnitur.

Ma za zadanie przykryć nagość polityka.

Na każdym kroku jego wojska witały go gromkim „Hurra!”. Przeofilował przed nimi, „natężając mięśnie, krew podburzając w żyłach”. Niemalże słyszał niecierpliwy stukot końskich kopyt i szept mieczy wsuwanych do dobrze naoliwionych pochew. Armia gotowa do bitwy.

Sprawy były załatwione, reforma ordynacji wyborczej uchwalona, nad kolejnym parlamentem zachodziło słońce. Nazajutrz wymarsz. Płuca wszystkich napęły się odwagą, nozdrza zapachem śmierci – innych, jak mieli nadzieję, a może ich własnej.

Oddziały Urquharta ruszyły, a serca radowały się dobrymi omenami. Niemal każda godzina przynosiła wieści o wsparciu ze strony kolejnych sondaży i magnatów prasowych, a kilku generałów wroga już poinformowało, że nie będzie kierować się ku odgłosom bitwy, lecz jedynie na Chiltern Hills^[6], a jeśli spłynie na nich łaska – do Izby Lordów.

Jeśli chodzi o nieszczęsnego Clarence’a, lidera sił opozycji, przed jego namiotem już zbierali się wróżbici, snujący barwne

przypuszczenia co do tego, czy upadnie na własny miecz, czy trzeba będzie go zarąbać. Jeśli, rzecz jasna, uda mu się przeżyć bitwę. Co miało się okazać w czwartek za trzy tygodnie.

O Makepeasie nic nie było słychać, pokazywał się z rzadka. Generał bez wojska. Pora spuścić ze smyczy psy wojny.



Zaczęła dygotać i skomleć jak bity pies, jej krzyki wypełniły pokój i wypadły przez otwarte okno, ale on i tak nie przestał.

Makepeace zadzwonił do niej, powiedział, że jej potrzebuje, a ona przybiegła w podskokach. On też na nią skoczył, jak tylko przeszła przez drzwi i rzuciła torbę na podłogę, ale bardziej niż radosną przygodę przypominało to brutalny odwet i eksperymentowanie z bólem. Kiedy było po wszystkim, schował twarz w poduszkę, zawstydzony jej cichymi łzami.

– Nigdy wcześniej taki nie byłeś – wyszłochała. Wydawało jej się, że czuje w ustach smak krwi.

Gdy w końcu podniósł głowę z poduszki, też miał zaczerwienione oczy.

– Nie spodziewam się, że mi wybaczysz. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie zrobiłem. Czuję się jak skończony dureń. Przepraszam. Przykro mi.

– Powinno ci być.

Przez chwilę planowała zemstę, myślała, żeby go uderzyć, wziąć nóż do chleba i rozplatać go na pół, ale łączyło ich coś więcej niż seks, więcej nawet niż miłość. Jakoś wyczuła, że to on jest ofiarą. Zamiast pognać do kuchni, popatrzyła mu w oczy, pełne konsternacji.

– Ciężki dzień?

– Sparszywiały. Jak jasna cholera. Mam ochotę zniszczyć ostatnią rzecz, która jest dla mnie ważna. Zanim, jak wszystko inne, co dla mnie cenne, odwróci się i zniszczy mnie.

Uniosła się na łokciu, gotowa, żeby słuchać. To był właśnie ten moment, by sięgnąć po papierosa.

– Była ostatnia sesja pytań do premiera. Przyszedłem wcześniej, ale ława już była zatłoczona. Specjalnie tak się ścisnęli, żeby nie zostawić dla mnie miejsca. Wepchnąłem się na samym końcu, używając łokci i barków, poszturchując to tego, to tamtego. Jak na wycieczce autokarowej w podstawówce. Potem zjawiała się Marjory, no wiesz, ta bojowa, co wygląda jak wyliniała ruda wiewiórka? Stała nade mną i czekała, żeby przejść. No to... ruszyłem się. Wstałem, by ją przepuścić. A oni po prostu znowu się rozsunęli. Wypchnęli mnie i cześć. Wszyscy się śmiali, przedrzeźniali mnie. – Skulił się na myśl o tym upokorzeniu. – Nie było dla mnie miejsca ani po jednej, ani po drugiej stronie Izby. Musiałem usiąść na cholernej podłodze.

Parsknęła cicho z rozbawieniem.

– Ty też? – błysnął oskarżycielsko oczami, ale prawda już zaczynała do niego docierać. – To było takie cholernie dziecinne. – Usta niechętnie ułożyły się w autoironiczny grymas. – I takie skuteczne. – Miał tyle przyzwoitości, żeby wyglądać na zażenowanego.

Musnęła wargami bruzdy na jego czole.

– Ale to nie koniec. Jeszcze ta frustracja wynikająca ze świadomości, że nie mogę nic zrobić ani powiedzieć. Urquhart przyjmował poklask swoich akolitów, a reszta z nas mogła tylko siedzieć jak tłum podczas koronacji.

– Nie próbowałaś powiedzieć czegoś o Cyprze?

- I dać mu okazję odgrywania Churchilla? Nie słyszałaś, co powiedział w swoim wczorajszym przemówieniu? „Wszędzie tam, gdzie stoi Anglik, i my będziemy stać. Wszędzie tam, gdzie Anglik upadnie, będziemy, aby go podnieść...”. – Zaczął okręcać sobie wokół palców końce jej włosów. – Czeka mnie najważniejsza bitwa w moim życiu i nie mam ani jednego sojusznika. Oprócz ciebie. Nawet Annita nie potrafi spojrzeć mi w oczy.

Wściekłość minęła. Brutal zmienił się w małego, zagubionego chłopca.

- Tyłu obiecywało, że pójdzie ze mną. Teraz ani jeden z nich nie może się na to zdobyć. Pozostaje mi tylko nadzieja, że będę w stanie utrzymać własny mandat. W przeciwnym razie... – Opadł na poduszkę, jakby uszło z niego powietrze.

- Jest mnóstwo ludzi, którzy pójdą za tobą, zwykłych ludzi, spoza Westminsteru. Nie jesteś sam.

- Serio?

- Wiesz, że to prawda.

- Ale nie mam czasu. Nie mam partii. Nie mam przyjaciół. Nie mam już sprawy, o którą warto walczyć. Urquhart jak jakiś zły czarownik sprawił, że to wszystko znikło.

- Omiń Urquharta. Broń zasad fair play. Daj ludziom powód, żeby z tobą maszerowali.

- Bez politycznej maszyny to będzie cholernie długi marsz.

- To świetny pomysł.

- Co takiego?

- Długi Marsz. Zamiast zagrzebywać się w swoim okręgu, wyjdź ze swą sprawą do ludzi w całym kraju. Idź razem z nimi. Rozmawiaj. Pokaż światu swoją siłę.

Usiadł.

– Po co by to było?

– Żeby pokazać, jak duże masz poparcie. Mógłbyś w ten sposób zostać po wyborach osobą cieszącą się realną pozycją i autorytetem, nawet jeśli nie masz jeszcze partii i stu mandatów w parlamencie. Być głosem wszystkich tych, którzy czują się rozczarowani i wyłączeni z obecnego systemu. Jednoosobową rewolucją.

Podciągnął nogi i oparł brodę na kolanach, rozważając pomysł.

– Świetne możliwości medialne. Marsz z... skąd, z Manchesteru do Londynu przez Birmingham? Trzy największe miasta kraju, z przystankami na przemówienia i wywiady po drodze.

– W otoczeniu zwolenników, prawdziwych ludzi, nie starych funkcjonariuszy partyjnych. Coś świeżego, zupełny kontrast względem wszystkich innych kampanii.

– Najlepszy sposób na pokonanie rządowej maszyny w moim okręgu: pokazanie ogólnokrajowego poparcia.

Już niemal podskakiwał na materacu, napompowany entuzjazmem, kiedy nagle powietrze zaczęło z niego uchodzić.

– Czy mamy na to czas? Trzeba by było rozpocząć z hukiem. A potem musiałoby się to rozwinąć, nabrać rozmachu, rozpędzić się.

– Początkiem się zajmę. Daj mi trzy dni, a dostarczę ci dwa tysiące greckich Cypryjczyków w dowolnym miejscu w kraju, z plakatami na każdej głównej ulicy i wsparciem organizacyjnym w każdym mieście. A potem już wszystko będzie zależeć od ciebie i od szczęścia.

– Jeśli to się nie uda, spali na panewce, moja polityczna kariera będzie zrujnowana.

– Jeśli tego nie spróbujesz, i tak będziesz zrujnowany. Co masz do stracenia?

- Chyba nic. Z wyjątkiem ciebie.

Przyciągnęła go bliżej.

- Chodź i pokaż mi, jak to się powinno robić. Zanim się zabierzemy za Francisa Urquharta.

- Skoro mam tyle chodzić, to może lepiej, żebym oszczędzał siły...?
Ale już było za późno na protesty.



- Chodź, Corder, mamy ciepły dzień. Zapraszam do ogrodu.

Komisarz Corder z wydziału specjalnego ruszył za premierem przez salę posiedzeń rządu i wszedł za nim do otoczonego murem ogrodu. Urquhart wskazał ławkę w cieniu jarzębiny i razem na niej usiedli. Zamówiono herbatę.

Przywilejów takiej intymności premier nie udzielał lekką ręką, ale Corder zdobył sobie jego zaufanie wieloletnią lojalnością i ślepym oddaniem. Był kawalerem, przejawiał jedynie czysto mechaniczne poczucie humoru, miał wyższe wykształcenie, ale niewiele zainteresowań poza pracą, polegającą na kierowaniu zespołem osobistej ochrony Urquharta. Zrezygnował z awansu, żeby pozostać przy tym zadaniu. Był nadzwyczaj zamkniętym w sobie człowiekiem, niewiele osób wiedziało nawet, jak ma na imię. Mortima, która próbowała zainteresować go operą, czasami przypuszczała, że Urquhartowie byli jego jedynymi przyjaciółmi. Należeli jednak do różnych światów. Kiedyś podczas polowania na bażanty w Northamptonshire Urquhart postrzelił w skrzydło ptaka, który runął na ziemię i leżał, trzepocząc się żałośnie, przed nimi. Zanim ktokolwiek zdołał się poruszyć, Corder wyciągnął rewolwer i dokończył dzieła: wystrzelona z tak bliska kula kalibru 9 milimetrów rozrzuciła kawałki podrobów w promieniu kilku stóp. Jak później

Urquhart zrelacjonował żonie, nie było to zbyt sportowe, ale cholernie skuteczne.

Corder trzymał w ręku niewielką czerwoną teczkę, którą teraz otworzył, rozkładając na kolanach.

– Prawdopodobnie to nieistotne, ale nie płacą mi za to, żebym ryzykował, sir. – Mówił seriami krótkich, szybkich wybuchów, jakby strzelał z karabinu maszynowego. – Przez kilka ostatnich dni lokalna radiostacja greckich Cypryjczyków w Londynie aż się krztusi od krytycznych uwag pod pana adresem. Buzuje tam jak w wulkanie, naprawdę dają się ponieść. Ale najgorsze rzeczy wygaduje ten człowiek. – Podał Urquhartowi teczkę. – Evangelos Passolides. Mniej więcej w pana wieku. Najwyraźniej jest właścicielem jakiejś jadłodajni w północnym Londynie. Nie wiemy o nim za wiele, poza tym, że ma pewne powiązania z panem Makepeace'em. I że powiedział w radiu na żywo... zapis jest w teczce na końcu... – monotonnym głosem Corder zaczął cytować z pamięci: – ... że zasługuje pan, aby obdarto pana załgane kości ze skóry, różne istotne części pańskiej anatomii rzucono psom na pożarcie, a resztę ciała zakopano w głębokim grobie i zapomniano o nim, tak jak pan zapomniał, według niego, o jego braciach. To ten dżentelmen, który...

– Tak, Corder, wiem, kim jest ten dżentelmen – szepnął Urquhart, przyglądając się fotografii z teczki. – A o jego braciach nie zapomniałem.

Zaschło mu w ustach i marzył o herbacie, która stała obok, ale wiedział, że ręce będą mu się trzęsły i go zdradzą, dopóki będą się na niego gapić te oczy wyrażające zapięklą wrogość. Gwałtownym gestem zamknął teczkę. A zatem znał już nazwisko najstarszego brata. Widział go, prawie na swoim progu, czuł jego nienawiść, która nie

chciała umrzeć. Jakby duchy sprzed lat dogoniły go na drugim końcu świata.

- Pewnie to nieszkodliwy stary zrzęda - mówił Corder, zapominając, że Urquhart jest w zbliżonym wieku - ale groził panu, a ponieważ rusza pan w trasę kampanii wyborczej, nie możemy sobie pozwolić na ryzyko. Co mam z nim zrobić? Dać mu ostrzeżenie? Zamknąć go na jakiś czas? Zapomnieć o nim? Ponieważ to okres przedwyborczy, a wszystko, co on mówi, to wycieczki osobiste, pomyślałem, że to pan powinien podjąć decyzję. Nawet mandaty za złe parkowanie mogą się w takim momencie okazać kwestią polityczną.

- Dziękuję, Corder - odparł cicho Urquhart. Łagodna bryza zaszumiała wśród liści kapryfolium i przeleciała przez trawnik, odbijając się od czoła Urquharta. Poczul, że jest zroszone potem.

- Problem w tym, że jeśli nic nie zrobimy, sytuacja po prostu może się pogorszyć. Jego groźby. Te banialuki w radiu. Chce pan, żebyśmy go uciszyli?

Urquhart słyszał także inne głosy - w swojej głowie. Szeptały, rozwiewały mgły wątpliwości, pomagały mu widzieć wyraźniej i podjąć decyzję.

- Nie, Corder, tego człowieka nie ruszaj. Nie chcemy żadnych męczenników. Ale ta stacja radiowa...

- Londyńskie Radio Cypru.

- Z pewnością musiała złamać mnóstwo przepisów. Ustawę o stosunkach rasowych, prawo wyborcze, różne regulacje dotyczące radiofonii.

- Założę się, że pewnie ma też w lokalu poukrywane nielegalne substancje. Niemal mógłbym to zagwarantować.

- Tak, sądzę, że mógłbyś. Załatwmy ich, cofnijmy im koncesję. Zatkajmy im te plugawe gęby. Wtedy nie będzie trzeba ryzykować, że Passolides stanie się obiektem powszechnego współczucia. Co o tym sądzisz?

- Niech mi pan tylko powie, kiedy mam im zgasić światło, i pozamiatane.

- Znakomicie. A teraz, Corder, opowiedz mi o powiązaniach starego z panem Makepeace'em...



- I okazuje się, że chędoży jego córkę.

Tom nie tracił czasu, pomyślała Claire. Wpadł w chętne ramiona jak golfowa piłeczka do dołka.

- To, co mnie dziwi - mówił Urquhart - to że nic o tym nie słyszałaś. Od szofera. A oni najwyraźniej łajdaczą się już od jakiegoś czasu jak karaibskie koty w rui.

Ją też to zdziwiło. Szofer musiał wiedzieć, musiał powiedzieć Johowi. A, no i właśnie. Joh nie powiedział jej. Nie wspomniałby o czymś takim. Może to dla niego zbyt przykre, zbyt osobiste...

- Musimy wiedzieć więcej. Może Makepeace przebiera się za Robin Hooda? Skacze ze stosów Hansardu? Takie perełki są cenniejsze niż kawałki krzyża pańskiego - ciągnął Urquhart - bo mogą zachęcić te kulawe muły z prasy, żeby zaryczały zgodnym chórem jak dzikie bestie.

Całe to wścibstwo, to wyszukiwanie słabości. Nie najlepsza droga, zaczynała sobie zdawać sprawę. Nie taką drogę wybrałby Joh. Nie był pierwszym z Carlsenów, którego poznała. Claire i jego syn Benny studiowali na jednym roku i łączyło ich znacznie więcej niż koleżeńskie stosunki. Ich romans zaczął się na początku trzeciego

trymestru w płaskodennej łódce zacumowanej pod sprzyjającą spiskowcom wierzwą w górnym biegu rzeki Cherwell i trwał przez całe cudowne lato hedonizmu, spędzone wśród piaszczystych wysp i grządek melonów na wyspie Zakintos, w stanie egocentrycznej żądy. Pewnego wieczoru poszli oglądać żółwie gramolące się po plaży do swoich miejsc lęgowych. Wzięli z sobą flaszkę, a już wcześniej całkiem sporo wypili. Spotkali innego, starszego od nich mężczyznę, który był sam. Benny zaproponował, żeby podzielili się zawartością butelki, a później – żeby podzielili się także nią. Dlaczego by nie? Benny skorzystałby z podobnej okazji bez wahania. Skorzystała więc i ona, na ciepłym piasku żółwiej plaży, a potem nigdy już nie było między nią i Bennym tak samo. Do tego momentu starali się dzielić z sobą wszystkimi swoimi seksualnymi doświadczeniami i apetytami, ale tym jednym dzielić się nie chciała. To był błąd, samobój, coś, co uświadomiło jej, że może ma ciało kobiety, ale jeszcze brakuje jej właściwej oceny sytuacji co do tego, jak je wykorzystywać. A także oceny Benny'ego. Nie chciała o tym rozmawiać. On zaczął więc robić się obsesyjnie zazdrosny, zadręczać się wspomnieniem o niej wijącej się z rozkoszy w świetle księżyca, i kłócili się przez całą drogę powrotną na ostatni rok studiów, który spędzili oddzielnie.

Potem, dużo później, jakby w innym życiu, poznała Joha. Nie chciała się w nim zakochać, usiłowała temu zapobiec, ale stało się. A kiedy po tych wszystkich latach znów spotkała Benny'ego i Joh zobaczył udrękę malującą się na ich twarzach, wiedział. Nikogo nie obwiniał i okazał zrozumienie, gdy Benny postanowił wyjechać, by pokierować biurem w Sztokholmie, i rzadko ich odwiedzał. Joh nigdy o nic nie pytał.

Jak bardzo różnił się od Francisa Urquharta. Urquhart zawsze szukał w innych słabości, które mógłby wykorzystać, prywatnych spraw, które, wydobyte na światło dzienne, zrujnowałyby im reputację. Dla niego każdy człowiek dużego formatu stanowił zagrożenie, które należało uciąć przy samej ziemi. Zaczęła sobie uświadamiać, że dla Urquharta nie było gór, pięknych skarp i przecinających je dolin, tylko płaski, opustoszały krajobraz, na który tylko on rzucał cień.

Dowiedziała się dzisiaj czegoś cennego. Francis Urquhart wydawał jej się niesłychanie atrakcyjny. Ale niezbyt go lubiła.

[6] Posłowie brytyjskiego parlamentu nie mogą bezpośrednio złożyć mandatu. Jeśli chcą zrezygnować ze stanowiska w Izbie Gmin, zostają mianowani, czysto teoretycznie, na urząd opłacany przez Koronę, a wtedy automatycznie ich mandat wygasa. Jednym z dwóch stanowisk stosowanych w tej procedurze jest rządcą królewski Chiltern Hundreds, okręgu w rejonie Chiltern Hills w południowo - wschodniej Anglii (przyp. tłum.).

Rozdział 35

W niebie nie ma demokracji.
Wydaje mi się, że Bóg ma tu słuszość.

Przekonali się, że nie da się zorganizować wielkiego marszu w trzy dni, ale w ciągu pięciu zdziałali cuda. Nowatorskość ich pomysłu w kampanii, której groziło wypranie z inicjatywy przez maszyny partyjne, zaowocowała kilkoma dość pretensjonalnymi materiałami w prasie i telewizji. Wydrukowano pięćdziesiąt tysięcy ulotek, których pośpieszny, mało ambitny styl miał w sobie czarujący powiew świeżości. Mała alternatywna agencja reklamowa przygotowała logo na koszulki z napisem „F.U. TOO”. Westchnął, kiedy je zobaczył, ale nikogo nie zniechęcał – gdyby impreza była na tyle niewielka, że byłby w stanie nad nią zapanować, to już by znaczyło, że przegrał. Tylko trasę w pełni kontrolował – na ile władze mu pozwalały. Marsz miał się zacząć na Albert Square przy ratuszu w Manchesterze i zakończyć na Trafalgar Square. Ponad dwieście mil w czternaście dni, a szczegóły przystanków pośrednich opracowywano niemalże na bieżąco, już podczas marszu. Ale maszerowali, i to się liczyło.

Tego pierwszego niedzielnego ranka ludzi przyszło znacznie mniej niż dwa tysiące, a pod względem zapatrywań politycznych stanowili

pstrokatą zbieraninę. W zdecydowanej większości byli to Cypryjczycy z rodzinami, ale znaleźli się także ekolodzy, wojujący wegetarianie, kilku przedstawicieli lobby antyłowieckiego, którzy przyszedli przedstawić petycję i zaraz poszli, kobieta, która studiowała z Makepeace'em, a teraz prowadziła komunę spod znaku wolnej miłości i kiełków lucerny gdzieś w Kumbrii, oraz trzech kandydaci z Partii Bobby Charlton na Prezydenta. Zjawiono się też wystarczająco dużo dziennikarzy i kamer telewizyjnych, żeby rzecz była warta zachodu. Przyszli popatrzeć, potriumfować, napisać artykuły ociekające protekcjonalnością i obłudą. „WOJOWNICZO Z MAKEPEACE'EM” – obwieścił „Telegraph” obok zdjęcia przedstawiającego trzech członków drużyny podnoszenia ciężarów Manchester Akropolis, którzy przekonywali kandydata Sunshine Brotherhood, żeby się z powrotem ubrał. Inni pisali o chaotycznych koalicjach, o tym, że Makepeace przywdziewa szaty w wielu kolorach. Ale pisali. A inni czytali. Dawało to Makepeace'owi szansę.



Bus Bojowy, jak go nazywano, był to specjalnie zaprojektowany autokar, wzmocniony kevlarem, z komorami przeciwpancernymi, który miał stanowić główny środek transportu dla Urquharta podczas kampanii. Daimlery z szoferami uznano za zbyt oddalone od zwykłego wyborcy – chociaż gdyby jakiś zwykły wyborca zdołał przedrzeć się przez kordon ochrony otaczający na każdym przystanku Bus Bojowy i dotknął czegokolwiek poza wycieraczką, uruchomiłby system alarmowy, który sprowadziłby na miejsce prawie tylu funkcjonariuszy wydziału specjalnego, ile decybeli wytwarzał. Bus przecinał teraz nocne powietrze w drodze powrotnej do Londynu i nic nie zakłócało spokoju premiera, może poza szeptem klimatyzacji oraz cichym

pomrukiem dochodzącym z przedniego przedziału, gdzie siedzieli asystenci analizujący przebieg kampanii w minionym dniu.

Wiec okazał się sukcesem – ani śladu krzykaczy na sali, dobre przemówienie i, Urquhart musiał to przyznać, jeszcze lepszy film, chociaż Mortima upierała się, żeby zmienić podkład muzyczny. Wieczór zrekompensował popołudnie – wizytę w fabryce, która produkowała sprzęt rolniczy, między innymi elektryczne ościenie do poganiania bydła. Jakiś gad z prasowego bagienka odkrył, że największe zamówienie na te funkcjonalne produkty nie pochodziło z żadnego koncernu rolniczego, tylko z Komendy Głównej Policji w Zairze. Gdzie łaskotano nimi opornych aresztantów w jądra. Urquhart postanowił, że przetestuje jeden z nich na kretynie, który załatwił tę wizytę.

Ale to było w wiadomościach o szóstej, a teraz, w głównym wieczornym wydaniu serwisów informacyjnych i w porannych gazetach, relacje miały być sensowniejsze. Całkiem niezły dzień, pomyślał, odpoczywając z zamkniętymi oczami w „wieżycze czołgowej” – wzmocnionym środkowym przedziale autokaru.

Ktoś pociągnął go za rękaw.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie premierze, telefon z Downing Street. Będzie potrzebny koder.

Kiedy podnosił słuchawkę, w jego zmęczonych kościach wezbrało niecierpliwe wyczekiwanie. Dzwonił jego prywatny sekretarz.

– Panie premierze, przejdziemy na bezpieczną linię?

Urquhart wcisnął czerwony guzik. Podczas ostatniej kampanii zorientowali się, że jakiś samochód śledzi trasę autobusu za pomocą nowoczesnego sprzętu monitorującego, w nadziei na wyłapanie rozmów z telefonów komórkowych i treści przesyłanych faksów. Był

rozczarowany, kiedy wyszło na jaw, że nie podsłuchiwała go ani opozycja, ani IRA – i jedno, i drugie podwoiłoby większość uzyskaną przez jego partię – ale po prostu wolni strzelcy z pewnego regionalnego biura prasowego. Przyznali się do popełnienia jakiegoś drobnego wykroczenia i dostali sto funtów grzywny, jednocześnie zarabiając kilka tysięcy na podzieleniu się szczegółami swojego przedsięwzięcia z „The Mirror”. Żywił dla ich inicjatywy coś w rodzaju podziwu, ale w jej wyniku jego urzędnicy przekazywali mu informacje równie niechętnie, co puszczali wiatry. Zawracanie mu głowy w trasie świadczyło o tym, że chodzi o sprawę pewnej wagi.

Słuchał uważnie przez kilka minut, niewiele mówiąc, aż rozmówca skończył, a on wyłączył telefon.

– Kłopoty? – zapytała Mortima ze swojego fotela po drugiej stronie autobusu, gdzie siedziała, podpisując listy.

– Dla kogoś tak.

– Dla kogo?

– To się okaże. – Oczy mu rozbłyły i otrząsnął się z zamyślenia. – Przyszedł komunikat z Cypru. Wygląda na to, że zarówno nasz wysoki komisarz, jak i ich prezydent Nicolaou żyją, mają się dobrze i są przetrzymywani w górach jako zakładnicy.

– Przez kogo?

Roześmiał się, autentycznie rozbawiony.

– Przez cholernego biskupa.

– Musisz ich stamtąd wyciągnąć.

Urquhart odwrócił się i przyjrzał Mortimie, która nie podzielała jego wesołości.

– Będzie dobrze, Mortimo.

– Nie, nie będzie – odparła. Tonem ostrym jak brzytwa. – Niekoniecznie.

W przyciemnionym nocnym oświetleniu autokaru raczej wyczuwał niż widział jej zdenerwowanie. Podniósł się i usiadł koło niej.

– Francis, może nigdy mi nie wybaczysz... – Przygryzła od wewnątrz miękki policzek.

– Nigdy nie miałem czego ci wybaczać – odparł, biorąc ją za rękę. – Powiedz mi, co cię martwi.

– Chodzi o Bibliotekę Urquharta i jej finansowanie. Robiłam przygotowania...

Skinął głową.

– Załatwiałam fundusze.

– Jestem zachwycony.

– Francis, zawarłam układ z prezydentem Nuresem. Jeśli mogłabym mu pomóc w osiągnięciu decyzji arbitrażowej satysfakcjonującej stronę turecką, on wpłaciłby honorarium za konsultacje na fundusz biblioteki.

– Mamy taki fundusz?

– W Zurychu.

– A ty... pomogłaś w osiągnięciu satysfakcjonującej decyzji?

– Nie wiem. Rozmawiałam z Watlingiem, ale nie mam pojęcia, czy to coś pomogło. Sęk w tym, że Nures też nie wie. Powiedziałam mu, że to załatwiłam, a on jest zachwycony.

– Jak duży to zachwyty?

– Dziesięć milionów dolarów.

– Kropla w oceanie ropy.

– Takie układy to normalna praktyka biznesowa w tej części świata...

- Znalezne.

- ... i mam podpisany przez niego list potwierdzający nasz układ. On ma taki list podpisany przeze mnie. Gwarancja naszych działań w dobrej wierze. Żadnych kopii. Tylko jego egzemplarz i mój. Nikt inny nie wie.

Urquhart zastanowił się nad tym, co właśnie usłyszał, składając palce w wieżyczkę, jakby porozumiewał się z jakimś wyższym autorytetem. Wydawało się, że znalazł jakąś odpowiedź. Odwrócił się powoli z powrotem do żony.

- To na czym polega problem?

- Zawarłam też układ z żoną prezydenta Nicolaou.

Pokręcił zdezorientowany głową.

- Podeszła do mnie na spotkaniu żon parlamentarzystów Wspólnoty Narodów. Zawsze się dobrze dogadywałyśmy na tych imprezach w poprzednich latach. Właśnie wróciła z Paryża, ma tam dobre kontakty, może kochanka, nie jestem pewna. W każdym razie słyszała pogłoski o ropie, bardzo konkretne pogłoski, zaczęła mówić, jakie to ważne dla jej biednego kraju. I dla pewnych potwornie bogatych koncernów naftowych w Paryżu. Jak wdzięczni byliby i jedni, i drudzy za pomoc... No i zawarłyśmy układ. Miałam postarać się pomóc, bez żadnych gwarancji. Zapłata tylko, jeśli będzie efekt. Nic nie dostanę, jeśli Grecy stracą te wody, nic, jeśli nie znajdą ropy. Dwa warunki. Wszystkie sprawy miały być załatwiane przez nią, tak żebym nigdy nie musiała spotykać się z nikim innym, a moje nazwisko nie zostanie ujawnione ludziom w Paryżu.

- Bardzo rozsądnie. A drugi warunek?

- Cztery miliony dolarów.

- Musiała być głęboko rozczarowana decyzją komisji.

- Wyplakiwała się na moim ramieniu, a ja na jej.
 - Jej mąż wie?
 - Nie. Jest oderwanym od życia naukowcem...
 - Jest greckim politykiem.
 - Nie wiedział, jestem pewna. Pojawiłoby się wtedy zbyt wiele pytań o jej... jakby to ująć? Przyjaciół w Paryżu.
 - W takim razie co cię martwi?
 - Jeszcze jeden list. Ode mnie do niej. Który podobno zostawiła w sejfie w pałacu prezydenckim. Teraz nie wie, kto go ma, ani czy w ogóle jeszcze istnieje.
 - To duża szkoda – powiedział powoli i bardzo poważnie. Możliwe konsekwencje były aż nazbyt oczywiste.
- Umilkła na chwilę, spuściła wzrok.
- Usiłowałam znaleźć odpowiedni moment, żeby ci powiedzieć. Nienawidzisz mnie?
- Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, aż w mroku nocy podniosła wzrok i ich oczy znów się spotkały.
- Mortimo, wszystko, co zrobiłaś, zrobiłaś dla mnie. Wspiąłem się tak wysoko, bo zawsze byłaś przy mnie. Wszystko, co osiągnęliśmy, osiągnęliśmy razem. Nie mógłbym do ciebie czuć niczego, czego nie czuję też do siebie. Kocham cię.
- Jej oczy wypełniły się wdzięcznością, ale nadal lśnił w nich zimny błysk strachu.
- Ale Francis, ten list może wpaść w niepowołane ręce. To by mnie zniszczyło. A razem ze mną ciebie.
 - Gdyby wpadł w niepowołane ręce.
 - Zdajesz sobie sprawę, co trzeba zrobić? Musimy mieć pewność, że list jest bezpieczny. Musimy odbić prezydenta. Posłać tam wojsko.

Stawić czoło cypryjskiemu motłochowi. Użyć wszelkich koniecznych środków i siły.

- Ale czy nie rozumiesz, Mortimo? Właśnie to cały czas planowałem zrobić.



Byli przygotowani na atak. Jakoś się zorientowali – może dzięki niespodziewanej prośbie o udostępnienie wszystkich taśm z ostatnimi programami albo jakiemuś nierozważnemu słowu, które padło w rozmowie telefonicznej z jednym z urzędników z Rady Radiofonii w Holborn, bo kiedy jej samochód wraz z trzema policyjnymi furgonetkami podjechały przed budynek przy Bush Way 18, drzwi były zabarykadowane, a wybuch emocji, który zalał fale eteru – godny powstania węgierskiego z 1956 roku. Nie za sprawą Franco, oczywiście. Kiedy tylko zaczęło zanosić się na kłopoty, dał nogę, sugerując, że wdanie się w przepychankę z urzędasami może mu przeszkodzić w zajęciach na Uniwersytecie Otwartym. A przydałby im się ten Franco, wepchnęliby go do metalowej szafki, którą zablokowali drzwi, miałyby większy balast.

Opór mógł być tylko symboliczny: za dużo było okien, zbyt wiele rąk na zbyt wielu dwuręcznych młotach. Londyńskie Radio Cypru zeszło z anteny, kiedy jeden z policjantów kopniakiem wyważył drzwi do studia, po czym z uprzejmym „Przepraszam pana” sięgnął do przełącznika i wyłączył prąd. Jednocześnie udało mu się ukłęknąć producentowi na palcach, chociaż nigdy nie ustalono, czy przypadkowo, czy umyślnie.

Najpierw jednak podekscytowany Cypryjczyk zdołał wydobyć z siebie ostatni wyraz sprzeciwu. Okrzyk bojowy EOKA.

- Eleftheria i thanatos!



Kiedy Passolides wrócił tego popołudnia z targu, gdzie kupował świeże kraby i warzywa, przeszklony front jego restauracji był roztrzaskany w drobny mak, a zapewniająca odosobnienie kotara porwana na strzępy. Sąsiad powiedział mu, że podjechał jakiś samochód, wysiadł z niego facet z dwuręcznym młotem i bez widocznego pośpiechu spokojnie rozbił okno trzema uderzeniami.

Passolides nie zadzwonił po policję, nie ufał jej, ale i tak przyjechał tajniak, który machnął mu przed nosem legitymacją policyjną z niemożliwym do odcyfrowania nazwiskiem.

– Niewiele możemy zrobić, proszę pana – wyjaśnił. – Kłopot w tym, że tacy szczerzy do bólu džentelmeni jak pan w dzisiejszych czasach wystawiają się na ataki. Bardzo antycyprijskie nastroje się porobiły w niektórych kręgach, w końcu zaginął wysoki komisarz. Nie zdziwiłbym się, gdyby to się powtórzyło.

Zamknął notes, odsłaniając resztki kotary, żeby zajrzeć do środka.

– Swoją drogą, powiadomię inspektorów skarbowki, że jest pan gotowy na kontrolę, dobrze?



Francuski minister spraw zagranicznych studiował papiery przed mającym się niebawem zacząć spotkaniem w Brukseli. Było to coś więcej niż rutynowe posiedzenie Rady Ogólnej – miało wręcz pewien element dramatyzmu. Brytyjczycy będą się dzisiaj trochę płaszczyli, co zmusi tego odrażającego Bollingbroke'a do przyjęcia odsłoniętej pozycji, a Francuz nie mógł się doczekać, żeby ją wykorzystać. Dość się już nasłuchał od Anglika w ostatnich tygodniach. Cieszyła go okazja do pokazania, że wymierzanie kar nie jest wyłącznie anglosaskim przywilejem.

Z zadumy wyrwała go czyjaś duża dłoń, która klepnęła go w ramię.
– Allo, Allen.

Niech go szlag. Bollingbroke zawsze zangielszczał jego imię, nie chciał go wymawiać poprawnie.

– Czekam z niecierpliwością na dzisiejsze spotkanie, Allen. No wiesz, uzyskanie waszego poparcia w sprawie tego Cypru.

– To skomplikowany problem. Czuję, że pośpiech byłby niewskazany...

Ale Anglik już mówił dalej, już go zagłuszył. Jakby buldożer usiłował kosić trawę.

– Może się zrobić gorąco. Może będziemy musieli wysłać tam wojsko. Ale tak sobie pomyślałem, Allen. Co wy powinniście zrobić. Zaproponujcie nam trochę swoich oddziałów, taki międzynarodowy gest. W końcu próbujemy rozwiązać międzynarodowy problem. Przywrócić porządek i demokrację na Cyprze. Zajęlibyśmy się nimi, dopilnowalibyśmy, żeby nikomu nic się nie stało.

– Nasi żołnierze z pewnością sami potrafią o siebie zadbać – nastroszył się dumnie Francuz – ale czyżbyś sugerował, żebyśmy dali wam francuskie oddziały, by pomóc wam Anglikom zrobić coś z tym pasztetem, w który się wpakowaliście?

– No właśnie.

– Nie ma mowy!

– Zdziwiasz mnie – odparł Bollingbroke, ze zdumieniem marszcząc czoło. – Myślałem, że skwapliwie skorzystasz z oferty. Przecież to dla was Francuzików szansa, żeby dla odmiany znaleźć się po stronie zwycięzców.

Jeszcze raz z rozmachem położył rozmówcy dłoń na ramieniu – żartobliwe klepienie, które w zamierzeniu, jak podejrzewał Francuz,

miało mu złamać obojczyk. Szyja francuskiego ministra przybrała barwę najlepszego burgunda, kiedy odrzucił na bok teczkę z notatkami. Wiedział, jak sobie poradzić na tym spotkaniu.

Przedstawiciel Francji był stanowczy i niewzruszony. Nie miał zamiaru ustąpić, a ponieważ większość pozostałych partnerów też nie miała na to szczególnej chęci, przepadł nawet tradycyjny mglisty, wykrętny kompromis. Każda prośba brytyjskiego rządu o wsparcie została odrzucona. Kategorycznie. Non! Żadnych oddziałów, nawet w symbolicznej liczbie, żadnych selektywnych sankcji, nawet żadnych słów zachęty i zrozumienia. Europa odwróciła się do Bollingbroke'a plecami.

Przez całe długie posiedzenie przekonywał, przypochebiał się, nalegał, groził, straszył najróżniejszymi tragicznymi reperkusjami, ale na próżno. Kiedy przyszło do głosowania, a on odstawał od reszty jak łodyga rabarbaru z Lancashire, tylko się uśmiechnął.

Nie mają pojęcia, pomyślał. W środku kampanii wyborczej Europa mówi „nie”. Opuszcza nas. Gdy waży się życie Brytyjczyków. Będzie znowu jak po ewakuacji Dunkierki. Będą wywieszać brytyjskie flagi na wszystkich osiedlach komunalnych w kraju i odmawiać w kaplicach pochwalne modlitwy na cześć Arthura Bollingbroke'a. I Francisa Urquharta, oczywiście. Tak jak przewidział F.U.

Byczo jak cholera.

Rozdział 36

Jeśli chcesz popędzić wielbłąda, wsadzasz mu kij w dupę, a im będzie większy, tym szybciej wielbłąd cię posłucha. Ja często sięgam po kij.

Był czwartek. Do wyborów zostały dokładnie dwa tygodnie.

– Obawiam się, panie premierze, że nie powinniśmy działać pochopnie. Tu chodzi o życie ludzi i, szczerze mówiąc, nigdy nie przygotowaliśmy się na taką ewentualność. Inwazję na Cypr, powiedzmy.

– Niech się pan nie martwi, generale, pomyślałem o tym za pana.

Zastępca szefa Sztabu Obrony (do spraw operacyjnych), generał broni sir Quentin Youngblood, odchrząknął. Nie był przyzwyczajony, żeby kwestionowano jego osąd w sprawach wojskowych ani żeby go poprawiano.

– Ale z całym szacunkiem, panie premierze, nie znaleźliśmy nikogo, kto mógłby nas poinformować o ukształtowaniu terenu i układzie pomieszczeń. Po prostu nie wiemy, jak ta prezydencka willa wygląda i jakim będzie celem.

– Nie szukajcie dalej, generale. Odwiedziłem ją kilkakrotnie, gdy służyłem na Cyprze. Kiedyś to był letni dom brytyjskiego gubernatora.

Raczej bardzo się nie zmienił, Cypryjczycy mają bzika na punkcie tradycji. Są zbyt bierni, żeby wprowadzać zmiany.

– Mimo wszystko jest tutaj tyle komplikacji politycznych. Muszę prosić o nieco więcej czasu na przygotowania.

Rozejrzał się po innych członkach gabinetu wojennego, szukając wsparcia. Minister obrony przekładał papiery, szykując się do zabrania głosu.

– Nie! – Urquhart walnął pięścią w stół w sali posiedzeń rządu. – Prosi pan o to, żeby dać temu cholernemu biskupowi więcej czasu. Czasu, w którym wzmocni swoją pozycję i podniesie koszty dla nas wszystkich...

Nie mówiąc już o zwiększeniu ryzyka, że list Mortimy wpadnie w niepowołane ręce.

– Ale są także problemy logistyczne. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby wdrzeć się tam na ślepo – zaprotestował Youngblood.

Urquhart potoczył wzrokiem po zebranej przy stole rządowej podkomisji COBRA, która miała zająć się „Operacją Suspensa”, jak ją nazwał. Oprócz Youngblooda siedzieli tu Bolligbroke jako minister spraw zagranicznych, a także minister obrony narodowej, prokurator generalny, który miał się wypowiedzieć w kwestii wymogów prawnych, oraz przewodniczący partii, który z kolei miał pomóc w prezentacji i sprzedaniu wielkiego zwycięstwa. Szefowie obrony, mamrocząc pod nosem, wyrazili zastrzeżenia co do włączenia przewodniczącego do tego grona, w obawie, że dwa tygodnie przed wyborami cała sprawa będzie się przez to wydawała zbyt uwikłana w politykę partyjną. Mieli całkowitą słuszość.

Booza-Pitt prosił, by włączono także jego, właściwie zebrał. Wiedział bowiem, że ta operacja przez cały czas trwania będzie

okupowała pierwsze strony gazet, i chciał znaleźć się tam wraz z nią. W prywatnym sekretariacie Urquharta zostawił błagalną wiadomość, w której podkreślał, iż jego wkład i udział jako szefa jednego z trzech głównych resortów jest sprawą kluczową. Urquhart miał jednak pracowity dzień i nawet nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

– Życie będzie musiało być pełne rozczarowań dla naszego chłopca – zauważył, zwracając się do swojego sekretarza. Ale przynajmniej Booza-Pitt nie należał do ludzi małego serca, jak co poniektórzy. Urquhart spojrzał generałowi prosto w oczy.

– Te problemy logistyczne. Jaką formę przybierają?

Youngblood wciągnął powietrze.

– Od momentu, kiedy opublikowano dość drastyczne doniesienia o rozmowach ministra spraw zagranicznych w Europie – Youngblood rzucił pełne wyrzutu spojrzenie siedzącemu naprzeciwko Bollingbroke’owi, zdeterminowany, by przerzucić winę na polityczne barki – część społeczności cypryjskiej traktuje nasze przygotowania jako równoznaczne z wypowiedzeniem wojny. Dowódca baz na Cyprze informuje mnie, że nastąpił znaczny wzrost okazywanej nam publicznie wrogości. To istotnie komplikuje każdą naszą potencjalną inicjatywę.

– I skomplikuje jeszcze bardziej, im dłużej będziemy zwlekać.

– Ale na tym etapie mamy za dużo niewiadomych. Nie mogę zagwarantować sukcesu.

– Nie może pan zagwarantować, że brytyjska armia spuści lanie cholernemu biskupowi? – rzucił Urquhart z ledwie skrywaną drwiną.

– Sukces to w moim przekonaniu osiągnięcie naszych celów bez niepotrzebnych ofiar śmiertelnych.

- Właśnie zwłoka grozi katastrofą. Trzeba mieć wyczucie czasu, generale. Na litość boską, prezydencką rezydencję dzieli od naszej bazy w Akrotiri niecałe dwadzieścia mil po dobrych drogach. Moglibyśmy tam już być, zanim herbata zdąży nam wystygnąć.

- Ale...

- Czy przy bramie Akrotiri czekają uzbrojeni ludzie, żeby przechwycić nasz konwój? Tego się pan obawia?

- Jest blokada...

- Nie, panie generale. Koniec z wymówkami. Czas nadszedł.

Nie odrywając wzroku od wojskowego, Urquhart sięgnął po czerwony telefon, który stał przed nim na stole, i podniósł słuchawkę do ucha.

- Z generałem dywizji sił powietrznych Rae.

- Panie premierze! - zaprotestował Youngblood, purpurowy na twarzy. - Droga służbowa i łączność prowadzą przeze mnie. Nie możemy pozwolić politykom ingerować w operację wojskową i...

- Generale, już pan jasno stwierdził, że jest to operacja polityczna w tym samym stopniu co wojskowa. Usiłuje pan odmówić premierowi prawa do omówienia sytuacji z dowódcą baz na miejscu?

Youngblood patrzył na niego wyzywająco, ale zachował milczenie, niepewny, na czym stoi. Generał dywizji sił powietrznych Rae był nie tylko dowódcą brytyjskich sił na Cyprze, ale pełnił także funkcję administratora terenów suwerennych baz, a więc de facto politycznego gubernatora terytoriów brytyjskich. Występował w podwójnej roli. Którą jednak odgrywał w tej chwili...? Podczas gdy Youngblood rozważał znaczenie kilkusetletniej konstytucyjnej etykiety i precedensów, łączność przeprowadzona drogą służbową poprzez kwaterę operacyjną w Northwood, a dalej za pośrednictwem satelity

nad Saharą, zadziałała bez zarzutu. W ciągu kilku sekund Urquhart miał na linii dowódcę i administratora w jednej osobie, rozmawiającego z nim z Episkopi w sercu bazy Akrotiri.

– Generale Rae, mówi premier, z sali posiedzeń rządu. Rozumiem, że trwa jakaś blokada pańskiej bazy.

Umilkł na chwilę, słuchając odpowiedzi.

– Rozumiem. Dwieście kobiet blokuje bramę wózkami dziecięcymi. – Rzucił Youngbloodowi spojrzenie jadowite jak język żmii. – Czy pańskim zdaniem przełamanie tej blokady wózków stanowiłoby zagrożenie życia brytyjskich żołnierzy?

Pauza.

– Też myślałem, że nie. W takim razie, panie generale, rozkazuję panu otoczyć kordonem willę prezydencką. Dopilnować, żeby biskup i zakładnicy nie mogli uciec, a nikt inny nie mógł dostać się do środka. Kordon ma być absolutnie szczelny. Wykonać natychmiast. Następnie ma pan czekać na dalsze instrukcje. Czy to jasne?

Urquhart zwrócił się do zgromadzonych w sali posiedzeń rządu:

– Panowie, czy jesteśmy tu zgodni?

Wszyscy utkwili wzrok w Youngbloodzie. Teraz, kiedy rozkazy zostały wydane, kwestionowanie ich byłoby zawodowym samobójstwem. Nie miałby innego wyjścia, niż podać się do dymisji. A, o czym Urquhart dobrze wiedział, nie był człowiekiem nierozważnym, skłonny do pochopnego działania. Generał najwyraźniej znalazł coś niezwykle interesującego wśród leżących przed nim papierów, bo zaczął je zachłannie studiować.



Kamerzysta wiedział, że coś się za chwilę zdarzy, bo przez całą noc zza ogrodzenia i z zabudowań Episkopi dochodził większy hałas, było

słysząc wykrzykiwane rozkazy, tupot nóg i warkot silników. Wyczuwał raczej niż dostrzegł zmianę w aktywności przy bramie, przyspieszenie tempa za zwojami drutu kolczastego, wyostrenie odruchów, jakby ociężały zapaśnik sumo miał zaraz rzucić się na przeciwnika. Kobiety też to wyczuły, zaczęły wołać dzieci, przytulać je mocniej niż zwykle, uspokajać się wzajemnie, mimo że w oczach miały niepokój i strach. Trzymajmy się razem, szeptały. Sukces poprzez solidarność. Związały i spięły łańcuchami wszystkie wózki i spacerówki, tak że rozplątanie ich zajęłoby z godzinę.

Ale „Stinger” Rae nie miał godziny.

Pierwszy ruch dało się zaobserwować o świcie: dwa pomalowane na oliwkowo pojazdy szybko podjechały i zahamowały z piskiem opon kilka cali przed bramą. Parę kobiet z przodu demonstracji wstało, żeby mieć lepszy widok – to w nie pierwsze uderzyły potężne strumienie wody z wozów strażackich, odrzucając je i przewracając. Wozy nie były skonstruowane specjalnie do tłumienia rozruchów, a dysze ich węży nie zostały ustawione na maksymalną moc, ale mimo to efekt użycia tych „środków łagodnej perswazji”, jak je potem nazwał rzecznik prasowy generała, był druzgocący. W niecałą minutę demonstracja przed bramą została rozpędzona w powodzi dziecięcych krzyków. Jeszcze nie skończyło się szlochanie w spływających spienioną wodą rynsztokach i na porośniętym trawą poboczu przy bramie, kiedy do akcji wkroczyły grupy wojskowych. Pierwsza usunęła drut kolczasty, odciągając go byle jak na bok, druga, złożona z sanitariuszy, rozbiegła się wśród kobiet i dzieci, żeby zająć się odniesionymi przez nie drobnymi urazami, otarciami i siniakami, a także wywołanymi w ten sposób waporami. Pod ręką była gorąca kawa i mleko. Trzecią grupę tworzyły funkcjonariuszki żandarmerii, które przeczesaly

poprzewracane, zalane wodą wózki, by sprawdzić, czy wszystkie są puste. Z jednej ze spacerówek wyjęły śpiące dziecko i przekazały je oszołomionej matce siedzącej na trawiastym poboczu. Po czym ogłoszono, że droga wolna.

Z pomrukiem silników Diesla wyłonił się długi wąż pojazdów, z falangą czterotonowych ciężarówek na czele. Uderzyły w płataninę wózków z prędkością dobrych trzydziestu mil na godzinę i zmiażdżyły je, sprasowały oponami. Za nimi jechały karetki, land rovery, wóz łączności oraz kolejne czterotonówki, przecinając barykadę jak sanie świeży śnieg. Zostawiły za sobą łzy dzieci i widok szlochających kobiet, które grzebały w szczątkach barykady, tak na wszelki wypadek. A także zachwyconego kamerzystę.

Konwój ruszył główną drogą przez wzgórza, minął tamę i musiał zwolnić na serpentynach czarnego asfaltu, wijących się przez piniowe lasy. Powietrze wyraźnie się ochłodziło, nawet w kabinach kierowcy czuli zapach żywicy, kiedy wrzucali coraz niższe biegi. Nie napotkali żadnego oporu. W sumie pięćdziesięciu trzech ludzi, dowodzonych przez podpułkownika Rufusa St. Aubyna, w tym siły szturmowe, czterech specjalistów łączności, oddział dywersyjny i sanitariusze. Na wszelki wypadek.

Po dwóch godzinach dotarli na miejsce. Skręcili z głównej drogi pod okiem olbrzymich, przypominających piłki golfowe kopuł radaru, dominujących nad najwyższymi punktami, i zjechali do wąwozu, między wysokie i smukłe jak maszty pnie sosen. Na szczycie u wlotu wąwozu zostawili dwóch ludzi i zwój drutu kolczastego, co w zupełności wystarczyło, żeby zabezpieczyć wąski wjazd. To samo zrobili na samym dole, tam, gdzie droga łączyła się z główną autostradą. A pomiędzy tymi dwoma punktami, na dywanie piniowych

nasion, pozostali żołnierze, niewidoczni z zielonego metalowego dachu willi, rozpierzchli się, by wybadać grunt i zapewnić sobie łączność.

W ciągu czterech godzin byli gotowi.



Tego wieczoru Makepeace, z Marią u boku, zorganizował wiec na południe od Stoke-on-Trent, miasta znanego z produkcji ceramiki. Długi Marsz trwał od pięciu dni i wkroczył w kluczową fazę. Zniknął urok nowości, a wraz z nim wielu ciągnących w ślad za nim ludzi, szczególnie tych, którzy przychodzili pogapić się i może trochę pozakłócać, ten typ, co lubi gromadzić się, by patrzeć, jak człowiek stoi na parapecie i grozi, że skoczy. Makepeace rzeczywiście skoczył, a ich interesował wyłącznie makabryczny efekt. Jednak przeżyli rozczarowanie. Makepeace się odbił.

Większość tych, którzy nadal z nim szli, skupiała się na tym samym co on celu – proteście. Zaledwie garstka podążała za nim przez całą drogę, ale wielu przyłączało się na jeden dzień, jeszcze więcej na godzinę lub milę, pchając wózki z dziećmi, niosąc transparenty, ochoczo przyjmując gościnę zapewnianą przez obwoźne kebabiarnie oraz lokalne greckie knajpy i sklepy. Jednak dzień po dniu tłum wyraźnie się przerzedzał. Osoby rozdające ulotki przed kolejnymi etapami trasy nie ustawały w wysiłkach, działając z niesłabnącą determinacją, ale ilość czasu antenowego, jaki media chciały poświęcić niekończącemu się, spokojnemu marszowi, była ograniczona, więc rozgłos, jaki zapewniały im wiadomości telewizyjne, zaczynał słabnąć. Aż do dziś.

W nowoczesnej wojnie największą przeszkodą w odniesieniu zwycięstwa często nie jest lufa karabinu wroga, lecz obiektyw kamery.

Sceny przedstawiające kobiety z dziećmi na rękach atakowane przez armię brytyjską strumieniami wody, przypominającymi miotacze płomieni, zdominowały popołudniowe wiadomości. Były to doskonałe, dynamiczne zdjęcia, które u wielu widzów wywołały zdziwienie i niepokój. Wielkie przygody w dalekich krajach składały się przecież ze zwycięstw nad dywizjami pancernymi albo ciemnoskórymi, kędzierzawymi dzikusami, a nie bezbronnymi dziećmi. Wojskowe pojazdy przemknęły przez barykadę z dziecięcych wózków jak wilki przez syberyjską wioskę, zostawiając za sobą spustoszenie, łzy i gniew.

A zatem do tego piątkowego wieczoru Makepeace zdążył znaleźć nowych popleczników swojej sprawy. Grecy Cypryjczycy zebrali się liczniej i z jeszcze większą determinacją niż dotychczas. Przyszli również ci, których przekonania polityczne opierały się na ideale zjednoczonej Europy, obrażeni przez Bollingbroke'a. Zjawiono się mnóstwo pacyfistów, machających sloganami „MAKE PEACE”, a także ci, którzy nie uważali się za zaangażowanych politycznie, ale oglądane w wiadomościach sceny kłóciły się z ich poczuciem przyzwoitości. Były transparenty, przemówienia, dzieci tulone w ramionach, zaimprovizowany koncert piosenek folkowych i pokaz cypryjskich tańców, a wszystko to niosło z sobą nowe zaangażowanie w sprawę Wielkiego Marszu.

O zmierzchu w parku śpiewali, trzymali się za ręce, byli razem. Unieśli w górę tysiąc migoczących świateł, których światło zmieniło park w pole diamentów, klejnotów nadziei, zdobiących twarze i dusze. Stojąc przed nimi na prowizorycznej scenie pod konarami wielkiego angielskiego dębu, Makepeace przemówił do swoich zwolenników, a także, szerzej, do narodu.

– Wyruszyliśmy w drogę, podobnie jak konwój w pewnym dalekim kraju, jednak bliskim dziś wszystkim naszym sercom, kraju zwanym Cyprzem. Ale ich i nasze cele są całkowicie różne. Kiedy oni grożą wojną, my mówimy o pokoju. Kiedy oni odpychają tulone w ramionach dzieci, my dla wszystkich otwieramy ramiona. Kiedy oni wierzą, że rozwiązanie polega na militarnej sile, my wierzymy, że polega ono na naszym wspólnym, pokojowym poczuciu celu. A kiedy oni wykonują polecenia Francisa Urquharta, my mówimy: „Nie! Ani dziś, ani jutro, nigdy więcej!”

I wielu ludzi, którzy oglądali go w telewizji albo słuchali jego słów w radiu, postanowiło do niego dołączyć.



Passolides śledził rozwój wydarzeń na ekranie swojego telewizora, czując się bardziej opuszczony niż kiedykolwiek przedtem. Jego dusza burzyła się na widok kobiet i dzieci pod brytyjskim ostrzałem, przewracanych i odpychanych, tak jak to pamiętał, niczym przez mgłę zagęszczaną romantycznymi opowieściami o cierpieniu, aż przestąpiły prawdę. Wspomnienia i opowieści płatają starcom figle.

Siedział sam w opustoszałej, zrujnowanej restauracji, z webleyem na stoliku przed sobą na wypadek, gdyby niszczyciele wrócili, i oglądał wystąpienie Makepeace’a. Dla wielu Cypryjczyków ten Anglik urastał do rangi bohatera, współczesnego Byrona, ale Passolides nie podzielał tego poglądu. Ten człowiek zabrał jego jedyną córkę, odebrał mu ją, wydarł. Nie poprosił, wzorem Greków, po prostu ją sobie wziął. Jak to zawsze robili Anglicy. A kim, do diabła, był ten Anglik, żeby rościć sobie prawo do wzniesienia sztandaru honoru, dzierżonego tak dzielnie przez Jorgosa i Eurypidesa oraz setki innych – sztandaru, który, gdyby nie okrutny los, przypadłby także Evangelosowi?

Dlatego pił i pluł na Makepeace'a, mimo że Francisca Urquharta nienawidził jeszcze bardziej.

Nagle usłyszał ich na zewnątrz, jak skrobią w prowizoryczną osłonę ze sklejki, zakrywającą stłuczone okna, kopią resztki szkła, rechoczą. Wrócili! Stary z rykiem rzucił się do drzwi, otworzył je z rozmachem i wypadł na ulicę. Zobaczył nie ludzi z młotami, tylko trzech wyrostków, ewidentnie w stanie wskazującym na spożycie, malujących sprejem graffiti.

– Zabiję was za to – poprzysiągł, robiąc krok w ich kierunku.

– Serio? Ty i czyja armia, pieprzony dumny dziadygo?

Cała trójka odwróciła się do niego w postawie konfrontacyjnej, pełna piwnej brawury.

– Jeden na trzech. Podoba mi się ten układ – zakpił jeden z nich.

– Parszywych Cyprosów i tak nie powinno tu być. To nie ich kraj – dodał drugi.

Już mieli się na niego rzucić, kiedy w słabym świetle latarni dostrzegli rewolwer, którym wymachiwał, i błysk szaleństwa w jego oku. Nie czekali, żeby się przekonać, czy broń jest prawdziwa, a jej walnięty właściciel nie żartuje.

Rozdział 37

Polityka jest znacznie uczciwsza od miłości.
W polityce spodziewasz się zdrady.

Na tyłach Downing Street, tam, gdzie mur otaczający ogród dochodzi do placu Horse Guards Parade, leży wąska uliczka w kształcie litery L, przy której znajduje się zamocowana w ścianie skrzynka. Wewnątrz niej biegnie wiele jardów przewodów British Telecom, a nieopodal w murze jest dziura, przez którą można poprowadzić kabel sygnałowy bezpośrednio na Downing Street. Kiedy się go podłączy – a wystarczą na to niecałe dwie godziny – można odbierać sygnały telewizyjne z dowolnego punktu na Ziemi.

Wojskowe potyczki dobrze wypadają na ekranie. To, co stacja Cable News Network zrobiła dla wojny w Zatoce Perskiej, ministerstwa obrony na całym świecie postanowiły zrobić dla wszystkich swoich późniejszych wojen – chociaż na mniej publiczną skalę niż CNN. Po przybyciu w góry specjaliści łączności St. Aubyna wyładowali z czterotonowej ciężarówki duże metalowe skrzynie, wyjęli z nich aparaturę sterującą, ustawili dwie zdalnie sterowane kamery w pewnej odległości po obu stronach willi, złożyli z części antenę satelitarną o średnicy dwóch metrów, po czym za pomocą kompasu namierzili

i połączyli się z satelitą Eutelsat na orbicie geostacjonarnej nad równikiem. Stamtąd sygnały testowe zostały przekazane do teleportu w londyńskiej dzielnicy Docklands, dalej do BT Tower naprzeciwko tawerny przy Maple Street, skąd odebrały je dwa monitory w sali posiedzeń rządu.

Francis Urquhart był prawie gotowy do prowadzenia wojny.



Ekran ożyły i pojawił się na nich obraz solidnej, bezpretensjonalnej trzypiętrowej willi ze szczelnie pozamykanymi okiennicami, stojącej pośród wysokich drzew, robiącej nieco komiczne wrażenie swoją jaskrawozieloną fasadą.

– Wygląda jak wiktoriańskie probostwo w zabiedzonej diecezji – mruknął Bollingbroke.

– I niemal dokładnie tym właśnie jest – odparł Urquhart. Odprawił techników, po czym podniósł słuchawkę czerwonego telefonu. – Proszę o raport, pułkownik St. Aubyn. Głośnik jest włączony, tak że słyszą pana pozostali członkowie COBRA, mamy też podgląd na monitorach.

– Teren został zabezpieczony, panie premierze. Jediną drogę dojazdową zablokowaliśmy. Okolica rezydencji jest dość niegościnna, zbocze góry porośnięte piniami i kolczastymi krzakami. Jednemu lub dwóm ludziom może udałoby się przedrzeć, ale całej grupy nigdy stamtąd nie wyprowadzą. Nie z kobietą i biskupem, sir. Mamy ich w potrzasku.

– Znakomicie. Jakiego spodziewacie się oporu?

– Trudno w tej chwili powiedzieć. Jak pan widzi na monitorach, willę otaczają różne inne zabudowania, które mogą zapewnić nam osłonę. Z drugiej strony nie jesteśmy jeszcze

pewni, czy w tych budynkach nie ma strażników, którzy mogliby nas zobaczyć, zanim uda nam się do nich dotrzeć. Będę musiał poczekać na zapadnięcie ciemności, żeby przeprowadzić pełne rozpoznanie. Jestem pewien, że nasze noktowizory pokażą nam wszystko, co musimy wiedzieć.

– Bardzo dobrze.

– Kłopot w tym, panie Urquhart, że sama willa jest starym, solidnym obiektem z kamienia, jakich już teraz nie budują.

– Tak, pamiętam.

– Znakomita pozycja obronna – ciągnął St. Aubyn. – Dach z blachy falistej, każdy dźwięk będzie jak uderzenie w bęben. Po jednej stronie przybudówki, w których mogą siedzieć strażnicy, po drugiej otwarty odcinek trawnika prowadzący do lądowiska dla helikopterów. Ziemia w całej okolicy zasłana suchymi sosnowymi igłami, więc odgłos jest taki, jakby się szło po płatkach kukurydzianych. Jeśli nie będą mocno spali, zorientują się, że podchodzimy, i to z dość daleka.

Youngblood chrząknął głośno, co graniczyło z bezczelnością, ale tej granicy nie przekraczało.

– Czy wasze telekomunikacyjne zabawki umożliwiają bezpośrednio skontaktowanie mnie z Jego Ekscelencją Biskupem? – zapytał Urquhart.

– Tak, jeśli każę szeregowemu Hawkinsowi wejść na słup telegraficzny i podpiąć się do jego linii telefonicznej. Potrwa to jakieś pięć minut.

– Proszę to zrobić.

Czekali, podczas gdy Hawkins podjął próbę zasłużenia na Zaszczytny Krzyż Lotniczy, a Youngblood jeszcze raz przedstawił swoje argumenty. Nie uda im się zaskoczyć przeciwnika, przekonywał

z naciskiem, nie mają na miejscu specjalnych oddziałów szturmowych. Muszą czekać, grać na zwłokę, uśpić czujność biskupa przez zmęczenie. Próba odbicia zakładników od razu byłaby szaleństwem, które raczej skończy się ich śmiercią niż uwolnieniem.

Na to wszystko Urquhart nic nie odpowiedział.

A potem nawiązano połączenie.

– Biskup Theophilos? Tu premier Francis Urquhart.

– Nareszcie. Co pana zatrzymywało? Czekałem na telefon od pana.

– Zatrzymywała mnie, drogi księżu biskupie, konieczność otoczenia kordonem wojskowym rezydencji, w której przetrzymuje ksiądz zakładników. Ten kordon już stoi. Jest ksiądz teraz moim więźniem.

W słuchawce rozległ się gromki śmiech.

– Proszę mi wybaczyć, panie premierze, zapomniałem, jak znakomite poczucie humoru wy Brytyjczycy potraficie zachować w obliczu nieszczęścia.

– Ale czas działa na moją korzyść, księżu biskupie. Te oddziały mogą tu zostać na całe tygodnie, miesiące, jeśli to będzie konieczne.

– Jeśli pan w to wierzy, panie Urquhart, to jest pan głupcem. Nie rozumie pan, co pan zrobił, sprowadzając tu swoje wojsko? Najechał pan Cypr, mój kraj. Już w tej chwili, kiedy rozmawiamy, fala oporu rozlewa się po wyspie. Nie znajdzie tu pan przyjaciół, a im dłużej będzie pan siedział na moim progu jak jakiś imperialistyczny tyran z dawnych czasów, tym bardziej wzmocni pan moją władzę i tym łatwiej będzie wygonić pana z tej wyspy na dobre. Nadszedł czas, by zamknąć niedokończone sprawy sprzed lat. Jak pan myśli, dlaczego, na Boga, siedzę tu i czekam na pana? Nie rozpoznał pan pułapki, którą na pana zastawiłem?

Nad Cypr nadciągał zmierzch, rzucając długie cienie i nagle nadając obrazowi z willi bardziej ponury odcień. Głos Urquharta przybrał zamyślony ton.

– Nie patrzyłem na to w tym świetle.

Minister obrony skrzywił się i szybko zakrył oczy dłonią, udając, że popadł w głęboką zadumę. Youngblood wyprostował się na krześle jak jego przodek Ezekiel sadowiący się na siodle przed bitwą pod Bałakławą, wybałuszając oczy w poczuciu słuszności. Salę dalej wypełniał metaliczny, ale wyraźny głos biskupa.

– Mam wystarczająco dużo wina na kilka tygodni, a jedzenia na całe miesiące, panie premierze. Nie śpieszy mi się. Och, no tak, byłbym zapomniał. Mam jeszcze czworo zakładników. Głęboko wierzę w życie wieczne na tamtym świecie. Nie będę miał żadnych skrupułów, żeby ich tam wyprawić w przyspieszonym tempie, jeśli choćby poczuje zapach skarpetek brytyjskiego żołnierza zbliżającego się do willi.

– Czy to po chrześcijańsku? – zaproponował Urquhart.

– Mamy na Cyprze takie powiedzenie: syn biskupa jest wnukiem diabła. Jesteśmy narodem księży i piratów, a mało kto potrafi odróżnić jednych od drugich. – Zaśmiał się.

Głos Urquharta stracił pewność siebie, wyraźnie przygasł.

– Nie musi dojść do przemocy, księżu biskupie. Nie chcę żadnych ofiar.

– Niestety, podejrzewam, że bez przynajmniej jednej się nie obejdzie, panie Urquhart.

– Kogo?

– Pana, mój drogi panie premierze. Ma pan... ile? Trzydzieści dni do wyborów? Nie wierzę, że Brytyjczycy będą chcieli ponownie zagłosować na premiera, który, przykro mi to mówić, zostanie

upokorzony przez cypryjskiego biskupa. Bo żądam, aby ogłosił pan przed wyborami zamiar wycofania się z waszych baz.

– Jak mógłbym się na coś takiego zgodzić?

– Ponieważ jeśli się pan nie zgodzi, wyślę do waszych gazet kawałki uszu pana Martina.

– Rozumiem.

– Mam taką nadzieję.

Urquhart umilkł na chwilę.

– Księżę biskupie, czy którykolwiek z tych warunków jest do negocjacji?

Pauza.

– Może czas. Wycofanie w ciągu pięciu lat, a nie natychmiast. W zamian za hojny pakiet pomocowy, oczywiście. Widzi pan, panie Urquhart, nie jestem człowiekiem nierozsądnym.

– Muszę się nad tym zastanowić. Niech da mi ksiądz czas do namysłu.

– Ma pan tyle czasu, ile dusza zapragnie.

Jeszcze raz się zaśmiał i przerwał połączenie.

Siedzący po drugiej stronie stołu sztywno wyprostowany Youngblood był ucieleśnieniem pogardy.

– Mówiłem panu, żeby czekać – syknął.

– A ja mówiłem, że czas działa na korzyść biskupa, nie moją.

– Ale powiedział pan, że potrzebuje czasu do namysłu...

– Nie muszę się zastanawiać, już wiem, co zrobię.

– Mianowicie?

Urquhart spojrział ostatni raz na obraz na telewizyjnym monitorze.

– Wykurzę tego drania ogniem.

Rozdział 38

Śmierć. Dla jednych to piękna przygoda, dla innych unicestwienie. Punkt widzenia w dużym stopniu zależy od tego, czyja to śmierć, i czy ją zadajesz, czy jesteś jej ofiarą.

– W sumie czworo zakładników. Trzech mężczyzn i jedna kobieta. Wszyscy w tym samym pokoju na dole. Wykryliśmy ich noktowizorami, panie premierze. Jak pan widzi, w ciągu dnia okiennice willi są zamknięte, ale w nocy niektóre otwierają, żeby wpuścić trochę powietrza. Doliczyliśmy się w środku siedmiu nieprzyjaciół, z biskupem włącznie, kolejnych trzech pełni wartę w budynkach gospodarczych.

– Metalowy dach, akustyczny jak bęben, solidne kamienne mury, zamknięte okiennice, drzwi prawdopodobnie zabezpieczone – zastanowił się Urquhart. – Gdybym poprosił pana o dostanie się do środka, pułkownika St. Aubyn, jak by pan to zrobił?

Na drugim końcu stołu w sali posiedzeń Youngblood zerwał się z miejsca.

– Pułkowniku, proszę czekać w pogotowiu – polecił Urquhart i przerwał połączenie. – Generale Youngblood. Ludzie wstają od tego stołu tylko po to, żeby wyjść.

- Ale to nie ma sensu! Musimy czekać. Zmęczyć ich psychologicznie. Zyskać na czasie, żeby ściągnąć specjalistyczny oddział SAS. Ludzie St. Aubyna to zwykła piechota, nie są przygotowani do zadań sił specjalnych. Nie mogą tam wejść na ślepo. W ogóle nie powinni.

- To pan jest ślepy. Biskup chce, żebyśmy czekali, grali na zwłokę. Już teraz będzie się organizował, a jutro przybędzie armia dziecięcych żołnierzy w wózkach, co da panu kolejną wymówkę, by zwlekać.

- Poczekajmy, zastanówmy się. Błagam pana.

- Wykorzystajmy właściwy moment, generale.

Urquhart jasno pokazał, że się nie ugnie, był niewzruszony jak skała, zdecydowanie zaciskał szczęki. Youngblood zrozumiał, że jego protesty na nic się nie zdadzą. Gniew w jego głosie zastąpiła pewna doza niesmaku.

- Co za demon panem kieruje?

- Polityczne przywództwo wymaga wielu ofiar.

- Ale od kogo? Jeden głupiec wrzuca kamień do stawu, a tysiąc młodych ludzi może zginąć, próbując go stamtąd wydobyć.

- Jeśli to pójdzie nie tak, to ja będę ofiarą, a pan będzie mógł zatańczyć na moim grobie.

- Już przytupuję w rytm muzyki.

Zniewaga spłynęła na Urquharta powoli, jak melasa, i wydarła zduszony okrzyk zdumienia z ust doradców wojskowych siedzących rządkiem za Youngbloodem.

Urquhart nawet okiem nie mrugnął.

- Nie powinien pan tego zaszyfrować, generale?

- Chciałem, żeby nie było między nami nieporozumień. Chyba już wiem, co o panu sądzić, panie Urquhart.

To powiedziawszy, zastępca szefa Sztabu Obrony (do spraw operacyjnych) wyszedł z sali.



– Dzień dobry, księżę biskupie.

– Ach, mój drogi panie Urquharcie. Kalimera. Wyspał się pan, mam nadzieję? Żadnych nieprzyjemnych snów?

– Spałem mało, ale miałem dużo czasu na przemyślenia.

– A czy dostąpię zaszczytu dowiedzenia się, do jakich wniosków te przemyślenia pana prowadzą?

– Do układu. Wymiany.

– Ale. Jest pewne „ale”. Już niemal słyszę te wszystkie warunki, które cisną się panu na usta. Niech pan uważa, żeby się nimi nie udławić.

– Warunki, które przedstawił ksiądz wczoraj, są niemożliwe.

– Chcesz grać na skrzypcach na własnym pogrzebie? – W słowach Theophilosa pobrzmiwała drwina.

– Chcę przeżyć, i to bardzo. Ale niech ksiądz pomyśli. Gdybym podał do wiadomości, że... jakby to ująć? ... że uznaję słuszne roszczenia Cypryjczyków w sprawie zwrotu terenów baz, i gdybym ogłosił swoje wnioski przed wyborami, to, jak ksiądz mówi, stanę się ofiarą. Stracę stanowisko. Czym jednak celom będzie to służyć? Nie waszym. Za tydzień od tego czwartku mielibyśmy nowego premiera, który nie czułby się zobowiązany do honorowania żadnych złożonych przeze mnie obietnic. Wręcz przeciwnie, prawdopodobnie wyniosłaby go na Downing Street obietnica zatrzymania całego terenu baz, co do cała.

– A ja zatrzymałbym waszego wysokiego komisarza. W kawałkach.

– Właśnie. Nikt by nie wygrał.

Biskup się zawahał. Jego karta atutowa wyraźnie zamokła i trudniej było nią zagrać.

– Sugeruje pan, że Brytyjczycy zachowaliby się jak szakale i złamali słowo. Jak już tyle razy im się zdarzało.

– Można to tak ująć.

W telefonie dało się słyszeć odgłosy energicznego siorbania jakiegoś gorącego płynu. Nastąpiła dłuższa pauza; biskup się zastanawiał.

– Mówił pan o układzie. Kontrpropozycja?

– Uwolni ksiądz wysokiego komisarza, a w zamian ja dam księdzu pisemne zobowiązanie w sprawie baz.

– Brytyjski papier! – rzucił szyderczo biskup.

– A także hojny pakiet pomocowy. Jestem gotów podejść do tego pakietu z dużą wyobraźnią, księżę biskupie. I potraktować go bardzo osobiście.

– Rozumiem.

– Musi ksiądz też zrozumieć, że umowy dotyczące pomocy i baz mogą być upublicznione dopiero po wyborach. Widzi ksiądz, potrzebuje mnie ksiądz na Downing Street, abym mógł wypełnić te obietnice. Musi mi ksiądz pomóc wygrać.

– Ale skąd będę wiedział, że się pan potem wywiąże?

– Będzie ksiądz miał mój podpis...

– To nie wystarczy!

– ... oraz znaczącą zaliczkę na poczet pakietu pomocowego w ramach gestu dobrej woli. W gotówce. Dostarczoną do rąk własnych, by powierzyć ją pańskiej opiece. Można to załatwić w ciągu kilku godzin.

– Zaczynam pana lubić, panie Urquhart. Wyczuwam w panu pokrewną duszę.

– Mamy wspólne interesy, księżę biskupie, a może nawet wspólne przeznaczenie.

– Początek wspaniałego romansu. – Theophilos się zaśmiał.

– Chyba macie na Cyprze takie powiedzenie, że każdy ciągnie kołdrę w swoją stronę.

– Ale przynajmniej wygląda na to, że będziemy dzielić z sobą łóżko...

Głos ucichł. W tle rozległy się jakieś hałasy, coś mu przerwało. Po chwili dało się słyszeć biskupa, który pytał szorstkim tonem, co też na ognie piekielne się dzieje. Zamęt. Po chwili Theophilos wrócił do telefonu.

– Urquhart, ty angielski sukinsynu. Co ty knujesz?



Góry Troodos to zielone serce Cypru. Strzeliste łańcuchy ciągnące się aż do szczytu Chionistra działają jak pułapka na chmury, zasysając wiatry ze wschodniego Morza Śródziemnego i przynosząc wybawienie od uciążliwego upału równin oraz obfitość wody, której mogłaby Cyprowi pozazdrościć większość śródziemnomorskich wysp. Ale nie zawsze tak jest w górach Troodos. Deszcz pada głównie zimą, natomiast podczas letnich miesięcy panuje susza. Cieniste polany między piniami spiekota zmienia w misy pyłu, leśne paprocie więdną, zwija się dywan kwiatów, który rozpościera się tu wiosną, i wychodzą spod niego wyschnięte na kość szczątki niegdyś obfitej roślinności. Liście i powalone pnie wyprażone niczym w garncarskim piecu przeobrażają się w podpałkę, a chłodne wiatry mogą stać się zwiastunem śmierci. Jedna iskra oznacza katastrofę.

Plecy gór Troodos swędzą od blizn i strupów dawnych pożarów lasu, milczącego świadectwa potęgi płomieni, których dźwięk i dym przypominają buchającą lokomotywę i które mogą przemieszczać się prawie równie szybko. Ludzie znający owe góry boją się tych płomieni.

Pierwsza smużka dymu zaczęła bić w niebo znad pobocza drogi biegnącej poniżej prezydenckiej rezydencji, na początku szlaku turystycznego prowadzącego do Wodospadów Kaledońskich. Niedopałek papierosa, promienie słońca skupione przez szkło niedbale rzuconej butelki, żar po uderzeniu pioruna – powodów mogło być wiele, ale rezultat tylko jeden. Cienka pajęczna nitka dymu błędziła po niebie jak kociak oddalający się po raz pierwszy od boku matki. Już szybko się powiększała, kiedy dostrzegł ją wartownik biskupa, stojący w oknie na trzecim piętrze willi. Zanim Theophilos zdążył wejść po schodach, żeby zobaczyć ją na własne oczy, pożar zbliżał się z rykiem lwa.



Gwałtownym ruchem podniósł słuchawkę.

– Co to za podstęp, Urquhart? Jakże głupio skazuje pan czworo zakładników na śmierć.

– Księżę biskupie, proszę posłuchać bardzo uważnie. Tylko ich ksiądz tknie, a obaj jesteśmy skończeni. Mnie będą obwiniać, a księdza zmasakrują. Nie miałbym wtedy wyjścia, musiałbym rozkazać moim oddziałom, by wkroczyły.

– Udaje pan, że to nie wy wznieciliście ten pożar? Łże pan!

– Na litość boską, chce mi ksiądz powiedzieć, że to pierwszy pożar lasu, jaki ksiądz widział? Mógł wybuchnąć na tysiąc sposobów, istotne, żeby go ugasić. Moje wojska już przystąpiły do gaszenia. Jeśli chce ksiądz opuścić rezydencję, załatwię bezpieczny transport...

- Zostajemy!

- Proszę bardzo, ale niech ksiądz nie rusza zakładników. Niech ksiądz pamięta, że w tej kwestii obronimy się albo przepadniemy razem. Stanowimy jedność.

- Urquhart, nie ufam panu. Ale pan może ufać mnie. Przysięgam na moje świątobliwe życie, że kiedy tylko zobaczę jakiegoś brytyjskiego żołnierza zbliżającego się do willi, wezmę jednego z zakładników i wyrzucę przez okno na najwyższym piętrze. Żeby pokazać panu, że działam w dobrej wierze. A jeśli nie utrzyma pan pożaru z dala od willi, przyjmę pańską ofertę transportu. Ale zostawię za sobą w popiołach kolejnego zakładnika. Słyszysz pan?

- Aż za dobrze. Nie ma jednak takiej potrzeby. Poinformowano mnie, że już lecą do was dwa helikoptery wyposażone w urządzenia gaśnicze. Rezydencja będzie bezpieczna.

- Niech się pan lepiej modli za własną duszę, jeśli tak nie będzie.



Helikoptery transportowe Wessex HC2 były starymi wołami roboczymi na wojskowym niebie, już dawno wycofanymi w większości innych części świata, gdzie zastąpiono je większymi, nowocześniejszymi maszynami, lepiej przystosowanymi do radzenia sobie na linii frontu. Cypr nie był jednak na linii frontu – przynajmniej do tej pory. Mieli tylko wessexy, ale do tego zadania były odpowiednie.

Lot z Akrotiri trwał niecałe piętnaście minut, nawet z ciężkimi zbiornikami gaśniczymi podczepionymi pod śmigłowiec 3-o Alpha i siostrzaną maszynę Bravo. Przeleciały w szyku nad tamą na rzece Kouris, która zawracała cenne szmaragdowe wody płynące w stronę morza i kierowała je ku betonowemu piecowi miasta Limassol. Warkot bliźniaczych turbin gazowych odbijał się od zboczy doliny, przez co

hałas niósł się znacznie dalej, obwieszczając ich przybycie, jeszcze zanim mieszkańcy wioski Mongari, Doros i Trimiklini zdążyli podnieść wzrok znad upraw winorośli i dostrzec helikoptery na niebie. Wzbiły się wyżej, czterołopatowe śmigła zachłannie zagarniały rzednące górskie powietrze, moment obrotowy się zwiększał, kiedy maszyny walczyły o utrzymanie szyku i prędkości, a załoga w pełnym napięciu oczekiwaniu wpatrywała się w widoczny przed nimi złowrogi, ciemny kłęb dymu, wyraźnie odcinający się na tle jasnego nieba.

Źródło wody znaleźli niecałe dwie minuty od epicentrum pożaru: pełne narybku baseny hodowli pstrąga. Jednym haustem każdy z wessexów zaczerpnął sto pięćdziesiąt galonów wody i całe jardy siatki ochronnej – pół roku pracy dla hodowcy, którego krzyki rozpacz i niezrozumienia utonęły w ryku wirujących łopat śmigła. Z ironicznym ukłonem podziękowania dwa wessexy zostawiły hodowcę we łzach frustracji i skierowały się w stronę prezydenckiej willi.



Zgodnie z poleceniem brata Dimitri sprawdził więzy czworga zakładników. Chcąc mieć pewność, że wszyscy są unieruchomieni i nie mają szans na ucieczkę, spętał im nie tylko górną część ciała, ale także nogi. Jak zawsze szczególną uwagę poświęcił Elpidzie, obmacując ją wzrokiem i muskając dłońmi bawełniany materiał jej bluzki, wodząc zgrubiałymi palcami wokół jej ud, ściskając, owiewając jej policzki kwaśnym od wina oddechem. Jego oczy miały szklisty blask, pulsowały adrenaliną i niepokojem.

– Zanim to się skończy, moja piękna, pokaże ci, z czego jest zrobiony prawdziwy mężczyzna – uśmiechnął się znacząco.

– Proszę, nie tak mocno, odcinasz mi krążenie w nodze.

Przykucnął przed nią, zdjął więzy, zadarł jej sukienkę wysoko nad kolana i zaczął masować mięśnie.

Elpida posłała mu plastikowy uśmiech, po czym kopnęła go prosto w krocze.

Dopiero gdy odzyskał oddech i przestał zwijać się z bólu, posypały się groźby. Jak to ją posiadzie, bez względu na to, co powiedział jego brat, i co zrobi z jej ciepłym, wilgotnym ciałem. Staął niepewnie na nogach, wciąż zgięty wpół, trzymając się kurczowo jedną ręką za krocze, podczas gdy druga odskoczyła w tył i z furią wymierzyła jej policzek. Jego pierścień wyłobił w jej skórze śliwkowe zadrapanie. Pochylił się nad nią z szyderczym grymasem, oczekując uległości. Jej ojciec krzyknął przestraszony.

Elpida miała łzy w oczach, ale jeszcze raz się uśmiechnęła i napluła Dimitriemu w twarz.

Już miał znów ją uderzyć, kiedy ktoś chwycił go za kołnierz i trzepnął po głowie. Dimitri upadł zaskoczony jak długi, a gdy się odwrócił na plecy, zobaczył stojącą nad sobą postać brata, z uniesioną groźnie ręką.

– Durniu! – warknął Theophilos. – Czy twój mózg nigdy nie wznosi się powyżej pasa?

Dimitri przygotował się, żeby mu odpyskować, Theophilos – żeby uderzyć, kiedy obaj zamarli, natychmiast zapominając o kłótni. Z oddali bowiem dobiegł ich grzmiący pomruk helikopterów.

Rozdział 39

Sumienie jest jak kamień, zawsze czyha, żebyś się o nie potknął.

Dwa helikoptery nadleciały na wysokości trzystu stóp, okrążając zbieraninę turystycznych sklepów oraz tanich restauracji przycupniętych poniżej szczytu i zniżając lot w wąwozie starych, poczerniałych pinii. Nawet z tak wysoka czuli gorąco buchające z bulgocącego pod nimi kotła ognia. Piloci z trudem utrzymywali panowanie nad sterami, kiedy podmuchy rozpalonego powietrza uderzały w spód kadłuba. Pożar się rozprzestrzenił, tworzył w górskim powietrzu niezliczone wiry i prądy, które rozchodziły się we wszystkich kierunkach, a w ślad za nimi podążyły płomienie. Pięły się w górę po zboczu. Podpełzały coraz bliżej willi.

Śmigłowiec 3-0 Alpha miał pierwszy zacząć zrzut. Pilota naprowadzał na cel członek załogi siedzący z tyłu. Nawet kiedy wychylał się na zewnątrz w objęciach specjalnej uprząży, trudno było mu określić dokładny punkt, w który mieli trafić. Z góry widać było tylko złowieszczy kłęb gęstego ciemnego dymu unoszący się nad płomieniami. Pierwszy zrzut będzie tylko ustaleniem celu, rozwianiem zasłony dymnej, aby zapewnić dobrą widoczność.

Helikopter Alpha zawisł na chwilę w powietrzu, żeby załoga zorientowała się w sytuacji, po czym ruszył zdecydowanie do przodu, przecinając krawędź natarcia ognia. Leciał z prędkością czterdziestu węzłów, a pilot zerkał nerwowo na licznik momentu obrotowego, bo musiał użyć niemal maksymalnej mocy, aby poradzić sobie z niefortunną kombinacją wysokości, nagłych podmuchów gorąca oraz ciężkiego ładunku, który zmieniał śmigłowiec z ręcznego morświna w nieruchawą kaczkę. Mógł spieprzyć transmisję, jeśli nie będzie uważał. Nie pomagało to, że był właściwie ślepy, gdyż ograniczone pole widzenia, jakie zapewniała kabina wessex, prawie całkowicie przesłaniały smugi dymu. Znajdował się w rękach Boga i swoich załogantów, z których jeden, wiedział to na pewno, wlał w siebie wczoraj wieczorem dodatkowy kufel guinnessa.

Załogant był mocno przypięty do poręczy i oparł jedną stopę na kole podwozia, żeby zyskać kilka cali zasięgu i widoczności.

– Na kursie. Na kursie. Dziesięć w lewo. Boże, gorąco jak cholera. Na kursie.

Śmigłowiec był w jego rękach, piloci wykonywali jego komendy, a on usiłował wypatrzeć właściwy punkt zrzutu. Podmuch wiatru uderzył w dym pod nimi, wyciął dziurę, przez którą załogant dostrzegł cel. Lepszego położenia nie znajdzie. Szarpnął linę, która uruchamiała zrzut ze zbiornika gaśniczego. Uwolniony od ciężaru wessex skoczył do przodu, kiedy pół tony wody zalało dwieście jardów kwadratowych lasu. Jednak w płomieniach stały już tysiące jardów.

Pierwszy wessex zdążył zawrócić w kierunku hodowli pstrąga, gdy śmigłowiec 3-0 Bravo zajął pozycję. Może naprowadzający załogant trochę się zawahał, bo z góry wydawało się, że trafił niemal dokładnie w tę samą część lasu co Alpha, zmarnowany zrzut, ale z dołu akcja

wyglądała spektakularnie: na chwilę lecąca ze zbiornika woda utworzyła na niebie wielkie łuki tęczy, zanim chmura dymu i pary znów zasnuła słońce. Nadzieja, gorąco, ciemność i kolejne płomienie odmierzały czas, kiedy uzbrojony na nowo w wodę wessex wrócił, by kontynuować szturm.

Las jednak dalej się palił. Pożar lizał go niczym język ognistej żmii, wściekły, wyzywający, ogarniał wszystko na swojej drodze, która prowadziła prosto do prezydenckiej willi.

A staw z pstrągami był już pusty. Musieli znaleźć nowe źródło wody, stracić kolejne cenne minuty.

Atak zaczynał słabnąć.



– Na litość boską, panie Urquhart, pali się niecałe sto metrów od willi.

Ton biskupa się zmienił. Znikła fanfaronada, zmieciona przez niepokój, kiedy patrzył, jak siły natury odpierają szturm helikopterów.

– Robią, co w ich mocy. Wezwano jeszcze jeden śmigłowiec z Akrotiri. – Jednak nawet Urquhart brzmiał jakby mniej pewnie. – Problem leży w znalezieniu odpowiedniego źródła wody.

– Dość twoich wymówek, Angliku!

– Niech mi ksiądz pozwoli ewakuować siebie i swoich ludzi. Daję księdzu słowo...

– A ja dałem panu swoje. Jeśli będę zmuszony się stąd wynieść, zostawię za sobą jednego z zakładników. Dokładniej, zakładniczkę. I to pan będzie miał jej krew na rękach.

– Co jeszcze mogę zrobić, księże biskupie?

– Niech się pan modli, do cholery. Na kolanach.

– Już zacząłem.



Ogień szalał zaledwie siedemdziesiąt metrów od willi, zbliżając się do niej nieubłaganie. Natknęli się już na ogrodzenie z drutu kolczastego wokół rezydencji i zmienili w stertę poczerniałych ścinków. Prądy konwekcyjne wyrzucały w górę rozżarzone węgielki, które szybowały w niebo, po czym opadały kaskadą na trawnik przed willą i odbijały się od jej metalowego dachu.

Śmigłowiec Bravo zrobił ostatni nawrót. Zrzucanie wody okazało się nieskuteczne, pobliskie źródła się wyczerpały. W geście, który śmierdział porażką, pilot wcisnął guzik i odrzucił zbiornik gaśniczy, a wraz z nim ostatnią nadzieję na ugaszenie ognia.

Theophilos patrzył na to wszystko z rosnącym niepokojem. Myślał, że jego plan jest niezawodny, że żaden człowiek nie będzie w stanie go popsuć. Nie przewidział, że przeszkodzi mu Bóg.

Kiedy wyglądał przez uchylone okiennice, ogarnął go ponury fatalizm. Ktoś zginie – ktoś musiał zginąć, dał na to swoje święte słowo. Zbliżał się moment decyzji. Zobaczył, że trzęsie mu się ręka. Schował ją głęboko w fałdach sutanny.

Spektakl jednak jeszcze się nie skończył. W momencie gdy biskup wyjrzał z willi, helikopter Bravo zatoczył łuk przed ścianą ognia, tak że znalazł się prawie wprost nad budynkiem. Powoli przesunął się do przodu, aż zawisł zaledwie pięćdziesiąt stóp nad ziemią, muskając kołami czubki sosen, i ustawił się między willą a zbliżającym się pożarem. Łopaty śmigła młóciły powietrze, posyłając w kierunku drzew prąd zstępujący o olbrzymiej sile. W bitwie otworzył się nowy front. Helikopter wypchnął do przodu ścianę powietrza, aż ta napotkała nadciągające płomienie i wywiązała się wojna wiatrów. Kłęby duszącego dymu i pyłu wystrzeliły we wszystkie strony,

pokrywając helikopter oślepiającą warstwą kurzu, popiołu i śmieci. Jadowite języki ognia wzbity się w górę, po to tylko, aby rozbić się o skoncentrowaną furię tysiąca pięciuset koni mechanicznych i wycofać się w popłochu. Śmigłowiec 3-0 Bravo nie zdusił płomieni, które odpełzły na bok, szukając nowych dróg, ale dzięki odwadze i umiejętnościom pilota, lecącego niemal na ślepo wśród dymu, obronił willę przed pożarem, podczas gdy Alpha i nowy helikopter, przysłany jako wsparcie, dalej zrzucały wodę ze zbiorników gaśniczych.

Wewnątrz willi zapanował potworny hałas. Siła wirujących śmigieł waliła w metalowy dach jak młot w bęben, zagłuszając wszystkie inne dźwięki i uniemożliwiając rozmowy. Stukotały okiennice, nasada kominowa zwała się z hukiem, blacha pokrywająca dach zaczęła odrywać się i łopotać, szaleńcza orgia hałasu mąciła myśli.

Theophilos przyglądał się temu wszystkiemu z okna na piętrze z szerokim uśmiechem ulgi. Pochód płomieni został zatrzymany, biskup czuł się teraz znacznie lepiej. Jednak nie będzie musiał nikogo zabijać.



Wybrali kwadratowe okienko, które prowadziło do ciemniejszych zakamarków willi, po stronie najbardziej oddalonej od ognia.

Willa, ich cel, została zaprojektowana ponad sto lat wcześniej przez francuskiego poetę Arthura Rimbauda, kiedy miał dopiero dwadzieścia kilka lat. Był doświadczonym człowiekiem jak na tak młody wiek, prowadził życie poświęcone przyjemnościom, picciu i sprośnym konwersacjom, utrzymując się ze swoich zajęć w charakterze przemytnika broni, podróżnika, handlowca, literata – i architekta. Jego projekty budynków były jednak zupełnie proste,

a prezydencka willa zawdzięczała przetrwanie raczej masywności kamienia, z którego została wykonana, niż swojej urodzie czy praktyczności. Kuchnia była szczególnie nieudana, wąska i ciemna, więc później ją przerobiono, dodając niedużą przybudówkę, do której światło wpadało przez niewielkie okno. Nie pasowało ono do innych okien w willi, w większości dużych, z pretensjami do elegancji. Okienko w przybudówce miało ledwie dwie stopy kwadratowe. A także jako jedyne w rezydencji było pozbawione okiennic.

Dokładnie wiedzieli, gdzie przetrzymywani są zakładnicy: w salonie na drugim końcu domu, patrząc od kuchni. Podejrzewali, że pilnuje ich przynajmniej czterech ludzi biskupa, a kolejnych trzech, z Theophilosem włącznie, zajęło pozycje przy oknach i obserwuje pożar. Przy odrobinie szczęścia mogli zlikwidować ich wszystkich.

Dowódcą oddziału szturmowego został kapitan Rupert Darwin. Miał trzydzieści dwa lata, był żołnierzem piechoty, bardziej niż wybitnymi osiągnięciami odznaczał się rzutkością i doświadczeniem człowieka, który służył w Ulsterze i Omanie, a także podczas misji ONZ w targanej konfliktami Nigerii. Skończył też tę samą szkołę co generał dywizji Rae – łączyło ich dalekie pokrewieństwo – ale to jego dwie tury w Specjalnych Służbach Lotniczych w Irlandii Północnej, a nie więzy krwi, najprawdopodobniej zadecydowały o wybraniu go do dowodzenia szturmem na willę. Sześciu zwykłych, lecz doświadczonych strzelców plus kapitan, po jednym żołnierzu na każdego nieprzyjaciela. Byli uzbrojeni w krótkie karabiny SA80, granaty dymne i hukowe. Z poczernionymi twarzami zbliżyli się do willi od strony najbardziej oddalonej od pożaru, z góry zbocza, a kamuflażowe kurtki zapewniały im wystarczającą osłonę wśród spowitych dymem drzew.

Podeszli na dwadzieścia jardów. Każdy krok sprawiał, że po stromym stoku osypywały się piniowe igły, mogące ich zdradzić. Czekali za spękanymi pniami sosen, aż dostali potwierdzenie, że trzy czujki pełniące straż w zabudowaniach gospodarczych zostały zlikwidowane – jak się potem okazało, żaden z tych wartowników nawet nie zaklął, tak zajęci byli śledzeniem rozprzestrzeniającego się pożaru. Przed oddziałem szturmowym stało teraz trudniejsze zadanie. Spojrzawszy ostatni raz na zamknięte okiennice, bojąc się, że za każdą z nich mogą kryć się obserwujące ich oczy albo złowroga lufa pistoletu, Darwin i jego ludzie wybiegli z za drzew i pokonali końcowy odcinek zbocza dzielący ich od ściany kuchennej przybudówki. Nie rozległ się żaden krzyk, nikt nie zaczął wołać na alarm, nikt nie strzelił – nie było słychać niczego poza hukiem śmigła, który nawet z przeciwległej strony budynku brzmiał tak, jakby stali w samym środku lawiny.

Darwin przysunął się do okna, przyciskając plecy do ściany. Czuł strużkę potu ściekającą mu wzdłuż kręgosłupa. Teraz miał nastąpić najgorszy moment, kiedy wszystko się zacznie, punkt bez powrotu w tej operacji, a jego życie będzie zależało od lekcji wyciśniętych z tysiąca lat historii wojskowości. Oraz od mnóstwa szczęścia. To chwila, gdy trzeba zapomnieć o strachu i modlić się, że to twój dzień, by przeżyć. Wziął głęboki wdech, wiedząc, że może to być jego ostatni, i odwrócił się do okna.

Kuchnia była pusta – oczywiście, kto by chciał pić kawę w takim momencie? Szczęście go nie opuszczało, od razu poczuł się lepiej. Nie mogli jednak ryzykować, że ktoś usłyszy brzęk tłuczonego szkła. Zakleili taśmą i wycięli diamentem fragment szyby, tworząc otwór, przez który można było odsunąć zasuwkę. W niecałe trzydzieści

sekund okno zostało otwarte. Po kolejnych trzydziestu Darwin i dwóch innych żołnierzy było już w środku, a pozostali dołączyli do nich jeden za drugim.

W wąskiej kuchni nie było gdzie się schować ani dokąd uciec, zmieniłaby się w pole śmierci, gdyby chociaż jeden z ludzi biskupa stawiał im czoło w tak ograniczonej przestrzeni. Musieli się stąd wynosić jak najszybciej. Ale oto już przeszli i znaleźli się w jadalni z ciemnymi, eleganckimi meblami. Na stole leżały brudne talerze, resztki sera i okruszki chleba, owoce, kilka pustych butelek po winie, zgniecione paczki po papierosach, a na kredensie – dwa pistolety maszynowe i pudełka z amunicją. Z olejnego portretu patrzyły na nich oczy Makariosa, ciemne i posępne, ale żadnych innych oczu tutaj nie było.

Wewnątrz willi hałas wydawał się jeszcze bardziej bezlitosny, huk odbijał się echem od kamiennych ścian, aż głowy zaczęły im pękać z bólu. Porozumiewanie się za pomocą słów było niemożliwe, wszystkie komendy kapitan wydawał pstryknięciem palców, według planu bitwy drobiazgowo opracowanego w poprzednich godzinach. Wiedzieli, że za jadalnią znajdują główny hol prowadzący do frontowych drzwi, obok których przy na wpół otwartych okiennicach powinna stać czujka. Facet był tam przez cały rano, niech go diabli, jeśli się ruszył w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Na szczycie ciągnących się z holu schodów, na ostatnim piętrze, spodziewali się natknąć na kolejnego wartownika. Biskup miał się znajdować na środkowym piętrze, w największej sypialni z widokiem na pożar. Za holem na parterze był salon, a w nim czworo zakładników oraz – jak mieli nadzieję – pozostałych czterech nieprzyjaciół. Wszyscy do sprzątnięcia. Być może. Po jednym na każdego.

Człowiek stojący na czujce przy drzwiach frontowych był kluczem, który, kiedy się go przekręci, otworzy przejście na schody i dostęp do salonu. Ale nie mogli sobie pozwolić na strzały, na żaden hałas mogący sprawić, że zamek się zatnie.

Dębowe drzwi jadalni uchylły się bezszelestnie. Darwin uśmiechnął się ponuro. Student teologii, który przeobraził się w bojownika o wolność, musiał za dużo czasu poświęcać teorii, bo jego umiejętności praktyczne okazały się żałośnie niewystarczające. Zaciągał się papierosem, a pistolet maszynowy położył na krześle o dobry krok od okna, krok, którego nigdy nie miałby szansy zrobić. Zanim zdążył się choćby odwrócić, sierżant z oddziału szturmowego już przystawił mu ostrze bagnetu do żyły szyjnej i zakrył mu usta dłonią. Facet na czujce zamarł, oczy wypełnił mu strach, czubek bagnetu przebił skórę na jego gardle, kiedy przetykał ślinę. Upadł na kolana, jakby się modlił. Jeden z głowy.

W głębi duszy Darwin wiedział, że szturm na salon nie może być aż tak prosty. Kluczowe znaczenie miało usytuowanie zakładników. Jeśli wszyscy byli oddaleni od swoich prześladowców, można by zaryzykować wymianę ognia. Zajrzał do środka przez szparę w drzwiach i zaklął. Jeden ze strażników siedział tuż obok zakładników, twarzą do okna, przy którym na tle jaskrawego światła, ramię przy ramieniu, przepychając się, żeby lepiej widzieć, stało dwóch pozostałych. A powinno być trzech.

Zakładnicy płci męskiej siedzieli związani w rzędzie, także twarzą do okna, ale młoda kobieta znajdowała się za ich plecami i była zwrócona w stronę drzwi. Policzek miała czerwony i rozharatany, a przy rozchełstanej bluzce brakowało oderwanych dwóch guzików. Jednak w ciemnych oczach czaiła się iskra, która rozbłysła, kiedy

dziewczyna zobaczyła uczernioną twarz Darwina. Położył palec na ustach. Zamknęła oczy, zdobyła się na słaby uśmiech.

Butów na gumowej podeszwie w ogóle nie było słychać na dywanie. Siedzący strażnik został powalony ciosem zadany kolbą karabinu, wydając tylko stłumiony jęk, gdy padał na podłogę. Mężczyźni stojący przy oknie nie zareagowali, tak przemożny panował hałas. Dwaj żołnierze ustawili się jako żywy mur między strażnikami a zakładnikami, kolejnych dwóch podeszło do tych przy oknie. Lufa w plecy. Strażnicy zeszywnieli z trwogi. Jeden pogodził się z losem, podnosząc pośpiesznie ręce i rzucając broń, lecz drugi obrócił się gwałtownie, z determinacją i nienawiścią w oczach, sięgając ręką do krótkiej lufy automatu. W efekcie zarobił tylko kolbą w twarz, a uderzenie złamało mu nos. Zbryzgany krwią, jęcząc, upadł na podłogę.

Darwin szybko upewnił się, że wszyscy zakładnicy żyją, chociaż Martin, w niewoli od prawie dwóch tygodni, wydawał się szczególnie zmizerowany i wyczerpany. Wszelkie próby wydobywania z nich informacji o tym, gdzie dokładnie przebywa biskup oraz pozostałe cele, spełzły na niczym. Najwyraźniej tego nie wiedzieli, a hałas uniemożliwiał precyzyjniejszą wymianę zdań.

Właśnie kiedy Darwin przepytывał wysokiego komisarza, jego uwagę zwrócił wyraz niepokoju, który nagle pojawił się na twarzy jednego z jego ludzi. Odwrócił się i spostrzegł, że uwolniona kobieta podniosła jeden z wielu poniewierających się wokół pistoletów i stoi nad powalonym strażnikiem z rozbitym nosem. Kopnęła go, żeby na nią spojrzeć. Przestał jęczeć, podniósł wzrok, ujrzał coś szczególnego w jej oczach, wyciągnął błagalnym gestem zakrwawioną dłoń.

Elpida pozwoliła mu płaśczyć się przed nią, aż zobaczyła, że jego twarz napina się ze strachu jak struna fortepianu. Wtedy strzeliła, roztrzaskując Dimitriemu prawą rzepekę kolanową na miazgę, złożoną ze skóry i fragmentów kości.

– Następnym razem, ty sukinsynu, przyczołgasz się do mnie na kolanach.

Dimitri zaczął spazmatycznie drżeć, kiedy rozpaczliwie usiłował objąć rękami rozharataną nogę, a każdy ruch sprawiał, że jego ciało przeszywał tysiącwoltowy ból. Wrzeszczał na całe gardło.

Takim gestem, jakby rozdawała napoje chłodzące podczas upalnego popołudnia na trawniku przed pałacem prezydenckim, Elpida wręczyła pistolet Darwinowi i poszła zająć się ojcem.

Kapitanowi zrobiło się niedobrze. Stracił kontrolę, plan gry się sypał. Wydawało się pewne, że ci, których nie zdążyli unieszkodliwić, musieli usłyszeć strzał i krzyki Dimitriego. Zakładnicy byli bezpieczni, ale zadanie nie zostało jeszcze skończone. A resztę będzie musiał zrobić sam.

Kiedy przyglądał się schodom, zaschło mu w ustach i zdrętwiał zaciskany wokół spustu palec. Nie wiedział, czego się spodziewać – informacje od Urquharta dotyczyły tylko parteru – a z podestu prowadziło zbyt wiele drzwi, każde mogły się nagle otworzyć i mogły paść z nich strzały. Jak na O'Mara Street nad rzeką w Derry, w zaniedbanym szeregowym domu z łuszczącą się tapetą i gołą podłogą, pewnego ponurego listopadowego dnia, gdy wysłano go, żeby zgarnął podejrzanego o członkostwo w IRA. U szczytu niewysokich schodów znajdowało się tylko dwoje drzwi, ale jedno z nich się uchyliło. Darwin się zawahał – czy to jakiś niewinny cywil, może dziecko, wychodzi z łazienki? Czy podejrzanym, który chce się poddać?

Odpowiedź przybrała formę kuli 5,56 milimetra, wystrzelonej z karabinu Armalite, która przeszła mu przez obojczyk, a następnie przez gardło osłaniającego go z tyłu kaprała. Obaj spadli ze schodów na sam dół, Darwin zwinięty w kłębek z bólu, patrząc prosto w martwe oczy swojego kolegi z oddziału. Wdowa po kaprale dostała rentę, Darwin – urlop zdrowotny i odznaczenie, a morderca z IRA – wyrok dożywocia, kiedy już się w końcu poddał. To było osiem lat temu; za niecałe dwa może zostać zwolniony warunkowo i znów chodzić po ulicach. Darwinowi przez wiele miesięcy śniły się oczy martwego żołnierza, patrzące prosto na niego. To się już więcej nie powtórzy.

Wszystkim ludziom biskupa z wyjątkiem wciąż skręcającego się z bólu Dimitriego związano ręce z tyłu za plecami. Chwyił jednego, stojącego najbliżej, i popchnął go naprzód. Po schodach w górę. Jako żywą tarczę. Ubezpieczenie.

Wspinali się po stopniach, a Darwinowi dzwoniło w uszach. Im bliżej był blaszanego dachu i huku śmigła, tym bardziej czuł, że pęka mu głowa. Nawet drewniana podłoga drżała. Kawalek blachy obluzował się i zaczął metodycznie walić o strop w wytwarzanym przez helikopter prądzie zstępującym. Ogłuszający hałas. Jak serie ognia artyleryjskiego.

Na szczycie schodów skręcili w lewo, w ciemny korytarz, umeblowany jak jakiś wiktoriański pensjonat. Ryciny, obrazy olejne, abażury z wibrującymi łagodnie frędzlami, antyczne bibeloty. I drzwi, za dużo cholernych drzwi.

– Mówisz po angielsku? – Darwin musiał krzyknąć jeńcowi prosto do ucha.

– Zrobiłem magisterium na Uniwersytecie w Bristolu.

– Chcesz zginąć?

Jeniec pokręcił głową.

– To otwieraj drzwi. Bardzo wolno. I zacznij się modlić, żeby twoi kumple cię poznali.

Związał jeńcowi ręce tak, by ten miał je przed sobą, i skradali się korytarzem, Darwin popychając swoją żywą tarczę, aż dotarli do pierwszych drzwi. Jeniec ostrożnie przekręcił mosiężną klamkę, drzwi się otworzyły – a za nimi ukazało się nic groźniejszego niż wnętrze bielizniarki. Przez chwilę Darwin poczuł się jak głupek, ale szybko przypomniał samemu sobie, że przynajmniej jest głupkiem, który jeszcze oddycha.

Dalej naprzód. Za drugimi drzwiami była łazienka, za trzecimi – pusta sypialnia. Czas naglił, musiał się pośpieszyć. Darwin otarł pot, który zalewał mu oczy.

Następne drzwi uchyliły się niepewnie, bo wilgotna, związana dłoń jeńca ześlizgnęła się z wypolerowanego mosiądzu. Zrobiła się szpara, potem poszerzyła się o kilka cali. W środku przed nimi, odwrócony tyłem, wyglądając przez okno w pozie przypominającej pomnik latynoamerykańskiego wojownika, stał biskup. Trzy kroki za jego plecami, zachowując pełen szacunku dystans i też skupiając uwagę na widoku za oknem, był brakujący strażnik.

Ani jeden, ani drugi niczego nie słyszeli.

Z rosnącą pewnością siebie Darwin popchnął swoją żywą tarczę, a sam schylił się, żeby się za nią schronić, ale kiedy przeszli przez próg, jeniec trącił butem nogę krzesła, na tyle mocno, by je przewrócić. Strażnik przy oknie obrócił się, otworzył usta do krzyku, podniósł broń. Zobaczył żywą tarczę, rozpoznał swojego towarzysza i strzelił. Gdy Darwin odpowiedział ogniem, człowiek, którego trzymał przed sobą, drgnął gwałtownie, zrobił się ciężki i powoli opadł na podłogę.

Darwin zobaczył dwie dziury w jego piersi, wypełnione spienioną krwią, i poczuł jej ciepłe krople na swoim policzku.

Biskup już też się odwrócił, zaalarmowany nie tyle hałasem, ile faktem, że jego strażnik, wcześniej stojący w pewnej odległości za nim, teraz osunął się na podłogę pod oknem, z sercem rozerwanym na kawałki jednym nabojem.

Theophilos stanął twarzą w twarz z Darwinem, z wielką uwagą przyjrzał się dwóm ciałom na podłodze. Szukał jakichś możliwości wyjścia z sytuacji. Żadnych nie było. Nie dało się ukryć, że już po wszystkim. O jedną przygodę za daleko. Wzruszył ramionami, westchnął głęboko z rozczarowaniem i powoli podniósł ręce, tak że rękawy sutanny zsunęły się, odsłaniając jego ulubionego rolexa i białą jedwabną koszulę. Sylwetka z wyciągniętymi ramionami na tle bijącego z okna blasku słońca i pożaru przywodziła na myśl ukrzyżowanie.

Darwin otarł krew z policzka, tak jak to zrobił tamtego dnia w Derry. Kiedy oczy przyzwyczyły mu się do jasnego światła, dostrzegł, że Theophilos uśmiecha się cierpko.

– Poddaję się – szepnął biskup, a może krzyknął, nic nie dało się usłyszeć.

Darwin wpakował kulę prosto w górną część drewnianego krzyża wiszącego na jego sercu. Biskup, poderwany impetem strzału w górę, uderzył ciężko plecami w okno, które roztrzaskało się na kawałki niczym eksplodująca gwiazda, pozostawiając po sobie jedynie ziejącą, martwą dziurę. Darwin zobaczył jeszcze tylko połę łopoczącej sutanny, parę sandałów i dwie jaskrawożółte skarpetki.

Urquhart miał rację. Przeprosił Darwina, kiedy tylko skończył opisywać mu za pośrednictwem łącza satelitarne rozkład

pomieszczeń w willi.

– Przeprasza pan, panie premierze?

– Tak, panie kapitanie. Biskup, jeśli zostanie pojmany żywy, z pewnością stanie przed cypryjskim sądem. Ma na Cyprze wielu przyjaciół. Podejrzewam, że prędzej wybiorą go na prezydenta, niż skazą. Nie radzimy sobie zbyt skutecznie z terrorystami, prawda?

– Rzeczywiście, sir.

– Pamiętam, jak sam byłem żołnierzem na Cyprze, wykonującym takie zadania, jak pan teraz, walczącym z terrorystami EOKA. Arcybiskup Makarios był wtedy ich przywódcą, płacił im z funduszy kościelnych, wydawał im rozkazy. Zabijali nie tylko naszych żołnierzy, ale także wielu brytyjskich cywili, w tym kobiety. Wiedzieliśmy o tym, nawet go zamknęliśmy na wygnaniu. A potem pozwoliliśmy mu zostać prezydentem Cypru. Jesteśmy zbyt miękcy, kapitanie.

– Tak jest, sir.

– Nawet jeśli go na chwilę zamkną, nic się tym nie wskóra. Jak z jajem żmii. Kiedy odłoży się je na bok, zagrożenie tylko wzrośnie, bo w końcu wykluje się z niego coś jeszcze bardziej niebezpiecznego i zmutowanego. Zawsze uważałem, że z jajem żmii można zrobić tylko jedno.

– Co takiego, sir?

– Zgnieść je, kapitanie.



Oglądali wszystko na monitorach. Cienie przemykające między lasem a oknem kuchni. Krótkotrwałe zamieszanie przy okiennicy koło frontowych drzwi. Coraz bliższy pożar. Ciemny kształt wylatujący z okna na pierwszym piętrze i padający na ziemię jak worek węgla.

Czworo wdzięcznych zakładników cieszących się blaskiem słońca po raz pierwszy od wielu dni.

Cudownym sposobem zduszono też pożar – celność i skuteczność akcji gaśniczej z powietrza poprawiła się równie szybko, jak sytuacja w willi.

Ku prywatnemu zachwytowi Urquharta wrócił Youngblood, na rozkaz swojego zwierzchnika, który naciskał, że bez względu na to, jak niezdalnie nierozsądny jest premier i jak bardzo

się wtrąca, przedstawiciel armii musi być na miejscu, aby doradzać, a w razie potrzeby wnieść sprzeciw. Nawet teraz, gdy Urquhart szczycił się zwycięstwem, spór się jeszcze nie skończył.

Wojskowi, od dowództwa w sali posiedzeń rządu aż do St. Aubyna na miejscu, radzili natychmiast przetransportować uwolnionych zakładników do gwarantującej bezpieczeństwo bazy Akrotiri. Ale Urquhart znów powiedział „nie” i uparł się przy swoim. To nie była już tylko sprawa militarna, stała się całkowicie polityczna, a polityka wymagała, by zaprezentować zwycięstwo wszem i wobec ku chwale prawowitego rządu prezydenta Nicolaou i pognębieniu jego wrogów. Przyczajenie się za brytyjskim drutem kolczastym przekreśli całą świeżo zdobytą przewagę prezydenta.

Urquhart zarządził więc, że wyczerpany Nicolaou i pozostali mają odpocząć przez noc w pobliskim hotelu, a następnego ranka, w niedzielę, St. Aubyn powinien przygotować się do przewiezienia ich w konwoju nie do brytyjskiej bazy, lecz do Nikozji, siedziby rządu i władzy. Do mediów, które rozgłoszą wieść o zwycięstwie po całej wyspie. Do symbolicznych ruin pałacu prezydenckiego. Do upokorzenia wszystkich wrogów. I do listu Mortimy, gdziekolwiek by się znajdował.

Poza tym, w celu zmaksymalizowania rangi zwycięstwa, Urquhart zapisał sobie w pamięci, by dopilnować, żeby była tam każda stacja telewizyjna i każdy kamerzysta, jakich tylko jego sztab zdoła ściągnąć.



Dopiero kiedy zapadał zmierzch, a z okolic willi sprzątano ostatnie ślady niewoli i szturm, Urquhart uświadomił sobie, z pewnością, która zmroziła mu serce, że coś poszło nie tak. Ściemniało się, słońce zachodziło, długie cienie kładły się na ziemi – tak jak tyle lat wcześniej na stokach tamtej góry. Urquhart przyglądał się scenie swojego triumfu na monitorze, gdy jakiś rozżarzony węgielek, ożywiony pieśczołą chłodnej wieczornej bryzy, spadł na wysuszoną korę sosny, ułożył się tam, rozpalil na nowo. Kiedy Urquhart patrzył i wspominał, drzewo stanęło w płomieniach.

Historia zatoczyła koło. Cykl życia wypełnił się, skończył. Gdzieś poza monitorem Urquhart zobaczył zwęglone, oskarżycielsko wyciągnięte palce Jorgosa i Eurypidesa, wskazujące wprost na niego.

Rozdział 40

Strach wydobywa z człowieka to, co najlepsze, odziera z samozadowolenia i odsłania samą istotę. Ci, którzy boją się śmierci, nigdy w pełni nie żyli.

Zwycięstwo. Był to główny temat w sobotnich wieczornych wiadomościach, mimo że na razie nie dysponowano jeszcze zdjęciami, które zilustrowałyby materiał.

– Poprosiłem, żeby nie włączano mnie do oficjalnego gabinetu wojennego. Ludzie zaczęliby spekulować, że jestem szykowany na następcę... No wiesz, jako najmłodszy minister spraw wewnętrznych od czasów Churchilla. Jesteśmy w trakcie kampanii wyborczej, a nie wyścigu na szefa partii. Więc odmówiłem. Ale oczywiście Francis konsultuje się ze mną przez cały czas.

Booza-Pitt posłał swojej towarzyszce przy stole uśmiech świadczący o skromności, determinacji, osiągnięciach, mówiący: „Wiem, że chcesz wodzić tymi pięknymi wargami po całym moim ciele, ale jestem naprawdę bardzo ważny, więc najpierw interesy”. Współbiesiadniczka zamruczała zachęcająco. Po latach męczarni, niecałe dwa miesiące temu odeszła od męża parlamentarzysty, którego zaangażowanie w późnowieczorne głosowania, weekendowe operacje,

odbieranie telefonów i odpowiadanie na niekończące się stosy listów od wyborców było tyleż altruistyczne, co, jej zdaniem, śmiertelnie nudne. Wiedziała, że pójście do łóżka z Boożą-Pittem byłoby szaleństwem, ale już tak dawno tego nie robiła, no i mogło być fajnie, zwłaszcza jeśli finiszował z równą wprawą, z jaką startował i znajdował dojście. Wcześniej nie wspięła się wyżej niż do szczebla sekretarza stanu, a co dopiero mówić o ministrze spraw wewnętrznych. Była to sobie winna.

– Naprawdę? – podbechtywała go teraz, zastanawiając się, czy tylko ego ma tak przerośnięte.

– Sytuacja jest w tej chwili dość trudna, nie mogę wdawać się w szczegóły, sama rozumiesz, ale radziłem, że powinniśmy tam wkroczyć jak najszybciej. Odbić zakładników i dać tym cholernym Cypryjczykom nauczkę.

– Porządnie wygrzmocić im skórę.

– Tak, coś w tym rodzaju.

– Jesteś wspaniały, Geoffrey.

Zatrzepotała przesadnie rzęsami, a on uśmiechnął się z samozadowoleniem. Do tego stopnia brakowało mu subtelności, że można by go trzymać w zoo. Miała nadzieję.

– To duży stres – przyznał, poruszając grubymi brwiami. – Czasami człowiek czuje się samotny.

O, proszę. Było go mniej więcej tak trudno przejrzeć, jak wezwanie do zapłacenia podatku.

– Wiesz, czego bym chciał? – ciągnął, patrząc na nią znad kieliszka wina, w którym odbijał się blask świec, rzucając dziwne wzory na jego czoło.

– Zostać premierem?

– Nie mam w tej chwili ambicji poza... – rozpoczął litanie.

Wyciągnęła rękę i dotknęła koniuszkiem palca jego warg, żeby mu skrócić cierpienia. Rany boskie, niech lepiej będzie dobry w łóżku, nie ma żadnych innych zalet, które by go ratowały. Przynajmniej uniknie się w ten sposób komplikacji związanych z dłuższym romansem.

– Zdradź mi wszystkie swoje sekrety, Geoffrey. Potrafię dochować tajemnicy.

– Potrafisz? Naprawdę?

– Tak. Powiedz mi... nie musisz, jeśli to naprawdę sekret, ale czy jesteś spod znaku Panny?



– Chciałabym, żebyś tu była i zjadła z nami śniadanie, mamusiu.

Ten jeden posiłek Claire starała się jeść z dziećmi, zanim na resztę dnia odciągnie ją od nich polityka. Nie zawsze się udawało, nawet w niedzielę.

– Wiem, kochanie, ale pamiętasz z poprzedniego razu, jakie są kampanie wyborcze.

– Gdzie jesteś?

– Gdzieś w Midlands, szczerze mówiąc, nie jestem pewna gdzie. Odebrali mnie wczoraj po południu samochodem z dworca, a potem już wszystko pamiętam jak przez mgłę. Ale wrócę dziś wieczorem. Jak już położysz się spać.

– Skończyła mi się kapsułka do inhalatora na astmę.

– Niebieska czy brązowa?

– Niebieska.

– Znajdę gdzieś otwartą aptekę. – Claire pośpiesznie nabazgrała notatkę dla pamięci na marginesie „Sunday Express”, obok nagłówka, który krzyczał z siłą eksplozji: „FALKLANDY F.U.”. – Przywiozę ci

wieczorem. I mam nadzieję, że ty i Abby macie na sobie te ubrania, które wam przygotowałam?

Diana zignorowała pytanie. Coś innego ją dręczyło.

– Mamusiu?

– Tak, kochanie?

– Co to jest wojna?

– Co masz na myśli?

– Walczymy z Cyprem, prawda? Dlaczego?

– Nie z całym Cyprem, kochanie. Tylko z kilkoma złymi ludźmi.

– I wszystkimi tymi paniami z wózkami.

– Nie do końca.

– Ale pan Urquhart zabił biskupa, prawda?

– Nie, nie pan Urquhart osobiście.

Chociaż coś w naiwności córki poruszyło u Claire jakąś strunę.

– Ale dlaczego? – nie dawała za wygraną Diana, pałaszując pełnoziarnisty tost.

Claire zawahała się. Poranna prasa piała z zachwytem nad sukcesem odniesionym poprzedniego dnia w Troodos. Nawet ci, którzy nie byli stronnikami rządu, nie mogli powstrzymać się od częstych odniesień do „fizylierów Francisa”. Część poważniejszych gazet pisała o różnicy zdań między doradcami wojskowymi a premierem oraz o niespotykanym i być może niestosownym objęciu przez tego ostatniego samodzielnej kontroli nad operacją, ale w świetle jej sukcesu wojsko najwyraźniej minimalizowało ewentualne poczucie zranionej dumy. Zwycięstwo mówi samo za siebie.

Dlaczego więc Claire zupełnie nie czuła entuzjazmu?

– Wyjaśnię ci to później, kochanie. I pamiętaj, żeby umyć zęby.



– Mam cię!

Radosnym pstryknięciem i zamaszystym gestem pilota Urquhart usunął lidera opozycji z ekranu telewizora.

Przez prawie dwadzieścia minut w niedzielnym programie telewizji śniadaniowej Dick Clarence z całych sił starał się uniknąć pisanego mu losu, ale wytrwałe indagacje osłabiły jego lingwistyczną pomysłowość i złamały każdą pozycję obronną, jaką przygotowali jego doradcy, aż był zmuszony skapitulować. W końcu nie miał wyboru, musiał to przyznać. Tak, Francis Urquhart postąpił słusznie.

– Jak podejrzewam, nasz młody Dick długo nie pociągnie – powiedział w zamyśleniu Urquhart do Mortima. Los surowo osądzał lidera opozycji, który stracił zdolność oponowania zaledwie dziesięć dni przed końcem kampanii.

Siedząca przy stole naprzeciwko Mortima podniosła wzrok znad gazet.

– Prasa też już doszła do takiego wniosku.

Podawała mu trzy wstępniaki, starannie złożone i popodkreślane, de facto obwieszczające, że już po wyborach.

Przetrawiał je, popijając herbatą Lapsang, po czym odłożył gazety na bok i pokręcił głową.

– Pochopnie ferują wyroki. Clarence się nie liczy, bo jest do niczego od kołyski. Ale opozycja nadal istnieje.

– Makepeace?

– Któżby inny?

– Człowiek bez partii.

– Ale za to z armią.

– Armią pod ostrzałem, sir. – To był Corder, który cicho stanął w drzwiach, do czego przez lata zdążyli się przyzwyczaić. Mortima

nawet nie poprawiła szlafroka.

– Masz wieści z frontu, Corder?

– Tak, sir. Pan Makepeace być może będzie musiał stoczyć bitwę. Od wczorajszych wieczornych wiadomości organizują się różne ekstremistyczne grupy brytyjskich nacjonalistów. Przygotowują dla niego małe przyjęcie na dziś wieczór, kiedy dotrze do Birmingham. Chcą zrobić mu to, co pan zrobił biskupowi.

– Jakże niefortunnie – zamyśliła się Mortima z taką troską, jakby wybierała rajstopy.

– Co zatem należy zrobić, Corder?

– To zależy od tego, czy chce pan mieć zamieszki na ulicach Birmingham?

– To pewne, że dojdzie do wybuchu przemocy?

– Możliwe. Gdyby pan tego chciał, panie premierze.

– Chyba nie, Corder. Za dużo niewiadomych. Takie rzeczy mogą się wymknąć spod kontroli, zrobić z niego męczennika. Nie, lepiej by było, gdyby groźba zamieszek wystarczyła, żeby skłonić pana Makepeace'a do przerwania marszu.

– Myślisz, że by to zrobił? – wtrąciła sceptycznie Mortima.

– Wątpię. Oznaczałoby to jego koniec. Możemy apelować, prosić, błagać, ale nie sądzę, żeby posłuchał.

– A zatem?

– A zatem musielibyśmy przekonać szefa policji, żeby kazał Makepeace'owi przerwać marsz ze względu na zagrożenie porządku publicznego, czyż nie tak, Corder?

– Z mojego doświadczenia wynika, sir, że szefowie policji nie zawsze słuchają...

– Ma obiecane szlachectwo, dosłownie zamieni się w słuch.

– ... i nie zawsze są słuchani w takich sprawach.

– Ale czyż to nie byłoby wspaniałe? – Urquhart rozłożył ręce, jakby stanął przed armią aniołów. – Makepeace. Już z łatką przyjaciela terrorystów. Teraz kwestionuje polecenia sił prawa i porządku w tym kraju. Będzie się wydawało, że groźba zamieszek to w dużej mierze jego wina. Od męczennika do wroga publicznego. Musielibyśmy go aresztować. – Klasnął w ręce, po czym spoważniał. – Bardzo niechętnie i po licznych ostrzeżeniach, oczywiście.

– Ustawa o porządku publicznym z 1986 roku, sir. Paragraf trzynasty, jak sądzę. Trzy miesiące i grzywna.

– W rzeczy samej, Corder. Da się zrobić?

Corder skinął głową.

– A wtedy mielibyśmy wszystko zapięte na ostatni guzik.

– Poza jedną sprawą, panie Urquhart.

Corder ścisnął w dłoni czerwoną teczkę. Wydawała się grubsza niż ostatnio.

– Passolides.

– Tak, sir. Mieliśmy go na oku. Jednak się okazało, że nie jest tylko nieszkodliwym starym zrzędą. Najwyraźniej ma broń, widziano, jak nią wymachiwał. A także był notowany jako aktywista EOKA.

Stał tuż przy płonącym drzewie, czuł, że ciało go pali, jakby otwarto przed nim drzwiczki pieca.

– Powinniśmy go zgarnąć. Ale chciałem najpierw ustalić to z panem.

Głosy znów go dopadły, ostrzegały, pouczały, kłóciły się, mąciły w głowie. Minęła dłuższa chwila, zanim Urquhart zdołał odsunąć je na bok i odpowiedzieć.

– Gdzie jest teraz?

- Przyczajony w swoim namiocie. Tym bez okien.
- Dobrze. W takim razie tam go zostawmy. Ktoś tak blisko związany z Makepeace'em, uzbrojony, z krwią na rękach. Brytyjską krwią. Może się to okazać bardzo dogodnie.
- Nawet starcy mogą się na coś przydać, sir.
- Można by tak powiedzieć, Corder...



Claire przemknęła przez wahadłowe drzwi lokalnej stacji radiowej, już kilka minut spóźniona na wywiad, przeklinając pod nosem anonimowych urzędników partyjnych, którzy układali harmonogram kampanii. Kobieta potrzebowała rano trochę więcej czasu na przygotowanie niż jakiś kłótniwy członek rządu, który nie ma włosów i nosi wciąż ten sam poplamiony zupą garnitur w prążki, kupiony mu przez żonę dwadzieścia lat temu. Poza tym musiała objechać trzy apteki, zanim znalazła otwartą i kupiła lekarstwo dla Diany.

- Jestem Claire Carlsen - wyjaśniła młodemu, rozczochranemu recepcjoniście.

Nie podniósł wzroku, nie mogąc się oderwać od studiowania działu sportowego.

- Wiadomość dla pani - wymamrotał z ustami pełnymi gumy do żucia, machając skrawkiem papieru. - Ma pani zadzwonić pod ten numer. Mówił, że to pilne.

Na kartce nie było nazwiska, numeru nie poznawała, ale to była centrala Whitehall.

- Mogę skorzystać z telefonu?

Spojrzał na nią, mniej niechętnie, zwracając uwagę na kształt, który krył się za nazwiskiem. Uśmiechnął się krzywo i pokiwał powoli głową.

Wykręciła numer. Odebrał Corder.

– Czy to bezpieczna linia? – zapytał.

Recepcjonista zaczął gapić się na nią ze źle ukrywaną żądzą, wlepiając maślane oczy w jej biust.

– Jeśli ma pan na myśli to, czy możemy zostać podsłuchani – odparła Claire, odwzajemniając spojrzenie – to nie przez żadną inteligentną formę życia.

Recepcjonista beczelnie wydmuchał z gumy ogromny balon, który jednak pękł, wraz z jego pewnością siebie, pokrywając podbródek chłopaka różowymi strzępkami. Rzuciwszy Claire ostatnie ponure spojrzenie, recepcjonista wrócił do lektury swojej gazety.

W słuchawce zaległa na chwilę cisza, kiedy Corder usiłował rozszyfrować jej enigmatyczną uwagę. Ironia nie była jego mocną stroną.

– Twój życzliwy szofer... – podjął ostrożnie – ma dzisiaj służbę?

– Nie – odparła.

Przez ostatni tydzień kierowca woził sekretarki, korespondencję i pranie między Londynem a przystankami na trasie marszu, więc miał niewiele świeżych plotek do zaoferowania. Claire przyniosło to ulgę.

Teraz poczuła się zbrukana. Corder wiedział. Jej sekret zataczał coraz szersze kręgi, podobnie jak jej wyrzuty sumienia. Na początku traktowała to jako niewinną psotę, ale nie mogła już dłużej ukrywać przed sobą, że popełniła błąd. Zdradziła przyjaciela, na którym nadal jej zależało. Poniżyła się, poniosło ją. Postąpiła jak Urquhart.

Recepcjonista znów się gapił, ukradkiem. Odwróciła się do niego plecami, niezdolna dłużej patrzeć mu w oczy.

– Nie, szofer ma dziś wolne – wymamrotała, czując się jak oskarżona przed sądem, którą proszą o przyznanie się do winy. Jestem

niewinna, chciała krzyknąć. Ale kto by się na toabrał?

- Dobrze! - rzucił Corder.

- Dlaczego cię to interesuje? - chciała zapytać, lecz było już za późno. Corder odłożył słuchawkę.

Rozdział 41

Na Downing Street obowiązują proste normy dotyczące stroju.

Każdy, kto wchodzi, powinien zostawić swoje zasady na progu.

Makepeace stał na nadgryzionych zębem czasu schodach parafialnego kościoła Świętego Józefa w Cannock, jakieś piętnaście mil na północ od centrum Birmingham, gdzie wziął udział w porannym nabożeństwie, przyjął komunię i otrzymał błogosławieństwo pastora. Był wiernym, chociaż niedogmatycznym chrześcijaninem, świadomym korzyści, jakie może politykowi przynieść okazjonalne okazywanie pobożności, a do marszu zaczęło przyłączać się wiele grup chrześcijańskich, gromadząc się pod dużym transparentem z napisem „MARSZ DLA POKOJU”, zawieszonym na dzwonnicy kościoła. Jednak tego ranka zbierało się także wielu innych, o mniej uduchowionych motywacjach. W szczególności dało się dostrzec dwa nowe elementy. Po raz pierwszy w tłumie, wśród kalejdoskopu transparentów i grup protestu, paradowali otwarcie zwolennicy i zaangażowani członkowie partii Dicka Clarence’a. Podobnie jak Urquhart, naczelnicy większości gazet oraz wielu innych uznali lidera opozycji za przegraną sprawę i postawili na nim krzyżyk. Pozostawieni samym sobie między skalistą

wyspą rozpaczy w postaci Clarence'a a surowym, bezlitosnym łądem, nad którym górował Urquhart, zwrócili się do jedyne go sztandaru sprzeciwu, jaki mogli znaleźć. Thomasa Makepeace'a.

Drugi nowy element jeszcze bardziej rzucał się w oczy i uszy, mimo stosunkowo niewielkiej liczebności. Owinięci w brytyjskie flagi, z tatuażami, z krótko ostrzyżonymi głowami przypominającymi zwieńczające tarany baranie łby nad złośliwymi oczami i przekłutymi nosami, w otoczeniu fotoreporterów, zaganiani przez miejscową policję za pośpiesznie ustawione bariery, zaczęli przychodzić skinheadzi ze swoją tradycyjną bronią w postaci obscenicznych uwag, plucia i wyzwisk. Było wcześnie rano, entuzjazm, z jakim podchodzili do swojego zadania, jeszcze nie rozwinął się w pełni, ale stanowili zapowiedź bojowo nastawionego elementu, który zbierze się później w przebraniu narodowych wojowników.

- Wypląnęły szumowiny – mruknęła Maria do Makepeace'a.
- Nie wszystkie. Dla większości jeszcze za wcześnie.
- Zwolennicy Urquharta przybierają dziwne, dość odpychające kształty. Chyba powinniśmy traktować to jako oznakę sukcesu.
- Wolałbym nie. Martwią mnie te typki, wokół tyle rodzin z dziećmi.
- Nic się nie bój – uspokoiła go. – Policja się wszystkim zajmie.



W Troodos znacznie wolniej budzili się do życia, nawet uwzględniając dwugodzinną różnicę czasu. We wczesnych godzinach wieczornych poprzedniego dnia podpułkownik St. Aubyn zarekwirował ostatnie piętro hotelu Pine Crest, położonego kilka mil od prezydenckiej willi. Kierownika trafiła lekka apopleksja, przez kilka minut chciał nawet odmówić. Był jednak Niemcem bez ważnego

pozwolenia na pracę, który nie miał powodów, by wchodzić w konflikt z prezydentem Cypru, i nie zarabiał tyle, żeby się użerać z kilkudziesięcioma dobrze uzbrojonymi żołnierzami. Na godzinę zapanowało zamieszanie i ścisk – a także oburzenie: goście zareagowali eklektyczną mieszanką obelg, kiedy się okazało, że nie będą mogli wychylić nosa z hotelu, dopóki prezydencki orszak nie odjedzie, czyli do następnego ranka. Ale Elpida obeszła wszystkie stoliki podczas kolacji, dziękując, tłumacząc, prosząc o wyrozumiałość. Wstrząsające szczegóły jej historii oraz szrama na jej policzku w dużej mierze ukończyły nerwową atmosferę, a nastrój jeszcze bardziej poprawiło oświadczenie, że Ministerstwo Finansów pokryje koszty pobytu za cały tydzień.

Prezydenta jednak nie było nigdzie widać. Ogarnęło go wyczerpanie. Kiedy tylko porozmawiał przez telefon z kilkoma swoimi ministrami i zapewnił, że mają spodziewać się nazajutrz jego przybycia, zasnął i spał do dziesiątej następnego dnia. Panajotis uparł się, że przez całą noc będzie stał na warcie przed jego drzwiami. Nikt nie próbował budzić prezydenta, nie miało to większego sensu. Od Nikozji dzieliły ich tylko dwie godziny jazdy.

Kiedy Nicolaou wstał, rosa już obeszła, poranny ptasi koncert zastąpiło cykanie świerszczy, a po niebie szybowały jaskółki. Miejsce, w którym stał hotel, było skąpane w łagodnym miodowym świetle, otoczone drzewami czereśni, z pięknym widokiem na dolinę – jakże inne od gęsto zalesionego wąwozu, gdzie zbudowano prezydencką willę. Nicolaou spróbował, wzorem córki, obejść wszystkich gości i im podziękować, ale jego wyczerpanie było aż nadto widoczne w niezgrabnym powłóczeniu nogami i sinych cieniach wokół oczu.

W wyniku tej przygody nagle się postarzał. Trzymał kurczowo Elpidę za ramię, jakby się bał, że ktoś inny będzie próbował ją porwać.

St. Aubyn zaczynał się niecierpliwić. Zanim zdążą wyjechać, zrobi się południe, będą podróżować w najgorszym upale, a prezydent, już wycieńczony, nie potrzebuje dalszej męki.

– Niech pan się o mnie nie martwi, pułkowniku – usiłował uspokajać go Nicolaou. – Jestem Cypryjczykiem. Trochę upału to dla mnie nie pierwszozna.

Podpułkownik uległ politykowi, co, jak się wydawało, miało już być porządkiem dnia. Polecenie udania się do Nikozji przyjął z jeszcze mniejszym entuzjazmem niż jego zwierzchnicy. Stolica była labiryntem intryg, gdzie zarówno ulice, jak i kłamstwa oraz półprawdy tworzyły zagmatwaną plątaninę, stanowiącą obrazę dla uporządkowanego wojskowego umysłu. Ale jak przypomniał mu generał broni, to nie żołnierze decydują.

Słońce minęło już zenit, lecz słupek rtęci w termometrze dalej się podnosił, kiedy wreszcie ruszyli w drogę. Czterotonówki otwierały i zamykały konwój, w środku jechały land rovery, wioząc czterdziestu ośmiu brytyjskich żołnierzy i czworo uwolnionych zakładników. Dowódcy długo i burzliwie debatowali, czy przysłać więcej wojska z Episkopi, ale uznali, że nie. Miało to wyglądać jak defilada zwycięstwa, a nie kolejna inwazja.

Darwin i jego ludzie, a także oddział łącznościowców, zostali odesłani z powrotem do bazy, zasypiani na pożegnanie przez prezydenta wyrazami wdzięczności.

– Musi pan odwiedzić nas w Nikozji, panie kapitanie. Przyjąć naszą gościnę.

– I może jakiś medal albo dwa? – dodała szelmowsko Elpida.

- To był zaszczyt, sir. Panno Nicolaou.

Kapitan zasalutował sztywno, ale prezydent był zbyt rozemocjonowany, by zważać na wojskową etykietę. Zarzucił swojemu wybawcy ramiona na szyję, jak każdy mieszkaniec Bałkanów żegnający ukochanego brata, i ucałował w oba policzki.

- Niech pan na siebie uważa, sir - wymamrotał Darwin, czerwieniąc się.

- Proszę się nie martwić, drogie kapitanie Darwin. Najgorsze już za nami. Po tym, co pan zdołał osiągnąć, reszta będzie łatwa.



Nastrój nie był szczególnie niedzielny. Z Makepeace'em maszerowało około trzech tysięcy ludzi, a gdy dotrze do centrum Birmingham, miało ich być ponad dziesięć tysięcy, więc powinien być zadowolony, ale przez cały dzień wzdłuż ich trasy jeździli skinheadzi, trąbiąc, machając flagami, wychylając się z okien samochodów, wznosząc zaciśnięte pięści, plując i podjudzając - słowem: ostrzegając przed nadchodzącymi kłopotami. Kilku maszerujących próbowało interweniować i apelować o umiar, ale kiedy późnym rankiem dotarli do Walsall, w ich stronę oprócz wyzwisk poleciały puste puszki po piwie i inne śmieci. Mężczyzna wykonujący ludowy taniec morris został trafiony i upadł na ziemię, a parę osób z małymi dziećmi postanowiło się wycofać.

Makepeace kilkakrotnie zwrócił się do policji z prośbą o podjęcie jakichś działań, aby powstrzymać rodzący się zamęt, lecz funkcjonariuszy na służbie było niewiele, zdecydowanie za mało, by poradzić sobie z prowokacyjnym zachowaniem skinów. Poczul więc ulgę, kiedy w oddali przed sobą ujrzał zbiorowisko radiowozów, oznakowanych pomarańczowymi pasami na białej karoserii, a wokół

nich rojących się policjantów, których ożywienie wskazywało, że nie będą się cackać i mają poważne zamiary. Jeden szedł właśnie zdecydowanym krokiem w ich kierunku.

– Główny inspektor Harding, sir – przedstawił się funkcjonariusz, salutując grzecznie.

Makepeace nie zatrzymał się ani nawet nie zwolnił, zmuszając policjanta do przyłączenia się do pochodu.

– Witam pana, inspektorze, ogromnie się cieszę, że pana widzę. – Uścisnęli sobie dłonie. – Cholernie uciążliwi są ci chuligani, celowo usiłują prowokować, wywołać zamieszki.

– Obawiam się, że ma pan rację, sir. Mamy informacje, że zbiera się kontrmarsz, który ma na celu bezpośrednią konfrontację z panem w centrum miasta. Setki skinheadów, typki z British National Union, neonaziści i różne inne robactwo. Ci, których widział pan do tej pory, to tylko straż przednia. Wszystko wskazuje na to, że może zrobić się nieprzyjemnie i dojść do przemocy.

Przejechał samochód, trąbiąc i oddalając się od zgromadzenia radiowozów. Z okna wystawały wytatuowane pośladki.

– Niech ich zaraza – warknął Makepeace. – To protest w obronie pokoju, impreza rodzinna, a nie pretekst do awantur. Co zamierza pan z tym zrobić?

– Trudna sprawa, panie Makepeace.

– Niech pan nie załamuje rąk, tylko zacznij działać.

– Mam polecenie, żeby to przerwać, sir.

– Znakomicie.

– Pan chyba nie rozumie. Mam rozkaz rozwiązać wszystkie zgromadzenia. Marsz skinheadów. I pański marsz także, sir.

– Chyba pan żartuje, do cholery.

Makepeace zatrzymał się gwałtownie. Wytrącony z równowagi, rozgniewany, pokazał gestem ludziom za nim, żeby szli dalej. Maszerujący rozstąpili się, mijając ich z dwóch stron.

Policjant nie ustępował.

– Spotkanie się tych dwóch marszów doprowadzi do wybuchu przemocy i zakłócenia porządku.

– To niech pan rozwiąże ich marsz. Mój jest pokojowy.

– Czy to się komuś podoba, czy nie, a sam się czasem nad tym zastanawiam, sir, żyjemy w demokracji. Może z nich bydlę i barachło, ale też głosują i mają takie same prawa do demonstrowania.

– Wystawiając swoje brudne dupska z okien samochodu, demonstrują? Niby co takiego?

– Mają prawo do własnych politycznych poglądów, sir.

– To jakiś chory żart, panie Harding. Niech ich pan po prostu usunie z ulic, na litość boską.

– Jeśli zatrzymam jeden marsz, muszę zatrzymać oba.

Makepeace'a coraz bardziej irytowała uparta sofistyka inspektora. Znow zaczął iść szybkim krokiem, niesiony falą swoich zwolenników, ale spostrzegł, że towarzyszy mu teraz czterech umundurowanych posterunkowych, którzy włączyli się do marszu za swoim oficerem.

– To prostacki szantaż, panie inspektorze.

– To ochrona pokoju i porządku.

– To ja staram się chronić pokój. Dlatego kandyduję do parlamentu.

– I organizuje pan marsz tej wielkości, który sam w sobie stanowi ciężką próbę dla porządku publicznego, marsz, w którym idą anarchiści, wojujący front wyzwolenia zwierząt, grupa radykalnych

ekologów o nazwie „Wojownicy Wspólnego Świata”, Liga Antynazistowska, jacyś...

– Ogromna większość to zwyczajne, miłujące pokój rodziny. Nie mogą kontrolować wszystkich, którzy chcą się przyłączyć.

– Właśnie.

– Sprawiedliwość nie może być aż tak ślepa. To wszystko jest ukartowane, prawda, panie inspektorze?

Ale Harding nie chciał toczyć dalszej dyskusji otoczony morzem zwolenników Makepeace’a. Uczepił się stosownego przepisu prawa karnego i zaczął recytować:

– Sir, zgodnie z paragrafem dwunastym Ustawy o porządku publicznym z 1986 roku mam podstawy przypuszczać, że to zgromadzenie publiczne może prowadzić do rozruchów, poważnego zniszczenia mienia lub poważnego zakłócenia życia społeczności, a zatem zgodnie z uprawnieniami przyznanymi mi na mocy ustawy wydaję panu polecenie zatrzymania tego pochodu i rozwiązania zgromadzenia.

– Nie ma mowy.

Oficer kołysał się na palcach swoich wyglansowanych na wysoki połysk butów w stanie pewnego wzburzenia.

– Panie Makepeace, muszę pana ostrzec, że niezastosowanie się do poleceń funkcjonariusza policji w tej kwestii stanowi wykroczenie i podlega odpowiedzialności karnej.

– Spieprzaj, ty cholerny durniu!



Szosa prowadząca z Troodos w doliny wiła się i skręcała jak wstążka w rękach dziecka, droga konwoju przez las była więc powolna i uciążliwa. Czterotonowe ciężarówki nie zostały zaprojektowane do

pokonywania zakrętów na pełnym gazie. Powietrze gotowało się nad makadamem, wyrzucając w górę drobne wiry kurzu, który drażnił oczy i wysuszał język. Po prawej kłuła w oczy stara kopalnia azbestu Amiandos, wyglądająca, jakby spadła z ciemnej strony Księżyca, pylisty krajobraz rozharatany kilofami i buldożerami. St. Aubyn oblizał z niesmakiem wyschnięte wargi.

Po drugiej stronie drogi minęli niewielki kamienny pomnik, pamiętający Troodos z łagodniejszych czasów, poidło, w którym szemrała chłodna woda z pobliskiego strumienia. St. Aubyn odczytał inskrypcję: „DLA UPAMIĘTNIENIA BUDOWY DROGI NIKOZJA – TROODOS, VRI 1900”. Victoria Regina Imperatrix. Minęło sto lat, a Brytyjczycy nadal ratują tych ludzi z opresji. A może nadal ingerują. Zignorował spłowiałe graffiti po grecku.

Za zakrętem natknęli się na pierwszego poważnego przeciwnika, ekipę telewizji BBC, oddział szturmowy potężnej medialnej inwazji, jak spodziewał się St. Aubyn. Ekipa machała rękami i błagała o pomoc, stojąc przy podniesionej masce samochodu, spod której biły syczące kłęby pary. Skutek pochopnej decyzji o wypożyczeniu auta i zbyt niecierpliwości redaktora. St. Aubyn odwrócił wzrok, mijając ich galopem.

Droga wciąż tuliła się do zbocza góry, skręcając, opadając, znikając za zakrętem w gęstwinie pinii. Wtedy St. Aubyn zobaczył wykop, wykonaną ręką człowieka dolinę przecinającą skały, złowrogą bliznę. Strome ściany i niezaleczone stoki zdawały się płakać z bólu na wspomnienie materiałów wybuchowych i koparek, które wyrznęły w zboczu góry tę wielką ranę, a potem niewprawnie skauteryzowały ją gorącym smołobetonem. Po obu stronach niczym strużki łez spływały luźne kamienie.

Teren był niegościnnie, klaustrofobiczny, nie chciały tu rosnąć żadne drzewa ani inne rośliny. W takim miejscu nie ma co się ociągać. Wtem jakiś dureń na przedzie wcisnął hamulce.



Makepeace miał w sobie odrobinę irlandzkiej krwi, po przodkach ze strony matki sprzed dwóch pokoleń, która wyływała na powierzchnię w chwilach oburzenia i poczucia krzywdy, przesłaniając mu trzeźwą ocenę sytuacji i każąc szukać fizycznego ujścia dla gniewu. Jak wtedy, gdy przeszedł na drugą stronę w Izbie Gmin. Nigdy nie był do końca pewny, kiedy zasady odsuwały się na bok, a do akcji wkraczała stara poczciwa celtycka pasja, ale taki już miał charakter, taki był – a poza tym zasady bez pasji wydawały się mieć niewiele sensu. Teraz jakiś śmiechu wart policjant z gwiazdkami na kołnierzu stawał mu na drodze i mówił, że jest nie lepszy od jakiegoś nazisty wystawiającego tyłek przez okno. Idiocyzm! Kiedy inspektor przysunął się bliżej, Makepeace podniósł ręce, żeby go odepchnąć. A może chciał go uderzyć? Maria szybko go powstrzymała, łapiąc go za ramię, zanim któryś z posterunkowych miał ku temu okazję.

– Nie dawaj im innych pretekstów niż polityczne – powiedziała z naciskiem.

Makepeace zatrzymał się, a ci idący za nim zaczęli się wahać, niepewni, co się dzieje. Kłębili się bezładnie wokół Makepeace'a i policjantów, marsz zmieniał się w zamieszanie.

Harding spróbował uśmiechnąć się pojednawczo.

– Proszę, panie Makepeace, naprawdę ogromnie żałuję. Chcemy to panu jak najbardziej ułatwić, przygotowaliśmy nawet miejsce około mili stąd, dalej tą drogą, stadion, który z chęcią panu udostępnimy, żeby tam zakończył pan marsz ze swoimi zwolennikami. Ale ponieważ

nad wszystkimi tutejszymi mieszkańcami wisi zagrożenie przemocą, nie ma mowy, abyśmy pozwolili panu wejść do centrum Birmingham.

Makepeace mrugał szybko, usiłując rozproszyć mgły wściekłości i odzyskać jasność myślenia. Maria go ubiegła.

– A co z jutrzejszym dniem, panie inspektorze? I następnym? I następnym weekendem w Londynie?

Harding wzruszył ramionami.

– To nie leży w mojej gestii, proszę pani. Wszystko będzie zależało od lokalnej policji. Ale jeśli zagrożenie przemocą się utrzyma...

– Czyli pozwolicie bandzie zbirów kompletnie wykoleić moją kampanię wyborczą – warknął Makepeace.

– Przykro mi.

– A co zrobicie, jeśli odmówię?

– Panie Makepeace, wydałem panu polecenie przerwania tego marszu. Jeśli pan tego nie robi, nie da mi pan innego wyboru, jak pana aresztować. Żaden z nas tego nie chce. Pańskiej kampanii wyborczej też by to nie pomogło.

– Pozwoli pan, że ja to osądzę.

Ale inni także już wyrabiali sobie zdanie, tłocząc się wokół i podchodząc coraz bliżej, zaczynając rozumieć, że policja otacza Makepeace'a nie po to, by zapewnić mu ochronę. Atmosfera robiła się nerwowa.

– Nie udaję, że rozumiem politykę, sir, ale mam tu zadanie do wykonania. Zakończmy więc ten marsz pokojowo.

– Nie, chyba wybiorę tę drugą opcję. Niech mnie pan aresztuje albo zejdzie mi z drogi.

Makepeace znów zaczął maszerować, usiłując przepchnąć się przez stłoczone przed nim ciała.

– Proszę, sir...

Harding wyciągnął rękę w jego stronę, próbując go przytrzymać. Makepeace ją odepchnął. Harding podbiegł, żeby dotrzymać mu kroku.

– Sir, nie musi pan nic mówić. Ale jeśli nie wspomni pan teraz o czymś, co później użyje pan w swojej obronie, sąd może zdecydować...

Reszta jego słów utonęła w pomruku sprzeciwu ze strony różnych członków drużyny podnoszenia ciężarów „Akropolis”, którzy zaczęli przeciskać się przez tłum. Popychano rodziców z dziećmi na rękach, ktoś się przewrócił, ze wszystkich stron rozlegały się zdezorientowane okrzyki, marsz znalazł się nagle na skraju chaosu. Czy taki był zamiar Hardinga? Makepeace aresztowany w środku zamieszek, bez ani jednego neonazisty w zasięgu wzroku? Maria wdarła się z całą siłą między Makepeace’a a nacierających ciężarowców, wykrzykując reprimendy w marynarskiej grece i machając rękami, aby ich uspokoić.

Z obu stron chwycili Makepeace’a posterunkowi, lecz on nie szarpał się ani nie stawiał oporu. Przeciwnie, sam też nawoływał do zachowania porządku.

– Spokojnie. Kontynuujcie marsz – krzyknął do ludzi wokół. – Wrócę do was, kiedy tylko wyjaśnię ten nonsens.

Ale pojednawczy uśmiech Hardinga zniknął.

– Nie, panie Makepeace, nie sądzę, byśmy mogli sobie na to pozwolić. Bynajmniej.



Wykop został zablokowany przez barykadę złożoną z ośmiu autobusów – starego bedforda i nowoczesnych mercedesów –

zaparkowanych bokiem w czterech rzędach, z przodu zaś wznosił się niski szaniec z kamieni i sosnowych pni. Przeszkody nie dało się sforsować ani objechać ze względu na strome ściany wykopu. Autobusy były puste, drzwi uchylone, zasłonki łopotwały w pokrytych kurzem oknach, ale w ciszy wisiała wyraźna groźba, która wypełniła gardło St. Aubyna żółcią.

– Wracamy! – wrzasnął, wykonując ręką okrężny ruch nad głową.

Kierowca zwinnie zawrócił „na trzy” i ruszył w kierunku początku wykopu. Czterotonówki parskały i jęczały jak wyrzucone na brzeg wieloryby, usiłując powtórzyć ten manewr na wąskiej drodze.

Minęły niecałe trzy minuty od momentu, kiedy wjechali w skalistą dolinę, ale gdy wrócili do jej wlotu, nie wyglądał on już tak jak wcześniej. Na drodze, niczym na letnim pikniku, siedziało dwieście rozgadanych uczennic w szkolnych mundurkach, z których żadna nie miała więcej niż piętnaście lat. Bariera równie niemożliwa do sforsowania, co skała. Land rover zahamował niezgrabnie w chmurze pyłu.

Byli w potrzasku. Kątem oka zobaczył coś jeszcze. Padające na drogę cienie, rzucane z wysoka. St. Aubyn spojrzał w kierunku szczytu zbocza wykopu, wznoszącego się na jakieś czterdzieści stóp, skąd zaczęły wyrastać sylwetki mężczyzn niczym pole ostów. Każdy z nich był uzbrojony.

Potem dostrzegł jeszcze dwa ciemne kształty, które pojawiły się na tle surowego błękitnego nieba. Ludzi trzymających na ramieniu nie broń, lecz telewizyjne kamery.

St. Aubyn nagle z przerażającą pewnością uświadomił sobie, że będzie sławny.



Makepeace oczywiście już był sławny, a za chwilę miał przenieść się do kategorii tak zwanej złej sławy. Zaraz po aresztowaniu przesunął się na skraj drogi, schodząc z trasy marszu i mając za plecami mur kościoła. Tutaj, na tle figury Matki Boskiej z Dzieciątkiem dominującej na przykościelnym cmentarzu, odmówił jakiegokolwiek dalszej współpracy. Przynajmniej na następne kilka minut. Dostrzegł bowiem zaparkowany niedaleko wóz transmisyjny i wysypującą się z niego ekipę telewizyjną. Musiał dać im trochę czasu. Niewiele by zyskał na aresztowaniu, gdyby ów dramatyczny spektakl nie mógł zostać odegrany w telewizji w czasie największej oglądalności.

Maria była przy jego boku, gestami pokazując maszerującym, by szli dalej, natomiast Makepeace ani drgnął, stał ze skrzyżowanymi ramionami i umyślnie unikał wzroku oraz ignorował polecenia znękanego Hardinga. Po chwili jednak wszystko było gotowe, mikrofon wystawiony w jego stronę, czerwone oko łypało na obudowie kamery.

Makepeace powoli złożył dłonie jak do modlitwy i wyciągnął przed siebie. Jeszcze raz został poproszony o współpracę, ponownie odmówił, kręcąc głową. Jeszcze dalej wystawił złożone ręce, zacisnął mocno powieki. Wzięli go za ramię, on strząsnął ich dłonie. Nie miał zamiaru nigdzie iść. Główny inspektor niechętnie wydał rozkaz i na nadgarstkach Makepeace'a zatrzasnęły się kajdanki.

Oczy polityka, kiedy je otworzył, świeciły intensywnym blaskiem. Makepeace podniósł ręce w kajdankach wysoko w górę, jak wojownik triumfujący w bitwie, potrząsając nimi tak, by wszyscy widzieli.

– Okowy Anglika! – krzyknął.

Maria też wyciągnęła ręce. A potem następna osoba, i kolejna. Wszędzie wokół maszerujący prosili, niemal błagali, żeby ich

aresztować. Zdezorientowani posterunkowi popatrzyli na głównego inspektora, czekając na instrukcje. Do diabła, nie mógł zrobić z tego rzezi niewiniątek. Makepeace będzie musiał wystarczyć. Obciągnął nerwowo mankiety munduru i pokręcił głową.

Dopiero wtedy Makepeace dał się wyprowadzić z tłumu.

A marsz szedł dalej. Za każdym razem, kiedy do demonstrantów zbliżał się policjant, wyciągali przed siebie złożone dłonie, księża, matki z dziećmi na rękach, dzieci, nawet kilka osób na wózkach. I za każdym razem policjant odwracał się i odchodził.



Redaktorzy telewizyjnych wiadomości musieli się tego wieczoru zmierzyć z dwoma problemami.

Po pierwsze, jak do licha ciężkiego zachować w programie polityczną równowagę, zapewnić, by w okresie kampanii wyborczej wszystkie strony dostawały mniej więcej tyle samo czasu antenowego, i uniknąć oskarżeń o stronniczość. W końcu większość z nich uznała, że ma gdzieś Clarence'a przytulającego babcię na nadmorskim bulwarze w Skegness. Jak z nieba spadła im godna pozazdroszczenia mieszanka fascynujących faktów i porywających zdjęć, wiadomości telewizyjne w najlepszym wydaniu. Postanowili to właśnie puścić.

Drugi problem był trudniejszy: zdecydować, który z dwóch konkurencyjnych materiałów powinien znaleźć się na pierwszym miejscu. Niektórzy wybrali Makepeace'a, większość pokazała pułkownika St. Aubyna. „PODWÓJNY CIOS!”, jak miał to nazwać „The Mirror” następnego ranka. Zamęt, rozrywka i czysta rozkosz dla redaktorów.

Mortima zerknęła na Urquharta, wokół jej oczu pojawiły się zmarszczki znamionujące troskę. Znał to spojrzenie.

- Nie wiem, Mortimo, jak to się skończy. Już tego nie kontrolujemy. Zaroilo się od głupców, a nasz los leży w rękach i zależy od głosów pozbawionego wdzięku motłochu.

- St. Aubyn. Makepeace. Czy te historie nam pomogą, czy zaszkodzą?

- Kto to wie? Jestem pewny tylko jednego: że to wiatry przeciwne i że niektóre łodzie zostaną poważnie podtopione, zanim wichura przejdzie.

Rozdział 42

Nigdy, przenigdy nie okazuj słabości. Uginam kolano tylko po to, by kopnąć poniżej pasa.

Sierżant w areszcie nie krył dezaprobaty. Paczka chusteczek, wyciśnięta tubka maści na odciski, długopis i lśniące pióro Parker Duofold, grzebień, zegarek, spinacz, telefon komórkowy i trzy koperty zawierające listy z wyrazami poparcia, wepchnięte Makepeace'owi podczas porannego marszu – to były jedyne rzeczy osobiste, które znalazł w jego kieszeniach. Żadnej gotówki, żadnych kart kredytowych, żadnych widocznych środków utrzymania.

– Mógłbym pana zamknąć za włóczęgostwo – zażartował sierżant.

– Byłem na marszu, nie na zakupach u Johna Lewisa – odparł cierpko Makepeace.

– No cóż, przynajmniej nie mogę panu zarzucić kradzieży w sklepie, zawsze to jakaś pociecha.

Policjant kończył wypełniać formularz danych osobowych aresztanta, zawahawszy się tylko przy rubryce „zawód”.

– Skoro sesja parlamentu została odroczone, to formalnie rzecz biorąc nie jestem już posłem – wyjaśnił Makepeace. – W takim razie muszę być bezrobotny.

Sierżant prychnął, posłał końcówkę długopisu i napisał: „Kandydat w wyborach”. Następnie zaczął recytować formułkę oficjalnego pouczenia.

– Zarzuca się panu wymienione poniżej wykroczenia. Nie musi pan zabierać głosu, chyba że na własne życzenie...

– Proszę mi wierzyć, sierżancie, mam takie życzenie. Nie będę zachowywać milczenia.

– Co w pana przypadku jest przyczyną problemów. Jak rozumiem, panie Makepeace, wyraził pan zamiar powrotu na marsz, kiedy tylko zostanie pan wypuszczony, czyli chce pan zrobić dokładnie to, za co pana aresztowano.

– Zgadza się.

– Nie możemy do tego dopuścić, prawda, sir?

– Znów mnie aresztujecie?

– Nie. Przynajmniej jeszcze nie. Skoro dał pan wyraźnie do zrozumienia, że nie będzie honorował żadnych warunków zwolnienia za kaucją, proponuję pana nie zwalniać.

– Musi pan.

– Mogę trzymać pana przez dwadzieścia cztery godziny, sir. Tak mówi prawo. Podejrzewam, że sam pan głosował za tym przepisem. Jak pan tyle posiedzi, będzie pan miał trochę czasu, żeby się zastanowić, żeby ochłonąć. Potem postawimy pana przed sądem grodzkim na następnym posiedzeniu... – Zerknął na zegar ścienny, który wskazywał kilka minut przed pierwszą nad ranem w poniedziałek. – Czyli we wtorek.

– Mam być już wtedy w Banbury, prawie w połowie drogi do Londynu.

– Nie w ten wtorek, obawiam się.

– Niech pan pozamiata w tej dwukółce, którą zawieziecie mnie na szubienicę, zanim mnie do niej wrzucicie, dobrze?

– Proszę tak nie mówić, sir. Zobaczysz pan, cela jest bardzo przytulna. Chociaż właśnie zabrakło nam puchowych kołder.

– I sprawiedliwości.

– O tym zadecyduje sąd grodzki.

– I, na szczęście, wyborcy.



Wzeszła srebrna tarcza księżycy i zalała wykop bladym, monochromatycznym światłem. W różnych punktach na grani uzupełniały je lampy, najwyraźniej zasilane z samochodowych akumulatorów, a gdzieś tam przebijał się jaskrawy blask przenośnych telewizyjnych reflektorów. Na drodze, tam, gdzie siedziały dzieci, zapalono rząd świeczek, co nadało kordonowi niemal świąteczny wygląd. Mniej więcej co dwadzieścia minut około czterdziestu uczennic wstawało, a ich miejsce zajmował świeży kontyngent. Operowali żywym murem na zmiany, dowożone autokarami – ale kim byli owi „oni”, jeszcze się nie okazało.

Nie padły żadne strzały, lecz intencje osób okupujących grań były jasne. Za każdym razem, kiedy któryś z ludzi St. Aubyna zbliżał się na dwadzieścia jardów do barykady z autobusów, unosiły się karabiny, ładowano komory nabożowe i bardzo głośno odbezpieczano spusty. Nawet gdyby żołnierzom nie towarzyszył prezydent z córką, opór nie miałby sensu. Nie mieli osłony ani sposobu wydostania się z potrzasku, poza przedarciem się przez żywą zaporę z dzieci, więc tylko siedzieli i patrzyli, stanowiąc łatwy cel.

Kiedy z nieba zniknęło słońce i noc przykryła ich atramentowym parasolem, przekonali się, jak rozrzedzone jest górskie powietrze i jak

zimno może się zrobić w samym świetle gwiazd.

Racje żywnościowe też były mizerne – nikt czegoś takiego nie planował. A spoza kordonu dolatywał dymny aromat pieczonej jagnięciny z czosnkiem i rozmarynem. Tortura dla głodnych gęb.

Potem zza rzędu świec wyłoniło się i ruszyło naprzód trzech mężczyzn. Jeden z nich niósł wysłużoną lampę naftową, inny dużą plastikową butelkę wody.

– Dobry wieczór, Angliku – pozdrowił St. Aubyna ten trzymający lampę, kiedy podpułkownik wyszedł im na spotkanie. Cypryjczyk, pomarszczony sześćdziesięciolatek, miał imponujące wąsy, które skręcały się jak baranie rogi i całkowicie zasłaniały mu usta. Uniósł wolną dłoń, by pokazać, że nie jest uzbrojony. – Mam nadzieję, że jest wam niewygodnie.

– O co tu chodzi? – zapytał wojskowy. – Wie pan, że w ciągu kilku godzin może się tu zjawić tysiąc brytyjskich żołnierzy.

– A w ciągu kilku minut pan i wszyscy w pańskim konwoju możecie zginąć. Ale nie rozmawiajmy hipotetycznie, Angliku.

– Czego chcecie?

– Żebyście się poddali.

– Nie mówi pan poważnie.

– Śmiertelnie poważnie. Chcemy pokazać wam, Brytyjczykom, że nie jesteście na tej wyspie mile widziani, nie w charakterze wojskowych okupantów, którzy wtrącają się w nasze sprawy. A przetrzymując was tutaj, aż się poddacie, chcemy pokazać światu, że wasza gra się skończyła.

– Nie może do tego dojść.

– Nie sądzę, żebyście mogli temu zapobiec.

– Mój dowódca w Episkopi już pewnie organizuje dla nas pomoc.

– Przeciwnie, rozmawialiśmy już z waszym generałem dywizji Rae i powiedzieliśmy mu, że jeśli choć palcem kiwnie, będzie odpowiedzialny za ogromne straty w ludziach, głównie Brytyjczykach.

– Już się z nim skontaktowaliście?

– Owszem. Uznaliśmy, że uczciwie będzie go powiadomić, bo podejrzewamy, że wasze możliwości łącznościowe w konwoju są jakby niewystarczające.

Cholerna racja. Utknęli w wykopie w środku gór Troodos, cały specjalistyczny sprzęt łącznościowy został odesłany do Episkopi, więc równie dobrze mogliby krzyczeć z Księżyca przez rynnę. St. Aubyn liczył na to, że z bazy wyślą ekipę poszukiwawczą, kiedy tylko okaże się, iż konwój zaginął.

– No i...? – zapytał St. Aubyn niepewnie.

– Wygląda na to, że prosi o radę Londyn. Obawiam się, że spędzicie noc w niekomfortowych warunkach.

– Nie mamy jedzenia. Wody jak na lekarstwo – powiedział St. Aubyn, zauważywszy plastikową butelkę.

– Każdego, kto chce dostać jedzenie albo wodę, przyjmimy jako naszego gościa. Ale musi przyjść nieuzbrojony i nie będzie mógł wrócić.

Mężczyzna trzymający butelkę postawił ją na drugim końcu rzędu świec, tuż poza zasięgiem, tak że jej kusząca bliskość była torturą.

– Obawiam się, że tym razem będziemy musieli podziękować za waszą cypryjską gościnność – odparł sucho St. Aubyn.

– Chwilowo może tak. Ale jeszcze zobaczymy. – Wąsacz zerknął w górę na czyste, rozgwieżdżone niebo, które wkrótce miało zapłonąć ogniem bliskowschodniego słońca. – Zobaczymy.

Cypryjczycy odwrócili się, żeby przejść z powrotem za kordon uczennic.

– A tak przy okazji, kim jesteście? – zapytał St. Aubyn.

– Po prostu zwyczajnymi Cypryjczykami. Pochodzę z wioski Spilia.

– Ludźmi biskupa?

Stary odwrócił się i uśmiechnął cierpko, błyskając złotym zębem w świetle lampy.

– Nie rozumiesz, co, Angliku? Od wczoraj prawie każdy na wyspie jest jednym z ludzi biskupa.

Po czym zniknął w ciemnościach.



– Miałeś problem ze zlokalizowaniem chłopaków, Jim?

– Żadnego, sir – odparł dowódca dywizjonu. Wstał o pierwszym brzasku, żeby na misję zwiadowczą polecieć osobiście. – Są na głównej drodze do Nikozji, tuż poniżej wioski Spilia.

Wskazał położenie na dużej mapie ściennej w gabinecie generała dywizji.

– Zablokowani w wykopie przez barykadę z autobusów i... – kaszlnął przeproszająco – jak wszystko na to wskazuje, tłum dziewczynek w szkolnych mundurkach.

– Żartujesz – generała Rae zatkało.

– Dziewczynki najwyraźniej tańczyły, sir.

– Co to ma być, karnawał?

– Są tu pewne jego elementy, sir. Długie sznury samochodów i autobusów ciągną do tego miejsca ze wszystkich stron. Wygląda na to, że zrobiło się z tego coś w rodzaju atrakcji turystycznej. Co oznacza na pewno jedno: nie da się tam posłać konwoju z pomocą, tak aby nie utknął w korku.

– Helikoptery?

– Trzeba by było zawisnąć w powietrzu zaledwie kilka stóp nad szczytem wykopu, mając tyle ochrony, co motylki. Nawet nie musieliby strzelać, wystarczyłoby rzucać kamieniami. Łatwiej trafić niż w rzutkach.

Generał broni zniżył głos o ton.

– To jak to rozwiązać, Jim?

– Żebym to ja wiedział, sir.

Rae opadł na krzesło koło telefonu, który, był tego pewny, zaraz się rozzwoni.

– Coś ci powiem, stary druhu. Tym w Londynie to się nie spodoba. Nie spodoba się ani trochę.

– I dobrze mu tak.



Poranna wyborcza konferencja prasowa prawie zmieniła się w szopkę. Urquhart pojawił się na mównicy w centrali partii pod zgrabnym hasłem „ROŚNIEMY RAZEM”. Miał z sobą starannie przygotowany komunikat prasowy oraz równie starannie przygotowanego ministra rolnictwa, zdeterminowanego, by wychwalać rosnące fortuny wspaniałych brytyjskich farmerów. Mediów zupełnie to nie interesowało.

Stanowisko w sprawach Makepeace’a oraz wojska na Cyprze było dobrze przeciwiczone: bez komentarza. Pierwsza była w trakcie rozpatrywania przez sąd, druga pozostawała kwestią bezpieczeństwa narodowego.

– Będą państwo musieli poczekać – powiedział przewodniczący partii wygłaszający słowo wstępne, ale oczywiście dziennikarze czekać nie chcieli. Rzucili się do szturmu.

- Czy to prawda, że nasze oddziały zostały zatrzymane przez grupę uczennic?

- To naprawdę nie jest takie proste...

- Czy może pan potwierdzić, że doradcy wojskowi byli przeciwni puszczaniu tego konwoju do Nikozji?

- Tego typu prywatne rozmowy muszą pozostać poufne...

- Ale czy naprawdę czyjeś życie jest zagrożone, czy to tylko przepychanki z gimnazjalistkami?

- To poważna sprawa...

- Wyślecie na miejsce antyterrorystów z SAS?

- Może lepiej Michaela Jacksona – podrzucił inny dziennikarz.

- Panowie, te pytania nie mają nic wspólnego z rolnictwem...

- „Kopać dla zwycięstwa”^[7], czy tak, panie premierze?

Telewizyjne reflektory wydawały się tego ranka wyjątkowo grzać. Czuł krople potu na czole, a premierzy nie powinni się pocić, okazywać stresu ani frustracji. Okrutne oko telewizji pozwala im tylko na tryskanie pogodą ducha, ale Urquhartowi daleko było do tego uczucia.

- A co z panem Makepeace’em, panie premierze? Czy doszło do jakiegoś kontaktu między Downing Street a policją z Birmingham w sprawie jego aresztowania?

Claire patrzyła zza kulis, przyglądając mu się uważnie, a jednocześnie czując, że coś ją skręca w żołądku. Środki, cele, prawda, zasady, pragmatyzm. Polityka. Chwasty duszące róże. Wiedziała, że będzie musiał kłamać, oszukiwać, może sama też by tak zrobiła na jego miejscu – tylko że nigdy by się nie znalazła w takiej pozycji, prawda? Była zbyt ufna, naiwna. Musiała jeszcze dużo się nauczyć, nawet o samej sobie. I miała wciąż dużo do zrobienia.

Pytanie zawisło w powietrzu. Urquhart zerknął z wyrzutem na zegarek.

– Państwo wybaczą, ale okazuje się, że mam niespodziewanie pracowity dzień.



Spróbuj dzisiaj maszerować, nawet gdyby miała iść w pojedynkę. Piętnaście mil do Stratford-upon-Avon z położonego na zboczu wzgórza pola pod Bentley Heath na południe od Birmingham, gdzie przecinają się autostrady M40 i M42. Żeby pokazać Tomowi, że nie jest sam.

Przyszła przed czasem, po zamęcie poprzedniego wieczoru, i usiadła na mokrej od rosy trawie. Czekwała. Każda chwila zdawała się wisieć ciężko w porannym powietrzu, przytłaczając ją, sprawiając, że upadała na duchu. Może ten gest miał niewiele sensu, ale gesty są konieczne. Czasami nie zostaje nic innego.

Inni chyba się z tym zgadzali.

Jak żonkile na wiosnę, ruch Makepeace'a zaczął rosnąć, jeszcze nie rozkwitał, ale już przebijał się z uporem przez zalegający śnieg. Przybyli z rodzinami, z przyjaciółmi, przyjechali autobusami, pociągiem albo przyszli pieszo, niektórzy poważni, inni rozśpiewani, niosąc transparenty i dzieci. Napływało ich na pole coraz więcej, aż strużka, napędzana poczuciem niesprawiedliwości, zmieniła się w rzekę. A potem, kierowane bezbłędnym instynktem znajdowania tłumów, pojawiły się obwoźne budki z kebabami. Wtedy wreszcie się uśmiechnęła.

Nie potrafiła sobie wyobrazić potężniejszego symbolu sukcesu, wiosny. Jaskółki dziennikarstwa nie powinny być daleko w tyle.

Do dziewiątej na pole ściągnęło prawie pięć tysięcy ludzi. Nieźle jak na poniedziałek rano.

Maria rozwinęła się razem z ruchem, nabrała pewności siebie, rozeznania i niezależności. Nigdy wcześniej nie stała przed niczym bardziej onieśmielającym niż klasa złożona z trzydziściorga dzieci, ale armie maszerują w rytm bicia bębna, a pod nieobecność Toma ktoś musiał to robić. Liczyli na nią.

Wdrapała się na dach małej furgonetki marki Renault, żeby stanąć z nimi twarzą w twarz. Powoli gwar przycichł, a wszystkie oczy zwróciły się na nią. Brakowało jej słów, by wyrazić to, co miała w sercu, ale jakoś czuła, że wszyscy to rozumieli i podzielali jej odczucia.

Bryza osmagała jej twarz, rozwiała ciemne włosy i zabarwiła policzki rumieńcem buntu. Po chwili Maria powoli i jak gdyby z wielkim bólem podniosła złożone dłonie wysoko nad głowę. Tak jak zrobił to poprzedniego dnia skuty kajdankami Makepeace. Pięć tysięcy par rąk zaciśniętych w wyrazie sprzeciwu uniosło się ku niebu i tyle samo głosów krzyknęło zgodnym chórem.

Z wozu obserwacyjnego zaparkowanego w zatoczce za wjazdem na pole toczyły się pośpieszne rozmowy. Przekazywano informacje w górę drogi służbowej, od inspektora na miejscu aż do gabinetu komendanta. Marsz ruszył, zanim decyzja zdążyła pokonać tę samą drogę w dół. Ryzyko, że pochód spotka się z brutalnym sprzeciwem, było niewielkie, przynajmniej przez następnych kilka godzin – skinheadzi jeszcze nie wstali z łóżek. Ponadto marsz oddalał się od Birmingham, poza jurysdykcję West Midlands. No to krzyż na drogę i niech się martwi komenda Warwickshire.

A w ogóle to co niby mieli zrobić, aresztować całą tę cholerną zgraję?

- Niech im pan da buzi na pożegnanie, inspektorze.



W różowym świetle świtu wykop lśnił jak wnętrze wilczego pyska, czekającego, by połknąć ofiarę. Nie trwało to długo. Późnym rankiem wilgoć wyparowała, a skały z lawy poduszkowej odbijały promienie słońca w okrutnej grze w solarne ping-ponga. Temperatura nawierzchni wynosiła już trzydzieści dwa stopnie i nadal rosła.

Nicolaou spał źle. Stres ostatnich kilku dni odbijał się na ciele, któremu nawet w młodości daleko było do krzepy, a rezerwy charakteru i odporności, wyczerpane, gdy był przetrzymywany w willi, okazały się niemożliwe do uzupełnienia. W ostrym chłodzie górskiej nocy zmarzył na kość i nie miał ochoty na śniadanie, nawet gdyby mieli coś do jedzenia. Oczy zrobiły mu się szkliste, zaczął gorączkować.

Wciąż miał jednak dumę.

Ułożyli go tak wygodnie, jak tylko się dało w tych okolicznościach, na tyle jednej z czterotonowych ciężarówek. Nie skarżył się ani słowem, tylko uśmiechał się dzielnie do córki, ale ona nie dała się nabrać i nie miała zamiaru kryć niepokoju. A po południu nawet w cieniu temperatura przekraczała trzydzieści osiem stopni.

St. Aubyn co godzinę robił obchód obłąkanego konwoju, usiłując podtrzymać morale, podkreślając, że gdyby Cypryjczycy byli zdecydowani zrobić im krzywdę, to już niewątpliwie by ją im do tego czasu wyrządzili.

- Cypryjczycy to mili ludzie, sir - potwierdził pewien kapral, ocierając sobie zaczerwienioną twarz jakąś szmatą. - Ale dziwna rzecz, jak byłem mały, to na farmie mieliśmy mnóstwo żuków. Stary nigdy na mnie nie krzyczał, kiedy je rozdeptywałem, dopiero gdy wziąłem szkło powiększające i usiłowałem spalić te cholerstwa

żywcem, złał mnie pasem. Chyba zaczynam rozumieć, o co mu chodziło.

St. Aubyn szybko przeszedł dalej, nie chcąc wikłać się w spór z tak osobliwą logiką. Następną na trasie jego obchodu była ciężarówka Nicolaou.

– Przynieś mi trochę wody, Elpido – poprosił prezydent, widząc St. Aubyna.

Kiedy poszła, odwrócił się do wojskowego.

– Pułkowniku, strasznie mi przykro to panu mówić, ale nie jestem pewien, czy będę w stanie dłużej wytrwać.

St. Aubyn ukląkł przy nim.

– Panie prezydencie – szepnął – woda, którą panu niesie pańska córka, to już prawie ostatni kubek. Nie jestem pewien, czy dłużej będzie w stanie wytrwać ktokolwiek z nas.



Udawało im się nawiązywać co jakiś czas kontakt radiowy ze światem zewnętrznym za pośrednictwem helikopterów, które latały w regularnych odstępach wysoko nad wykopem na rekonesans. Dzięki temu mogli poinformować bazę, że wyczerpały im się zapasy, a także dowiedzieć się, że jak na razie nikt nie miał pojęcia, jak – i kiedy – można by ich uwolnić.

Gdy nadciągał zmierzch, na horyzoncie pojawił się wessex lecący szybko i nisko, nie wyżej niż sto stóp nad ziemią, z odsuniętymi drzwiami tylnej kabiny. Kiedy przelatywał nad nimi, w drzwiach pojawiły się dwie beczki, którym wyrosły jedwabne skrzydła, i zaczęły opadać w dół, jakby zalaminowane na czerwono w gasnącym słońcu. Z wyschniętych gardeł wydobyły się ochryple wiwaty, gdy żołnierze

patrzyli, jak beczki z wodą lecą w ich kierunku, a wessex zaczął zawracać po następną turę zaopatrzenia.

Beczki dzieliło od ziemi około stu stóp, kiedy na grani rozległy się dwa strzały z karabinu. Spadochrony eksplodowały chmurą strzępków, a zaopatrzenie runęło w dół. Przy uderzeniu w ziemię beczki się rozbiły, a jedna omal nie zabrała z sobą na tamten świat zaskoczonych żołnierza.

Zwiesiwszy dziób, wessex porzucił misję i zniknął na wieczornym niebie.



Mortimę obudził grzmot letniej burzy. Była trzecia nad ranem, powietrze parne i ciężkie. Na zewnątrz kurtynę nocy rozrywała biała błyskawica. Stał przy oknie. Nie zmrużył oka.

Podeszła do niego, wzięła go pod rękę, tak że ich ramiona złączyły się jak ogniwa łańcucha.

– Jesteś niespokojny, Francis.

– To bogowie są tej nocy niespokojni. Ja czuję się... – Wzruszył ramionami, niezdolny dokończyć.

– Francis, nie pora na sekrety między nami.

Wziął głęboki wdech i spróbował jeszcze raz.

– Czuję się, jakby prowadzili wojnę o mnie, ci bogowie tam gdzieś, daleko. Walczyli o to, kto się pozbędzie Francisa Urquharta.

– Kto usiądzie u jego boku, triumfując – poprawiła.

Nie sprzeczał się, chociaż nie był przekonany. W ostrych rozbłyskach światła wpadających przez okno widziała tylko cień zasnuwający mu oczy, który sprawiał, że wyglądały jak puste oczodoły w czaszce. Grzmot zabrzmiał jak brzęk łańcuchów w krainie cieni. Atmosfera napawała ją strachem.

- O co chodzi? - zapytała. - Nie odcinaj się ode mnie.

Jego oczy ożyły, skłonił przepaszająco głowę.

- Zawsze się dzieliliśmy, Mortimo. Wszystkim. Triumfami i krzywdami. Ale teraz się boję.

- Jeśli podzielimy się strachem, na każde z nas przypadnie go o połowę mniej.

- Nie chciałem cię obarczać.

- Czy czujesz, że musisz mnie chronić, bo jestem taka słaba albo niedyskretna?

- Chcę cię chronić - poprawił z łagodną przyganą - bo cenię cię ponad wszystkich innych. A moje lęki wydają się takie infantylne i zabobonne. A jednak takie realne.

Ścisnęła go mocniej za ramię. Atmosfera była duszna, burza wisiała w powietrzu.

- Powiedziałem ci o Cyprze. O poświęceniu sprzed wielu lat - ciągnął. - Zdarzyło się to niecałe trzy mile od miejsca, w którym zatrzymano teraz konwój, w pobliżu wioski Spilia. I towarzyszył mu pewien symbol, znak. Płonąca sosna. Jak pochodnia, która migotała w moich snach przez te wszystkie lata.

- Czasami niezdrowo jest rozpamiętywać sny.

- Widziałem to drzewo ponownie. Dwa dni temu, koło willi prezydenckiej w Troodos. I tym razem płonęło.

- Symbol przyszłego triumfu - podsunęła.

- A może życia, które zatoczyło koło.

- W takim razie symbol pełni. Całości. Co oznacza siłę.

- Życie, które zatoczyło koło, już się skończyło, Mortimo.

Śmiertelność. Tego argumentu nie mogła zbić. Słowa jednak mu pomogły, wydawał się już spokojniejszy, podzielił się ciężarem,

skonfrontował z wewnętrznymi wątpliwościami i wyciągnął je na światło dzienne. Lepiej je widzieć. Trójząb błyskawicy uderzył w BT Tower milę dalej i ostatni, potężny werbel grzmotu zawibrował na dachach.

– Co zrobisz, Francis?

– To, co robiłem zawsze, jedyną rzecz, którą umiem robić. Będę walczył. I miał nadzieję, że moi bogowie wygrają.

Odwrócił się, żeby ją objąć, i wtedy nadszedł deszcz. Bitwa bogów się zakończyła. Byli gotowi się go pozbyć.



Dochodziła druga w nocy, gdy Maria usłyszała pukanie do drzwi swojego pokoju w motelu. Nie mogła zasnąć, upojona sukcesem marszu i dręczona myślami o tym, jaki los może czekać Toma rano. Pukanie się nasiliło. Odrzuciła kołdrę na bok i pokonała połowę drogi do drzwi, kiedy się zawahała. Kto to był? Co mogło być aż tak pilne i dlaczego, do diabła, ten ktoś po prostu nie zadzwonił? A poza tym nie miała na sobie nic poza jedną z koszul Toma.

– Kto tam? – zapytała ostrożnie.

Z korytarza odpowiedział jej kobiecy głos. Nie było w nim słyhać ani śladu groźby. Maria otworzyła, ale zostawiła założony łańcuch.

– Mam wiadomość dla Toma – oznajmiła kobieta, zwracając się do oka i opadającego luźno pasma włosów widocznych w szparze w drzwiach.

Tom. Hasło do nowego życia Marii. Zdecydowała się, zdjęła łańcuch i powoli otworzyła drzwi. Na progu stała Claire. Marii wydała się mgliście znajoma, ale Claire od razu rozpoznała koszulę – a więc to prawda, byli kochankami. Dziewczyna miała świetne nogi, długie i kształtne. Tom zawsze umiał docenić niezłe nogi.

- Chyba lepiej, żebym weszła. Obie jesteśmy trochę za bardzo odsłonięte tu, na korytarzu.

Koszula, nogi i atrakcyjna twarz, okolona długimi, potarganymi ciemnymi włosami, odsunęły się z drogi.

- Dobry wieczór, jestem Claire Carlsen - powiedział gość, wyciągając rękę. - Osobisty sekretarz parlamentarny Francis Urquharta.

Maria natychmiast cofnęła się o krok i wyraz sennego zainteresowania tą jakby znajomą twarzą zmienił się w ostrą dezaprobatę.

- Wynoś się. Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Ale ja mam coś do powiedzenia tobie. - Claire się nie ugięła. - Coś ważnego dla Toma.

- Francis Urquhart nie kiwnąłby palcem, żeby pomóc Tomowi.

- Masz absolutną rację. Ale ja tak.

- Ty? - Nawet nie próbowała ukrywać niechęci. - Niby dlaczego?

Jak to wyjaśnić, szczególnie Marii?

- Może dlatego, że pomagając jemu, będę mogła pomóc samej sobie.

Maria przyjrzała się stojącej przed nią kobiecie. Blondynka, zupełnie inny od niej typ urody. Elegancka fryzura, włoska torba na ramię, przemyślany, dyskretnie drogi styl. Całkowite przeciwieństwo Marii. Miała wiele powodów, by tej kobiecie nie ufać, lecz widziała także zaczerwienione oczy, które wskazywały, że Claire nie spała. Rzeczywiście nie zmrużyła oka, odkąd usłyszała o aresztowaniu Toma i zrozumiała, dlaczego Corder koniecznie chciał się upewnić, że szoferowi nie grożą kłopoty. Kłopoty, o których wiedział, że nastąpią. Które musiał zaplanować. A za Corderem stał tylko jeden pan.

– Nie sędę, żebym chciała pomagać komukolwiek związanemu z Francisem Urquhartem – powiedziała stanowczo Maria.

– Wszyscy jesteśmy związani z Francisem Urquhartem, czy nam się to podoba, czy nie. Tom przede wszystkim.

Maria stała na środku pokoju, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Agresję zaczęła wypierać troska o Toma, a może także kobieca intuicja dotycząca tej całej Claire.

– Zdradziłabyś Urquharta?

– Wolę myśleć, że chodzi tu raczej o wierność samej sobie. Chyba mi tego czasami zabrakło w ostatnich tygodniach. Chcę to zrekompensować.

– Jak?

– Ostrzegając Toma. Jego aresztowanie nie było przypadkowe. Stała za tym polityka. Polityka Downing Street.

– Gdzie dowody?

– Nie mam żadnego. Tylko podejrzenia.

– To nie za wiele.

– Wystarczyło, żeby podjąć bardzo poważne ryzyko i przyjechać tutaj w środku nocy.

– Ryzyko?

– Gdyby Francis się dowiedział, właściwie nie byłoby sensu wracać.

– To może być po prostu podstęp z twojej strony, jakaś próba odwrócenia uwagi. Kolejna sztuczka.

– Proszę. Pozwól Tomowi, żeby sam o tym zdecydował. Powiedz mu, że moim zdaniem to Urquhart.

Maria nie odpowiedziała.

– Jeszcze jedno – ciągnęła Claire. – Urquhart wie, że jesteście kochankami. Z pewnością użyje tego przeciwko tobie, jeśli będzie

musiał.

– Nie próbuj mi grozić. – W jej głosie zabrzmiał gniew.

– Próbuję ratować ci skórę.

– Urquhart nie może niczego udowodnić!

– Radzę ci trzymać się z daleka od jego łóżka, aż będzie po wyborach. I od jego koszul.

Maria drgnęła, spojrzała w dół na swój nocny ubiór, a potem z powrotem na Claire, i jej intuicja nagle zupełnie się rozbudziła.

– Mówił, że był ktoś, kto go zranił. Ktoś ze świata polityki, zupełnie inny ode mnie. – Popatrzyła badawczo w zmęczone oczy Claire, próbując zajrzeć w jej duszę. – Ktoś, kto by rozpoznał jego koszule.

– Ktoś, komu nadal bardzo na nim zależy.

– Mamy z sobą więcej wspólnego, niż myślałam – przyznała ponuro Maria. – On wciąż o tobie myśli.

– A ja ciągle myślę o nim, jak widzisz.

– Ale bardziej o sobie. – W głosie Marii pobrzmiwał oskarżycielski ton.

– Być może. A szczególnie o mojej rodzinie. – Nie planowała tych wszystkich zwierzeń i ujawniania sekretów, nie była pewna, czy coś pomogły. – To co zamierzasz zrobić?

– A ty?

– Nie jestem pewna.

– Dziwna rzecz – odparła Maria, pokazując jej drzwi – ja też nie.

[7] Aluzja do kampanii propagandowej z czasów drugiej wojny światowej, zachęcającej Brytyjczyków do przekształcania terenów zielonych w działki, na których uprawiano warzywa, co miało odsunąć widmo głodu w razie blokady (przyp. tłum.).

Rozdział 43

Nigdy nie ufaj Grekowi.
Greczynki nie ufają, a one znają ich najlepiej.

Na pierwszej stronie „The Independent” dominowało zdjęcie starego siwowłosego Cypryjczyka. Siedział na tapicerowanym krześle, w sfatygowanym wojskowym berecie założonym na bakier, a orzechową twarz przecinał mu szczerbaty uśmiech. Na kolanie opierał wysłużony muszkiet sprzed pierwszej wojny światowej, a na drugim siedziała gibka szesnastoletnia uczennica. Taka to armia uczyła pokory Brytyjczyków, „postawionych pod ścianą przez połączenie kija hokejowego z garłaczem” – jak twierdził „The Independent”.

„The Sun” był mniej taktowny: „F.U.”^[8]

Przekaz mediów był jednogłośny: Francis Urquhart – od triumfu do klęski. Dwa dni to na Fleet Street kawał czasu.

– Jakie jest zatem rozwiązanie militarne, generale?

W całej sali posiedzeń rządu unosił się zapach pasty do polerowania mebli. Trzeba by czegoś więcej niż wojny, by zakłócić plan sprzątnięcia w Whitehall. Przez łącze satelitarne członków COBRA dobiegło przeproszające kaszlnięcie.

– To trudna sprawa, panie premierze.

– Trudna? – warknął Urquhart. – Chce mi pan powiedzieć, że nie umie pan się tym zająć?

Siedzący po drugiej stronie stołu Youngblood poczerwieniał. Na Cyprze atmosfera też się zmieniała. Generał dywizji Rae był człowiekiem wykutym w szkole Harrow i ukształtowanym przez swoją namiętność do brutalności krokietą. Typem niezbyt nadającym się, by go tyranizować. Rae wydmuchał nos, co przez satelitarne łącze brzmiało jak prychnięcie byka gotowego do oparcia się prowokacyjnym ruchom matadora.

– Trudna, sir, ponieważ, jak pan pamięta, ja tę ekspedycję odradzałem.

– Uczennice!

– Właśnie. Nie potrafię sobie wyobrazić militarne rozwiązanie, które nie byłoby zagrożeniem dla życia albo tych uczennic, albo moich ludzi, albo i jednych, i drugich.

– Chce mi pan powiedzieć, że nie potrafi znaleźć rozwiązania?

– Wojskowego nie. Polityczne być może.

– Proponuje pan, żebym negocjował z bandą piratów?

– To nie do końca tak, panie premierze. Z czego częściowo wynika kłopot. Nie mają wyraźnego przywódcy, żadnej osoby, z którą można by negocjować. To po prostu zwykli Cypryjczycy zjednoczeni wspólnym celem. Wykopania nas.

– Co z prezydentem Nicolaou?

– Wygląda na to, że jego też chcą wykopać. Trudno w tym momencie znaleźć w tej części świata pokłady entuzjazmu dla polityków. Sir.

Urquhart zignorował tę, był tego pewien, celową ironię. Potrzebował Rae.

– Ciężko pracowałem, żeby zaprowadzić pokój na wyspie. Jeśli wyrzucą Nicolaou, to porozumienie pokojowe razem z nim.

– Nigdy nie mieli pokoju, nie zaznali go od tysiąca lat. To tacy ludzie, którzy nawet do łowienia ryb używają dynamitu. Przeżyją bez traktatu.

– W takim razie, jeśli chcą walki, generale, sugeruję, żebyśmy im ją dali.



– Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Wśród smug kurzu w powietrzu zawisła cisza. Wyłożona drewnem sala rozpraw pękała w szwach. Na zewnątrz zebrał się kilkutysięczny tłum. Marsz się dziś nie odbył, byli potrzebni tutaj. Przez wysokie okna wpadały strugi słońca, otaczając ławę oskarżonych surrealistyczną ognistą aureolą, jakby Channel 4 kręcił współczesną wersję Joanny d’Arc. Czy oskarżony ma coś do powiedzenia, zanim zostanie spalony na stosie?

– Nie przyznaję się!

Nie tylko Francis Urquhart był gotowy do walki.



– Jeśli nie możecie dostać się do konwoju, generale, to niech konwój przedostanie się do was. Wyjedźcie nim. Rozbijcie blokadę. Powiedzcie „sprawdzam”. – Wydawało się, że po języku Urquharta toczą się rozgrzane do czerwoności węgle.

– Jest pan gotów ryzykować życie tylu ludzi na podstawie przeczucia, że tamci mogą blefować?

– Ostrzelajcie grań. Niech się nie wychylają. Jeśli będzie trzeba, kula w łeb. – Wypluwał gorące węgle jeden po drugim.

– Kiedy ostatnio liczyliśmy, na tej grani było też sześć ekip telewizyjnych, panie premierze.

– Zdziwiłby się pan, jak szybko dziennikarze potrafią uciekać.

– A co z dziewczynkami?

– Gaz łzawiący. Rozproszyc je.

Choć Rae tego nie widział, Urquhart zaczął machać rękami, jakby już zabierał się do dzieła.

– Gimnazjalistki nie potrafią biegać szybciej od rozpędzonej czterotonowej ciężarówce.

– Pan mi się sprzeciwia, generale?

– Stwierdzam fakt.

– Dość tych obiekcji. To będzie proste rozwiązanie.

– Raczej prostackie.

Wymiana zdań, która płynęła wartko jak gorąca krew przez tętnicę, nagle się załamała, jakby podcięto jej żyły.

– Czy ja dobrze słyszę, Rae?

– To nie jest gra, panie premierze. Stawką jest życie ludzi.

– Stawką jest przyszłość całego kraju.

– Proszę mi wybaczyć, panie premierze, jeśli trudniej niż panu przychodzi mi zrównywanie własnego interesu z interesem narodu.

– Czy wyczuwam, nawet z tak wielkiej odległości, smród niesubordynacji?

– Można by tak powiedzieć.

– Rae, wydaję panu rozkaz. Wyjechać stamtąd konwojem.

Nastąpiła krótka cisza, jakby cyfrowy system satelitarny miał problemy z zakodowaniem słów. Kiedy jednak się rozległy, zabrzmiały

w całej sali posiedzeń z niezwykłą klarownością.

– Nie, sir.



– Ile jeszcze osób aresztowano za udział w Marszu dla Pokoju w niedzielę, inspektorze Harding? – Makepeace sam prowadził swoją obronę.

– Ani jednej, sir.

– A dlaczego ja zostałem tak szczególnie potraktowany?

– Ponieważ uważaliśmy pana za organizatora marszu, panie Makepeace.

– Mieliście rację, panie inspektorze. Oskarżony to przyznaje. Byłem, jestem i będę organizatorem tego marszu.

W galerii dla publiczności zażywna matrona o rumianych policzkach i słomkowych włosach ściągniętych w kok już chciała zacząć klaskać, ale Maria zatrzymała jej dłoń i doradziła ciszę. Przewodniczący składu sędziowskiego coś sobie zapisał.

– Co jeśli chodzi o ten drugi marsz, panie inspektorze, marsz skinheadów. Ten, w związku z którym miał pan tyle obaw dotyczących porządku publicznego. Ilu jego uczestników aresztowano?

Chociaż policjant znał odpowiedź, i tak zajrzał do notesu. Dodawało mu to powagi, a także zapewniało czas do namysłu.

– Piętnastu, sir.

Przewodniczący znów coś zanotował. Wyraźnie było to poważne zakłócenie porządku.

– Za jakie wykroczenia, panie inspektorze?

– Wykroczenia, sir?

– Tak. Czyż nie jest przyjęte, że aresztuje się kogoś pod pretekstem popełnienia przez niego wykroczenia?

Przez galerię dla publiczności przetoczył się śmiech, a przewodniczący zmarszczył brwi, aż sala się uspokoiła.

Harding ponownie zerknął do notesu.

– Różnie, za zakłócanie porządku w stanie nietrzeźwym, za zachowanie zmierzające do zakłócania spokoju publicznego, cztery osoby za handel narkotykami i jedną za obnażenie się w miejscu publicznym.

– Rzeczywiście kłopotliwa zgraja. Nic dziwnego, że żywił pan obawy.

Policjant nie odpowiedział. Makepeace był zbyt układny jak na jego gust.

– Jak rozumiem, ostatnio odbywały się w Birmingham półfinały mistrzostw w piłce nożnej. Pamięta pan, ile osób wtedy aresztowano?

– Musiałbym sprawdzić, sir.

– Ja panu powiem. – Makepeace spojrział na wycinek prasowy. – Osiemdziesiąt trzy. Na służbie było tego dnia kilkuset policjantów, wiedzieliście, że będą zamieszki.

– Jak zawsze w dniu ważnego meczu.

– To dlaczego go nie odwołaliście? Nie kazaliście go przerwać? Tak jak mój marsz?

– To nie to samo, prawda?

– Nie, panie inspektorze. To zupełnie co innego. Podobnie jak koncert w ostatni weekend w National Exhibition Centre. Wtedy aresztowaliście ponad sto osób. A zatem przypadki zakłócenia porządku ze strony tych, którzy usiłowali rozbić mój marsz, to było tak naprawdę małe piwo. Właściwie bezalkoholowe, można by powiedzieć.

Harding milczał.

– No, ja mógłbym tak powiedzieć. Pan pewnie nie mógłby tego skomentować.

Nawet przewodniczący nie powstrzymał przelotnego uśmiechu.

– W takim razie wróćmy do spraw, które może pan komentować, panie inspektorze. Wręcz musi je pan komentować. Ci skinheadzi, neonaziści, wichrzyciele, czy jak ich nazwiemy: aresztowani za pijaństwo, narkotyki, obnażanie się, mówi pan?

Harding skinął głową.

– Nie za wykroczenia regulowane Ustawą o porządku publicznym?

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza...

– Do czegoś bardzo prostego, panie inspektorze. Czy może pan potwierdzić, że byłem jedyną osobą, którą aresztowano za udział w marszu? Wszyscy inni zostali zatrzymani za wykroczenia, które wymagałyby interwencji policji bez względu na to, czy maszerowaliby, robiliby na drutach, czy stawali na rękach na Centennial Square?

Harding wyglądał, jakby już miał kiwnąć głową, ale ta odmówiła mu współpracy.

– Niech pan da spokój, panie inspektorze. Czy muszę to z pana wyduszać? Czy jest prawdą, że spośród kilku tysięcy ludzi obecnych w niedzielę tylko ja zostałem aresztowany za maszerowanie?

– Formalnie rzecz biorąc, tak. Sir.

– Znakomicie. A zatem potwierdziliśmy, że mój marsz miał charakter całkowicie pokojowy, że nawet mimo działalności skinheadów był to stosunkowo spokojny dzień dla policji w Birmingham, a ja byłem jedyną osobą, którą postanowił pan... – zrobił pauzę dla większego dramatyzmu – aresztować jako zagrożenie dla porządku publicznego. – Uśmiechnął się do Hardinga, by pokazać, że nie żywi do niego urazy. – Czyjego porządku, panie inspektorze?

– Słucham?

– Czyjego porządku? Ktoś ewidentnie uznał, że moje działania staną się zagrożeniem, jeśli będą kontynuowane. Ale to

była opinia, a nie fakt. Czy to pan dokonał takiej oceny? Aresztował mnie pan z własnej inicjatywy?

– Ależ nie, sir. Dopiero po starannym rozważeniu...

– Rozważeniu przez kogo? Kto to był? Czyje polecenia pan wykonywał?

Harding wiedział, że coś takiego może go czekać, musieli pokazać, że działania policji nie były pochopne, tylko przemyślane, na wszystkich szczeblach, aż do samej góry. Mimo to knykcie zaczynały mu bieleć, kiedy zaciskał dłonie na krawędzi stanowiska dla świadka.

– Wykonywałem rozkazy komendanta.

– Ciekaw jestem, kto rozkazywał jemu?

– Co ma pan na myśli?

Makepeace spojrział na galerię publiczności i podchwycił wzrok Marii. Uśmiechnął się. Kiwnęła głową, jak zawsze wszystko rozumiejąc. Wykorzystał informacje od Claire. Co miał do stracenia?

– Może mi pan powiedzieć, czy biuro komendanta kontaktowało się przed moim aresztowaniem z Downing Street?

– Nie rozumiem pytania.

– To dość proste, inspektorze. Wygląda na to, że miał pan znikome podstawy prawne, żeby mnie aresztować. Dlatego bardziej prawdopodobne, że była to kwestia nie tyle prawa, ile polityki. Czy ktoś wywierał na was presję polityczną?

– To czyste spekulacje.

– Podobnie jak pańska opinia, że mój marsz może doprowadzić do zamieszek. Czyste spekulacje.

– Ale taka opinia dawała mi zgodnie z prawem upoważnienie do wydawania poleceń, a na pana nakładała obowiązek ich wykonywania.

– Nie zabrzmiałoby to najlepiej w Norymberdze, prawda, panie inspektorze? – zakpił Makepeace. – No, niech pan powie – poprosił – czy były naciski polityczne?

– Oczywiście, że nie.

– Może pan potwierdzić, że nie doszło wcześniej do kontaktu między biurem komendanta a żadnym politykiem?

– Ja... nie wiem.

Harding odpowiadał zgodnie z prawdą i powoli tracił równowagę. Wymiana ognia między jego własnym szefem, premierem i byłym ministrem spraw zagranicznych to było zdecydowanie za dużo nawet jak na jego dwadzieścia trzy lata doświadczenia. Zaczynała go kusić wcześniejsza emerytura.

– Czyli nie może pan tego potwierdzić.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie było mnie...

– Chciałbym mieć całkowitą jasność. Czy jest pan w stanie zaprzeczyć, że na policję wywarto presję polityczną, aby doprowadzić do mojego aresztowania?

Harding popatrzył z rozpaczą na skład sędziowski. Trzech sędziów pokoju beznamiętnie odwzajemniło spojrzenie, trzymając długopisy w rękach.

– Jak mogę odpowiedzieć na takie pytanie?

– Wystarczy proste „tak” lub „nie”. Może pan zaprzeczyć?

– Nie.

– Dziękuję panu, panie inspektorze. Chyba nie muszę już dłużej pana niepokoić.



COBRA powstała po to, by rozwiązywać konflikty, a nie je generować. Nie miała dziś dobrego dnia.

– Youngblood, chcę, żeby Rae został odwołany ze stanowiska dowódcy i zastąpiony kimś innym w ciągu godziny.

– Trudno mi będzie to zrobić, panie premierze.

– Niech pana diabli! Czy zapal polemiczny zajmie miejsce charakteru w armii brytyjskiej? Co, na litość boską, może być trudnego w zastąpieniu jednego oficera drugim?

– W tym nie ma nic trudnego, panie premierze. Po prostu nie zrobię tego dla pana.

– Odmawia mi pan?

– Tak jest.

Premier zaklął krótko i treściwie.

– Zdaję sobie sprawę, że za taką odmowę będę musiał położyć głowę pod topór – ciągnął Youngblood – ale zapewniam pana, że moja mowa na szafocie będzie porywająca. I szczerą. Opowiem na przykład, jak to przez cały czas odrzucał pan i ignorował rady przedstawicieli wojska, jak sam pan ściągnął na siebie tę katastrofę. Napomknę, że charakter i moment naszych działań wojskowych na Cyprze został nagięty do, jak zakładam, harmonogramu wyborów. Mogę się mylić co do pańskich motywów, oczywiście; być może to głupota, a nie czyste polityczne oszustwo, skłoniła pana do takiego postępowania, ale z chęcią pozwolę innym, by podjęli własną decyzję. – Odchrząknął, uśmiechnął się zdawkowo, z lekką pogardą. – Zaskakuję sam siebie. Nawet sprawia mi to przyjemność. Będę jej jednak czerpał znacznie mniej z obwinienia pana publicznie za każdą śmierć, czy to Brytyjczyka, czy Cypryjczyka, która może nastąpić w wyniku pańskiego szaleństwa.

– Nie ośmieliłby się pan – wydyszał Urquhart. Nagle poczuł, że brakuje mu powietrza.

– Panie premierze, są tam dzielni chłopcy, moi chłopcy. I niewinne dzieci. Jeśli któremuś z nich stanie się krzywda, dam panu oficerskie słowo honoru, że rozciągnę pana na kołkach na mrowisku przed każdym lokalem wyborczym w kraju.

Brązowy filcowy materiał, którym wyłożony był stół, zmiął się między zaciśniętymi pięściami Urquharta. Oczy mu przygasły, zasnute mgłą konsternacji. Patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, jakby oślepl. A może nie było już nic do oglądania oprócz ciemności? Czuł się, jakby spadał tyłem w nicość.

Generał jeszcze raz chrząknął i zebrał leżące przed nim papiery w równą kupkę.

– Przyglądanie się czemuś, co może się zmienić w masakrę dzieci przed telewizyjnymi kamerami, to jakaś forma szaleństwa. Nie będę w niej uczestniczył. – Wstał, poprawił mundur, przyjął postawę wikinga przed stosem pogrzebowym. – Sir. Czy wyraża pan zgodę, żebym wyszedł?



– Jedyne przestępstwo, jakie popełniłem i za które zostałem postawiony przed sądem, to moja polityka. Niektórym nie podobają się moje poglądy. Na ulicach pojawili się chuligani i usiłowali zatrzymać mój marsz. Są także inni, kryjący się w cieniu, którzy są ich współnikami. Którzy nie chcą zaakceptować, że Anglik ma prawo się nie zgadzać, wydeptywać własną ścieżkę, decydować samodzielnie. Stoczyliśmy o te prawa dwie wojny światowe z zewnętrznymi wrogami. Teraz musimy stawić czoło wrogowi wewnętrznemu. Zarzuca mi się brak patriotyzmu, jednak nie ma nikogo, kto by kochał ten kraj

bardziej niż ja. Oskarża się mnie o podburzanie do przemocy, jednak maszeruję tylko dla pokoju. Stoję tu, przed sądem, oskarżony o przestępstwo, jednak nikt nie trwa przy sprawiedliwości wierniej ode mnie. I o cóż się mnie oskarża? Jeśli człowiek nie może się bronić, twierdząc, że postąpił niewłaściwie, bo tylko wykonywał rozkazy, to z pewnością nie można uznać za przestępcę człowieka, który odmawia wykonania niesłuszných rozkazów. Upór jest cechą godną podziwu u angielskiego dębu. Sprzeciwiłem się policji nie z braku szacunku, ale dlatego, że jeszcze większy szacunek mam dla przyrodzonego Anglikowi prawa do powiedzenia: „Idźcie się wszyscy wypchać! Chcę zrobić to po swojemu”. Jeśli bycie Anglikiem jest przestępstwem, to przyznaję się do winy. Jeśli wykroczeniem jest umiłowanie wolności i zasad fair play, to także jestem winny. Jeśli naruszeniem prawa jest pragnienie pokoju, to tak, i tym razem jestem winny. Jeśli grzechem jest wiara, że ten kraj zasługuje na lepszą politykę, to skażcie mnie i wyrzucicie klucz. I zróbcie to teraz. Nie będę bowiem ukrywał swoich poglądów ani szedł na kompromisy po to, by objąć urząd, ani zawierał za zamkniętymi drzwiami układów, godząc się na coś, czego nie mogę poprzeć w świetle dnia. Nie mam partii, jedynie moją politykę. W tej polityce mieści się szacunek dla prawa. Miłość do mojego kraju. Poświęcenie dla pokoju. I sprzeciw wobec tych, którzy chcą zdeptać prawa zwyczajnych mężczyzn i kobiet. To oni, a nie ja, próbują zmienić ten sąd w narzędzie politycznej manipulacji, a jeśli na początek uda im się to tutaj, w Birmingham, w sercu Anglii, to gdzie się zatrzymają? I czy musimy pytać, kim są ci „oni”?



– Niech pan usiądzie – polecił Urquhart, rozpaczliwie próbując dokonać ponownej oceny sytuacji. Ale Youngblood nadal stał.

Urquhart czuł się wycieńczony, sięgnął po szklanę z wodą. Wszyscy zauważyli, jak drży w jego ręku. Wychylił ją jednym haustem, ale strużki wody popłynęły mu z kącików ust, górna warga pozostała wilgotna. Zamrugał nerwowo, spoglądając na Youngblooda.

– Siadajże, człowieku. Stawką jest ludzkie życie. Przynajmniej o tym porozmawiajmy.

Sztywno i z ewidentną niechęcią generał zajął miejsce przy stole.

Nikt się nie odezwał, kiedy Urquhart zagryzł zębami knykię, usiłując znów coś poczuć, nawet jeśli był to tylko ból. Przez chwilę miał wrażenie, że unosi się gdzieś ponad własnym ciałem, obserwując zebranych z dystansu, spoglądając z góry na człowieka siedzącego nieruchomo w fotelu zarezerwowanym dla premiera, człowieka, który wydawał się uwięziony jak mucha w bursztynie. Jedna z ofiar historii.

– Przepraszam, generale, jeśli moje słowa wydały się pochopne i nierozważne. Nie było to moim zamiarem. – Nie czuł języka, którym wypowiadał te słowa, głos miał nienaturalnie napięty, jakby połknął musztardę.

Youngblood posłał mu spojrzenie, od którego kwaśniało mleko, ale nic nie powiedział.

– Jeśli pana zdaniem nie nasuwa się żadne rozwiązanie wojskowe – ciągnął Urquhart wciąż zduszonym głosem – jakie ma pan sugestie?

Youngblood pokręcił krótko głową.

– Ktoś inny? – zachęcił Urquhart, rozglądając się wokół stołu.

Po raz pierwszy uświadomił sobie, że w ciągu ostatnich kilku dni chyba ani razu nie zapytał innych członków COBRA o zdanie, ale nawet marionetki mogą się czymś odznaczyć.

Nikt nie miał nic do powiedzenia. Wtedy generał odkaslnął.

- Rae jest naszym człowiekiem na miejscu. Ufam jego ocenie sytuacji.

Urquhart skinął głową.

- Rae - rzucił generał - proszę nam powiedzieć, co pan myśli.

- Myślę, panowie - rozległ się głos oddalony o tysiąc mil - że jest to problem polityczny, który może mieć tylko polityczne rozwiązanie.

- Proszę mówić bez oporów, generale - skrzeknął Urquhart.

- Z niechęcią dochodzę do wniosku, że jeśli Cypryjczycy chcą odzyskać bazy, niewiele możemy zrobić, by ich powstrzymać. Jak nie teraz, to w przyszłym roku, w każdym razie wkrótce, wygrają. Takie rzeczy nabierają niepowstrzymanego rozpędu.

- Ale bazy są naszym najważniejszym stanowiskiem nasłuchowym na całym Bliskim Wschodzie. Oddanie ich byłoby militarną i wywiadowczą katastrofą - zaprotestował Urquhart.

- To zależy, sir. Cypryjczycy nie mają nic przeciwko samej naszej obecności na wyspie, a wręcz traktują ją przychylnie. W normalnych warunkach są bardzo gościnni. A bazy przynoszą im ogromne dochody i miejsca pracy. Sprzeciwiają się temu, że posiadamy suwerenne tereny w ich własnym kraju.

- Co pan proponuje, Rae? - nacisnął Youngblood.

- Gdybym był politykiem, sir - w jego tonie słychać było radość z tego, że nim nie jest - myślałbym o kompromisie. Zachowujemy przyjazne stosunki. Informujemy ich, że chętnie zwrócimy im prawo własności terenów baz, a potem zawieramy umowę, żeby je od nich z powrotem wydzierżawić. My zatrzymujemy bazy, a Cypryjczycy dochody. Wszyscy są zadowoleni.

- Intrygujące - mruknął Youngblood.

Urquhart miał twarz wyciosaną z kamienia, a jego umysł przypominał pole lodowe, które powoli pękało. Kiedy tak siedział w milczeniu, zaczęły wirować wokół niego niezależne, oderwane myśli.

Przewodniczący partii pokręcił głową.

– To byłaby polityczna katastrofa.

– Niekoniecznie – zaprzeczył minister obrony. – Nie gdyby inicjatywa wyszła od nas. Gdybyśmy przedstawili to jako rozwiązanie, które pozwoliłoby nam zachować reputację mediatorów i strażników pokoju na wyspie. W końcu kto by zgłosił obiekcje? Dick Clarence już nas publicznie poparł na Cyprze, nie mógłby biadolić.

– A jedynym innym prawdopodobnym źródłem jęków jest Tom Makepeace. Który siedzi w areszcie. – Głos prokuratora generalnego brzmiał wręcz wesoło.

Atmosfera entuzjazmu zaczęła ocieplać salę, a zmrożone myśli Urquharta stopniowo tajały. Może mucha nie była jednak zatopiona w bursztynie, może tylko otarła się o pajęczynę i jeszcze zdoła się uwolnić.

Obrady przerwało im ciche pukanie do drzwi. W drzwiach pojawiła się nieśmiało głowa, a potem reszta prywatnego sekretarza, który ruszył w stronę fotela premiera. Położył na stole kartkę, po czym wycofał się z sali.

Urquhart powoli skupił wzrok i zaczął czytać.

Nieważne, jak bardzo mucha się wyrywała, nie było ucieczki.

Thomas Makepeace został uniewinniony.

[8] Skrót od angielskiego „fuck you” (przyp. tłum.).

Rozdział 44

Reguły polityki są proste. Nie oczekuj zbyt wiele, nie porywaj się na zbyt mało i przede wszystkim nigdy, przenigdy nie śpij spokojnie.

W gasnącym słońcu wyostrzył się cień padający na wykop. Nadal było ponad trzydzieści siedem stopni, ale Nicolaou dygotał, podobnie zresztą jak przez całe popołudnie. Serce biło mu nieregularnie, cichy głos drżał, lecz umysł zachował przenikliwość.

– Nie mogę wyjść, Elpido.

– Jeśli zostaniesz, ojczu, umrzesz.

Uklękała przy nim, ocierając mu czoło.

– Nie boję się. W ostatnich dniach przyzwyczailem się do groźby śmierci.

Miało to zabrzmieć niefrasobliwie i rozwiać przygnębiający nastrój, ale ta próba spełzła na niczym. Wciąż panowała duszna atmosfera klęski. W kręgu światła padającego z wnętrza ciężarówki jego twarz była trupio blada, nie licząc dwóch plam czerwieni wysoko na policzkach. Poza tym jego skóra wyglądała jak tężejący воск.

– Chodź ze mną. Teraz. – Jej błagalny głos zdradzał desperację.

Pociągnęła go za rękę, czując każdą kość w jego kruchej dłoni, lecz on nie chciał wstać z ułożonego z koców pośłania. Nie był już pewien,

czy dałby radę, nawet gdyby spróbował.

– Powinien się pan zastanowić, sir – zainteresował St. Aubyn, ledwie widoczny w mroku, który powoli zaczął pochłaniać przód ciężarówki. – Bezsensowne cierpienie nie przyniesie żadnych korzyści.

– To... szlachetne z pana strony, pułkowniku. – Oddech Nicolaou stawał się coraz płytszy, prezydent mówił z trudem. – Ale ryzykowaliście życie, żeby nas uratować. Nie mogę opuścić naszych brytyjskich przyjaciół.

– Ojczy, doróżnij.

Jej reprimenda podziałała jak wymierzony mu policzek. Usiłował skupić na niej wzrok, dotąd szklisty i nieobecny.

– Nie przyjechali ratować skóry nam, tylko swojemu wysokiemu komisarzowi. I panu Urquhartowi – ciągnęła. – Prawda, pułkowniku?

St. Aubyn wzruszył ramionami.

– Jestem wojskowym. Robię to, co mi każą. Żołnierza nie szkoli się, żeby pytał dlaczego.

Nicolaou zamachał słabo ręką na znak protestu.

– Ale przecież pan Urquhart jest naszym dobrym przyjacielem, Elpido. Pokój...

– To nasz pokój, nie jego. I prawdopodobnie i tak przepadł.

Prezydentem wstrząsnął dreszcz. Znosił cierpienie w nadziei, że wszystko, o co walczył, jeszcze się ziści. Myśl o porażce niczym pijawka wysysała z niego ostatnie siły.

– Proszę, powiedz mi, że tego wszystkiego nie zaprzepaściłem.

– Nie możesz walczyć na dwóch frontach naraz, ojczy, sprawiać wrażenie, że tyle oddajesz Turkom, jednocześnie ulegając

Brytyjczykom. Chociaż bardzo chcemy pokoju, my Cypryjczycy mamy też swoją dumę. Czasami to jest ważniejsze.

Skonsternowany, wyciągnął drżącą dłoń do córki.

– Wszystko, co zrobiłem, Elpido, zrobiłem dla ciebie i dla takich jak ty. Dla przyszłości.

– Nie, Baba. Nie zrobiłeś.

Nicolaou zaczął się krztusić, nic nie rozumiejąc. St. Aubyn nachylił się nad nią, szepcząc „Spokojnie, proszę pani”, ale ona go zignorowała.

– Dlatego chcę, żebyś stąd wyszedł i dołączył do tych ludzi tam, na zewnątrz – ciągnęła.

– Dlaczego? Dlaczego? – jęknął jej ojciec.

– Bo oni mają racje, Baba. To niesprawiedliwe i złe, żeby Brytyjczycy zajmowali cypryjskie ziemie jak panowie i władcy.

– Nigdy wcześniej czegoś takiego nie mówiłaś.

– Nigdy mnie nie pytałeś. Ani nikogo innego. Ale Cypr się zmienia. Dorasta. – Odwróciła się do St. Aubyna. – Pułkowniku, proszę mi wierzyć, zawsze będzie pan mile widzianym gościem w moim domu. Jako przyjaciel. Lecz nie chcę, żeby miał pan do tego domu prawa własności.

Skinął głową, ale nic nie powiedział. Idea wycofywania się z dalekich placówek nie była dla brytyjskiego żołnierza niczym nowym.

– Dlaczego mnie tak gnębisz, Elpido? – Głos prezydenta słabł coraz bardziej.

– Bo cię kocham, Baba. Bo nie chcę, żeby twoje życie zakończyło się klęską. Bo jeśli przejdziemy na drugą stronę, przyłączymy się do nich, zrobisz nie tylko to, co uważam za słuszne dla naszej wyspy, ale również to, co najlepsze dla ciebie. Ocalisz dumę, tak, a także trochę sprawiedliwości z tych ruin porzrzucanych po Cyprze przez Brytyjczyków. Może nawet uratujesz też pokój.

St. Aubyn kaszlnął przepaszająco.

– Ci panowie na zewnątrz, sir, postawili warunek, że pan i pańska córka mogą przejść przez kordon, tylko jeśli złoży pan rezygnację.

– Prezydentura stała się niewygodnym łóżkiem.

– Nie możesz zawrzeć pokoju z Turkami, ojciec, dopóki nie przywrócisz go we własnej społeczności.

– A wygląda na to, że także we własnej rodzinie.

Nicolaou opadł z powrotem na szorstką poduszkę z koców, wyczerpany, ale ożywiony. Chwytał kościstymi palcami dłoni córki, ściskając ją w rytmie bicia swojego serca i usiłując odnaleźć drogę w labiryncie emocji.

– Co należy zrobić? Czy mogę osiągnąć więcej, pozostając na stanowisku, czy podając się do dymisji?

– Ojciec, niczego nie osiągniesz, jeśli umrzesz.

– Stracić wszystko? Prezydenturę? Pokój? Ciebie, Elpido?

– Baba, nigdy nie stracisz mojej miłości – szepnęła, a jej słowa wyraźnie dały mu siłę. Ścisnął jej dłoń z większą pewnością, oparł się niezgrabnie na łokciu, ledwie sięgając teraz wzrokiem poza wąski krąg lampy oświetlającej jego prowizoryczne posłanie.

– Pułkowniku, gdybym zdecydował się wyjść, pozwoliłby mi pan na to?

– Nie jest pan moim więźniem, sir.

– W takim razie, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wychodzę.

Pułkownik skinął głową i wyciągnął rękę, żeby pomóc Nicolaou wstać. Elpida zbyła go gestem dłoni.

– Nie, dziękuję, pułkowniku. Jeśli ojciec da radę, chciałabym, żeby przeszedł do swoich rodaków Cypryjczyków bez opierania się na brytyjskim ramieniu.

– Rzeczywiście, czuję, że wracają mi siły – przyznał Nicolaou.

– Myślisz, że dlaczego tak mocno cię naciskałam, Baba? – zapytała, całując go delikatnie. – Zawsze robisz się taki uparty, kiedy się rozgniewasz.

Pomogła ojcu zejść z ciężarówki, po czym zwróciła się do St. Aubyna.

– Mówiłam szczerze, pułkowniku. Że zawsze będzie pan mile widziany w moim domu. Jako przyjaciel.

Zapadł już zmierzch. Migotały świece, w wieczornym powietrzu unosiła się łagodnie piosenka śpiewana przez jedną z cypryjskich uczennic, a na horyzoncie rysowały się ostatnie fioletowe i ogniste smugi, jak palce zaciągające zasłonę nocy. Opierając się ciężko na ramieniu córki, prezydent Cypru odwrócił się plecami do Brytyjczyków i przeszedł pięćdziesiąt jardów, aby przyłączyć się z powrotem do swoich rodaków.



Nowa szyba i drzwi wejściowe przyszły tego ranka. A także wezwanie do zapłacenia podatku, razem z prośbą o umówienie się na spotkanie z inspektorem VAT. Restauracja „Vangelis” była gotowa wznowić działalność, a już krążyły wokół niej wilki, podchodząc coraz bliżej.

Wszędzie, gdzie spojrzał, czuł się zaszczyty. W telewizji oglądał sceny radosnego świętowania przed sądem grodzkim: Makepeace unosił wysoko nad głowę ręce złożone tak, jakby wciąż był skuty kajdankami, wylewający się na ulicę tłum odpowiadał mu tym samym gestem, a on przyjmował ich uwielbienie i gorące poparcie. Zwycięzca. Anglik, którego noga, o ile Passolides wiedział, nigdy nie postąpiła na Cyprze, był teraz traktowany jak zbawca jego ojczyzny. Zaszczyt

zbudowany na ofiarach innych. Ofiarach, pomyślał Passolides, takich jak jego własna.

Telewizor pokazywał też wybuchy radości na samej wyspie: starcy o sękatych dłoniach, zgięci w pół jak wiekowe drzewka oliwne, tańczyli z dziewczynami, wymachiwali karabinami i flaszkami, jak w jakiejś scenie z Greka Zorby, świętując wycofywanie się Brytyjczyków i wybawienie Nicolaou.

Passolides wszędzie widział szczęście innych, ale sam nie podzielał tej radości. To powinny być jego zwycięstwa, jego osiągnięcia, jednak jeszcze raz, jak przez całe życie, poczuł się wykluczony.

A na stole przed nim leżały ozdobione znakiem korony urzędowe koperty. Ścigali go agenci brytyjskiego imperializmu, tak jak wtedy przed laty, aż do jego kryjówki, nie zostawiając mu żadnego azylu.

Wił się w środku jak robak przecięty łopatą na pół, oczy zasnuła mu mgła rozpacz, umysł zalała gorycz. Z desperackim krzykiem zamachnął się i rzucił butelką, z której pił, w szatańskie oko telewizora. Butelka się odbiła, uderzyła w nowe okno. Coś pękło.

Ale Vangelisa już to nie obchodziło.



Urquhart oglądał te same wiadomości co Passolides z równie głębokim poczuciem rozpacz. Patrzył, jak złączone dłonie Makepeace'a podnoszą się, opadają, znów wznoszą się w górę i ponownie się opuszczają. Urquhartowi wydawało się, że Makepeace ścisną rękę sztyletu, i czuł, jak ostrze wbija się raz po raz w jego ciało. W triumfie Makepeace'a kryła się jego zagłada.

Było późno. Wezwał Cordera.

– Jeszcze tu jesteś?

– Pomyślałem, że może pan potrzebować towarzystwa.

- Miło z twojej strony. Dobry z ciebie człowiek, Corder. - Pauza. - Mam coś dla ciebie.

Corder słuchał uważnie, cały czas przyglądając się premierowi badawczo. Twarz Urquharta robiła trupie wrażenie, głos był dziwnie monotony, odruchy mechaniczne. Człowiek, który przeszedł przemianę albo ją przechodził, usiłujący ukryć rozpacz.

Kiedy Urquhart skończył, Corder mógł znaleźć tylko jedno słowo:

- Dlaczego?

Nigdy wcześniej nie zakwestionował wydanego mu polecenia.

Głos Urquharta przeszedł w ochrypy szept, premier niemal dławił się każdym słowem.

- Właśnie wydałem konwojowi na Cyprze rozkaz kapitulacji. Nie mam wyjścia. Każda komórka mojego ciała wzdraga się na myśl o pogodzeniu się z porażką. To mnie zabije, Corder, obedną mnie żywcem ze skóry i będą domagać się mojej głowy wbitej na pal. Muszę jakoś walczyć dalej, w każdy możliwy sposób.

- Ale dlaczego tak?

- Proszę, nie pytaj mnie, Corder. Sam nie jestem pewien. Może dlatego, że to wszystko, co mi zostało.



Efekt był katastrofalny, przemożny. Jednak, jak w przypadku tamy, która powstrzymywała wzbierającą powódź, aż nie mogła dłużej stawiać jej oporu, pierwsze widoczne rysy pojawiły się dopiero po kilku godzinach. Wieści o ostatecznym upokorzeniu, komunikat, że ludzie St. Aubyna złożyli broń, aby rozpocząć „bezwarunkowe rozmowy” z Cypryjczykami, nadeszły za późno, żeby pojawić się w porannej prasie, a nakręcone w nocy telewizyjne migawki z kapitulacji, które pokazano w wiadomościach w porze śniadania,

były zbyt ziarniste i niewyraźne, by w pełni zrobić wrażenie. Ale zwiastujące krach pomruki było już słychać wszędzie.

Odgłos wydawany przez posła z Milton Keynes przypominał nie tyle pomruk, ile werbel wzywający do chwycenia za broń. Parlamentarzysta nie był w stanie dłużej powstrzymać pęczniejącego mu pod kamizelką poczucia prawości, wzbierającego od chwili, kiedy przy ostatnim przetasowaniu przekreślono jego nadzieje na awans.

– Pracuję i przyjaźnię się z Tomem od wielu lat – oznajmił z tylnego siedzenia wozu transmisyjnego zaparkowanego na jego podjeździe. – Obaj, Tom i ja, służyliśmy wiernie naszej partii i mam dla Toma ogromny szacunek. – Trzymał się kurczowo tego imienia jak koła ratunkowego na wzburzonym morzu, jakby poprzez ciągłe powtarzanie mógł przekonać innych o tym, o czym dopiero co przekonał sam siebie. – Marsz ma przejść dziś przez mój okręg, a ja mam nadzieję, że będę maszerować razem z nim.

Walka o błogosławieństwo Makepeace'a już się zaczęła.

– Partia nie należy do Francisa Urquharta ani do żadnej innej pojedynczej osoby. Uważam, że pan Urquhart powinien ogłosić zamiar ustąpienia ze stanowiska natychmiast po wyborach. Moim kandydatem na jego miejsce będzie Tom Makepeace.

– A jeśli premier nie ogłosi takiego zamiaru? – zapytał dziennikarz ze studia w Londynie.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby miał jakiś wybór.

Z centrali partii nadeszły doniesienia o lawinie telefonów od działaczy domagających się rezygnacji – ale czy premiera, czy posła z Milton Keynes, tego już nie sprecyzowano. W każdym razie wydano komunikat prasowy z dementi, lecz gdy dziennikarze próbowali

uzyskać dokładniejsze informacje, nie mogli się dodzwonić. Centrala telefoniczna padła.

Natomiast z Cypru napłynęły wieści o formalnej dymisji Nicolaou oraz pierwsze oświadczenie jego następcy Christodoulou, byłego wiceprezydenta, który był właścicielem licencji BMW na wyspie.

– Nie spoczniemy – powiedział na burzliwej konferencji prasowej, przemawiając do bukietu mikrofonów – dopóki nie zostanie uhonorowana przelana krew naszych ojców, a cała ziemia tej wyspy zwrócona pod kontrolę Cypryjczyków. – Nawet wielu dziennikarzy zaczęło bić brawo. – I chociaż uważam, że powinniśmy na wszystkie możliwe sposoby dążyć do pokoju z naszymi sąsiadami, tureckimi Cypryjczykami, nie mogę podpisać proponowanego traktatu pokojowego w obecnym kształcie. Konieczny jest sprawiedliwszy podział przybrzeżnych złóż ropy i natychmiast skontaktuję się z prezydentem Nuresem, aby rozpocząć dalsze rozmowy w tej sprawie.

Obok niego stała Elpida, zmęczona, ale pogodna jak anioł, która kiwała zachęcająco głową, a potem odczytała oświadczenie o poparciu wydane przez jej ojca ze szpitalnego łóżka.

Przez cały dzień pęknięcia w tamie się poszerzały, zwolennicy się wykruszali, strużki sprzeciwu przerodziły się w buchające gejzery buntu, które zmiatały Francisa Urquharta w nicość.

Następnego ranka nastrój był już bliski hysterii. Furgonetka dowożąca poranne wydanie gazet na Downing Street miała obluzowany kołpak. Hałas odbijał się echem od murów wąskiej ulicy jak turkot dwukółki po bruku w drodze na szafot Tyburn. Ponieważ część członków obu głównych partii, a także kilka grup nacisku obwołało Makepeace'a swoim duchowym przywódcą, wynik wyborów stał się zupełnie nieprzewidywalny. Załamywały się linie partii,

zapanował chaos godny pola bitwy w wojnie domowej, a wśród obszarpanych szeregów krążyły watahy reporterów, usiłując znaleźć kolejny, jeszcze bardziej rażący przykład dezercji spod sztandarów Francisa Urquharta. Pewien telefoniczny sondaż wskazywał, że niecałe dziesięć procent wyborców chce, aby Urquhart pozostał premierem. Jak twierdzono w zamieszczonym obok wstępniaku, wszystkie te osoby musiały chyba być zwolennikami opozycji. Podjęto próby skontaktowania się ze startującymi w wyborach członkami rządu, żeby przekonać się, kto ich zdaniem powinien zostać następnym liderem. Odpowiedź przytłaczającej większości była zgodna: Makepeace – jeśliby zechciał. On jednak był nieporuszony i nic nie mówił, kiedy jego marsz zmierzał w stronę przedmieść Milton Keynes, z każdą godziną powiększając się o kolejny tysiąc zwolenników.

Natomiast tłum przy bramie Downing Street zdawał się rosnąć z każdą minutą. Słowa, które rano prasa mogła przypisać jedynie anonimowym, ale wysoko postawionym źródłom w rządzie, po południu miały już autorów znanych z imienia i nazwiska. Szeregowi posłowie, pod presją małej przewagi w okręgu oraz małostkowych żon, rzucili się, by dołączyć do plutonu egzekucyjnego, zanim sami zostaną postawieni pod murem. Ministrowie podobno byli w stałym kontakcie i spiskowali, podnieśli otwarty bunt. Pojawiły się doniesienia, że tego wieczoru w Londynie odbędą się co najmniej dwa sabaty ministrów, którzy zgromadzą się przy kolacji, aby porozmawiać o usunięciu premiera – nie czy to robić, ale jak i kiedy. Doniesienia pleniły się tak bujnie, że miejsca spotkań trzeba było zmienić w ostatniej chwili.

A na pierwszej stronie nowej gazety Jaspera Mackintosha, „Tribune”, znalazł się najbardziej niesłychany ze wszystkich zarzut. Obok zdjęć chorych i zmęczonych brytyjskich żołnierzy, z których

część leżała na noszach, dochodząc do siebie po odwodnieniu i udarze cieplnym, zamieszczono nagłówek:

F.U. PLANOWAŁ WOJNĘ BIOLOGICZNĄ

Wczoraj pojawiły się obawy, że premier planował użyć przeciw Cypryjczykom broni chemicznej i biologicznej, zanim został zmuszony do kapitulacji. Alarmujący stan brytyjskich żołnierzy biorących udział w zakończonej fiaskiem operacji wywołał domniemania, że zatruli się własną bronią biologiczną, którą Francis Urquhart osobiście rozkazał przewieźć w tajemnicy konwojem. „Takie rozkazy oznaczałyby, że Urquhart jest zbrodniarzem wojennym, winnym pogwałcenia konwencji praw człowieka” – powiedział rzecznik jednej z organizacji pokojowych...

Mackintosh był na swoim jachcie w St. Katharine Docks, modnej przystani przycupniętej w cieniu wyniosłych kolumn Tower Bridge, kiedy zadzwonił telefon.

– Dlaczego to drukujesz, skoro wiesz, że to nieprawda? – Głos był ochryply, z lekkim śladem akcentu ze szkockich nizin, jak się zdarzało, gdy Urquhart był na skraju wyczerpania.

– Ty mówisz o prawdzie, Francis? Dziwny nowy kostium przywdziewasz.

– Dlaczego to drukujesz? – powtórzył Urquhart.

– Bo ci to szkodzi. Uderza w ciebie. Dlatego.

Zza Mackintosha dobiegł odgłos strzelającego korka szampana i perlisty śmiech młodej kobiety.

– Myślałem, że zawarliśmy umowę.

– Jasne. Ty miałeś mi wsadzać palec w oko, jak długo się dało. Potem moja kolej. Jesteś skończony, Francis. Niczym już nie możesz mi grozić, żadnymi zmianami w opodatkowaniu, żadnymi przepisami antymonopolowymi. Bo za tydzień powieszą cię przed każdym lokalem wyborczym w kraju. A ja poprowadzę obchody.

- Czy nie dałoby się czegoś...
Ale już rozległ się głuchy ciągły sygnał.

Rozdział 45

Chciałbym zestarzeć się powoli, ale na wszystko jest czas i miejsce. Nawet na śmierć.

Wezwał ich późnym wieczorem, po kolei. Swój rząd. Pretorianów, których ciała zaścieliłyby schody Kapitolu, zanim pozwoliliby wrogowi zbliżyć się do Cezara. Przynajmniej w teorii.

Claire odradzała mu wzywanie ich pojedynczo, ale on pozostał niewzruszony. Byli spłoszeni jak owce, gdyby jeden uciekł, reszta z pewnością pobiegłaby za nim. Zagonić ich, odizolować, zmusić do odwrócenia wzroku, nie pozwolić im czerpać siły z przewagi liczebnej. Gdy byli sami, mógł wymóc na nich poparcie, zanim wtopią się w tłum. Ale w głębi duszy wiedział, że nie staną na wysokości zadania. Że go zawiodą.

Siedział w sali posiedzeń rządu, na krześle zarezerwowanym dla premiera, jedynym z poręczami. Obok stały trzy telefony. Reszta stołu była pusta, ogołocona z podkładek i wszelkich innych symboli ministerialnej pozycji, przykryta tylko smutnym brązowym filcem. Chciał, żeby ministrowie nie mieli żadnej kryjówki, żadnych oznak urzędu, niczego, za czym mogliby się schować. Musiał wiedzieć. Na zewnątrz mżył deszcz.

Zamierzał zacząć od Bollingbroke'a, ale minister spraw zagranicznych wracał z obrad w Brukseli i gdzieś po drodze nastąpiło opóźnienie. Zamiast niego wezwał Whittingtona – wolałby, żeby była to pani Whittington, wtedy przynajmniej dostałby jakąś konkretną odpowiedź. Rozległo się pukanie do drzwi i Claire wprowadziła ministra. Ten zawahał się na progu.

– Wejdz, Terry – zachęcił go cicho Urquhart. – To mój szafot, nie twój.

Minister usiadł naprzeciwko, osuszył nerwowo usta chusteczką, którą następnie podniósł ukradkiem do skroni, ocierając krople potu, które zaczęły ją zraszać.

– Terry, pozwól, że przejdę od razu do rzeczy. Czy mam twoje dalsze poparcie jako premier?

– Zawsze będzie pan miał moje osobiste poparcie, panie premierze.
– Na wilgotnych ustach pojawił się jakby płaczący uśmiech, po czym równie szybko zniknął. – Ale nie widzę, żebyśmy mogli wygrać, mając...

– Mnie?

– Mając taką sytuację.

Nawet pobekiwał jak owca.

– Wygłosisz publicznie oświadczenie o swoim poparciu dla mnie?

Kropelki na skroniach Whittingtona były już wyraźnie widoczne i zupełnie jednoznaczne.

– Będzie bardzo trudno – mruknął, machając nadgarstkiem, jakby ten był z gumy. – Nie chciałbym oglądać twojej porażki, Francis. Jako stary przyjaciel muszę ci to powiedzieć. Nie sądzę, żebyś mógł wygrać. Może, może... powinieneś pomyśleć o ogłoszeniu rezygnacji. No wiesz, by obronić swój niepokonywany rekord?

Zabrzmiało to jak wcześniej przygotowane, jak słowa z drugiej ręki. Urquhartowi przemknęła przez głowę rymowanka: coś pożyczonego, coś niebieskiego.

– A co o tym myśli twoja żona?

– Jest dokładnie tego samego zdania – odparł Whittington, zbyt pośpiesznie. Zdradził się.

Urquhart pochylił się do przodu.

– Oświadczenie o wyraźnym poparciu ze strony mojego gabinetu pomogłoby nieco zatrzeć wrażenie, że okręt tonie.

Whittington poruszył nerwowo wargami, ale nic nie powiedział, tylko zatrzepotał rękami. Już płynął.

– To może przynajmniej dasz mi czas do weekendu na podjęcie decyzji? Zanim powiesz cokolwiek publicznie?

Whittington pokiwał głową, pochylając się tak, by ukryć oczy. Piekły go, nie wiedział, czy od potu, czy dlatego, że zbierało mu się na płacz.

Urquhart odprawił go ruchem nadgarstka. Claire już trzymała otwarte drzwi. Deszcz przybrał na sile.

Następny był Maxwell Stanbrook.

– A zatem, Max?

– Po pierwsze, Francis, chcę ci powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczny za wszystko, co zrobiłeś. Dla mnie. Dla partii. Dla kraju. Mówię to szczerze, z pełnym przekonaniem.

– Czyli poprzesz mnie? Publicznie?

Stanbrook pokręcił głową.

– Gra skończona, staruszkule. Przykro mi. Nie dasz rady wygrać.

– Stworzyłem cię, Max.

– Wiem. Dlatego pójdę na dno razem z tobą. Jestem na tyle uczciwy, żeby to przyznać. I właśnie z tego powodu powinieneś zrozumieć, że szczerze ci przedstawiam twoją sytuację.

– Nie da się nic zrobić?

– Wycofaj się na najlepszych możliwych warunkach, Francis. Czyli ogłoś rezygnację teraz, przed wyborami. Daj reszcie z nas chociaż cię szansy. I zachowaj swój niepokonany rekord na dokładkę. „Niepokonany w żadnych wyborach, w których startował”, tak będą o tobie pisać w podręcznikach historii. Całkiem niezłe epitafium.

Bronić niepokonanego rekordu. Tego samego sformułowania użył Whittington. Interesujący zbieg okoliczności... jeśli to był zbieg okoliczności.

– Wydasz oświadczenie o poparciu dla mnie?

– Jeśli tego chcesz. Ale moim zdaniem nic ci to nie pomoże.

Zabolało. Wiązał ze Stanbrookiem nadzieje. Gdzieś w głębi poczuł drżenie, jakby waliły się fundamenty, jakby pod linią wodną zaczynały pojawiać się nowe pęknięcia.

– Dziękuję ci przynajmniej za szczerść. Proszę, daj mi czas do weekendu. Nic wcześniej nie mów, dobrze?

– Masz moje słowo, Francis. Poparte uściskiem dłoni.

Z melodramatyzmem Stanbrook okrążył stół, podszedł do Urquharta i podał mu rękę. Z bliska Urquhart mógł dostrzec sińce pod jego oczami świadczące o braku snu. Przynajmniej nie przyszło mu to łatwo.

Catchpole, który był następny, płakał. Mazał się przez całą rozmowę, ledwie dawało się go zrozumieć.

– Co twoim zdaniem powinienem zrobić, Colin?

– Bronić... – chlip – bronić... – kasznięcie.

- Chyba próbujesz powiedzieć, że powinienem ustąpić teraz, aby bronić mojego niepokonanego rekordu i zapewnić sobie miejsce w podręcznikach historii. Czy tak?

Catchpole pokiwał głową. Zbieg okoliczności jak jasna cholera. Przygotowali się, całą parszywą bandą.

Z wyjątkiem Riddingtona. Minister obrony narodowej wszedł do środka, ale nie chciał usiąść. Stał sztywno wyprostowany przy końcu stołu przy drzwiach. Dwurzędową marynarkę miał zapiętą jak na defiladzie.

- Zbyt długo siedziałem przy pańskim stole, panie premierze. W ostatnich dniach na spotkaniach COBRA patrzyłem, jak nadużywa pan swojego stanowiska i zaufania do celów całkowicie politycznych, ryzykując życiem brytyjskich żołnierzy, żeby ratować samego siebie i samemu zasłużyć na chwałę.

- Nigdy wcześniej o tym nie wspominałeś.

- Nigdy wcześniej pan nie pytał. Nigdy z nikim się pan nie konsultował. Tylko wszystkich zastraszał.

Co prawda, to prawda. Zresztą Urquhart nie spodziewał się niczego innego po Riddingtonie, który odmówił mu poparcia na ostatnim zebraniu COBRA, razem z pozostałymi nalegając, by pozwolić ludziom St. Aubyna zakończyć cierpienia.

Urquhart sprawiał wrażenie, jakby się uśmiechał, rozchylił usta, jak gdyby podano mu ostatniego papierosa.

- Kto więc będzie bronił, jeśli nie Obrona?

- Słucham?

- Tak tylko rozmyślałem. Przypuszczam, że publiczne oświadczenie o poparciu dla mnie nie wchodzi w grę?

W głosie Urquharta dźwięczał kapryśny ton, jakby w swojej sytuacji znajdował coś zabawnego. Riddington skrzywił się, jak gdyby przełknął zepsutą ostrygę, i nie odpowiedział.

– Mam jeszcze ostatnią prośbę – ciągnął premier. – Zasiadałeś w moim rządzie przez ponad osiem lat. W zamian proszę cię o dwa dni. W sobotę ogłoszę swoje zamiary. Tymczasem, jeśli nie możesz mnie poprzeć, będę wdzięczny, gdybyś przynajmniej powstrzymał się przed publicznymi atakami. Zostaw mi trochę godności. Pozwól, żeby z partii zostało cokolwiek, co ktoś inny będzie mógł pozbierać.

Riddington przybrał swoją najbardziej upartą minę rodem spod Dunkierki, ale ustąpił. Kiwnął zdawkowo głową, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Na dłuższą chwilę salę posiedzeń spowiła zupełna cisza. Urquhart się nie poruszał, wydawało się, że nie oddycha. Claire, która siedziała dyskretnie w rogu przy drzwiach, zastanawiała się, czy wpadł w trans, tak bardzo wycofał się w głąb siebie. Cieniutka żyłka pulsująca na skroni zdawała się jedyną oznaką życia, odmierzała sekundy aż do... Aż do. Nie dało się tego uniknąć. Nawet on o tym wiedział. Wreszcie wrócił myślami stamtąd, dokądkolwiek się wybrał, i znów był tutaj, z nią.

– To jak próbować wzniecić żar za pomocą zdechłych królików, co?
– mruknął ponuro.

Podziwiała jego opanowanie, nieopuszczające go poczucie humoru.

– Ciekawe, co on by zrobił – powiedziała cicho, wskazując portret Roberta Walpole'a, pierwszego premiera i człowieka, który najdłużej utrzymał się na tym stanowisku.

Urquhart wstał, żeby przyjrzeć się olejnemu obrazowi wiszącemu nad kominkiem, chwytając dłońmi biały marmurowy gzyms.

– Bardzo dużo o tym ostatnio myślałem – odparł równie cicho. – Oskarżyli go o korupcję, skazali, nawet zamknęli w Tower. Nazwali podżegaczem wojennym, jeszcze zanim pan Mackintosh położył łapę na mediach. – Wzrok mu się rozplątał jak cukierki w ustach dziecka. – Zmusili go do ustąpienia. Zawsze jednak znajdował sposób, żeby pozbierać się po klęsce. Zawsze.

– Świetlany przykład.

– Historia w diabelnie dziwny sposób obchodzi się z faktami. Ciekaw jestem, czy dla mnie będzie równie łaskawa.

– To dla ciebie ważne?

Odwrócił się gwałtownie, oczy płonęły mu z zażenowania.

– To jedyne, co mam.

Gorycz, powstrzymywana upartym humorem, już miała się wylać, kiedy dobiegł ich hałas z korytarza. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł zasapany Bollingbroke.

– Et tu, Brute?

– Proszę?

Urquhart zamknął oczy, otrząsnął się z zajadłości i użalania nad sobą, po czym się uśmiechnął.

– To taki mały żarcik, Arthurze. Jakie wieści z Brukseli?

– Pełno tam cholernych cudzoziemców. Przepraszam, że nie dotarłem tu wcześniej, Francis.

– Jesteś ze mną?

– Do ostatniego tchu. Po drodze, przez telefon w samochodzie podyktowałem Press Association oświadczenie o poparciu.

– W takim razie jestem ci podwójnie wdzięczny.

- Sęk w tym, Francis, że żadnemu z nas ni cholery to nie pomoże.
- Dlaczego?
- Bo ty i ja dostaniemy za swoje, nie da się zaprzeczyć. Ten gnojek Makepeace trzyma te wybory za jaja.



A Makepeace maszerował dalej. Do Luton. Z każdą godziną miał większe poparcie i zbliżał się do Londynu. Z każdym krokiem marsz się rozrastał, spowalniając go i dając szefowi londyńskiej policji powody do niepokoju. Ale po fiasku w Birmingham komendant nie śmiał zakazać maszerującym wstępu do stolicy kraju.

Szli więc dalej, w kierunku Trafalgar Square. Ku stosowi pogrzebowemu Francisa Urquharta.

Rozdział 46

Miłość dodaje życiu kolorów, ale człowiek musi nienawidzić, żeby być naprawdę szczęśliwy i mieć poczucie celu.

Wymknął się przy świetle księżycy. Przez biuro prasowe Downing Street, przez labirynt korytarzy łączący budynek pod numerem dziesiątym z Kancelarią Rządu na Whitehall, mijając stare ceglane mury, tam, gdzie kiedyś znajdował się kort tenisowy Henryka VIII. Nie było z nim nawet Cordera.

Chociaż minęła północ, w centrum miasta panował duży ruch, głównie kołowy. Whitehall stała się czymś w rodzaju toru wyścigowego dla samochodów dostawczych i nocnych autobusów. Ten ruch pomógł mu się ukryć, sprawił, że nie rzucał się w oczy. Kiedy zszedł po schodach kancelarii, minawszy zaskoczonego strażnika, postarał się uniknąć spotkania z policjantami, którzy stali przy wjeździe w Downing Street. Sam George Downing był łajdakiem, który podczas wojny domowej szpiegował dla obu stron, obłudnikiem pozbawionym zasad i poczucia lojalności. Wykształconym na Harvardzie. A dali mu szlachectwo i nazwali jego imieniem najważniejszą ulicę w królestwie. Podczas gdy on, Francis Urquhart, będzie miał szczęście, jeśli pozwolą umieścić jego nazwisko choćby na nagrobku.

Wszędzie stały pomniki upamiętniające zmarłych. Cenotaf ku czci poległych w obu wojnach światowych. Banqueting Hall, pod którego oknami jednym ciosem ucieli głowę swojemu seniorowi i królowi Karolowi I. Pomniki upadłych bohaterów, in memoriam, nieśmiertelnych. Cała aleja leżała na dawnej trasie konduktów pogrzebowych z Charing Cross do kościoła Świętej Małgorzaty, aż król, zniesmaczony lamentami pospólstwa pod swoimi oknami, zbudował ludziom nowy cmentarz przy kościele St. Martin-in-the-Fields, żeby mogli grzebać zmarłych, nie psując mu obiadu. Nocą, w ciemnościach, gdy na niebie wisiał księżyc w kształcie bułata, niemalże dawało się słyszeć skrzypienie starych kości w tym miejscu upamiętnienia. A on tak pragnął być pamiętany. Cóż innego mu pozostało?

Stał na kamiennym moście w Westminsterze, patrząc w dół na mulistą, atramentową falę pływową bijącą o filary, słuchając jej przejmujących pomruków, urzekających jak śpiew syren. Ziała pod nim pustka, która zdawała się obiecywać spokój, ulgę, tak łatwo, jak wpada się w otwarty krater grobu. Z tego, co jeszcze miał do stracenia, mógł zrezygnować bez trudu. A jednak tego nie zrobi, nie wybierze wyjścia tchórza. Nie tak chciał być zapamiętany.

Potrząsnął najeżoną kolcami i ozdobioną rozetami bramą do New Palace Yard – wejścia dla posłów na teren Izby Gmin. W czasie walki wyborczej parlamentarzystów obowiązywał zakaz wstępu do pałacu westminsterskiego, z jedynym wyjątkiem – odbioru listów. Nawet podczas kampanii wyborcy nadal słali skargi, na zapchane rury, na sąsiadów, na niedostarczone zasiłki z opieki społecznej, wszystko to, co uprzykrzało politykowi życie, ale starannie sformułowana odpowiedź mogła jeszcze zdobyć dla niego głos. Policjant, który otworzył bramę w odpowiedzi na jego wołanie, zasalutował

z szacunkiem – Urquhart odszedł już dobry kawałek, stukając obcasami po bruku, kiedy na wpół drzemiący funkcjonariusz odzyskał przytomność umysłu na tyle, by zarejestrować, co widział, i zacząć się zastanawiać, dlaczego u licha premier przyszedł po odbiór listów o północy i osobiście. Ale w końcu miał do tego prawo.

Urquhart nie skierował się w stronę poczty poselskiej, która i tak była zamknięta. Ruszył po schodach w górę, przeszedł pod kamiennymi łukami na tyły sali obrad – nikogo nie spotkał. Wiedział jednak, że nie jest sam, echo jego kroków towarzyszyło mu jak kohorta odległych wspomnień. Dotarł do długiego korytarza biegnącego za salą, zwykle pełnego zgiefku, krzątanim i niecierpliwego wyczekiwania, a teraz upiornie cichego. Przed sobą miał potężne gotyckie wrota prowadzące do przedpokoju sali. Powinny być zamknięte na klucz, podobnie jak druga para drzwi do samej sali obrad, ale ostatnio elektrycy wymieniali instalację aparatury nagłaśniającej, a ciągle otwieranie i zamykanie drzwi oznaczałoby dla nich podwójne nadgodziny. Pchnął skrzydło drzwiowe zamocowane na wielkich mosiężnych zawiasach.

Gęstą ciemność przecinały tylko blade plamy światła księżyca wpadające przez wysokie okna w zachodniej ścianie, lecz instynktownie znał tu każdy cal. Tyle razy wchodził na tę scenę, największą ze wszystkich scen, nigdy jednak nie przestawała robić wrażenia swoim majestatem. Atmosfera, ciężka od historii, przyłgnęła do niego, uniosła go i wprawiła w euforię; czuł, jak tłoczą się wokół wspomnienia poprzednich stuleci, jak w skrzydłach szepczą duchy wielkich i czekają, by on, Francis Urquhart, do nich dołączył.

Przepychał się przez powiewające listy zapytań poselskich i dżgające łokcie, przechodził nad wyciągniętymi kończynami,

zmierzając w stronę swojego miejsca. W pewnym momencie potknął się i musiał przytrzymać się krawędzi stołu sekretarza Izby Gmin, pewny, że ktoś podstawił mu nogę – może Gladstone, zawadiacki Disraeli albo półleżący Churchill? Czy usłyszał trzask zamykanej torebki, poczuł zwietrzały zapach hawańskich cygar? Ale oto już dotarł do miejsca na ławie zostawionego dla premiera, które czekało, jak zawsze, na niego. Usiadł, ciesząc się formalną subtelnością skórzanej tapicerki, delektując się posmakiem wielkich wydarzeń, który do niej przylgnął i wywoływał znajomy przyпіływ adrenaliny. Był na nich gotowy. Lecz tej nocy byli cicho, wszyscy czekali, by go wysłuchać, chłonąc każde jego słowo, wiedząc, że to doniosła chwila.

Wstał, żeby się do nich zwrócić, nogi same zaniósły go przed mównicę. Chwycił jej boki, przesunął dłońmi po brązowanych krawędziach, nie bojąc się nikogo. Będzie miał swoje miejsce w historii, bez względu na cenę, pokaże im wszystkim, tym ludziom małego serca i wrogom, którzy otoczyli go jak Liliputy Guliwera. Popamiętają Francisa Urquharta i będą drżeć na dźwięk jego imienia. Nie pozwoli im zapomnieć.

Bez względu na cenę.

Uderzył pięścią w mównicę i ze wszystkich stron odpowiedziało mu echo, jak burza oklasków przetaczająca się przez tysiąc lat. Słyszał ich wszystkich, wielkich mężów, jedną kobietę, ich zgodny chór aprobaty, głosy wyłaniające się z ciemnych zakamarków tej wspaniałej sali, gdzie historia i związane z nią wspomnienia wciąż są żywe. Mówili o bólu, o poświęceniu, na którym budowane są wszystkie legendy, o chwale czekającej tych, którzy mieli dość charakteru i zuchwałości, aby wykorzystać właściwy moment. A ich huczne brawa

były przeznaczone dla niego. Francisa Urquharta. Uznanie samych bogów.

– Przepraszam, panie Urquhart. Nie powinno tu pana być.

Odwrócił się. W ciemności koło fotela przewodniczącego Izby stał policjant ze straży pałacowej.

– Nie powinno tu pana być – powtórzył mężczyzna.

– Pan też jest tego zdania? Wygląda na to, że cały świat śmiertelników tak uważa.

– Nie, nie o to mi chodziło, sir – odparł policjant, speszony. – Miałem tylko na myśli, że to wbrew regulaminowi.

– Bardzo przepraszam. Przyszedłem tu, bo chciałem jedynie... spojrzeć na tę salę ostatni raz. Przed wyborami. Chwila refleksji. Spędziłem tu tyle czasu.

– Nie ma problemu, panie Urquhart. Na pewno nikt nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Nasza mała tajemnica? – poprosił Urquhart.

– Oczywiście, sir.

I z niskim, pełnym szacunku ukłonem, przy słabym świetle latarki policjanta, Francis Urquhart pożegnał się z bogami. Na razie.



Passolides miał w zwyczaju wstawać przed świtem. Nawyk z czasów górskiej partyzantki, którego na starość wciąż się trzymał. A kiedy pod osłoną nocy składał milczący hołd przeszłości, jednocześnie wybierał najświeższe ryby na lokalnym targu. Nawyk z praktycznym celem.

Nieprzyjazne oczy patrzyły, jak wychodzi, a gdy opukiwał skorupy krabów i oglądał filety miecznika, wrogie ręce nie próżnowały. Wdzięczne, jak niegdyś Passolides, za osłonę nocy.

Kiedy chciał skręcić w swoją ulicę, obładowany zawiniętymi w papier zakupami, zobaczył, że drogę zagraża mu plastikowa taśma oraz funkcjonariusz policji.

– Przykro mi, proszę pana. Nie wpuszczamy nikogo, dopóki nie skończą gasić.

Pakunki upadły na chodnik.

– Ale to jest mój dom.

Sto jardów dalej, otoczone wozami strażackimi, ziały puste oczodoły okien jego domu. Świeżo wyremontowana restauracja szczyrzyła się w bezzębnym grymasie. Nie było go nieco ponad godzinę. Zniszczenie prawie wszystkiego, co miał, potrwało znacznie krócej.



Tego ranka ruszyli do Watford na obrzeżach Londynu. Miał to być ostatni przystanek przed triumfalnym wejściem do samego miasta, a trasę już znaczyły portrety Makepeace'a i inne trofea, ścielące się po ich drodze jak płatki róż. Powitanie godne zdobywcy, zgotowane człowiekowi, który chce pokoju. I jeden dzień do wyborów.

Rozdział 47

Chwytaj chwilę. Chwytaj sztylet! Zniszcz innych, zanim oni zniszczą ciebie. A jeśli to niemożliwe, lepiej zniszcz się sam.

Claire, która przyszła na jego wezwanie, zastała go w gabinecie, piszącego listy. Rozpogodził się na jej widok. Był blady z wyczerpania, ale wydawał się spokojniejszy, jakby przestał walczyć z prądem, którego nie mógł pokonać, i wreszcie pogodził się z tym, że jest niesiony w dół rzeki.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała.

– Możesz pomóc sobie, jeśli chcesz. Przygotowuję listę. Rozdysponowuję kilka świecełek i ozdóbek wśród tych, którzy byli mili. – Przyjrzał się jej uważnie. – Moja lista wyróżnionych z okazji rezygnacji.

– Postanowiłeś odejść?

– Zdecydowano za mnie, nie mam już nic do powiedzenia w tej kwestii. Ale co do sposobu, w jaki się pożegnam... – Pomachał kartką.

– Może znajdę coś dla ciebie?

– Niczego nie chcę – odparła cicho.

– To może dla Joha?

Pokręciła głową.

Urquhart się zamyślił.

– Mój lekarz. Corder też. Mortima, szczególnie Mortima. Musi coś dostać.

– To brzmi – zauważyła powoli Claire – jakbyś rozdawał swoje najbardziej osobiste rzeczy, leżąc na...

– Łożu śmierci? – dokończył jej myśl. Policzki lekko mu się zarumieniły, popatrzył wyzywająco, cienie pod oczami zaczęły blednąć. – Nie! – powiedział z mocą. – Zamierzam żyć wiecznie.

Wrócił do papierów na biurku.

– Powiedz mi, na co twoim zdaniem zasługuje Geoffrey?

– Chcesz mu coś dać? – słowa utknęły jej w gardle jak suchy herbatnik.

– Ależ z pewnością zasługuje na pewne uznanie. – Ironiczny uśmiech igrał mu na ustach, lecz dalej nie sięgał. Oczy pozostały lodowate. – Może zauważyłaś, że nie był w stanie uczestniczyć wczoraj w naszej małej sesji w sali posiedzeń. Przesłał wiadomość, że jeździ po kraju w ramach kampanii. Namierzyłem go więc przez telefon. Przysiągł lojalność. Mnie. Dlatego właśnie tak ciężko pracuje w okręgach, jak stwierdził. Niezmordowany, ten człowiek jest po prostu niezmordowany. Wiesz, brzmiał tak, jakby prawie płakał.

Pokręciła głową z ewidentnym zdumieniem.

– Źle go oceniasz, moja droga, nasz Geoffrey nigdy nie był leniwy, a pasji też mu nie brakowało.

– W jego własnej sprawie z pewnością, ale wobec innych?

– Zapytałem nawet, czy wyda publiczne oświadczenie o poparciu, na co od razu się zgodził. Dostałem egzemplarz.

Wskazał leżący na rogu biurka komunikat prasowy. Przeczytała go szybko. Apel o jedność partii. Podkreślenie osiągnięć. Wezwanie do

boju, odwołanie do bitew, które jeszcze trzeba stoczyć, i zwycięstw, które można odnieść nawet w trudnych czasach. Do wiary w przyszłość.

– Ale ani razu nie pada tu twoje nazwisko.

– W rzeczy samej. Jego trąbka gra, lecz nie po to, by mnie sławić, ani nawet nie żałobnie. To pierwszy sygnał zapowiadający jego własną kampanię na lidera partii. Chce mojego stanowiska.

– Spodziewałeś się, że będzie celował niżej?

– Absolutnie nie.

– To dlaczego chcesz mu coś dać?

– Język jest istotny w tym fachu, a ja nauczyłem się starannie dobierać słowa. – Zabrzmiało to niemal tak, jakby rozpoczynał wykład.

– Pytałem cię, na co zasłużył.

– Na rozczarowanie. Ale czy takie rzeczy wciąż są w twojej mocy?

– Może zostałem śmiertelnie ranny, lecz to czyni mnie niebezpiecznym, nie nieudolnym. Nadal jestem premierem. Mogę go ukłuć, mogę ukłuć ich wszystkich. Jeśli zechcę.

– A chcesz?

– W tym przypadku? – Zastanowił się ostatni raz. – Tak.

– Dlaczego jesteś taki bezlitosny?

Podniósł z biurka trzy koperty, na razie niezaklejone.

– Ponieważ niektórzy ludzie urodzili się po to, by upaść. Geoffrey do nich należy.

Zakleił pierwszą kopertę, zaadresowaną do przewodniczącego organizacji okręgowej Boozy-Pitta. W środku znajdował się list, w którym z żalem zawiadamiał, że „w świetle nowych okoliczności” propozycja szlachectwa będzie musiała zostać wycofana.

- Ponieważ w trakcie tego osobistego upadku - ciągnął Urquhart - Geoffrey zrujnowałby także partię.

Polizał brzeg drugiej koperty, przeznaczonej dla przewodniczącego Komisji Przywilejów Izby Gmin i zawierającej kopię pisemnej rezygnacji Geoffreya, w której przedstawia swoje nadużycia małżeńskie i finansowe. List miał dzisiejszą datę.

- I ponieważ próbował mnie zdradzić.

Trzecia koperta, także z kopią listu Geoffreya, była zaklejona. Została zaadresowana do naczelnego „News of the World”.

- Władza jest po to, żeby ją wykorzystywać, Claire. Panować nad ludźmi i ich przeznaczeniem. Mówimy o ekonomii, o etyce. Ale mamy na myśli ludzi.

- Zniszczyć innych. Zanim oni zniszczą nas. Do tego to się sprowadza?

- Nie! - Spojrzał na nią ostro. - Przecież musisz to rozumieć, a jednak wyraźnie nie rozumiesz. Wszyscy mówimy o wizji lepszej przyszłości, ale to nasza wizja i ich przyszłość. Ludzie są naszym tworzywem, elementami, z których budujemy, a nie da się wznieść świątyni, nie rozbijając kilku cegieł.

- Tak jak powiedziałam. Zniszczyć innych, zanim oni zniszczą ciebie.

Pokręcił głową, ale bez złości.

- Nie. W polityce niszczy się sami. Wychodzi nam to tak dobrze, że rzadko potrzebujemy pomocy innych. Chociaż z chęcią nam jej udzielają.

Zakleił czwartą kopertę. Była zaadresowana do męża Annity Burke. Zawierała zdjęcie przedstawiające ją i Riddingtona zajętych szczegółową dyskusją tego rodzaju, jakich nie dopuszczają nawet

najśmielsze interpretacje odpowiedzialności zbiorowej. Podwójny cios wymierzony w szeregi tych, którzy mogą stać się jego następcami.

– Niewielu ludziom dane jest wywierać prawdziwy wpływ na kraj. Jeśli pragniesz sukcesu, to musisz trzymać głowę wysoko, a nie ciągle się schylać, żeby współczuć skulonym w cieniu masom. To zadanie dla zakonnic.

– Nie jestem zakonnicą.

– Ale zastanawiam się, kim tak naprawdę jesteś, Claire. Czy sama siebie znasz.

– Nie jestem tobą, Francis. Ani nie jestem taka jak ty. Dlatego niczego od ciebie nie chcę. To, czego chcę, już dostałam.

– Mianowicie?

– Spojrzenie na władzę. Od wewnątrz.

– U stóp pana.

– Człowieka, który zniszczył sam siebie.

– Który jeszcze może się uratować.

– Nie widzę jak.

– To dlatego, że, jak powiedziałaś, nie jesteś taka jak ja. Bo jednak jesteś jeszcze jedną z tych, którzy odwrócili się ode mnie.

Nie wyczuwała w jego tonie niechęci. Zakleił kolejny list. Do naczelnego „Daily Mail”. W środku była kopia aktu urodzenia Maxa Stanbrooka, z którego wynikało, że jest zarówno nieślubnym dzieckiem, jak i Żydem. Ładunek o podwójnej wadze, który z pewnością zatopi jego okręt na wzburzonych wodach wyścigu o przywództwo. Szkoda. Urquhart lubił Maxa Stanbrooka. Facet był dobry. Może za dobry, ale to już jego problem.

– Nie odwróciłam się od ciebie, Francis. Wciąż tu jestem.

– A ja zadaję sobie pytanie dlaczego.

– Bo nie jestem głupią dziewczuszką, która ucieka cała we łzach przy pierwszych odgłosach strzelaniny.

– Nie. To zostawmy dorosłym mężczyznom z mojego rządu.

– I dlatego, że nadal mogę się od ciebie uczyć. Wyciągać wnioski z całego tego zamętu. Jeśli mi pozwolisz.

– Chcesz przyglądać się sekcji zwłok.

– Żeby dowiedzieć się, jak robić to lepiej. Kiedy nadejdzie moja kolej.

– Och, masz ambicję?

– Przez chwilę wydawało mi się, że ją zniszczyłeś, zraziłeś mnie do polityki i stosowanych w niej metod. Ale chcę znaleźć lepszą drogę.

– Nie będziesz miała zbyt wiele czasu na naukę. A chyba musisz się jeszcze sporo nauczyć.

– Na przykład?

– Kto twoim zdaniem stanie na czele partii po mnie?

– Tom.

– A jeśli nie będzie chciał? Albo nie będzie mógł?

– Stanbrook. Może Riddington.

– Ale widzisz, oni wszyscy... – wyrównał stos kopert – zniszczyli samych siebie. Nie może im się udać.

– Kto w takim razie?

– Obawiam się, że zostaje tylko Arthur.

– Bollingbroke? Byłby tragiczny!

– Jest popularny. Kiedy partia dostanie lanie w wyborach, złapią się czegokolwiek, byleby pływało.

– Podzieli partię.

– Prawdopodobnie. – Zapatrzył się w dal. – A później będą siedzieć przy ogniskach w środku najmroźniejszej zimy i lamentować, jaką to

głupotą było rzucić się Francisowi Urquhartowi do gardła. Nie był w sumie taki zły, powiedzą. W sumie świetny był z niego chłop. Jeden z najlepszych.

Z niedowierzaniem spuściła głowę.

– Jesteś niesamowity. Próbujesz pisać historię nawet...

– Nawet z za grobu. – Klarowność jego rozumowania sprawiła, że ona także myślała z niezwykłą jasnością. Wstał i podszedł do niej, okrążywszy biurko. Wziął ją w ramiona. – Pocałujesz mnie?

Chciał ją mieć, tu, w gabinecie. Pragnienie zagrało mu w żyłach, na nowo poczuł sens życia. I żądzę. Może to ostatni rozbłysk migoczącej świecy, ale rozpierała go nowa energia, przeszył go prąd, który sprawił, że jego ciało się wyprężyło, a apetyt zaostrzył. Tym razem się nie wycofa.

Pokręciła głową.

– Może kiedyś, Francis, ale nie teraz.

– Czyżbym źle cię zrozumiał?

– Nie, źle wybrałeś moment. A liczy się wyczucie czasu.



Było już dobrze po południu, kiedy pozwolili Passolidesowi obejrzeć ruiny jego domu. Wpuszczono go do środka razem ze strażakiem, żeby sprawdził, czy da się coś uratować, zanim pogorzelnisko zostanie zamknięte i zabezpieczone.

Śmierdziało. Dojmujący odór popiołów i zwęglonych resztek tego, co jeszcze kilka godzin wcześniej było jego życiem, zaskoczył go i nappełnił obrzydzeniem. W nosie mu się zakręciło, oczy go zapiekły, zaczęły lecieć z nich łzy.

– To przykre, proszę pana – powiedział ze współczuciem strażak – ale niech pan spojrzy na to w ten sposób: miał pan szczęście, że był

pan poza domem. Zwłaszcza tak wcześnie rano. Miał pan ubezpieczenie, prawda?

Passolides wyczuł w jego głosie cień podejrzliwości.

– Będziemy musieli złożyć raport. Jakies dowody, że pożar został wzniecony celowo...

Strażak gadał dalej, podczas gdy Passolides snuł się pogrążony w smutku wśród zgliszczy, grzebiąc swoją laską w namokłych popiołach. Restauracja „Vangelis” wydawała się teraz znacznie mniejsza, kiedy górne piętro się zapadło, a wszystkie ściany działowe spłonęły. Wszystko było czarne, zwęglone, porozrzućane wokół krokwie i wyszczerbione szczątki wyglądały jak potrzaskane kości na dnie średniowiecznej mogiły. Na ścianie, tam, gdzie kiedyś było piętro, wisiała przekrzywiona umywalka. Stara emaliowana wanna leżała przewrócona do góry nogami w kuchni. W czymś, co dawniej było kuchnią. Szperał i dłubał w nadziei, że znajdzie coś wartościowego, co przetrwało pożar, gdy nagle jego laska uderzyła o metal. Był to brytyjski hełm, który wcześniej ozdobił od środka drzwi. Sprasowany jak talerz. „Vangelis” przestał istnieć.

– Wie pan o kimś, kto mógł chcieć puścić pana z dymem, panie starszy?

Passolides stał w miejscu po swoim magazynie żywności. Ściany runęły, zamrażarka się stopiła i został tylko zmieszany z innymi odorami smród przypalonego mięsa. Zamknął oczy. Czy tak właśnie było z Jorgosem i Eurypidesem? Spalonymi przez tych samych ludzi, tych Brytyjczyków, których gra w wojnę i śmierć nigdy się nie kończyła, nawet po tych wszystkich latach?

– Zabrali mi wszystko.

– Nic panu nie zostało? – zapytał strażak, w którego głosie poza podejrzliwością dało się słyszeć współczucie.

– To ubranie. Laska – odparł Passolides.

Nagle przypomniał sobie o pistolecie. Zatkniętym za pasek. Wciąż miał pistolet. Nie wszystko przepadło.

– Opieka społeczna się panem zajmie.

– Mam córkę! – warknął, dumny ze swojej niezależności. Niczego nie potrzebował od tych Brytyjczyków. Po chwili dodał, już smutniej: – Wróci jutro.

Opadł na odwróconą do góry nogami wannę, oparł czoło na lasce, zgarbiony stary człowiek z zaczerwienionymi oczami, wyczerpany i przytłoczony nadmiarem nieszczęść. W ciemnym ubraniu i berecie zdawał się wtapiać w okopcone tło, jakby nigdy stąd nie wyszedł. Strażak, chcąc sprawdzić stabilność muru oddzielającego tę posesję od sąsiedniej, zostawił go własnemu smutkowi.

Kiedy Passolides rozmyślał nad końcem swojego świata, coś zwróciło jego uwagę. W ziejącej dziurze, która wczoraj była drzwiami, stała jakaś postać. Nieznajomy był ubrany w czarną skórę oraz kask motocyklowy, do ramienia miał przyczepione radio, jakiego używają kurierzy, i wołał go po nazwisku.

– Paczka dla Passolidesa.

Kurier podsunął adresatowi podkładkę z kwitem i w zamian za podpis wydał mu wyściełaną szarą kopertę, po czym bez słowa odjechał.

Sękate palce niezdarnie rozerwały pakunek. Passolides ostrożnie wysypał sobie zawartość na kolana. Przez chwilę patrzył, nie rozumiejąc. Leżała przed nim fotografia Michalisa Karaolisa, młodego bojownika EOKA o wyzywającym spojrzeniu i z odsłoniętą szyją, na

którą rano mieli założyć pętlę. Poprzedniej nocy ta fotografia wisiała na ścianie restauracji. Było jeszcze jedno zdjęcie, spłowiały portret młodego brytyjskiego oficera, którego Passolides nie rozpoznał od razu. Oraz dwa osmalone krzyżyki, które wypadły mu z drżących palców – Boże, z jaką mocą uderzyły w niego wspomnienia, pozbawiły go tchu, omal nie przewróciły na podłogę. To były grawerowane krzyżyki, które dał Jorgosowi i Eurypidesowi na imieniny.

Mroczny świat wokół Passolidesa zamarł w bezruchu, tylko jego łyż miały w sobie życie, obmywały pokryte popiołem krzyżyki, kiedy podniósł je z podłogi.

Na tym nie koniec. Z koperty wysunęły się jeszcze dwie kartki papieru. Pierwsza była kserokopią zaświadczenia o przebiegu służby w armii brytyjskiej, przedstawiającego krótką karierę młodego oficera w szkockim pułku, od wcielenia do wojska w Edynburgu poprzez służbę w Egipcie. A następnie na Cyprze. W 1956 roku.

Na górze kartki Passolides znalazł nazwisko – teraz rozpoznał oficera na fotografii. Porucznik, a pewnego dnia premier, Francis Ewan Urquhart.

I drugi kawałek papieru. Prymitywna ulotka. Apel do wszystkich, by przyszedli jutro na wiec na Trafalgar Square.

Wreszcie Passolides poznał tożsamość człowieka, którego szukał. Człowieka, który zamordował jego braci. Jako żarliwy wyznawca odwiecznego helleńskiego honoru wiedział, co musi zrobić.



Mortima obudziła się i zobaczyła, że znów wymknął się z ich łóżka. Odgłosy myszkowania zaprowadziły ją do wąskiej kuchni. Szperał w lodówce, kiedy weszła.

– Przepraszam, jeśli cię obudziłem – powiedział.

– Dlaczego nie śpisz, Francis?

– Tak niewiele jest powodów do snu. – W jego głosie była jakaś stanowczość. – Poza tym – dodał łagodniej – byłem głodny.

Miał przed sobą duży kawałek ciasta Dundee, czyli tradycyjnego szkockiego keksu, oraz sera cheddar, ulubionych przysmaków dzieciństwa, które ich rodzinny łowczy zawsze mu podsuwał podczas wypraw na wrzosowiska Highlands w poszukiwaniu kuropatw i jeleni. Minęło tyle lat, prawie zapomniał ten ostro-słodki smak. Zaczął powoli konsumować oba kawałki, delektując się każdym kęsem.

– Poświęcasz swojej nocnej uczcie więcej uwagi niż w ostatnich dniach mnie, Francis. Zamykasz się przede mną, patrzysz na mnie, jakbym była powietrzem, nie słyszysz, kiedy do ciebie mówię, ani nie odpowiadasz na moje pytania. Jakiś gniew, jakaś niecierpliwość wygania cię z mojego łóżka.

– Złe sny. Rozpraszają mnie.

– Jestem twoją żoną na tyle długo, by wiedzieć, że to nie sny cię dręczą – zganiała go.

– Wracaj do łóżka, Mortimo.

Ugryzł kolejny kęs, ale ona nie ruszyła się z miejsca.

– Nie uciekasz przed snami, Francis, nie jesteś dzieckiem. Ja też nie. Nigdy wcześniej taki dla mnie nie byłeś. – Wyraźnie sprawiało jej to ból. – Jesteś na mnie zły.

– Nie.

– Obwiniasz mnie o tę głupotę z listem.

– Nie!

– Myślisz, że pomogłam cię zniszczyć.

Robiła mu wyrzuty, ale jeszcze bardziej czyniła je sobie.

– Sami się niszczymy. Wszystko, co zrobiłem, zostałooby zrobione bez względu na to, czy ten list by istniał, czy nie. I wszystko, co trzeba zrobić.

– Co zamierzasz?

Spojrzał na nią, ale nie odpowiedział. Znów zaczął jeść, ostrożnie odłamując kawałki sera i keksu, zbierając okruszki.

– Nie dopuszczasz mnie do siebie.

– Są podróże, w które możemy wybrać się tylko sami.

– Po tych wszystkich latach, Francis, wygląda to tak, jakbyś już mi nie ufał.

Odsunął talerz na bok i podszedł do niej.

– Jestem od tego jak najdalszy. Ufam ci całym sercem. I umysłem. W tych wszystkich burzliwych chwilach byłaś jedyną osobą, na której mogłem polegać, do której mogłem w ciemności wyciągnąć rękę, wiedząc, że tam będziesz. Jeśli cię zraniłem swoim milczeniem, to wina leży po mojej stronie, nie twojej, i błagam cię o wybaczenie. Mortimo, musisz wiedzieć, że cię kocham. Że jesteś jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochałem.

Powiedział to z taką mocą, że nie można było wątpić w jego słowa.

– Co zamierzasz, Francis? – powtórzyła, domagając się, by okazał jej zaufanie.

– Walczyć. Z całych sił, o wszystko, co osiągnąłem.

– W jaki sposób?

– Tylu ludzi przez całe życie boi się, że zrobi coś nie tak, że popełni błąd, więc nie robią nic, tylko żyją w strachu i niepostrzeżenie, bezsensownie odchodzą w niebyt. – Oczy rozblęły mu pogardą, wyzywająco. – Nie odejdę potulnie w noc. Świat usłyszy o moim odejściu. I je zapamięta.

– To brzmi tak ostatecznie, Francis. Przerażasz mnie.

– Gdyby moje życie miało się skończyć w tej chwili, Mortimo, żałowałbym tylko jednego: że zostawiam cię. Jednak oboje wiemy, że kiedyś musi nadejść ten moment. Liczy się to, co zostawię po sobie, dla ciebie. Dziedzictwo. Duma. Godność. Wspomnienie, które ludzie będą oklaskiwać. – Uśmiechnął się. – No i ta biblioteka.

– Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez ciebie.

– Tak jak ja nie potrafię sobie wyobrazić życia bez tego wszystkiego. – Zatoczył rękami krąg, wskazując te najbardziej prywatne oznaki władzy. – Ale nadchodzi czas, kiedy ciało jest zużyte, duch zmęczony, miecz stępiony w bitwie... I nawet na miłość przychodzi kres. Przetrwa tylko, w przypadku garstki wybrańców, nazwisko, nawet gdy wszystko inne przeminie. Nieśmiertelność. Chcę, żebyś mi zaufała, Mortimo. Żebyś wspierała mnie w tym, co muszę zrobić, cokolwiek to jest.

– Zawsze cię wspierałam.

– I abyś wiedziała, że cokolwiek robię, robię to dla nas obojga.

– W takim razie nic się nie zmieniło.

Uspokoila się, zrozumienie jego intencji przyniosło pewną dozę otuchy. Zawsze wiedziała, że Francis nie jest taki jak inni mężczyźni. Żył według własnych zasad, nie mogło ją więc dziwić, że zamierza odejść także na swoich zasadach. Kiedy tylko przyjdzie właściwy moment. Który być może sam wybierze. Zdobyła się na uśmiech, wyciągając do niego rękę.

Pocałował ją z wielką czułością.

– Mam tyle powodów do wdzięczności wobec ciebie, że nie wiem, od czego zacząć. Może od twojego ciasta. Jest przepyszne, Mortimo. Chyba zjem jeszcze jeden kawałek.

- Ja też się poczęstuję. Jeśli mogę.

Rozdział 48

W całkowitych ciemnościach strachu i klęski
nawet iskra nieszczęścia może przynieść
upragnione światło.

Nad kopułą katedry Świętego Pawła wstał świt, różowy jak otwarta rana, a przygotowania trwały już od wielu godzin. Wzdłuż trasy na Trafalgar Square ustawiono znaki objazdów, latarnie i wystawy sklepowe przystrojono plakatami i jego portretami, namalowano transparenty, dziennikarze mieli na podorędziu sformułowania w rodzaju „armada wiary” czy „niepohamowany wichher rewolucji”. Makepeace był wszędzie, na ustach wszystkich.

Nikt nie wiedział dokładnie, ile osób może przyłączyć się do niego na ostatnim odcinku marszu z Watford ani ile będzie czekać, by go powitać, ale po drwinach, które posypały się na policję West Midlands po fiasku w Birmingham, stołeczny komendant uznał, że nie pora na ryzyko. Chociaż nie było żadnych przesłanek co do możliwych problemów, poza presją tłumu nieznanymi rozmiarów, opróżniono fontanny na Trafalgar Square, sprawdzono, czy w wielkich pompowniach pod nimi nie ma podejrzanych pakunków, wokół placu w równych rzędach zebrano metalowe bariery zabezpieczające, jak wózki w supermarkecie. Miejscowe gołębie, te ptasie kundły,

poskarżyły się na niespodziewane hałasy, wzbijając się na znak protestu w pierzastych spiralach i zasnuwając niebo, a potem próbując ponownie obsiąć plac, wściekłe z powodu trwającego zamętu. Na ich ojczyznę dokonano inwazji. Przynajmniej na ten jeden dzień Trafalgar Square został im odebrany.

Wczesnym rankiem Urquhart wziął kąpiel. Mortima przyniosła mu do wanny wielki kubek herbaty, a para i gorąca woda przywróciły rumieńce poszarzałym z braku snu policzkom. Wydawało jej się, że słyszy, jak Francis coś mruczy, może ją woła, ale kiedy zapytała, odparł, że po prostu powtarza sobie kilka linijek ze swojej końcowej mowy wyborczej. Zauważyła, że okazałych rozmiarów szkic, przygotowany przez zespół piszący mu przemówienia, pozostał nietknięty.

- Uważają, że nie mogę wygrać - wyjaśnił - i to widać.

Nie ruszył też swoich ministerialnych teczek.

Kiedy zakończył ablucje starannym manikiurem, jakby miał tyle czasu, ile dusza zapragnie, wokół Trafalgar Square już rozstawiano bariery. Kilka postawiono w kluczowych punktach przy Whitehall, szczególnie przy wjeździe na Downing Street, tak na wszelki wypadek. Aby oddzielić ogary od niedźwiedzia. Nie spodziewano się jednak kłopotów. Za niecały tydzień bojownicy Makepeace'a będą zajmować korytarze władzy udzielnym prawem zwycięzców.

Wybrał z szafy swój ulubiony granatowy garnitur i białą bawełnianą koszulę. Rozłożył je na łóżku, żeby im się przyjrzeć. Przyłożył do marynarki kilka jedwabnych krawatów. Chciał założyć ten, który Mortima kupiła mu na stoisku z rękodziełem pod zamkiem w Edynburgu, pamiątkę z jej ostatniego pobytu na festiwalu, ale był ręcznie malowany, może trochę zbyt kwiecisty. Wyjął zamiast niego krawat w kolorach swojego pułku. Następnie, odziany w jedwabny

szlafrok, zjadł śniadanie. Miał dobry humor i wilczy apetyt, a krzyżówkę skończył, zanim jajka zdążyły się ugotować.

Wywiązały się tylko dwa spory dotyczące organizacji wiecu. Komisarz Housego, policjant odpowiedzialny za bezpieczeństwo, nie chciał wpuścić na plac dwóch obwoźnych budek z kebabami, które towarzyszyły marszowi od samego początku. Były jak maskotki, argumentował Makepeace, jak weterani wielkiej bitwy, którzy roszczą sobie prawo do obecności na ceremonii zwycięstwa, ale komisarz upierał się, że zagęszczenie wokół nich będzie po prostu zbyt duże i potencjalnie niebezpieczne. W wielkim tłumie ludzie mogą zostać łatwo stratowani, a jeśli dojdzie do wybuchu przemocy, takie pojazdy mogą zmienić się w tarany, barykady lub po prostu ogniska. Nie. Niewarte ryzyka. Makepeace rozwiązał problem, zapraszając Mariosa i Michalisa, dwóch kierowców-właścicieli, by dołączyli do niego na niewielkim podium, z którego miał przemówić, a które wznoszono właśnie między lwami Landseera a podstawą kolumny Nelsona.

- A w przyszłym tygodniu będziecie mogli przejechać przez całą Downing Street - zażartował.

Po raz pierwszy pozwolił sobie na to, by dać do zrozumienia, że będzie tam, aby ich przywitać.

Drugi spór dotyczył samej liczby zgromadzonych. Housego chciał ją ograniczyć do piętnastu tysięcy, lecz Makepeace nie był w stanie dać mu żadnej gwarancji w tej sprawie. Nie miał pojęcia, ilu ludzi się do nich przyłączy. Nie kontrolował maszerujących. Przeciwnie, jak wyjaśnił komisarzowi, to oni kontrolowali jego. Ale tak czy inaczej, zasugerował z ledwie dostrzegalną ironią, problem będzie znacznie mniejszy, jako że zazwyczaj liczba demonstrantów podawana przez policję bywa o wiele niższa niż szacunki organizatorów. Doszedłszy do

wniosku, że dyskrekcja jest przyjaciółką awansu, komisarz postanowił zaczerpnąć inspirację od Nelsona i przymknąć na to oko. Dołoży dwie dodatkowe samodzielne jednostki policji w sile dwudziestu dwóch chłopca – na wszelki wypadek. Zasalutował i odszedł zadowolony.

Inni też nie próżnowali. Organizacja St. John Ambulance założyła punkt pierwszej pomocy w podziemiach kościoła St. Martin-in-the-Fields, wdzięczna, że może pożyczyć lokal schroniska dla bezdomnych. Natomiast ekipy telewizyjne przez cały poranek usiłowały wytargować dostęp do okien i dachów wokół placu, zdecydowane znaleźć optymalny punkt obserwacyjny, wnosząc hojną „opłatę za niedogodności” w gotówce prosto do rąk personelu technicznego i sprzątającego biur. Nawet gdyby przyszło tylko piętnaście tysięcy osób, i tak byłby to najliczniejszy wiec wyborczy za ludzkiej pamięci.

Tego wszystkiego Urquhart wydawał się nieświadomy. Umościł się w swoim ulubionym skórzanym fotelu, wciąż jeszcze w szlafroku, i czytał. Najpierw pamiętniki Margaret Thatcher, Moje lata na Downing Street. Ostatnie strony. Sceny wielkiego dramatu. Gniew. Cierpienie. Zdrada. Następnie Juliusza Cezara, swoją ulubioną sztukę. Kolejny spektakularny zamach. Jednak o ileż łagodniej obeszli się z nim niż z nią, pomyślał Urquhart, zakończyli męki wielkiego Cezara jednym ciosem, ostatecznym pchnięciem. Bez przedłużania katuszy. W śmierci znalazł uznanie, którego ci zawistni i małostkowi ludzie wokół niego nie chcieli mu okazać za życia. Oto właściwy koniec wielkiego człowieka.

A Makepeace maszerował. Przez całą Watling Street, dawną rzymską drogę prowadzącą z Chester do serca Londynu. Kroczyli jak niegdyś legiony, piątkami lub szóstkami, wielką falangą, która

rozciągała się na ponad dwie mile i jeszcze rosła, im bardziej zbliżała się do centrum stolicy. Nie wiadomo skąd pojawiły się dwie orkiestry dęte oraz grupa szkockich dudziarzy, podkreślając atmosferę karnawału, a kiedy mijali hinduistyczną świątynię w Edgware, na szyjach Makepeace'a i Marii zawieszono girlandy kwiatów. Udekorowano nawet policyjny wóz obserwacyjny, który cały czas trzymał się w pobliżu. Policjanci w samych koszulach uśmiechali się i machali do dzieci, jakby na wyścigi próbując sypać sól na wciąż jeszcze krwawiące rany kolegów z Birmingham. Świętowano tak głośno i entuzjastycznie, że dziennikarze radiowi i telewizyjni ledwie słyszeli Makepeace'a, któremu towarzyszyli przez cały poranek. Gdyby jednak miało zabraknąć wypowiedzi do emitowania w wiadomościach, byli inni chętni, którzy wprost palili się, by to nadrobić. Na Trafalgar Square czekała wielobarwna mozaika grup nacisku, reprezentujących pełne spektrum polityczne, z których wszystkie rzuciły się do dziennikarskich mikrofonów i usiłowały identyfikować się z Makepeace'em. Była tam nawet Annita Burke, twierdząc, że jej „stary kolega i przyjaciel” przedstawia sobą tak wiele wartości leżących u podstaw tego, za czym tradycyjnie opowiadała się ona i jej partia. Zapytana, czy tradycja wyklucza teraźniejszość, uśmiechnęła się.

– Być może niedawną przeszłość – przyznała.

Idąc Piccadilly Circus, mijali dawną kamienicę lorda Palmerstona, wielkiego ministra spraw zagranicznych epoki wiktoriańskiej, który został jeszcze większym premierem. Wszędzie omeny. Flagi, którymi udekorowano trasę, wydawały się sztywnieć, jakby salutowały. Wystawę księgarni Hatchards wypełniały egzemplarze książki Makepeace'a, którą napisał parę lat wcześniej i której nakład jeszcze kilka godzin temu był zupełnie wyczerpany. Podpisał kilka, nie

zwalniając kroku. Kierowcy trąbili, ludzie machali z autobusów, turyści prosili o autografy. Marsz dla Pokoju zdecydowanie zmieniał się w fetę zwycięstwa. Jednak nawet Makepeace był zdumiony, kiedy wyszedł z Pall Mall i ujrzał amfiteatr wielkich budynków, które otaczały kolumnę Nelsona. Został trochę z tyłu w Hyde Parku, pozwalając korpusowi marszu przejść do przodu. Wiedział, że już w tej wielkiej rzece jest z piętnaście tysięcy dusz, nie wiedział natomiast, że wpływa ona do jeszcze większego morza ludzi zebranych na placu, aby go powitać. Gdy go dostrzegli, prowadzonego przez piskliwe dźwięki dud, morze wezbrało falą machających dłoni i powiewających transparentów, która przetaczała się tam i z powrotem po basenie placu, wzmacniana okrzykami i akcentami reprezentującymi wszystkie części kraju, a nawet ziemie leżące poza jego granicami. Ponad czterdzieści tysięcy ludzi zebrało się pod niewidzącym okiem lorda Nelsona, aż Trafalgar Square pękał w szwach, przepelniony ich entuzjazmem. Makepeace przeszedł przez sam środek tłumu niczym Mojżesz przez Morze Czerwone, unosząc złożone ręce nad głową, a oni gromko wyrazili aprobatę.

Nawet za grubymi szybami z bezodpryskowego szkła na Downing Street Urquhart bezbłędnie rozpoznawał ryk przypominający ten, który słyszeli chrześcijanie, czekając w podziemiach Koloseum, uzbrojeni tylko w swoją wiarę w Boga. Urquhart nigdy nie przywiązywał do wiary większej wagi, nie jeśli miała ona oznaczać, że pożą go lwy, a szczury będą się kłócić o jego kości. O ileż lepiej wierzyć w siebie, umrzeć jako Cezar, a nie pokorny grzesznik. Zgiełk znów narastał, bo Makepeace właśnie wszedł na podium. Dopiero wtedy Urquhart odłożył książki i zaczął się ubierać. Zapomniał przyszykować spinki do mankietów. Wybrał te z dziewięciokaratowego

złota, z wygrawerowanym rodzinnym monogramem, które kiedyś należały do jego ojca. Stał przed lustrem, sprawdzając wszystkie aspekty swojego wyglądu jak zalotnik, który właśnie ma się oświadczyć. Zapytał Mortimę o zdanie. Wyraziła aprobatę, tylko krawat jej się nie podobał.

– Ale co planujesz dzisiaj robić, Francis, że tak się wystroiłeś?

– No cóż, zamierzam przemówić na tym wiecyku Toma Makepeace’a.



Urquhart poprawiał krawat przed lustrem, jednym uchem słuchając radia transmitującego przemówienie, które Makepeace właśnie rozpoczął, a drugim starając się nie słuchać Cordera.

– Przyjaciele. Bracia. Przepraszam... i siostry! – wykrzyknął właśnie Makepeace, ale głos Cordera zagłuszył wszystko inne.

– Nie może pan tego zrobić – stwierdził oficer wydziału specjalnego z takim naciskiem, że graniczyło to z krzykiem.

– Nie możesz mnie powstrzymać, mój drogi Corderze – odparł Urquhart z niezmaconym spokojem.

– Nie ma przygotowanej żadnej ochrony.

– Nasza ochrona tkwi w zaskoczeniu. Nikt się mnie nie spodziewa.

– Tam są tysiące pańskich przeciwników, panie premierze. Przyjechali z całego kraju specjalnie po to, żeby pokazać, jak bardzo pana nie lubią. A pan chce wejść w sam ich środek.

– W sam ich środek. Dokładnie.

– Nie! – Żarliwość Cordera była autentyczna. – To szaleństwo.

– To historia, Corder.

– Czy mogę mówić jako stary przyjaciel, panie premierze?

Urquhart odwrócił się do niego.

- Jeśli o mnie chodzi, Corder, zawsze mogłeś.

- Żyje pan ostatnio w ogromnym stresie. Może to... – niezręczna pauza – trochę przyćmiło panu ocenę sytuacji?

- Delikatnie powiedziane. Dziękuję. – Urquhart podszedł do Cordera i uspokajającym gestem położył mu dłonie na ramionach. – Ale jest wręcz przeciwnie, stary druhu, ten ogromny stres, o którym mówisz, przyniósł mi wyjątkową jasność myśli. Rozumiesz, perspektywa zawiśnięcia na szubienicy i tak dalej. Wiem, co robię. Zwalniam cię z wszelkiej odpowiedzialności.

- Po czymś takim zdegradują mnie do wypisywania mandatów za parkowanie. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

- W którym to przypadku będziesz pierwszą w królestwie osobą z tytułem szlacheckim wykonującą taką pracę. W związku z moją rezygnacją przygotowałem już listę osób, którym zostaną przyznane tytuły, Corder. Jestem Szkotem, nie można mnie posądzić o nadmierną hojność, ale powinieneś wiedzieć, że ty się na tej liście znajdujesz.

Corder zamrugał, pokręcił głową, jakby chciał otrząsnąć się z myśli, które odwodziły go od celu, i wrócił do ataku.

- Muszę pana powstrzymać.

- Nie możesz, Corder.

- Pani Urquhart – zaapelował, zmieniając taktykę – może pani mu to wyperswaduje?

Mortima, podobnie jak Urquhart, przeglądała się z uwagą w lustrze, wygładzając kilka niewidocznych fałdek na żakiecie.

- To mi się nie uda, Corder.

- Dlaczego?

- Ponieważ idę razem z nim.

- Czyżby, na Boga? – wykrzyknął Urquhart, podając jej słowa w wątpliwość.

Przysunęła się do niego, objęła z troską i wielką czułością, patrząc mu prosto w oczy.

- Tak, Francis, idę. Zaszłam z tobą tak daleko, pójdę jeszcze te kilka kroków, jeśli nie masz nic przeciwko temu. A nawet jeśli masz.

Wargi zaczęły mu drżeć ze zdenerwowania, usiłował znaleźć jakieś słowa, by się jej sprzeciwić, ale ona położyła mu palec na ustach.

- To tylko krótki spacer – szepnęła. – Nie będę ci przeszkadzać.

Rozdział 49

W Westminsterze człowiek może umrzeć tysiąc
razy.
Na polu bitwy – tylko raz.

Stał na progu domu pod numerem dziesiątym, trzymając Mortimeę za rękę. Nad nim na letnim niebie wisiały białe chmury jak dym wystrzałów, natomiast za nim Corder perorował przez radio. Urquhart odwrócił się, by go zganić.

– Nie, Corder! Żadnej wielkiej zgrai policjantów. Nie chcę żywego muru, za którym się schowam, nie chcę unikać konfrontacji z tłumem. Nie życzę sobie.

Mówił surowym tonem, niedopuszczającym dyskusji. Corder wymamrotał coś do radia i odłożył je na bok.

– W takim razie czy mogę panu towarzyszyć, panie premierze? Jako przyjaciel rodziny?

Urquhart uśmiechnął się.

– W tym charakterze zawsze byłeś mile widziany.

Ruszyli ulicą. Kiedy zbliżyli się do wysokich stalowych barierek zamykających jej koniec, mundurowy policjant stojący przed budką strażnika zsalutował, a drugi zaczął z podnieceniem mówić do

telefonu. Ale było już za późno. Wielka brama się otworzyła i znaleźli się na Whitehall.

Na plac wciąż usiłowało wcisnąć się mnóstwo ludzi, którzy tłoczyli się na chodnikach i zaczęli tarasować drogi dojazdowe. Komisarzowi przydały się jego dodatkowe oddziały, a wręcz mógłby mieć ich więcej. A kiedy idący Whitehall Urquhartowie zostali rozpoznani, na efekty nie trzeba było długo czekać.

– F.U. too! F.U. too! – krzyknął jakiś młodzieniec, który wyglądał jak żywcem wyjęty z pierwszej części reklamy pralni chemicznej, ale Mortima rzuciła mu ostre, pełne kobiecej nagany spojrzenie i ucichł, zaczął się zacinać jak szwankujący pasek klinowy.

Nikt nie podjął skandowanego przez niego hasła. Przez tłum przebiegł za to dreszcz zainteresowania na widok wielkiego przeciwnika, którego zwykle widzieli tylko na ekranach telewizorów, w otoczeniu rekwizytów władzy, a który teraz sprawiał wrażenie, jakby wybrał się na niedzielną przechadzkę z żoną. Na okrzyki świadczące o tym, że zostali rozpoznani, Urquhartowie odpowiadali grzecznym skinieniem głowy, połajanki Mortima zbywała jednym ze swoich najbardziej miażdżących spojrzeń. Kiedy pokonywali pięćset jardów Whitehall, mijając wartowników gwardii konnej na placu Horseguards, przez tłum przed nimi przeleciał, niczym fala dziobowa, raczej dreszcz zainteresowania niż nietolerancji, obwieszczając ich przybycie. Gdy dotarli do zatłoczonych obrzeży Trafalgar Square, dreszcz przerodził się w falę uderzeniową, która z mocą zaczęła toczyć się przez ludzkie masy. Urquhart idzie! Urquhart idzie! I wielu zgromadzonych, zwłaszcza ci, którzy nie widzieli dobrze Makepeace'a przemawiającego po drugiej stronie kolumny Nelsona, odwróciło się twarzą do swojego przeciwnika.

Urquhart zjawił się w samą porę – albo nie w porę, w zależności od punktu widzenia. Kiedy Makepeace miał zacząć podsumowanie swojej perory, wyczuł wyraźny spadek zainteresowania wśród znacznej części słuchaczy. Spojrzał na morze zwróconych w jego kierunku twarzy, przecinane właśnie burzliwym prądem przeciwnym, który kazał zebranym odwracać oczy w inną stronę. Zaciekawiona Maria podeszła do skraju podwyższenia, żeby znaleźć źródło tych zakłóceń. Wyraz niepokoju i konsternacji malujący się na jej obliczu wystarczył, by Makepeace zaczął się zacinać, co jeszcze bardziej rozproszyło uwagę tłumu.

Komisarz Housego wyszedł im na spotkanie. Na pierwszą wzmiankę o rychłym przybyciu Urquharta, przekazaną przez dyspozytornię Scotland Yardu, zareagował przekleństwami, ordynarnymi i w obfitej ilości. Następnie wezwał taktyczną grupę wsparcia, swoją rezerwę specjalnie wyszkolonych funkcjonariuszy, którzy czekali w gotowości w autokarach zaparkowanych w pobliżu Spring Gardens. Miał ich jednak za mało. Żałował, że nie ma jeszcze setki.

– Nie mogę na to pozwolić, panie premierze.

– Nie może mnie pan powstrzymać, panie komisarzu.

– Ale nie mam wystarczająco dużo ludzi, żeby utorować panu drogę przez tłum.

– Nie chcę torowania siłą – odparł ostro Urquhart. Po czym dodał łagodniej: – Proszę. Niech pan poprosi swoich ludzi, żeby się odsunęli.

Zdumiony Housego uległ.

Urquhart wciąż ścisnął dłoń Mortimy, kiedy przeszedł przez jezdnię i stanął twarzą w twarz z tłumem. Wiedział, że od tego momentu straci nad wszystkim kontrolę, stanie się jeszcze jednym

pionkiem w wielkiej grze, którą rozpoczął. Twarze, w które patrzył, były beznamienne, zamarte w zaskoczeniu. Skinął głową, uśmiechnął się i zrobił dwa kroki w ich stronę.

Brytyjczycy są cynikami, zawsze gotowymi wierzyć w ludzkie słabości i nurzać się w oparach zbiorowego sceptycyzmu sączących się z ich prasy codziennej. Jednak jako jednostki są uprzejmi do granic obłudy, ukrywają prawdziwe uczucia za zasłoną sztywnej etykiety na tej samej zasadzie, co proszą, żeby szmatławiec „News of the World” dostarczać im owinięty w szacowny „Sunday Telegraph”. Gdyby Hitler przyleciał do Londynu, zamiast kazać Chamberlainowi przyjechać do Berchtesgaden, być może cały kraj ustawiłby się w kolejce, by uściskać mu dłoń. Brytyjczycy źle sobie radzą w osobistej konfrontacji.

Dlatego tłum przed Francisem i Mortimą Urquhartami zaczął się cofać, żeby zrobić im miejsce i ich przepuścić. Wiele osób wręcz uśmiechało się odruchowo. I tak Urquhartowie, powoli, trzymając się pod rękę jak para wchodząca na parkiet sali balowej, ruszyli w kierunku mównicy.

Rozwój wypadków miał druzgocący wpływ na Makepeace'a. Wiedział, że stracił zainteresowanie tłumu, a teraz widział, jak ten rozstępuje się niczym konkubiny przed chanem. Półzartem powiedział coś o przybyciu niespodziewanych posiłków, po czym sam odwrócił się w stronę skraju podwyższenia, by sprawdzić przyczynę zamętu. Zobaczył Urquharta z żoną, a krok za nimi Cordera. Dotarli do schodów podium i już zaczęli po nich wchodzić.

- Dzień dobry, Tom - przywitał się Urquhart.
- Tego się nie spodziewałem.
- Wybacz, nie chciałem ci przerywać. Ale dzieło już się dokonało, wygrałeś. Mam dość walki, Tom.

– Bardzo uprzejmie z twojej strony. – Po czym dodał podejrzliwie: – Po co tu przyszedłeś?

– Może po to, by ocalić nieco dumy i szacunku w porażce. Słyszałem w radiu początek twojego przemówienia; twierdziłeś, że wszystko to robiłeś raczej ze smutkiem i żalem niż z gniewem. W tym samym duchu przyszedłem, aby wyrazić nadzieję na pojednanie, jeśli nie między nami dwoma, to przynajmniej dla naszego kraju.

– Ale dlaczego?

– Ponieważ kocham mój kraj. Ponieważ przewodziłem mu zbyt długo, by chcieć, żeby koniec mojej kariery tonął w rozgoryczeniu i złości. Popełniłem błędy, byłem wobec ciebie niesprawiedliwy. Chciałbym mieć możliwość przeproszenia za to publicznie.

– Co? Tutaj? Teraz?

– Za twoją zgodą.

– Nigdy! – wtrąciła się Maria. – Nie możesz mu pozwolić, żeby ci ukradł wiec.

– Chcę tylko przeprosić.

– To niech pan wykupi ogłoszenie w „Timesie”.

– Maria, Maria – zganił ją łagodnie Makepeace – to nasz wiec, to nasi zwolennicy. Nie jego. Właśnie skarżyłem się na brak wolności słowa i współczucia w Wielkiej Brytanii Francisa Urquharta. Czy Wielka Brytania Toma Makepeace’a ma się zaczynać tak samo paskudnie? Co mam do stracenia oprócz jego publicznych przeprosin? A poza tym – zażartował, usiłując zbyć jej protesty – jeśli każę mu wracać, to go pewnie zlinczują.

– A zatem mogę przemówić?

Makepeace odwrócił się do mikrofonów.

- Wygląda na to, że pan Urquhart jest pod takim wrażeniem naszego zgromadzenia, że przyszedł, aby nas osobiście przeprosić.

Uwolniony od ograniczeń formalnych, jakie wiązały się ze spotkaniem twarzą w twarz, tłum wyraził swoje prawdziwe uczucia. Rozległy się gwizdy i szydercze okrzyki.

- Nie - Makepeace uniósł dłoń. - W przeciwieństwie do niektórych my potrafimy wybaczać i jesteśmy tolerancyjni. Wysłuchajmy go. Zanim wydamy wyrok.

Krzyki nie cichły, kiedy Makepeace zrobił Urquhartowi miejsce przy mikrofonach.

- Nadal mi się to nie podoba - narzekła Maria. - Już bym wolała lincz.

O ileż lepiej nadawałaby się na lidera niż Makepeace, pomyślał w duchu Urquhart, gdyby tylko lepiej wybrała sobie partnera do łóżka. Przesunął się do przodu, z Mortimą u boku. Gwizdy osiągnęły apogeum. Przetaczały się przez plac, nabierając tempa i zawziętości. Morze rąk i zwróconych ku niemu twarzy było wzburzone, biło złowrogimi falami w podstawę kolumny, grożąc, że go pochłonie.

Nagle ręce Urquharta wystrzeliły w powietrze.

- Maszerujący! Uczestnicy Marszu dla Pokoju! Oddaję wam honory!

Jakby stłumił ogień, zarzucając na niego ogromny koc. Spokój.

- Wykuwamy błędy ludzi na ich nagrobkach, a ich osiągnięcia grzebiemy razem z kośćmi. Jeśli taki czeka mnie los, niech tak będzie.

Nawet ci nieliczni, którzy nadal protestowali, teraz zupełnie ucichli. Nie tego się spodziewali.

- To jest wiec na cześć pokoju, a ja jestem wdzięczny waszemu liderowi Thomasowi Makepeace'owi, że pozwolił mi do was

przemówić. Ja także przyszedłem tu w duchu pokoju. I pojednania. Bo na koniec kampanii wyborczej przychodzi moment, kiedy trzeba zaakceptować werdykt ludzi, choćby bardzo bolesny. Opatrzeć rany. I iść dalej. Razem. Na to właśnie mam nadzieję dla naszego kraju dzisiaj, w nie mniejszym stopniu niż wtedy, gdy po raz pierwszy objąłem urząd premiera. Nie mogę zaprzeczyć, że pragnąłem dalej pozostać na Downing Street, i jeśli wydawało się to egoizmem z mojej strony, przyjmuję ten zarzut. Jeśli ambicja jest zbrodnią, to przyznaję się do winy.

– Miałem ambicje co do mojego stanowiska, bo nie ma większego przywileju ani wyższego zaszczytu w życiu polityka, niż przewodzić temu krajowi i wam, jego obywatelom. Byliście tak mili, że obdarzaliście mnie tym zaszczytem kilkakrotnie przez ponad dekadę, a jeśli postanowicie teraz mnie go pozbawić, to nie będę się skarżył. A już na pewno nie na Toma Makepeace'a, bo jest on przyzwoitym człowiekiem.

– Miałem także ambicje co do obywateli, bo tylko poprzez nich kraj może stać się wielki. A jeśli komfort życia i dobrobyt stoją dziś na poziomie, o którym kilka lat temu można było tylko pomarzyć, to nic mnie nie obchodzi, komu przypisze się za to zasługę. Przywódcy wystarczy, że widzi, iż te marzenia się spełniły, a jeśli inni chcą przypisać ten dobrobyt wpływowi Europy, statystycznym przekłamaniom czy nawet przypadkowej koniunkturze gospodarczej, to raz jeszcze powtórzę: nie będę się skarżył.

Z tłumu dobiegł jakiś okrzyk.

– Nie! Nawet na Toma Makepeace'a. Bo przez wiele z tych lat był on członkiem mojego rządu. I jest przyzwoitym człowiekiem. Przede wszystkim jednak miałem ambicje co do mojego kraju, aby

wprowadzić go na powrót w szeregi tych narodów, które uznaje się za wielkie. Wielka Brytania. Nie jakaś tam anonimowa wyspa, nie do odróżnienia od innych, ale taka, która sprawia, że możemy podnieść dumnie głowę i powiedzieć: „Jestem Brytyjczykiem”, i że to śmiałe stwierdzenie będzie spotykało się z szacunkiem na całym świecie. A zwłaszcza w Europie. Nie jestem antyeuropejski. Nie chodzi o to, że stawiam bycie Europejczykiem na ostatnim miejscu, tylko o to, że stawiam bycie Brytyjczykiem na pierwszym. Taką miałem ambicję, a jeśli jej nie podzielacie, tak jak nie podziela jej Tom Makepeace, to nie będę się skarżył.

– Tom Makepeace powiedział dziś, że jestem wam winien przeprosiny, a ja słuchałem jego słów, słów przyzwoitego człowieka, uważnie. I jeśli waszym zdaniem, i zdaniem innych przyzwoitych mężczyzn i kobiet, przeprosiny wam się należą, to chętnie je wyrażam. Równie chętnie, jak oddawałem wam swoje serce i życie przez te wszystkie lata.

Wydawało się, że głos zaraz mu się załamał. Na placu zaległa cisza. Maria patrzyła z wyrzutem na Makepeace'a. On z kolei wbił lodowaty wzrok we własne buty. Urquhart przyglądał się badawczo tłumowi, jakby próbował dotrzeć do każdej z tworzących go osób. Albo jakby kogoś szukał. Komentatorzy, którzy obsiedli plac, starali się czym prędzej napisać swoje scenariusze na nowo.

– Chcę jednak powiedzieć, że przyszedłem tu nie tyle dla Wielkiej Brytanii, ile dla Cypru. Wyspy, którą dobrze znam i którą kocham. Wielu z was nie zgodzi się nie tylko z tym, co zrobiłem, ale także z tym, co próbowałem zrobić na Cyprze. Powiecie, że jestem winny doprowadzenia do konfrontacji i rozlewu krwi. Ale nie to było moim celem. Moją aspiracją, jak wszyscy wiecie, było przyniesienie wyspie

pokoju. Położenie kresu krwawej przemocy. Pogodzenie poróżnionych społeczności. Nie udało mi się, ale próba dokonania tego na tej nieszczęśliwej ziemi kończy się porażką od tysiąca lat. Jednak perspektywa prawdopodobnej klęski mnie nie powstrzymała, mimo wszystko próbowałem. Tak, można powiedzieć, że moją ambicją był pokój, dlaczego nie? A jeśli stracę stanowisko z powodu tej porażki, o ileż większą stratę ponieśli zwykli, miłujący pokój Cypryjczycy?

I wtedy Urquhart go zobaczył, jak przesuwa się w tłumie do przodu, powłócząc nogami, kulejący, przygarbiony, z twarzą prawie całkowicie skrytą pod beretem. Jak się zbliża.

– Są tacy, którzy nie chcą widzieć na Cyprze pokoju. Ludzie źli, ludzie pełni przemocy. Którzy pokoju nigdy nie zaznali i którzy nie potrafią w pokoju żyć. Którzy rozpamiętują dawne śmierci i nie mogą zapomnieć o zaginionych grobach, zamiast wyglądać nowego życia. Którzy starali się doprowadzić do podziału między tym krajem a Cyprem, podczas gdy część z nas chciała tylko pojednania.

Atak na Makepeace'a był aż nadto wyraźny, jednak w tłumie podniosło się zaskakująco niewiele okrzyków protestu.

– Kości! Bazy! – zawołał jeden z demonstrantów stojący u stóp podium, machając transparentem.

– Nie, nie zrozumcie mnie źle. Nie przyszedłem tu po to, by kwestionować poglądy Toma Makepeace'a, które mogą być zupełnie przyzwoite, tylko po to, by pokazać, że jest jeszcze inna, prawdziwa droga. A jeśli istnieje rozbieżność między interesami Cypru i Wielkiej Brytanii, to ja przynajmniej nie będę przepraszał za to, że jestem Brytyjczykiem, szefem brytyjskiego rządu, i z dumą przyjmuję na siebie związane z tym obowiązki. Być może kochałem swój kraj zbyt

mocno. Jeśli tak, to była to wada, katastrofalna wada. I cena, którą przychodzi mi za nią płacić, również jest katastrofalna.

Maria szeptała coś Makepeace'owi do ucha z dużą gwałtownością, pokazując w kierunku mikrofonów, ale Makepeace powstrzymał ją gestem dłoni i pokręcił głową. Było już za późno. Ten moment bezspornie należał do Urquharta. Jakby na potwierdzenie tej diagnozy Mortima stanęła tuż za ramieniem męża. Gdyby ktoś chciał spróbować przejąć mikrofon, najpierw musiałby siłą usunąć ją z drogi.

A Passolides dokuśtykał już na sam przód tłumu. Opierał się na swojej lasce na wprost podium, niecałe dwanaście stóp od miejsca, w którym stał Urquhart. Patrzył do góry, twarz pod beretem wykrzywiał grymas bólu, jak u zwierzęcia schwytanego w sidła, które odgryzło sobie nogę, żeby uciec, po to tylko, by natknąć się na myśliwego. Urquhart wzniosł pałkę i zaczął zasypywać ciosami jego niechronioną niczym czaszkę.

– Niektórzy nie chcą zapomnieć, nie mogą zapomnieć. Niegodziwi ludzie, którzy pogrążają się we wspomnieniach, w niewiarygodnym egoizmie, którzy są gotowi poświęcić całą społeczność, aby zaspokoić osobiste pragnienie zemsty. – Patrzył prosto na Passolidesa. – To zła ambicja. Ambicja nie walki o pokój, ale po prostu walki. Staczania starych bitew, jakichkolwiek bitew. To chore umysły, które nie chcą zapomnieć.

Usta Passolidesa trzęsły się w najwyższym wzburzeniu. Oczy zaszyły mu krwią. Urquhart przyglądał mu się z analityczną uwagą, jak aktor na scenie grający w największym spektaklu swojego życia, współodczuwający z publicznością, sięgający do jej emocji, dotykający ją do żywego. Wierzył w swą rolę bez zastrzeżeń, nic innego się nie liczyło.

– Nie mam rodziny, oprócz mojej żony. – Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, z absolutną ufnością i wdzięcznością. – Nie mam dzieci. Ani rodzeństwa. Tom Makepeace nazwał was dzisiaj braćmi i siostrami... – W jego głos wdarła się mgła, pozwolił, by słowa zawisły nad placem. Nie było oklasków, nikt już nie śpieszył się, żeby identyfikować się z Makepeace'em. Urquhart miał ich w garści, przekonał ich. Spektakl prawie dobiegł końca.

Uśmiechnął się do Passolidesa. Tym samym zimnym uśmiechem podszytym brytyjską arogancją, który błąkał mu się na ustach, kiedy sfotografowano go jako młodego porucznika na Cyprze. Z szyderstwem. Z pogardą. Wyrzucał z siebie słowa, jakby spluwał mu w twarz. Passolides sięgnął za pasek. Urquhart nie odrywał od niego wzroku.

– Może miał do tego prawo. Ale jeśli on rości sobie prawo do żywych, to pozwólcie, bym ja upomniał się o zmarłych.

Passolides jakby płakał, bezradnie poruszając szczęką. Urquhart upominał się o zmarłych. Jorgosa. Eurypidesa. Ten człowiek był wcielonym diabłem...

– Dzieci, siostry i braci, którzy mieli piękne marzenia, tak jak ja je miałem, którzy przez te wszystkie lata oddali na Cyprze życie, poświęcili je dla pokoju, do którego ja także dążyłem...

Nagle urwał. Wstrzymał oddech. Poczł coś w piersi. Spojrzał w dół i zobaczył na wyprasowanej białej koszuli powiększającą się ciemną plamę. Chwilę potem pojawiła się druga plama i poczuł, że kolana zaczynają się pod nim uginać. Ale jeszcze nie teraz. Ciało wydawało się niechętnie go słuchać, lecz odwrócił się do Mortimy, dostrzegł wyraz jej oczu, wyciągnął do niej rękę, objął ją, żeby ją chronić, kiedy kolejny strzał uderzył go w plecy i pchnął w jej ramiona.

Osunął się na drewnianą podłogę, słysząc gdzieś bardzo blisko dwie ostre eksplozje. Oczy zachodziły mu mgłą, ale widział Cordera stojącego z pistoletem w dłoni i celującego w tłum. Widział też pochylającą się nad nim Mortimę, która usiłowała być dzielna. I jeszcze jakieś bardzo jasne światło. Czy to było słońce? Czy płonące drzewo? Robiło się coraz jaśniejsze.

– Mortimo? Mortimo! Gdzie jesteś?

Była bardzo blisko, ale nie mógł skupić wzroku. Ścisnęła go za rękę, lecz nic już nie czuł. Nie czuł bólu. Może pewne wyczerpanie. I euforię. Triumf. Oszukał ich wszystkich, nawet na końcu. I co do swojego końca. Wszystkich oprócz Mortimy.

Poruszył wargami, pocałowała je, przytuliła tak mocno, jak się odważyła, nie zważając na krew i krzyki wokół niej.

Uśmiechnął się, raz jeszcze spojrzał jej w oczy i szepnął:

– Wspaniałe ruiny.

Pocałowała go ponownie, długo, aż Corder schylił się, żeby oderwać ją od zwłok.

Epilog

Cały naród wstrzymywał oddech, oglądając w telewizji scenę, w której Francis Urquhart, już śmiertelnie ranny, rzuca się, by własnym ciałem osłonić Mortimę. Szlachetna śmierć. A nawet wspaniała, mówiono.

Evangelos Passolides nie miał tyle szczęścia. Zginął jeszcze przed Urquhartem, powalony kulami Cordera. Nigdy nie odkryto, dlaczego postanowił zabić premiera. „Brytyjski JFK”, jak to ujęły tabloidy, ale opinia publiczna wiedziała, kogo obwinić. Thomasa Makepeace’a. Bliski współpracownik i, jak się niemal natychmiast okazało, kochanek córki zamachowca. Rozważano postawienie mu zarzutów o udział w zмовie przestępczej, lecz niczego nie można by było udowodnić w sądzie, chociaż poszlaki przeciwko Makepeace’owi ugruntowały się w głowach wyborców jeszcze na długo przed głosowaniem.

Od poniedziałku aż do dnia wyborów trumna z ciałem Urquharta była wystawiona na widok publiczny w Great Hall w Westminsterze, gdzie bez chwili przerwy tłumy ludzi ciągnęły, by złożyć mu hołd. A samego dnia wyborów ustawili się w kolejkach, żeby przywrócić do władzy jego na nowo zjednoczoną partię, dając jej większość niespotykaną w nowożytnej historii.

Wygrał. Ostateczne zwycięstwo.

Nie wszystko poszło tak, jak Urquhart by sobie życzył. Przewodniczący partyjnej organizacji okręgowej Boozy-Pitta, otwarty list wycofujący obiecane mu szlachectwo, dostał zawału

serca i umarł na podłodze w kuchni. Nie mógł więc zadenuncjować Geoffreya, który twierdził, że kserokopie listu wysłanego do Komisji Przywilejów oraz „News of the World” zostały sfalszowane. Brzmiało to o tyle prawdopodobnie, że podczas pisania listu potwornie trzęsła mu się ręka. Poza tym naczelny brukowca uznał, iż niewiele będzie pożytku z kompromitowania świeżo owdowiałej i ewidentnie pogrążonej w żałobie kobiety. A zatem Geoffrey przetrwał, na razie, w nowej administracji.

Na jej czele stanął Maxwell Stanbrook, którego żydowskość i wątpliwe pochodzenie okazały się podczas kampanii na premiera raczej drobnymi zakłóceniami niż bezpośrednimi ciosami. Partia uznała, że nie ma nic złego w talencie. Mianował Claire ministrem.

Minęło kilka lat, zanim Mortima, hrabina Urquhart, założyła bibliotekę imienia swojego męża na terenach nad Tamizą, przekazanych na ten cel przez rząd, a jeszcze więcej – zanim na Cyprze na nowo rozpoczęto poważne rozmowy pokojowe. Dopiero po wielu kolejnych latach rewizjonistyczni historycy spróbowali usunąć pamięć o Francisie Urquharcie z serc wdzięcznego narodu.

Nie udało im się.

Tytuł oryginału

The Final Cut

Originally published in the English language
by HarperCollins Publishers Ltd. under the title

The Final Cut © Michael Dobbs 1993

Copyright © for the translation by Agnieszka Sobolewska

Projekt okładki

Paweł Panczakiewicz / PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN

Fotografie na okładce

Copyright © Aleksandr Khakimullin / [Shutterstock.com](https://www.shutterstock.com)

Copyright © Joseph Sohm / [Shutterstock.com](https://www.shutterstock.com)

Opieka redakcyjna

Przemysław Pełka

Ewa Polańska

Artur Wiśniewski

ISBN 978-83-240-3603-5

znak *litera
nova*

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com